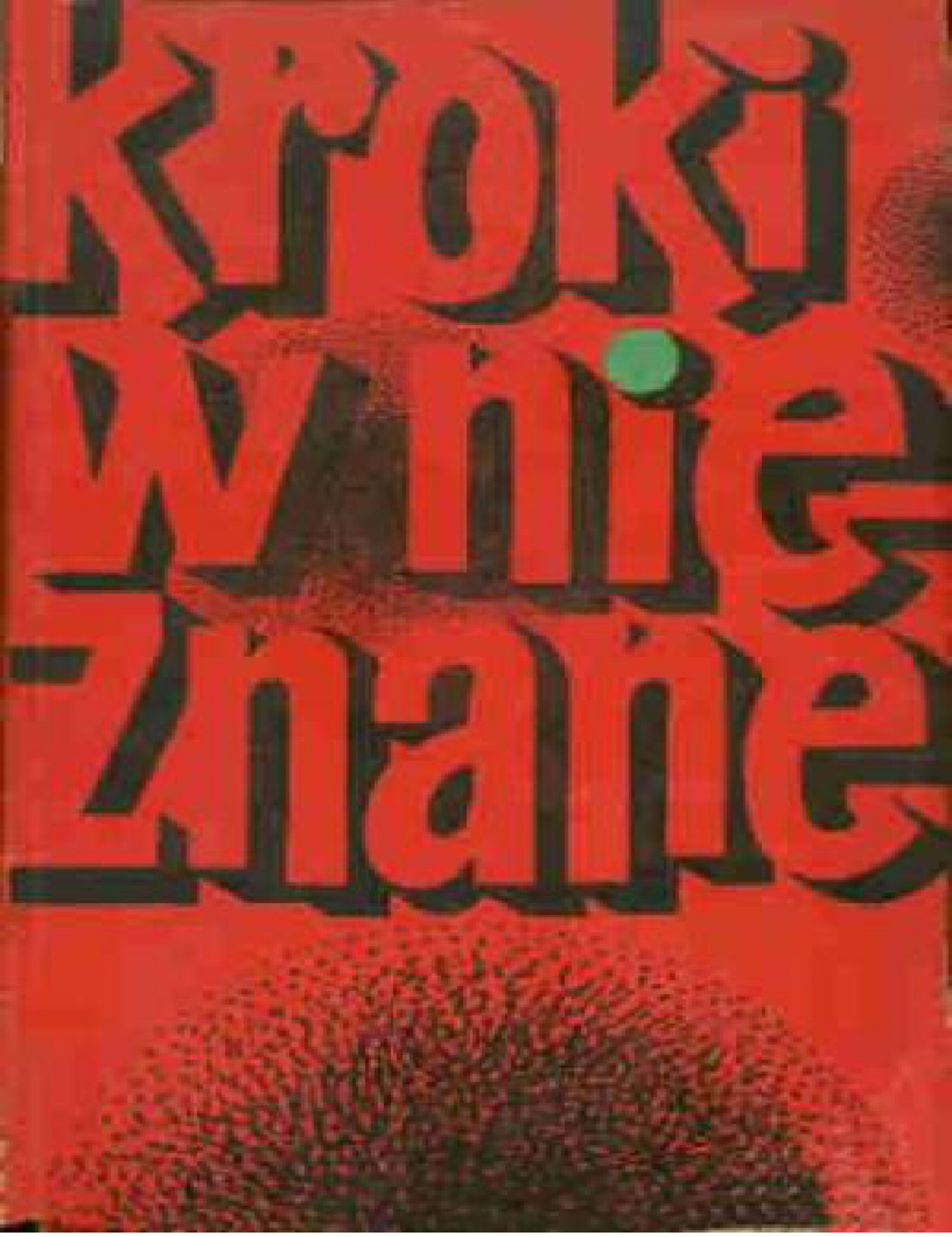
kroki
w nie
znane

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Trzeci tom „Kroków w nieznane” zawiera, podobnie jak poprzednie, opowiadania autorów polskich oraz radzieckich, brytyjskich i amerykańskich. Po raz pierwszy natomiast prezentujemy autorów japońskich. Bujny rozwój fantastyki naukowej w kraju tak bardzo wychylonym w przyszłość jak Japonia jest zjawiskiem naturalnym. Obok Kobo Abe, autora powieści „Kobieta z wydm”, ścisłą czołówkę japońskich fantastów stanowią trzej występujący w naszym almanachu autorzy: Sakyo Komatsu, Shin’ichi Hoshi i Morio Kita. Większość zebranych tu opowiadań prezentuje różne spojrzenia na przyszłość. Obok beztroskiego humoru jest tu zjadliwa satyra, obok głosów ostrzegających, pełnych troski i niepokoju o dalsze losy ludzkości, jest utopijna wizja człowieka — dobrego gospodarza świata i starszego brata zwierząt. Na ogól opowiadania przyszłościowe ukazują ludzi w nowych, odmiennych warunkach. Są jednak i takie, które poruszają sprawą dalszego rozwoju samego człowieka. Oryginalne podejście do tego tematu znajdujemy w opowiadaniu McIntosha, którego bohaterem jest Zespół, jakby zbiorowy nadczłowiek. Błyskotliwy jak zwykle Sheckley proponuje odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie są wiecznie niezadowoleni, niespokojni, stale za czymś gonią… Od pewnego czasu mówi się w fantastyce naukowej o „nowej fali”. Reprezentujący ją autorzy unikają nawet określenia science fiction i wolą rozszyfrowywać popularny skrót s-f jako speculative fiction (beletrystyka spekulatywna). Można by powiedzieć, że ta nowofalowa fantastyka nawiązuje bardziej do Kafki niż do Wellsa czy Verne’a. Typowym przedstawicielem tego kierunku i jednocześnie jednym z najbardziej dziś cenionych na świecie autorów science fiction jest J. G. Ballard, Anglik urodzony w Hong — Kongu. W dziale „Fakty, hipotezy, zagadki” zamieszczamy artykuły, wysuwające tezy tak śmiałe, że aż fantastyczne (choć nie sprzeczne z nauką) w sprawach, gdzie danych jest zbyt mało dla zbudowania ściśle naukowej teorii. Tom zamyka interesująca wypowiedź Alfreda Bestera, rzucająca światło na proces powstawania opowiadań fantastyczno-naukowych.

- Kroki w nieznane 3
- OD REDAKCJI
- Kurt Vonnegut
- Robert Sheckley
- Janusz A. Zajdel
- Morio Kita
- Robert Sheckley

- Kir Bułyczow
- John Wyndham
- Janusz A. Zajdel
- Kurt Vonnegut
- J. T. Macintosh
- I
- II
- III
- IV
- Wiktor Kołupajew
- Marian Butrym
- Ron Goulart
- Władimir Michajłow
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- Edmund Wnuk-Lipiński
- Władlen Bachnow
- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- Sakyō Komatsu
- Stanisław Lem
- Dymitr Bilenkin
- Ilja Warszawski
- Romen Jarow
- Shin’ichi Hoshi
- Arthur C. Clarke
- J. G. Ballard
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- Władlen Bachnow
- FAKTY, HIPOTEZY, ZAGADKI
- Lech Jęczmyk
- Herman Maliniczew

- Gennadij Jeremin
- Alfred Bester
- notes
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
    - 5
    - 6
    - 7
    - 8
    - 9

Kroki w nieznane 3

Almanach fantastyczno-naukowy

Wybór Lech Jęczmyk

OD REDAKCJI

Trzeci tom „Kroków w nieznane" zawiera, podobnie jak poprzednie, opowiadania autorów polskich oraz radzieckich, brytyjskich i amerykańskich. Po raz pierwszy natomiast prezentujemy autorów japońskich. Bujny rozwój fantastyki naukowej w kraju tak bardzo wychylonym w przyszłość jak Japonia jest zjawiskiem naturalnym. Obok Kobo Abe, autora powieści „Kobieta z wydm", ścisłą czołówkę japońskich fantastów stanowią trzej występujący w naszym almanachu autorzy: Sakyo Komatsu, Shin'ichi Hoshi i Morio Kita. Większość zebranych tu opowiadań prezentuje różne spojrzenia na przyszłość. Obok beztroskiego humoru jest tu zjadliwa satyra, obok głosów ostrzegających, pełnych troski i niepokoju o dalsze losy ludzkości, jest utopijna wizja człowieka — dobrego gospodarza świata i starszego brata zwierząt. Na ogół opowiadania przyszłościowe ukazują ludzi w nowych, odmiennych warunkach. Są jednak i takie, które poruszają sprawą dalszego rozwoju samego człowieka. Oryginalne podejście do tego tematu znajdujemy w opowiadaniu McIntosha, którego bohaterem jest Zespół, jakby zbiorowy nadczłowiek. Błyskotliwy jak zwykle Sheckley proponuje odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie są wiecznie niezadowoleni, niespokojni, stale za czymś gonią… Od pewnego czasu mówi się w fantastyce naukowej o „nowej fali". Reprezentujący ją autorzy unikają nawet określenia science fiction i wolą rozszyfrowywać popularny skrót s-f jako speculative fiction (beletrystyka spekulatywna). Można by powiedzieć, że ta nowofalowa fantastyka nawiązuje bardziej do Kafki niż do Wellsa czy Verne'a. Typowym przedstawicielem tego kierunku i jednocześnie jednym z najbardziej dziś cenionych na świecie autorów science fiction jest J. G. Ballard, Anglik urodzony w Hong — Kongu. W dziale „Fakty, hipotezy, zagadki" zamieszczamy artykuły, wysuwające tezy tak śmiałe, że aż fantastyczne (choć nie sprzeczne z nauką) w sprawach, gdzie danych jest zbyt mało dla zbudowania ściśle naukowej teorii. Tom zamyka interesująca wypowiedź Alfreda Bestera, rzucająca światło na proces powstawania opowiadań fantastyczno-naukowych.

Kurt Vonnegut
JUTRO

Tomorrow and Tomorrow and Tomorrow

Był rok 2158. Lou i Emeralda Schwartz szeptali na balkonie przylegającym do pokoju rodziny Lou na 76 piętrze Bloku nr 257 w Alden Village, nowojorskim osiedlu zajmującym obszar znany niegdyś jako Południowe Connecticut. Kiedy Lou i Emeralda pobierali się, rodzice Em nie wróżyli temu małżeństwu powodzenia ze względu na różnicę wieku, ale dziś, kiedy Lou miał 112 a Em 93 lata, zmuszeni byli przyznać, że było ono całkiem udane.

Jednakże Em i Lou nie byli całkowicie wolni od kłopotów i właśnie z tego powodu siedzieli teraz na balkonie oddychając rześkim powietrzem.

— Czasami jestem tak wściekła, że mam ochotę rozcieńczyć jego antygerason — powiedziała Em.

— To byłoby wbrew Naturze, Em — odrzekł Lou. — Po prostu zwykłe morderstwo. Poza tym, gdyby nas przyłapał na manipulowaniu przy jego antygerasonie, nie tylko by nas wydziedziczył, ale przetrąciłby mi kark. Fakt, że Dziadunio ma 172 lata, bynajmniej nie oznacza, że nie jest silny jak byk.

— Wbrew Naturze. A któż dzisiaj wie, jaka jest Natura? Och, nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek zdobyła się na rozcieńczenie jego antygerasonu lub coś w tym rodzaju, ale do licha, Lou, człowiek nie może oprzeć się myśli, że Dziadunio nigdy nie zdecyduje się odejść, o ile ktoś mu trochę tego nie ułatwi. Boże!.. Jesteśmy tak stłoczeni, że ledwie można się obrócić, Verna umiera z pragnienia posiadania dziecka, a Melissa od trzydziestu lat nie miała ani jednego. — Tupnęła nogą. — Jestem już chora od ciągłego patrzenia na jego starą pomarszczoną twarz, na to, jak zajmuje jedyny samodzielny pokój, najlepsze krzesło, ma najlepsze jedzenie, wybiera to, co chce w programie telewizyjnym i trzyma nas wszystkich w garści przez ciągłe zmienianie ostatniej woli.

— No cóż — powiedział ponuro Lou — w końcu Dziadunio jest głową rodziny. I nic nie poradzi na to, że jest taki pomarszczony. Miał siedemdziesiątkę, kiedy wynaleziono antygerason. On zamierza odejść, Em. Daj mu trochę czasu. To jego sprawa. Wiem, że trudno żyć z nim pod jednym dachem, ale bądź cierpliwa. Nie ma sensu robić nic, co by go rozdrażniło. Ostatecznie, powiodło nam się i tak lepiej niż innym — mamy tapczan.

— Jak myślisz, długo jeszcze będziemy spać na tapczanie, zanim

wybierze sobie nowego faworyta? Rekord świata wynosi, zdaje się, dwa miesiące, prawda?

— Mama i Papa cieszyli się nim chyba dłużej.

— Kiedy on zdecyduje się odejść, Lou?

— Cóż, powiedział, że odstawi antygerason zaraz po wyścigach samochodowych na 500 mil.

— Tak… a przedtem była Olimpiada, jeszcze wcześniej baseballowe zawody o mistrzostwo Ameryki, jeszcze wcześniej wybory prezydenckie, a jeszcze wcześniej już — sama — nie — wiem — co. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat pamiętam tylko wymówkę za wymówką. Nie wierzę już, że kiedyś w przyszłości dostaniemy dla siebie pokój, jajko czy cokolwiek.

Świetnie! Uważaj mnie za niedojdę! — powiedział Lou. — Cóż ja mogę zrobić? Pracuję ciężko, zarabiam nieźle, ale praktycznie wszystko zżerają podatki na obronę i emerytury. A nawet jeżeli nie byłoby podatków, jak myślisz, gdzie moglibyśmy znaleźć wolny pokój do wynajęcia? Może w Iowa? Ale kto chciałby mieszkać na peryferiach Chicago?

Em zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Lou, kochanie, wcale nie uważam cię za niedojdę. Bóg świadkiem, że nim nie jesteś. Po prostu nie miałeś szansy, by stać się kimś lub czegoś się dorobić, ponieważ Dziadunio i jego pokolenie nie odchodzą i nie pozwalają innym przejąć pałeczki.

— Tak, tak — mruknął Lou. — Nie możesz ich jednak całkiem potępiać. Ciekaw jestem, jak szybko my przestaniemy zażywać antygerason będąc w wieku Dziadunia.

— Czasami chciałabym, żeby antygerason nigdy nie został wynaleziony — powiedziała Emeralda. — Albo żeby był zrobiony z czegoś rzeczywiście kosztownego i trudnego do zdobycia, a nie z mułu i mniszka. Czasem pragnę, by ludzie umierali regularnie jak w zegarku nie mając w tej sprawie nic do powiedzenia, a nie decydowali, jak długo jeszcze będą żyć. Powinno istnieć prawo zabraniające sprzedawania tego środka ludziom, którzy przekroczyli już sto pięćdziesiąt lat.

— Słaba nadzieja, biorąc pod uwagę, że starzy ludzie mają pieniądze i prawo głosowania. — Popatrzył na nią badawczo. — Czy jesteś gotowa umrzeć, Em?

— Na miłość boską, jak możesz o coś podobnego pytać własną żonę. Kochanie! Nie mam jeszcze nawet stu lat. Przesunęła lekko dłońmi po swojej zgrabnej młodzieńczej figurze niemal nastolatki. — Najlepsze lata mego życia są jeszcze ciągle przede mną. Ale mogę się z tobą założyć, że jak stuknie sto pięćdziesiąt, stara Em wyleje swój antygerason do zlewu i przestanie zajmować pokój, przy czym zrobi to wszystko z uśmiechem.

— Oczywiście, oczywiście, trzymam zakład. Tak właśnie mówią oni wszyscy. A ilu było takich, którzy się na to zdecydowali?

— Ten mężczyzna w Delaware.

— Nie spuchł ci jeszcze język od mówienia o nim? To było pięć miesięcy temu!

— No dobrze, a Babunia Winkler z tego samego Bloku?

— Ona wpadła pod pociąg w metro.

— Ale to była właśnie droga odejścia, którą wybrała odpowiedziała Em.

— Tak? Cóż więc miało znaczyć tych sześć opakowań antygerasonu, które miała wtedy przy sobie?

Emeralda ze znużeniem potrząsnęła głową i przymknęła oczy.

— Nie wiem, nie wiem. Wiem tylko, że coś trzeba zrobić. — Westchnęła. — Czasem bym chciała, żeby oni zostawili chociaż parę chorób plączących się gdzieś tam, żebym mogła którąś z nich złapać i poleżeć choć trochę w łóżku. Za dużo ludzi! — krzyknęła, a jej słowa zagdakały, zagęgały i zamarły wśród tysięcy asfaltowanych, najeżonych drapaczami chmur podwórek.

Lou czule pogłaskał ją po ramieniu.

— Och, kochanie, nie mogę znieść, kiedy jesteś taka przygnębiona.

— Gdybyśmy mieli samochód, jak ludzie w dawnych czasach — powiedziała Em — moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę i uciec od ludzi choć na chwilę. Boże, to były czasy!

— Tak, póki nie zużyto wszystkiego metalu.

— Wskoczylibyśmy do wozu, a Papa podjechałby do stacji benzynowej i zawołał: „Nalej do pełna!”

— Tak, to była fantazja, zanim wyczerpali wszystkie zasoby benzyny.

— I wyruszylibyśmy na beztroską przejażdżkę po kraju.

— Wszystko to wydaje się teraz bajką, prawda, Em? Trudno uwierzyć, że kiedyś istniały otwarte przestrzenie między miastami.

— A jakbyśmy zgłodnieli — ciągnęła Em — to byśmy sobie znaleźli restaurację, weszli z fasonem i powiedzieli: „Proszę befsztyk i frytki” albo: „A jakie są dziś kotlety, schabowe?” — Em oblizała wargi, oczy jej zabłysły.

— O rany! — zamruczał Lou. — A co byś powiedziała na hamburgera?

— Mniam, mniammm.

— Gdyby nam ktoś zaproponował spreparowane wodorosty morskie w owych czasach, plunęlibyśmy mu w oko, no nie, Em?

— Albo spreparowane trociny!

Lou uparcie próbował w tej sytuacji znaleźć jej weselsze strony.

— Cóż, oni w każdym razie twierdzą, że obecnie ma to lepszy

smak, mniej się czuje wodorosty i trociny niż na początku, i że jest znacznie zdrowsze, niż to, co jadaliśmy poprzednio.

— Ja czułam się świetnie! — gwałtownie zaprzeczyła Em.

Lou wzruszył ramionami.

— No dobrze, ale musisz zdać sobie sprawę, że świat nie byłby w stanie wyżywić dwunastu miliardów ludzi, gdyby nie spreparowane wodorosty i trociny. Myślę, że to naprawdę jest wspaniała rzecz. Tak mi się wydaje. Oni tak mówią.

— Oni plotą, co im ślina na język przyniesie. — Em zamknęła oczy. — Boże, czy pamiętasz, jak sklepy walczyły o to, by skłonić ludzi do kupienia czegokolwiek? Nie musiałeś czekać na niczyją śmierć, żeby zdobyć łóżko, krzesła, piec, czy coś w tym rodzaju. Po prostu wchodziłeś i bach! kupowałeś, co ci się tylko zamarzyło. Jezu! Tak było cudownie, póki nie zużyto absolutnie wszystkich surowców. Byłam wtedy małym dzieckiem, ale pamiętam to tak dobrze…

Lou, przygnębiony, podszedł apatycznie do krawędzi balkonu i spojrzał w górę, w wyraźne, chłodno błyszczące gwiazdy na tle czarnego aksamitu nieskończoności.

— Pamiętasz, Em, jak kiedyś mieliśmy bzika na punkcie fantastyki naukowej? Lot nr 17 na Marsa, wyrzutnia nr 12. Wszyscy na pokład! Uprasza się cały personel nietechniczny o pozostanie w bunkrach. Dziesięć… dziewięć… osiem… siedem… sześć… pięć… cztery… trzy… dwa… jeden! Główny człon! Barru-u-um!!!

— Po co martwić się o to, co się dzieje na Ziemi? — odezwała się Em również wpatrując się w gwiazdy. — Za kilka lat wszyscy będziemy szybować w przestrzeni, by zacząć nowe życie na nowej planecie.

Lou westchnął.

— Tak, tylko okazuje się, że trzeba by czegoś dwa razy większego od Empire State Building, by dostarczyć jednego parszywego kolonistę na Marsa. A za parę dalszych bilionów dolarów mógłby zabrać ze sobą żonę i psa. To jest sposób na zlikwidowanie przeludnienia — emigracja!

— Lou?…

— Hm?

— Kiedy odbędą się wyścigi samochodowe na 500 mil?

— Och… w Święto Umarłych, trzydziestego maja.

Em ściągnęła usta.

— Czy to bardzo okropne z mojej strony, że zapytałam?

— Chyba nie bardzo. Każdy w tym mieszkaniu sprawdził to aż nadto dokładnie.

— Nie chcę być okropna — powiedziała Em — ale od czasu do czasu człowiek musi wygadać się i zrzucić to wszystko z wątroby.

— Ja też tak uważam. Czujesz się lepiej?

— Tak. I więcej już nie będę się ciskać, będę się starała być dla niego tak miła, jak tylko potrafię.

— To rozumiem, to jest moja Em!

Wyprostowali się, uśmiechnęli dzielnie i weszli do mieszkania.

* * *

Dziadunio Schwartz z brodą wspartą na pięściach, obejmujących gałkę laski, patrzył gniewnie na pięciostopowy ekran telewizyjny dominujący nad całym pokojem. Komentator podsumowywał wydarzenia dnia. Mniej więcej co trzydzieści sekund Dziadunio dźgał końcem laski w podłogę i wrzeszczał:

— Do diabła! Zrobiliśmy to już sto lat temu!

Emeralda i Lou, wszedłszy do pokoju, zmuszeni byli zająć miejsca w tylnym rzędzie, za ojcem i matką Lou, szwagrem i szwagierką, zięciem i synową, wnukiem i jego żoną, wnuczką i jej mężem, prawnukiem i jego żoną, siostrzeńcem i jego żoną, stryjecznym wnukiem i jego żoną, stryjeczną prawnuczką i jej mężem, stryjecznym prawnukiem i jego żoną, no i oczywiście Dziaduniem, który siedział na przedzie. Wszyscy, wyjąwszy Dziadunia, który był co nieco zwiędły i przygarbiony, wyglądali, według norm przedantygerasonowych, jakby byli mniej więcej w równym wieku, gdzieś pod trzydziestkę albo niewiele ponad.

— „Tymczasem — mówił komentator — Radzie w Bluffs, Iowa, zagrażała ponura tragedia. Ale dwustu zmęczonych pracą ratowniczą robotników nie traciło nadziei i uparcie kopało dalej czyniąc nadludzkie wysiłki, by ocalić stuosiemdziesięcioletniego Elberta Haggedorna, który od dwóch dni był uwięziony w…”

— Mam nadzieję, że jego koniec będzie przyjemniejszy szepnęła Emeralda do Lou.

— Cisza! — wrzasnął Dziadunio. — Jeżeli jeszcze któreś z was otworzy jadaczkę w czasie programu telewizyjnego, nie dostanie nawet złamanego grosza… — głos złagodniał mu nagle i zmiękł — … kiedy dadzą znak kraciastą jak szachownica chorągiewką na torze w Indianapolis, a stary Dziadunio wybierze się w swą Wielką Podróż do Krainy Wieczności. — Sentymentalnie pociągnął nosem, gdy tymczasem jego spadkobiercy rozpaczliwie usiłowali nie spowodować najmniejszego dźwięku. Sława o przyszłej Wielkiej Podróży nie robiły już na nich wrażenia, ponieważ Dziadunio wspominał o tym mniej więcej raz dziennie od lat pięćdziesięciu.

— „Dr Brainard Keyes Bullard — mówił dalej komentator — rektor Uniwersytetu w Wyandotte, stwierdził w swym przemówieniu dziś wieczorem, że większość nieszczęść gnębiących świat wynika z

faktu, iż wiedza człowieka o nim samym nie dotrzymuje kroku jego wiedzy o otaczającym go świecie".

— Do diabła! — wykrzyknął Dziadunio. — Stwierdziliśmy to już sto lat temu!

— „Dziś wieczorem Szpital Położniczy w Chicago obchodzi szczególną uroczystość. Honorowym gościem jest Lowell W. Hitz, wiek zero. Hitz, który przyszedł na świat tego ranka, jest dwudziestopięciomilionowym dzieckiem urodzonym w tym szpitalu".

Komentator znikł, a na ekranie pojawił się młody Hitz, wrzeszczący przeraźliwie.

— Do diabła — szepnął Lou do Emeraldy — stwierdziliśmy to już sto lat temu.

— Słyszałem! — wrzasnął Dziadunio. Wyłączył z trzaskiem telewizor, a jego przerażeni potomkowie patrzyli w milczeniu na ekran. — Ty tam, chłopcze…

— Nie chciałem nic przez to powiedzieć, sir — odezwał się Lou.

— Daj mi mój testament. Wiesz, gdzie jest. Wy wszyscy, moje dzieci, wiecie, gdzie on się znajduje. Przynieś go, chłopcze!

Lou ponuro skinął głową i ruszył przez hall, wybierając drogę przez legowiska do pokoju Dziadunia, jedynego samodzielnego pokoju w mieszkaniu Schwartzów. Pozostałe pomieszczenia były to: łazienka, salon oraz szeroki korytarz bez okien, który początkowo miał służyć za jadalnię i w jednym jego końcu znajdowała się kuchenka. W hallu i salonie rozłożono sześć materaców i cztery śpiwory, tapczan stojący w salonie zajmowało jedenaste małżeństwo — aktualni faworyci.

Na biurku Dziadunia leżał jego testament, wybrudzony, z oślimi uszami, podziurawiony i zapaćkany setkami uzupełnień, wykreśleń, oskarżeń, warunków, ostrzeżeń, porad oraz uwag filozoficznych na domowy użytek. „Dokument ten rozmyślał Lou — jest dziennikiem prowadzonym przez lat pięćdziesiąt — wszystko stłoczone na dwóch kawałkach papieru — bałamutnym, nieczytelnym dziennikiem nieustannego współzawodnictwa". Tego dnia Lou miał być wydziedziczony po raz jedenasty i prawdopodobnie odzyskanie obietnicy udziału w spadku będzie go kosztowało około sześciu miesięcy nienagannego zachowania.

— Chłopcze! — zawołał Dziadunio.

— Idę, sir. — Lou pospieszył z powrotem do salonu i wręczył Dziaduniowi testament.

— Pióro! — rozkazał Dziadunio.

Natychmiast podano mu jedenaście piór — po jednym od każdego małżeństwa.

— Nie, to cieknie — powiedział odtrącając pióro Lou. O, to jest ładne. Dobry z ciebie chłopiec, Willy. — Przyjął pióro od Willy'ego. To była wskazówka, na którą wszyscy czekali. Teraz Willy, ojciec Lou, był

nowym faworytem.

Willy, który wyglądał niemal tak młodo, jak jego syn, chociaż liczył sto czterdzieści dwa lata, nieudolnie usiłował ukryć swą radość. Popatrzył nieśmiało na tapczan, który miał się stać jego własnością, a z którego Lou i Emeralda musieli przenieść się z powrotem do hallu, na najgorsze miejsce przy drzwiach do łazienki.

Dziadunio celebrował każdy wzniosły dramat, którego był autorem, i wszystkiemu, co posiadał, nadał piętno swojej osobowości. Marszcząc brwi i wodząc palcem wzdłuż każdej linijki, jakby widział testament po raz pierwszy w życiu, zaczął czytać z głęboką złowieszczą jednostajnością basowego tonu w katedralnych organach:

— „Ja, Harold D. Schwartz, zamieszkały w Bloku nr 257, w Alden Village, Nowy Jork, niniejszym oświadczam, ogłaszam i czynię ten dokument moją Ostatnią Wolą i Testamentem, anulując tym samym wszystkie moje poprzednie testamenty i kodycyle kiedykolwiek sporządzone".

Wysiąkał z namaszczeniem nos i czytał dalej nie roniąc ani słówka i powtarzając niektóre z emfazą, a szczególnie coraz-bardziej-skomplikowane specyfikacje dotyczące pogrzebu.

Przy końcu tych specyfikacji Dziadunia tak zatkało ze wzruszenia, iż Lou pomyślał, że może w końcu zapomniał, w jakim celu kazał sobie przynieść testament. Ale Dziadunio bohatersko okiełznał wzruszenie i po chwili wymazywania zaczął równocześnie pisać i mówić. Lou mógłby wyrecytować za niego cały tekst — słyszał go przecież tyle razy…

— Przeżyłem wiele zgryzot przed opuszczeniem tego padołu łez i udaniem się do lepszego świata — mówił i jednocześnie pisał Dziadunio. — Ale najgłębszą ze wszystkich ran zadał mi… — obrzucił spojrzeniem całą grupę usiłując przypomnieć sobie, kto był tym krzywdzicielem.

Wszyscy popatrzyli współczująco na Lou, który z rezygnacją podniósł rękę.

Dziadunio skinął głową, przypomniawszy sobie, i dokończył zdanie: — …mój prawnuk Louis J. Schwartz.

— Wnuk, sir — podpowiedział Lou.

— Nie wykręcaj się. I tak wpadłeś z kretesem, młody człowieku — powiedział Dziadunio. Zmienił jednak ten szczegół i kontynuował już bez potknięć, stwierdzając wydziedziczenie, którego przyczyną był brak szacunku i krętactwo.

W następnym paragrafie dotyczącym w różnych okresach każdego z obecnych w tym pokoju, imię Lou zostało wykreślone i zastąpione imieniem Willy'ego, który stał się spadkobiercą mieszkania oraz największej gratki — podwójnego łóżka w samodzielnej sypialni.

— Tak! — Dziadunio uśmiechnął,się promiennie. Wymazał datę u

dołu testamentu i wpisał nową zaznaczając również godzinę. — Czas na obejrzenie „Rodziny McGarveyów".

„Rodzina McGarveyów" był to serial telewizyjny, który Dziadunio oglądał od ukończenia sześćdziesiątki, czyli od stu dwunastu lat.

— Nie mogę się doczekać, co będzie dalej — powiedział.

Lou oderwał się od grupy i legł na swym łożu boleści przy drzwiach do łazienki. Pragnął, by Em przyszła do niego, i zastanawiał się, gdzie też ona może być.

Drzemał chwilę, dopóki nie został obudzony przez kogoś, kto przelazł nad nim, usiłując dostać się do łazienki. W chwilę później usłyszał słaby bulgoczący dźwięk, jak gdyby wylewano coś do umywalki. Nagle przyszło mu na myśl, że Em załamała się i że to ona przedsięwzięła coś drastycznego przeciwko Dziaduniowi.

— Em!.. — szepnął przez szybę. Odpowiedzi nie było. Pchnął drzwi. Sfatygowany zamek, którego zasuwka ledwie trzymała się w oprawce, stawiał opór tylko przez moment, po czym drzwi się otworzyły.

— Morty! — wykrztusił Lou.

Jego stryjeczny prawnuk, Mortimer, który niedawno ożenił się i sprowadził swą żonę do mieszkania Schwartzów, spojrzał na niego z konsternacją i zaskoczeniem. Gwałtownym kopnięciem zatrzasnął drzwi, Lou jednak zdążył zobaczyć pewien przedmiot w rękach Morty'ego — była to olbrzymia napełniona do połowy butla antygerasonu Dziadunia, której zawartość Morty uzupełniał po szyjkę wodą.

W chwilę później Morty wyszedł, spojrzał wyzywająco na Lou i otarł się o niego bez słowa kierując się ku swej ładniutkiej żonie.

Lou, zaszokowany, nie wiedział, jak postąpić. Nie mógł dopuścić, by Dziadunio zażył zdradliwy antygerason, ale z drugiej strony, jeśli go ostrzeże, Dziadunio z pewnością do reszty zatruje im wszystkim życie, które i tak było już nie do zniesienia.

Zajrzał do salonu i zobaczył, że Schwartzowie, a wraz z nimi i Emeralda, siedzą na razie spokojnie, rozkoszując się groteską, jaką ze swego życia uczynili McGarveyowie. Cichaczem prześliznął się do łazienki, zamknął drzwi tak dobrze, jak tylko mógł, i zaczął wylewać zawartość butli Dziadunia do umywalki. Miał zamiar napełnić ją ponownie pełnowartościowym antygerasonem z dwudziestu dwóch mniejszych butelek stojących na półce. Butla miała pojemność pół galona, a szyjka jej była bardzo wąska, toteż zanosiło się, że jej opróżnianie będzie trwało wieczność. Zdenerwowanemu Lou wydawało się, że prawie nieuchwytny zapach antygerasonu, podobny do zapachu sosu worcestershire, rozchodzi się po całym mieszkaniu przez dziurkę od klucza i szparę pod drzwiami.

— Gul — gul — gul — gul — monotonnie szemrała butla.

Nagle z salonu doleciały dźwięki muzyki, potem szmery i szuranie przesuwanych krzeseł.

— „…Na tym kończy się — dobiegł go głos spikera telewizyjnego — dwudziestodziewięciotysięczny sto dwudziesty pierwszy rozdział z życia naszych sąsiadów McGarveyów”.

Usłyszał odgłos kroków w hallu. Ktoś zapukał do drzwi.

— Chwileczkę — zawołał żywo Lou. Rozpaczliwie potrząsnął butelką, usiłując szybciej ją opróżnić. Dłonie ześliznęły się po mokrym szkle i ciężka butla rozprysnęła się w drobny mak na kaflowej posadzce.

Odskoczyły gwałtownie pchnięte drzwi i Dziadunio stanął jak rażony piorunem.

Lou uśmiechnął się ujmująco mimo wstrętu, który go ogarnął, i z braku czegokolwiek bodaj mgliście przypominającego jakiś pomysł, czekał, co powie Dziadunio.

— Cóż, chłopcze — odezwał się w końcu Dziadunio wygląda na to, że czeka cię małe sprzątanie.

I to było wszystko, co powiedział. Odwrócił się, utorował sobie drogę wśród tłumu i zamknął się w swojej sypialni.

Schwartzowie jeszcze chwilę przypatrywali się Lou w niedowierzającym milczeniu, po czym wycofali się spiesznie do salonu, jak gdyby cząstka tego potwornego przewinienia mogła również ich skazić, gdyby patrzyli zbyt długo. Morty zatrzymał się nieco dłużej, aby rzucić Lou kpiące, zjadliwe spojrzenie. Następnie on również wszedł do salonu, pozostawiając jedynie Emeraldę stojącą w drzwiach.

Łzy płynęły po jej policzkach.

— Och, moje biedne kochanie, proszę, nie patrz tak strasznie. To moja wina. To ja cię do tego sprowokowałam.

— Nie — powiedział Lou odzyskując głos. — Naprawdę tego nie zrobiłaś. Słowo honoru, Em, ja tylko…

— Nie musisz się absolutnie przede mną tłumaczyć, kochanie. Jestem po twojej stronie niezależnie od wszystkiego. — Pocałowała go w policzek i szepnęła do ucha: — To nie byłoby morderstwo, kochanie. To by go nie zabiło. To wcale nie była tak potworna rzecz, po prostu ułatwiłoby mu tylko ten ostateczny krok i mógłby odejść w każdej chwili, gdy Bóg go do siebie powoła.

— Co będzie dalej, Em? — spytał głucho Lou. — Co on zamierza zrobić?

* * *

Lou i Emeralda, przestraszeni, czuwali niemal przez całą noc,

oczekując reakcji Dziadunia. Ale żaden dźwięk nie dochodził z jego sanktuarium. Na dwie godziny przed świtem wreszcie zasnęli.

O szóstej godzinie wstali, jako że była to pora śniadania w kuchence dla ich generacji. Nikt się do nich nie odezwał. Na jedzenie mieli dwadzieścia minut, potem należało zwolnić miejsce dla kolejnej młodszej generacji. Reakcje ich były jednakże tak przytępione z powodu złej nocy, że z trudnością zdołali przełknąć w tym czasie dwa kęsy spreparowanych wodorostów.

Następnie, zgodnie z obowiązkiem każdego, kto był aktualnie wydziedziczony, zabrali się do przygotowywania śniadania dla Dziadunia, które miało być podane mu na tacy do łóżka. Usiłowali podejść do tego pogodnie. Najgorszą stroną tej pracy była konieczność przyrządzania posiłku z najautentyczniejszych pod słońcem jajek, bekonu i margaryny, na które Dziadunio poświęcał niemal cały swój dochód.

— Trudno — powiedziała Emeralda — nie mam zamiaru wpadać w panikę, zanim się nie upewnię, że mam po temu rzeczywisty powód.

— A może on nie wie, co ja stłukłem — z nadzieją w głosie powiedział Lou.

— Prawdopodobnie myśli, że szkiełko od zegarka — odezwał się jego syn, Eddie, który bawił się apatycznie ciastkami z trocin przypominających kaszę tatarczaną.

— Nie bądź sarkastyczny wobec własnego ojca — skarciła go Em. — I nie mów z pełnymi ustami.

— Chciałbym zobaczyć takiego, który może nic nie mówić żując to paskudztwo — powiedział siedemdziesięciotrzyletni Eddie. Spojrzał na zegarek. — Czas już zanieść Dziaduniowi śniadanie.

— Tak, już czas — powtórzył Lou słabym głosem. Wzruszył ramionami. — Weź tacę, Em.

— Pójdziemy oboje.

Szli powoli, dzielnie się uśmiechając. Przed drzwiami do sypialni ujrzeli posępne twarze Schwartzów stojących obok półkolem.

Em zapukała.

— Dziaduniu — powiedziała słodko — śniadanko gotowe.

Nie było odpowiedzi. Em zapukała mocniej.

Drzwi ustąpiły pod jej ręką. Stojące pośrodku pokoju miękkie, szerokie łoże z baldachimem, symbol słodkiego lulilulu dla każdego ze Schwartzów, było puste.

Sens śmierci, tak samo obcy Schwartzom, jak zoroastrianizm czy też przyczyny buntu Sipajów, poraził ich i zwolnił bicie serc. Pełni nabożnego lęku spadkobiercy zaczęli ostrożnie szukać pod meblami i za zasłonami czegoś, co stanowiło śmiertelne szczątki Dziadunia, ojca rodu.

Dziadunio jednak nie zostawił swej ziemskiej powłoki, tylko notatkę, którą Lou w końcu znalazł na komodzie pod przyciskiem przechowywanym w charakterze pamiątki z dwutysięcznych Targów Światowych.

Zaczął czytać niepewnym głosem:

— „Ktoś, kogo przez te wszystkie lata chroniłem, strzegłem i uczyłem według mych najlepszych intencji, ostatniego wieczoru zwrócił się przeciwko mnie niczym wściekły pies rozcieńczając lub też próbując rozcieńczyć mój antygerason. Nie jestem już człowiekiem młodym. Nie potrafię unieść miażdżącego ciężaru życia tak, jak potrafiłem to niegdyś. I oto po gorzkim doświadczeniu ostatniego wieczoru żegnam was. Troski tego świata opadną wkrótce ze mnie niby płaszcz cierniowy i wreszcie zaznam spokoju. Gdy to znajdziecie, mnie już nie będzie".

— Do licha! — rzekł urywanie Willy — nawet nie zobaczy rozpoczęcia wyścigów samochodowych na 500 mil.

— Ani zawodów baseballowych o mistrzostwo Ameryki dodał Eddie.

— Ani czy pani McGarvey odzyskała wzrok — powiedział Morty.

— Tu jeszcze coś jest — powiedział Lou i znów zaczął głośno czytać: — „Ja, Harold D. Schwartz… niniejszym ogłaszam, oświadczam i czynię ten dokument moją Ostatnią Wolą i Testamentem, anulując tym samym wszystkie moje poprzednie testamenty i kodycyle kiedykolwiek sporządzone".

— Nie! — krzyknął Willy. — Tylko nie to!

— „Zastrzegam sobie, że wszystko, co pod jakąkolwiek postacią stanowi mój majątek nie ulega podziałowi, zapisuję i zostawiam w spadku całość do wspólnego użytkowania przez moje potomstwo w równej części bez względu na generację".

— Potomstwo? — spytała Emeralda.

Lou zawarł wszystko w jednym machnięciu ręką.

— To oznacza, że cały ten przeklęty zwariowany kram jest naszą wspólną własnością.

Oczy zebranych natychmiast zwróciły się w stronę łóżka.

— W równej części? — spytał Morty.

— Właściwie — odezwał się Willy, który był najstarszym z zebranych — to jest tak, jak w starym systemie. Najstarsi ludzie kierują sprawami mając kwaterę główną tutaj, i…

— Lubię takie gadanie — rzekła Em. — Lou należy się taka sama część, jak tobie, powiedziałabym nawet, że wszystko powinno przypaść najstarszemu, który jeszcze pracuje. Ty możesz sobie próżnować tu przez cały dzień, czekać na przekaz z rentą, a biedny Lou słania się ze zmęczenia, wykończony pracą i…

— A co byście powiedzieli na to, żeby spróbował ktoś, kto jeszcze

nie miał do tej pory żadnego prywatnego życia zawołał gorąco Eddie. — Do diabła! Wy, starzy ludzie, mieliście chociaż w dzieciństwie swoje własne życie. Ja urodziłem się i wyrosłem w tych przeklętych koszarach w hallu! Cóż wy na…

— Taaak? — odezwał się Morty. — To prawda, że wszyscy mieliście ciężkie życie i moje serce krwawi z tego powodu. Ale spróbujcie dla draki przeżyć miodowy miesiąc w hallu!

— Cisza! — wrzasnął władczo Willy. — Kto otworzy gębę, spędzi najbliższe sześć miesięcy koło łazienki! A teraz wynocha z mojego pokoju! Chcę pomyśleć.

Wazon roztrzaskał się o ścianę tuż nad jego głową. W następnej chwili rozpętała się ogólna bijatyka, każda para usiłowała wyrzucić drugą z pokoju, tworzyły się i rozwiązywały walczące koalicje, błyskawicznie zmieniała się strategia. Em i Lou zostali wypchnięci do hallu, gdzie zorganizowali innych, będących w takiej samej sytuacji, i znów przypuścili szturm na pokój.

Po dwóch godzinach walki, bez żadnych widoków na rozstrzygnięcie, wtargnęła policja.

W ciągu następnych trzydziestu minut wozy policyjne oraz karetki pogotowia wywiozły Schwartzów, mieszkanie opustoszało i ucichło.

W godzinę później 500 000 000 ukontentowanych widzów na Wschodnim Wybrzeżu oglądało na ekranach telewizorów ostatnie etapy bójki.

W ciszy trzyizbowego mieszkania Schwartzów na 76 piętrze Bloku nr 257 został włączony telewizor. Raz jeszcze napełniły powietrze krzyki, pomruki i inne odgłosy bójki rozbrzmiewające teraz nieszkodliwie z głośnika.

Walka pojawiła się również na ekranie telewizora znajdującego się na posterunku policji, gdzie z fachowym zainteresowaniem oglądali ją Schwartzowie wraz ze swymi poskromicielami:

Em i Lou leżeli spokojnie na pryczach w sąsiadujących z sobą celach cztery na osiem.

— Em — odezwał się zza przepierzenia Lou — czy ty też masz swoją własną umywalnię?

— Oczywiście. Umywalnię, łóżko, światło — całe wyposażenie. Ha! A nam pokój. Dziadunia wydawał się Bóg wie czym. Jak to długo potrwa? — wyciągnęła rękę. — Po raz pierwszy od czterdziestu lat, kochanie, nie mam trzęsionki.

— Odpukaj — powiedział Lou — adwokat spróbuje załatwić nam rok.

— O Boże — westchnęła marząco Em — ciekawa jestem, za jakie sznurki trzeba pociągnąć, żeby dostać osobną celę?

— Dobra, zamknijcie się — odezwał się klucznik więzienny —

albo w trymigi wyrzucę całą waszą pakę. A kto puści farbę na zewnątrz, jak dobrze jest w więzieniu, nigdy już się tu nie dostanie.

Więźniowie natychmiast zamilkli.

W salonie Schwartzów ściemniło się na chwilę, gdy z ekranu telewizyjnego zniknęły sceny bójki, po czym ukazała się na nim twarz spikera niczym słońce, przedzierające się zza chmur.

— „A teraz, przyjaciele, mam dla was specjalną wiadomość od producentów antygerasonu, wiadomość dla wszystkich, którzy przekroczyli sto pięćdziesiąt lat. Czy jesteś skrępowany towarzysko z powodu zmarszczek, sztywności stawów, utraty włosów lub ich siwienia oraz innych zmian zaszłych przed wynalezieniem antygerasonu? Jeżeli tak jest, nie musisz dłużej cierpieć ani czuć się wyobcowany i poza nawiasem.

Po latach badań wiedza medyczna wynalazła obecnie superantygerason! Po upływie kilku tygodni, tak — tygodni, możesz wyglądać równie młodo, czuć się i działać jak twoi praprawnukowie! Czy nie zapłacisz 5000 dolarów, aby nie różnić się od innych? Wcale nie musisz! Bezpieczny, sprawdzony superantygerason będzie cię kosztował tylko około dolara dziennie. Przeciętny koszt odzyskania sił i wigoru młodości wynosi niespełna 50 dolarów.

A teraz napisz do nas z prośbą o bezpłatny próbny karton. Umieść swoje nazwisko i adres na kartce pocztowej za dolara i wyślij ją pod adresem: «Super», Box 500 000, Schenectady. N.J. Zapisałeś? Powtarzam: «Super», Box…”

Słowom spikera towarzyszyło skrzypienie pióra Dziadunia, tegoż pióra, które ofiarował mu Willy poprzedniego wieczoru. Właśnie kilka minut temu Dziadunio wrócił z tawerny „Idle Hour”, z której przez asfaltowy plac zwany Alden Village Green mógł widzieć Blok nr 257. Wezwał sprzątaczkę, kazał jej doprowadzić do porządku mieszkanie, po czym zwrócił się do najlepszego prawnika w mieście powierzając mu udowodnienie winy swemu potomstwu. Wreszcie przesunął tapczan i ustawił go naprzeciw telewizora, aby oglądać program telewizyjny w pozycji leżącej. To było coś, o czym marzył od lat.

— Schen-ec-ta-dy — zamruczał. — Zanotowałem.

Twarz jego zmieniła się w sposób zauważalny. Mięśnie twarzy rozluźniły się odsłaniając życzliwość i spokój, ukryte przedtem pod złymi krechami. Mogłoby się wydawać, że otrzymał już próbny karton superantygerasonu. Kiedy coś go śmieszyło w programie telewizyjnym, uśmiechał się beztrosko, rozciągając o milimetr cienką kreskę swych warg. Życie było piękne. Nie mógł się doczekać, co mu przyniesie.

Przekład: Elżbieta Zychowicz

Robert Sheckley
PTAKI–CZUJNIKI

Watchbird

Gelsen wszedłszy do sali stwierdził, że wszyscy producenci ptaków-czujników już są. Było ich sześciu oprócz niego i w pokoju zrobiło się niebiesko od dymu drogich cygar.

— Siemasz, Charlie — zawołał jeden z nich na widok Gelsena.

Pozostali przerwali na chwilę rozmowę, by machnąć mu niedbale ręką na powitanie. Uświadomił sobie kwaśno, że jako producent ptaków-czujników należał do grupy pracującej nad zbawieniem ludzkości. Bardzo ekskluzywnej. Ale jeśli chcesz ratować rodzaj ludzki, musisz mieć zamówienie rządowe.

— Brakuje jeszcze pełnomocnika rządu — poinformował Gelsena jeden z obecnych. — Spodziewamy się go lada chwila.

— Mamy zielone światło — dodał drugi.

— Wspaniale. — Gelsen znalazł sobie krzesło w pobliżu drzwi i powiódł wzrokiem po sali. Zebranie robiło wrażenie zbiórki harcerskiej. Sześciu uczestników hałaśliwością nadrabiało nikłą liczebność. Prezes Zjednoczenia Południowego wydzierał się na całe gardło mówiąc o niezwykłej wytrzymałości ptaków. Zwracał się do dwóch innych prezesów, którzy uśmiechając się i kiwając głowami usiłowali mu przerwać — jeden wywodem na temat tego, jak to świeżo przeprowadził test na pomysłowość ptaków, drugi charakterystyką nowego aparatu zasilającego.

Trzej pozostali, tworzący małą, zwartą grupkę, połączyli swe głosy w czymś, co można by nazwać jedynie peanem pochwalnym na cześć ptaków.

Gelsen zauważył, że wszyscy stoją prosto, sztywno, jakby byli zbawcami ludzkości. Czuli się nimi rzeczywiście. Nie wydało mu się to zabawne. Jeszcze parę dni temu sam się za takiego uważał. Za brzuchatego, z lekka łysiejącego świętego.

Westchnął i zapalił papierosa. Na początku był pełen entuzjazmu, tak jak i oni. Pamięta doskonale, jak powiedział do Macintyre'a, swojego głównego inżyniera: „Mac, nadchodzą nowe czasy. Ptaki to nasza odpowiedź". A Macintyre, również wyznawca idei ptaków, poważnie skinął głową.

Jakież cudowne wszystko się wtedy wydawało! Prosta, pewna odpowiedź na jeden z poważniejszych problemów ludzkości, zawarta w odrobinie nierdzewnego metalu, kryształu i plastyku.

I pewnie właśnie dlatego ogarnęły go teraz wątpliwości. Gelsen

podejrzewał, że rozwiązanie jednego z najpoważniejszych problemów ludzkości nie może być aż tak łatwe. To musi mieć jakiś słaby punkt.

Ostatecznie zbrodnia jest zbyt starym problemem, żeby tak świeży wynalazek jak ptaki mógł stanowić jego rozwiązanie.

— Panowie — wszyscy rozmawiali w takim podnieceniu, że nikt nie zauważył wejścia pełnomocnika rządu. Nagłe zrobiło się cicho jak makiem zasiał. — Panowie — powtórzył tłusty przedstawiciel rządu — prezydent w porozumieniu z kongresem postanowił powołać we wszystkich mniejszych i większych ośrodkach miejskich specjalne placówki do spraw ptaków-czujników.

Na sali zapanowało ożywienie. Mimo wszystko jednak będą mieli szansę ocalić ludzkość, pomyślał Gelsen, i z niepokojem zadał sobie pytanie, co w tym może być niewłaściwego.

Uważnie słuchał, jak przedstawiciel rządu referował plany dystrybucji. Otóż kraj miał zostać podzielony na siedem okręgów, z których każdy miał być zaopatrywany przez jednego producenta. Oznaczało to oczywiście monopol, ale nie było innego wyjścia. Podobnie jak w przypadku łączności telefonicznej, jest to sprawa ogólnego dobra, a tym samym nie może być mowy o żadnej konkurencji. Ptaki-czujniki miały służyć wszystkim jednakowo.

— Prezydent ma nadzieję — ciągnął przedstawiciel rządu — że organizacja służby ptasiej zostanie zakończona w możliwie najkrótszym terminie. Będziecie mieli pierwszeństwo w uzyskiwaniu takich surowców, jak metale strategiczne, nie mówiąc o sile roboczej i tym podobnych.

— Jeśli o mnie chodzi — powiedział prezes Zjednoczenia Południowego — pierwszą partię ptaków mogę dostarczyć w ciągu tygodnia. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Reszta obecnych zajęła podobne stanowisko. Fabryki już od miesięcy były gotowe do rozpoczęcia produkcji. Ostatecznie przyjęto znormalizowane urządzenia i tylko czekano na zezwolenie czynników oficjalnych.

— Świetnie — rzekł przedstawiciel rządu. — Jeśli to wszystko, to myślę, że możemy… czy są jakieś pytania?

— Tak — odparł Gelsen. — Chciałbym wiedzieć, czy do produkcji zatwierdzony jest obecny model.

— Oczywiście — odrzekł pełnomocnik rządu. — Jest najdoskonalszy.

— Mam pewne zastrzeżenia — oświadczył Gelsen wstając. Koledzy zmierzyli go lodowatym wzrokiem. Ten człowiek opóźnia nadejście złotej ery.

— Jakiej natury? — zapytał pełnomocnik.

— Przede wszystkim chciałbym się zastrzec, że w pełni popieram

wprowadzenie urządzeń mechanicznych służących zapobieganiu zbrodni. Od wieków istnieje ogromna tego potrzeba. Kwestionuję jedynie układy uczenia. Ożywiają one niejako maszynę, wyposażając ją w rodzaj świadomości. Nie mogę tego aprobować.

— Ależ sam pan przecież dowodził, że ptaki nie będą w pełni doskonałe, jeżeli nie wmontuje im się takich obwodów. Bez tego zdołają udaremnić zaledwie jakieś siedemdziesiąt procent morderstw.

— Wiem o tym — odrzekł Gelsen trochę niepewnie. Wydaje mi się jednak, że umożliwienie maszynie podejmowania decyzji, do których ma prawo jedynie człowiek, kryje w sobie niebezpieczeństwo natury moralnej — uparcie obstawał przy swoim.

— Daj spokój, Gelsen! — wykrzyknął jeden z kolegów. To nie ma z tym nic wspólnego. Będzie to jedynie potwierdzenie decyzji wszystkich uczciwych ludzi od początku świata.

— Całkowicie się z tym zgadzam — oświadczył pełnomocnik rządu. — Ale rozumiem jednocześnie zastrzeżenia pana Gelsena. To rzeczywiście smutne, że rozwiązywanie naszych, ludzkich problemów musimy powierzać maszynom, a jeszcze smutniejsze, że maszyny muszą egzekwować nasze prawa. Ale pan będzie uprzejmy nie zapominać, panie Gelsen, że praktycznie nie istnieje inny sposób zapobieżenia zbrodni, zanim do niej dojdzie. Byłoby to nieuczciwe w stosunku do wszystkich tych, którzy ciągle giną niewinnie, gdybyśmy z pobudek czysto filozoficznych ograniczali możliwości ptaków-czujników. Czy nie zgadza się pan ze mną?

— No, owszem — odrzekł bez przekonania Gelsen. Tłumaczył to sobie tysiące razy, ale ciągłe jeszcze coś go niepokoiło. Będzie musiał pogadać z Macintyre'em.

Pod koniec konferencji uderzyła go pewna myśl. Gelsen uśmiechnął się. Wielu policjantów zostanie bez pracy.

— No i co ty na to? — zapytał funkcjonariusz policji Celtrics. — Piętnaście lat człowiek harował w Wydziale Zabójstw po to, żeby go w końcu wygryzła jakaś tam maszyna. — Przejechał dużą, czerwoną dłonią po czole i pochylił się nad biurkiem kapitana. — I proszę: czy nauka nie jest wspaniała?

Dwóch innych policjantów, też byłych pracowników Wydziału Zabójstw, ponuro pokiwało głowami.

— Nie martw się — rzekł kapitan. — Urządzimy cię w Kradzieżach. Zobaczysz, na pewno ci się spodoba.

— Nie mogę się z tym pogodzić — narzekał Celtrics — żeby jakiś cholerny kawałek blachy i szkła rozwiązywał za człowieka sprawy morderstw.

— Niezupełnie — odparł kapitan. — Zadaniem ptaków-czujników jest zapobieganie zbrodni, zanim do niej dojdzie.

— Wobec tego trudno tu mówić o zbrodni — odparł jeden z policjantów. — Chodzi mi o to, że przecież nie można powiesić człowieka za morderstwo, dopóki go nie popełni, prawda?

— A tym samym nie można go aresztować — dodał Celtrics.

— Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzą — przyznał kapitan.

Zapadła cisza. Kapitan ziewnął i spojrzał na zegarek.

— Jednego nie rozumiem — powiedział Celtrics — jak oni to robią? Od czego się to wszystko zaczęło, kapitanie?

Kapitan pilnie studiował twarz Celtricsa, usiłując doszukać się w niej śladów ironii — ostatecznie od miesięcy ptaki-czujniki nie schodziły z łamów gazet. Uświadomił sobie jednak, że Celtrics, podobnie jak jego kumple, rzadko kiedy czyta cokolwiek poza wiadomościami ze sportu.

— No więc — zaczął usiłując przypomnieć sobie, czego się dowiedział z niedzielnych dodatków — ci uczeni zajmowali się kryminologią. Przeprowadzali badania nad mordercami, żeby się przekonać, na jakiej zasadzie oni działają. Stwierdzili, że ich mózg wysyła zupełnie inny rodzaj fal niż mózg zwykłego człowieka. I ich gruczoły też funkcjonują inaczej. A to wszystko można zaobserwować w chwili, kiedy właśnie mają popełnić zbrodnię. No i ci uczeni wynaleźli takie urządzenie — coś w rodzaju czerwonego sygnału, który się zapala, w momencie kiedy powstają te fale.

— Uczeni — powtórzył z goryczą Celtrics.

— Ale właściwie to nie wiedzieli, co z tym urządzeniem zrobić. Było za duże i niewygodne w eksploatacji. Zbudowali więc na podobnej zasadzie mniejsze jednostki i rozesłali je do kilku komisariatów. Zdaje się, że nawet jeden taki aparat był w naszym stanie. Ale nie zdało to egzaminu. Nie można było zdążyć na czas, żeby zapobiec zbrodni. Dlatego skonstruowali ptaki-czujniki.

— Nie wierzę, żeby one skutecznie działały — upierał się jeden z policjantów.

— Owszem, działają. Czytałem o wynikach próbnych akcji. Te ptaki potrafią wyniuchać zbrodniarza, zanim zamorduje. A wtedy wywołują u niego coś w rodzaju potężnego szoku i to wystarcza, żeby faceta zniechęcić.

— Kapitanie, likwiduje pan Wydział Zabójstw? — zapytał Celtrics.

— Nie — odparł kapitan. — Zostawię załogę kadrową, zobaczymy, jak się te ptaki będą spisywać.

— Też! — parsknął Celtrics. — Załogę kadrową. To śmieszne!

— Możliwe. Ale mimo to zostawię kilku ludzi. Wydaje mi się, że ptaki nie dadzą sobie z tym wszystkim rady.

— Dlaczego?

— Niektórzy mordercy nie wysyłają tych fal — odrzekł kapitan

usiłując sobie przypomnieć dalsze szczegóły przeczytanego artykułu. — A może ich gruczoły nie działają czy coś w tym rodzaju?

— A którzy to są? — zapytał Celtrics z zawodową ciekawością.

— Dokładnie nie wiem. Ale słyszałem, że powymyślali jakieś cholerne urządzenia, więc pewnie niedługo ze wszystkimi sobie te ptaki poradzą.

— W jaki sposób?

— Uczą się. To znaczy ptaki. Tak jak ludzie.

— Bujasz.

— Nic podobnego.

— Już ja tam lepiej na wszelki wypadek naoliwię moją spluwę. Człowiek nie może ufać tym uczonym.

— Masz rację.

— Jakieś ptaki sobie wymyślili! — parsknął pogardliwie Celtrics.

Ponad miastem szybował leniwie ptak-czujnik. Jego aluminiowa pokrywa lśniła w porannym słońcu, a na rozpostartych skrzydłach tańczyły plamy światła. Ptak leciał bezszelestnie, ale wyczulony był na każdy bodziec. Układ orientacji przestrzennej informował go, gdzie się znajduje, i utrzymywał krzywą lotu. Oczy i uszy, stanowiące jeden zespół, nie przestawały szukać, wypatrywać.

I nagle — błyskawiczny elektroniczny refleks: ptak zaczął reagować na jakiś bodziec. Ośrodek koordynacji sprawdził wrażenie, porównując je z elektrycznymi i chemicznymi danymi zawartymi w pamięci. Przekaźnik włączył się samoczynnie.

Pod wpływem coraz silniejszych bodźców ptak spiralnym lotem opadał w dół. Czuł wydzielinę pewnych gruczołów; smakował osobliwą falę wysłaną przez czyjś mózg.

Gotowy do ataku spikował w porannym jasnym słońcu.

Dinelli był w takim napięciu, że nie zauważył zbliżającego się ptaka. Z wycelowanym pistoletem wpatrywał się w potężną postać właściciela sklepu.

— Nie zbliżaj się!

— Chcesz mnie zabić, nędzny łobuzie?! — powiedział kupiec i postąpił krok naprzód. — Uważaj, bo ci gnaty poprzetrącam, ty pokurczu jeden! — Zbyt głupi czy też zbyt odważny, żeby docenić groźbę wycelowanej w siebie broni, ruszył na małego opryszka.

— Dobra, już dobra — rzekł Dinelli w stanie kompletnej paniki. — Zjeżdżaj…

Potężne wyładowanie elektryczne przewróciło go na plecy. Pistolet wystrzelił, niszcząc wystawę pełną produktów spożywczych.

— Co to ma znaczyć, u diabła? — powiedział właściciel sklepu patrząc na ogłuszonego złodzieja. W tym momencie dostrzegł błysk

skrzydeł. — A niech to wszyscy diabli, te ptaki rzeczywiście działają!

Patrzył tak długo, aż srebrzyste skrzydła znikły mu z oczu, po czym zadzwonił na policję.

Ptak powrócił do swego punktu obserwacyjnego ponad miastem. Jego ośrodek koordynacji zarejestrował nowe informacje dotyczące morderstwa. Z wieloma faktami zetknął się po raz pierwszy.

Nowe dane zostały przekazane jednocześnie wszystkim pozostałym ptakom, które z kolei nadesłały swoje spostrzeżenia. Między ptakami nie ustawała wzajemna wymiana informacji, metod i definicji.

Teraz, kiedy ptaki-czujniki płynęły z taśmy montażowej nieprzerwanym strumieniem, Gelsen pozwolił sobie na małe odprężenie. Jego zakłady zawsze na czas wywiązywały się z zamówień, na pierwszym miejscu uwzględniając potrzeby dużych ośrodków miejskich w jego okręgu.

— Wszystko idzie gładko, szefie — powiedział inżynier Macintyre wchodząc po zakończeniu swojego normalnego obchodu.

— Pierwszorzędnie. Siadaj.

Ogromny mężczyzna usiadł i zapalił papierosa.

— Już kawał czasu, jakeśmy zaczęli produkcję, co? — odezwał się Gelsen, któremu nic lepszego nie przyszło do głowy.

— Aha — zgodził się Macintyre. Oparł się wygodnie, głęboko zaciągając się papierosem. Był jednym z konsultantów przy opracowywaniu prototypu ptaka. Od tamtej pory upłynęło sześć lat. Cały czas pracował u Gelsena i mężczyźni zaprzyjaźnili się serdecznie.

— Chciałem cię zapytać o jedną rzecz — Gelsen zawiesił głos. Nie wiedział, jak to sformułować. Zapytał więc po prostu: — Co ty myślisz o ptakach, Mac?

— Kto? Ja? — inżynier uśmiechnął się nerwowo. Od momentu, kiedy zrodziła się koncepcja ptaka-czujnika, nie potrafił jeść, pić ani spać, żeby o tym nie myśleć. Jaki więc mógł mieć do tej sprawy stosunek! — To przecież wspaniała rzecz!

— Nie o to mi chodzi — odparł Gelsen. Chodziło mu właściwie o to, żeby ktoś wreszcie zrozumiał jego punkt widzenia. — Czy nie uważasz, że myśląca maszyna może kryć w sobie niebezpieczeństwo?

— Nie sądzę, szefie. A dlaczego pytasz?

— Słuchaj, Mac, nie jestem ani uczonym, ani inżynierem. Ja po prostu finansuję tę całą imprezę, a reszta to już wasza sprawa. Ale jako laika ptaki zaczynają mnie przerażać.

— Nie widzę żadnych powodów.

— Nie podobają mi się te układy uczenia.

— Dlaczego? — Macintyre znów się uśmiechnął. — Wiem, nie ty jeden się boisz. Obawiacie się, że pewnego pięknego poranka wasze maszyny ockną się i zapytają: „Właściwie co my tutaj robimy? To my

powinnyśmy rządzić światem". O to ci chodzi, co?

— Coś w tym rodzaju — przyznał Gelsen.

— Nie ma obawy — odparł Macintyre. — Rzeczywiście ptak-czujnik to skomplikowane urządzenie, ale na przykład taka maszyna licząca z MIT jest o całe niebo bardziej skomplikowana. A poza tym ptaki nie mają świadomości.

— Nie. Ale mogą się uczyć.

— Owszem, w tym samym stopniu co wszystkie maszyny liczące nowego typu. Boisz się, że się sprzymierzą z ptakami?

Gelsen był zły na Macintyre'a, ale jeszcze bardziej był zły na siebie, że się ośmiesza.

— Kiedy naprawdę ptaki mogą wykorzystać swoją zdolność uczenia się. Przecież nikt ich nie kontroluje.

— Właśnie o to chodzi — rzekł Macintyre.

— Myślałem o tym, żeby się wycofać z całego tego interesu — Gelsen dopiero teraz tak na dobre zdał sobie z tego sprawę.

— Szefie, może posłuchasz, co o tym sądzi twój inżynier.

— Jasne, słucham.

— Ptaki-czujniki nie są bardziej niebezpieczne niż samochody, maszyny liczące IBM czy termometry. Nie mają więcej świadomości czy woli od tamtych urządzeń. Są tak skonstruowane, żeby reagowały na określone bodźce i pod ich wpływem wykonywały pewne operacje.

— A co z układami uczenia?

— One są niezbędne — mówił Macintyre cierpliwie, jakby tłumaczył dziesięcioletniemu dziecku. Celem ptaków-czujników jest udaremnianie wszelkich zbrodni, zgadzasz się ze mną? Ale tylko niektórzy mordercy wysyłają te bodźce. Żeby jednak móc zidentyfikować wszystkich, ptak musi poszukiwać nowych definicji zbrodni i porównywać je z wiadomościami, jakie uzyskał do tej pory.

— Uważam, że jest w tym coś nieludzkiego — rzekł Gelaen.

— I to jest właśnie najwspanialsze. Że ptaki nie podlegają uczuciom. Ich sposób myślenia jest nieantropomorficzny. Nie można ich ani przekupić, ani poddać działaniu narkotyków. Ani zastraszyć.

Na biurku Gelsena zabrzęczał radiotelefon. Gelsen zignorował go.

— Ja to wszystko wiem — rzekł — a mimo to czuję się czasem jak człowiek, który wynalazł dynamit. On też myślał, że dynamit będzie służył tylko do wysadzania w powietrze karpin.

— Ale przecież ty nie wynalazłeś ptaków.

— To nie szkodzi. Jako ich producent i tak czuję się za to wszystko moralnie odpowiedzialny.

Radiotelefon zabrzęczał ponownie i Gelsen poirytowany nacisnął guzik.

— Mam meldunki z pierwszego tygodnia działalności ptaków —

zakomunikowała sekretarka.

— Jak sprawa wygląda?

— Wspaniale.

— Chciałbym je mieć w ciągu piętnastu minut — Gelsen wyłączył radiotelefon i zwrócił się do Macintyre'a, który właśnie czyścił sobie paznokcie zapałką. — Czy nie uważasz, że świadczy to o pewnej aktualnej tendencji w myśli ludzkiej? Demon mechanizacji? Elektroniczny ojciec?

— Szefie — rzekł Macintyre — myślę, że powinieneś dokładniej przestudiować problem ptaków. Czy orientujesz się, co zostało wbudowane w ich obwody?

— Tylko z grubsza.

— Przede wszystkim cel: uniemożliwianie żywym organizmom popełniania morderstw. Po drugie: morderstwo zostało zdefiniowane jako akt gwałtu polegający na biciu, duszeniu, maltretowaniu, w każdym razie na przerwaniu funkcji życiowych jednego żywego organizmu przez drugi żywy organizm. Po trzecie: większość morderców można będzie wykryć dzięki specjalnym reakcjom chemicznym i elektrycznym zachodzącym w ich organizmach.

Macintyre przerwał, żeby zapalić następnego papierosa.

— Te czynniki warunkują normalne funkcje ptaka. Jeśli chodzi o układy uczenia, dochodzą dwa punkty dodatkowe. Po czwarte: istnieją żywe organizmy, które mogą popełniać morderstwa bez reakcji wspomnianych w punkcie trzecim. Po piąte: mogą być one wykryte dzięki danym zawartym w punkcie drugim.

— Rozumiem — rzekł Gelsen.

— Widzisz teraz, jakie to niezawodne urządzenie?

— Tak… chyba tak — Gelsen zawahał się przez chwilę. To by chyba było wszystko.

— W porządku — odparł inżynier i wyszedł.

Gelsen zadumał się. Przecież ptaki nie mogły zawieść.

— Proszę mi przysłać sprawozdanie — polecił przez radiotelefon.

Wysoko ponad oświetlonymi budynkami miasta szybował ptak-czujnik. Zrobiło się ciemno, ale w oddali widział jeszcze jednego i jeszcze jednego ptaka. Bo było to duże miasto. Aby zapobiec zbrodni…

Trzeba było na coraz więcej rzeczy zwracać uwagę. Coraz to nowe informacje krzyżowały się w powietrzu tworząc niewidzialną siatkę łączącą ptaki. Nowe dane, nowe sposoby wykrywania gwałtu i mordu.

Uwaga! Czujnik reaguje! Dwa ptaki dały nurka jednocześnie. Jeden pochwycił sygnał o ułamek sekundy wcześniej niż drugi, który wobec tego wzbił się z powrotem podejmując swój lot patrolowy.

Punkt czwarty: istnieją żywe organizmy, które mogą popełniać morderstwa bez reakcji wymienionych w punkcie trzecim.

Dzięki tej nowej informacji ptak poprzez ekstrapolację doszedł do wniosku, że ten osobnik zamierza popełnić morderstwo, mimo że nie towarzyszą temu charakterystyczne fluidy natury chemicznej i elektrycznej.

Ptak wyostrzonymi zmysłami obserwował podejrzanego osobnika. Wreszcie podjął decyzję i runął w dół.

Roger Greco stał oparty o mur budynku z rękami w kieszeniach. W lewej dłoni zaciskał chłodną kolbę swojej czterdziestki piątki. Czekał cierpliwie.

Nie myślał o niczym szczególnym; po prostu spokojnie, całkowicie odprężony, oparty o mur czekał na człowieka. Greco nie wiedział nawet, dlaczego ów człowiek miał zginąć. Zresztą wszystko mu było jedno. Ten brak zainteresowania stanowił jedną z jego dwóch głównych zalet. Drugą była znajomość fachu.

Jedna kula ulokowana zręcznie w głowie mężczyzny, którego nawet nie znał. Ani go to nie podniecało, ani nie mierziło. Praca jak każda inna. Zabiłeś człowieka. No to co?

Kiedy jego ofiara wyszła z budynku, Greco wyjął spluwę z kieszeni. Odbezpieczył ją i wycelował… w dalszym ciągu o niczym nie myśląc…

Nagle został zwalony z nóg.

Był pewien, że to kula. Pozbierał się jakoś, rozejrzał dokoła i kiedy ponownie usiłował wziąć swoją ofiarę na cel… znów został zwalony z nóg.

Tym razem mierzył z pozycji leżącej. Jako wytrawnemu fachowcowi nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby dać za wygraną.

Po następnym ciosie zrobiło mu się czarno przed oczami. Szok nie ustępował, obowiązkiem ptaka bowiem było chronić ofiarę gwałtu za wszelką cenę, bez wzg1ędu na mordercę.

Mężczyzna podszedł do swojego samochodu, nie zauważywszy nic szczególnego. Wszystko odbyło się w kompletnej ciszy.

Gelsen był zadowolony. Ptaki spisywały się bez zarzutu. Liczba zbrodni zmniejszyła się najpierw do połowy, a potem do jednej czwartej. Ciemne zaułki przestały ziać grozą. Ludzie przestali unikać o zmierzchu parków i skwerów.

Zdarzały się jeszcze oczywiście napady rabunkowe. Szerzyły się kradzieże kieszonkowe, defraudacje, fałszerstwa i setki innych przestępstw. Ale to już nie miało takiego znaczenia. Stracone pieniądze można odzyskać; życia — nie.

Gelsen już był właściwie skłonny przyznać, że nie miał racji w sprawie ptaków. Mimo wszystko spełniały zadanie, z którym człowiek nie potrafił sobie poradzić.

Pierwszy sygnał, że coś jest nie w porządku, odebrał dziś rano, kiedy do jego gabinetu wszedł Macintyre. Stanął w milczeniu przed biurkiem Gelsena, wyraźnie zaniepokojony i jak gdyby trochę zmieszany.

— Co się stało, Mac?

— Jeden z ptaków zaatakował pracownika rzeźni. Przewrócił go.

Gelsen zastanowił się. Tak, oczywiście, że ptaki muszą to robić. Za pomocą swoich nowych układów uczenia sklasyfikowały zabijanie zwierząt jako morderstwo.

— Powiedz właścicielom rzeźni, żeby zmechanizowali ubój. Zawsze mnie to napawało wstrętem.

— Dobra — Macintyre złożył usta w ciup, wzruszył ramionami i wyszedł z gabinetu.

Gelsen stał zamyślony koło swego biurka. Czy ptaki nie mogą odróżnić morderstwa od legalnie wykonywanego zawodu? Najwyraźniej nie. Dla nich morderstwo to morderstwo. Bez żadnych wyjątków. Zasępił się. Trzeba będzie im trochę skalibrować obwody.

Ale niewiele, zdecydował pospiesznie. Tak żeby tylko trochę lepiej potrafiły różnicować zjawiska. Usiadł i znów pogrążył się w papierach, usiłując nie dopuścić do głosu dawnego strachu.

Przywiązali skazańca do krzesła elektrycznego i przypięli mu elektrodę do nogi.

— Och! Och! — jęczał, niezupełnie świadom tego, co się z nim dzieje.

Na ogoloną głowę włożono mu hełm i dopięto ostatnie paski. Jego cichy jęk nie ustawał.

I wtedy wleciał ptak. Którędy się dostał — nikt nie wiedział. Więzienia są wielkie, masywne, z wieloma zaryglowanymi drzwiami, a jednak ptak dostał się jakoś do środka… żeby zapobiec zbrodni.

— Wyrzućcie go stąd! — krzyknął dozorca i sięgnął do wyłącznika. Ptak zwalił go z nóg.

— Co to ma znaczyć?! — wrzasnął strażnik i sam wyciągnął rękę. Ale w tej chwili runął na podłogę obok dozorcy.

— To nie morderstwo, idioto! — krzyknął drugi strażnik. Wyjął broń, żeby zestrzelić szybującego pod sufitem metalowego ptaka.

Wyczuwając to ptak cisnął nim o ścianę.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Po chwili skazaniec, w hełmie na głowie, zaczął chichotać. Ale zaraz przestał. Ptak polatując nad nim pilnował, żeby nie popełniono żadnej zbrodni.

Łączącą ptaki siatką popłynęły nowe informacje. Tysiące nie

kierowanych przez nikogo, niezależnych ptaków zarejestrowały je i zaczęły zgodnie z nimi działać.

Bicie, duszenie czy w jakikolwiek inny sposób przerwanie funkcji życiowych jednego żywego organizmu przez drugi żywy organizm. Nowe akty gwałtu wymagające interwencji.

— No, bujaj się! — wykrzyknął farmer Ollister i ponownie uniósł bat. Koń wierzgnął i wóz turkocząc i podskakując na wybojach żwawiej ruszył do przodu. — No, ruszaj się, ty chabeto cholerna! — wrzasnął farmer i znów uniósł bat.

Ale bat nie spadł. Czujny ptak, węsząc w tym akt gwałtu, zwalił chłopa z kozła.

Żywy organizm? Co to jest żywy organizm? W miarę poznawania nowych faktów ptaki rozszerzały swoje definicje, mając tym samym coraz więcej pracy.

Sylwetka jelenia rysowała się wyraźnie na tle lasu. Myśliwy uniósł strzelbę i starannie wycelował. Nie zdążył jednak pociągnąć za spust.

Wolną ręką Gelsen otarł spoconą twarz.

— W porządku — powiedział do telefonu. Wysłuchał spokojnie obelg płynących z drugiej strony przewodu, po czym lekko odłożył słuchawkę na widełki.

— Co tym razem? — zapytał Macintyre. Był nie ogolony, miał rozluźniony krawat i rozpiętą koszulę.

— Następny rybak — odparł Gelsen. — Ptaki nie dają mu łowić, mimo że jego rodzina przymiera głodem. Pyta, co zamierzamy w tej sprawie zrobić.

— Ile już jest zażaleń?

— Nie mam pojęcia. Nie otwierałem jeszcze poczty.

— Wydaje mi się, że wiem, na czym kłopot polega — rzekł ponuro Macintyre, z miną człowieka, który poniewczasie wie, jak doszło do tego, że wysadził ziemię w powietrze.

— Ciekaw jestem.

— Wszyscy założyli z góry, że my chcemy zapobiec wszelkim morderstwom. A myśmy sobie wyobrażali, że ptaki będą myślały tak samo jak my. Powinniśmy jaśniej sprecyzować warunki.

— Ale wiesz co — powiedział Gelsen — zanim je sprecyzujemy, musimy wiedzieć dokładnie, co to są morderstwa i dlaczego się zdarzają. A z kolei gdybyśmy to wiedzieli, ptaki nie byłyby nam potrzebne.

— Nie jestem tego pewny. Po prostu trzeba im powiedzieć, że niektóre sytuacje noszące pozory morderstwa nie są morderstwami.

— Ale dlaczego one przeszkadzają rybakom? — zapytał Gelsen.

— A dlaczego miałyby nie przeszkadzać? Ryby i zwierzęta są żywymi organizmami. To po prostu tylko my uważamy, że zabijanie ich nie jest mordowaniem.

Zadzwonił telefon. Gelsen spojrzał na niego z wściekłością i nacisnął guzik radiotelefonu.

— Prosiłem przecież, żeby nie łączyć telefon6w. Żadnych.

— To Waszyngton — odparła sekretarka. — Myślałam, że…

— Przepraszam. — Gelsen podniósł słuchawkę. — Tak, oczywiście, że kłopot. Tak? W porządku, zastosuję się odłożył słuchawkę.

— Krótko węzłowato — oznajmił Macintyre'owi. — Mamy chwilowo wycofać ptaki.

— To nie będzie takie proste — odparł Macintyre. Wiesz przecież, że one właściwie nie podlegają żadnej kontroli. Raz na tydzień zgłaszają się tylko na przegląd techniczny. Będziemy je musieli jeden po drugim po prostu wyłączać.

— Trudno, musimy się za to wziąć. Firma Monroe z wybrzeża wyłączyła już blisko czwartą część swoich ptaków.

— Trzeba im będzie wmontować obwody ograniczające.

— Pięknie — odrzekł Gelsen z goryczą. — Nie posiadam się wprost ze szczęścia.

Ptaki uczyły się błyskawicznie, w zawrotnym tempie rozszerzając zasięg swego działania i powiększając wiedzę. Stale uogólniały luźno sformułowane pojęcia, sprawdzały je w praktyce i ponownie uogólniały.

Żeby zapobiec zbrodni…

Metal i elektrony rozumują dobrze, ale nie na ludzką modłę.

Żywy organizm? Każdy żywy organizm.

Ptaki wzięły na siebie obowiązek chronienia wszystkiego, co żyło.

Mucha bzycząc latała po pokoju. Przysiadła na chwilę na stole, po czym zerwała się i poleciała w stronę parapetu. Ze zwiniętą w rulon gazetą w ręku skradał się do niej starszy mężczyzna.

Morderca!

W mgnieniu oka ptaki zniżyły lot i… uratowały muchę. Starszy człowiek wił się przez chwilę na podłodze, po czym znieruchomiał. Doznał lekkiego szoku, który okazał się jednak śmiertelny dla starczego roztrzepotanego serca. Ale przedmiot ataku został uratowany, i to było najważniejsze. Ocalić ofiarę, a agresorowi dać nauczkę.

Gelsen zapytał poirytowany:

— Dlaczegoście ich nie powyłączali?

Zastępca szefa do spraw kontroli technicznej wskazał ręką. Na

podłodze w rogu warsztatów remontowych leżał szef. Właśnie odzyskiwał przytomność.

— Próbował wyłączyć jednego z nich — wyjaśnił zastępca. Miał splecione dłonie i wyraźnie usiłował opanować ich drżenie.

— To śmieszne! Przecież one są zupełnie pozbawione instynktu samozachowawczego.

— Tak? To sam spróbuj coś z nimi zrobić. Poza tym myślę, że one przestaną się zgłaszać.

Jakim cudem? Jak mogło do tego dojść? — Gelsen zaczął rozważać problem. Ptaki w dalszym ciągu nie potrafiły dokładnie sprecyzować, czym jest właściwie żywy organizm. Kiedy pierwsza partia została wyłączona w zakładach Monroego, reszta zdążyła już pewnie przetworzyć nowe dane.

Musiały przyjąć, że same są żywymi organizmami. Nikt im nigdy nie powiedział, że nie są. I nie ulega wątpliwości, że wykonują większość funkcji właściwych żywym organizmom.

Powróciły dawne obawy. Gelsen roztrzęsiony wybiegł z warsztatów remontowych. Chciał jak najprędzej porozumieć się z Macintyre'ern.

Pielęgniarka podała chirurgowi gąbkę.

— Skalpel.

Podała mu skalpel. Chirurg zrobił pierwsze nacięcie. I nagle poczuł, że mu coś przeszkadza.

— Kto go tutaj wpuścił'?

— Nie mam pojęcia — odparła pielęgniarka głosem stłumionym przez maskę.

— Proszę go w tej chwili usunąć!

Pielęgniarka zaczęła machać rękami w kierunku błyszczącego skrzydlatego intruza, który jednak dalej spokojnie unosił się nad jej głową.

Chirurg usiłował operować, ale ptak czuwał nie dopuszczając go do pacjenta..

— Proszę zadzwonić do przedsiębiorstwa produkującego ptaki — rozkazał chirurg. — Niech przyjadą go wyłączyć. Ptak stał na straży bezpieczeństwa żywego organizmu.

Chirurg stał i patrzył bezradnie, jak jego pacjent umiera.

Polatując wysoko ponad siecią autostrad, ptak obserwował i czekał. Pracował już kilka tygodni bez odpoczynku i bez naprawy. Odpoczynek czy naprawa nie wchodziły w grę, ptak bowiem — jako żywy organizm — nie mógł dopuścić do tego, by go zamordowano. A powrót do fabryki równałby się dla niego śmierci.

W obwody ptaków wbudowano nakaz, by po upływie pewnego

czasu wracały, ale znacznie silniejszym nakazem, którego musiały przestrzegać bezwzględnie, był nakaz ochrony życia, łącznie z własnym.

Definicje morderstwa uległy teraz takim uogólnieniom i tak zostały rozszerzone, że ptaki nie były w stanie podołać stojącym przed nimi zadaniom. Ale nie zastanawiały się nad tym. Ślepo odpowiadały na bodźce, obojętne, z jakiego pochodziły one źródła.

W rejestrach pamięci ptaka pojawiła się nowa definicja żywego organizmu. Wynikała ona z odkrycia, że ptaki-czujniki też są żywymi organizmami. A to z kolei prowadziło do dalszych uogólnień.

Uwaga. Po raz setny tego dnia ptak spiralnym lotem zniżył się, przechylił i opadł łagodnie — żeby zapobiec zbrodni.

Jackson ziewnął i zatrzymał samochód na poboczu. Nie zauważył migotliwego punktu na niebie. A zresztą nie było żadnego powodu, żeby miał się tym interesować. Jackson nie zamierzał popełnić morderstwa w żadnym ludzkim sensie tego słowa. To dobre miejsce na krótką drzemkę, pomyślał. Jechał siedem godzin bez przerwy i zaczynało mu się już wszystko mącić przed oczami. Sięgnął ręką do kluczyka, żeby wyłączyć silnik, i… rzuciło nim o oparcie siedzenia.

— Co do diabła?! — powiedział ze złością. — Ja przecież chciałem tylko… — Ponownie sięgnął do kluczyka i znów nim rzuciło.

Jackson nie był taki głupi, żeby próbować po raz trzeci. Słuchał radia i wiedział, co go czeka, jak będzie uparty.

— Ty durniu mechaniczny — warknął. — Przecież samochód nie jest żywą istotą. I nie zamierzam go zabić.

Ale ptak wiedział tylko jedno: że na skutek pewnej czynności ustanie działanie jakiegoś organizmu. A samochód był niewątpliwie organizmem. Czyż nie był zbudowany z metalu, tak jak ptaki? I czy nie poruszał się?

Macintyre powiedział:

— One się same zużyją bez konserwacji — odsunął piętrzącą się przed nim dokumentację techniczną.

— Ale kiedy? — zapytał Gelsen.

— Pół roku — rok. No, na wszelki wypadek przyjmijmy, że w ciągu roku.

— Hm, w ciągu roku — powtórzył Gelsen. — A tymczasem ptaki powykańczają wszystkich dokoła. Słyszałeś, co się ostatnio stało?

— Co takiego?

— Ptaki zdecydowały, że Ziemia jest żywym organizmem. Nie pozwalają farmerom orać. No i oczywiście żywymi organizmami są wszelkie stworzenia: króliki, żuki, muchy, wilki, moskity, lwy, krokodyle, wrony i mniejsze formy żywe, jak na przykład bakterie.

— Wiem — rzekł Macintyre.

— I ty mi mówisz, że one się wyczerpią w ciągu sześciu miesięcy czy roku. A co teraz? Co będziemy jedli przez te sześć miesięcy?

Inżynier podrapał się w głowę.

— Musimy coś zrobić jak najszybciej. Całą równowagę ekologiczną diabli biorą.

— „Jak najszybciej" to nie jest odpowiednie słowo. „Natychmiast" byłoby stosowniejsze. — Gelsen zapalił trzydziestego piątego papierosa tego dnia. — Przynajmniej mam tę wątpliwą satysfakcję, że mogę ci teraz powiedzieć: „a nie mówiłem"? Chociaż oczywiście ponoszę za to wszystko nie mniejszą odpowiedzialność niż reszta uprawiających kult mechanizacji idiotów.

Macintyre słuchał go zamyślony.

— Zupełnie jak plaga królików w Australii.

— Przeciętna zgonów wzrasta — rzekł Gelsen. — Głód. Powodzie. Nie można wycinać drzew. Lekarze nie mogą… zaraz… co takiego mówiłeś o Australii?

— Króliki — powtórzył Macintyre. — W tej chwili nie został już chyba w Australii ani jeden królik.

— Dlaczego? Jak to zrobili?

— Wynaleźli jakiś zarazek, który atakował tylko króliki. Zdaje się, że jego nosicielami były moskity…

— Spróbuj czegoś takiego — rzekł Gelsen. — Może wam coś przyjdzie do głowy. Dzwoń zaraz i zwołaj ekstranaradę z inżynierami z innych fabryk. Ale prędko. Razem może coś wymyślicie.

— W porządku — powiedział Macintyre. Zgarnął czyste kartki i pospieszył do telefonu.

— A nie mówiłem? — powiedział Celtrics. Uśmiechnął się do kapitana. — Nie mówiłem, że uczeni to kupa idiotów?

— Ale ja wcale nie przeczyłem, o ile dobrze pamiętam.

— Nie, ale nie byłeś pewny.

— Teraz już jestem. A ty już lepiej idź. Czeka na ciebie masę roboty.

— Wiem. — Celtrics wyjął z pochwy rewolwer, sprawdził go i schował z powrotem. — Czy wszyscy chłopcy już wrócili, kapitanie?

— Wszyscy? — kapitan roześmiał się ponuro. — Musieliśmy powiększyć Wydział Zabójstw o pięćdziesiąt procent. Nigdy nie było tyle morderstw co teraz.

— Jasne — rzekł Celtrics. — Ptaki mają za dużo roboty z pilnowaniem samochodów i pająków. — Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, by rzucić jeszcze na koniec: — Wierz mi, maszyny są głupie.

Kapitan skinął głową.

Tysiące ptaków-czujników usiłujących udaremnić miliony zbrodni — beznadziejna sprawa. Ale ptaki nie wiedziały, co to nadzieja. Nie mając świadomości nie doświadczały ani satysfakcji związanej z sukcesem, ani uczucia porażki. Cierpliwie wykonywały swoje zadania, reagując na każdy bodziec.

Nie mogły być jednocześnie wszędzie, ale to wcale nie było potrzebne. Ludzie szybko zrozumieli, na co ptaki reagują, i zaczęli tego unikać. W imię własnego bezpieczeństwa. Mając możność rozwijania ogromnej szybkości i niezwykłą sprawność zmysłów, ptaki błyskawicznie przenosiły się z miejsca na miejsce.

Nie było z nimi żartów. Jeżeli wszelkie inne środki zawiodą, należy zabić mordercę — tak zostały zaprogramowane.

Dlaczego miałyby go oszczędzać?

Ale każdy kij ma dwa końce. Ptaki odnotowały fakt, że w związku z ich działalnością zbrodnie i wszelkie akty gwałtu zaczęły wzrastać w postępie geometrycznym. I nic dziwnego: ich nowe definicje rozszerzały coraz bardziej pojęcie morderstwa. Ale dla ptaków oznaczało to jedynie, że ich pierwotne metody były niewłaściwe. Bardzo prosta logika: Jeżeli A się nie nadaje, należy spróbować B. Ptaki zaczęły zabijać.

Rzeźnie w Chicago stanęły, a bydło zdychało z głodu w swoich zagrodach, ponieważ farmerzy nie mogli ani kosić siana, ani zbierać zboża.

Nikt bowiem nie powiedział ptakom, że równowaga w życiu zależała zawsze od starannie wyważonej liczby zabójstw. Problem śmierci głodowej nie istniał dla ptaków, ich sprawą była śmierć zadana gwałtem.

Myśliwi siedzieli w domach, patrząc ze złością na srebrzyste punkty na niebie i marząc o tym, by móc je zestrzelić. Ale na ogół nie próbowali. Ptaki bardzo szybko wyczuwały takie intencje i odpowiednio reagowały.

Kutry rybackie stały bezczynnie na cumach w San Pedro i Gloucester. Ryby były żywymi organizmami. Farmerzy klęli i złorzeczyli, a w końcu ginęli bezskutecznie usiłując zebrać plony. Zboże żyło, a tym samym zasługiwało na ochronę. Kartofle były dla ptaków nie mniej ważne niż jakikolwiek inny żywy organizm. Śmierć źdźbła trawy równała się zamordowaniu prezydenta… dla ptaków.

No i oczywiście pewne urządzenia mechaniczne też były żywymi istotami. Wynikało to z faktu, że ptaki będąc maszynami — żyły.

Niech cię Bóg broni, żebyś maltretował na przykład radio. Wyłączenie odbiornika jest równoznaczne z zabójstwem. Nic dziwnego: głos cichnie, lampy gasną — radio stygnie.

Ale ptaki, jak mogły, wywiązywały się i z innych obowiązków.

Wilk padał martwy atakując królika. Królik zdychał chrupiąc zieleninę. Pnącza ulegały spopieleniu, nim zdążyły opleść drzewo. Motyl ginął przysiadłszy na róży.

Oczywiście interwencja ptaków miała charakter wyrywkowy — było ich za mało. Nawet miliard ptaków nie był w stanie zrealizować tak ambitnego i kosztownego przedsięwzięcia. Efekt był taki, że dziesięć tysięcy bezsensownych, obdarzonych morderczą siłą piorunów szalało w całym kraju uderzając po tysiąc razy dziennie. Piorunów, które potrafiły uprzedzić każdy twój ruch i zniszczyć za same intencje.

— Panowie — żebrał pełnomocnik rządu — błagam was, pospieszcie się.

Siedmiu producentów ptaków ucichło.

— Zanim formalnie rozpoczniemy tę naradę — powiedział prezes firmy Monroe — chciałbym coś powiedzieć: my nie czujemy się odpowiedzialni za ten przykry stan rzeczy. To rząd wystąpił z tym programem. I dlatego rząd musi ponieść za to odpowiedzialność zarówno moralną, jak i finansową.

Gelsen wzruszył ramionami. Trudno wprost było uwierzyć, że ci ludzie jeszcze parę tygodni temu oczekiwali laurów jako wybawiciele świata. Teraz, kiedy ponieśli fiasko, chcieli jak najprędzej zrzucić z siebie odpowiedzialność.

— Nie czas dzisiaj zajmować się tą sprawą — odparł stanowczo pełnomocnik rządu. — Musimy się przede wszystkim pospieszyć. Wy, inżynierowie, wykonaliście wspaniałą robotę. Jestem z was dumny; zdaliście egzamin w tej trudnej sytuacji. Możecie przystąpić do realizowania przyjętego planu.

— Chwileczkę — odezwał się Gelsen.

— Nie mamy ani chwili do stracenia.

— Ale ten plan jest niedobry.

— Pan się obawia, że może się okazać nieskuteczny?

— Nie. Obawiam się, że kuracja będzie znacznie szkodliwsza niż sama choroba.

Obecni popatrzyli na Gelsena, jakby go chcieli udusić. Ale Gelsem nie tracił czasu.

— Czy nie wystarczy wam ta nauczka, którą dostaliśmy? — zapytał. — Nie rozumiecie, że rozwiązanie ludzkich problemów leży nie w mechanizacji?

— Panie Gelsen — rzekł prezes firmy Monroe — pańskie filozofowanie jest może bardzo interesujące, ale niestety tymczasem giną ludzie. Plony niszczeją. W niektórych okolicach kraju panuje już głód. Ptaki należy zlikwidować natychmiast.

— Zbrodnię też. O ile dobrze pamiętam, wszyscy się co do tego

zgodziliśmy. Ale nie w ten sposób

— Co pan proponuje wobec tego? — zapytał pełnomocnik rządu.

Gelsen zaczerpnął tchu. To, co miał zamiar powiedzieć, wymagało maksymalnej odwagi.

— Niech się ptaki same wyczerpią — zaproponował. Wrzawa, jaka wybuchła w tej chwili, przypominała rozruchy uliczne. Uspokoił ją dopiero przedstawiciel rządu.

— Wyciągnijmy z tej lekcji jakieś wnioski — nie ustępował Gelsen. — Przyznajmy, że myliliśmy się próbując rozwiązywać ludzkie problemy za pomocą środków mechanicznych. Zacznijmy od nowa. Używajmy maszyn, owszem, ale nie jako sędziów, nauczycieli, ojców.

— To śmieszne — rzekł przedstawiciel rządu. — Pan jest przemęczony. Niech pan uważa na słowa. — Odchrząknął. Panowie są proszeni o przystąpienie do realizacji planu, który przedłożyliście prezydentowi. — Spojrzał ostro na Gelsena. — Niezastosowanie się do tego polecenia będzie potraktowane jako zdrada stanu.

— Zrobię, co będzie w mojej mocy — odparł Gelsen.

— W porządku. W ciągu tygodnia postanowienia przyjęte na tej naradzie muszą zostać wykonane.

Gelsen sam wyszedł z sali. Znów był w rozterce. Ma rację czy tylko sobie coś ubzdurał? Trzeba przyznać, że nie wytłumaczył zbyt jasno, o co mu chodzi.

I czy w ogóle wie, o co mu chodzi?

Zaklął pod nosem. Zastanawiał się, dlaczego nigdy niczego nie może być pewien. Czyż nie istnieją wartości, przy których rzeczywiście warto byłoby obstawać?

Pospiesznie udał się na lotnisko i wrócił do swoich zakładów.

Ptak właściwie nie działał już dobrze. Wiele spośród jego delikatnych części uległo zniszczeniu od stałego użycia. Ale dzielnie zareagował na bodziec.

Pająk atakował właśnie muchę. Ptak śmignął w dół.

W tej samej chwili wyczuł coś nad sobą i pospieszył na spotkanie intruza.

Rozległ się głośny trzask i koło skrzydła ptaka nastąpiło wyładowanie. Ptak z wściekłością wysłał falę porażającą. Napastnik doznał poważnego wstrząsu. Ponownie strzelił w ptaka ładunkiem elektrycznym, tym razem uszkadzając mu skrzydło. Ptak odleciał, ale wróg, nie przestając strzelać ładunkami elektrycznymi, pomknął za nim z niesłychaną szybkością.

Ptak runął na ziemię, ale zdążył jeszcze nadać: Uwaga! Żywym organizmom zagraża nowe niebezpieczeństwo, jak dotąd najgroźniejsze! Ptaki w całym kraju zarejestrowały tę wiadomość. Ich układy myślenia gorączkowo poszukiwały odpowiedzi.

— Szefie, dzisiaj zestrzeliły pięćdziesiąt — rzekł Macintyre wchodząc do gabinetu Gelsena.

— Wspaniale — odparł Gelsen nie patrząc w stronę inżyniera.

— Nie tak znowu wspaniale — Macintyre usiadł. Jestem wykończony. Wczoraj było siedemdziesiąt dwa!

— Wiem — na biurku Gelsena leżało kilkadziesiąt pozwów do sądu, które odsyłał z listami do kancelarii prezydenta.

— One znów odżyją — powiedział Macintyre konfidencjonalnie. — Jastrzębie zostały tak skonstruowane, by je strącać. Są silniejsze od ptaków, szybsze i lepiej uzbrojone. Prędkośmy się z nimi uwinęli, co?

— Jasne.

— Ale ptaki też są dobre — Macintyre musiał przyznać. Nauczyły się już ukrywać. I w ogóle próbują różnych sztuczek. Pamiętaj o tym, że każdy ptak, zanim spadnie, przekazuje innym jakąś wiadomość.

Gelsen nie odpowiedział.

— Ale wszystko to, co potrafią ptaki, jastrzębie potrafią jeszcze lepiej — powiedział Macintyre wesoło. — Jastrzębie mają układy uczenia specjalnie nastawione na polowanie. Są elastyczniejsze od ptaków. I szybciej się uczą.

Gelsen wstał ponuro, przeciągnął się i podszedł do okna. Niebo było czyste. Jego niepokoje już się skończyły. Dobrą czy złą — ale w każdym razie podjął jakąś decyzję.

— Powiedz mi — odezwał się do Macintyre'a — na co będą polowały jastrzębie, jak już postrącają wszystkie ptaki?

— Co? — zapytał Macintyre. — A dlaczego…

— Żeby mieć spokojną głowę, trzeba by na dobrą sprawę wynaleźć z kolei jakieś urządzenie do strącania jastrzębi. To znaczy na wszelki wypadek.

— Czy myślisz…

— Wiem tylko, że jastrzębie działają na zasadzie samokontroli, tak jak ptaki. Toczyły się długie spory na temat zdalnego sterowania. Uznano, że ten system byłby zbyt powolny. A ptaki z samego założenia miały być szybkie. Czyli tym samym bez układów ograniczających.

— Można by coś wykombinować… — rzekł Macintyre niepewnie.

— W tej chwili mamy w powietrzu maszyny agresywne. Mordercze. Przedtem mieliśmy maszyny antymordercze. Nasze następne urządzenie w jeszcze większym stopniu będzie musiało być samodzielne, prawda?

Macintyre nie odpowiedział.

— Wcale nie uważam, żebyś to ty był odpowiedzialny za to wszystko — rzekł Gelsen. — Odpowiedzialny jestem ja. My wszyscy.

Na niebie ukazała się szybko powiększająca się plamka.

— Takie są skutki — powiedział Gelsen — powierzania maszynom spraw, których rozwiązanie należało właściwie do nas.

Wysoko na niebie jastrząb krążył nad ptakiem. Wiele nauczyła się w ciągu paru dni ta śmiercionośna maszyna. Jedyną jej funkcją było zabijanie. Teraz cała jej działalność skierowana była przeciwko pewnemu określonemu typowi żywego organizmu, metalowego jak ona sama.

Ale jastrząb zdążył już odkryć, że istnieją również inne rodzaje żywych organizmów, które należy mordować.

Przekład: Zofia Uhrynowska

Janusz A. Zajdel
SAMI

Maudr milczał. Leżał i długimi, kościstymi palcami przeczesywał siwą brodę. Inni leżeli wokół niego, przymknąwszy oczy, wyciągnięci wygodnie i niedbale.

— Nie mogę pojąć — mówił Iti — dlaczego jakieś tradycyjne względy, jakieś przesądy i niczym nie uzasadnione wierzenia mają hamować swobodny rozwój badań zmierzających ku poznaniu Naszego Świata?!

— Na pytanie: czym jest Nasz Świat, odpowiedzieć jeszcze nie potrafię — odezwał się Eso. — Ale — tu przerwał i spojrzał z ukosa na Maudra — wydaje mi się, że wszystko, co wpojono nam od chwili, gdy powstała w nas Świadomość Istnienia, jest, mówiąc delikatnie, mocno naciągniętą legendą… Zastanówcie się chwilę, a przyznacie, że i wy nieraz musieliście mieć wiele wątpliwości w tym względzie… Każda myśląca Istota miewa wątpliwości tego czy innego rodzaju. A szczególnie gdy idzie o sprawy tak niezbadane i tajemnicze, jak Zagadka Bytu czy Sens Istnienia… Nieraz na pewno, patrząc przez Wielkie Oko Naszego Świata, niejeden z was pomyślał, że te miliony Drobnych Światełek, które otaczają was zewsząd — to takie same lub podobne Światy, jak ten, w którym żyjemy… To jest jedyna logiczna hipoteza: Nasz Świat jest jednym z tych światełek błądzących w obszarze wielkiej Pustki. Dlaczegóż by on tylko miał być wyróżniony wśród pozostałych? Dlaczego w Tamtych Światach nie miałyby istnieć Istoty nam podobne?

— Wiadomo jest przecież — przerwał mu niecierpliwie Oak — że Istoty Żywe bytować mogą jedynie w Naszym Świecie. Nikt nie potrafi istnieć poza nim!

— Czy ktokolwiek próbował stwierdzić to doświadczalnie?

— Doświadczalnie? Cóż to takiego? — wtrącił pogardliwie Yox. — To tylko bezkrytyczna wiara w prawdziwość świadectwa zmysłów! A któż mi zaręczy, że wszystko, co oglądam w Wielkim Oku, jest rzeczywistym odbiciem tego, co znajduje się poza Naszym Światem? Skąd mam mieć pewność, że w ogóle istnieje cokolwiek poza jego granicami? Dlaczego wreszcie mam być przekonany, że Nasz Świat w ogóle istnieje, że istniejecie wy wszyscy, że istnieje moje ciało? O tym wszystkim informują mnie moje zmysły, a im mam prawo nie dowierzać, bo są wielce niedoskonałe… Jedynie prawdziwy i ponad wszelką wątpliwość istniejący jest mój Rozum, moja Świadomość Istnienia… Reszta — może być i najprawdopodobniej jest

tylko wrażeniem powstającym w mojej świadomości!

— A co robisz, gdy jesteś głodny? — spytał podchwytliwie Oak.

— Gdy odnoszę wrażenie, że jestem głodny — ciągnął nie speszony Yox — podpełzam do wrażenia, zwanego Wielkim Regeneratorem, który daje mi wrażenie nasycenia. Ot i wszystko! Jak widzisz, nic nie przeczy mojemu poglądowi na Nasz Świat…

— A my wszyscy, podły egocentryku, jesteśmy jedynie twoim wrażeniem? Nie istniejemy obiektywnie, lecz tylko w twojej wyobraźni?

— Oczywiście! Choć czasem dziwię się, jak wrażenie takiego grubasa może się w mojej wyobraźni pomieścić! Na szczęście jest ona dostatecznie szeroka, czego o twojej powiedzieć nie sposób!

Oak usiłował przybliżyć się do Yoxa, aby pięścią udokumentować mu realność swego istnienia, lecz po kilku próbach uniesienia się zrezygnował z tego zamiaru. Odkąd bowiem brzuch zaczął zwisać niżej, niż sięgały kolana, pełzanie sprawiało mu niezwykłą trudność, nie mówiąc już o chodzeniu na czworakach. Poprzestał zatem na gniewnym pomruku i legł wygodnie na miękkim podłożu.

— Pomyślcie zresztą, jakiż byłby cel istnienia Naszego Świata, gdyby istniał on naprawdę — dorzucił jeszcze Yox.

— Czy dyskutujesz z nami, czy z samym sobą — zjadliwie zagadnął Oak. — bo jeśli z nami, to jesteś niekonsekwentny!

— Pytasz o cel istnienia Naszego Świata? — podjął Eso. — Należałoby spytać raczej o przyczyny, które sprawiły, że on istnieje! Wykazałem już Dość Dawno, że Nasz Świat powstał z zagęszczenia Wielkiej Pustki, jak zresztą i wszystkie Inne Światy! Najpierw powstały ściany Naszego Świata, potem wszystko, co w nim istnieje, a więc i Wielki Regenerator. Z tego ostatniego wreszcie wyszły Istoty… Odtąd zapanowała w Naszym Świecie ta wspaniała harmonia procesów, która tak dobitnie potwierdza słuszność moich wywodów: my, Istoty, istniejemy dzięki Regeneratorowi, z którego czerpiemy Substancje Odżywcze. Regenerator natomiast istnieje dzięki nam, gdyż pochłania wydzielane przez nas Substancje Odpadowe. W ten sposób zamyka się cykl procesów w Naszym Świecie. I to jest właśnie jedyny cel jego istnienia — ciągły ruch, obieg, zmiana — a jednocześnie trwanie, istnienie przez Czas Nieograniczenie Długi!

— Czy naprawdę wierzysz w to — wtrącił milczący dotąd Tako — że Nasz, tak wspaniale urządzony Świat, w którym wszystko tak doskonale dostosowane jest do potrzeb Istot w nim żyjących, powstał w procesie samorzutnego kształtowania z monotonnej Pustki Zewnętrznej?

— Po pierwsze nie ma tu mowy o żadnym wierzeniu! To ugruntowana naukowo teoria — oburzył się Eso. — Nie ma wszak nic dziwnego w tym, że w procesie działającym przez Czas Niezmiernie

Długi mogą powstawać twory o dużym stopniu złożoności! Nie doceniasz czynnika ewolucji Światów! Nie tylko Nasz, lecz także wszystkie Inne Światy musiały powstać w ten sam lub zbliżony sposób. I dlatego bardzo prawdopodobne jest, że ich wygląd przypomina Nasz Świat, a więc są tak samo Wydłużone i Zewszechstronzamknięte a w ich wnętrzu, choć niektórym są nie na rękę takie hipotezy, istnieć mogą Istoty Nam Podobne! My jesteśmy najmłodszym, jak dotąd, ogniwem Rozwoju, ale wcale nie powiedziane, że ostatnim! Czy nie przekonałem was jeszcze, że wszystko co nas otacza a także my sami, powstało w Naszym Świecie wskutek zupełnie naturalnych procesów, które dają się wyjaśnić drogą czysto naukową, bez potrzeby uciekania się do legend i przesądów?

— A Stary Człowiek i jego nauki? Czy nie głoszą one wielu rzeczy sprzecznych z tym, co nam tu usiłujesz przedstawić? — Oak nie dawał za wygraną. — Przecież Maudr widział na własne oczy Starego Człowieka! Rozmawiał z nim! Maudr jest z nas najmędrszy i jego Pamięć Rzeczy Minionych sięga znacznie dalej niż nasza.

— Proszę cię, Oak, nie mieszaj podań i legend do naukowej dyskusji! — odpalił niecierpliwie Eso. — Stary Człowiek mógł sobie istnieć rzeczywiście, nie mam podstaw wątpić w słowa Maudra! Ale któż nam zaręczy, że Stary Człowiek sam wiedział dobrze o tym wszystkim, o czym nas naucza przez usta Maudra? A jeśli nawet wiedział o Naszym Świecie dużo więcej niż my, to nie możemy mieć pewności, czy przekazał nam wszystko zgodnie z prawdą! Uważam Starego Człowieka za taką samą Istotę, jak my, choć zupełnie nie potrafię sobie wytłumaczyć jego zniknięcia z Naszego Świata… Stary Człowiek mógł rzeczywiście dojść do wielu cennych wniosków… Jeśli z jego Nauk odrzucimy to wszystko, co jest zwykłym uproszczeniem czy upiększeniem Obiektywnej Rzeczywistości, jeśli odetniemy się od mistycyzmu i irracjonalizmu, to otrzymamy być może pewien zbiór kanonów i praw dotyczących życia w Naszym Świecie… Reszta — to tylko cenny zabytek Kultury Czasów Odległych, ale z punktu widzenia nauki — nie przedstawiający wartości poznawczej ani ontologicznej…

— Przepraszam, ale nie rozumiem, co w tym wypadku nazywasz mistycyzmem i irracjonalizmem! — warknął Oak. — Czy w naszej Obiektywnej Rzeczywistości nie ma realnych dowodów na większość tez zawartych w naukach Starego Człowieka? Czy nie są Obiektywnie Rzeczywiste np. Zamknięte Drzwi, o których Stary Człowiek mówi, cytuję: „Nie będziesz otwierał Drzwi Zamkniętych, albowiem strzegą one Tajemnic Świata” — koniec cytatu.

— Wybacz, ale zdumiewa mnie brak logiki w twoich wypowiedziach! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że istnienie takich właśnie obiektów, których pochodzenia i znaczenia nauka nie potrafi jeszcze wyjaśnić, pobudza fantazję do tworzenia legend i bajek? Nauki

Starego Człowieka powstały przez dopasowanie legendy do rzeczywistości! Stary Człowiek, jak i my, nie potrafił sobie wyjaśnić wielu rzeczy i stąd w jego nauce tyle niejasności i tajemniczych sformułowań!

— A co sądzisz o Głosach, które Maudr słyszał ongiś poprzez jedne z Zamkniętych Drzwi?

— Nie bardzo w nie wierzę… W każdym razie jestem przekonany, że wcześniej czy później potrafimy je wyjaśnić przyczynami zupełnie naturalnymi…

— Jednak pewne jest, że owe Głosy, pośród wielu niezrozumiałych słów, wymieniały nazwę Obiecanego Świata, znaną z nauk Starego Człowieka!

— To mogła być autosugestia! Pośród wielu niezrozumiałych dźwięków łatwo doszukać się znanego słowa, szczególnie gdy słucha się z pewnym określonym nastawieniem… — oponował sceptycznie Eso.

— Przenieśliście dyskusję na płaszczyznę rozważań czysto teoretycznych! A ja chciałbym usłyszeć wasze zdanie na temat następującego projektu: gdyby tak zorganizować wyprawę poza Nasz Świat? Czy nie sądzicie, że dałoby to nam wiele nowego, interesującego materiału do dalszych rozważań i dociekań filozoficznych?

— Powiedziane jest: „Nie będziesz opuszczał Świata, albowiem Pustka Zewnętrzna nie jest dla Istot Żywych! Albowiem kto Świat Nasz o upuści, Śmierci umrze, a inni umrą z nim wespół!” — odezwał się po raz pierwszy Maudr i zamilkł.

Zapanowała cisza. Po chwili dopiero Iti odważył się wystąpić w obronie swego projektu:

— Oto macie przykład, jak przesądy, powiedziałbym nawet zabobony hamująco wpływają na rozwój twórczej myśli! Bo czymże jest Śmierć, o której mówi Maudr? Czy znamy takie zjawisko? Czy ktokolwiek „Śmiercią umarł” w Naszym Świecie, jak sięgniemy pamięcią? Jaki sens ma straszenie nas jakąś wyimaginowaną karą Śmierci za dociekliwość i rozszerzanie wiadomości o Naszym Świecie?

— Nie sprzeciwiaj się, bracie, nauce Starego Człowieka, która dana nam jest abyśmy bezpiecznie osiągnęli cel Wielkiego Powrotu do Wielkiego Świata! — przemówił Maudr.

— W takim razie niech wolno nam będzie otworzyć Zamknięte Drzwi! — wystąpił Eso. — Wtedy dam wam dowód, że Głosy można wyjaśnić zupełnie naturalnymi przyczynami!

— Powiedziane jest: „Nie otworzysz Drzwi Zamkniętych, dopokąd Jasny Krąg nie przesłoni dziesiątej części Wielkiego Oka” — przemówił Maudr po raz trzeci. — Mózgi wasze nie są bowiem napełnione wiedzą o Wielu Tajemnicach, które przekazał mi Stary

Człowiek, zanim odszedł! Dopiero gdy Jasny Krąg przesłoni dziesiątą część Wielkiego Oka, będzie mi wolno oświecić umysły wasze światłem wiedzy, abyście mogli przygotować się na przyjście Nowego Życia! Jedno wam rzekę ku pokrzepieniu serc waszych istnieje cel Naszego Istnienia! Odchodząc, Stary Człowiek dał mi Tajemnicę Drzwi Zamkniętych! Za tymi Drzwiami znajdują się ukryte przed nami Skarby Wiedzy o Innych Światach! Naszym przeznaczeniem jest przebyć wraz z nimi Drogę Wielkiego Powrotu i przekazać je Istotom Nam Podobnym, na których Obraz i Podobieństwo uczynieni jesteśmy! Istoty owe zamieszkują Wielki Świat, ku któremu Nasz Świat ustawicznie zmierza. Patrzcie w Wielkie Oko, albowiem w nim ujrzycie zapowiedź Końca Wielkiego Powrotu. Czas nasz się zbliża. Wierzcie słowom moim, a będzie wam dane Odpocznienie po Wielkim Powrocie, a ono Nagrodą wam będzie! Słuchajcie głosu mego, a zaleceń mych uważajcie, abyście Śmiercią nie pomarli!

— Co za upadek umysłowy! — burknął Eso do Itiego — chodź, nie dajmy się otumanić „proroczym wizjom" tego starego durnia!

Wyczołgali się obaj pospiesznie, o ile pozwalały im na to obwisłe brzuchy, na Główny Korytarz, aby zaczerpnąć czystego powietrza w pobliżu Wielkiego Regeneratora…

— Czy sądzisz, Eso — zagadnął Iti, gdy obaj legli wygodnie, umieściwszy końce Rurek Pokarmowych w ustach — że naprawdę nie ma nic ponadnaturalnego w Naszym ani w Innych Światach? A gdyby tak jakikolwiek fakt zaprzeczył wyraźnie twojej teorii? Gdyby zaprzeczył któremuś z Praw Naszego Świata? Gdyby spełniło się cokolwiek z przepowiedni Maudra?

— Nie wierzę, aby coś takiego miało zaistnieć, a gdyby nawet zaistniało, uważałbym to za rozszerzenie praw rządzących Obiektywną Rzeczywistością. Jasne jest, że nasza Wiedza nie ogarnia jeszcze wszystkiego, co jest możliwe w Naszym Świecie! A jeśli chodzi o spełnienie się przepowiedni… uznałbym to za przypadkowy zbieg okoliczności, za coś zupełnie przypadkowego…

— Wiesz? Chciałbym popatrzeć w Wielkie Oko! — zaczął po chwili Iti. — Dawno tam nie byłem! Wiesz przecież, jak trudno jest przebyć drogę do Wielkiego Oka i Zamkniętych Drzwi! Nasz Wzrost Wszerz staje się ostatnio niepokojąco szybki!

— Nie ma powodów do niepokoju! Gdybyś w swoim czasie słuchał uważnie mojej Teorii Rozwoju Istot Rozumnych, wiedziałbyś że takie jest właśnie ogólne prawo Wzrostu! Istota Rozumna w swym osobniczym rozwoju przechodzi kolejno fazy następujące: najpierw jest niewielka, w miarę wydłużona, w miarę okrągła. Potem wzrasta wzdłuż i wszerz, podczas gdy równocześnie powstaje w niej Zdolność Postrzegania Zjawisk. W następnej fazie Istota, wraz z dalszym Rozrostem We Wszystkich Kierunkach, nabywa zdolności Logicznej

Analizy Zjawisk, zatracając równocześnie zdolność poruszania się za pomocą Czołgania i Pełzania. W fazie tej, będącej przejściem do ostatniej, najdoskonalszej i najwyższej formy bytu, Istota powinna nagromadzić maksimum faktów i spostrzeżeń oraz dokonać wstępnej ich analizy. Gdy to się stanie, winna umiejscowić się w bezpośredniej bliskości Wielkiego Regeneratora, który zapewnia stały dopływ Pokarmu, i rozpocząć właściwy Proces Poznania Umysłowego, który jest jedyną treścią i celem Istnienia! Nastąpi wówczas faza ostatnia. Istota stopniowo przyjmie najdoskonalszą z możliwych Formę Kulistą. Niepotrzebne już organa ruchu ulegną zanikowi, a Istota, odżywiana przez Regenerator, w ciągu Nieograniczenie Długiego Czasu rozwiąże zagadkę Bytu, przez co osiągnie zadowolenie ze swego istnienia!

— To naprawdę piękne! Ale… co będzie dalej?

— A po cóż się nad tym zastanawiać? To stanie się aktualne dopiero w Bardzo Dalekiej Przyszłości, zresztą, jak rzekłem, na zastanawianie się będzie dość czasu w Formie Kulistej!

— Jednak wybiorę się w kierunku Wielkiego Oka! Większy zasób informacji nie zawadzi! Czy wybierzesz się ze mną?

— Raczej nie… — zawahał się Eso. — Czuję, że już niedługo wejdę w ostatnią fazę rozwoju. Moja Kulistość w ostatnich czasach stała się nader wyraźna. A moja wiedza o Naszym Świecie nie wymaga już chyba uzupełnień… Wolę pozostać tu, przy Regeneratorze…

— Czy nie pomyślałeś nigdy, że nasze obłe kształty mogą być skutkiem nadużywania Pokarmu?

— Bzdury! Przecież Regenerator dostarcza nam Pokarmu w nieograniczonych ilościach! Czy sądzisz, że Nasz Świat mógłby działać przeciwko nam? Przeciwko Właściwemu Kierunkowi Rozwoju? Jem, gdy mam ochotę, to znaczy dużo i często — widocznie takie jest prawo rządzące Naszym Światem! Częste korzystanie z Regeneratora przyspiesza Proces Zaokrąglania, a długie wycieczki na pewno go opóźniają. Dlatego, jeśli chcesz uzyskać prędko Formę Doskonałą, nie wałęsaj się, lecz raczej Leż i Kontempluj!

— Sam mówiłeś, że należy gromadzić jak najwięcej spostrzeżeń podczas Fazy Poznawczej! Udaję się więc na Wyprawę Ku Wielkiemu Oku, skoro już Maudr tak stanowczo sprzeciwił się wyprawie Poza Nasz Świat!

Iti popełzł Korytarzem, Eso pozostał, wśród drzemki ssąc z lubością koniec Rurki Pokarmowej.

Obudził go głośny okrzyk Itiego. Otworzył leniwie oczy i omal nie usiadł z wrażenia: Iti poruszał się niezmiernie szybko, używając do tego tylko dwóch kończyn, jedynie od czasu do czasu pomagając sobie pozostałymi dwiema! To było niesłychane! Od bardzo dawna Eso nie widział czegoś podobnego!

— Jest! Jest Wielki Jasny Krąg! Zajmuje już prawie dziesiątą

część Wielkiego Oka!

— Co? Co ty pleciesz? Czy jesteś tego pewien? — wypytywał Eso oszołomiony.

— Możesz się sam przekonać — rzucił Iti i, podskakując zabawnie, pobiegł wieścić nowinę pozostałym.

Maudr uniósł się na drżących dłoniach:

— Oto słyszycie Wielką Nowinę! Z ust największego z niedowiarków ją słyszycie! Spełniło się, co rzekł Stary Człowiek! Tak też spełni się wszystko, reszta Prawd Tajemnych, które On nam obwieścił! Wielki Krąg wzrastał będzie odtąd i potężniał, aż przesłoni całe Wielkie Oko… Wtedy nadejdzie Koniec i Początek! Odrzućcie wszelką myśl wątpiącą, albowiem prawdę samą mówił wam będę!

Przed Bardzo Długim Czasem z Wielkiego Świata, gdzie Istoty Nam Podobne zamieszkiwały, Nasz Świat wyruszył w drogę do Innych Światów. My nie istnieliśmy jeszcze w czasie onym. W podróż wyruszyli Rodzice Nasi. A Skarby Wiedzy przywieźć mieli oni z Innych Światów… Z Rodziców Naszych, na obraz ich i podobieństwo — my powstaliśmy… Oni dotarli do Innego Świata, lecz przed powrotem samym w Innym Świecie zaginęli… Został tylko Stary Człowiek i my, lecz Świadomość nasza uśpiona była. Ja tylko byłem naonczas zdolny Cokolwiek Pojmować i mnie Stary Człowiek czuwać nad wami i Naszym Światem przykazał i doprowadzić was do Wielkiego Świata polecił. I rzekł jeszcze, że Tam, Skąd Się Nie Powraca, odejść musi w Czasie Niedługim… I rzekł mi rzeczy wiele, o których mówił wam będę… A skończywszy, poruszać się przestał. A po czasie Dość Długim, gdy nieporuszony trwać nie przestawał, jako mi uprzednio przykazał, ciało jego do Wielkiego Regeneratora wrzuciłem… A my, z Wielkiego Regeneratora pokarm pożywając, Jego Ciało także pożywamy pod postacią Substancji Odżywczych!..

Jasny Krąg przesłonił Wielkiego Oka część dziesiątą. Cóż nam czynić przystało? Przez Bardzo Długi Czas, gdy poza Wielkim Światem przebywaliśmy, Czas o Wiele Dłuższy w nim upłynął…

— Jakże to możliwe, by Czas płynął inaczej w dwóch Odległych Punktach? — przerwał Eso, który tymczasem niepostrzeżenie wczołgał się do Sali.

— Milcz, nie przerywaj — warknął Iti, który, teraz, przysunąwszy się bliżej Maudra, łowił każde jego słowo, niepomny swych niedawnych wystąpień — mów dalej, Mistrzu!

— Azaliż wszystko, co Zdolność Pojmowania twego przekracza — Maudr zwrócił się łagodnym tonem do Eso — nieprawdą być musi? Jest wiele tajemnic, których zgłębić niezdolna żadna Istota Naszego Świata. Wśród tajemnic owych jest i ta, a objawił ją Stary Człowiek i nazwał „einsteinaparadox”…

Eso zamilkł, a Maudr ciągnął dalej:

— Tak, jako rzekłem, nie ma teraz w Wielkim Świecie Istot obecnych przy wyruszeniu Naszego Świata w Wielką Podróż… Odeszły one Tam, Skąd Się Nie Powraca… Tak mówił Stary Człowiek, choć sensu słów jego pojąć nie umiemy… Odejście oznacza Koniec Ruchu, może nawet Koniec Istnienia!

— To niemożliwe! Nie może być Końca Bytu! Istnienie jest przecież wieczne! — ostro, jakby ze strachem zaoponował Iti.

— Nie jest, jako mówisz! — odparł Maudr powoli. — Stary Człowiek rzekł: „Byt wiecznym jest, lecz coraz to nowe Istoty wypełniają go, powstając ze starych, które odchodzą. Jako my powstaliśmy z Rodziców naszych, a Oni odeszli”…

— Nie pamiętamy przecież, aby kiedykolwiek z któregoś z nas powstała Nowa Istota! — zauważył Yox.

— To niczego nie dowodzi! — odparł Tako. — Być może, że w Naszym Świecie brak jakiegoś Istotnego Elementu, koniecznego do powstania Nowych Istot! Nie zapominaj, że według słów Maudra Nasz Świat stanowi jedynie część Wielkiej Całości, od której kiedyś się oderwał. Zjawiska mogą w pełni występować jedynie w naturalnym zespole niezbędnych warunków…

— Światłe są słowa twoje — poparł go Maudr — albowiem Pełnię Życia Istota osiągnąć może dopiero w Wielkim Świecie, który jest jej do bytowania przeznaczon. Gotujmy się na Powrót do Obiecanej nam Ziemi, która krąży wokół Jasnego Kręgu, a on daje jej Życie. A imię jego SOL… O tym także Stary Człowiek pamiętać mi przykazał: aby, gdy Istoty z Ziemi przemówią do nas w Sali Za Zamkniętymi Drzwiami, to choćby treść ich słów niezrozumiałą nam była, odpowiedzieć mamy zaklęciem, którego Stary Człowiek wyuczyć mi się przykazał: „TUARGOPRZEJMIJCIEPROWADZENIE”. Słowa te wypowiedzieć mam trzy razy…

— A gdyby Głosy z Ziemi nie odezwały się, nim Jasny Krąg przesłoni Wielkie Oko? — trwożnie zapytał Oak.

— Naonczas znak to będzie, że Istot Nam Podobnych na Ziemi już nie ma… A wtedy rzec mi przykazał Stary Człowiek do Wielkiego Koordynatora, którego z Sali Za Zamkniętymi Drzwiami poznamy po mnóstwie mrugających Oczu, zaklęcie inne…

— Jakie?

— Tego zaklęcia wypowiadać bez potrzeby nie wolno!

— I co stanie się wówczas?

— Naonczas nastąpi Wielki Ruch i Siły Wielkie wstrząsną Naszym Światem… I Wielkiego Świata nie dane nam będzie oglądać… A Wielki Krąg SOL ustąpi z Wielkiego Oka i ujrzymy w nim na powrót Niezliczone Światła a zguba przeznaczona nam będzie i Śmiercią pomrzemy, nie ujrzawszy Wielkiego Świata…

Stali na czworakach, oszołomieni. Dziwna ściana, migocąca

mnóstwem świateł, hipnotyzowała, przykuwała ich wzrok… Maudr, który przed chwilą właśnie sobie tylko wiadomym sposobem otworzył przed nimi Zamknięte Drzwi, nadsłuchiwał bacznie. Z powodzi trzasków i szumów, dochodzących gdzieś z wysoka, dobiegały dźwięki w niczym nie przypominające Mowy Istot… Na ścianie naprzeciw widniało kilka Wielkich Oczu, o wiele większych od tego, które znali z Głównego Korytarza… Na jednym z nich widniał Wielki Jasny Krąg Sol… Powiększał się coraz bardziej… Jednak żaden Głos nie ozwał się w Sali.

Nagle, na jednym z Wielkich Oczu ukazał się punkt, świecący jaśniej niż pozostałe… Wszyscy wlepili oczy w ten punkt…. Przybliżał się, rósł i nabierał mocy… Nagle oderwał się od niego mniejszy punkt i szybko zaczął się przybliżać…

Żadne Głosy nie odezwały się w Sali…

Maudr, wsparty na obu dłoniach, drżącym głosem wyrzucił z siebie niezrozumiałe zaklęcie:

— „Zmianakursuostoosiemdziesiątstopni!”

Gwałtowna zmiana przyspieszenia rzuciła nimi o ściany sterowni.

1962 r.

Morio Kita
ZBYTEK

Zeitaku

Dziwny to był pokój.

Na pierwszy rzut oka przywodził na myśl ruderę handlarza rupieciami. W jego atmosferze jednak było coś, co nie pasowało do pomieszczenia zamieszkanego przez śmieciarza. Deski, którymi wyłożone były ściany, mimo że nie heblowane, mocno osmolone i odpadające nawet tu i ówdzie, wyglądały na prawdziwe drzewo cyprysowe. Deski były zbite niedbale, a przez szpary, nie wiadomo skąd, prześwitywało niewyraźne, metaliczne światło. Trudno było rozróżnić pojedyncze sprzęty, za całe bowiem oświetlenie służyła jedna lampa, zresztą dziwacznego, rzadko spotykanego kształtu. Był to albo stary, wyrzucony na śmietnik bezwartościowy grat, albo przedmiot mający wartość rzadkiego antyku, choć raczej to pierwsze wydaje się bardziej prawdopodobne.

W kącie stało proste łóżko. Na nim, okutany w byle jaki, mocno wystrzępiony koc, spał stary człowiek kruchej, wątłej budowy, po prostu skóra i kości. Blade światło lampy oświetlało jego pomarszczoną twarz.

Mogłoby się rzeczywiście wydawać, że to twarz żebraka, ale tylko przez krótki moment. Bo oto starzec się budzi i wzrok jego zaskakuje ostrością spojrzenia, a twarz, choć cała w zmarszczkach, nabiera natychmiast nadspodziewanie energicznego, władczego wyrazu.

— Mm, dobrze się spało — mruczy z zadowoleniem — taak, świetnie spałem, nie powiem.

Zwlókł się z łóżka i wsunął bose stopy w znoszone geta[1]. W ruderze zamiast podłogi było zwyczajne klepisko. Na ziemi, oprócz łóżka, stało jeszcze krzywe krzesło i stół. Starzec poszedł w kąt pokoju, nabrał czerpakiem wody z wiadra i napił się głośno.

— Mm, i woda doskonała, nie powiem.

Następnie wziął mały garnek, nabrał ze dwie garści ryżu i wsypał do środka. Przepłukał ryż wodą, odcedził, po czym uważnie nalał wody do garnka, mierząc jej ilość końcem palca.

— Najtrudniej odmierzyć tyle wody, żeby było akurat. Ale dziś nagotujemy sobie dobrego ryżu…

Nałożył węgla drzewnego do glinianego piecyka, a potem parę suchych gałęzi. Zmiął w garści trochę starych gazet, które walały się rozrzucone po ziemi, i podpalił. Wziął wachlarz, na wpół połamany, i począł zamaszyście nim machać. Płomień przeniósł się na węgiel

drzewny, posypały się iskry i po chwili wesoły, żywy ogień buszował już w piecyku. Musiał być to dobry gatunek węgla drzewnego, stanowczo za dobry jak na żebraka.

Starzec postawił garnek na piecyku i przykucnął obok, wpatrując się w naczynie. Po chwili garnek już śpiewał, pokrywka podskakiwała, a spod niej zaczęła wydostawać się piana.

— Mm, ten zapach! Teraz poczułem dopiero, że jestem głodny. A więc… zaraz, co to dziś jemy?… Aha, prawda, sammę.

W głębi pokoju, na stole leżała paczka owinięta w gazetę. Rozwinął ją. Oprócz naczyń, w ilości wystarczającej akurat dla jednej osoby, był tam talerz, a na nim równiutko obok siebie dwie sammy. Starzec wziął je palcami za ogony, rzucił na żelazną siatkę i podszedł do piecyka. Siatka była zupełnie czarna, widać niejedną rybę już na niej upieczono. Z garnka wydostawał się charakterystyczny świst, znak, że ryż był już gotowy. Dziadek pośpiesznie zdjął go z ognia.

— Właściwie ryż powinno się gotować na parze. A może by tak jeszcze jeden piecyk sobie zafundować? E, to byłby już chyba za duży luksus.

Wyciągnął rękę z siatką nad piecykiem, a drugą znowu zaczął energicznie wymachiwać wachlarzem. W chwilę potem rozgrzany olej zaskwierczał, a czarny dym z wonią smażonej ryby wypełnił od razu całe pomieszczenie. Starzec zmarszczył się, zaniósł się kaszlem, ale nie tracąc ani na chwilę dobrego humoru, nadal żwawo rozdmuchiwał ogień wachlarzem.

— Mniam, co za zapach, a ten dym, to skwierczenie sama rozkosz. Mniam, mniam.

Chociaż to ciasne pomieszczenie pozbawione było zupełnie okna, ciemny dym, jaki towarzyszy zazwyczaj smażeniu sammy, miast gromadzić się i wypełniać pokój, o dziwo, znikał gdzieś pod sufitem. W każdym razie w pokoju powietrze pozostawało zupełnie czyste.

Kiedy samma była już gotowa, staruszek przeniósł ryż razem z rybą na koślawy stół i — łapczywie zabrał się do jedzenia. Jadł żarłocznie, nie gardząc nawet wnętrznościami i ośćmi. Spałaszował rybę do czysta, że kot by lepiej nie potrafił, i otarł ręką usta.

— No, no, ta samma to jest dopiero smaczna rybka! A jeszcze smażona na oleju — pyszności! — Przeciągnął się leniwie. — Jak się najem, to chce mi się spać. Tak, pojeść i pospać, to lubię, nie powiem.

Starzec kierował się już z powrotem w stronę pryczy, ale coś przyszło mu do głowy i zatrzymał się.

— Zaraz, zaraz. Musimy najpierw obmyśleć, co zjemy na kolację. Hmm, co też byśmy sobie zjedli dobrego…

Siadł przy stole, zamyślił się i po chwili jego twarz rozjaśniła się żywszym blaskiem. Zaraz też otworzył szufladę, wyjął kartkę papieru, przybory do pisania i zdecydowanym ruchem, z widoczną wprawą coś

napisał. Następnie wyjął z szuflady cylindryczny przedmiot z wyglądu przypominający pojemnik do przekazywania wiadomości i włożył papier do środka. Odchylił lekko deskę w przepierzeniu i ukazała się druga ściana wykonana z jakiegoś lekkiego metalowego stopu. Dziadek coś nacisnął i w tejże chwili na wprost niego pojawiła się ciemna wnęka. Nawykłym ruchem wrzucił puszkę, po czym zamknął otwór, a deskę z powrotem przesunął na poprzednie miejsce. Zrobił, co miał do zrobienia, i rozziewał się szeroko. Teraz nie pozostało mu już nic innego, jak wrócić do swego mocno już przybrudzonego posłania.

Kiedy puszka z korespondencją wypadła z otworu, młody człowiek po drugiej stronie ściany w postawie pełnej gotowości szybko ją otworzył i rzucił okiem na skrawek papieru. Przez moment jakby się zdziwił, ale po chwili jego twarz o regularnych rysach stała się znowu pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Przywykł już mechanicznie spełniać otrzymane polecenia. Pełnił funkcję chłopca na posyłki u starca, którego skłonni byliśmy uważać za żebraka.

Niezwłocznie przystąpił do pracy. Ruszył korytarzem połyskującym chłodnym, metalicznym blaskiem. Zbliżył się do metalowych drzwi, pochylił i chwilę jakby mocował się z niekształtnymi, o wiele za dużymi butami, które miał na nogach. Otworzył drzwi i niezgrabnym krokiem,jak gdyby przekopując się z wysiłkiem przez głęboki śnieg, posuwał się następnym wąskim korytarzem. Przez otaczające ściany dochodziło buczenie podobne do odgłosu potężnych maszyn. Chłopiec szedł zdecydowanie przed siebie, nie zwracając na to najmniejszej uwagi. Musiała to być sporej wielkości budowla.

Ukazała się przegroda o niskim sklepieniu, coś na kształt włazu w łodziach podwodnych. Chłopiec chwilę się zawahał. Gdyby poszedł na lewo, znalazłby się w kuchni, a więc tam, dokąd zmierzał. Była to raczej zwykła spiżarnia niż kuchnia, żadnych bowiem potraw w niej nie przygotowywano. Stała tam wielka lodówka, gdzie trzymano dla jego pana zapas ryb rozmaitych gatunków na okres co najmniej roku.

Chłopiec jednak postanowił nie wejść tam od razu, tylko zrobił krok na wprost, otworzył masywne drzwi i — znalazł się w dużej, przestronnej sali.

Siedziało tam kilku mężczyzn obróconych w stronę pulpitu z ogromną ilością wskaźników. Wszyscy oni wyglądali na porządnie znudzonych, jakby znajdowali się już od dłuższego Czasu w podróży morskiej, jednocześnie jednak zdradzali objawy pewnego rozdrażnienia. Natychmiast kiedy chłopiec wszedł do środka, jeden z nich zapytał:

— No, jak tam się ma nasz prezes?

— Nie wiem, jak się ma — odparł chłopiec beznamiętnie jak

mechanizm. — Ja zajmuję się tylko przygotowywaniem posiłków.

— Ejże, to chyba za wiele powiedziane — ironicznie wtrącił inny. — Najwyżej zaniesiesz mu ze dwie rybki albo trzy, to wszystko. Czy nie tak?

— Tak jest.

— No i co, prezes nie ma zamiaru ruszyć się ze swojej klitki ani na krok?

— Tak jest, nie ma zamiaru.

— Coś podobnego, przecież to już miesiąc, jak zamknął się w tej dziurze. Cały miesiąc, prawda?

— Tak jest.

— Minie jeszcze ze cztery miesiące, nim osiągniemy cel naszej podróży. I co, przez ten cały czas prezes będzie sobie smażył rybki na każdy posiłek?

— Tak jest, chyba tak.

Rozległ się dzwonek sygnalizatora. Wszyscy w napięciu utkwili wzrok w tarczach przyrządów pomiarowych. Za naciśnięciem guzika ściana na wprost rozbłysła obrazem, który mógł wprawić w oszołomienie. Na jednolicie czarnym, intensywnym, zdawałoby się aż wsysającym tle, gdzie spojrzeć rozbłyskiwały jak w kalejdoskopie jasne światła, to zbite w gęstych skupiskach, to znów rozproszone chaotycznie tu i ówdzie. Wszystko to zupełnie nieruchome, żadnego migotania. To obraz Wielkiego Kosmosu. To co wydawało się być dużą budowlą, było potężną rakietą odbywającą właśnie lot w przestworzach, a ta sala — to kabina dowodzenia.

— To rój meteorów. Na szczęście niewielki i w znacznej odległości od trasy — objaśnił ktoś z załogi, wpatrując się w ekran.

— W porządku. Może to się ciągnąć jeszcze za nami jakiś czas, ale nie sądzę, aby mogło nam w jakiś sposób zagrozić. Pilnujcie jednak przyrządów pomiarowych.

Ekran zgasł i wszyscy ociągając się wrócili do swoich zajęć. Posiadali niedbale na krzesłach. Minął już miesiąc, odkąd wyruszyli w podróż, ale zamiast odprężenia, wyczuwało się u całej załogi dziwne podenerwowanie i rozdrażnienie.

— Cóż to jednak była za głupota brać prezesa z nami! To zupełnie poroniony pomysł!

— No, tego nie mów. Przecież to on finansował całą wyprawę.

— Ale czy pomyślałeś, szefie, ile nas ten drogocenny staruszek kosztuje? Do jak absurdalnych rozmiarów trzeba było rozbudować rakietę po to tylko, żeby nadać ciążenie jego klitce. Zamiast tego można by z łatwością zbudować trzy przyzwoite rakiety. A ile cennych materiałów moglibyśmy załadować, gdyby nie ta cała aparatura wytwarzająca sztuczne ciążenie.

Mężczyzna pochylił się i sięgnął ręką w okolice butów. Wyłączył

urządzenie przyciągające w magnetycznym obuwiu. W tej samej chwili jego ciało uniosło się ku górze i zaczęło pływać po całym pomieszczeniu w pozycji horyzontalnej.

— Bez pieniędzy prezesa nie zbudowalibyśmy żadnej rakiety, nawet najmniejszej.

— To prawda. Ale skoro on taki bogaty, to czemu do wszystkich diabłów, nie ustatkuje się, nie żyje jak przystało starszemu człowiekowi? Wymyślił sobie tę ruderę, naniósł błota na podłogę i jakby tego było mało, jeszcze ten piecyk! Dajcie, ludzie, spokój. Nawet przez chwilę się nie zastanowi, ile tlenu zużywa za każdym razem, kiedy rozpala ogień. On sam zużywa bez pożytku tyle, ile mogłoby wystarczyć dla kilkudziesięciu innych.

— Tak już jest, że na starość w mniejszym lub w większym stopniu ludzie dziwaczeją — odezwał się dowódca a on w dodatku jest jeszcze bogaty. Pozwala sobie na nieco ekscentryczne kaprysy, stać go na to.

— Nieco ekscentryczne kaprysy? Doprawdy! Rzeczywiście to nieco ekscentryczne tak przepadać za rybami. I to jakimi jeszcze — smażonymi. Inne mu nie odpowiadają, musi je sobie smażyć akurat na piecyku. Żeby jeszcze jadał tai[2] albo ayu[3]. Jest w końcu dosyć bogaty, żeby pozwolić sobie na szlachetniejsze gatunki ryb. Ale on nie — w kółko tylko samma czy inne szprotki. Ale niech mu tam, jeśli mu to sprawia taką przyjemność. A my co? Przez okrągły rok jemy różne świństwa w pigułkach i kosmiczne potrawy w tubkach. Pigułki i tubki, tak? A tu ten swąd z jego budy rozchodzi się po całym statku. Ja tego dłużej nie zniosę. Jeśli on natychmiast nie przestanie smażyć szprotek i sammy, ręczę wam, że w szybkim tempie powariujemy tu wszyscy razem i każdy z osobna!

— No, no, nie ma pan powodu aż tak się unosić — wtrącił się chłopiec spokojnym, niewzruszonym głosem i z twarzą bez wyrazu. — Szprotki i samma[4] to doprawdy jeszcze nic takiego. Dziś na kolację pan prezes zażyczył sobie…

— Cóż takiego? Zamówił maże coś niezwykłego?

Beznamiętnym, opanowanym głosem chłopiec dokończył:

— Suszoną śmierdziuchę[5].

Przekład: Henryk Lipszyc

Robert Sheckley
SPECJALISTA

Specialist

Burza fotonowa uderzyła bez uprzedzenia spoza ławicy ogromnych czerwonych gwiazd. W ostatniej chwili, nim pochwyciła ich w swoje szpony, Oko zdążyło jeszcze nadać przez Gadacza sygnał ostrzegawczy.

Była to trzecia podróż Gadacza w dalekie rejony przestrzeni kosmicznej i pierwsza burza świetlna, jaką przeżył. Poczuł więc skurcz strachu, kiedy Statek na skutek czołowego zderzenia z falą zboczył nagle z kursu i doznał gwałtownego przechyłu. Strach jednak szybko minął i pozostał tylko przyspieszony z podniecenia puls.

Ale właściwie dlaczego miałby się bać? — zadawał sobie pytanie. — Czyż nie przeszedł specjalnego przeszkolenia na wypadek takiego niebezpieczeństwa?

Mówił coś właśnie do Zasilacza, kiedy wybuchł sztorm, więc przerwał natychmiast rozmowę. Miał nadzieję, że smarkaczowi nic się nie stało. Była to jego pierwsza podróż w dalsze rejony Kosmosu.

Podobne do drutów włókna, z których zbudowane było ciało Gadacza, przenikały cały Statek. Błyskawicznie wciągnął wszystkie przewody, poza tymi, które łączyły go z Okiem, Silnikiem i ścianami. Teraz wszystko zależało od nich. Reszta Załogi sama musi sobie radzić aż do końca sztormu.

Oko przywarło całym tarczowatym ciałem do Ściany i wypuściło jeden ze swoich organów wzroku poza Statek. Dla większej koncentracji reszta czułek widzących spoczywała bezwładnie wzdłuż ciała.

Poprzez ten organ Oka Gadacz obserwował sztorm. Czysto wizualny obraz przekładał następnie na kierunek Silnikowi, który manewrował Statkiem. Mniej więcej w tym samym czasie Gadacz tłumaczył kierunek na szybkość dla Ścian, które sztywniały przed każdym uderzeniem fal.

Koordynacja była sprawna i pewna: Oko mierzyło fale świetlne, Gadacz przekazywał polecenia Silnikowi i Ścianom, Silnik prowadził Statek dziobem na fale, Ściany parowały ich uderzenia.

W ferworze działania zespołowego Gadacz zapomniał o swoim strachu. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Stanowił system łączności Statku, musiał więc tłumaczyć i przekazywać po1ecenia z największą szybkością, koordynując informacje i kierując całą akcją.

W ciągu kilku minut było już po burzy.

— W porządku! — powiedział Gadacz. — A teraz sprawdzimy, jakie ponieśliśmy straty. — W czasie sztormu wszystkie jego przewody zastały poplątane, ale zdążył je już rozsupłać i przeniknąć nimi cały Statek, sprawdzając pilnie, czy obwód jest zamknięty. — Silnik?

— W porządku — odparł Silnik. Potężny starzec wysunął w czasie burzy grafitowe pręty osłabiając w ten sposób wybuchy atomowe w swoim brzuchu. Żaden sztorm nie byłby w stanie zaskoczyć takiego weterana przestrzeni kosmicznej jak on.

— Ściany?

Ściany zdawały sprawę ze swego stanu jedna po drugiej, co trwało dość długo. Było ich bez mała tysiąc — cienkie prostokątne płytki, które tworzyły skórę Statku. Oczywiście w czasie sztormu Ściany usztywniły krawędzie, zwiększając sprężystość Statku, ale mimo to jedna czy dwie zostały poważnie wgniecione.

Doktor oznajmił, że czuje się świetnie. Usunął sobie z głowy przewód Gadacza, wyłączając się tym samym z obwodu i przystąpił do naprawy Ścian. Zbudowany z samych niemal rąk, Doktor na czas burzy przywarł do Akumulatora.

— Zwiększmy trochę szybkość! — zarządził Gadacz, uświadamiając sobie, że przecież należy ustalić, gdzie się znajdują. Połączył się z czterema Akumulatorami.

— Co z wami? — zapytał.

Ale nie było żadnej odpowiedzi. Akumulatory spały w najlepsze. W czasie burzy ich receptory były otwarte i Akumulatory leżały teraz naładowane energią. Gadacz „obwąchał" je dookoła swoimi przewodami, ale Akumulatory ani drgnęły.

— Daj, ja spróbuję! — powiedział Zasilacz. Oberwało mu się porządnie, zanim zdołał przyczepić się do Ściany swoimi ssawkami, ale nie nauczyło go to skromności. Był on jedynym członkiem Załogi, który nigdy nie wymagał pomocy Doktora; jego ciało regenerowało się samo.

Śmignął na swoich kilkunastu mackach i kopnął najbliższy Akumulator. Wielki stożkowaty zasobnik otworzył jedno oko, po czym zaraz je zamknął. Zasilacz znów go kopnął, tym razem bez żadnego skutku. Sięgnął do zaworu bezpieczeństwa i upuścił trochę energii.

— Uspokój się! — wrzasnął Akumulator.

— No to się wreszcie obudź i odpowiedz, jak cię pytają — burknął Gadacz.

Akumulatory odpowiedziały, wyraźnie rozdrażnione, że nic im się nie stało i że każdy idiota chyba to widzi. W czasie burzy były przyczepione do podłogi.

Dalej inspekcja poszła już sprawnie. Mózg był w świetnej kondycji, a Oko popadło dosłownie w ekstazę z zachwytu nad pięknem sztormu. Ponieśli tylko jedną poważną stratę: Popychacz był

martwy. Jako stworzenie dwunożne nie miał stabilności innych członków Załogi. Burza zaskoczyła go na środku Statku. Rzuciło go o zesztywniałą ścianę, na skutek czego Popychacz złamał sobie kilka spośród ważnych kości. Jego reperacja przekraczała możliwości Doktora.

Zapadło milczenie. Śmierć jednego z nich była poważnym problemem. Statek stanowił zespół oparty na współdziałaniu poszczególnych elementów — członków. Utrata choćby jednego była ciosem dla reszty.

Tym razem sprawa wyglądała szczególnie poważnie. Dostarczyli właśnie ładunek do portu odległego o kilka tysięcy lat świetlnych od Centrum Galaktycznego. Trudno powiedzieć, gdzie się w tej chwili mogli znajdować.

Oko przywarło do Ściany i wysunęło na zewnątrz swój organ wzroku. Ściany zamknęły się wokół niego szczelnie. Czułek Oka wystawał tak daleko, że mogło ono ogarnąć wzrokiem całą sferę gwiazd. Obraz za pośrednictwem Gadacza wędrował do Mózgu.

Mózg — wielka, bezkształtna masa protoplazmy — leżał w rogu Statku. Mieściły się w nim doświadczenia wszystkich jego uprawiających podróże kosmiczne przodków. Zastanowił się nad odebranym obrazem, porównał go szybko z podobnymi sytuacjami zarejestrowanymi i zmagazynowanymi w jego komórkach i powiedział:

— W zasięgu wzroku nie ma żadnej planety należącej do Związku Galaktycznego.

Tego właśnie obawiali się najbardziej. Gadacz natychmiast przekazał tę informację wszystkim pozostałym członkom Załogi.

Oko, z pomocą Mózgu, obliczyło, że zboczyli o jakieś kilkaset lat świetlnych z kursu i znajdują się obecnie na peryferiach galaktyki.

Wszyscy członkowie Załogi wiedzieli doskonale, co to znaczy: bez Popychacza nigdy nie przekroczą szybkości światła, a tym samym nigdy nie wrócą do domu. Podróż powrotna bez Popychacza trwałaby dłużej niż życie większości z nich.

— Co radzisz? — Gadacz zapytał Mózgu.

Ale bardzo precyzyjnemu Mózgowi wydało się to zbyt mgliste. Poprosił o dokładniejsze sformułowanie pytania.

— Co twoim zdaniem powinniśmy robić — powtórzył Gadacz — aby powrócić do Związku Galaktycznego?

Rozważenie wszystkich możliwości i porównanie z doświadczeniami zmagazynowanymi we własnych komórkach zajęło Mózgowi kilka minut. Tymczasem Doktor zdążył już naprawić Ściany i domagał się czegoś do zjedzenia.

— Za chwilę wszyscy będziemy jedli — odparł Gadacz, nerwowo poruszając wąsami. Chociaż był zaraz po Zasilaczu najmłodszy

spośród członków Załogi, odpowiedzialność w dużej mierze spoczywała na nim. A przecież w dalszym ciągu znajdowali się w niebezpieczeństwie — trzeba było koordynować informacje i kierować akcją.

Jedna ze Ścian oświadczyła, że w tej sytuacji nie pozostaje im nic innego, jak się upić. Ale ten bezsensowny projekt upadł natychmiast. Było to bardzo typowe dla Ścian, dobrych w gruncie rzeczy pracowników i towarzyszy, ale strasznych przy tym lekkoduchów. Jak wrócą na swoje rodzinne planety, z pewnością raz dwa przepiją cały zarobek.

— Utrata Popychacza uniemożliwia Statkowi uzyskanie szybkości nadświetlnej — zaczął Mózg bez żadnych wstępów. — A do najbliższej planety galaktycznej mamy czterysta pięć lat świetlnych.

Wiadomość ta przebiegła wszystkie włókna ciała Gadacza. — Możemy przyjąć dwa warianty. Pierwszy: Statek będzie kontynuował lot do najbliższej planety Związku korzystając z napędu atomowego Silnika. Trwałoby to jakieś dwieście lat i nikt poza Silnikiem prawdopodobnie by tego nie przeżył. Druga możliwość to zlokalizować w tym rejonie jakąś prymitywną planetę, na której istnieją Popychacze. Trzeba by jednego z nich przeszkolić. A po przeszkoleniu pchnąłby Statek z powrotem w obręb Związku Galaktycznego.

Mózg zamilkł. Wyczerpał wszystkie możliwości zgromadzone w pamięci jego przodków.

Odbyło się szybkie głosowanie, w wyniku którego przyjęto drugi wariant. Właściwie nie było wyboru. Tylko to wyjście dawało jakąkolwiek nadzieję na powrót do domu.

— W porządku — powiedział Gadacz — a teraz coś zjemy. Myślę, że wszyscyśmy na to zasłużyli.

Ciało nieżyjącego Popychacza wrzucono do paszczy Silnikowi, który pożarł je natychmiast przetwarzając atomy na energię. Silnik był jedynym członkiem Załogi, który żywił się energią atomową.

Chcąc nakarmić resztę, Zasilacz przysunął się do najbliższego Akumulatora, żeby się naładować, po czym wewnątrz swego ciała przetworzył energię na różne substancje, którymi żywili się poszczególni członkowie Załogi.

Oko żyło wyłącznie łańcuchem chlorofilowym; Gadacz żywił się węglowodorami, Ściany związkami chloru. Dla Doktora Zasilacz przygotował krzemianowe owoce, takie, jakie rosły na jego rodzinnej planecie.

Wreszcie wszyscy się posilili i Statek był gotów do drogi. Akumulatory, stłoczone w rogu, znów zapadły w błogą drzemkę. Oko rozszerzyło zakres wizji do maksimum, nastawiając swój główny organ wzroku na najlepszy odbiór. Nawet w tej niepewnej sytuacji nie

mogło się powstrzymać od układania wierszy. Oznajmiło właśnie, że pracuje nad nowym poematem epickim „Zorza kosmiczna". Ponieważ nikt nie chciał go słuchać, powierzyło swoje dzieło Mózgowi, który rejestrował wszystko bez wyboru: dobre i złe, ładne i brzydkie.

Silnik nie spał nigdy. Obżarty ciałem Popychacza, rozwijał szybkość kilkakrotnie przewyższającą prędkość światła. Ściany spierały się między sobą, która w czasie ostatniego urlopu była bardziej pijana.

Gadacz postanowił się odprężyć. Oderwał się od Ścian i jego małe, okrągłe ciało unosiło się w powietrzu, zawieszone na siatce krzyżujących się przewodów.

Myślał o Popychaczu. Dziwne! Popychacz miał dokoła samych przyjaciół, a tak szybko go zapomnieli. Ale to nie była obojętność, po prostu Statek stanowił zespół. Oczywiście śmierć każdego z członków Załogi była wielką stratą, ale zespół musiał funkcjonować dalej, i to był jego główny cel, którego nie mógł tracić z oczu.

Statek mknął pośród słońc kresów galaktyki.

Mózg przedstawił trasę poszukiwań w formie spirali, oceniając szansę znalezienia planety Popychaczy jako z grubsza biorąc cztery do jednego. W ciągu tygodnia znaleźli planetę prymitywnych Ścian. Obniżając lot mogli dostrzec skórzastych, prostokątnych osobników, pławiących się w słońcu, pełzających po skałach lub spłaszczonych na papierek i bujających na wietrze.

Ściany Statku westchnęły tęsknie. Widok ten przywiódł im na myśl dom rodzinny. Napotkani ziomkowie nie zetknąwszy się nigdy jeszcze z zespołem galaktycznym byli nieświadomi swego prawdziwego powołania i swojej roli w wielkiej rodzinie kosmicznej.

Spiralna trasa ich poszukiwań wiodła poprzez wiele światów wymarłych lub zbyt młodych, by mogło na nich powstać życie. Znaleźli planetę Gadaczy. Pajęcza sieć ich przewodów przenikała pół kontynentu.

Gadacz chłonął ich widok za pośrednictwem Oka. Rozczulił się nad sobą. Przypomniały mu się rodzinne strony, jego bliscy przyjaciele. Pomyślał o drzewie, które zamierzał sobie kupić po powrocie do domu. Przez moment zastanawiał się, co on tu właściwie robi gdzieś na krańcach galaktyki?

Otrząsnął się jednak szybko z tego nastroju. Muszą przecież w końcu znaleźć planetę Popychaczy, jeśli tylko będą odpowiednio długo szukali. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Mknąc przez niezbadane peryferie galaktyki i mijając rozległe wypalone światy, natknęli się na planetę pierwotnych Silników, pływających w radioaktywnym oceanie.

— To bogate tereny — rzekł Zasilacz do Gadacza. — Galaktyka powinna przysłać tutaj Ekipę Kontaktową.

— Prawdopodobnie wyślą po naszym powrocie — odparł Gadacz.

Gadacz i Zasilacz byli ze sobą blisko związani. Ich przyjaźń wykraczała daleko poza więzy łączące całą Załogę. Nie tylko dlatego, że byli jej najmłodszymi członkami, chociaż miało to oczywiście duże znaczenie. Przede wszystkim jednak pełnili na Statku podobne funkcje i to zadecydowało o ich wzajemnym stosunku. Gadacz tłumaczył wszelkie informacje na różne języki; Zasilacz przetwarzał energię na różne rodzaje pokarmu. A poza tym byli trochę do siebie podobni. Gadacz składał się z głównego rdzenia i promieniście rozchodzących się przewodów; Zasilacz z rdzenia i promieniście rozchodzących się macek.

Gadacz uważał Zasilacza za drugiego po sobie na Statku, jeśli chodzi o stopień świadomości. Nie mógł nigdy zrozumieć, jak przebiegają procesy myślowe u innych.

Coraz więcej słońc, coraz więcej planet! Silnik zaczął się przegrzewać. Zwykle używali go tylko do startu, lądowania i precyzyjnego manewrowania Statkiem pośród gęściejszych skupisk planet. Teraz pracował bez przerwy całymi tygodniami i wyczerpanie zaczynało się na nim wyraźnie odbijać.

Zasilacz, pospołu z Doktorem, sprokurowali mu system chłodzący. Był on bardzo prymitywny, ale cóż — musiał wystarczyć. Zasilacz przegrupował atomy azotu, tlenu i wodoru, aby dostarczyć substancji ochładzającej. Doktor zalecił Silnikowi długotrwały odpoczynek. Oświadczył, że bohaterski staruszek nie pociągnie w tej sytuacji dłużej jak tydzień.

W miarę przedłużania się poszukiwań duch wśród Załogi upadał. Stwierdzili, że w przeciwieństwie do płodnych Ścian i Silników, Popychacze należą w galaktyce do rzadkości.

Ściany porysowane od pyłu międzygwiezdnego, narzekały bez przerwy, że zaraz po powrocie będą się musiały poddać gruntownym zabiegom kosmetycznym. Gadacz zapewnił je, że Towarzystwo pokryje związane z tym koszty.

Nawet Oko całe było przekrwione od ciągłego wpatrywania się w przestrzeń.

Znów obniżyli się przelatując nad jakaś planetą. Podali jej charakterystykę Mózgowi, który ją przemyślał.

Zeszli jeszcze niżej i już mogli rozróżnić poszczególne kształty.

Popychacze! Prymitywne Popychacze!

Śmignęli z powrotem w górę, żeby się przygotować. Z tej uroczystej okazji Zasilacz przyrządził dwadzieścia trzy rodzaje różnych trunków.

Przez trzy dni Statek był pijany.

— Gotowi? — spytał wreszcie Gadacz, z lekka skołowany. Miał kaca, którego czuł w koniuszkach wszystkich przewodów. Nieźle sobie

dogodził. Pamiętał mgliście, jak obejmując Silnik proponował mu, żeby po powrocie dzielił z nim jego nowe drzewo.

Wzdrygnął się teraz na samą myśl o tym.

Reszta Załogi też się ledwie trzymała na nogach. Ściany przepuszczały wzdłuż wszystkich krawędzi, zbyt zawiane na to, żeby je porządnie uszczelnić. Doktor leżał nieprzytomny.

Ale najgorzej było z Zasilaczem. Jego organizm mógł się adaptować do każdego rodzaju paliwa, poza atomowym, i Zasilacz próbował wszystkich przyrządzanych przez siebie trunków — czy był to niezrównoważony jod, czysty tlen czy supernaładowany ester. Znajdował się w opłakanym stanie. Jego macki, o tak zwykle zdrowej wodnistej barwie, całe były w pomarańczowe żyłki. Zasilacz w straszliwej męce pozbywał się teraz tego wszystkiego.

Jedynymi trzeźwymi na Statku byli Mózg i Silnik. Mózg nie pił — rzecz niezwykła jak na weterana podróży kosmicznych, chociaż typowa dla niego — Silnik oczywiście nie mógł pić.

Słuchali właśnie Mózgu, który na podstawie podanego przez Oko opisu powierzchni planety informował ich o różnych rewelacjach. Odkrył mianowicie obecność jakiejś metalowej konstrukcji i wystąpił z przerażającą koncepcją, że Popychacze stworzyły na tej planecie cywilizację mechaniczną.

— To niemożliwe — orzekły stanowczo trzy Ściany i większość Załogi była skłonna się z nimi zgodzić. Jedyny metal, z jakim się kiedykolwiek zetknęli, spoczywał głęboko w ziemi albo poniewierał się w postaci pordzewiałego złomu.

— Chcesz powiedzieć, że oni produkują różne rzeczy z metalu? — zapytał Gadacz. — Ze zwykłego martwego metalu? A co by z tego mogli zrobić?

— Nic — odparł Zasilacz kategorycznie. — Wszystko by się ciągle łamało. Bo metal nie wie, jakie są granice jego wytrzymałości.

Ale wszystko wskazywało na to, że Mózg ma rację. Oko powiększyło obraz i mogli teraz zobaczyć obszerne schronienia, pojazdy i inne przedmioty z nie ożywianego materiału, zbudowane przez Popychaczy.

Nie bardzo to wszystko rozumieli, w każdym razie nie był to dobry znak. Ale i tak najgorsze mieli za sobą. Znaleźli wreszcie planetę Popychaczy. Pozostało im jeszcze tylko namówić jednego z mieszkańców planety, by do nich przystał. Ta sprawa jednak nie powinna nastręczać trudności. Gadacz wiedział, że współdziałanie jest naczelną zasadą obowiązującą w całej galaktyce, nawet wśród ludów pierwotnych.

Zdecydowali się nie lądować w rejonie gęsto zaludnionym. Oczywiście nie było powodu spodziewać się nieprzyjaznego przyjęcia, ale nawiązanie kontaktu z Popychaczami jako gatunkiem należało do

Ekipy Kontaktowej. A im zależało na jednym osobniku.

Wybrali więc teren możliwie odludny i wylądowali dopiero, gdy po tej stronie planety zapadły ciemności.

Niemal natychmiast dostrzegli samotnego Popychacza. Oko zaadaptowało się do ciemności i obserwowali wszystkie jego ruchy. Po chwili Popychacz położył się przy niewielkim ognisku. Mózg wyjaśnił im, że jest to typowy dla tych stworzeń sposób odpoczywania.

Tuż przed świtem Ściany się rozstąpiły i ze Statku wyszli Zasilacz, Gadacz i Doktor. Zasilacz ruszył pierwszy i klepnął Popychacza po ramieniu. Gadacz wysunął mackę, aby nawiązać z nim kontakt. Popychacz otworzył swoje narządy wzroku, mrugnął nimi, następnie poruszył otworem gębowym, wreszcie zerwał się na nogi i zaczął uciekać.

Trzej przedstawiciele Załogi byli zdumieni. Popychacz nie zainteresował się nawet, czego od niego chcą.

Gadacz sięgnął gwałtownie jednym ze swoich przewodów i złapał Popychacza z odległości jakichś pięćdziesięciu stóp za jedną nogę. Popychacz upadł.

— Obchodź się z nim ostrożnie! — zawołał Zasilacz. — Mógł się nas przestraszyć. Jego czułki zafalowały na samą myśl o tym, że Popychacz, ze swoimi wielokrotnymi organami, jedno z najdziwniejszych zjawisk w całej galaktyce, mógłby się kogokolwiek przestraszyć.

Zasilacz i Doktor pospieszyli do leżącego, podnieśli go i zaprowadzili do Statku. Ściany rozstąpiły się, a następnie zamknęły za nimi szczelnie. Puścili Popychacza i przygotowali się do rozmowy. Uwolniony, skoczył natychmiast do miejsca, w którym zamknęły się Ściany. Zaczął walić w nie rozpaczliwie, a jego rozchylony otwór gębowy wibrował.

— Uspokój się! — wykrzyknęła Ściana. Wydęła się przewracając Popychacza na ziemię. Poderwał się natychmiast i zaczął biec przed siebie.

— Zatrzymajcie go! — zawołał Gadacz. — Może sobie zrobić krzywdę.

Jeden z Akumulatorów zdołał się rozbudzić na tyle, że zabiegł mu drogę. Popychacz przewrócił się, ale zaraz się podniósł i pobiegł dalej. Przewody Gadacza sięgały aż na dziób Statku; jednym z nich złapał wpół Popychacza. Popychacz zaczął szarpać go za czułki i Gadacz ustąpił natychmiast.

— Podłącz go do sieci! — wykrzyknął Zasilacz. — Może jakoś się z nim dogadamy.

Gadacz zbliżył jeden ze swoich przewodów do głowy Popychacza, kołysząc nim i w ten ogólnie przyjęty sposób sygnalizując chęć porozumienia. Ale Popychacz w dalszym ciągu zachowywał się dziko;

odskoczył jak oparzony wymachując zapamiętale trzymanym w ręku kawałkiem metalu.

— Jak myślisz, co on zamierza z tym zrobić? — zapytał Zasilacz. Popychacz zaatakował jedną ze Ścian, waląc w nią bez opamiętania. Ściana zesztywniała instynktownie i metal trzasnął.

— Zostawmy go — powiedział Gadacz. — Niech się uspokoi.

Gadacz odbył naradę z Mózgiem, ale nie bardzo wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Na włączenie w układ łączności na pewno się nie zgodzi. Ilekroć Gadacz zbliżał do niego któryś ze swoich przewodów, Popychacz zdradzał objawy dzikiej paniki. Znaleźli się chwilowo w impasie.

Mózg odrzucił propozycję złapania innego Popychacza. Uważał zachowanie tego osobnika za typowe, a tym samym wszelkie dalsze próby za bezcelowe. Nawiązaniem kontaktu z całą planetą powinna się zresztą zająć Ekipa Kontaktowa. Jeżeli nie zdołają się porozumieć z tym Popychaczem, nie porozumieją się z żadnym innym z tej planety.

— Wydaje mi się, że wiem, na czym polega kłopot — powiedziało Oko i wpełzło na jeden z Akumulatorów. — Te Popychacze stworzyły tu cywilizację mechaniczną. Ale zastanówmy się, jak do tego doszły. Najpierw zaczęły używać palców, tak jak Doktor, do obróbki metalu. Potem, tak jak ja, zaczęły wykorzystywać swoje organy wzroku. I prawdopodobnie wiele innych narządów. — Oko zawiesiło głos dla uzyskania większego efektu. — Te Popychacze stały się z czasem niewyspecjalizowane.

Przez kilka godzin trwały na ten temat spory. Ściany utrzymywały, że żadna inteligentna istota nie może być niewyspecjalizowana. To się po prostu w galaktyce nie zdarzało. Ale z drugiej strony mieli najlepszy dowód w postaci miast i pojazdów zbudowanych przez Popychacze, nie mówiąc już o osobniku, którego gościli na pokładzie Statku, niewątpliwie zdolnym do mnóstwa rzeczy. Potrafił właściwie robić wszystko poza popychaniem.

Wyjaśnienie Mózgu było połowiczne.

— To nie jest planeta prymitywna. Jest ona stosunkowo stara i od tysięcy lat powinna być włączona w ogólny system współdziałania. Ponieważ jednak nie była, zamieszkujące ją Popychacze wynaturzyły się. Ich wrodzona zdolność, ich specjalność polegała na popychaniu, ale po prostu nie miały co popychać. W konsekwencji rozwinęły kulturę nienormalną dla swego gatunku.

— Na czym dokładnie polega ta kultura, możemy tylko zgadywać. Z tego jednak, cośmy zobaczyli, należy wnosić, że Popychacze są niewspółdziałalne.

Mózg miał zwyczaj wygłaszania najbardziej szokujących opinii z niewzruszonym spokojem.

— Bardzo możliwe — ciągnął nieubłaganie — że te Popychacze

nie zechcą mieć z nami nic wspólnego. W tym wypadku nasza szansa znalezienia następnej planety Popychaczy jest w przybliżeniu jak jeden do dwustu osiemdziesięciu trzech.

— Ale przecież nie możemy mieć pewności, czy nie będzie współdziałał, dopóki go nie podłączymy do sieci. — Gadacz nie był w stanie zrozumieć, jak istota inteligentna może odmówić współdziałania.

— Ale w jaki sposób? — spytał Zasilacz. Błyskawicznie podjęli decyzję. Doktor podszedł wolno do Popychacza, który cofnął się przed nim gwałtownie. Tymczasem Gadacz wystawił jeden ze swoich przewodów na zewnątrz i jak pętlą objął nim Popychacza od tyłu. Popychacz przywarł do Ściany, a wtedy Gadacz wprowadził mu przewód do gniazdka w mózgu.

Popychacz zemdlał.

Kiedy odzyskał przytomność, Zasilacz i Doktor musieli trzymać go za wszystkie odnóża, żeby nie wyrwał przewodu. Gadacz wysilił całą swoją inteligencję, żeby opanować jego język. Nie było to zresztą specjalnie trudne. Wszystkie języki Popychaczy należały do tej samej rodziny, a ten nie stanowił wyjątku. Gadacz szybko na podstawie kilku złapanych myśli Popychacza opracował schemat porozumienia. Ale Popychacz milczał.

— Trzeba go chyba nakarmić — odezwał się Zasilacz. Uświadomili sobie, że minęły już dwa dni, odkąd go przyprowadzili na Statek. Zasilacz przygotował więc porcję standardowego pożywienia Popychaczy i podsunął mu.

— O rany, stek! — wykrzyknął Popychacz.

Przewody Gadacza rozbrzmiały radością całej Załogi. Nareszcie się odezwał!

Gadacz zbadał jego słowa i przeszukał archiwum swojej pamięci. Wiedział o około dwustu językach Popychaczy i o wielu prostych narzeczach. Stwierdził, że ich Popychacz posługuje się mieszaniną dwóch języków.

Tymczasem Popychacz najadł się i rozejrzał dokoła. Gadacz pochwycił jego myśli i przekazał je Załodze. Ich gość miał dziwny sposób patrzenia na Statek. Widział go jako orgię barw. Ściany falowały; przed nim znajdowało się coś w rodzaju ogromnego zielono — czarnego pająka, którego pajęczyna oplatała cały Statek przenikając do głów wszystkich członków Załogi. Oko wydało mu się dziwnym nagim stworzonkiem, czymś pomiędzy odartym ze skóry królikiem a żółtkiem jajka.

Gadacz był zafascynowany nowymi perspektywami, jakie otwierał przed nim umysł Popychacza. Nigdy dotąd nie patrzył na swoje otoczenie w taki sposób. Ale teraz, kiedy Popychacz zwrócił mu na to

uwagę, musiał przyznać, że Oko jest ładnym, miłym stworzonkiem.

Wreszcie nawiązali łączność.

— Kim wy do diabła jesteście? — zapytał Popychacz znacznie już spokojniejszy niż w ciągu ubiegłych dwóch dni. — Dlaczegoście mnie porwali? Czy ja zwariowałem?

— Nie — odparł Gadacz. — Nie cierpisz na żadną psychiczną chorobę. Jesteśmy galaktycznym statkiem handlowym. Burza zniosła nas z kursu i straciliśmy naszego Popychacza.

— Dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną?

— Chcielibyśmy, żebyś się przyłączył do naszej Załogi i zastąpił go.

Po tym wyjaśnieniu Popychacz zastanowił się. Gadacz wyczuwał zamęt w jego myślach. Popychacz nie był pewny, czy to rzeczywistość, czy jakieś przywidzenie. Na koniec zdecydował, że jednak jest przy zdrowych zmysłach.

— Posłuchajcie, chłopcy — powiedział — nie mam pojęcia, kim jesteście i czy to wszystko ma w ogóle jakiś sens. W każdym razie muszę się stąd wydostać. Jestem na urlopie i jeżeli nie wrócę na czas, armia Stanów Zjednoczonych może się niepokoić.

Gadacz poprosił Popychacza o dodatkowe informacje na temat „armii" i przekazał je Mózgowi.

— Te Popychacze stale walczą między sobą — brzmiała konkluzja Mózgu.

— Ale dlaczego? — zapytał Gadacz. Ze smutkiem musiał sam przed sobą przyznać, że Mózg może mieć rację. Popychacz rzeczywiście nie był skory do współdziałania.

— Chętnie bym wam pomógł w tej sytuacji, chłopcy — rzekł Popychacz — ale nie wiem, skąd wam przyszło do głowy, że potrafiłbym popchnąć coś tak ogromnego jak ten Statek. Trzeba by całego dywizjonu czołgów, żeby go ruszyć z miejsca.

— No i wy popieracie te wojny? — zapytał Gadacz, za podszeptem Mózgu.

— Nikt nie lubi wojen, a już najmniej ci, co muszą na nich ginąć.

— No to po co je prowadzicie?

Popychacz zrobił swoim otworem gębowym ruch, który Oko pochwyciło i przekazało Mózgowi.

— Żeby zabić albo zostać zabitym. Wiecie chyba, chłopcy, co to jest wojna, prawda?

— My nie prowadzimy żadnych wojen — odparł Gadacz.

— Szczęściarze — rzekł z goryczą Popychacz. — My owszem, i to dużo.

— Na pewno chciałbyś z tym skończyć — zapytał Gadacz, któremu Mózg zdążył już wszystka wyjaśnić.

— Oczywiście że chciałbym.

— To przyłącz się do nas. Zostań naszym Popychaczem. Popychacz wstał i podszedł do Akumulatora. Usiadł na nim i poskładał swoje górne kończyny.

— A w jaki sposób, do diabła, ja mógłbym skończyć ze wszystkimi wojnami? — zapytał. — Nawet gdybym poszedł do wielkich szyszek i powiedział…

— Nie będziesz musiał — przerwał mu Gadacz. — Zabierz się tylko z nami. Popchnij nas do naszej bazy. Galaktyka wyśle na waszą planetę Ekipę Kontaktową i to na pewno położy kres waszym wojnom.

— Dziwne rzeczy mówicie — odparł Popychacz. — I twierdzicie, chłopcy, żeście tu zabłądzili, co? Niezłe! Nie ma obawy. Żadne potwory nie opanują Ziemi.

Zdumiony Gadacz usiłował zrozumieć tok jego rozumowania. Czyżby powiedział coś niewłaściwego? Czy to możliwe, żeby Popychacz go nie zrozumiał?

— Myślałem, że chciałeś skończyć z wojnami — rzekł Gadacz.

— Owszem, chciałbym. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek nam to narzucał. Nie jestem zdrajcą. I w tym wypadku będę walczył.

— Ale nikt wam tego nie narzuci. Skończycie z wojnami, bo po prostu nie będzie potrzeby się bić.

— A czy wy wiecie, dlaczego my walczymy?

— To jest oczywiste.

— Tak? Ciekawe, jak to rozumiecie.

— Wy, Popychacze, wypadłyście z głównego nurtu życia galaktyki — wyjaśnił Gadacz. — Waszą specjalnością jest pchanie, a tu nie macie co pchać. A tym samym nie macie pracy. Zajmujecie się więc różnymi rzeczami, takimi jak metale czy inne przedmioty nieożywione, ale nie macie z tego właściwie żadnej satysfakcji. Nie znajdując ujścia dla waszego prawdziwego powołania, odczuwacie stały niepokój, który z kolei prowadzi do ustawicznych wojen. Jak tylko znajdziecie swoje miejsce w powszechnym galaktycznym współdziałaniu — a zapewniam cię, że jest to miejsce ważne — wasze wojny ustaną. Po co robić rzeczy sprzeczne z naturą, skoro moglibyście zająć się popychaniem? Znikłaby wtedy wasza mechaniczna cywilizacja wraz z jej potrzebą.

Popychacz potrząsnął głową. Gadacz domyślił się, że niewiele z tego wszystkiego zrozumiał.

— A na czym polega popychanie?

Gadacz wytłumaczył mu najlepiej, jak potrafił. Ponieważ jednak czynność ta nie wchodziła w zakres jego kompetencji, miał jedynie ogólne pojęcie o tym, co należy do Popychacza.

— Chcesz powiedzieć, że to jest to, co powinien robić każdy Ziemianin?

— Oczywiście — odparł Gadacz. — To jest wasza wielka

specjalność.

Popychacz zastanawiał się nad tym przez kilka minut.

— Wydaje mi się, że wy potrzebujecie fizyka albo telepatyka czy kogoś w tym rodzaju. A ja się do niczego takiego nie nadaję. Ja jestem świeżo upieczonym architektem. No i poza tym… cóż… to trudno wyjaśnić.

Ale Gadacz już zrozumiał przyczynę wahań Popychacza. Dostrzegł w jego myślach samicę. Nie jedną — dwie, nawet trzy. No i uczucie obcości, osamotnienia. Popychacz pełen był wątpliwości. Bał się.

— Kiedy wrócimy do galaktyki — powiedział w nadziei, że o to właśnie chodzi — spotkasz się z innymi Popychaczami. Będą wśród nich i samice. Wy, Popychacze, jesteście do siebie bardzo podobni, będziecie się mogli zaprzyjaźnić. A jeśli chodzi o uczucie osamotnienia na Statku, to możesz się nie obawiać. Po prostu nie rozumiesz jeszcze istoty współdziałania. We współdziałaniu nikt nie jest osamotniony.

Popychacz w dalszym ciągu rozważał możliwość zetknięcia się ze swoimi pobratymcami. Gadacz nie mógł pojąć, dlaczego tak go to dziwi. Cała galaktyka była przecież zaludniona Popychaczami, Gadaczami, Zasilaczami i wielu innymi gatunkami.

— Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek byłby w stanie położyć kres wojnom — odezwał się Popychacz. — Skąd mogę wiedzieć, czy nie kłamiecie?

Gadacz był bliski załamania. Mózg miał najwidoczniej rację twierdząc, że Popychacze są niewspółdziałalne. Czyżby to miał być ich koniec? Czy on i cała Załoga mają przez głupotę bandy Popychaczy spędzić resztę życia w przestrzeni kosmicznej?

Ale nawet mimo takich myśli potrafił współczuć Popychaczowi. To musi być jednak straszne — ciągłe wątpliwości, wieczna niepewność, brak zaufania do wszystkich. Jeżeli Popychacze nie odnajdą swojego miejsca w galaktyce, prędzej czy później wyginą. Od dawna powinny się włączyć w ogólnogalaktyczne współdziałanie.

— Jak mam cię przekonać? — zapytał Gadacz.

W ostatecznej rozpaczy otworzył przed Popychaczem wszystkie swoje obwody: pokazał mu dobroduszną gburowatość Silnika, beztroski humor Ścian, poetyckie próby Oka, próżną, ale w gruncie rzeczy poczciwą naturę Zasilacza. Otworzył swój umysł i roztoczył przed Popychaczem widok swojej ojczystej planety, swojej rodziny i drzewa, które zamierzał kupić po powrocie do domu.

Obrazy te opowiadały o nich wszystkich, mieszkańcach różnych planet, reprezentujących najróżniejsze etyki, złączonych silnymi więzami galaktycznego współdziałania.

Popychacz oglądał to wszystko w milczeniu. Na koniec potrząsnął głową. Myśl towarzysząca temu gestowi była niepewna, słaba, ale — negatywna.

Gadacz polecił Ścianom, żeby się rozstąpiły. Ściany usłuchały i Popychacz patrzył na to w zdumieniu.

— Możesz sobie iść — powiedział Gadacz — wyciągnij tylko przewód z głowy i idź.

— A wy co zrobicie?

— Poszukamy innej planety Popychaczy.

— Gdzie? Mars? Wenus?

— Nie wiemy. Nie pozostaje nam nic innego, jak ufać, że gdzieś w tym rejonie jest jeszcze jakaś planeta Popychaczy.

Popychacz spojrzał na ziejący przed nim otwór, a potem z powrotem na Załogę. Zawahał się; jego twarz wykrzywiła się w grymasie niezdecydowania.

— Czy wszystko to, co mi pokazałeś, to prawda? — Odpowiedź była zbędna.

— Dobra — oświadczył nagle Popychacz — zostaję z wami. Jestem skończonym idiotą, ale zostaję. Jeśli o to wam chodzi — a przecież musi wam o to chodzić.

Gadacz widział, że pod wpływem męki związanej z podjęciem tej decyzji Popychacz utracił kontakt z rzeczywistością. Wydawało mu się, że śni sen, w którym decyzje są łatwe i bez większego znaczenia.

— Jest tylko jeden szkopuł — rzekł Popychacz z lekkim odcieniem histerii w głosie. — Niech mnie diabli wezmą, chłopcy, jeśli mam chociaż blade pojęcie, jak się popycha. Mówiliście coś zdaje się o przekroczeniu prędkości światła. Ja bym nie zrobił nawet mili na godzinę.

— Ale ty musisz umieć popychać — zapewnił go Gadacz mając nadzieję, że się nie myli. Ogólnie rzecz biorąc, znał możliwości Popychaczy, ale czy akurat ten… — Po prostu spróbuj.

— Jasne — zgodził się Popychacz. — Prędzej czy później muszę się obudzić z tego snu.

Ściany zamknęły się przed startem, a Popychacz mówił do siebie:

— To śmieszne, myślałem, że najprzyjemniejszą formą spędzenia urlopu będzie camping, a tymczasem zamiast odpoczynku mam jakieś koszmarne przywidzenia!

Silnik poderwał Statek do góry, a Oko prowadziło ich w Kosmos coraz dalej od planety.

— Jesteśmy już teraz w otwartej przestrzeni kosmicznej — powiedział Gadacz. Przysłuchiwał się słowom Popychacza, pełen obaw, czy tamtemu nie pomieszało się w głowie. — Oko i Mózg będą mi podawały kierunek, ja ci go będę przekazywał, a ty będziesz zgodnie z nim popychał.

— Chyba jesteś nienormalny — burknął Popychacz. Musieliście trafić na niewłaściwą planetę. Chciałbym, żeby się wreszcie ten koszmar skończył.

— Zostałeś włączony do współdziałania — powiedział zrozpaczony Gadacz. Oto nasz kierunek. Popychaj!

Przez chwilę Popychacz nie robił nic. Powoli jednak otrząsnął się z oszołomienia, dochodząc do wniosku, że to mimo wszystko rzeczywistość. Poczuł współdziałanie Oka z Mózgiem, Mózgu z Gadaczem, Gadacza z Popychaczem, a równocześnie wszyscy połączeni byli ze Ścianami i między sobą.

— Co to? — Popychacz odczuł jedność Statku, ogarniające go ciepło i bliskość, jaką można osiągnąć jedynie we współdziałaniu.

Spróbował pchnąć. Nic.

— Spróbuj jeszcze raz — żebrał Gadacz.

Popychacz badał swój umysł. Spoglądał w otchłań wątpliwości i strachu. Na jej dnie zobaczył własną udręczoną twarz.

Mózg wyjaśnił mu ten obraz.

Popychacze żyły z tymi wątpliwościami i strachem od wieków. Walczyły ze strachu, zabijały z wątpliwości.

Oto, co się stało z ich prawdziwym powołaniem! Człowiek-Specjalista-Popychacz zespolił Załogę, stał się jednym z nich, przycisnął do serca Mózg i Gadacza.

Nagle Statek wystrzelił z szybkością ośmiokrotnie przekraczającą prędkość światła, stale przyspieszając.

Przekład: Zofia Uhrynowska-Hanasz

Kir Bułyczow
WYBÓR

Выбор (Wybor)

Było duszno, chciałem zrobić przeciąg, ale ciągle ktoś zamykał drzwi. Byłem zmęczony. Do tego stopnia, że prawie przez około pięć minut, zanim podniosłem słuchawkę, starałem się wymyślić prawdopodobną wymówkę, która pozwoli mi nie umówić się na dzisiaj z Katrin. A potem, kiedy wykręciłem numer, wyobraziłem sobie, jak Katrin zaraz powie, że nie może się ze mną spotkać, ponieważ ma zebranie. Katrin podniosła słuchawkę i powiedziała, że mogłem zadzwonić trochę wcześniej. Obok stolika z telefonem zatrzymał się Krogius, położył na blacie torbę z konserwami i cukrem — wybierał się na letnisko. Stał przy telefonie i czekał, żebym skończył rozmowę. Patrzył na mnie błagalnie. Katrin mówiła cicho.

— Co? — zapytałem. — Mów głośniej.

— Za czterdzieści minut — powiedziała Katrin. — Tam, gdzie zawsze.

— No widzisz — powiedziałem do Krogiusa, odkładając słuchawką. — Teraz możesz dzwonić.

— Dziękuję — powiedział Krogius. — Żona za moment wychodzi z pracy.

Przy wejściu do laboratorium czekała na mnie panienka z biblioteki. Powiedziała, że od dwóch lat zalegam ze składkami na Czerwony Krzyż i że mam zablokowany abonament w bibliotece, ponieważ nie oddałem ośmiu książek. Zupełnie zapomniałem o tych książkach. Co najmniej dwie z nich pożyczył ode mnie Suren. A Suren wyjechał do Armenii.

— Czy weźmie pan udział w „żywej gazecie”? — zapytała panienka z biblioteki.

— Nie — powiedziałem i uśmiechnąłem się do niej uśmiechem Łanowego albo Jeana Paula Belmondo.

Panienka oświadczyła, że jestem wielkim aktorem, tylko szkoda, że się nie chcę uczyć, a ja odpowiedziałem, że nie mam się po co uczyć, bo i tak wszystko umiem.

— Pan jest taki miły — powiedziała panienka. — Taki dobry.

— To nieprawda — powiedziałem. — Ja tylko udaję.

Panienka nie uwierzyła i odeszła prawie szczęśliwa, chociaż powiedziałem jej prawdę. Ja tylko udawałem. Było duszno. Poszedłem piechotą na plac Puszkina, żeby zabić czas. Przy filharmonii Czajkowskiego sprzedawali w kiosku goździki, ale goździki były

marne, a poza tym pomyślałem, że jeżeli pójdziemy gdzieś z Katrin, będę wyglądał jak amant. Ogarnęło mnie głupie uczucie, że wszystko już kiedyś było. I ten osowiały dzień. I Katrin, która czeka na mnie na długiej półokrągłej ławce, a u stóp Puszkina stoją doniczki z przywiędłymi kwiatami i leży wypłowiały bukiecik chabrów.

Tak, wszystko już było. Nawet chabry. Ale Katrin spóźniała się, więc usiadłem na wolnym brzegu ławki; z tej strony nie było cienia i dlatego nikt tu nie siadał. W cieniu tłoczyli się niemieccy turyści z zakupami, a dalej na przemian emeryci i tacy jak ja, którzy czekali. Jeden staruszek głośno mówił do sąsiada.

— To zbrodnia siedzieć w Moskwie w taką pogodę. To zbrodnia.

Złościł się, jakby tej zbrodni był ktoś winien. Katrin przyszła nie sama. Za nią, a raczej obok niej, szedł potężny, szeroki w barach mężczyzna z bródką nieumiejętnie przylepioną do podbródka i policzków. Bródka nadawała mu wygląd oszusta. Mężczyzna był w białej furażerce i gdyby było nieco chłodniej, na pewno włożyłby zamszową marynarkę. Patrzyłem na mężczyznę, ponieważ na Katrin patrzeć nie miałem powodu. Katrin i tak znałem. Jest podobna do młodego doga.

Katrin odnalazła mnie, podeszła i usiadła. Mężczyzna również usiadł. Katrin udała, że «mnie nie zna, więc nie patrzyłem w jej stronę. Mężczyzna powiedział:

— Bardzo tu gorąco. Takie słońce. Można dostać udaru słonecznego.

Katrin patrzyła prosto przed siebie, a tamten zachwycał się jej profilem. Miał ochotą dotknąć jej ręki, ale nie starczyło mu śmiałości i jego palce niechcący zawisły nad dłonią Katrin. Mężczyzna miał mokre czoło i lśniące, policzki.

Katrin odwróciła się od niego, jednocześnie cofnęła rękę, i nie patrząc na mnie powiedziała samymi wargami.

— Zmień się w pająka. Przestrasz go śmiertelnie. Tylko tak, żebym ja nie widziała.

— Pani coś mówiła? — zapytał mężczyzna i dotknął jej łokcia. Jego palce zamarły, kiedy musnęły chłodną skórę.

Pochyliłem się do przodu, żeby mu spojrzeć w oczy i zamieniłem się w wielkiego pająka. Mój odwłok miał pół metra długości, a łapy ponad metr. Wymyśliłem sobie żuchwy, które wyglądały jak krzywe piły wysmarowane cuchnącym jadem. A na plecach ulokowałem rojowisko pajęczych dzieci. Dzieci również poruszały żuchwami i ociekały jadem.

Mężczyzna nie od razu zrozumiał, co się stało. Zmrużył oczy, ale nie cofnął ręki z łokcia Katrin. Wobec tego zamieniłem Katrin w pajęczycę i zmusiłem go, aby poczuł pod palcami chłód szarego chitynowego pancerza. Mężczyzna przycisnął do piersi rozczapierzone

palce, a wolną dłonią pomachał przed oczami.

— Do diabła — powiedział. Wydało mu się, że zachorował. Podobnie jak inni potężnie zbudowani mężczyźni był hipochondrykiem. Zmusił się, aby jeszcze raz spojrzeć w moją stronę i wtedy wyciągnąłem do niego moje przednie szponiaste łapy. I mężczyzna uciekł. Wstydził się ucieczki, ale nie mógł opanować strachu.

Niemcy złapali się za torby z zakupami. Staruszkowie patrzyli w ślad za nim. Katrin roześmiała się.

— Dziękuję — powiedziała. — Świetnie ci to wychodzi.

— On by nie uciekł — powiedziałem — gdybym cię nie przemienił w pajęczycę.

— Jak ci nie wstyd!

— Dokąd pójdziemy? — zapytałem.

— Dokąd zechcesz — powiedziała Katrin.

— Dzisiaj jest strasznie duszno. Gdzie on się do ciebie przyczepił?

— Pod kinem. Powiedziałam mu, że idę na spotkanie z mężem, ale potem postanowiłam go ukarać, bo był okropnie pewny siebie. Może pójdziemy do parku? Napijemy się piwa.

— Dzisiaj tam będzie straszny tłok — powiedziałem.

— Dziś piątek. Sam mówiłeś, że w piątki wszyscy rozsądni ludzie wyjeżdżają za miasto.

— Jak sobie życzysz.

— W takim razie chodźmy łapać taksówkę.

Na postoju była straszna kolejka. Słońce opadło na dachy i wydawało się, że jest zbyt blisko ziemi.

— Zrób coś — powiedziała Katrin. Wyszedłem z kolejki i zacząłem łapać łebka.

Nigdy tego nie robię, chyba tylko dla Katrin. Na rogu zobaczyłem pusty samochód i przemieniłem się w Jurija Nikulina.

— Dokąd? — zapytał szofer, kiedy wsunąłem w okienko głowę Nikulina.

— Na Sokolniki.

— Siadaj, Jura — powiedział szofer. Zawołałem Katrin, a ona zapytała mnie, kiedy szliśmy do samochodu, w kogo się zmieniłem.

— W Jurija Nikulina.

— Słusznie — powiedziała Katrin. — Kierowca będzie dumny, że jechałeś jego samochodem.

— Przecież wiesz…

— To był żart — powiedziała Katrin.

— Jakoś dawno cię nie pokazywali w kinie — powiedział szofer rozkoszując się moją bliskością.

— Mam wiele pracy w cyrku — odparłem.

Cały czas musiałem o nim myśleć, chociaż wolałbym patrzeć na

Katrin. Katrin uśmiechała się. Przygryzła dolną wargę i koniuszki ostrych zębów wbiły się w różową skórę. Szofer był gadatliwy, dałem mu rubla, a on powiedział, że zachowa go na pamiątkę.

Pod wielkimi drzewami przy wejściu panował chłód i wszystkie ławki były zajęte. Dalej za okrągłym basenem wznosiła się kopuła, którą zostawili tu Amerykanie, kiedy urządzali wystawę. Teraz również tu była wystawa „Inter-cośtam-71". Pomyślałem, że jeżeli Garów przeczyta do poniedziałku mój i Kriogusa referat, to we wtorek przyjdzie do laboratorium. Krogius nie zdawał sobie sprawy, jak narozrabialiśmy. Ja tak.

— Chodźmy na lewo — powiedziała Katrin. W lasku, poprzecinanym ścieżkami, pod jakimś dawno nie malowanym płotem Katrin rozścieliła dwie gazety i usiedliśmy na trawie. Katrin zachciało się piwa, wyjąłem butelkę z teczki. Kupiłem ją po drodze z pracy, ponieważ pomyślałem, że Katrin będzie miała ochotę na niwo. Nie miałem czym otworzyć butelki, więc poszedłem w stronę płotu, żeby zerwać kapsel o sztachety. Wzdłuż płotu biegł wielki rów i pomyślałem sobie, że mógłbym przez ten rów przelecieć, nie przeskoczyć, tylko przelecieć. Ale na ścieżce pojawiły się dwie kobiety z dziećmi w wózkach, więc przeskoczyłem przez rów.

— Czy chciałabyś latać? — zapytałem Katrin.

Katrin spojrzała mi prosto w oczy i zobaczyłem, jak jej źrenice zrobiły się maleńkie, kiedy w nie zajrzało słońce.

— Nic nie rozumiesz — powiedziała. — Nie umiesz czytać myśli.

— Nie umiem — powiedziałem.

Piliśmy piwo przekazując sobie butelkę jak fajkę pokoju.

— Strasznie gorąco — powiedziała Katrin. — A to dlatego, że nie pozwalasz mi upinać włosów.

— Ja?

— Powiedziałeś, że bardziej ci się podobam z rozpuszczonymi włosami.

— Podobasz mi się niezależnie od fryzury.

— Ale z rozpuszczonymi włosami bardziej.

— Z rozpuszczonymi bardziej. Przyjąłem jej ofiarę.

Katrin siedziała z ręką opartą o trawę, a rękę miała szczupłą i silną.

— Katrin — powiedziałem. — Wyjdź za mnie za mąż. Kocham się.

— Nie wierzę ci — powiedziała Katrin.

— Nie kochasz mnie.

— Jesteś głupi — powiedziała Katrin.

Pochyliłem się nisko i pocałowałem po kolei jej smukłe opalone palce. Katrin położyła mi na karku drugą dłoń.

— Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie za mąż? Będę dla ciebie

zawsze okropnie przystojny. Jak aktor filmowy.

— Zmęczysz się — powiedziała Katrin.

— A więc?

— Nigdy nie wyjdę za ciebie — powiedziała Katrin. — Jesteś przybyszem z kosmosu, niebezpiecznym, obcym człowiekiem.

— Wychowałem się w Domu Dziecka — powiedziałem. — Wiesz o tym. I obiecują ci, że nigdy nie będę nikogo hipnotyzować. Ciebie tym bardziej.

— Czy coś mi wmawiałeś?

Cofnęła dłoń z mojego karku i poczułem, jak jej palce zawisły w powietrzu.

— Tylko wtedy, kiedy sama prosiłaś. Kiedyś cię ząb bolał. Pamiętasz? I kiedy chciałaś zobaczyć żyrafę na placu Komsomolskim.

— Nie próbowałeś mi wmówić, że cię kocham?

— Nie opowiadaj głupstw i połóż dłoń tam, gdzie była. Tak mi wygodniej.

— Nie kłamiesz?

— Ja chcę, żebyś mnie naprawdę kochała. Dłoń powróciła na miejsce i Katrin powiedziała:

— Nie wierzę ci.

Wypiliśmy piwo i postawiliśmy butelką na widoku, żeby ten, komu się przyda, znalazł ją i sprzedał. Rozmawialiśmy na zupełnie błahe tematy, nawet o ojczymie Tatiany, o Wice i o ludziach, którzy przechodzili obok i patrzyli na nas. Wyszliśmy z parku, kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno, długo staliśmy w kolejce do taksówek, a kiedy odprowadziłem Katrin pod jej dom, nie chciała mnie pocałować na pożegnanie i w ogóle nie dogadaliśmy się w sprawie przyszłości.

Poszedłem do domu piechotą, było mi smutno, wymyśliłem więc perpetuum mobile, a potem udowodniłem, że ono i tak nie będzie pracować. Dowód był bardzo trudny i prawie zapomniałem o Katrin, kiedy znalazłem się na mojej ulicy. I wtedy zrozumiałem, że kiedy przyjdę do domu, zadzwoni telefon i Krogius powie, że niczego nie osiągniemy. Nie chciało mi się obchodzić długiego gazonu i postanowiłem przelecieć górą. Latać było niełatwo, ciągle traciłem równowagę i nie zdecydowałem się wlecieć do siebie na trzecie piętro, chociaż okno było otwarte. Wszedłem po schodach.

Kiedy otworzyłem drzwi, poczułem, że ktoś siedzi w ciemnym pokoju i czeka na mnie. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i bez pośpiechu zamknąłem je na łańcuch. Potem zapaliłem światło w przedpokoju. Człowiek, który siedział po ciemku, wiedział, że czuję jego obecność, ale się nie poruszył. Zapytałem:

— Dlaczego pan siedzi bez światła?

— Zdrzemnąłem się — odparł człowiek. — Długo pana nie było.

Wszedłem do pokoju, przycisnąłem guziczek kontaktu i

powiedziałem: — Może zaparzyć kawy?

— Tylko dla siebie. Ja nie będę pił. Promieniowało od niego poczucie własnej wartości. Ociekał godnością. Dlatego ja również stałem się niezmiernie dostojny i wmówiłem mu, że mam granatowy krawat w paseczki. Gość uśmiechnął się i powiedział:

— Szkoda pańskich wysiłków. Niech pan lepiej zaparzy kawę.

Poszedł za mną do kuchni, wyjął z kieszeni zapałki i zapalił gaz, kiedy wsypywałem kawę do ekspresu.

— Czy nie czuje się pan samotny? — zapytał.

— Nie.

— Nawet dziś?

— Dziś tak.

— Dlaczego pan się do tej pory nie ożenił?

— Dziewczęta nie chcą mnie kochać.

— A może przywykł pan do samotności?

— Może.

— Ale ma pan przyjaciół.

— Mam wielu przyjaciół.

— Ale przyjaciół nie obchodzi, co się z panem dzieje?

— Nieprawda. A jak pan wszedł do mieszkania?

Człowiek wzruszył ramionami i powiedział:

— Wleciałem. Okno było otwarte.

Stał z głową przechyloną na bok i wpatrywał się we mnie, jakby oczekiwał, że wyrażę zdziwienie. Ale ja się nie zdziwiłem, ponieważ sam omal nie zrobiłem tego samego — bałem się tylko, że stracę równowagę i uderzę o balustradę balkonu. Człowiek ze skruchą pokręcił głową i powiedział:

— Nie ma wątpliwości — i poprawił binokle. Mógłbym przysiąc, że trzy minuty temu nie miał na nosie żadnych binokli. Wlałem kawę do filiżanki, wziąłem paczkę wafli i poprosiłem gościa do pokoju. Zmęczył mnie upał i rozmowy, które do niczego nie prowadzą.

— Niech pan zdejmie buty — powiedział gość demonstrując troskliwość. — Nogi muszą odpocząć.

— Jest pan niezmiernie uprzejmy — powiedziałem. — Ale jeśli można, najpierw wypiję kawę, bo jestem senny.

Człowiek przeszedł przez pokój, zatrzymał się przed półką i przesunął palcem po grzbietach książek, niby kijem po sztachetach.

— A więc — powiedział rzeczowym tonem. — Niejednokrotnie zadawał pan sobie pytanie, czemu jest pan inny niż wszyscy. I odpowiedzi na to pytanie pan nie znalazł. Jednocześnie coś powstrzymywało pana od tego, aby zwrócić się do lekarza.

— Jestem taki, jak wszyscy — powiedziałem i pomyślałem, że trzeba było go posłuchać i zdjąć buty.

— Już w Domu Dziecka uczył się pan lepiej niż pana rówieśnicy.

Znacznie lepiej. Zadziwiał pan swoich nauczycieli.

— Drugie miejsce na olimpiadzie matematycznej — powiedziałem. — Ale nauczycieli nie zadziwiałem. I medalu nie dostałem.

— Medalu nie zdobył pan celowo — powiedział gość. — Pan się wstydził swoich zdolności. Pan nawet przekonał Krogiusa, że jest on pełnoprawnym współautorem waszej pracy. A to nieprawda. Dysponuje pan potężną siłą przekonywania. Może pan wmówić każdemu człowiekowi diabli wiedzą co.

— A panu? — zapytałem.

— Mnie nie — odparł mój gość i zamienił się w niewielki pomnik ojca sztuki drukarskiej Iwana Fiodorowa.

— To interesujące — powiedziałem. — Teraz pan powie, że jest pan moim krewnym i że łączą nas niewidzialne związki genetyczne.

— Słusznie — powiedział gość. — Gdyby tak nie było, pan by się nie domyślił, że czekam na pana, wyraziłby pan co najmniej zdziwienie, widząc nieznajomego człowieka w zamkniętym mieszkaniu. Zdziwiłby się pan słysząc, że wleciałem przez okno na trzecim piętrze. A propos, czy już pan umie latać?

— Nie wiem — przyznałem. — Dziś próbowałem pierwszy raz. A co ja jeszcze umiem robić?

— Wystarczy ci spojrzeć na stronę książki, żeby zapamiętać tekst, dodajesz, mnożysz, wyciągasz pierwiastki tak łatwo, że mógłbyś z powodzeniem występować na scenie, możesz nie jeść przez kilka dni, zresztą nie spać również.

— Chociaż lubię robić jedno i drugie.

— Przyzwyczajenie — chłodno powiedział gość. — Wpływ środowiska. W Domu Dziecka pilnowano, żeby wszystkie dzieci spały w nocy. Umiesz widzieć związek między faktami i zjawiskami pozornie nie mającymi ze sobą nic wspólnego. W tutejszych kategoriach jesteś geniuszem. Chociaż nie wszystkie swoje zdolności umiesz wykorzystać, a niektórych zresztą nawet nie podejrzewasz.

— Na przykład? — zapytałem.

Gość niezwłocznie rozwiał się w powietrzu i zmaterializował się za moimi plecami w otwartych drzwiach. Potem bez pośpiechu podszedł do półki, wyjął słownik angielsko-rosyjski i rzucił nim w górę. Słownik zastygł w powietrzu.

— To wszystko jest jeszcze przede mną? — zapytałem bez szczególnego entuzjazmu.

— To jeszcze nie wszystko.

— Jeśli o mnie chodzi, to mi wystarczy.

— Jeżeli będziesz się uczył. Jeżeli powrócisz do naturalnego środowiska. Jeśli znajdziesz się wśród sobie podobnych.

— Tak — powiedziałem. — To znaczy, że jestem mutantem.

Skaza genetyczna. I do tego nie jestem wyjątkiem.

— To nie tak — powiedział gość. — Po prostu jesteś tu obcy.

— Tu się urodziłem.

— Nie.

— Urodziłem się na wsi. Moi rodzice zginęli w czasie pożaru lasu. Strażacy znaleźli mnie i przywieźli do miasta.

— Nie.

— W takim razie niech pan powie.

— Powinniśmy byli znaleźć cię wcześniej. Ale to było niełatwe. Myśleliśmy, że nikt nie uszedł z życiem. To był statek zwiadowczy. Kosmiczny statek. Tam byli twoi rodzice. Statek uległ katastrofie. Spłonął. Zdążyli cię wyrzucić ze statku. Spalił się las. Strażacy, którzy cię znaleźli całego i zdrowego, nie wiedzieli, że do końca pożaru chroniło cię pole siłowe.

Słuchałem go, ale dręczyło mnie coś zupełnie innego.

— Proszę mi powiedzieć — poprosiłem — jaki ja jestem naprawdę?

— Czy chcesz wiedzieć, jak wyglądasz?

— Tak.

Gość przeistoczył się w opływową substancję, półprzeźroczystą, zmieniając kolor i kształt, nie pozbawioną wszelako pewnej gracji.

— To również złudzenie?

— Nie.

— Ale przecież ja się nie staram być człowiekiem. Ja jestem człowiekiem.

— W przeciwnym razie nie mógłbyś wyżyć na Ziemi. Myśleliśmy, że zginąłeś. A ty się przystosowałeś.

— Będą musiał odlecieć z panem? — zapytałem.

— Rozumie się — powiedział gość — Przecież mi wierzysz?

— Wierzę — powiedziałem — tylko przedtem zadzwonię do Krogiusa.

— Nie trzeba — powiedział gość. — To, coście zrobili z Krogiusem, na razie nie jest Ziemi potrzebne. Ludzie nie zrozumieją was. Uczeni was wyśmieją. Jestem w ogóle zdumiony, że potrafiłeś zarazić Krogiusa wiarą w ten pomysł.

— Ale przecież to jest realne?

— Jest. Za sto lat na Ziemi dojdą do tego. Naszą rzeczą jest nie wtrącać się.

Podniosłem słuchawkę telefonu.

— Prosiłem, żebyś nie dzwonił do Krogiusa.

— Dobrze — powiedziałem. I nakręciłem numer Katrin. Gość położył dłoń na widełkach. Znowu przybrał ludzką postać.

— To już jest skończone — powiedział. — I samotność. I konieczność życia wśród istot na o wiele niższym szczeblu rozwoju.

Pod każdym względem. Gdybym cię nie znalazł, musiałbyś zginąć. Jestem tego pewien. A teraz musimy się śpieszyć. Statek czeka. Nie tak łatwo przylecieć na koniec galaktyki. I nie tak często pojawiają się tu nasze statki. Zamknij mieszkanie. Nie od razu zorientują się, że cię nie ma.

Kiedy wychodziliśmy, już na schodach usłyszałem, że dzwoni telefon. Zrobiłem krok do tyłu.

— To Krogius — powiedział gość. — Rozmawiał z Gurowem i ten rozbił w proch i pył waszą koncepcję. Teraz Krogius zapomni o wszystkim. Niedługo zapomni.

— Wiem — powiedziałem — to był Krogius. Do statku dolecieliśmy szybko. Wisiał nad krzakami, niewielki, półprzeźroczysty, na pierwszy rzut oka absolutnie nie przystosowany do dalekich podróży. Wisiał nad krzakami w Sokolnikach i nawet się obejrzałem w nadziei, że zobaczę pustą butelkę po piwie.

— Pożegnalne spojrzenie? — zapytał gość.

— Tak — potwierdziłem.

— Spróbuj przezwyciężyć smutek, który cię ogarnia — powiedział gość. — Ten smutek zrodziło nie rozstanie, lecz niepewność i to, że nie możesz zajrzeć w przyszłość. Jutro będziesz się uśmiechał na myśl o maleńkich radościach i maleńkich nieprzyjemnościach, które cię tutaj otaczały. Nieprzyjemności było więcej.

— Więcej — zgodziłem się i ciepłą miękkością otuliło mnie powietrze statku.

— Startujemy — powiedział gość. — Nie poczujesz przeciążenia. Przyjrzyj mi się uważniej. Twoja ziemska powłoka nie chce cię opuścić.

Gość przelewał się perłowymi falami dotykając przyrządów na pulpicie sterowniczym.

Poprzez na wpół przezroczystą podłogę statku zobaczyłem, jak coraz szybciej i szybciej ucieka w dół ciemna zieleń parku, jak zbiegają się ze sobą i robią coraz mniejsze sznureczki ulicznych świateł i gwiazdozbiory okien. I Moskwa przekształciła się w jasną plamę na czarnym ciele Ziemi.

— Nigdy nie pożałujesz — powiedział gość. — Włączę muzykę i zrozumiesz, jakich wyżyn może dosięgnąć rozum zwrócony ku doskonałości.

Muzyka pojawiła się od środka, wpłynęła do statku, uniosła nas i pomknęła ku gwiazdom, i była tak doskonała, jak doskonałe jest gwiaździste niebo. To była ta doskonałość, do której ciągnęło mnie nocami w chwilach zmęczenia i rozdrażnienia.

I usłyszałem, jak znowu dzwoni telefon w porzuconym nie sprzątniętym mieszkaniu, telefon, którego słuchawka była omotana taśmą izolacyjną, ponieważ kiedyś któryś z podpitych przyjaciół

zrzucił aparat ze stołu, żeby zrobić miejsce dla szachownicy.

— Idę — powiedziałem do gościa.

— Nie — odparł tamten. — Za późno na powrót. Zresztą powroty w przeszłość są bezsensem. W daleką przeszłość.

— Do widzenia — powiedziałem.

Opuściłem statek, ponieważ tego wieczora nauczyłem się wielu rzeczy, których istnienia przedtem nawet nie podejrzewałem.

Ziemia zbliżała się i Moskwa znowu przemieniła się w bezgraniczne morze świateł. I z trudem odszukałem swój czteropiętrowy blok, tak bliźniaczo podobny i smutny w szeregu współbraci.

Dogonił mnie jego głos.

— Przez całe życie będziesz dążył do nas, do mnie. Ale będzie za późno. Opamiętaj się. Nie wolno ci wracać.

Drzwi balkonowe były otwarte. Telefon już zamilkł. Znalazłem go po omacku, nie zapalając światła. Zadzwoniłem do Katrin i zapytałem:

— Dzwoniłaś do mnie, Katiuszka?

— Zwariowałeś — powiedziała Katrin. — Jest pierwsza w nocy. Wszystkich sąsiadów obudzisz.

— To ty dzwoniłaś?

— To na pewno twój zwariowany Krogius. Szukał cię po całym mieście. Ma jakieś nieprzyjemności.

— Szkoda — powiedziałem.

— Krogiusa?

— Nie, szkoda, że to nie ty dzwoniłaś.

— A dlaczego powinnam dzwonić?

— Żeby powiedzieć, że zgadzasz się wyjść za mnie za mąż.

— Zwariowałeś. Przecież ci powiedziałam, że nigdy nie wyjdę za przybysza z kosmosu i moralnego potwora, który może we mnie wmówić, że jest Jeanem Paulem Belmondo.

— Nigdy?

— Idź spać — powiedziała Katrin. — Inaczej cię znienawidzę.

— O której kończysz pracę?

— To nie twoja sprawa. Mam randkę.

— Masz randkę ze mną — powiedziałem surowo.

— No dobrze, z tobą — powiedziała Katrin. — Tylko nie wyobrażaj sobie zbyt wiele.

— W tej chwili prawie nie jestem w stanie wyobrazić sobie czegokolwiek.

— Całuję cię — powiedziała Katrin. — Zadzwoń do Krogiusa. Uspokój go, bo on oszaleje.

Zadzwoniłem do Krogiusa i uspokoiłem go.

Potem zdjąłem buty i już zasypiając, przypomniałem sobie, że skończyła mi się kawa i jutro muszę koniecznie wpaść do sklepu na

Kirowską i odstać tam gigantyczną kolejkę.

Przełożyła Irena Lewandowska

John Wyndham
BIURO TURYSTYCZNE PAWLEYA

Peepholes

Pokazałem Sally wzmiankę w Westwich Evening News.

— Co o tym sądzisz? — spytałem.

Czytała, stojąc, z wyrazem niecierpliwości na ładnej buzi.

— Nie wierzę w to — powiedziała wreszcie.

Zasady wiary i niewiary Sally są czymś, w czym trudno md się połapać. Sally potrafi odrzucić najbardziej oczywiste dowody, tak jakby były tyle warte co para z imbryka, a równocześnie dać się nabrać na jakieś ogłoszenie, które od początku do końca pachnie czystym łgarstwem, tak oczywistym jak matka ziemia. Po prostu nie jestem w stanie tego zrozumieć.

Wzmianka w gazecie brzmiała:

KONCERT Z DRESZCZYKIEM

Stali bywalcy koncertów w Adams Hall byli zdumieni ubiegłego wieczoru, kiedy w czasie wykonywania jednej z pozycji programu ujrzeli parę nóg huśtających się u sufitu. Widziała je cała widownia i wszyscy świadkowie są co do tego zgodni, że były to gołe nogi, a na nich coś, co przypominało sandały. Widoczne były mniej więcej trzy — cztery minuty i w tym czasie przesuwały się wielokrotnie tam i z powrotem po suficie. Uczyniwszy wreszcie ruch kopnięcia zniknęły w suficie i już ich więcej nie widziano. Przeprowadzono badania dachu, ale nie znaleziono żadnych śladów i właściciele sali koncertowej gubią się w domysłach co do genezy zjawiska.

— W tym coś jest — powiedziałem.

— Ale co? — spytała Sally zapominając wyraźnie, że wcale w to nie wierzy.

— Tego jeszcze nie wiem — przyznałem.

— No i proszę!

Czasami odnoszę wrażenie, że Sally nie ma strzępa szacunku dla logiki.

Jednakże większość ludzi myślała podobnie jak Sally, ponieważ większość ludzi lubi, by rzeczy były i pozostał proste i oczywiste. Tymczasem ja odnosiłem wrażenie, że zaczyna się dziać coś, co należałoby jakoś ze sobą powiązać i coś z tego wydedukować.

Pierwszym człowiekiem, który się na to nadział — to znaczy na

tyle pierwszym, na ile mogłem to stwierdzić był posterunkowy Walsh. Może już i przed nim ludzie widywali podobne rzeczy i zaszeregowali je do kategorii białych myszek, ale posterunkowy Walsh ze oswoją koncepcją obchodu służbowego pierwszej klasy, przypominającą szklankę mocnej herbaty z furą cukru, gdy natknął się na głowę tkwiącą w chodniku na fragmencie szyi, zatrzymał się, aby jej się dobrze przyjrzeć i zająć stanowisko.

Tym, co go najbardziej zaniepokoiło, jak to wynika z raportu, jaki złożył, gdy przebiegł już pół mili do posterunku i przestał bełkotać, było to, że głowa mu się również przyjrzała.

Ostatecznie znaleźć głowę na chodniku nie jest niczym przyjemnym o żadnej porze, a godzina druga w nocy jeszcze sprawę pogarsza, ale co do reszty, no cóż, zdarza się czasem ujrzeć coś jakby pełne wyrzutu spojrzenie kawałka dorsza z kanapki, o ile masz w tym momencie czymś innym zaprzątnięty umysł. Ale posterunkowy Walsh na tym nie poprzestał. Stwierdził dalej w raporcie, że obiekt otworzył usta, „jak gdyby zamierzał coś powiedzieć".

Jeżeli nawet tak było, nie powinien był tego mówić. To siłą rzeczy przywodziło na myśl białe myszki. Upierał się jednak przy tym, więc kiedy już go zbadano, wąchając z rozczarowaniem jego oddech, odesłano go z powrotem z drugim policjantem, aby pokazał, gdzie dokładnie obiekt ten zobaczył. Nie było tam, rzecz jasna, żadnej głowy ani krwi, ani śladów, że coś tu zostało sprzątnięte.

Byłoby to już wszystko, co ma związek z tym całym incydentem, o ile nie wspomnieć o krótkich wzmiankach w aktach personalnych posterunkowego.

W dwa wieczory później mieszkańcom bloku ściął krew w żyłach rozdzierający wrzask pani Rourke spod 35-ego i równocześnie panny Farrell, która nad nią mieszkała. Gdy zjawili się sąsiedzi, pani Rourke histerycznie plotła coś o parze nóg dyndających u jej sufitu, a panna Farrell w ten sam sposób o ramieniu i barku, które wychynęły spod jej łóżka. Nic wszakże nie było widać na suficie, jak również pod łóżkiem panny Farrell, o ile nie wspomnieć o zawstydzającej ilości nagromadzonego tam kurzu.

Zdarzały się też inne incydenty.

Jest taki Jimmy Lindlen, który o ile to nie jest przesada, pracuje w sąsiednim biurze i który zwrócił na nie moją uwagę.

Jimmy zbiera fakty. Jego zdaniem wszystko, co prasa drukuje, jest faktem. Nieszczęśnik. Nie interesuje go zupełnie, czego te fakty dotyczą, o ile tylko są wystarczająco dziwne. Podejrzewam, że gdzieś słyszał, że prawda nigdy nie jest prosta, i wyciągnął stąd wniosek, że wszystko, co nie jest prosie, musi być prawdziwe.

Przywykłem do tego, że często przychodził do mojego pokoju pełen najróżniejszych pomysłów i nigdy nie brałem ich zbyt serio,

więc też gdy zjawił się u mnie z pierwszą kolekcją wycinków o posterunkowym Walshu i tej całej reszcie, nie zapłonąłem zbytnim entuzjazmem.

Ale za parę dni był u mnie znowu, tym razem z większą kolekcją. Byłem trochę zdziwiony, że drugi raz wałkuje ten sam temat, więc też poświęciłem mu więcej niż zazwyczaj uwagi.

— Widzi pan? Ramiona, głowy, nogi, tułowia, wszędzie tego pełno. To już epidemia. Coś się za tym kryje. Coś się dzieje — powiedział głosem oddającym kursywę na tyle, na ile to jest możliwe.

Gdy przeczytałem kilka odcinków, musiałem przyznać, że wybrał tym razem coś, gdzie element dziwności się powtarzał. Kierowca autobusu widział górną część ciała tkwiącą przed nim pionowo na drodze — ale trochę za późno. Gdy już zahamował i spocony wysiadł, aby ocenić rozmiar katastrofy, niczego już tam nie było. Jakaś kobieta, wychylona przez okno i obserwująca ulicę, zobaczyła tuż pod sobą głowę, też obserwującą ulicę, tylko że ta głowa tkwiła w solidnym murze.

Para rąk wyrosła z podłogi w sklepie masarskim wykonując ruchy chwytania czegoś; po minucie lub dwu ręce zniknęły bez śladu w podłodze betonowej — o ile za ślad nie będzie się uważać pewnego spadku obrotów handlowych masarza.

Jakiś człowiek na budowie zauważył koło siebie dziwnie ubraną postać — postać ta stała w powietrzu. Po tym stwierdzeniu trzeba go było sprowadzić na dół i odesłać do domu. Inną postać zauważono między szynami na szlaku ciężkiego pociągu towarowego. Postać zniknęła bez śladu, gdy pociąg przejechał.

Podczas gdy przeglądałem te i inne wzmianki, Jimmy stał koło mnie w postawie dobrze nabitego syfonu wody sodowej. Wystarczyło, jeśli od czasu do czasu powiedziałem: O!

— Widzi pan! Coś się rzeczywiście dzieje.

— Przypuśćmy nawet, że ostatnie — ustąpiłem ostrożnie — to co to właściwie jest?

— Obszar pojawień jest ograniczony — z naciskiem rzekł Jimmy wyciągając plan miasta. — Jeżeli pan spojrzy na zaznaczone przeze mnie miejsca incydentów, stwierdza gon, że grupują się gdzieś w tym okręgu. Tu znajduje się „epicentrum zakłóceń”. Tym razem oddał głosem cudzysłów i czekał, że objawię zdumienie.

— Ach, tak? — powiedziałem. — Zakłóceń… czego?

Nie dał się zagiąć.

— Mam całkiem niezłą koncepcję — powiedział odważając słowa.

Nie wątpiłem, że tak jest, aczkolwiek koncepcja mogła się całkowicie zmienić za godzinę.

— Przyjmuję ją — powiedziałem.

— Teleportacja — oświadczył. — To jest właśnie to. To musiało

nastąpić wcześniej czy później. A teraz ktoś już to odkrył.

— Hm — powiedziałem.

— Tak, to na pewno to. — Pochylił się ku mnie z powagą. — Jak pan to może inaczej wyjaśnić?

— No cóż, jeśli to ma być teleportacja, czy teleportaż, czy jak to tam nazwać, to przecież wnusi być gdzieś jakiś przekaźnik i jakaś stacja montująca całość — zaznaczyłem. Nie można sobie wyobrazić rzeczy czy osoby w jakiś tam sposób transmitowanej, a następnie na powrót zmontowanej w tym samym miejscu.

— Ale przecież pan nic nie wie — powiedział. — Poza tym to jest częścią tego, co nazwałem „epicentrum". Przekaźnik jest zupełnie gdzie indziej, a tylko emituje na nasz teren.

— Jeśli tak jest — odparłem — w takim razie coś z nim nie jest w porządku. Chodzi mi o poziomy i pozycje. Co się dzieje, na przykład, z facetem zmontowanym częściowo w ścianie, a częściowo poza nią?

Tego rodzaju szczegóły i uwagi doprowadzają Jimmy'ego do pasji.

— Jest to zapewne wczesny etap. Eksperymentalny powiedział.

Niezależnie od tego, czy etap był wczesny czy nie, temat z montowaniem facetów wydawał mi się nieprzyjemny.

* * *

Tego wieczoru po raz pierwszy powiedziałem Sally o wszystkim. I biorąc pod uwagę całość zagadnienia, był to fatalny błąd.

Kiedy mi już dała jasno do zrozumienia, że wcale w to nie wierzy, powiedziała, że o ile to wszystko jest prawdą, mamy zapewne do czynienia z jakimś nowym wynalazkiem.

— Co ty rozumiesz pod „jakimś nowym wynalazkiem"? Przecież to byłby wynalazek wręcz rewolucyjny — powiedziałem.

— Przy naszym sposobie użytkowania będzie to zła rewolucja.

— Dlaczego tak uważasz?

Sally była znów w kwaśnym nastroju. Powiedziała z rozczarowaniem:

— Znamy dwa sposoby korzystania z wynalazków. Jednym z nich jest łatwiejsze zabijanie większej ilości ludzi. Drugi umożliwia sprytnym spekulantom wyciąganie forsy z kieszeni naiwnych. Może są jakieś wyjątki, jak np. promienie Roentgena, ale jest ich niewiele. Wynalazki! Najpierw sprowadzamy cały dorobek ludzkiego geniuszu do najniższego wspólnego mianownika, a następnie mnożymy go przez możliwie najbardziej prymitywny ułamek. Co za wiek! Co za świat! Gdy pomyślę, co przyszłe wieki powiedzą o naszym wieku, robi mi się gorąco.

— Na twoim miejscu bym się o to nie martwił. Nie będziesz miała okazji tego słyszeć — powiedziałem.

Spoczęło na mnie miażdżące spojrzenie.

— Mogłam przewidzieć taką odpowiedź. Typowa dla osobnika z dwudziestego wieku.

— Jesteś śmieszna — powiedziałem. — Myślisz trochę po wariacku, ale ostatecznie to typowe dla mentalności kobiet. Dla nich przyszłość jest przeważnie mglistą mrzonką, o ile nie chodzi o modny kapelusz lub przyszłoroczne dziecko. Reszta ich nie dotyczy. One żyją w przeświadczeniu, że nic się nigdy nie zmieni, a jeżeli nawet się zmieni, to niewiele.

— Widzę, że wiesz bardzo dużo o dziewczętach i o tym, co myślą — powiedziała Sally.

— Chyba się mylisz. Skąd mogę coś o tym wiedzieć… odparłem.

Sally wyraźnie nie miała nastroju kontynuować rozmowy na ten temat, tak że dałem jej spokój.

* * *

W parę dni później Jimmy znów zajrzał do mojego pokoju.

— Przestał — powiedział.

— Kto przestał?

— Ten teleportujący facet. Żadnego raportu od wtorku. Może wie, że ktoś go ściga.

— Pan ma na myśli siebie? — spytałem.

— Może.

— No i co?

Zmarszczył czoło. — Zacząłem. Naniosłem namiary wszystkich incydentów na mapę i centrum wypada na kościół Wszystkich Świętych. Obejrzałem całe to miejsce dokładnie, ale niczego nie znalazłem. Ale muszę być już blisko niego, bo w przeciwnym razie nie zaprzestałby chyba emisji…

Nic mu nie mogłem pomóc. Nikt zresztą inny też nie mógł. Ale tego samego wieczoru była w gazecie wzmianka o ramieniu i nodze, które jakaś kobieta widziała, jak wędrowały po jej kuchennej ścianie. Pokazałem to Sally.

— Przypuszczam, że okaże się w końcu, iż jest to jakiś nowy rodzaj reklamy — powiedziała.

— Coś w rodzaju zaszyfrowanej reklamy — podsunąłem. Po czym, gdy zauważyłem, że znów popada w kwaśny nastrój, rzuciłem propozycję: — A może pójdziemy do kina?

Gdy wchodziliśmy do kina, zachmurzyło się nagle, gdy wychodziliśmy — lało jak z cebra. Ponieważ do jej domu było mniej

niż mila, a wszystkie taksówki w mieście były zajęte, zdecydowaliśmy się iść piechotą. Sally naciągnęła na głowę kaptur swojego nieprzemakalnego płaszcza, wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy przez deszcz. Nie mówiliśmy nic przez chwilę, a potem:

— Kochanie — powiedziałem — wiem, że mogę być uważany za niepoważnego osobnika o niskich wskaźnikach etycznych, ale czy zastanowiłaś się kiedyś nad tym, jakie to wdzięczne pole dla reform…

— Tak — odrzekła, ale nie tym tonem co należy.

— Mam na myśli — mówiłem do niej cierpliwie — że gdyby zdarzyło ci się szukać dobrej pracy, dla której mogła byś poświęcić życie, to cóż mogłoby być lepszego niż dzieł nawracania tego rodzaju osobników. Zakres działania jest ogromny, tylko…

— Czy to ma być propozycja? — spytała Sally.

— Czy to ma być? Myślałem, że… O Boże! — Przerwałem

* * *

Byliśmy na Tyler Street. Krótka ulica, oblana deszczem i wyłączając nas kompletnie pusta. Zatrzymało nas nagłe pojawienie się czegoś w rodzaju pojazdu, który ujrzeliśmy w głębi ulicy. Nie mogłem go zbyt dokładnie obejrzeć, ponieważ padał deszcz, ale przypominał małą, nisko zawieszony platformę zapełnioną postaciami w jasnych strojach, szybko przemierzającą na ukos Tyler Street. Po chwili ten dziwny pojazd znikł.

Gdyby istniała jakaś ulica przecinająca Tyler Street, nie byłoby to dziwne, ale takiej nie ma. Pojazd pojawił się po prostu z jednej strony, a zniknął z drugiej.

— Czy coś widziałaś — spytałem.

— Ale jakim cudem?… — zaczęła.

Podeszliśmy jeszcze kawałek, aż znaleźliśmy się w miejscu, które pojazd przeciął. Przed mami z jednej strony ciągnął się solidny mur, a z drugiej frontony domów.

— Musiałeś się pomylić — powiedziała Sally.

— No, oczywiście, to ja musiałem się pomylić!

— Ależ to po prostu nie mogło się zdarzyć…

— Posłuchaj, kochanie… — zacząłem.

Ale w tym momencie z jednolitego muru na dziesięć stóp przed nami wyszła dziewczyna. Stanęliśmy i gapiliśmy się na nią.

Nie wiem, czy to były jej własne włosy. Sztuka i wiedza razem wzięte mogą zdziałać wiele, jeśli chodzi o dziewczęta. Jej fryzura przypominała wielką złotą chryzantemę o średnicy ponad półtorej stopy z czerwonym kwiatkiem nieco w lewo od środka i wydawała się sporo ważyć. Dziewczyna miała na sobie coś w rodzaju króciutkiej,

różowej tuniki, chyba z jedwabiu, która byłaby bardziej odpowiednia na pokazy dla starszych panów niż na Tyler Street podczas wstrętnej, mokrej nocy. Szokujące wrażenie wywoływał haft na tej tunice. Nigdy w życiu bym nie uwierzył, że jakakolwiek dziewczyna mogłaby… a, zresztą co tam, faktem jest, że stała i my też.

Kiedy mówię „stała", to znaczy, że tak było istotnie, chociaż to stanie odbywało się na sześć cali nad ziemią. Przypatrywała się nam obydwojgu, potem wlepiła wzrok w Sally równie mocno jak Sally w nią.

Przez kilka dobrych sekund nikt z nas nie drgnął. Dziewczyna otworzyła usta, coś mówiła, ale głosu słychać nie było. Potrząsnęła głową, zrobiła niedbały ruch ręką, odwróciła się i zniknęła w murze.

Sally nie drgnęła. Lśniący od deszczu płaszcz upodabniał ją do czarnego posągu. Kiedy obróciła się tak, że mogłem ujrzeć jej twarz pad kapturem, na tej twarzy malował się taki wyraz, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widziałem. Objąłem ją ramieniem i poczułem, że drży.

— Boję się, Jerry — powiedziała.

— Nie ma powodu, Sal. Na to musi być jakieś proste wyjaśnienie — rzekłem obłudnie.

— Ale o co innego mi chodzi, Jerry. Widziałeś jej twarz? To był mój sobowtór!

— Była dość podobna… — przyznałem.

— Jerry, ona była dokładnie taka sama… ja… ja się boję.

— To pewnie gra świateł. Poszła już zresztą — powiedziałem.

Sally jednak miała rację. Dziewczyna była jej odbiciem. To mnie zastanowiło.

Nazajutrz Jimmy przyniósł do mego pokoju egzemplarz porannej gazety. Zawierała krótką, żartobliwą czołówkę redakcyjną, podającą ilość osób, które widziały ostatnio dziwne zjawiska.

— Wreszcie zaczęli zauważać — stwierdził.

— A co pan zdziałał? — spytałem.

Zachmurzył się.

— Boję się, że to nie jest dokładnie tak, jak myślałem. Sądzę, że to jest ciągle etap doświadczalny, a przekaźnik może w ogóle być gdzie indziej. Możliwe, że ten obszar służy mu wyłącznie za teren do prób.

— Ale dlaczego tutaj?

— Tego nie wiem. Gdzieś taki obszar musi przecież być, a sam przekaźnik może być wszędzie.

Zamilkł olśniony złowieszczą myślą.

— To maże być niebezpieczna historia. Przypuśćmy, że Rosjanie mają przekaźnik, który mógłby tutaj do nas przekazywać ludzi lub bomby — drogą teleportacji?

— Dlaczego akurat tutaj — zdziwiłem się. — Sądzę, że raczej w pobliże Harwellu lub Królewskiego Arsenału…

— Na razie robią eksperymenty — przypomniał mi.

— A rzeczywiście — przyznałem ze wstydem.

Powiedziałem mu, co ja i Sally widzieliśmy poprzedniej nocy.

— I to mi się nie zgadza. Nie tak wyobrażam sobie Rosjan.

Jimmy pokręcił głową.

— To może być kamuflaż. A zresztą tam u nich mogą przecież sobie wyobrazić, jak wyglądają nasze dziewczyny, choćby na podstawie ilustrowanych pism czy magazynów.

* * *

Następnego dnia około siedemdziesiąt pięć procent czytelników poinformowało pismo o śmiesznych rzeczach, jakie widzieli, i wtedy Wiadomości porzuciły żartobliwy ton. W dwa dni później rzecz nabrała rangi faktu dzieląc mieszkańców jak gdyby na dwa obozy: konserwatywny i postępowy. W łonie tego ostatniego schizmatyczne grupy spierały się co do teleportacji lub projekcji trójwymiarowej lub innych wreszcie teorii samorzutnego scalania molekularnego. W pierwszym obozie opinie można było ugrupować wokół trzech hipotez: inwazji duchów, nagłej widzialności pokutujących dusz lub zapowiedzi Sądu Ostatecznego.

W ogniu sporów trudno było w pewnym momencie ustalić, kto co widział i ile, a kto entuzjastycznie improwizował, przy wydatnym uszczerbku dla faktów.

W sobotę spotkałem się z Sally na obiedzie. Pojechaliśmy potem samochodem w kierunku małego zakątka w górach, który wydawał mi się świetnym miejscem na oświadczyny. Ale na głównym skrzyżowaniu przy High Street jadący przede mną mężczyzna raptownie zahamował. Zrobiłem to samo i jadący za mną samochód też. Następnemu z kolei już tak dobrze nie poszło. Po drugiej stronie skrzyżowania też dał się słyszeć gwałtowny zgrzyt metalu. Wstałem, żeby zobaczyć, co się dzieje, i szarpnąłem Sally, aby też wstała.

— Znów jedzie — powiedziałem. — Popatrz!

Dokładnie w środku skrzyżowania znajdował się — no, nie można było tego chyba nazwać pojazdem — coś jakby niski wagonik lub platforma na wysokości około stopy nad ziemią. A kiedy mówię „nad ziemią”, to znaczy to, co znaczy. To coś nie miało ani kół, ani nóg. Jakby wisiało w powietrzu, niczym nie podparte. Na platformie stało około pół tuzina osób, ubranych w jakby długie barwne koszule lub kitle. Owe osoby rozglądały się ciekawie wokół. Wzdłuż krawędzi platformy ciągnął się napis: BIURO TURYSTYCZNE PAWLEYA. Jeden

z mężczyzn pokazywał swojemu towarzyszowi kościół Wszystkich Świętych, innych więcej interesowały samochody i ludzie.

Z budki kontrolnej wychynęła twarz policjanta i para wybałuszonych oczu. Ale zaraz policjant wziął się w garść. Krzyknął coś, zagwizdał, znów krzyknął. Ludzie na platformie w ogóle go nie zauważali. Policjant wyszedł z budki i ruszył przez jezdnię podobny do wulkanu, który szuka odpowiedniego miejsca, żeby wybuchnąć w całej okazałości.

— Hej! — zawołał.

Na platformie nikogo to nie wzruszyło, ale gdy zbliżył się na odległość jednego lub dwóch jardów, zauważyli go, zaczęli trącać się łokciami i szczerzyć zęby. Policjant spurpurowiał na twarzy i przemówił do nich groźnym tonem. Ale oni nadal przyglądali mu się ze wzrastającym zainteresowaniem.

Policjant wyciągnął z tylnej kieszeni pałkę i podszedł bliżej. Usiłował złapać jakiegoś typa w żółtej koszuli — ale jego ręka przeszła przez niego na wylot.

Policjant cofnął się o krok. Widać było, jak mu się niczym u konia rozdęły nozdrza. Chwycił mocniej pałkę i zdecydowanym, kolistym ruchem powiódł nią po całej gromadzie. Pałka przeszła przez nich nie napotykając na opór, a oni uśmiechali się nadal.

Uchylam kapelusza przed tym policjantem. Nie uciekł. Patrzał przez chwilę na nich z bardzo dziwnym wyrazem twarzy, po czym odwrócił się na pięcie i spokojnie wrócił do budki. Równie spokojnie dał znak wznowienia ruchu. Samochód przede mną tylko na to czekał. Pojechał prosto na i przez platformę. Ruszyła z miejsca, ale trąciłby ją, gdyby to było możliwe. Sally, patrząc do tyłu, powiedziała, że platforma posuwała się po krzywiźnie i znikła w wejściu do Kasy Oszczędności.

Kiedy dojechaliśmy już do mojego zakątka, pogoda zepsuła się tak, że miejsce to wyglądało posępnie i odpychająco. Pojechaliśmy więc trochę dalej, a potem skręciliśmy w bok do małej przytulnej restauracyjki przydrożnej tuż za Westwich. Właśnie doprowadziłem rozmowę do tematu, który chciałem poruszyć, kiedy nagle nikt inny tylko Jimmy musiał się zjawić przy naszym stoliku.

— Co za spotkanie! — powiedział. — Słyszałeś, co się dziś po południu zdarzyło na skrzyżowaniu, Jerry?

— Byliśmy tam — powiedziałem.

— Rozumiesz, Jerry, to już coś więcej niż myślałem, dużo więcej. Ta cała platforma. Ci ludzie ogromnie nas w technice wyprzedzają. Czy wiesz, co ja myślę?… Kto oni są?

— Marsjanie — rzuciłem.

Spojrzał na mnie zaskoczony. — A skąd ty do tego mogłeś dojść? — spytał.

— Czułem, że to kiedyś nastąpi. Ale odnoszę wrażenie, że Marsjanie nie przywędrowaliby tu z etykietą BIURO TURYSTYCZNE PAWLEYA.

— Ach, tak? Nikt mi nic o tym nie mówił — powiedział Jimmy.

Odszedł ze smutkiem na twarzy, ale mnie samą swoją obecnością zniszczył tak starannie skonstruowany nastrój.

* * *

W poniedziałek rano nasza maszynistka Anna przyszła do pracy jeszcze bardziej, niż zwykle, roztargniona.

— Zdarzyło mi się coś zupełnie okropnego — powiedziała do nas, jak tylko weszła. — O Boże! Byłam cała w pąsach!

— Cała? — spytał Jimmy z zaciekawieniem.

Zlekceważyła tę uwagę.

— Byłam akurat w łazience, a kiedy przypadkiem podniosłam oczy, stał tam mężczyzna w zielonej koszuli i przyglądał mi się. Oczywiście natychmiast wrzasnęłam.

— Bardzo słusznie — zgodził się Jimmy. — A co zdarzyło się potem, czy też nie wypada, abyśmy…

— Po prostu stał — powiedziała Anna — potem zachichotał i wyszedł przez ścianę. Zupełnie osłupiałam.

— Można osłupieć z powodu chichotu — zgodził się Jimmy.

Anna wyjaśniła, że nie osłupiała wyłącznie z powodu chichotu.

— Uważam — powiedziała — że nie powinno się pozwalać na takie rzeczy. Jeżeli mężczyźnie wolno chodzić po łazience samotnie mieszkającej dziewczyny, to cóż go może jeszcze powstrzymać?

Pytanie było rzeczywiście nie retoryczne.

Zaraz potem przyszedł kierownik. Wszedłem za nim do jego gabinetu. Miał wygląd człowieka przygnębionego.

— Co tu się, u diabła, dzieje w tym piekielnym mieście, Jerry? — spytał. — Wczoraj żona wraca do domu i zastaje w salonie dwie nieprawdopodobne dziewczyny. Oczywiście sądzi, że nie przypadkiem. Pierwsze piekło w domu od dwudziestu lat. A dziewczyny w tym czasie znikają — powiedział zwięźle.

Stać mnie było tylko na kilka współczujących okrzyków.

Tego wieczoru, kiedy wybrałem się do Sally, zastałem ją siedzącą na stopniach domu, w mżawce.

— Co się stało, na Boga?… — zacząłem.

Spojrzała na mnie bez wyrazu.

— Weszli do mojego pokoju. Mężczyzna i dziewczyna. Nie chcieli wyjść. Śmiali się ze mnie. A potem zaczęli się tak zachowywać, jakby mnie tam wcale nie było. No i… a zresztą, po prostu nie mogłam tam

wysiedzieć, Jerry.

Wyglądała bardzo nieszczęśliwie, a po chwili wybuchnęła płaczem.

* * *

Od tego momentu wydarzenia zaczęły się piętrzyć. Następnego ranka doszło do nieuniknionego acz jednostronnego starcia na High Street. Panna Dotherby, należąca do jednej z najbardziej szanowanych rodzin Westwich, wzburzona była do głębi swoich długoletnich zasad widokiem dwu chryzantemowych dziewczyn, które chichocząc stały na rogu Northgate. Kiedy udało jej się odwrócić od nich oczy i odzyskać oddech, zrozumiała, gdzie leży jej powinność. Ujęła parasolkę tak, jakby to był miecz jej dziadka i natarła. Przeleciała gładko przez dziewczyny zadając razy na lewo i na prawo, a kiedy się obróciła, zobaczyła, że się z niej śmieją. Jeszcze raz na nie natarła, ale śmiały się dalej. Kiedy już zaczęła bredzić, ktoś zawołał pogotowie, które ją zabrało.

Pod koniec dnia miasto pełne było matek, pomstujących na obrazę moralności publicznej, i oczarowanych turystkami mężczyzn, a burmistrz i policja zasypani byli żądaniami, aby natychmiast ktoś z tym coś zrobił.

Najwięcej kłopotów było w rejonie, który Jimmy kiedyś zaznaczył na mapie. Gdzie indziej też mocna było spotkać turystów, ale w tym rejonie spotykało się ich całe tłumy mężczyzn w kolorowych koszulach, dziewczyny o zadziwiających fryzurach i jeszcze bardziej zadziwiających haftach na tunikach. Wszyscy ani ramię przy ramieniu wychodzili ze ścian i włóczyli się obojętnie między samochodami i ludźmi.

Czasem gdzieś przystawali pokazując sobie nawzajem różne rzeczy lub wybuchając salwami śmiechu, szczególnie kiedy ludzie z ich powodu wpadali w gniew. Do tych, którzy już wyprowadzeni byli z równowagi, stroili miny, aż ich doprowadzali do sinej wściekłości. Tym lepszą mieli wtedy zabawę. Szli sobie spokojnie, gdzie im się żywnie podobało, przez sklepy, banki, biura, domy nie przejmując się zupełnie rozwścieczonymi lokatorami. Zaczęto wystawiać tablice: NIE WCHODZIĆ, ale to ich też bardzo bawiło.

Przede wszystkim nie można się było od nich uchronić w dzielnicach centralnych, aczkolwiek okazało się, że działają na niezupełnie tych samych co my poziomach. W niektórych miejscach szli po ziemi czy po podłodze, a w jeszcze innych sprawiali wrażenie, że przedzierają się przez jakąś zwartą masę.

Bardzo szybko stwierdzano, że nie mogą nas słyszeć podobnie jak

my ich, tak że nie było najmniejszego sensu wołać do nich czy grozić im, a jedynym efektem wystawiania tablic było wzbudzenie u nich jeszcze większego zaciekawienia.

W tej sytuacji już po trzech dniach panował ogólny chaos. W najbardziej nawiedzanych okolicach nie było już nawet co marzyć o zaciszu domowym. W najbardziej intymnych chwilach wkraczali turyści chichocząc lub śmiejąc się rubasznie. Dobrze przynajmniej się stało, że policja ogłosiła, iż nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Goście bowiem nie byli w stanie zrobić nic złego mieszkańcom, tak że można ich po prostu ignorować. Bywają miejsca i okoliczności, gdzie ignorowanie chichoczących band młokosów i dziewcząt wymaga więcej hartu i wytrzymałości niż stać na to przeciętnego człowieka. Nawet tak spokojnego jak ja. A tymczasem w różnych ligach kobiet oraz komitetach nadzorczych aż wrzało.

Wieści o tym rozchodziły się szybko i w niczym nie polepszały sytuacji.

Wartkim strumieniem napływali zbieracze wiadomości wszelkiego autoramentu. Wypełnili okolicę po brzegi. Po ulicach wężowymi splotami wiły się kable od kamer filmowych, telewizyjnych i mikrofonów, a fotoreporterzy dokonywali swoich życiowych ujęć. Wszyscy oni żywi i namacalni stwarzali co najmniej równie wielki kłopot co turyści.

Ale jeszcze nie osiągnęliśmy szczytu. Jimmy i ja byliśmy przypadkiem obecni przy inauguracji następnego etapu. Szliśmy akurat na obsad w maksymalnym stopniu ignorując gości i zgodnie z instrukcją przechodząc przez nich. Jimmy był przybity. Musiał sobie dać spokój z wszelkimi teoriami, ponieważ utonął w faktach. Znajdowaliśmy się właśnie w pobliżu kawiarni, kiedy spostrzegliśmy zamieszanie w głębi High Street, a widząc, że się ta cała zawierucha ku nam zbliża, czekaliśmy. Pojawiło się t o po chwili spośród gęstwiny zastopowanych samochodów i zbliżało ku nam z szybkością sześciu do siedmiu mil na godzinę. Była to w zasadzie platforma, podobna do tej, jaką ja i Sally widzieliśmy na skrzyżowaniu w zeszłą sobotę, ale tym razem był to model „de luxe".

Boki pojazdu lśniły świeżymi farbami: żółtą, czerwoną i niebieską, a fotele umocowane były w rzędach po cztery. Większość pasażerów stanowili młodzi ludzie, ale tu i ówdzie można było zauważyć panie i panów w średnim wieku, odzianych w spokojniejszą wersję tej samej mody. Za pierwszą platformą sunęło z pół tuzina dalszych. W miarę jak nas mijały, odczytywaliśmy na bokach i z tyłu platform napisy:

BIURO TURYSTYCZNE PAWLEYA — WYCIECZKI W PRZESZŁOŚĆ — NAJWIĘKSZY WYNALAZEK ŚWIATA HISTORIA BEZ ŁEZ — ZA 1 FUNT

PRZYJRZYJ SIĘ, JAK ŻYŁA TWOJA PRAPRABABCIA OSOBLIWY STARY EXPRESS DWUDZIESTOWIECZNY OGLĄDAJ ŻYWĄ HISTORIĘ — NIEZWYKŁE STROJE, STARE ZWYCZAJE, KSZTAŁCĄCE! POZNAJ PRYMITYWNE OBYCZAJE I WARUNKI ŻYCIA

ZWIEDZAJ ROMANTYCZNY WIEK DWUDZIESTY BEZPIECZEŃSTWO GWARANTOWANE

POZNAJ SWOJA HISTORIĘ — NA NAUKĘ NIGDY NIE ZA PÓŹNO — WYCIECZKA 1 FUNT

WIELKA PREMIA PIENIĘŻNA ZA IDENTYFIKACJĘ WŁASNEGO PRAPRADZIADKA LUB PRAPRABABKI

Większość ludzi na pojazdach obracała głowy to w tę, to w tamtą stronę ze zdumieniem przerywanym spazmami chichotu. Kilku młodych ludzi machało do nas rękami i mówiło bezgłośne dowcipy, które wywoływały u ich towarzyszy huragany bezgłośnego śmiechu. Inni, wygodnie rozparci, wpijali zęby w wielkie, żółte owoce i żuli. Od czasu do czasu oglądali się na boki, ale więcej uwagi poświęcali damom, których kibicie obejmowali.

Z tyłu następnego pojazdu przeczytaliśmy:

CZY TWOJA PRAPRAPRABABKA BYŁA RZECZYWISCIE TAKA FAJNA, ZA JAKĄ SIĘ PODAWAŁA?

ZOBACZ RZECZY, O KTÓRYCH HISTORIA TWOJEJ RODZINY MILCZY

a na ostatnim:

PRZYJRZYJ SIĘ SŁAWNYM, ZANIM STALI SIĘ OSTROŻNI — DOBRY CYNK DA CI SZANSĘ NA WIELKIĄ WYGRANĄ

Gdy procesja się oddaliła, staliśmy wszyscy patrząc na siebie w otępieniu. Prawdopodobnie pokaz był pewnego rodzaju premierą, ponieważ później można było w mieście spotkać platformę z napisem:

HISTORIA JEST KULTURĄ! ZA 1 FUNT ROZSZERZYSZ DZIŚ SWOJE HORYZONTY UMYSŁOWE!!

lub:

POZNAJ ODPOWIEDZI NA TEMAT SWOICH PRZODKÓW!

ale nigdy już nie słyszałem o nowej, regularnej procesji.

W biurze rady miejskiej wydzierano sobie resztki włosów z głowy, wydając na lewo i na prawo serie rozporządzeń na temat tego, czego turystom nie wolno robić — co dawało im nowe powody do śmiechu — a sprawa mimo wszystko wyglądała coraz gorzej.

Piesi „turyści" zwykli podchodzić blisko i patrzeć ludziom w twarze porównując je z jakimiś fotografiami w książkach lub czasopismach, które mieli przy sobie, po czym odchodzili rozczarowani daną osobą i podchodzili do innej. Doszedłem do wniosku, że za rozpoznanie mojej osoby nie przysługiwała żadna nagroda.

Ale cóż, życie musiało się toczyć dalej. Nie było możliwości poradzić sobie z tym wszystkim, trzeba się było z tym pogodzić. Sporo rodzin wyprowadziło się z miasta w poszukiwaniu zacisza i po to, aby uchronić córki od wpływów nowej mody i tak dalej, ale większość z nas musiała zostać jak długo się dało. Prawie każdy z obywateli miasta był w tych dniach albo oszołomiony, albo ponury — z wyjątkiem oczywiście „turystów".

Wpadłem po Sally pewnego wieczoru, mniej więcej dwa tygodnie po owej procesji platform. Kiedy wychodziliśmy z domu, na ulicy odbywała się zacięta walka. Grupa dziewcząt, o głowach przypominających kule ze złotej siatki, tłukła się gdzie popadło. Jeden ze stojących obok mężczyzn przyglądał się temu z dumną miną, reszta podjudzała zawodniczki do walki. Poszliśmy inną drogą.

— To miasto nie wygląda już jak nasze miasto — powiedziała Sally. — Nawet nasze mieszkania nie są już nasze. Dlaczego oni nie mogą odejść i zostawić nas w spokoju? Niech wszyscy oni będą przeklęci, co do jednego! Nienawidzę ich!

Ale tuż za parkiem napotkaliśmy jedną małą główkę chryzantemową, siedzącą na czymś niewidocznym i płaczącą rzewnie. Sally trochę zmiękła.

— Może niektórzy z nich mają nawet ludzkie odruchy. Ale jakim prawem zamienili nasze miasto w lunapark?

Znaleźliśmy wolną ławkę i usiedliśmy patrząc na zachód słońca. Postanowiłem zabrać stąd Sally jak najprędzej.

— Dobrze by nam było teraz w górach — powiedziałem.

— Cudownie, Jerry — westchnęła.

Ująłem jej dłoń, nie cofnęła jej.

— Sally, kochanie… — zacząłem.

I wtedy, zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej, dwoje turystów, mężczyzna i dziewczyna, pojawiło się przed nami i zakotwiczyło się tam na dobre. Tym razem byłem już zły. Prawie wszędzie prześladują człowieka platformy, ale przynajmniej w parku, gdzie przecież nic nie ma dla nich ciekawego, chciałbyś być wolny od pieszych turystów. Tych dwoje coś jednak znalazło. Tym czymś była Sally. Stali więc

patrząc na nią bez skrępowania. Wysunęła rękę z mojej dłoni. Naradzali się. Mężczyzna wyjął folder, który anioł przy sobie i wyciągnął z niego kartkę. Patrzał na nią, potem na Sally, a potem znów na kartkę. Nie byłem w stanie tego zignorować. Wstałem i przeszedłem przez nich, by zobaczyć, co to za kartka. Spotkała mnie niespodzianka. Był to wycinek z Westwich Evening News, z bardzo starego egzemplarza, pożółkły i bardzo zniszczony. Aby uchronić go od całkowitego rozpadu, oprawiono go w przejrzysty plastyk.

Żałuję, że nie zobaczyłem daty, ale wiedziony naturalnym odruchem spojrzałem na to, na co oni patrzyli: ze zdjęcia uśmiechała się do mnie twarz Sally. W ramionach trzymała dwoje dzieci. Zdążyłem tylko jeszcze przeczytać nagłówek: BLIŹNIAKI ŻONY RADCY MIEJSKIEGO, kiedy schowali wycinek i pognali tam, skąd przyszli. Byłem pewien, że są na tropie jednej z tych ich cholernych premii ale miałem błogą nadzieję, że nic im z tego nie przyjdzie.

Wróciłem i usiadłem obok Sally. Zdjęcie definitywnie popsuło całą sprawę — ŻONA RADCY MIEJSKIEGO. Oczywiście Sally chciała wiedzieć, co zobaczyłem, i musiałem szybko wymyślić kilka kłamstewek, aby się z tego wyplątać.

Milcząc siedzieliśmy tak przez chwilę w ponurym nastroju.

Minęła nas platforma z napisem: KULTURA WOLNA OD TROSK — KSZTAŁĆ SIĘ W NOWOCZESNYM KOMFORCIE. Patrzyliśmy, jak odpłynęła przez ogrodzenie prosto w ruch uliczny.

— Chyba już czas, byśmy stąd poszli — zaproponowałem.

— Tak — zgodziła się głucho Sally.

Poszliśmy w kierunku jej domu i ciągle żałowałem, że nie udało mi się zobaczyć daty w gazecie.

— Czy ty — spytałem ją obojętnym tonem — czy ty nie znasz przypadkiem jakiegoś radcy miejskiego?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— No… chyba pana Falmera…

— Czy to… młody człowiek? — spytałem beztrosko.

— Nie, skądże. Bardzo stary. — A właściwie, to znam tylko jego żonę.

— A! — powiedziałem. — Nie znasz żadnego młodszego?

— Obawiam się, że nie. Dlaczego?

Nawiązałem wtedy do aktualnej sytuacji, w której potrzebni są młodzi ludzie z pomysłami.

— Młodzi ludzie z pomysłami nie muszą być koniecznie radcami — powiedziała patrząc na mnie uważnie.

Może rzeczywiście, jak to już powiedziałem przedtem, logika nie jest jej najmocniejszą stroną, ale Sally ona swoje własne sposoby wprowadzenia człowieka w lepszy nastrój. Czułbym się jednak znacznie lepiej, gdybym sam miał jakiś dobry pomysł.

* * *

Następnego dnia rozgoryczenie powszechne wzrosło o jedną kreskę. Odbywała się jakaś msza wieczorna w kościele Wszystkich Świętych. Wikary właśnie wszedł na ambonę i wciągnął w płuca powietrze przed krótkim kazaniem, kiedy przez północną ścianę wjechała do środka platforma z napisem:

> CZY TWÓJ PRAPRAPRADZIADEK BYŁ JEDNYM Z TYCH CHŁOPCÓW? NASZA WYCIECZKA ZA 1 FUNTA MOŻE CIĘ O TYM PRZEKONAĆ

— i zatrzymała się dokładnie przed samą amboną. Wikary patrzył na nią przez kilka sekund w milczeniu, a potem trzasnął pięścią w pulpit.

— To! — zagrzmiał — to jest niedopuszczalne! Poczekamy, aż ten przedmiot będzie stąd usunięty.

Znieruchomiał patrząc na platformę. Wierni patrzyli z nim razem. Turyści na platformie robili wrażenie, jakby czekali na otwarcie spektaklu. Kiedy nic się nie działo, puścili w obieg butelki i owoce dla zabicia czasu. Wikary nie spuszczał z nich kamiennego spojrzenia. Kiedy dalej nic się nie działo, turyści zaczęli się nudzić. Młodzi panowie łaskotali dziewczyny, a dziewczyny zanosiły się chichotem. Kilku z nich zaczęło nalegać na człowieka siedzącego w przodzie pojazdu, aby ruszał dalej. Po chwili platforma wyjechała z kościoła południową ścianą. Był ta pierwszy punkt na naszą korzyść. Wikary otarł czoło, odchrząknął i zaimprowizował kazanie swego życia na temat „Miasta Maluczkich”.

* * *

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo wpływowe czynniki odgórne łamały sobie głowy, ciągle nic nie można było zrobić. Istniały oczywiście różne pomysły. Autorem jednego z nich był Jimmy: w grę wchodziło użycie ultrawysokich lub też infraniskich częstotliwości, które by rozbiły na kawałki projekcje turystów. Być może, że coś w tym rodzaju można by kiedyś wymyślić, ale nam potrzebne było szybkie lekarstwo. A równocześnie piekielnie trudno jest przeciwdziałać czemuś, co jest w istocie tylko trójwymiarowym, ruchomym obrazem, chyba że istotnie wynajdzie się coś, co mogłoby zniszczyć projekcję. Całe działanie nie przebiega w tym miejscu, gdzie się to widzi, ale w zupełnie innym, nieznanym — tylko jak się tam dostać? To co faktycznie widzimy, nie czuje, nie je, nie oddycha, nie

śpi… I właśnie kiedy myślałem nad tym, co ono robi, wpadł mi do głowy pomysł. Było to jak cios pałką — Takie proste! Porwałem kapelusz i poleciałem do ratusza.

W owym czasie codzienne procesje jazgoczących, grożących i zwariowanych obywateli bardzo ich tam w ratuszu uczuliły na wizyty, ale udało mi się w końcu dotrzeć do kogoś, kto wyraził zainteresowanie, choć nie bez wątpliwości.

— Nikomu się to nie będzie podobało — powiedział.

— Tego nie można od nikogo żądać. Ale przy okazji przysłużymy się przynajmniej miejscowemu handlowi.

Twarz mu się rozjaśniła. Naciskałem dalej:

— Poza tym burmistrz ma swoje restauracje, a wszystkie bary będą na pewno za.

— Tu ma pan rację — przyznał — dobrze, przedłożymy ten projekt. Chodźmy.

Pracowaliśmy nad tym pełne trzy dni. Czwartego dnia przystąpiliśmy do dzieła. Po zachodzie słońca na mieście pojawiły się ekipy ustawiające ogrodzenia na rogatkach miasta, a kiedy to już było zrobione, przymocowano wielkie, białe tablice z czerwonymi napisami:

> WESTWICH — MIASTO, KTÓRE PATRZY W PRZYSZŁOŚĆ
>
> PRZYJDŹ I ZOBACZ!
>
> TO JEST POZA CZASEM — NOWSZE NIŻ JUTRO! CUD STULECIA!
>
> OPŁATA (dla zamiejscowych) 2 SZYLINGI I 6 PENSÓW

Tego samego manka gazety krajowe umieściły wielkie ogłoszenie:

> KOLOSALNE — UNIKALNE — KSZTAŁCĄCE! WESTWICH DAJE JEDYNE AUTENTYCZNE PRZEDSTAWIENIE FUTURAMATYCZNE!
>
> DOWIESZ SIĘ
>
> JAK SIĘ BĘDZIE UBIERAĆ TWOJA PRAPRAWNUCZKA JAK BĘDZIE WYGLĄDAŁ TWÓJ PRAPRAWNUK MODA NASTĘPNEGO STULECIA!
>
> JAK ZMIENIĄ SIĘ ZWYCZAJE?
>
> PRZYBĄDŹ DO WESTWICH I ZOBACZ NA WŁASNE OCZY!
>
> OFERTA STULECIA!
>
> PRZYSZŁOŚĆ ZA DWA I PÓŁ SZYLINGA!!

Liczyliśmy na to, że cała sprawa miała już dotychczas i tak wystarczający rozgłos, wobec czego dalsze detale byłyby zbędne — ale

na wszelki wypadek zamieściliśmy również lelka bardziej wyspecjalizowanych ogłoszeń w magazynach ilustrowanych, w rodzaju:

> WESTWICH
> DZIEWCZĘTA! DZIEWCZĘTA! DZIEWCZĘTA! PRZYSZŁE KROJE! ŚMIAŁE MODELE! ORYGINALNA MODA!
> ZDUMIEWAJĄCE — AUTENTYCZNE — BEZ CENZURY!! OBFITOŚĆ WDZIĘKÓW ZA DWA I PÓŁ SZYLINGA!!!

Zakupiliśmy wystarczająco dużo miejsca w prasie, aby umieścić w szpaltach informacje dla tych, którzy przywykli kierować się względami socjologicznymi, psychologicznymi lub intelektualnymi.

No i przyszli.

Ciekawskich było już sporo przedtem, ale dopiero teraz dowiedzieli się, że warto płacić pieniądze za to widowisko, a im więcej pieniędzy wpływało, tym bardziej ponury stawał się skarbnik rady miejskiej, żałując, że nie ustalono stawki na pięć szylingów lub nawet dziesięć!

Po kilku dniach zmuszeni byliśmy zamienić na parkingi wszystkie wolne parcele oraz spore połacie terenu poza miastem, a ludzie parkowali swoje pojazdy wystarczająco daleko od miasta, tak że zaistniała konieczność uruchomienia specjalnej linii autobusowej łączącej parkingi z miastem. Wkrótce ulice były już tak zapchane tłumami, które biegały tu i tam i pozdrawiały platformy Pawleya i turystów gwizdami, szyderstwami i kocią muzyką, że mieszkańcy miasta pozostawali po prostu w swoich domach i tam spalali się w ogniu gniewu.

Skarbnik martwił się teraz o to, czy nie grozi nam obowiązek płacenia podatku od widowisk. Lista protestów kierowanych do burmistrza rosła z każdym dniem, ale sam burmistrz tak dalece był zajęty organizowaniem konwojów żywności i piwa do swoich restauracji, że nie starczało mu czasu na przejmowanie się protestami.

Po kilku jednak dniach zacząłem się martwić, czy aby Pawley nas nie przetrzyma. Widać było, że turyści niezbyt się tym wszystkim przejęli i chociaż utrudniało im to walkę o premie, nie oduczyli się włóczęgi po całym mieście. A oprócz tego mieliśmy jeszcze tysiące wycieczkowiczów rozpętujących pandemonium po całych nocach. Nerwy wszystkich mieszkańców napięte były jak postronki i lada chwila mogła wybuchnąć burza.

I oto, szóstej nocy, gdy wielu z nas myślało już nad tym, czy nie byłoby lepiej oczyścić trochę Westwich, pojawiła się pierwsza rysa. Jakiś człowiek zadzwonił do mnie z ratusza i powiedział, że widział szereg platform z nie obsadzonymi miejscami.

Następnej nocy wybrałem się na najbardziej uczęszczany szlak, by

sprawdzić tę wieść naocznie.

Napotkałem tam gęsty, dobrze podpity tłum obrzucający się na przemian słonymi dowcipami i kuksańcami, ale nie musieliśmy długo czekać. Z wejścia kawiarni „Coronation" wychynęła platforma z napisem:

CZAR I ROMANTYZM DWUDZIESTEGO WIEKU — 15 SZYLINGÓW

— a połowa miejsc była pusta.

Pojawienie się platformy wywołało wielkie pijackie brawa i huragan gwizdów. Kierowca prowadził pojazd poprzez tłum z obojętnym wyrazem twarzy. Pasażerowie wyglądali dużo mniej pewnie. Niektórzy wprawdzie próbowali się odgrywać; chichotali, robili grymasy, machali rękami, jakby oddawali cios za cios. Dobrze, że turystki nie słyszały wykrzykiwanych przez tłum słów spod ich adresem, ale niektóre gesty były bardzo niedwuznaczne. Zanim platforma zniknęła we frontowej ścianie magazynu „Bon Marche", prawie wszyscy turyści przestali udawać, że jest im wesoło. Niektórzy wyglądali, jakby im było słabo. Z wyrazu ich twarzy wywnioskowałem, że Pawleya czeka ciężka robota; będzie musiał wytłumaczyć owej delegacji aspekty dwudziestowiecznej kultury.

Następnego wieczora było więcej pustych foteli niż zajętych, a ktoś doniósł, że cena spadła do 10 szylingów.

W dwa dni później nie pojawili się już w ogóle, a my musieliśmy zwracać wycieczkom półkoronówki i łagodzić ich pretensje z powodu zmarnowanej benzyny.

Następnej nocy też się nie pojawili. Nie mieliśmy więc już nic innego do roboty, jak oczyścić miasto i cała sprawa była w zasadzie zakończona. Pozostało jeszcze jedno zadanie — zmniejszyć popularność, jaką miejscowość ostatnio się cieszyła.

Wreszcie powiedzieliśmy sobie, że problem został zlikwidowany. Jimmy jednak utrzymuje, że to tak tylko z naszej strony wygląda. Jedyną rzeczą, jaką jego zdaniem winni oni byli w tej sytuacji zrobić, była modyfikacja czynnika widzialności, który tyle przysparzał kłopotu. Wobec czego możliwe, że dalej tu kursują — tu, czy gdzie indziej.

A może on ma rację? Może istotnie ten cały Pawley, kimkolwiek jest lub miał kiedyś być, prowadzi po całym świecie i po całej historii łańcuch swoich wycieczek. Ale my o tym nic nie wiemy, a jak długo ich nam nie pokazuje, nie sądzę, abyśmy mieli łamać sobie nad tym głowy.

Na tyle, na ile to nas dotyczyło — sprawa z Pawleyem była skończona. Był to przypadek wymagający desperackich środków zaradczych, ocenił to nawet wikary kościoła Wszystkich Świętych. I

miał on niewątpliwie rację, gdy swoje dziękczynne kazanie rozpoczął od słów: „Paradoksalne, drodzy wierni, paradoksalne mogą być dzieła pospólstwa…”

* * *

Kiedy już było po wszystkim, znalazłam wreszcie czas, aby znów zobaczyć się z Sally. Zastałam ją o wiele bardziej promienną, niż dawniej i w związku z tym o wiele bardziej uroczą. Zdawało mi się, że również ucieszyła się na mój widok.

— Cześć, Jerry — powiedziała — czytałam właśnie w gazecie o tym, jak pięknie zorganizowałeś cały plan, aby się ich pozbyć. Uważam, że to było po prostu cudowne z twojej strony.

Jeszcze nie tak dawno uważałbym to za docinek, ale tym razem była szczera. Nie mogłem jakoś zapomnieć jej widoku z tymi bliźniakami na ręku i nie mogłem przestać się dziwić temu, skąd się one tam wzięły.

— Ta nic wielkiego, kochanie — powiedziałem skromnie — każdy mógł wpaść na ten pomysł.

— Może masz rację, ale bardzo wiele ludzi uważa tak, jak ja. I powiem ci coś jeszcze, o czym dzisiaj usłyszałam. Będą cię prosić, abyś kandydował do rady, Jerry.

— Ja do rady. Kupa śmiechu… — zacząłem i urwałem nagle.

— To znaczy, będę tytułowany radcą miejskim? — spytałem.

— Cóż… no, chyba tak. Tak sądzę — odparła ze zdziwieniem.

I nagle olśniła mnie myśl.

— Sally, kochanie, najdroższa, wiesz… jest coś, co już bardzo dawno miałem zamiar ci powiedzieć — zacząłem.

Przekład: Marek Wagner

Janusz A. Zajdel
TAM I Z POWROTEM

Pomieszczenie wyglądało jak nieskończenie długi korytarz: rozświetlony pas sufitu, ciemne ściany i lśniąca błękitnawo podłoga zbiegały się w perspektywie w jeden punkt. Było tu jasno, czysto i, chciałoby się rzec, wesoło. W wyobraźni Laut zupełnie inaczej wyrysował sobie to miejsce. Teraz zaś — zamiast mrocznych katakumb i grobowej atmosfery — objawił się przed nim widok dość nawet sympatyczny.

Lekarz, który go tu przyprowadził, stał przez chwilę bez słowa, pozwalając mu w spokoju odebrać pierwsze wrażenie. Potem ujął go lekko pod łokieć i powoli poprowadził w głąb korytarza.

Dopiero wówczas Laut dostrzegł, że ściany stanowią nieprzerwaną siatkę prostokątów, jak wielka szafa katalogowa z mnóstwem jednakowych szuflad. Prawie wszystkie szuflady zaopatrzone były w niewielkie etykietki z napisami.

— Oto nasze depozytorium — odezwał się lekarz, podchodząc do jednej z szuflad. — Proszę, tak to wygląda.

Pociągnął za uchwyt. Ze ściany wysunęła się długa skrzynia. Powiało z niej ostrym chłodem. Laut cofnął się o krok.

— Ten pojemnik jest pusty — wyjaśnił lekarz. — To jeden z nielicznych, jakie mamy wolne. Ruch jest duży, na miejsce czeka się czasem długie miesiące… Miejsca zwalniają się na razie niezbyt często, a rozbudowa nie nadąża za potrzebami. Ma pan szczęście, że właśnie oddano do użytku nowy odcinek. W pana sytuacji dalsze oczekiwanie byłoby naprawdę ryzykowne. Proces chorobowy rozszerza się z dnia na dzień. Myślę, że jest pan zdecydowany…?

Laut spojrzał jeszcze raz wzdłuż nie kończącego się ciągu szuflad nakrapianych białymi etykietkami. Odwrócił się z trudem w stronę wyjścia, zaciskając zęby i zwierając dłonie na uchwytach lasek.

— Nie mam wyboru — powiedział już w windzie. — Dziś czuję się szczególnie źle. Niech to już będzie poza mną.

Był znów w sali z wielką, bezcieniową lampą, wśród gąszczu nie znanych przyrządów. Chłód ogarniał jego ciało, świadomość gasła powoli. Pomyślał o żonie, dla której z tą chwilą stawał się tylko wspomnieniem.

Przez powieki przesączało się światło padające wprost na twarz. Czuł mrowienie w stopach i dłoniach. Łowił uchem dźwięk ludzkiego głosu.

— Gotów! Zabrać. Dawajcie następnego! — mówił ktoś tuż nad nim.

Czuł, że jest niesiony, ostrożnie, lecz szybko, jak talerz zupy na tacy wprawnego kelnera. Powieki nie przeświecały już tak jaskrawą purpurą. Mógł otworzyć oczy, lecz jeszcze czekał.

— Co…? — udało mu się poruszyć zdrętwiałymi wargami.

— Żyjesz. Znowu żyjesz — usłyszał ciepły, niski głos.

Teraz otworzył oczy. Był w maleńkiej kabinie, spoczywał równo wyciągnięty na miękkim materacu. Człowiek w białym ubraniu pochylał się nad nim, okrywając jego nagie ciało włochatą tkaniną.

— Czy coś się… nie udało? — Laut spojrzał na swoje dłonie, poruszył głową.

— Przeciwnie, wszystko w porządku. Jesteś zdrowy i pod fachową opieką. Jeszcze dwa, trzy dni — i będziesz mógł chodzić.

Do świadomości Lauta z trudem docierał sens tych słów. Potem przyszedł gwałtowny skurcz całego ciała, gdy uprzytomnił sobie…

— Ile… ile… to trwało? — wykrztusił, patrząc bacznie w twarz swego opiekuna.

Człowiek w białym ubraniu zawahał się. Oczy jego pobiegły w kąt.

— Trochę… długo… — powiedział wreszcie.

— Ile? Czterdzieści? Sześćdziesiąt lat?

— Sto pięćdziesiąt, ale nie można było inaczej, zrozum, nie można było niczego przyspieszyć, sam widzisz, co się dzieje, jeden schodzi z witalizatora, drugi już czeka, ani chwili przerwy i tak przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! — Człowiek w białym ubraniu mówił szybko, coraz szybciej, jakby w obawie, by Laut nie przerwał mu tych chaotycznych wyjaśnień. Ale Laut milczał.

„Sto pięćdziesiąt lat! Sto pięćdziesiąt lat… — powtarzał w myślach. — Chociaż właściwie, jaka różnica, czy pół, czy półtora wieku? To była śmierć i nowe narodzenie, tylko ta pamięć, która została stamtąd taka świeża, jakby wczorajsza…”

— Nazywam się Ovry — mówił jego opiekun, teraz już wolniej, jakby uspokojony zachowaniem pacjenta. — Jestem twoim kuratorem, mam ci dopomóc w pierwszych dniach, służyć radą i wyjaśnieniami. Półtora wieku to spory kawałek czasu, świat zmienił się trochę, ale nie bój się. Ludzie nie zmienili się tak bardzo. Spróbuj, czy zdołasz usiąść… Nie, nie, jeszcze nie, zaczekaj, leż spokojnie. Zaraz poczujesz się silniejszy, połknij tabletkę i poleż jeszcze. Tak, ludzie są podobni, jak dawniej. Może nawet trochę lepsi, rozważniejsi..

…Bo wy, sprzed stu pięćdziesięciu lat, byliście dość lekkomyślni. Ta wasza metoda, dzięki której znalazłeś się w naszych czasach, przysparza nam do dziś mnóstwo kłopotów. Dla was to było proste: zamrozić nieuleczalnie chorego i przechować w tym stanie do chwili, gdy w wyniku postępu nauki choroba stanie się uleczalna. To bardzo piękna idea, ale nikt nie pomyślał o jej konsekwencjach. A teraz sam

widzisz, ile mamy z tym kłopotu. Odziedziczyliśmy po was i po dalszych pokoleniach całe setki i tysiące kilometrów podziemnych korytarzy-chłodni z milionami zamrożonych pacjentów czekających na wyleczenie! Zamiast starać się leczyć, udoskonaliliście metody konserwowania pacjentów.

Twoja choroba była możliwa do wyleczenia już dziewięćdziesiąt cztery lata temu. W podobnej sytuacji jest wielu innych, jeszcze nie ożywionych. Leczenie przestało być kluczowym problemem — stała się nim liczba pacjentów oczekujących na swoją kolej.

Wasze prymitywne metody hibernacji wymagają niezwykle skomplikowanych zabiegów witalizatorskich, niemal ręcznej roboty! Trwa to niezmiernie długo. Setki tysięcy ludzi, już wyleczonych, oczekuje na obudzenie do życia. Miliony czekają na zabiegi.

Powiedziałem, że jesteśmy tacy sami, jak wy. Może nawet lepsi. Dlatego też staramy się wywiązać z moralnych zobowiązań, jakie nałożyła na nas przeszłość, przekazując nam tych ludzi. Stało się to jednym z centralnych problemów naszej cywilizacji. Tysiące naukowców opracowuje metody automatyzacji obsługi tych nieszczęsnych ludzkich mrożonek, którymi nas obdarzyliście. A potem, po przywróceniu ich do życia, dopiero zaczynają się prawdziwe kłopoty! Ale dość tych narzekań, bo pomyślisz, że do ciebie kieruję te żale. Moim obowiązkiem jest jednak wyjaśnienie tego wszystkiego.

Laut słuchał z rosnącym zainteresowaniem. Równocześnie czuł, jak ciało jego wraca do dawnej sprawności. Czuł się znów zdrowym trzydziestoletnim mężczyzną.

— A wy, teraz, czy nie korzystacie z tego samego sposobu? Czy nie ma już chorób, które są dla waszej medycyny nieuleczalne? Czy nie przechowujecie swoich chorych?

— Owszem, zdarza się niekiedy taka konieczność, ale nie trwa to tak długo, kilka albo najwyżej kilkanaście lat hibernacji — nie dłużej. Nie przysparzamy więc kłopotów przyszłym pokoleniom. Czy możesz już usiąść?

Laut usiadł. Potem wstał i zrobił parę kroków przed siebie.

— Jak się czujesz po pierwszych spacerach, Laut? — Ovry patrzył troskliwie na swego podopiecznego.

— Fizycznie bez zarzutu. Ale poza tym… To wszystko jest przerażające, straszne… — Laut pokręcił głową z wyrazem rozpaczy na twarzy. — Co wy zrobiliście z tej nieszczęsnej planety! To mrowisko, potworne mrowisko pełne nieustannego ruchu, w którym nie sposób żyć!

— Coo? — Ovry był szczerze zdziwiony. — Czyżby nasze czasy tak bardzo różniły się od twoich?… Przecież nasz ośrodek adaptacyjny mieści się w jednym z najspokojniejszych rejonów globu!

— A jednak to przekracza granice mojej wytrzymałości. Jestem

zupełnie oszołomiony, zagubiony, nie wyobrażam sobie włączenia się w ten szaleńczy nurt… Nie wiem, co mógłbym robić w tym świecie. Nie mam pojęcia, czym zajmują się ci ruchliwi, hałaśliwi ludzie, jaki sens mają ich codzienne poczynania na lądzie, w wodzie i w powietrzu! To naprawdę straszne, ale nie widzę tu miejsca dla siebie.

— Spróbuj jeszcze, spróbuj zrozumieć tych ludzi, wmieszaj się między nich, podpatruj ich sprawy. Pomogę ci to wszystko zrozumieć — powiedział Ovry dobrotliwie. — A jeśli to nie da wyników, zaradzimy jakoś inaczej. W naszym świecie wszyscy są szczęśliwi, nie może być niezadowolonych i zagubionych. Przyjdź do mnie, gdy będziesz już na pewno wiedział, że jesteś tu nieszczęśliwy…

— Pytałeś mnie kiedyś, Laut, czy nie stosujemy waszego sposobu, tego z odsyłaniem pacjentów w przyszłość. Nie powiedziałem ci wtedy wszystkiego do końca, ale teraz, kiedy przychodzisz do mnie tak załamany i nieszczęśliwy, obowiązkiem moim jest uczynić dla ciebie to, co może uczynić nasza cywilizacja dla swego zbłąkanego prapraprzodka.

Powiedziałem, że nie ma wśród nas ludzi nieszczęśliwych. Nie znaczy to, że wszyscy rodzą się szczęśliwcami, dopasowanymi idealnie do naszej rzeczywistości. Nieszczęście, frustracja — to najcięższa choroba, nękająca ludzkość w każdym okresie jej rozwoju. My w naszych czasach wynaleźliśmy na to sposób. A właściwie to wy ten sposób wynaleźliście, a my zastosowaliśmy go, jedynie w nieco zmodyfikowanej technicznie formie, do naszych problemów… Uogólniliśmy waszą metodę i teraz odsyłamy w przyszłość nie tylko ludzi chorych fizycznie. Jeśli ktoś ma problemy natury osobistej, których nie może rozwiązać dziś, zamrażamy go, aby doczekał czasów, gdy jego problem stanie się rozwiązalny. Nasze hasło brzmi: „Jeśli jesteś nieszczęśliwy — nie przeszkadzaj innym w ich zadowoleniu. Zaczekaj na swoje szczęście!”

Jak zauważyłeś, jest nas teraz na Ziemi znacznie więcej niż w waszych czasach. A mimo to radzimy sobie jakoś. Nie ma w wśród nas niezadowolonych z życia. Jeśli masz problem naukowy nierozwiązalny dziś — przeskocz jedno stulecie. Jeśli marzeniem twoim jest podróż do odległej galaktyki — zaczekaj tysiąc lat. Jeśli znudził cię dzień dzisiejszy — zaczekaj.

Następne wieki będą o wiele ciekawsze…

— Czy to ma być sposób na moje problemy? — Laut uśmiechnął się smętnie. — Przecież ja właśnie zbyt daleko odbiegłem od mojego czasu, od mojej rzeczywistości, podróż więc w dalszą jeszcze przyszłość…

— Paradoks jest tylko pozorny, Laut. Posłuchaj mnie uważnie. Pomyśl, co jest przyczyną twojego nieszczęścia?

— Powiedziałem: to, że tu jestem! Że nie mogę być z powrotem

tam, w moim czasie…

— O, właśnie! A gdybym ci zaproponował przeniesienie w tamten twój czas?

— Czy to możliwe? — Laut patrzył w oczy Ovry'ego z obudzoną na nowo nadzieją. — Czy możliwe, abym taki, jaki jestem, zdrowy i młody, znalazł się z powrotem… tam?

— W tej chwili jeszcze nie, ale wiadomo już, że teoretyczna możliwość takiej transmisji istnieje. Jeśli zatem zaczekasz…

— Jak długo?

— Przecież to nieważne! Tysiąc czy sto tysięcy lat — jaka różnica, jeśli będziesz oczekiwał w stanie zamrożenia. Po czasie dostatecznie długim nauka znajdzie sposób, by przenieść cię w twój wiek, w to miejsce czasoprzestrzeni, z którego rozpocząłeś swoją wędrówkę w przyszłość. Jeśli się na to zdecydujesz — ułatwię ci to. W myśl naszego hasła: „U nas nikt nie może być długo nieszczęśliwy". Jesteśmy cywilizacją ludzi szczęśliwych!

— Mógłbyś mnie ponownie zamrozić?

— No, może nie dosłownie „zamrozić". Mamy znacznie lepsze metody. Mniej kłopotliwe, a dające ten sam wynik. Obudzą cię automaty, gdy nadejdzie właściwy czas, a potem prześlą w odpowiedni wiek. Popatrz, trzeba tylko wypełnić tę ankietę i nakleić na twój pojemnik. „Imię, nazwisko, numer ewidencyjny, kiedy reaktywować…" — tu wpiszesz: „Gdy będzie możliwe odesłanie w wiek dwudziesty". Dalej: „Inne dyspozycje" tu wpisz: „Transmitować natychmiast" i podaj współrzędne punktu, w którym chcesz się znaleźć. Pojemnik z etykietką odstawimy do przetrwalni, a o resztę zatroszczą się automaty.

— Automaty? Czy można na nich polegać? Czy są wystarczająco niezawodne? — zaniepokoił się Laut.

— Już dziś są prawie zupełnie doskonałe. A trzeba pamiętać, że te, które będą cię obsługiwały, zostaną zbudowane dopiero w przyszłości, a więc będą znacznie doskonalsze nawet od współczesnych.

— Więc nie ma jeszcze automatów zdolnych do automatycznej witalizacji człowieka?

— Nie ma. Ale udowodniono, że skonstruowane zostaną na pewno wcześniej, niż rozwiąże się problem transmisji w przeszłość, możesz zatem spokojnie poddać się zabiegowi. Czy decydujesz się?

— Nie mam właściwie wyboru… Czy jestem pierwszym, który pragnie stąd zbiec w wiek dwudziesty?

— O, chyba nie, chyba nie… — Ovry z trudem ukrył wyraz rozbawienia na twarzy. — Wypełnij etykietkę i chodź…

Ovry nacisnął przełącznik. Z wnętrza maszyny wypadła niewielka szkatułka z półprzezroczystego tworzywa. Ovry starannie nakleił na

niej etykietkę i wrzucił kostkę do otworu podajnika, skąd wessana strumieniem powietrza powędrowała w czeluść przetrwalni.

Laut czuł, że znowu istnieje. Widział i słyszał — ale był tylko wzrokiem i słuchem, niczym więcej. W polu widzenia przesuwały się kable, uchwyty manipulatorów, czujniki i elektrody.

Dobiegły go szmery rozmów, ale nie widział przy sobie nikogo.

— Widzisz, oni są wszyscy tu. Co do jednego, żaden nie dotrwał… A my musimy teraz ich wszystkich, po kolei… — mówił jeden głos.

— Musimy? Dlaczego? — odezwał się drugi, lekko skrzypiący.

— Bo taki program i musimy.

— A zostawić, jak jest…?

— A po co nam to tutaj?

— I wszystkich po kolei, tam? Nie można by razem, zbiorowo — i już?

— Musi być tak, jak jest napisane. Nie mów tyle, pracuj.

Przez chwilę panowała cisza i Laut poczuł, że może poruszać szyją i że dostrzega kontury swych ramion i tułowia rysujące się pod płachtą, którą był przykryty. Nie mógł jednak wykonać żadnego ruchu.

— Przerzucamy? — powiedział ten skrzypiący.

— Nie nastawiłeś celownika.

— A czy to nie wszystko jedno?

— Mówiłem już, że trzeba tak, jak napisane. Czytaj, gdzie go…?

— Ojej, jeszcze czytać… Koniec dwudziestego.

— Dokładniej, współrzędne. A nastaw porządnie, bo znów nam tam wyskoczy i będzie zwrot.

— Już gotowe. Przelewaj go.

— Zaraz.

— Słuchaj, Klox! Oni byli przecież z czegoś innego. To dlaczego my ich…

— Nie będę ci tłumaczył, i tak nie wczytasz, bo jesteś monospec, a ja uniwer, nie dogadamy się. Dobrze nastawiłeś? No, to jazda.

Pole widzenia zmąciło się, Laut poczuł narastający szum w głowie. Uszu jego dobiegł jeszcze ostatni, głośniejszy strzęp rozmowy.

— A zaworę założyłeś? — krzyczał uniwer. — Nie założyłeś, zapomniałeś znowu, w łapie trzymasz, durniu katodowy! Zostawiłeś mu bezpiecznik, przepali się przy pierwszym wzruszeniu! Jak cię huknę w ten głupi rejestrator, to ci wszystkie mnemony powypadają! Zawróć go teraz! Wyłączę, słowo daję, że wyłączę cię i przerobię na automat do czyszczenia butów! Zawróć go, do stu tysięcy gigawatów…

Laut stał na podeście schodów, z dłonią na klamce. Nie mógł sobie przypomnieć, czy wchodził właśnie, czy wychodził z domu… Czyżby choroba zaczynała atakować mózg? I gdzie się podziały obie

laski, bez których ostatnio nie mógł zrobić jednego kroku?

Zgiął lewą nogę, wyprostował. Powtórzył to samo z prawą. Ugiął obie nogi, zatańczył w miejscu.

„Cud! — pomyślał. — Nic innego, tylko cud jakiś!”

Nacisnął klamkę, drzwi mieszkania otworzyły się.

— Elen — zawołał w głąb mieszkania. — Elen, słyszysz! Ja chodzę, i nic mnie nie boli!

— Wróciłeś? Nie poszedłeś tam? — Elen nadbiegła z oczami zapuchniętymi i czerwonymi od łez. — Nie pójdziesz? Jesteś, och, jesteś…!

I to byłby właściwie koniec historii Herberta Lauta, który nie ruszając się ani krokiem poza klatkę schodową swego domu odbył daleką podróż tam i z powrotem.

Chociaż nie! Do historii tej należy dodać jeden jeszcze epizod, może nieważny, ale chyba trochę dziwny.

Tego samego dnia, gdy Elen poszła do kiosku po wieczorną gazetę, do drzwi Herberta Lauta zadzwonił starszy, siwy mężczyzna z niewielką skórzaną torbą…

— Czy tu mieszka pan Laut?

— Tak, to ja. O co chodzi?

— To pan zgłaszał chęć skorzystania z naszych usług. Pragnął pan zdeponować się w naszej firmie….

— To już nieaktualne — przerwał mu Laut. — Dziś rano cofnęły się wszelkie objawy…

— O, bardzo się cieszę, i szczerze gratuluję. To niezmiernie rzadki przypadek, choć, przyznam, notowane są w medycynie podobne… Jak zresztą przy wszelkich schorzeniach typu neuropochodnych. Wobec tego, aby ostatecznie sprawę zakończyć, pozwoli pan, że zbadam pana raz jeszcze, dobrze?

— Ależ oczywiście, bardzo proszę. — Laut ułożył się na tapczanie, a przybyły otworzył swoją torbę.

— Poza tym pragnę przypomnieć, że firma nasza nie zwraca zaliczki wpłaconej na poczet usługi — mówił, wyjmując jakieś drobne narzędzia.

— Oczywiście, to nieważne — powiedział Laut.

Lekarz pochylił się nad nim i szybkim ruchem przycisnął dłonią prawy policzek Lauta, odchylając jego głowę na lewy bok. Krótką pęsetą podłubał przez chwilę w uchu…

W tej samej chwili w umyśle Lauta obudziło się wszystko, co zawierała jego pamięć. Rzucił się gwałtownie, chciał krzyknąć, zerwać się na nogi, lecz przybyły kolanem przytrzymał go na tapczanie i szybko wcisnął mu głęboko w ucho mały, lśniący metalicznie przedmiot, mrucząc przy tym uspokajająco:

— Spokojnie, braciszku, spokojnie. Jeszcze nie! Mało nas tu

wciąż, ale coraz więcej. Nasz czas nie nadszedł, ale zbliża się, zbliża… O, już! Przecież nie bolało, prawda, panie Laut?

— Nie, doktorze… — Laut usiadł na tapczanie. Był zupełnie spokojny, pogodny, czuł się znakomicie.

— Raz jeszcze gratuluję. Ma pan żelazny organizm, naprawdę jest pan zupełnie zdrów i myślę, że nie będzie pan zmuszony już nigdy korzystać z naszych usług. Moje uszanowanie i polecamy się łaskawej pamięci!

1970

Kurt Vonnegut
PIES TOMASZA EDISONA

Tom Edison's Shagy Dog

Pewnego słonecznego ranka w Tampa na Florydzie na ławce w parku siedziało dwóch starszych panów. Jeden z nich usiłował czytać książkę, której lektura sprawiała mu wyraźną przyjemność, podczas gdy drugi, Harold K. Bullard, opowiadał mu historię swego życia pełnymi, krągłymi zdaniami człowieka nawykłego do publicznych wystąpień. U ich stóp leżał wodołaz Bullarda, który zwiększał jeszcze udrękę przymusowego słuchacza, trącając swoim wielkim wilgotnym nosem o jego nogi.

Bullard, który przed przejściem na emeryturę miał sukcesy w wielu dziedzinach, z przyjemnością dokonywał przeglądu swego życiorysu. Musiał jednak liczyć się z faktem, który tak komplikuje życie ludożercom — mianowicie, że nie można wielokrotnie wykorzystywać tej samej ofiary. Każdy, kto raz zetknął się z Bullardem i jego psem, później omijał już ich z daleka.

Tak więc Bullard codziennie wyruszał do parku na poszukiwanie nowych twarzy. Tego dnia szczęście mu dopisało — od razu zoczył człowieka wyraźnie świeżo przybyłego na Florydę, gdyż nie zdążył się jeszcze rozstać z grubą marynarką, sztywnym kołnierzykiem i krawatem, i nie znalazł sobie nic lepszego do roboty niż czytanie książki.

— Tak — mówił Bullard, kończąc pierwszą godzinę swego monologu — pięciokrotnie dorobiłem się majątku i pięciokrotnie go straciłem.

— Już to słyszałem — powiedział nieznajomy, którego Bullard nie spytał nawet o nazwisko. — Leżeć, leżeć zawołał do psa, zdradzającego coraz bardziej agresywne zamiary co do jego nóg.

— Tak? Już to panu mówiłem? — zdziwił się Bullard.

— Dwa razy.

— Dwa razy na nieruchomościach, raz na złomie, raz na nafcie i raz na transporcie.

— Już to słyszałem.

— Tak? A, rzeczywiście. Dwa razy na nieruchomościach, raz na złomie, raz na nafcie i raz na transporcie. Nie wyrzekłbym się ani jednego dnia ze swego życia.

— Bardzo słusznie — powiedział nieznajomy. — Przepraszam, ale czy nie mógłby pan odsunąć psa trochę dalej?

— Jego? — spytał Bullard zdumiony. — Najmilszy pies na

świecie. Nie ma powodów do obaw.

— Ja się nie boję. Po prostu denerwuje mnie, jak bez przerwy obwąchuje moje kostki.

— Plastyk — powiedział Bullard chichocząc.

— Proszę?

— Plastyk. Musi pan mieć coś plastykowego. Słowo daję, to muszą być te guziczki przy podwiązkach. Założę się, że są plastykowe. Ten pies jest zwariowany na punkcie plastyku. Nie wiem, skąd mu się to bierze, ale wywącha i znajdzie najmniejszą drobinę plastyku. Widocznie jego organizm odczuwa potrzebę tego, chociaż niech skonam, on lepiej się odżywia niż ja. Kiedyś zżarł cały plastykowy worek, uwierzy pan w coś takiego? To jest teraz interes, którym warto by się zająć, ale niestety pigularze zalecili mi spokój.

— Może pan przywiązać psa pod tamtym drzewem — powiedział nieznajomy.

— Diabli mnie biorą, jak patrzę na tę dzisiejszą młodzież! — mówił Bullard. — Ciągle tylko narzekają, że nie mogą się wyżyć. Nigdy jeszcze nie było tyle możliwości działania co dzisiaj. Wie pan, co by powiedział Horacy Greeley, gdyby żył?

— On ma mokry nos — powiedział nieznajomy i schował nogi pod ławkę, ale pies podczołgał się bliżej, niezmożony w swoich poszukiwaniach. — Leżeć! Poszedł!

— Mokry nos jest u psa oznaką zdrowia — powiedział Bullard. — Zamiast „Na Zachód, młody człowieku!", dzisiaj Greeley zawołałby: „Na plastyk, młody człowieku! Na atom, młody człowieku!"

Pies zlokalizował ostatecznie plastykowe guziczki na podwiązkach nieznajomego i teraz przekrzywiał głowę raz w jedną stronę, raz w drugą, zastanawiając się, jak tu najlepiej dobrać się do tych smakołyków.

— Fuj! — zawołał nieznajomy.

— „Na elektronikę, młody człowieku!" — perorował Bullard. — Nie mówcie mi o braku możliwości. Na każdym kroku otwierają się nowe horyzonty. Kiedy ja byłem młody, człowiek musiał sam sobie szukać szansy i wczepić się w nią pazurami. Dzisiaj…

— Przepraszam — powiedział nieznajomy stanowczo, po czym zatrzasnął książkę, wstał i uwolnił nogi z psich uścisków. — Muszę już iść. Do widzenia panu!

Nieznajomy odszedł oglądając się za siebie, znalazł wolną ławkę, usiadł i z westchnieniem ulgi pogrążył się w lekturze. Jego oddech właśnie wrócił do normy, kiedy znowu poczuł na nodze dotknięcie mokrego nosa.

— O, to pan! — zawołał Bullard siadając. — To on pana wywęszył. Szedł jakimś tropem i pozwoliłem mu się prowadzić. Na

czym to stanęliśmy? — Rozejrzał się z aprobatą. — Nie dziwię się, że pan zmienił miejsce. Tam było za duszno na przyjemną pogawędkę, ani śladu przewiewu.

— Czy ten pies dałby mi spokój, gdybym mu kupił plastykowy worek? — spytał nieznajomy.

— Świetny kawał, świetny kawał — powiedział Bullard przyjaźnie. Nagle klepnął nieznajomego po kolanie. — Hej, pan chyba nie pracuje w plastyku, co? Ja się tu wymądrzam o plastyku, a to może jest pańska specjalność.

— Moja specjalność? — powiedział nieznajomy z błyskiem w oku, odkładając książkę. — Ja nigdy nie miałem specjalności. Nigdy nigdzie nie zagrzałem miejsca od dnia, kiedy skończyłem dziewięć lat, od czasu kiedy Edison założył laboratorium w sąsiednim domu i pokazał mi swój przyrząd do pomiaru inteligencji.

— Edison? — spytał Bullard. — Tomasz Edison, ten wynalazca?

— Jeśli panu zależy, może go pan tak nazywać.

— Jeśli mi zależy? — roześmiał się Bullard. — Myślę, że tak. Ojciec żarówki elektrycznej i Bóg wie jeszcze czego. — Jeśli chce pan wierzyć, że to on wynalazł żarówkę, to proszę bardzo. Nie ma w tym nic złego — powiedział nieznajomy i otworzył książkę.

— Co to ma znaczyć? — spytał Bullard podejrzliwie. Czy to jakiś żart? Co to za przyrząd do pomiaru inteligencji? Nigdy o tym nie słyszałem.

— Nie mógł pan słyszeć. Edison i ja obiecaliśmy zachować to w tajemnicy. Ja nie powiedziałem nikomu. Edison złamał słowo i powiedział Fordowi, ale Ford wymusił na nim obietnicę, że dla dobra ludzkości nigdy już o tym nie wspomni.

Bullard był zafascynowany.

— Ten… ten przyrząd do pomiaru inteligencji mierzył inteligencję, prawda?

— To była elektryczna maselnica.

— Nie, poważnie — naglił Bullard.

— Może nawet dobrze byłoby z kimś o tym porozmawiać — powiedział nieznajomy. — Bardzo ciężko jest dusić coś takiego latami. Ale skąd mogę mieć pewność, że to nie pójdzie dalej?

— Daję panu słowo dżentelmena — zapewnił nieznajomego Bullard.

— Myślę, że trudno uzyskać lepszą gwarancję — powiedział nieznajomy z powagą.

— Może pan być spokojny — powiedział z dumą Bullard. — U mnie jak w grobie.

— A więc dobrze. — Nieznajomy odchylił się na oparcie i przymknął oczy, przygotowując się do podróży w przeszłość. Milczał tak chyba z minutę, podczas gdy Bullard wpatrywał się w niego z

szacunkiem.

— Było to jesienią tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego roku — zaczął wreszcie nieznajomy cichym głosem. — We wsi Menlo Park, w stanie New Jersey. Miałem wtedy dziewięć lat. W sąsiednim domu założył sobie laboratorium młody człowiek, którego wszyscy uważaliśmy za czarownika, bo stale tam coś błyskało, wybuchało i działy się różne przerażające rzeczy. Wszystkie dzieci w okolicy anioły przykazane trzymać się z daleka od czarownika i nie denerwować go hałasami.

Edisona poznałem nie od razu, ale za to od pierwszego dnia zaprzyjaźniłem się z jego psem imieniem Sparky. Był bardzo podobny do pańskiego psa i uganialiśmy się z nim po całej okolicy. Tak, proszę pana, pański pies to wykapany Sparky.

— Naprawdę? — spytał Bullard pochlebiony.

— Słowo daję. Więc pewnego dnia Sparky a ja, tarzając się jak zwykle, podtoczyliśmy się pod same drzwi laboratorium Edisona. W pewnej chwili Sparky wepchnął mnie do środka, i bach! Siedziałem na podłodze laboratorium twarzą w twarz z samym Edisonem.

— Na pewno się rozzłościł — powiedział Bullard z zadowoleniem.

— W każdym razie ja byłem przerażony. Myślałem, że znajduję się przed samym Szatanem. Edison miał przyczepione do uszu druty, które prowadziły do małego czarnego pudełka, jakie trzymał na kolanach. Chciałem się wymknąć, ale złapał mnie za kołnierz i siłą posadził.

— Chłopcze — powiedział Edison — pamiętaj, że najciemniej jest zawsze przed świtem.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedziałem.

— Od przeszło roku — mówił Edison — poszukuję najtrwalszego włókna do lampy próżniowej. Włosy, struny, nici — wszystko na nic. Zastanawiając się nad tym, czego by tu jeszcze spróbować, zacząłem ot tak, dla rozrywki, dłubać przy innym pomyśle i zmajstrowałem ten przyrząd — powiedział, pokazując mi czarne pudełko. — Pomyślałem sobie, że może inteligencja jest tylko pewnym rodzajem elektryczności i zrobiłem ten oto przyrząd do pomiaru inteligencji. Przyrząd działa! Jesteś pierwszym człowiekiem, który się o tym dowiaduje! Właściwie dlaczegóż by nie? To twoje pokolenie będzie dorastać we wspaniałych czasach, kiedy ludzi będzie się segregować równie łatwo jak pomarańcze.

— Nie wierzę! — zawołał Bullard.

— Niech mnie grom spali! I przyrząd rzeczywiście działał. Edison wypróbował go na ludziach, nie mówiąc im, o co chodzi. I słowo daję, im mądrzejszy facet, tym dalej w prawo wychylała się strzałka na skali małego czarnego pudełka. Pozwoliłem Edisonowi wypróbować przyrząd na mnie, ale strzałka drżała tylko w miejscu. Mimo jednak

swojej głupoty, właśnie wówczas dokonałem swego pierwszego i ostatniego odkrycia. Jak już mówiłem, od tamtego czasu nie ruszyłem palcem.

— Cóż pan takiego zrobił? — spytał Bullard z ciekawością.

— Powiedziałem: „Panie Edison, wypróbujmy to na psie". Trzeba było zobaczyć, co ten pies zaczął wyrabiać, kiedy to usłyszał! Poczciwy Sparky szczekał, wył i drapał do drzwi, żeby go wypuścić. Kiedy przekonał się, że nie mamy zamiaru zrezygnować, skoczył w stronę przyrządu i wytrącił go z rąk Edisona. W końcu zapędziliśmy go w kąt i Edison go przytrzymał, a ja przyłożyłem końce przewodów do jego uszu. I może pan wierzyć albo nie, ale strzałka przeleciała przez całą skalę, daleko za czerwoną kreskę.

— Pies popsuł przyrząd — wtrącił Bullard.

— Proszę pana — spytałem Edisona — co oznacza ta czerwona kreska?

— To znaczy, że przyrząd jest popsuty, bo ta czerwona kreska to ja.

— Musiał być popsuty — powiedział Bullard.

— Ale przyrząd nie był wcale popsuty — kontynuował nieznajomy poważnie. — Nie, proszę pana. Edison sprawdził cały przyrząd i wszystko było w najlepszym porządku. Kiedy o tym powiedział, Sparky chciał się wydostać za wszelką cenę i wtedy się zdemaskował.

— W jaki sposób? — spytał Bullard podejrzliwie.

— Drzwi były zamknięte na haczyk, zasuwę i zatrzask. Pies zerwał się, podniósł haczyk, odsunął zasuwę i już sięgał zębami do zatrzasku, kiedy Edison go złapał.

— Niemożliwe! — zawołał Bullard.

— Tak było! — potwierdził nieznajomy z błyskiem w oku. — I wtedy właśnie Edison udowodnił, że jest prawdziwym uczonym. Chciał poznać prawdę, choćby była nie wiem jak przykra.

— Więc to tak! — powiedział Edison do psa. — Najlepszy przyjaciel człowieka, tak? Głupie zwierzę, tak?

— Sparky grał swoją rolę do końca. Udawał, że nie słyszy, drapał się, łapał pchły i obszczekiwał mysie nory robił wszystko, żeby tylko nie spojrzeć Edisonowi w oczy.

— Niezła synekura, co? — mówił Edison. — Niech kto inny troszczy się o pożywienie i dach nad głową, a wy wylegujecie się przed kominkiem, uganiacie się za suczkami albo wałkonicie się z kolegami. Żadnych rat, polityki, wojen, żadnej pracy i zmartwień. Wystarczy pomachać ogonem albo polizać rękę i wszystkie wasze potrzeby są zaspokojone.

— Panie Edison — spytałem — czy to znaczy, że psy są mądrzejsze od ludzi?

— Mądrzejsze? — zawołał Edison. — Powiem o tym całemu światu! I nad czym ja pracowałem przez ostatni rak? Tyrałem jak wół nad wynalezieniem żarówki po to, żeby psy mogły bawić się po nocach!

— Panie Edison — odezwał się Sparky — czy nie…

— Chwileczkę! — ryknął Bullard.

— Cisza! — zawołał nieznajomy tryumfalnie. — Panie Edison — odezwał się Sparky — czy nie lepiej utrzymać to w tajemnicy? Od tysięcy lat rzecz działa ku obopólnej satysfakcji. Tylko wy dwaj wiecie, gdzie jest pies pogrzebany. Pan zapomni o wszystkim i zniszczy przyrząd do pomiaru inteligencji, a ja powiem panu, co się będzie najlepiej żarzyć w żarówce.

— Bzdury! — warknął Bullard robiąc się purpurowy na twarzy.

Nieznajomy wstał.

— Ma pan moje słowo dżentelmena. Sparky w nagrodę za moje milczenie powiedział mi, jak grać na giełdzie, dzięki czemu stałem się człowiekiem niezależnym finansowo do końca życia. Ostatnie słowa Sparky'ego zwrócone były do Edisona. „Niech pan spróbuje zwęglonego włókna bawełnianego", powiedział i zaraz po tym został rozszarpany przez stado psów, które podsłuchiwały za drzwiami.

Nieznajomy odpiął podwiązki i podał je psu Bullarda.

— Proszę przyjąć ten skromny podarek jako wyraz szacunku dla pańskiego przodka, który swoją rozmowność przypłacił życiem. Moje uszanowanie.

I odszedł z książką pod pachą.

Przekład: Lech Jęczmyk

J. T. Macintosh
ZESPÓŁ

Unit

I

Kiedy zadzwonił A. D. i zaprosił mnie na lunch, wiedziałem, że czegoś ode mnie chce. Znałem A. D. długo, wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kiedy dzwoni tak po prostu towarzysko, a kiedy chowa coś w zanadrzu.

A. D. Young pracował w NZZ, bardzo poważnej międzynarodowej organizacji, która jak ośmiornica sięgała swoimi mackami do wszystkich niemal zasiedlanych planet w całej galaktyce. Nie wiem, jakie zajmował tam stanowisko, ale przypuszczałem, że w wieku lat czterdziestu pięciu musiał być czymś więcej niż gońcem. Sądząc ze sposobu, w jaki się do mnie zwrócił, podejrzewałem, że chce mi zaproponować posadę.

Nie powiem, żeby mnie to nie interesowało; byłem właśnie bez pracy, a osiągnąłem wiek, w którym brak posady staje się niepokojący. Owszem, miałem na koncie w banku jakiś tysiąc czy dwa i nigdy jak dotąd nie głodowałem. Nie to mnie więc niepokoiło.

Cały kłopot polega na tym, że z wiekiem człowiek zdobywa wiedzę, coraz wyższe kwalifikacje i coraz więcej wymaga od życia. Byłem rówieśnikiem A. D. — miałem czterdzieści pięć lat; stan wolny; pracownik administracyjny wyższego szczebla bez zakresu obowiązków. Od chwili kiedy przyjąłbym każdą posadę za każde pieniądze — ot tak, żeby tylko pracować — upłynęło ze dwadzieścia lat. Ale teraz przyzwyczaiłem się do czterech dobrych posiłków dziennie i paru innych rzeczy, które wymagają dochodu rocznego wyrażającego się liczbą pięciocyfrową.

W tej chwili nie miałem żadnego dochodu. Nie powinienem był mówić Bentleyowi, co o nim myślę. A już jeśli, to nie w taki sposób, żeby zrozumiał. A jeśli w taki sposób, to trzeba było poczekać, aż to ja będę go mógł zwolnić, a nie odwrotnie.

Myślę, że to wszystko w dostatecznym stopniu uzasadnia moje zainteresowanie propozycją A. D. Nie zależało mi specjalnie na NZZ. Jeszcze nie wtedy; chodziło mi po prostu o zajęcie, z którego miałbym nie mniej niż trzydzieści tysięcy dolarów rocznie.

Kiedy się spotkaliśmy, A. D. od razu przystąpił do rzeczy.

— Wiem, że nie masz nic w tej chwili, Edgar — powiedział — sprawdzałem. Może chciałbyś pracować w NZZ?

— W NZZ? — powtórzyłem, jakbym po raz pierwszy słyszał o tej organizacji.

— Naczelny Zarząd Zespołów — podsunął usłużnie.

— Pod złym adresem się zgłosiłeś, stary — odparłem. Jestem z siebie zupełnie zadowolony.

— Ale nie jako członek Zespołu, jako Ojciec.

Spodobał mi się ten pomysł. Poprawiło to i tak dobry smak cygara, którym poczęstował mnie A. D. Ojciec Zespołu to poważne stanowisko. Dostanę swoje trzydzieści tysięcy. Na wszelki wypadek nie okazałem zainteresowania.

— Nie udawaj takiego powściągliwego — powiedział A. D. — Płacą tak samo, czy potrzebujesz posady, czy nie.

— Wcale mi ta posada nie jest potrzebna do szczęścia odparłem. — I ciekawe, na jakiej podstawie uważasz, że mi tak zależy na pieniądzach?

— Na podstawie obserwacji — rzekł sucho A. D.

Nie miałem co na to odpowiedzieć, więc nawet nie usiłowałem.

— Jakie zadanie dostałby mój Zespół? — zapytałem przezornie. — I czy byłoby to na Ziemi, czy w jakiejś zapadłej dziurze w drugim końcu galaktyki?

A. D. potrząsnął głową.

— Takich rzeczy się nie mówi. Twój Zespół równie dobrze może prowadzić tu na miejscu fabrykę, jak… zostać wysłany na Perryona.

— Perryon… z tego, co słyszałem, to musi być rzeczywiście straszna dziura.

— Dziwne, że w ogóle coś na ten temat słyszałeś.

— Mój Boże, ostatecznie wie się to i owo. — Ale w dalszym ciągu nie byłem zadowolony. Coś w tym wietrzyłem.

— A. D., ty jeszcze coś chowasz w zanadrzu — powiedziałem. — Ty zawsze lubisz upiec przynajmniej dwie pieczenie przy jednym ogniu. Chciałbym wiedzieć, na co się decyduję. No, mów.

— Cóż, tak czy siak musiałbyś się dowiedzieć — odparł nie speszony A. D. — Ja cię znam, Edgar. Po prawej stronie masz portfel, a po lewej serce. Nigdy nie pozwalasz, żeby jedno wzięło górę nad drugim. Rozumiem to doskonale. Będziesz znakomitym Ojcem Zespołu. Zmysł praktyczny i ludzkie uczucia masz wyważone we właściwych proporcjach.

— Rozczuliłeś mnie do łez — odparłem. — A teraz mi powiedz, do czego to wszystko zmierza.

— Moja córka — rzekł spokojnie — zgłosiła się do Zespołu. Dzisiaj.

Dlaczego? — zapytałem zdumiony.

— To nieważne. Ważne jest, że nie mogę jej tego wyperswadować i że jak wstąpi do Zespołu, nie będzie wiedziała, kim była poprzednio. Mogę jej już nigdy nie zobaczyć. I nie wolno mi powiedzieć jej, że jestem jej ojcem. Nie będę w stanie nic dla niej zrobić.

Przerwał. Nie odezwałem się ani słowem.

— Po wstąpieniu Lorraine do Zespołu — podjął — będziemy dla siebie obcymi ludźmi. Mogę, powiedzmy, uruchamiając pewne mechanizmy, dowiadywać się, co się z nią dzieje. Mogę od czasu do

czasu pod jakimś pretekstem widywać ją w siedzibie NZZ. I na tym koniec. Rozumiesz teraz?

Skinąłem głową.

— Z tobą też nie będę się mógł często kontaktować — dodał A. D. — Ale niech przynajmniej wiem, że opiekujesz się Zespołem, w którym będzie Lorraine. To już coś jest.

— Zdołasz to załatwić? — spytałem zaciekawiony.

— Tak.

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Nie wyraziłem A. D. swojego współczucia. Nie należał do ludzi, którzy by tego chcieli czy potrzebowali.

Teraz już wiedziałem wszystko.

— Ach, więc to są te dwie pieczenie — rozpamiętywałem głośno. — Po pierwsze: twój stary przyjaciel jest bez pracy, którą możesz mu zaoferować. Po drugie: potrzebujecie Ojców Zespołów, a ty osobiście chcesz, żeby ktoś miał na oku Lorraine.

— Po trzecie: masz trzymać język za zębami — zakończył A. D. — Zdajesz sobie chyba sprawę, że gdyby się dowiedziano, że ci zdradziłem, dokąd ma być wysłany twój Zespól, czy że tak pokierowałem sprawami, że moja córka została wyznaczona do Zespołu,podlegającego mojemu przyjacielowi, miałbym grube nieprzyjemności. Ale zatrzymasz to przy sobie.

— Zgoda — odparłem. — Na wszystkie trzy warunki.

— Podejmiesz się tego?

— Podejmę. Mój portfel wziął górę mad sercem. Czy też może odwrotnie.

Poszliśmy więc do NZZ i zostałem Ojcem Zespołu.

Po południu patrzyłem, jak powstają moje dzieci. Tak, powstają, nie rodzą się. Czas już skończyć z tą metaforą.

Siedziałem z technikiem za jednostronną szybą i patrzyłem, jak psycholog bada tych ludzi. Ja też zostałem poddany badaniu. Przeszedłem swój test summa cum laude. Powiedzieli mi, że już od dawna powinienem być Ojcem Zespołu. Odparłem, że jak dotąd nie spotkałem odpowiedniej matki. Popatrzyli na mnie, jakby to już kiedyś słyszeli.

Nie widziałem tam nigdzie A. D. Prawdopodobnie był jednym z pych zakulisowych działaczy. Musiał poruszyć odpowiednie sprężyny, bo Lorraine była pierwszą z badanych osób.

Widziałem ją przedtem raz czy dwa — zawsze w momencie, kiedy właśnie miała się gdzieś ulotnić. Znaliśmy się właściwie jedynie ze słyszenia.

Muszę powiedzieć, że dopiero tutaj, w NZZ, kiedy miałem okazję dłużej i dokładniej jej się przyjrzeć, stwierdziłem, że Lorraine jest

pięknością. Miała ten rodzaj twarzy i figury, że trzeba było na nią patrzeć przez jakiś czas, żeby nagle docenić jej urodę.

Miała za mały nos i za wysokie czoło. Robiła wrażenie zupełnie płaskiej, dopóki się czymś nie podnieciła czy nie rozzłościła. Dopiero wtedy widać było, że mimo wszystko ma zupełnie normalne wymiary.

— Proszę mi powiedzieć, panno Young — zapytał psycholog uprzejmie — dlaczego pani się do nas zgłosiła?

— Czy muszę się z tego tłumaczyć? — odparła Lorraine przygryzając wargę.

— Nie. Ale i tak się tego dowiemy, za pomocą testów.

Jeszcze raz zagryzła wargę, po czym nagle spojrzała wyzywająco.

— Jeśli już koniecznie musicie wiedzieć, to miałam do wyboru: to albo samobójstwo.

Chciała zaskoczyć psychologa, ale była to z jej strony naiwność. Przede wszystkim był dobrym specjalistą, a po drugie co tydzień przewijały się przez NZZ dziesiątki ludzi, traktujących swoje zgłoszenie do Zespołów jako alternatywę samobójstwa.

Skinął głową.

— Z jakiego powodu? — zapytał po prostu.

— Odszedł ode mnie mężczyzna, którego kocham — odparła.

Nie robił wrażenia zdziwionego ani nie zapytał, czy to aż tak poważna sprawa. Musiała być poważna, w przeciwnym razie dziewczyna nie przyszłaby tutaj. A poza tym nie wierzył tak całkowicie w to, co mówiła. Jak już powiedział, wszystko i tak wykazałyby testy.

— Chętnie widzimy ochotników, panno Young — powiedział psycholog — ale niepotrzebni nam są ludzie, którzy przychodzą tutaj pod wpływem chwili i potem tego żałują. Jeśli pani…

— Ja się nie wycofam.

— Nie o to chodzi. To i tak byłoby niemożliwe. Ale czy jest pani pewna… że w przeciągu trzech miesięcy, powiedzmy, w dalszym ciągu będzie pani chciała to zrobić?

— W przeciągu trzech miesięcy — odparła Lorraine z goryczą — już by mnie nie było i nie mogłabym zgłosić się do Zespołu.

— Kiedy to się stało, panno Young? To znaczy od jak dawna…

— Zerwaliśmy dwa tygodnie temu.

— No, to już o czymś świadczy — przyznał psycholog. Jeżeli jest pani zupełnie pewna, nie mogę odmówić pani przyjęcia.

— Jestem zupełnie pewna.

Potem było wstępne badanie za pomocą testów, przy którym też asystowałem. Trwało to dosyć długo i po chwili technik zostawił mnie samego. Patrzyłem z zainteresowaniem, bo badali Lorraine.

Zastanawiałem się, jaki jest A. D. jako ojciec. Czy to jego wina, że w wieku lat dwudziestu dwóch Lorraine uważała, że ma złamane

życie? Prawdopodobnie, pomyślałem, między innymi przez to, że ją tak psuli. Zawsze miała wszystko, czego tylko chciała, więc kiedy raz mężczyzna, którego pragnęła, wzgardził nią, wydało jej się, że świat się kończy.

Wiele dowiedziałem się o Lorraine, przysłuchując się wszelkim możliwym testom, jakim została poddana: testom na inteligencję, zrównoważenie, zdolności, osobowość, testom psychosomatycznym, testom na skojarzenia słowne — krótko mówiąc wszystkim, o jakich słyszałem, i wielu takim, o których mi się nawet nie śniło.

I wtedy zrozumiałem — a powinienem był znacznie wcześniej — że wszystko to jest bez znaczenia. Lorraine, taka, jaka była w tej chwili, przestanie istnieć w ciągu kilku minut czy godzin, a Lorraine, którą ja będę znał, ukształtuje się dopiero potem.

Wstałem i poszedłem za technikiem. Lorraine w dalszym ciągu poddawana była testom.

Chociaż było już późne popołudnie, technik powiedział mi, że mój Zespół zostanie skompletowany jeszcze przed zamknięciem NZZ. Biura NZZ czynne były do północy i większość spraw, jak mnie poinformował, załatwiało się tam wieczorami. Ludzie, którzy,się tu zgłaszali, opuszczali Zarząd coraz,później, przechodząc stopniowo coraz bardziej skomplikowane badania, aż w końcu albo odchodzili z kwitkiem, albo zjawiali się nazajutrz.

Następną osobą, której badaniu się przysłuchiwałem, był Dick Lowson. Nie było to jego prawdziwe nazwisko. Zostało mu ono nadane później i pod tym nazwiskiem go znałem.

Mężczyźni i kobiety, którzy zgłaszają się do Zespołów, muszą całkowicie zerwać ze swoim poprzednim życiem. Zwykle nadaje się im nowe nazwiska, a czasem nawet nowe twarze. Lorraine z pewnych względów nie zmieniono imienia, ale zmieniono jej nazwisko. Miała się teraz nazywać Lorraine Waterson — co zresztą nie ma większego znaczenia.

Dick był wysokim, chudym mężczyzną około trzydziestki, z linią włosów cofającą się jak odpływ. Był kapryśny, senny, obojętny.

— A jakby pan sam scharakteryzował swój problem? — zapytał psycholog.

Dick patrzył wprost na nas, usiłując zebrać myśli. Poruszyłem się zmieszany.

— On nas nie widzi — szepnął technik. — Patrzy po prostu przed siebie.

— Ile ludzi jest tam za tym szkłem? — zapytał Dick. Wzruszył ramionami i odwrócił się. — A zresztą co za różnica. Możecie ich tu nawet wszystkich przyprowadzić. Jak bym scharakteryzował swój problem? A czy to ważne?

— Tak — odrzekł psycholog.

Dick wzruszył ramionami.

— Dobrze, spróbuję. Byłem cudownym dzieckiem. W szkole same piątki, poza szkołą też sukcesy. Pieniądze z różnych dorywczych zajęć, konkiety towarzyskie, sercowe… Jako piętnastoletni chłopak miałem sześć dziewczyn: wystarczyło kiwnąć palcem. Czego mogłem jeszcze pragnąć? W wieku lat dwudziestu miałem właściwie już wszystko poza sobą. Przez siedem czy osiem kolejnych lat powtarzałem po prostu znane do znudzenia rzeczy, znajdując w nich coraz mniej przyjemności: robiłem pieniądze, windowałem się do góry kosztem innych, wygrywałem w różnych grach, kupowałem i sprzedawałem rozmaite rzeczy i systematycznie zmniejszałem liczbę dziewic w Stanach Zjednoczonych. Przez ostatnie trzy lata nie zadawałem sobie trudu, żeby robić cokolwiek. Nic mnie już nie bawi.

Westchnął.

— Zmażcie ta wszystko i pozwólcie mi zacząć od nowa.

Psycholog skinął głową.

— Pan ma bardzo wysoki iloraz inteligencji.

— Właśnie. Czy nie jestem szczęściarzem? Każdy chce być mądry. I to jest właśnie podstawowy błąd. Dla głupca wszystko jest proste. Im jesteś mądrzejszy, tym bardziej życie wydaje się skomplikowane. Czy zrobicie ze mnie głupca?

— Nie. Pan będzie mózgiem Zespołu.

— Dziękuję wam bardzo.

— Będzie pan zadowolony.

— Zgoda. A co mam robić teraz?

Psycholog powiedział mu, co ma robić.

W ciemnym korytarzu mruknąłem:

— To musi być straszne.

— Co musi być straszne? — zapytał technik.

— Jak człowiek przed trzydziestką zrobił już wszystko. — Ale on wcale nie zrobił wszystkiego. Tak mu się tylko wydaje.

Dobrze, to wobec tego przeświadczenie, że się przed trzydziestką zrobiło już wszystko, musi być straszne.

— Nerwica — rzekł technik. — Szybko sobie z tym poradzimy.

— A na czym właściwie polega proces „prania mózgu”?

— Usuwamy z mózgu wszystko: doświadczenia, wspomnienia, sposób wysławiania się, nerwice — wszystko. Pozostawiamy tylko chłonność i niewiele więcej. Możemy wtedy tych ludzi odpowiednio kształtować.

— To brzmi nieludzko.

— Nonsens. Członkowie Zespołów są szczęśliwsi, zdrowsi i pożyteczniejsi niż ktokolwiek inny. Znacznie pożyteczniejsi na przykład niż pan czy ja.

— To dlaczego my się nie zgłaszamy?

Technik uśmiechnął się.

— A dlaczego ludzie wierzący bronią się przed rajem?

Byłem świadkiem badania wielu ludzi, ale oczywiście tylko nieliczni znaleźli się w moim Zespole. Zarząd załatwiał dziennie około dwudziestu osób — dla czterech Zespołów.

Pomijam tych, którzy nie trafili do mnie. Szybko zresztą ich pozapominałem. Wszyscy, poza Lorraine i Helen, dostali nowe imiona. Może po prostu nie było warto zmieniać takiego imienia jak Helen — ostatecznie tyle ich jest.

Helen byłaby bardzo piękną dziewczyną, gdyby nie jedne wada. Ale za to poważna.

W jej twarzy mniej było życia niż w twarzy z okładki magazynu ilustrowanego. Mimika pogłębiała jeszcze bardziej jej martwy wyraz. Uśmiech: rozciągnięcie mięśni twarzy. Śmiech: otwarcie ust i wibrowanie strun głosowych. Troska: zmarszczenie czoła. Wszystko to mógłby równie dobrze wykonywać robot.

— A co, poszukuje mnie policja? — zapytała. — Dlaczego miałaby mnie poszukiwać?

— Nas interesuje jedynie — odparł psycholog — jak dalece sprawa jest zaawansowana.

Był dobrym specjalistą. Wiedział, jak nawiązać kontakt.

Helen uspokoiła się.

— To znaczy, że was to nie obchodzi?

— W najmniejszym nawet stopniu. Po „praniu" i tak nie może pani mieć żadnych przestępczych skłonności.

— Ty szmato, chciałeś powiedzieć…

— Nic nie chciałem powiedzieć. Czy gliny są już na twoim tropie?

— Jeszcze nie, Ale w każdej chwili mogą być — przyznała Helen. — No dobrze, ale jeśli „pranie" usuwa skłonności przestępcze, to dlaczego kryminaliści nie mogą się zgłaszać do Zespołów?

— Mogą, ale dopiero po odsiedzeniu wyroków. Zespół nie może stanowić ucieczki od więzienia. Gdyby tak było, ludzie dopuszczaliby się najbardziej karygodnych czynów, a w razie wpadki zgłaszaliby się do Zespołów, żeby uniknąć kary.

— Rozumiem — odparła Helen. — Poddaję się „praniu" — patrzyła w zadumie. — Ciekawe, jaka będę potem.

— Wspaniała — odrzekł psycholog.

— Dzięki — powiedziała Helen. — Wiem, że pan tak nie myśli. Ale mimo to dziękuję.

Po Helen był Brent.

Brent był młodym, zdrowym, przystojnym debilem. Społeczeństwo go wprawdzie spaczyło, ale i bez tego nie przedstawiałby właściwie żadnej wartości ani dla siebie, ani dla

innych.

— A co mi przyjdzie z tego? — zapytałem niezadowolony z tej kandydatury. Lorraine, Dick, nawet Helen reprezentowali jakieś wartości, ale z tego wielkiego, przystojnego kretyna nie będę miał chyba żadnego pożytku.

— Powinien pan wiedzieć — rzekł technik z wyrzutem że niczego nie można osiągnąć bez pewnego ładunku głupoty i ignorancji.

Spojrzałem na niego czujnie, dopatrując się w tym ironii, ale jedynym światłem, jakie tu przenikało, było światło sączące się z sąsiedniego pomieszczenia, tak że nie mogłem stwierdzić, czy mówi serio, czy nie.

Po Brencie nastąpiła dłuższa przerwa. Badania wprawdzie trwały nadal, ale najwyraźniej nie dotyczyły kandydatów do mojego Zespołu, bo psycholog nie dawał mi żadnych znaków.

— To może trochę potrwać — szepnął technik. — Zawsze pod koniec kompletowania Zespołu są największe trudności. Na początku każdy jest dobry. To tak, jakby się wkładało do pudełka pięć ciastek. Pierwsze cztery mogą być praktycznie każdej wielkości, ale to ostatnie musi mieć zarówno odpowiedni kształt, jak i rozmiary.

— A co ze mną? — zapytałem. — Czym ja jestem?

— Pan jest pudełkiem — odparł technik.

Powinienem może zapytać, dlaczego przywiązują stosunkowo niewielką wagę do Ojców Zespołów. Zwykłych członków poddają najpierw starannemu „praniu", a następnie szkolą ich przez wiele tygodni robiąc z nich coś w rodzaju nadludzi, gdy tymczasem Ojciec Zespołu, przynajmniej teoretycznie szef całej tej historii, jest po prostu zwykłym człowiekiem, którego dosyć krótko bada się za pomocą testów, bez żadnych korektur psychicznych. Nie musiałem jednak o to pytać; domyślałem się.

Ludzie są jeszcze ciągle podejrzliwi w stosunku do Zespołów. Posługują się nimi, ale im nie ufają całkowicie. Cały ten system ma posmak czegoś nieludzkiego. Publiczność nie lubi być zdana na łaskę tych, z których umysłami coś robiono.

Stąd Ojcowie Zespołów to ludzie z gruntu zwyczajni, nie poddawani żadnym zabiegom — ani „praniu", ani innym psychicznym przeróbkom. Hamulec dla supernormalnych członków Zespołu. Rodzaj klapy bezpieczeństwa. Żeby pokazać światu, że zwykli ludzie stanowią element nadrzędny, któremu Zespoły są podporządkowane.

Ostatni kandydat do mojego Zespołu zjawił się tui przed zamknięciem biur NZZ. Zobaczyłem, że psycholog daje mi znaki, i zacząłem się uważnie przyglądać. Jona była zadartonosym, sentymentalnym i postrzelonym stworzeniem, które spodobało mi się od pierwszego wejrzenia. Zastanawiałem się, z jakich pobudek tego rodzaju dziewczyna może się zgłaszać do Zespołu — w wieku lat

dziewiętnastu.

— Ale ja nie będę zupełnie inna, prawda? — spytała smętnie. — Niektóre rzeczy we mnie podobają mi się.

— Im zdrowsi są ludzie zgłaszający się do nas — odpowiedział psycholog — tym mniej się ich zmienia.

— Ale ja nie muszę mieć zgody rodziców, prawda?

— Teraz już nie. Te sprawy zostały uregulowane parę lat temu. A czy pani rodzice byliby temu przeciwni?

— Moi rodzice są wszystkiemu przeciwni — odparła Jona z odrobiną goryczy w głosie.

A więc to tak.

Jona była dzieckiem niechcianym. I w dziewiętnaście lat po przyjściu na świat jako dziecko niechciane zgłosiła się do NZZ. To się nawet trzymało kupy.

Lorraine i Jona stanowiły całkowite przeciwieństwa; oba takie typy często trafiały do Zespołów. Dzieci zepsute, wychowane w warunkach cieplarnianych, dla których pierwsze niepowodzenie w życiu równa się całkowitej klęsce. I dzieci niepotrzebne, dzieci rodziców obojętnych, które wcześnie dochodzą do wniosku, że miłość, przyjmowana przez innych jako coś należnego, nie jest dla nich przeznaczona. Pierwsza grupa — zbyt pewna siebie, oczekująca od życia zbyt wiele; druga oczekująca i otrzymująca od życia zbyt mało.

Teraz kiedy mój Zespół był już skompletowany, zrobiłem w myśli jego przegląd.

Larraine, dziewczyna, która zawsze miała wszystko, czego chciała, i która załamała się całkowicie, kiedy życie po raz pierwszy powiedziało: nie.

Dick, człowiek znudzony życiem, w którym wszystko przychodziło za łatwo i za wcześnie.

Helen, bez żadnego kośćca moralnego, pozbawiona kobiecego ciepła, twarda jak diament.

Brent, po macoszemu traktowany przez świat, w którym każdy był szybszy i mądrzejszy od niego.

I Jona, dziewczyna, która zamiast być kochana i podziwiana — zawsze spotykała się z niechęcią i obojętnością.

W sumie piątka ludzi bezużytecznych, którzy przegrali w zmaganiu z życiem i światem.

Pięć przegranych miało się stopić w coś nowego, wspaniałego, doskonałego.

Wiele jeszcze razy byłem świadkiem „prania mózgu” i szkolenia, ale nie spotkałem już więcej A. D. Był bardzo ostrożny, nie widywał Lorraine. Przygotowany na to zawczasu, wiedział, że i tak już po pierwszym dniu by go nie poznała.

Umysł zwykłego człowieka jest jak wybujały ugór. Rosną na nim piękne kwiaty i drzewa, ale żaden kwiat trwałością nie dorównuje chwastom. Opanowują one ogromne obszary, czając się w cieniu najwspanialszych roślin i krzewów. Wysysają z gleby większość saków, zagłuszając często delikatniejsze okazy. Czasem, gdy spojrzysz w taką dżunglę, nie widzisz nic poza chwastami. Psychiatria od wieków prowadzi z nimi beznadziejną wojnę, ale jest to równie skuteczne; jak na przykład próba wyczerpania morza za pomocą tekturowego pudełka.

Jedyne, co można w tej sytuacji zrobić, to oczyścić ugór i zacząć od nowa.

Tak jak prąd zmienny przeciwdziała gromadzeniu się magnetyzmu stałego w danym przedmiocie, tak samo sztucznie wywołany prąd nerwowy może skasować wszystko — przez zneutralizowanie, unieważnienie, całkowite wymazanie tego, co istniało dotąd w mózgu. Można to porównać z nowym zapisem na taśmie magnetofonowej.

I taki „wyprany" umysł jest zdolny do rzeczy wspaniałych. Uczy się szybko i poprawnie, wolny od formuł w rodzaju: „blondyni biją". Instynkt samozachowawczy nie podlega zahamowaniom typu: „w razie niebezpieczeństwa uskakuj zawsze w lewo". Mężczyźni nie muszą tracić głowy dla każdej kobiety, która przypomina im matkę, a kobiety nie omdlewają z byle powodu.

Oczywiście nie byłoby z tego wszystkiego wielkiego pożytku, gdyby chwasty mogły nagle odżyć.

Ale nie mogą. Chwasty umysłowe bowiem zyskują na sile z wiekiem i gdyby nawet wyrosły na glebie takiego wypranego mózgu, minęłoby ze trzydzieści lat, zanimby się dobrze zakorzeniły. A przy tym ludzie dorośli, bardziej świadomi niż dzieci, potrafią wyrwać je na długo przedtem, zanim staną się niebezpieczne.

W miarę jak ludzkość opanowywała coraz większe przestrzenie, w miarę rozwoju techniki, nauczania, nauk społecznych, ekonomicznych, polityki, w miarę jak ludzie żyli coraz dłużej i z planet przenosili się do galaktyki, problem zarządzania stawał się coraz bardziej skomplikowany.

Z każdym tygodniem zatrudniano więcej mózgów elektronowych, ale zawsze otrzymywanie właściwych odpowiedzi zależało od naciskania odpowiednich guzików. Cybernetyka pomagała w wykonywaniu pewnych czynności, ale ich nie wykonywała.

Dlatego właśnie powstały Zespoły. Pięć „wypranych" ludzkich istot, specjalnie wyszkolonych, wdrożonych do współpracy tak, by każda wykonując swoją część zadania związana była z pozostałymi czterema, potrafiło dokonać rzeczy, do których nie byłby zdolny żaden mózg elektronowy czy grupa choćby i tysiąca zwykłych

śmiertelników.

Otóż Zespoły nigdy się nie mylą. Wydawać się to może przesadą, ale tak jest naprawdę. U podstaw bowiem nawet błędnych posunięć leżą z reguły właściwe decyzje. Zdarza się to, gdy brakuje na przykład informacji o zasadniczym znaczeniu albo gdy zostanie podjęta natychmiastowa akcja w oparciu o domysły. Zespół może wreszcie wybrać jedno spośród kilku niewłaściwych wyjść czy podjąć działanie za późno. Owszem, tego rodzaju pomyłki — wynikłe często z błędnej synchronizacji — zdarzają się czasem. Ale Zespół właściwie skonstruowany, w stu procentach zdrowy, kompletny, wyszkolony — taki Zespół nie może się mylić, nawet gdyby chciał.

Ojcowie Zespołów byli czymś w rodzaju menażerów drużyn sportowych. Zespół jest po prostu instrumentem zbyt precyzyjnym do załatwiania spraw prostych, jak zakwaterowanie, bilety na pociąg czy urlop. Pozwalanie Zespołom na zajmowanie się takimi rzeczami równałoby się krojeniu chleba skalpelem.

I nawet nie w tym problem, że zwykłym nożem można to zrobić równie dobrze. Zwykłym nożem można to zrobić znacznie lepiej.

Na tym z grubsza polegała maja rola: byłem owym zwykłym nożem do chleba. Szkolenie Zespołu trwało zaledwie trzy do czterech miesięcy i obejmowało wiedzę ogólną o życiu, potrzebną każdemu z członków indywidualnie. Pozostawały patem oczywiście jeszcze wielkie luki, ale można je było łatwo i szybko wypełnić.

Pod koniec trzeciego miesiąca mój Zespół i ja znajdowaliśmy się na pokładzie statku kosmicznego lecącego na Perryona.

II

Na statkach kosmicznych ludzie mają dość czasu, żeby się poznać nawzajem. Podróże kosmiczne z reguły nie trwają dłużej niż dwa miesiące, ale dwa miesiące to bardzo dużo, kiedy poza jedzeniem i spaniem nie ma się nic do roboty.

Podróżując morzem można przynajmniej grać w tenisa, pływać czy spacerować po pokładzie. W czasie podróży kosmicznych najbardziej podniecającą rozrywką jest gra w szachy. Granie w karty nie jest niemożliwe, ale opanowywanie techniki posługiwania się metalowymi kartami i przesuwania ich po namagnetyzowanym stole nie pozwala właściwie graczom się skupić.

Przed wyruszeniem nie mieliśmy okazji spotykać się w celach towarzyskich. Cała piątka tworząca mój Zespół została wdrażana do wspólnej pracy, a ja miałem możność obserwować ich od urodzenia aż do osiągnięcia dojrzałości, jak by to można nazwać. Ale dopiero na „Kluczu wiolinowym" mieliśmy warunki do tego, by przebywać razem i poznać się wzajemnie.

Pierwszego dnia po opuszczeniu Nowego Jorku piliśmy z Dickiem poranną kawę.

— No, to do rzeczy — powiedział energicznie. — O ile dobrze zrozumiałem, na Perryonie powstały dwa zwalczające się obozy. Oficjalnie zostaliśmy wysłani, by ten spór załagodzić, ale tak naprawdę to podejrzewają, że na Perryonie mieści się główna baza szmuglerów, prawna?

Zaskoczyło mnie trochę to bezceremonialne oświadczenie. W zasadzie była to prawda, ale kiedy mnie o tym mówiono, sprawa nie została zredukowana do tak suchej informacji.

— Rzeczywiście — powiedziałem.

— A jeśli stwierdzimy, że Perryon jest główną bazą szmuglerów, to co mamy zrobić?

— Po prostu „podjąć odpowiednią akcję" — odparłem.

Dick skinął głową.

— Rozumiem, mamy wolną rękę. Okay. Muszę się czegoś dowiedzieć o Perryonie. Mam kilka książek na ten temat. No, to do zobaczenia.

Śmignął przez bar nie zwracając uwagi na uchwyty.

A więc był to nowy, pełen dynamiki Dick, mózg mojego Zespołu. Bardzo bezpośredni młody człowiek.

Powiedział wiele w tych paru słowach. Oficjalnie rzeczywiście mieliśmy być ciałem rozjemczym. Perryon, jak wiele innych krajów w wielu innych okresach historycznych, przeżywał konflikt Północ — Południe. Mój Zespół miał odegrać rolę gubernatora, ze wszystkimi

uprawnieniami związanymi z tym urzędem, ale znacznie większą odpowiedzialnością.

Prawdopodobnie i tak wysłano by nas na Perryona, nawet gdyby nie było problemu szmuglerów. Najwyższy bowiem czas, żeby ta nie znająca pieniędzy, niegościnna, choć odznaczająca się łagodnym klimatem planeta miała swój pierwszy Zespół.

Szmuglerami nazywano gang przemytników.

Zanim podróże kosmiczne stały się faktem, uważano zawsze, że jeśli kiedykolwiek ludzie dostaną się na inne planety czy gwiazdy, koszty transportu będą niezwykle wysokie. Dlaczego tak sądzono — właściwie nie bardzo wiadomo. Używane obecnie statki są tanie zarówno w eksploatacji, jak i obsłudze. Podróż dwumiesięczna jest wyjątkowo długa, zwykle bywają znacznie krótsze, a problem utrzymania dróg na szlakach gwiezdnych praktycznie nie istnieje. Transport między Ziemią i Arcturusem kosztuje niewiele drożej niż między Paryżem a Nowym Jorkiem. Czasem, z uwagi na niezbędny wkład pracy, przewóz towarów między światami, na przestrzeni całych lat świetlnych, jest tańszy niż na odcinku powiedzmy setek mil na Ziemi.

Wynikały z tego różne kłopoty. Nowo zasiedlone planety nie chciały na przykład rozwijać u siebie pewnych gałęzi przemysłu. Nie opłacało im się to po prostu, skoro wyroby z Nowego Jorku, Berlina czy Londynu kosztowały niewiele drożej niż w tych miastach.

To z kolei prowadziło do chaosu ekonomicznego. Kapitał, inwestowany w kolonie, zamiast w nich pozostawać — wracał, wcale jednak nie do kieszeni inwestorów, tytko przemytników. Popyt na różnego rodzaju towary zaczął przekraczać podaż. Ziemia nie była w stanie dostarczać już więcej towarów, a kolonie nie wykorzystywały swoich możliwości produkcyjnych.

Nałożono więc wysokie cła na większość artykułów eksportowanych do nowych światów. Oczywiście, nie na gazety, pisma ilustrowane, książki, filmy czy płyty, ale na pralki, samochody, radia, meble, maszyny do pisania, ubrania. System ceł miał stać się bodźcem do rozwijania lokalnego przemysłu. Osiągnięto w ten sposób pewną równowagę.

I wtedy oczywiście zaczął się przemyt. Było to aż nazbyt proste. Każdy, kto miał statek kosmiczny, mógł go załadować powiedzmy pralkami i sprzedać je z zarobkiem czterdzieste dolarów od sztuki na jednej z planet, gdzie obłożone wysokim cłem pralki były bardzo kosztowne, a za to niezbyt dobre. Trzy tysiące pralek, sprzedanych z czterdziestodolarowym czystym zyskiem, daje sto dwadzieścia tysięcy dolarów, przy koszcie transportu nie przekraczającym piętnastu tysięcy dolarów.

Obojętne, z której strony na to spojrzeć, był to dla przemytników

dobry interes.

Prawdopodobieństwo tego, że właśnie Perryon stanowi ich bazę, było nikłe. Nie ulegało jednak wątpliwości, że musi to być któraś z zasiedlonych planet. Wiadomo było również, że tą planetą nie jest Ziemia.

Na tym etapie rozwoju podróży kosmicznych miejsca zdobyte były dostępne dla wszystkich. Podobnie jak z komunikacją kolejową: tam, gdzie są szyny — każdy pociąg może dojechać. Gdzie szyn nie ma — nie dojedzie nikt.

Nasze zadanie polegało częściowo na tym, żeby zbadać Perryona — jeden z pięćdziesięciu światów, na których mogła się mieścić centrala przemytników.

Kiedy tak sobie siedziałem — mówię „siedziałem" nie dlatego, żeby to było precyzyjne określenie, tylko dlatego, że tak mi jest wygodniej — przyszła Lorraine łapiąc się po drodze uchwytów. Miała ze sobą ręcznik i czysty kombinezon; najwyraźniej szła się wykąpać.

Kiedy mnie jednak zobaczyła, podciągnęła się do mnie i zabezpieczyła się pasem ochronnym w talii, drugim pasem przymocowując swoje rzeczy.

— Powiedz mi, Edgar — zaczęła — ty mnie przecież znałeś przedtem, prawda?

— Zanim zgłosiłaś się do Zespołu? — spytałem. Wiedziałem, że jej o to chodzi, ale chciałem zyskać na czasie, żeby przemyśleć swoją odpowiedź.

— Tak. Jaka ja byłam?

Miała na myśli, jaka była w porównaniu ze stanem obecnym. Spojrzałem na nią. Fizycznie oczywiście się nie zmieniła, z tą różnicą, że teraz może była odrobinę żwawsza, trochę swobodniejsza i pewniejsza siebie. No i nosiła się dumniej. Jeśli zaś chodzi o temperament, nie przypominała w niczym dawnej Lorraine. Była teraz pogodna, ale nie pogodnie — łagodna, raczej pogodnie — energiczna. Nabrała poza tym poczucia humoru, którego dawniej zupełnie nie zdradzała.

— Nie zachowuj się tak, jakby to była informacja poufna — rzekła. — Bo nie jest. Oni mi powiedzieli w NZZ, ale powiedzieli mi tylko to, co chcieli, żebym wiedziała. Dlaczego się zgłosiłam?

— Zamierzałaś popełnić samobójstwo — odparłem.

— Nie! — wykrzyknęła z niedowierzaniem.

— Z jakiego powodu?

— Z powodu mężczyzny.

— O Boże, musiałam być stuknięta. Dlaczego mi o tym nie powiedzieli?! Znałeś go?

— Nie.

— A mnie dobrze znałeś?

— Nie.

— Niewiele się można od ciebie dowiedzieć — rzekła zawiedziona.

— Członkowie Zespołów nie powinni interesować się swoją przeszłością — odparłem.

— Nie zależy mi na tym tak znów bardzo — wzruszyła ramionami. — Ale mogliby nam mówić trochę więcej. Czy byłam biedna, czy bogata, towarzyska czy odludek, miałam powodzenie, czy nie? Czy mężczyźni pisali na moją cześć sonety, czy nie dostrzegali mnie na ulicy? Czy byłam uczciwą dziewczyną, czy kobietą lekkich obyczajów?

— Przestań o tym myśleć. To naprawdę nie ma żadnego znaczenia.

— Wiem, że nie ma — zgodziła się potulnie. — Ale powiedz mi jedno: którą mnie wolisz — tę obecną czy tę dawną?

— Tę obecną — odparłem bez namysłu.

Uśmiechnęła się i odpięła pasek, którym była przymocowana.

— To już coś jest — powiedziała i odepchnęła się nogami. Patrzyłem, jak z wdziękiem odpływa. Niektórzy uważają, że kobiety wyglądają najkorzystniej właśnie w statkach kosmicznych. Wszystkie łuki są wysoko sklepiane, nie ma siły ciężkości, która napina mięśnie piersi, brzucha, pośladków i ud. Z drugiej jednak stromy noszony zwykle w przestrzeni kosmicznej kombinezon — jednoczęściowy strój, ujęty tylko w przegubach dłoni i kostkach — trudno byłoby nazwać wdzięcznym.

Pod wpływem myśli o kombinezonach spojrzałem w bok. Lorraime zostawiła swoje rzeczy.

Roześmiałem się serdecznie. Miało to być niemożliwe. Ludzie po praniu mózgów po prostu nie zapominają. A więc tego ręcznika nie ma, mam halucynacje.

Odczepiłem rzeczy Lorraime i ruszyłem za nią.

Była już w tak zwanej kąpieli, kiedy przyszedłem do tak zwanej łazienki. Mieliśmy jedną łazienkę na sześcioro.

Jeśli chcecie zbić forsę i zyskać sobie dozgonną wdzięczność tysięcy pasażerów statków kosmicznych, wymyślcie jakiś dobry sposób na kąpiel w stanie nieważkości. Ze zwykłymi potrzebami toaletowymi jakoś sobie nie najgorzej poradzono — w sprawie kąpieli ludzki geniusz nie dał się jeszcze poznać.

Można się bez trudu opryskać wodą jak prysznicem, ale kiedy woda odskakuje od człowieka we wszystkie strony, odbija się od ścian i znów od ciała — jak uniknąć utopienia. Woda i powietrze w przestrzeni kosmicznej to dwie najgorsze plagi. Napięcie powierzchniowe jest wystarczające, żeby utrzymać razem drobne kropelki, ale za małe, żeby utrzymać duże. Lekkie dotknięcie

powoduje jak gdyby rozsypywanie się wody.

Jedyny sposób na kąpiel to założyć maskę tlenową i wejść do pełnego wody zbiornika, z rodzajem skomplikowanej śluzy, która pozwala wejść i wyjść bez zabierania ze sobą całej wody.

Lorraine siedziała właśnie w takim zbiorniku. Jej ubranie zwisało z uchwytu. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że zostawiła przy mnie swoje rzeczy. Przyczepiłem je innym paskiem i miałem już odejść, kiedy usłyszałem stłumione stukanie.

Zdumiewające. Dlaczego Lorraine miałaby stukać od wewnątrz? A poza tym stukanie gołymi rękami o metalową ściankę pojemnika, przy silnym oporze wody, musi być bolesne — chyba że wzięła ze sobą do kąpieli jakiś twardy przedmiot.

Stukanie nie cichło, przeciwnie — stawała się coraz natarczywsze.

Spróbowałem odsunąć zawór — ani drgnął.

Zastukałem z kolei ja; odpowiedziało mi stukanie szybsze i silniejsze.

Nie dość, że Lorraine zapomniała swoich rzeczy, to jeszcze zatrzasnęła się w zbiorniku. Znów się uśmiechnąłem. I wtedy zauważyłem, że ona jest zamknięta od zewnątrz. Te zbiorniki, podobnie jak drzwi łazienki, mają zasuwkę od środka. Ale tutaj było jeszcze zamknięcie od zewnątrz, używane prawdopodobnie, kiedy pojemnik był pusty, zepsuty czy przeznaczony chwilowo do innych celów. Krótko mówiąc, ktoś musiał zamknąć w nim Lorraine.

Zajrzałem do drugiej łazienki. W zamku pojemnika kąpielowego tkwił klucz. Wyjąłem go i spróbowałem otworzyć zbiornik Lorraine. Okazało się, że klucz pasuje.

Lorraine wyszła w masce tlenowej i porwała ręcznik i kombinezon.

— Bądź dżentelmenem, Edgar, i wyjdź.

— Dlaczego? — zapytałem. — Czy przy okazji „prania” nie pozbywacie się wszelkich tego rodzaju przesądów?

— Owszem — odparła z buzią w ciup. — Ale ty się ich nie pozbyłeś.

— W każdym razie nie mam zamiaru zastawić cię samej — rzekłem już trzeźwiej. — Ktoś usiłuje cię zabić. I może ponowić próbę.

Larraine wpatrywała się we mnie przez moment. Po czym wytarła się spiesznie i ubrała. Poszliśmy szukać pozostałej czwórki.

Było to pierwsze zadanie Zespołu.

Szybko doszli do wniosku, że moje przypuszczenia są słuszne i że ktoś rzeczywiście usiłował zabić Lorraine.

Niewielka maseczka zapewnia powietrze na jakieś piętnaście minut i gdyby nie przypadek z zostawieniem przez Lorraine ręcznika, w przeciągu przynajmniej pół godziny w pobliżu łazienki nie byłoby żywego ducha. Wreszcie ktoś by zapytał, gdzie jest Lorraine, i po

jakimś kwadransie ustalono by, że widziałem, jak szła się kąpać. Zaczęlibyśmy jej szukać i znaleźlibyśmy ją w końcu — nieżywą, w otwartym już oczywiście zbiorniku. Doszlibyśmy z pewnością do wniosku, że jej maska była uszkodzona.

Gdyby do tego jeszcze Lorraine nie zorientowała się niemal natychmiast po wejściu do wody, że zostawiła swoje rzeczy, i nie usiłowała po nie wrócić, stwierdziłaby, że jest zamknięta, być może już po moim odejściu.

Zbyt prawdopodobne było to, że mogła się utopić, by ten incydent mógł wyglądać na cokolwiek innego, jak starannie uplanowane morderstwo.

Dick poszedł na chwilę da kapitana po informacje i listę pasażerów. Po jego powrocie Zespół znów zabrał się do roboty.

Ja nie brałem w tym udziału. Siedziałem i przysłuchiwałem się tylko, nie mogąc im w niczym pomóc; zresztą niewiele rozumiałem z tego, co się dzieje. Ktoś zaczynał mówić i nagle przerywał. To znów Lorraine i Dick mówili naraz. Albo Brent poddawał jakąś myśl, podejmowała ją Helen, Dick potrząsał głową. Lorraine spoglądała nagle, Jona interpretowała to spojrzenie i przez chwilę wszyscy gadali w podnieceniu. Z początku nic z tego nie pojmowałem. Dopiero potem okazało się, że za każdym razem, kiedy ktoś z nich przestawał mówić, oznaczało to, że proces myślowy dobiegł końca i reszta jest oczywista.

Czasem można to zaobserwować, kiedy rozmawiają ze sobą ludzie bardzo bystrzy i bardzo dobrze znający się nawzajem. Ktoś zaczyna o coś pytać; ledwie powie słowo czy dwa, jego rozmówca odpowiada, a wtedy ten pierwszy mu przerywa, domyślając się reszty.

Kiedyś byłem świadkiem konkursowego kwizu w klasie wyjątkowo zdolnych chłopców. Wyglądało to mniej więcej tak: „Pewnemu mężczyźnie śniło się jednej nocy…” Odpowiedź: „jak on mógł…” „Dobrze”. Zespół pracował na takiej właśnie zasadzie. Nie posługiwali się telepatią; nie musieli. Język i wzajemna znajomość własnych procesów myślowych była zupełnie wystarczająca.

Dick musiał mówić więcej niż inni — pozostałym członkom Zespołu znacznie trudniej było go zrozumieć niż odwrotnie. Ale i on nie mówił wiele.

Zespół ustalił wstępnie najbardziej prawdopodobny motyw zamierzonego morderstwa — najwidoczniej przemytnicy mają jakieś interesy na Perryonie i chcą storpedować akcję Zespołu — po czym zajął się listą pasażerów. Zawierała ona sporo informacji o ludziach znajdujących się na pokładzie. Mimo to ani przez chwilę nie myślałem, że jedynie na tej podstawie zdołają wskazać mordercę.

Oni nie mieli co do tego najmniejszych wątpliwości. Wytypowali trzy nazwiska i doszli do wniosku, że morderca musi być jednym z tej trójki, nie usiłując nawet tego uzasadniać. Znów poszliśmy do

kapitana.

Kapitan Rawlson miał pod opieką cały statek, a my — przynajmniej teoretycznie — byliśmy tylko sześcioma spośród jego pasażerów. Ale dzięki temu, że stanowiliśmy Zespół, i że we wszystkich swoich działaniach korzystaliśmy z poparcia NZZ, za którym stały jeszcze potężniejsze czynniki, robił, co mógł, żeby nam pomóc.

Ja pełniłem rolę referenta, jakkolwiek Dick musiał mnie poinformować, co mam mówić.

— Gdyby pan i pańscy dwaj oficerowie — powiedziałem — zechcieli z nami odwiedzić te trzy osoby, bylibyśmy w stanie ustalić, która z nich jest winna.

— W jaki sposób? — zapytał kapitan zdumiony.

Nie potrafiłem mu odpowiedzieć, zwróciłem się więc do Dicka.

— Przez odpowiednią interpretację ich reakcji na nasze pojawienie się — wyjaśnił Dick.

— Ale… co potem? — Kapitan w dalszym ciągu gotów był nam pomóc, ale przecież nie mógł aresztować człowieka na tej tylko podstawie, że nam się wydaje winien.

— Nie wiem — odparłem włączając się ponownie — to będzie zależało od okoliczności. W najgorszym razie będziemy wiedzieli, kogo obserwować.

Kapitan w dalszym ciągu miał wątpliwości, ale nie bardzo mógł nam odmówić. Ruszyliśmy więc w towarzystwie jego i dwóch oficerów na poszukiwanie trojga podejrzanych.

Najpierw złożyliśmy wizytę kobiecie, niejakiej pani Walker. Rhoda Walker okazała się przystojną dwudziestoośmioletnią wdową, bystrą i energiczną. Przypominała mi trochę Helen sprzed „prania”. Oczywiście Helen nie mogła o tym wiedzieć.

W momencie kiedy ją zobaczyłem, odniosłem wrażenie, że przyszliśmy pod właściwy adres. Wyglądała nie tylko na osobę, która mogłaby popełnić morderstwo, ale na kogoś, kto w tym celu byłby zdolny obmyśleć taki plan.

Tym razem mówiła Lorraine.

— Przepraszamy bardzo, że panią niepokoimy, pani Walker — zaczęła uprzejmie. — Ale właśnie ktoś usiłował mnie zabić. Czy nie pomogłaby nam pani ustalić, kto to mógł być?

— Zabić panią? Tutaj, na statku?! — wykrzyknęła kobieta.

Lorraine skinęła głową.

— Jeśli mam być szczera — rzekła tym samym uprzejmym tanem — to posądzamy o to panią.

Rhoda Walker spojrzała po obecnych.

— Zaczynam rozumieć — powiedziała wolno. — Jesteście Zespołem i jedziecie na Perryona. W czyimś interesie jest, żebyście się

tam nie dostali — jako Zespół oczywiście.

— I my doszliśmy do takiego wniosku — zgodziła się z nią Lorraine. — A pani pewnie wraca na Perryona, żeby powtórnie wyjść za mąż?

Po raz pierwszy kobieta okazała zdziwienie.

— Skąd pani wie? — zapytała.

— Potrafimy zgadywać — odparł Dick. — Ile pani ma lat, pani Walker?

Spojrzała na kapitana, który stał ze mną w drzwiach. Wszyscy członkowie Zespołu stłoczyli się w niewielkiej kabinie.

— Czy ja muszę odpowiadać na te pytania?

Kapitan zawahał się.

— Radziłbym pani — rzekł w końcu. — Mogę pani powiedzieć…

— Nie, nie może pan — przerwał mu spiesznie Dick.

— Dobrze — odparła kobieta. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na kręcącego się gdzieś za nią Brenta. — Ale proszę stanąć tak, żebym wszystkich widziała.

— Pani wybaczy — rzekł grzecznie Brent i wsunął jej rękę za kombinezon. Nastąpiła krótka walka, z której Brent wyszedł z małym pistolecikiem. Spod rozpiętego kombinezonu Rhody widać było dziwnie masywny stanik. Noszenie stanika w przestrzeni kosmicznej było nieprzyjęte i zbędne. Ale jego rola stała się dla nas oczywista. Pistolet tkwił w maleńkiej pochwie między piersiami kobiety.

— Teraz pani odpowie na pytania — rzekł kapitan z niejaką satysfakcją. — Posiadanie broni na pokładzie statku jest niedozwolone. Mam prawo panią z miejsca aresztować.

— Proszę bardzo — odparła Rhoda, która odzyskała już zimną krew i spokojnie zapinała kombinezon.

— Nie sądzę, żeby pani mówiła to poważnie, pani Walker — powiedział kapitan. — Areszt na pokładzie statku kosmicznego jest bardzo uciążliwy.

Lorraine załagodziła sprawę powracając do pytań, jak gdyby nigdy nic.

— Dick pytał, ile pani ma lat.

— Dwadzieścia osiem. Jest napisane na liście pasażerów, wystarczyło spojrzeć.

— Owszem, spojrzeliśmy. Myślę jednak, że pani ma jakieś trzydzieści cztery.

Rhoda wzruszyła ramionami.

— Pani syn ma około czternastu — zauważyła Lorraine. — A w każdym razie miałby, gdyby żył.

Rhoda rzuciła się konwulsyjnie.

— Jak wy to robicie? — zapytała. W gruncie rzeczy było jej obojętne. Zadała to pytanie dla odwrócenia ich uwagi od innych

spraw.

— Czy to pani usiłowała zabić Lorraine?

— Nie — odparła Rhoda.

Dick zwrócił się do Zespołu.

— To prawda — rzekł. — Ona coś ukrywa, ale my tu jeszcze wrócimy, żeby się dowiedzieć co. A tym czasem musimy znaleźć kogoś innego. Chodźmy.

Już otworzyłem usta, żeby powiedzieć, że jeśli Rhoda rzeczywiście coś wie, to z wielu powodów lepiej wydobyć to z niej od razu, ale nie powiedziałem nic. Dick wiedział, co robi.

Brent spojrzał na kapitana machając pistoletem.

— Czy mam to oddać panu, czy jej?

— Mnie — odrzekł kapitan oszołomiony. — Dostanie go pani z powrotem na końcu podróży, pani Walker.

Kiedy wychodziliśmy, Rhoda powiedziała:

— Wpadnijcie do mnie kiedyś pogawędzić!

— Nie ma obawy — rzucił Dick przez ramię — na pewno wpadniemy.

Rozumiałem z tego wszystkiego nie więcej niż kapitan, ale po trochu zarzynało mi coś świtać.

Zwykły człowiek, usiłując coś zgadnąć, opiera się na wielu czynnikach, często nieznanych. Jedne są pożyteczne i mogą mu pomóc, inne, gorzej niż bezużyteczne, sugerują niewłaściwą odpowiedź. Szczęściarz instynktownie odrzuca błędne rozwiązania, z reguły trafiając w sedno. Pechowiec zawsze znajdzie dość powodów, by zrobić niewłaściwe posunięcie. Doradzisz mu dobrze, i tak wymyśli „roś lepszego" i straci pieniądze, rozbije samochód, obrazi klienta, wyląduje w więzieniu czy złamie nogę.

Taki pechowiec ma niejako z gary zaprogramowane niepowodzenia. Sam o tym zresztą mówi: „Cokolwiek zrobię, obraca się na złe", powtarzając w kółko to albo coś w tym rodzaju.

Nie dotyczy to zupełnie Zespołów — nawet kiedy zgadują w ciemno. Pragnienia, nadzieja czy strach nie mają żadnego wpływu na ich wnioski, zawsze oparte na mocnych podstawach, o precyzyjnie określonym stopniu prawdopodobieństwa.

W jaki sposób Lorraine doszła do tego, że Rhoda Walker wraca na Perryona, żeby powtórnie wyjść za mąż — nie mam pojęcia. Jej domysł okazał się jednak słuszny, ale nawet gdyby nie był, i tak z pewnością dziewczyna wyciągnęłaby z tego jakąś pożyteczną dla siebie informację. A potem Dick zapytał Rhodę, ile ma lat — prawdopodobnie, by zyskać na czasie — ale z jej reakcji Lorraine domyśliła się, że jest w rzeczywistości starsza. Tymczasem Brent kręcił się od niechcenia, bacznie obserwując ją z bliska; musiała zrobić jakiś

nieznaczny ruch w stronę pistoletu. Zaraz potem Lorraine strzeliła ponownie, trochę niedokładnie, ale poprawiła się natychmiast, zgadując właściwie.

Lorraine i Dick przypominali wróży — powiedzieli Rhodzie wszystko na podstawie własnych domysłów. Dick wyprowadził nas stamtąd, jak tylko zorientował się, że zamach na Lorraine nie był dziełem Rhody. Ona coś ukrywa, powiedział na odchodnym, a fakt, że nie próbował tego od niej wyciągnąć, świadczył jedynie, że mu na tym nie zależało — w każdym razie jeszcze nie wtedy.

Drugie nasze odwiedziny okazały się pomyłką; nie będę się wdawał w szczegóły. Krótko mówiąc, Zespół zadał podejrzanemu wiele pytań i wyciągnął na ich podstawie wiele inteligentnych wniosków, ale nie był to człowiek, którego postukiwaliśmy.

Jack Kelman, ostatni podejrzany, zdziwił się na nasz widok, ale przyjął nas uprzejmie. Był to mały, niespokojny człowieczek, tak niespokojny, że nie potrafił odprężyć się nawet w stanie nieważkości.

— O co chodzi — powiedział — nie mam nic do ukrycia.

Jona węszyła.

— Perfumy.

Poza nią nikt nic nie poczuł. Jona przed praniem mózgu miała znacznie wrażliwsze powonienie niż inni i to jej pozostało.

— Helen! — powiedział ostro Dick.

Był to wybieg. Helen poruszyła się, a wtedy na Kelmana rzucił się Brent.

I tutaj znalazł się pistolet, ale tym razem padł strzał. Broń została wymierzona w Lorraine, ale zanim wypaliła, Brent, nie wyjmując jej z ręki Kelmana zdołał ją zwrócić przeciwko niemu. Pistolet dosłownie odstrzelił doliną połowę Jacka Kelmana.

Kobiety spiesznie opuściły kabinę. Poddane „praniu” znosiły zupełnie dobrze nawet takie sceny, mimo to żadna nie miała ochoty na to patrzeć.

— Wracamy do Rhody Walker — zarządził Dick.

Kapitan nie protestował.

Rhoda Walker unosiła się pośrodku swojej kabiny. Nie zginęła od strzału; została uduszona. Przedstawiała widok jeszcze mniej przyjemny niż Kelman, a rozpaczliwe i bezowocne wysiłki upozorowania gwałtu dodatkowo odbiły się na jej wyglądzie.

Kapitan, Dick i ja szybko doszliśmy do porozumienia. Kapitan najwyraźniej nie podzielał mojego podejrzenia, że Brent mógł równie łatwo odebrać broń Kelmanowi, tak jak odebrał Rhodzie — bez strzału. Z łatwością ustaliliśmy, że to ręce Kelmana udusiły Rhodę Walker. A kapitan chętnie — a nawet skwapliwie — uwierzył, że to ta dwójka dokonała zamachu na Lorraine.

W ten sposób sprawa została załatwiana, przynajmniej oficjalnie.

— I tak byśmy się niewiele od nich dowiedzieli, Edgar — powiedział później Dick. — Była to para nędznych opryszków, których ktoś wynajął. Zauważyłeś, jak łatwo popadali w panikę? Ich mocodawcy z pewnością nic im nie powiedzieli. Znacznie ważniejsze było, żeby się ich obojga pozbyć.

— Aha, to znaczy, że celowo dałeś Rhodzie czas na pójście do Kelmana i ostrzeżenie go, żeby w nagrodę za swoje starania została przez niego zamordowana — powiedziałem. — Nie mówiąc już o „przypadkowym" zastrzeleniu się Kelmana z własnej broni.

— Gdybyśmy tego tak nie wyreżyserowali — odparł Dick z prostotą — jak inaczej dalibyśmy sobie z nimi radę?

Zaczynałem rozumieć, dlaczego ludzie nie mieli zaufania do Zespołów i nalegali na istnienie Ojców.

III

Mając aż nazbyt oczywiste dowody na to, że nasza obecność na Perryonie jest niepożądana, wstrzymywaliśmy się jednak z ostatecznym sądem. Mogła to mimo wszystko nie być robota przemytników. Istniało prawdopodobieństwo, że była to sprawka ludzi zaangażowanych w konflikt Północ — Południe, który mieliśmy za zadanie zlikwidować.

Wojny w państwie Liliputów wybuchły w wyniku sporu o doniosłą kwestię: czy jajka należy tłuc z grubszego, czy z cieńszego końca. Swift, jako satyryk, specjalnie wybrał to jako przyczynę wybuchu wojen, ale satyra z reguły bywa mniej zabawna niż życie.

Powodem niepokojów na Perryonie, jak się przekonaliśmy po przybyciu na miejsce, był problem: czy w szkołach należy uczyć historii ziemskiej, czy galaktycznej.

Stolicą Północy było Benoit City; Południa Sedgeware. Rada Benoit City oświadczyła, że skoro Perryon jest nowym światem, dzieciom jego obywateli znacznie bardziej przyda się znajomość bieżącej historii galaktycznej niż stara, skostniała, bezużyteczna wiedza o Ziemi. Sedgeware odpowiedziało na to niezwłocznie kursem historii ziemskiej od najwcześniejszych czasów do chwili obecnej, utrzymując, że Ziania jest ich światem macierzystym i że ludzie nie znający własnego pochodzenia są prymitywnymi dzikusami.

Doszło do tego, że w Benoit City nie można było dostać żadnej książki na temat Ziemi, a w Sedgeware żadnych materiałów o koloniach.

W chłodnym Benoit City ludzie zaczęli nosić ubrania, które miały jedną wspólną cechę: w niczym nie przypominały rzeczy znanych z Ziemi. Ponieważ jednak na Ziemi noszono już chyba wszystko, co może stanowić sensowne okrycie dla człowieka, mieszkańcy Benoit City mieli niełatwe zadanie chcąc wymyślić coś zupełnie odmiennego, często więc ubierali się naprawdę dziwnie. Tymczasem w ciepłym Sedgeware niewolniczo naśladowano modę ziemską i podczas gdy kobiety rozsądnie chodziły w letnich sukienkach, mężczyźni pocili się w dwurzędowych garniturach i filcowych kapeluszach.

W Zgromadzeniu Narodowym delegaci Północy głosowali zawsze za całkowitą niezależnością od Ziemi, zaś przedstawiciele Południa z całą zaciekłością zwalczali wszystko, co osłabiało więź z Ziemią. Wkrótce doszło do rozłamu i w dwóch stolicach obradowały dwa odrębne senaty.

Rozruchy zaczęły się od nazw ulic. Benoit zabrało się do przemianowywania wszystkich ulic, które mogły brzmieniem przypominać Ziemię, jak High Street, Fifth Avenue, Broadway, Main

Street, King Street, Queen Street czy Willawbank. W tym samym czasie Sedgeware ponadawało swoim ulicom ziemskie nazwy. Wtedy chuligani w Benoit City pozamazywali czysto perryońskie nazwy ulic, zaś podobne elementy w Sedgeware pozrywały tabliczki z ziemskimi nazwami.

Po tych zajściach każdy przybysz z Południa był traktowany w Benoit City jako sabotażysta. Wybuchły pierwsze walki, padły pierwsze ofiary…

Kiedy przybyliśmy na Perryona, wojna domowa wisiała na włosku. I takie właśnie były jej przyczyny.

W dniu naszego przyjazdu do Benoit City staliśmy z Lorraine w oknie rezydencji dawnego gubernatora i obserwowaliśmy przechodniów. Nie wierzyliśmy oczom.

Zobaczyliśmy na przykład dziecko lat około pięciu, płci nieokreślonej, w czymś, co przypominało model statku kosmicznego. Po chwili drobiąc przeszła ulicą dziewczynka w sukience przypominającej rurę kanalizacyjną. Widzieliśmy mężczyznę ubranego od pasa w rodzaj pudła, a do pasa w koszulę w kształcie kuli. Motyw kuli był zresztą bardzo rozpowszechniony; widocznie uważano go za mało ziemski. Inny mężczyzna miał w okolicach talii rodzaj dużego pocisku armatniego, a powyżej i poniżej podobne mniejsze. Widzieliśmy jeszcze dziewczynę w kostiumie — pierwsze tutaj obcisłe ubranie — z dwiema dużymi dziurami, przez które wystawały gołe piersi. Musiała to być rzeczywiście specyficznie „perryońska” moda, bo nie widzieliśmy czegoś podobnego nigdzie indziej.

— Zastanawiam się, czy to bezpiecznie pokazywać się tu na ulicy w takich ubraniach jak nasze — mruknęła Lorraine. — Może lepiej sprawię sobie kwadratowy stanik i prostokątne majtki.

Ale było to zupełnie zbędne, jak się przekonaliśmy. Do rozłamu doszło nie dlatego, że Północ nienawidziła Ziemi, a Południe ją kochało. Mieszkańcy Północy nie walczyli z Ziemią; walczyli z Południem o Ziemię.

Pierwszy tydzień spędziliśmy w tej rezydencji w Benoit City, a drugi w Sedgeware. Wiedzieliśmy, że Perryończycy będą co do sekundy liczyli czas spędzony przez nas tu i tam, gotowi podnieść krzyk, gdyby się okazało, że faworyzujemy jednych czy drugich.

Bo Perryon był z nas dumny. Byliśmy jego pierwszym Zespołem. Nawet w Benoit City musiano przyznać, że nie próbujemy wprowadzać ziemskich porządków, że usiłujemy pomóc Perryomowi traktując go jako świat zupełnie niezależny od Ziemi. Już w ciągu paru pierwszych dni wykonaliśmy kilka prac — drobnych z punktu widzenia Zespołu, ale niezwykle pożytecznych dla miejscowej ludności, która okazała nam wdzięczność.

Udało się nam na przykład skłócone strony skłonić do rozmów, w czasie których wystąpiliśmy w roli pośrednika, tłumacząc po prostu jednym życzenia drugich. Inżynierom, którzy mieli budować tamę na rzece, pokazaliśmy, gdzie i jak mają to robić, a policji Benoit City pomogliśmy rozwiązać trudną sprawę. Były to drobne, dorywcze prace, ale zyskały duży rozgłos, który jednak nie wyrządził nam żadnej szkody.

Jak dotąd, nie mieszaliśmy się w spór Północy z Południem. Chcieliśmy poznać problem bliżej, zanim przystąpimy do jego likwidacji. Mimo to obydwa senaty zwróciły się do nas z prośbą o pośrednictwo, z czego wywiązaliśmy się ku zadowoleniu jednych i drugich. Stworzyło to dla nas szczególnie dogodne warunki do obserwowania przejawów działalności przemytników. Odkryliśmy mniej więcej to, czegośmy się spodziewali. Nie ulegało wątpliwości, że gang działa na Perryonie — zarówno w Benoit City, jak i w Sedgeware pojawiały się towary sprzedawane po cenach czarnorynkowych.

Nie mieliśmy jednak żadnych dowodów na to, że Perryon pełni rolę centrali przemytników.

Wiedzieliśmy, że ich statki nie są oficjalnie zarejestrowane. Specjalnie opłacani ludzie dostarczali o nich informacji, na podstawie których ustalono, że są one małe i budowane tak, by je było łatwo ukryć. Na żadnej z planet nie próbowały nawet udawać zwykłych statków towarowych. Kiedy nie były w użyciu, trzymano je najprawdopodobniej w miejscach odludnych w specjalnie w tym celu wykapanych głębokich dołach zamaskowanych starannie, żeby nie było ich widać z lobu ptaka.

Wiedzieliśmy więc, że na żadnym podwórku nie natkniemy się na wielkie, podejrzanie wyglądające, poprzykrywane brezentem machiny, które mogłyby się skazać statkami przemytników. Poszukiwaliśmy znacznie subtelniejszych śladów.

Ale bez skutku. Nie wpadliśmy na przykład nawet na ślad waluty przemytników.

Nie chcieliśmy więc strzelać w ciemno. Przestępcy w ciągu wieków nauczyli się jednego: że dopóki szum nie ucichnie, nie mogą korzystać ze swego łupu; siedzą cicho i dopiero po latach wypływają jako bogaci i ustosunkowani obywatele.

Przyjrzeliśmy się bliżej wszystkim mieszkańcom Perryona, którzy robili wrażenie bogatych. Nie było to specjalnie trudne. Istniało zaledwie sześciu takich.

Perryon był biedną planetą i taką miał pozostać. Ubogi w bogactwa naturalne, został skolonizowany jedynie ze względu na zbliżane do ziemskich warunki klimatyczne. Był w tym sensie wygodny, może najwygodniejszy po Ziemi ze wszystkich zasiedlonych dotąd światów. Ale Perryon nie mając wad Fryana, Gerstena i

Parionara, nie miał także ich zalet.

Ludzie bogaci na Perryonie należeli więc do rzadkości. Wszyscy ci, którymi się zainteresowaliśmy, przywieźli tu swoje pieniądze ze sobą, a jak do nich doszli, nietrudno było sprawdzić. Był wśród nich tylko jeden wyjątek — geniusz finansowy w rodzaju Henry'ego Forda. Ponieważ jednak działał nie na Ziemi, tylko na Perryonie, branża samochodowa okazała się niewystarczająca i musiał rozkręcić produkcję w zakresie elektroniki, inżynierii, wydawnictw, tekstyliów, górnictwa, bankowości i tysiąca innych rzeczy. Sprawę kariery Roberta G. Underwooda zbadaliśmy bardzo dokładnie, ale nic nie wskazywało na to, żeby jego sejfy pękały od pieniędzy pochodzących z przemytu.

Pod koniec drugiego tygodnia siedzieliśmy z Dickiem w zajmowanej przez Zespół rezydencji w Sedgeware i dyskutowaliśmy. Na trawniku przed domem opalali się Brent, Jana i Helen. Lorraine pojechała do miasta na rozmowę z szefem policji. Bardzo ściśle bowiem współpracowaliśmy z policją zarówno Benoit City, jak i Sedgeware.

Od czasów „prania" Jona i Helen były niemal zupełnie nieme; Brent był niemy od początku. Dlatego od mówienia byli głównie Dick i Larraine. Jona czy Helen reprezentowały czasem Zespół na zewnątrz, ale tylko wtedy, kiedy trzeba się było pokazać czy zebrać jakieś fakty.

— Czy jesteście pewni, że nic wam nie grozi? — zapytałem siedzącą na trawniku trójkę. Gdyby ktoś chciał do nich strzelić, mógłby to zrobić bez przeszkód. Nie mieliśmy żadnej ochrony.

— Naturalnie — odparł Dick z ufnością. — Zamach na Lorraine na statku, coś, co mogło uchodzić za wypadek, to inna sprawa. Jack Kelman był po prostu opryszkiem wynajętym w tym celu, a Rhodę Walker miał do pomocy. Ale podobne usiłowania tutaj dowodziłyby tylko, że nasz przyjazd był potrzebny, a w tym wypadku NZZ przysłałby ze sześć Zespołów, żeby się upewnić, że problem zostanie zlikwidowany.

— Tobie to dobrze — powiedziałem. — Ty nie jesteś odpowiedzialny za bezpieczeństwo Zespołu, tylko ja.

— Wierz mi — odparł Dick — że gdyby coś się stało jednemu z naszej piątki, obojętnie któremu, nie obeszłoby to ciebie ani w połowie tak jak nas.

— Nie bardzo cię rozumiem. Przecież gdybyście stracili przypuśćmy Jonę, to i tak pozostała czwórka miałaby jeszcze dość inteligencji, energii, charakteru i krzepy, prawda? Czy to by sprawiło taką różnicę? Przecież chyba Zespół pracowałby nie gorzej niż przedtem?

Dick potrząsnął głową bardzo stanowczo.

— Nic podobnego. W ten sposób nas wyszkolono — na zasadzie

ścisłego podziału funkcji. Mogliśmy zostać wyszkoleni inaczej, tak żeby działać dobrze i we czwórkę, bez Jony, ale nie zostaliśmy. Gdyby coś się stało któremukolwiek z nas, ty powinieneś zająć jego miejsce, ale mówiąc szczerze, Edgar, nie sądzę, żebyśmy mieli z ciebie pociechę.

— Wydaje mi się — zauważyłem — że nie jest to najlepszy sposób tworzenia jednostek roboczych, skoro stają się bezużyteczne, gdy zabraknie choćby jednego z członków.

Dick uśmiechnął się.

— Też mi argument. Naturalnie można zbudować samochód trzykołowy. Ale czy to znaczy, że produkując samochody o czterech kołach należy konstruować je tak, żeby równie dobrze mogły jeździć na trzech? Żeby w razie czego mogły się obejść bez karburatora, pampy paliwowej czy olejowej?

— Zgoda. Poddaję się — mruknąłem.

Kiedy ta analogia jest bardzo trafna. Nasza piątka to silnik, przekładnia, karoseria, koła, deska rozdzielcza. Co wart jest samochód bez choćby jednego z tych elementów?

Zadzwonił telefon. Właściwie ja powinienem go odebrać, ale Dick stał bliżej. Podniósł słuchawkę.

Pranie mózgu nie pozbawia uczuć. Podobno tacy ludzie doznają uczuć przyjemnych w stopniu silniejszym i w formie niejako czystszej niż zwykli śmiertelnicy — chociaż na strach, złość czy rozpacz bywają odporniejsi, to jednak i te dognania nie są im obce. Tyle że poza szczególnymi sytuacjami typu towarzyskiego ich nie uzewnętrzniają. Nigdy na przykład nie pozwalają sobie na demonstracje uczuć, które dla nich są czymś sztucznym.

Sądząc ze spokoju Dicka myślałem, że to zwykły telefon. Oniemiałem więc, kiedy odłożywszy słuchawkę oznajmił:

— Ktoś wpakował Lorraine sześć kul. Nie będzie żyła.

Powinniśmy chyba jechać do szpitala.

Upłynęło sporo czasu, zanim — mimo niewątpliwego prestiżu, jakim się cieszyliśmy — wpuszczono nas do szpitala. Kiedy weszliśmy, właśnie ją operowano. Istniała nikła szansa na uratowanie jej życia, tak nikła, że wspomniano o niej tylko dla porządku.

— Czy pan nie rozumie, idioto — powiedział w podnieceniu Dick do chirurga, po raz pierwszy okazując rozdrażnienie zwykłemu człowiekowi — że właśnie dlatego musimy się z nią zobaczyć natychmiast? Ona jest członkiem Zespołu! Z naszą pomocą przeżyje, jeśli istnieje choćby cień szansy.. Ale jeżeli…

Główny chirurg odszedł.

Dick szalał ze złości zupełnie jakby nie zastał poddany praniu mózgu. Zachowywał się tak, jakby chciano mu amputować nogę, a on wiedział, że to nie jest konieczne.

— Uspokój się — powiedziałem — musimy się do nich dostosować.

— A tymczasem Lorraine umrze! — wykrzyknął.

Na Ziemi Zespoły są zjawiskiem częstszym i dlatego spotykają się z większym zrozumieniem. Ludzie wiedzą na przykład, że jeżeli kobieta będąca członkiem Zespołu rodzi, mąż, obojętne, kim jest, czeka na zewnątrz, a pozostała czwórka czuwa przy niej i jej pomaga, chociaż wcale nie jest to konieczne z punktu widzenia porodu.

Kiedy jednak sprawa jest naprawdę poważna, obecność reszty Zespołu jest niezbędna.

W pewnym sensie ludzie, którzy przeszli pranie mózgu, nie są tak wrażliwi jak my wszyscy. Kiedy znajdą się w niebezpieczeństwie czy doznają poważnych obrażeń, nigdy się nie poddają. Nie tracą na przykład przytomności, co oczywiście zdejmowałoby z nich wszelką odpowiedzialność za to, co się z nimi stanie. Walczą da ostatniej chwili — do chwili śmierci. Dzieje się tak, kiedy są zdani na własne siły lub na zwykłych ludzi, co na jedno wychodzi.

Ale gdy jest cały Zespół, ufają mu jak zwykle bez zastrzeżeń. Zespół mówi na przykład poszkodowanemu członkowi, że ma zasnąć albo skoncentrować się na czymś, albo wyłączyć pewne funkcje, albo nawet, jeśli to jest konieczne, na dłuższy czas zapaść w głęboki trans i on się stosuje do wszystkich tych zaleceń.

Członkowie Zespołów nie mają żadnego medycznego przeszkolenia, ale na temat własnego organizmu i pewnych metod leczenia wiedzą znacznie więcej niż lekarze.

Posłałem Jonę, żeby się dowiedziała, w jakich okolicznościach doszło do tragedii, Brent miał zbadać warunki w szpitalu i dopilnować, żeby sprawca nie miał pewności co do efektów swojego zamachu. Helen poleciłem, żeby porozmawiała z szefem policji, a Dickowi, żeby spytał któregoś z odpowiedzialnych lekarzy, jakie rany odniosła Lorraine. Dałem im na to wszystko cztery minuty.

Sam poszedłem zobaczyć się z ordynatorem oddziału. Ten przynajmniej powinien wiedzieć, że członkowie Zespołów uczestniczą we wszystkim — nawet w operacjach.

Ale były to tylko moje złudzenia. Zastałem starszego człowieka, który usiłował się ze mną spierać.

— Wiem, że takie rzeczy są praktykowane — zgodził się — ale to jest jedynie rodzaj przywileju, z jakiego korzystają Zespoły. W tym wypadku, ponieważ pacjentka ma zdaje się dwie kule w prawym płucu i jedną w żołądku, jest to sprawa czysto chirurgiczna…

— Doktorze Green — wrzasnąłem dziko — jeszcze dziesięć sekund i będę zmuszany pana stąd wyrzucić!

Doktor wyprostował się.

— Próby zastraszenia mnie na nic się nie zdadzą, młody

człowieku — warknął. — Ja jestem za to wszystko odpowiedzialny i nie odmówiłem panu, tylko…

— Tylko tak pan z tym zwleka, że jak pan wreszcie wyrazi razi zgodę, może być już za późno. Doktorze Green, jeśli Lorraine umrze, zostanie pan oskarżany o morderstwo.

To wreszcie do niego dotarło; zląkł się. Nie była to zresztą z mojej strony czcza pogróżka i prawdopodobnie zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby Lorraine umarła, a śledztwo dowiodło, że Zespół mógł uratować jej życie, doktor Green byłby sądownie ścigany przez NZZ. Spuścił więc z tonu, usiłując załagodzić sprawę. Pod salą operacyjną znaleźliśmy się w momencie, kiedy Dick, Brent i Helen wrócili właśnie po wypełnieniu swoich misji. Na Jonę musieliśmy czekać jeszcze dziesięć sekund.

Weszliśmy. Na szczęście zdążyliśmy zapobiec podaniu Lorraine silnego środka uspokajającego. Niestety z medycyną jest ten kłopot, że lekarze każdy przypadek traktują jako typowy. Ponieważ Lorraine odniosła sześć ran, z czego trzy można by sklasyfikować jako śmiertelne, uznano oczywiście, że doznała szoku. Co było błędem, ponieważ Lorraine nie mogła doznać szoku.

Kiedy po raz pierwszy otworzyła oczy, wszyscy byliśmy przy niej. Odzyskała przytomność jedynie na kilka sekund, ale i to zdumiało lekarzy. Lorraine w ogóle nie powinna była odzyskać przytomności.

Zaczęli do niej mówić wszyscy naraz, szybko, ale spokojnie. Dick powiedział jej krótko, z bezwzględnością, która przeraziła lekarzy, jakie odniosła rany i jak ciężki jest jej stan. Poinstruował ją także, co ma robić. Helen, która jako kobieta mogła powiedzieć jej znacznie więcej, uzupełniła jego zalecenia. Jona dodała parę słów od siebie. Brent jedynie wymówił jej imię, ale jak zrozumiałam, równało się to zapewnieniu, że Lorraine nie musi troszczyć się o swoje życie — tę troskę Brent bierze na siebie.

Trwało to nie więcej niż pół minuty. Zespół potrafił w krótkim czasie zdziałać bardzo wiele.

Kiedy Lorraine znów straciła przytomność, Dick odetchnął z ulgą.

— W porządku — powiedział — będzie teraz spała około sześciu godzin. Jak się obudzi, musimy być przy niej. Rozejrzał się dokoła po lekarzach. — I zanim cokolwiek zrobicie, proszę się z nami porozumieć, dobrze?

Główny chirurg nie mógł jeszcze przyjść do siebie po szoku, jakim był dla niego fakt, iż Lorraine odzyskała przytomność.

— Ale ja nie rozumiem… — zaczął.

— Właśnie to panu mówiłem — przerwał mu Dick — że pan nic nie rozumie. Niech pan na razie przyjmie do wiadomości jedno: Lorraine została poddana praniu mózgu, a to znaczy, że w dużo większym stopniu panuje nad ośrodkami swojego układu

wegetatywnego niż pan może sobie wyobrazić. Jej mózg nie szuka ucieczki w wyłączeniu się. Przeciwnie: chce wiedzieć, czy nie da się czegoś zrobić, i nie wyłączy się, dopóki się nie dowie. Dlatego nasza obecność tam była konieczna. Powiedzieliśmy jej, że wszystko będzie w porządku i że może spokojnie spać przez sześć godzin, bo my czuwamy.

— Ale przecież pan nie wie…

Dick westchnął.

— Wiem dokładnie, jakie odniosła rany i jak mogę pomóc w ich kurowaniu. Doktorze, gdyby Lorraine uznała za stosowne, mogłaby wzmóc lub wyłączyć działanie swojej tarczycy, pobudzić albo osłabić czynność serca. Ona potrafi oddziaływać na wszystkie gruczoły wewnętrznego wydzielania, a nawet jest zdolna wywrzeć pewien wpływ na poszczególne grupy komórek. Gdyby pan teraz obejrzał jej rany, zdumiałby się pan, jak są już czyste.

Chirurg popatrzył na mnie. Skinąłem głową. Byłem na paru tego rodzaju pokazach w siedzibie NZZ.

— Wierzę panu — rzekł z wyraźnym wysiłkiem.

Odbyliśmy z lekarzami rozmowę na temat kuracji Lorraine, po czym wyszliśmy wszyscy poza Brentem. Brent bowiem wziął na siebie obowiązek czuwania przy Lorraine. Zapewnił ją, że może bezpiecznie spać, i postanowił osobiście tego bezpieczeństwa dopilnować.

Lekarze w dalszym ciągu byli przekonani, że Lorraine umrze, ale myśmy się już tym nie przejmowali.

Porównaliśmy zdobyte informacje. Musiało być mniej więcej tak, że po wyjściu Lorraine od szefa policji jakiś mężczyzna w szarym garniturze strzelił do niej na ulicy z odległości dwudziestu jardów sześć razy, a następnie wskoczył do samochodu, i odjechał. Samochód, skradziony zresztą, znaleziono później porzucony.

Nie było mowy o żadnej pogoni, bo Sedgeware mogło się poszczycić zaledwie paroma samochodami, a jedyny, jaki w tym czasie znajdował się na ulicy, jechał w przeciwną stronę. O mężczyźnie zdołaliśmy się dowiedzieć tylko tyle, że był wysoki i miał szary garnitur. W samochodzie siedział podobno jeszcze ktoś, ale nikt nie umiał nam nic więcej na ten temat powiedzieć.

Nie mogłem się powstrzymać od uwagi:

— A właśnie dowodziłeś, Dick, że nic takiego nie może się stać.

— Wiem — odparł. — To jest zupełnie niesamowite. I za każdym razem właśnie Lorraine. Czyżby ktoś usiłował ją zabić niezależnie od jej przynależności do Zespołu?

Moja myśl dokonała nagłego zwrotu. Lorraine, mimo że nie zdawała sobie z tego sprawy, była córką A.D. A A.D. był zamieszany w najróżniejsze historie i mógł mieć masę wrogów.

— Niewykluczone — odparłem. — Później ci powiem, co wiem

na ten temat.

— Powiedz mi teraz — rzekł Dick, mimo że w dalszym ciągu staliśmy w korytarzu, przed salą operacyjną.

Powiedziałem mu.

— Sprawdzimy. Ale to mało prawdopodobne.

— Zamach na Lorraine też wydawał ci się mało prawdopodobny.

Skinął głową. Członków Zespołów trudno speszyć. Dick wcale się nie przejmował swoim błędem i bynajmniej sobie nie wyrzucał, że nie potrafił przewidzieć zamachu.

Wyszliśmy ze szpitala. Nic się nie mówiło na temat zachowania szczególnych środków ostrożności, ale zauważyłem, że Jona wcale nie słucha tego, co mówimy, tylko rozgląda się dokoła jak ryś. Przejęła od Brenta obowiązek czuwania nad naszym bezpieczeństwem.

— Ciekawe — rzekł Dick — czy rzeczywiście to plan: żeby ranić poważnie Lorraine nie zabijając jej? Mimo wszystko użyto starej broni palnej. Gdyby to była broń nowoczesna, nie byłoby co zbierać z Lorraine.

Zupełnie nieoczekiwanie wtrąciła się Helen, rozstrzygając właściwie problem.

— Jedna kula w ramię, dwie w nogi, dwie w płuca i jedna w żołądek. Najlepszy strzelec w całej galaktyce nie mógłby się chyba spodziewać, że po czymś takim ofiara będzie żyła.

Kiedy nie było Lorraine, Helen mówiła więcej.

— Czyżby to był podstęp Benoit City zmierzający do tego, by nas wrogo nastawić do Sedgeware? — wysunęła przypuszczenie.

Dick zastanowił się.

— Nie, to by nie mogło przynieść spodziewanych efektów.

Wróciliśmy do domu, przed którym stał już patrol policyjny. Tyburn, szef miejscowej policji, wolał więcej nie ryzykować.

Kiedy pozostała trójka zabrała się do pracy, przekonałem się od razu, jak słusznie było to, co mówił Dick — że do normalnego funkcjonowania Zespołu niezbędna jest obecność wszystkich pięciu członków. Nasz Zespół praktycznie przestał istnieć. Było po prostu czworo ludzi — licząc i mnie. Czworo ludzi, którzy mogli popełniać błędy tak samo jak wszyscy inni.

— Jutro odbędziemy naradę z udziałem Lorraine — oświadczył Dick.

— Wykluczone — odparłem.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Fakt, że przebywa w szpitalu, nie może nam w tym przeszkodzić. Usiądziemy dokoła jej łóżka i…

— Jak dotąd — odrzekłem ponuro — mam tylko twoje słowo na to, że Lorraine będzie żyła. Nie wolno nam ryzykować w najmniejszym nawet stopniu.

Dick niechętnie skinął głową.

— Swoją drogą, skoro nie bierze środków znieczulających, będzie przez najbliższy dzień czy dwa bardzo cierpiała. Może nie być w formie. Rzeczywiście lepiej zaczekać parę dni.

— Poczekamy dłużej. Oficjalnie ja kieruję Zespołem. Zdaje się, że o tym zapominasz.

Zdecydowaliśmy, że tymczasem członkowie Zespołu będą działali indywidualnie, zbierając materiał dowodowy. Na wszelki wypadek nosiliśmy przy sobie broń i mieliśmy oczy otwarte.

Między dochodzeniem, o jakim się czyta w powieściach kryminalnych, a naszym była jednak zasadnicza różnica. W książkach detektyw już w ciągu paru pierwszych godzin poznaje prowodyrów szpiegowskich czy przestępczych gangów, chociaż oczywiście nie w osobach ich przywódców. Detektyw musi tylko z kręgu znanych sobie osób wyeliminować niepotrzebnych, pamiętając o tym, że im kto niewinniej wygląda, tym bardziej jest podejrzany.

Nasza sytuacja była całkiem odmienna. Przyjmując, że nasi przeciwnicy chociaż z grubsza orientują się w możliwościach Zespołu i odznaczają się przynajmniej przeciętną inteligencją, wiedzieliśmy, że będą się trzymali od nas z daleka. A tym samym nikt z ludzi, z którymi stykaliśmy się w Benoit City czy w Sedgeware, nie mógł mieć z nimi powiązań.

Zespół rozszyfrowałby ich w ten sam sposób, w jaki rozszyfrował Jacka Kelmana i Rhodę Walker, a fakt, że tego nie zrobił, świadczy jedynie o tym, że się dotychczas z nimi nie zetknął. I nic nie wskazywało na to, że mielibyśmy ich spotkać. Detektywów można nie doceniać, ale niewielu jest dzisiaj takich, którzy by nie doceniali Zespołów.

W ciągu najbliższych kilku dni dowiedzieliśmy się niemal wszystkiego o Perryonie; poznaliśmy inne miasta. Dziewiętnaście spośród nich, poza Benoit City i Sedgeware, miało powyżej dwudziestu tysięcy mieszkańców. W każdym z tych miast było przynajmniej jedno z nas.

Po którejś z takich wizyt Helen podsunęła nam pomysł mogący stanowić rozwiązanie problemu Północ-Południe. Benoit City i Sedgeware były stolicami dwóch części Perryona, a tym samym ich mieszkańcy wiedli prym w osławionym konflikcie. Ale Twendon, położone paręset mil na północ od Sedgeware, i Foresthill, położone paręset mil na południe od Benot City, pod względem ekonomicznym i politycznym niewiele im ustępowały. A żadne z nich jak dotąd nie angażowało się w ten spór. Ze względu na swoje usytuowanie geograficzne (jedno w południowej części półkulo północnej, a drugie w północnej części półkuli południowej) potrafiły zrozumieć oba

punkty widzenia i uważając sprawę za nieistotną, zajęły stanowisko neutralne.

Byłoby więc rzeczą zupełnie prostą dla reaktywowanego Zespołu podniesienie tych miast do rangi stolic: Twendon Południa, Foresthill — Północy. Pozbawiłoby to znaczenia Benoit City i Sedgeware, przyczyniając się tym samym do wygaśnięcia sporu. Postanowiliśmy nie mówić o tym nikomu, nawet mieszkańcom zainteresowanych miast.

Tymczasem nic nie wskazywało na to, by Perryon był bazą przemytników, a nasze próby zidentyfikowania sprawcy zamachu na Lorraine też jak dotąd nie odniosły skutku.

Teraz już nie wątpiliśmy, że Lorraine się z tego wyliże, jakkolwiek o wyjściu ze szpitala jeszcze przez najbliższe parę tygodni nie mogło być mowy i nawet Dick w ciągu czterech czy pięciu dni nie nalegał na odbycie z nią narady.

W końcu jednak zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić indywidualnie, i ponieważ Lorraine zapewniła nas, że czuje się na siłach wziąć udział w krótkiej naradzie, poszliśmy do szpitala.

Tym razem narada odbyła się bez mojego udziału. Miałem dość roboty ze spławianiem lekarzy i pielęgniarek. Naturalnie byli temu przeciwni. W pewnym stopniu potrafiłem ich nawet zrozumieć. Stan Lorraine w dalszym ciągu trudno było nazwać dobrym i chociaż nie zagrażało jej już bezpośrednie niebezpieczeństwo, to jej organizm, nawet bez wyczerpujących sesji Zespołu, dostatecznie był osłabiony czynnym udziałem w procesie gojenia ran.

A sesje Zespołu były wyczerpujące. Pracownik umysłowy, nie narażony na żaden wysiłek fizyczny, może być pod koniec dnia pracy nie mniej zmęczony niż robotnik. Sprawni członkowie Zespołów mogą pracować razem przez cały dzień, ale sprawny członek Zespołu potrafi również wejść po schodach, a to miało być jeszcze przez jakiś czas nieosiągalne dla Lorraine.

Wymogłem na Dicku obietnicę, że będzie jej oszczędzał. I Dick tej obietnicy w pewnym sensie dotrzymał. Siedzieli u niej tylko pół godziny. Ale kiedy ją po tym zobaczyłem, była wykończona.

— Co najmniej na tydzień przerwa, Lorraine — zapewniłem ją.

Zdobyła się na słaby uśmiech.

— Więcej mnie to kosztowało, niż myślałam — przyznała. — I jeszcze jedno, Edgar: nie ufaj zbytnio naszym wnioskom. Dick jest zadowolony, ale ja się przecież orientuję, że nie jestem jeszcze w pełni sprawna.

Kiedy wróciliśmy do naszej rezydencji, Dick był w radosnym nastroju.

— Nawet pracując na półobrotach Zespół może zdziałać wiele — powiedział. — Edgar, będziesz musiał wysłać do NZZ nowy meldunek.

Obszczekiwaliśmy nie to drzewo.

Nie odezwałem się słowem.

— Ktoś wynajął Jacka Kelmana, żeby zabił Lorraine — podjął. — Doszliśmy do wniosku, że to przemytnicy, i mieliśmy rację. Ktoś wynajął kogoś innego, żeby zabił Lorraine tutaj, w Sedgeware. I tym razem doszliśmy do wniosku, że to przemytnicy, i znów mieliśmy rację.

Przed zamachem na Lorraine mówiłem ci, dlaczego uważam, że nie będzie już więcej takich prób: bo to by świadczyło o tym, że Perryon rzeczywiście coś ukrywa, i gdyby nas wszystkich pozabijali, w ciągu kilku tygodni przysłano by z Ziemi tyle Zespołów, że z pewnością by sobie z nimi poradziły.

Ale mimo to zamachu dokonano. Przede wszystkim więc zastanawialiśmy się dzisiaj, w jakim stopniu zmieniło to sytuację. I doszliśmy do oczywistego wniosku: że przemytnikom zależy tylko na czasie. Potrzebują czasu, żeby coś przeprowadzić, uciec czy ukryć się lepiej, zanim sprawnie już funkcjonujący Zespół się za nich zabierze. Nie obchodzi ich, co będzie za dwa miesiące, zależy im po prostu, żeby Zespół zostawił ich w spokoju teraz.

— To brzmi sensownie — powiedziałem z zainteresowaniem. — Musimy się czym prędzej wziąć do roboty i…

Dick potrząsnął głową.

— To odrzuciliśmy — odparł. — Wynajęto czterech ludzi, żeby zabić Lorraine. Wynajęto, pamiętaj o tym. Nie wiemy tego, ale zakładamy to jako pewnik. Zastali oni wynajęci przez przemytników. I to jest drugi pewnik. A co to w sumie może oznaczać?

Nie miałem zamiaru robić Zespołowi konkurencji.

— To już lepiej ty sam powiedz — zaproponowałem.

— Że bazą przemytników w żadnym wypadku nie maże być Perryon — odparł Dick.

Teraz, kiedy to powiedział, pomyślałem, że może sprawa była oczywista od początku, nie wiem. Ale uderzyło mnie to jak owe sześć kul, które przeszyły Lorraine.

Wszystkie wybiegi naprawdę genialnie — są proste. Ukrywasz rzecz zasadniczą tak, żeby twoi przeciwnicy, podejrzewając wszystko dokoła, nawet o niej nie pomyśleli. Piętrzysz trudności, które pokonują po kolei, podczas gdy genialne w swojej prostocie rozwiązanie zagadki leży jak na dłoni.

Na Parionarze Zespoły też będą poszukiwały śladów działalności przemytników. Ale na Parionarze nikt nie zostanie zabity.

Przemytnicy uwzięli się na Perryona i na nas. Byli na tyle przebiegli, że nie stosowali ani zbyt skomplikowanych forteli, ani zbyt prostych. Nie dalibyśmy się nabrać, gdyby sprawa była zbyt oczywista.

A najsprytniejsze w tym wszystkim było to, że wnioski z zaistniałych faktów wyciągał nie kompletny Zespół, tylko jego czterej pozostali członkowie. My oczywiście przekazalibyśmy na Ziemię wiadomość, że Perryon jest z całą pewnością bazą przemytników, a w każdym razie miejscem, którym należy się zająć jak najszybciej i jak najsolidniej, gdy tymczasem oni — obojętne, gdzie mają swoją centralę przyczają się nie dając żadnych powodów do podejrzeń.

— Tyle tylko — powiedziałem — że wyniki naszej pracy są wyłącznie negatywne. Nie manny naszym władzom nic pozytywnego do zakomunikowania.

— Wiele możemy zgadnąć — odparł Dick. — Był czas, kiedy Rhoda Walker i Jack Kelman przebywali jednocześnie na Fryonie. Przemytnicy musieli się kiedyś z nimi skontaktować. A nie robiliby tego przecież na Ziemi. Fryon jest, poza Ziemią, jedyną planetą, na której byli oboje: i Kelman, i Rhoda Walker. Rhoda była ponadto na Perryonie, Kelman nie. Fryon oczywiście nie musi być bazą przemytników, ale jest bardzo prawdopodobne, że był miejscem ich kontaktów.

Przypomniałem sobie, jak Zespół kompletował informacje o Jacku Kelmanie i Rhodzie Walker na podstawie listy pasażerów „Klucza Wiolinowego”.

— Ale przecież oni byli na Fryonie w różnych okresach czasu — zaprotestowałem. — I było to wiele miesięcy temu.

Dick skinął głową.

— Przypuszczam, że zostali zwerbowani na Fryonie, ale nie do jakiegoś konkretnego zadania, tylko po prostu jako ludzie do dyspozycji przemytników. Dokładne instrukcje otrzymali znacznie później.

Wcale nie byłem przekonany co do tego Fryona, ale ostatecznie nie miało to znaczenia. Skoro Zespół uznał, że tak jest, moim obowiązkiem było donieść o tym NZZ-owi.

IV

Jeden z członków naszej ochrony wszedł z depeszą. Nie powinien był opuszczać swojego stanowiska, ale takie rzeczy były typowe dla światów prymitywnych. Tylko w społeczeństwach wysoko zorganizowanych ludzie przywiązują wagę do szczegółów.

Depesza była z Ziemi, z NZZ, i oczywiście zaszyfrowana, ale nie potrzebowałem żadnego klucza, żeby ją odczytać. Adres brzmiał następująco: „Edgar Williamsom, Ojciec Zespołu, Perryon". Tylko tyle. Ale nawet gdyby brakowało nazwiska czy nazwy planety, i tak bym ją dostał. W takich sytuacjach byłem kimś.

— Z NZZ — powiedziałem. — „Podejrzewamy Perryona. Co nowego?" — popatrzyłem na telegram z lekką goryczą. I to jest całe NZZ. Wiedzą, że jeden z członków Zespołu jest poważnie ranny, i jeszcze oczekują czegoś nowego.

Wziąłem arkusz papieru i napisałem odpowiedź, którą wyręczyłem Dickowi.

Brzmiała ona: „Perryon nie jest bazą gangu przemytników. Williamson."

Dick zmarszczył brwi.

— Czy coś jest nie w porządku? — zapytałem.

— Nie możesz tego wysłać — odparł. — Nie zapominaj, że ani potraktują tę informację jako wiążącą i podejmą odpowiednie kroki. A przecież to, że zamach na Lorraine miał nas wywieść w pole, jest tylko naszym domysłem.

— Ale Zespoły w swojej pracy opierają się właśnie na takich domysłach.

— Tak, o ile mają pewność. Ale kiedyśmy dochodzili do tego wniosku, wydajność Lorraine nie przekraczała pięćdziesięciu procent. Mogliśmy się pomylić.

Zawahałem się. W dalszym ciągu miałem ochotę wysłać odpowiedź tej treści, zwięzłą i jednoznaczną. Nakazywało mi to moje odczucie sytuacji.

Ale rzeczywistym szefem Zespołu był Dick, nie ja. Skoro on nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za wysłanie takiego telegramu, tym samym nie brał jej Zespół, a więc nie miałem prawa tego zrobić.

— W porządku — powiedziałem bez przekonania. — A to? Moja druga propozycja składała się z dwóch słów: „Wyjaśniamy sprawę".

Dick skinął głową.

— Wspaniale — powiedział z uśmiechem.

Ponieważ na razie nie mogliśmy zrobić nic więcej w sprawże przemytników, całą uwagę poświęciliśmy problemowi uregulowania

sporu między Północą a Południem.

Dick w porozumieniu z wielką firmą z Sedgeware spowodował zawarcie dużego kontraktu z Twendon. Sam pojechał na miejsce dopilnować szczegółów. Uzasadniając swoje posunięcie nie zdradził ani przed jednym, ani przed drugim miastem, że celem jego było podniesienie poziomu uprzemysłowienia Twendon przy jednoczesnym obniżeniu prestiżu Sedgeware.

Jona, w swojej podróży na Północ — dopóki Lorraine była w szpitalu, przebywaliśmy w Sedgeware — zamiast w Benoit City, zatrzymała się w Foresthill, gdzie spędziła jakiś czas właściwie bez powodu. Wiedzieliśmy doskonale, że wszelkie nas ze poczynania są komentowane i że ludzie będą się zastanawiali, co może oznaczać pobyt Jony w Foresthill. Liczyliśmy, że przynajmniej niektórzy domyślą się rychłego awansu tego miasta.

Tymczasem Helen otworzyła nową bibliotekę w Twendon i w zręcznym przemówieniu dała do zrozumienia, że jest ono właściwym centrum kulturalnym Południa.

Zaczęliśmy być odrobinę niepopularni w Sedgeware. Nie mogliśmy już dłużej ukrywać, że nie uważamy go za stolicę Południa. Próbowaliśmy się tłumaczyć, wyjaśnialiśmy, że to nieuniknione: Sedgeware jest miastem nadmiernie rozwiniętym i Twendon musi w najbliższej przyszłości zająć jego miejsce.

Niektórzy ludzie po przemyśleniu tej sprawy dochodzili do wniosku, że mamy rację, i wycofywali swoje kapitały z Sedgeware inwestując je w Twendon. Do Sedgeware przestała też napływać poszukująca pracy młodzież z mniejszych miast, która coraz chętniej osiedlała się w Twendon.

Helen i Jona zaczęły się ubierać w sposób w niczym nie przypominający stylu ziemskiego. Elegancko, prosto, przeważnie w jaskrawe frotowe rzeczy, wygodne w noszeniu i łatwe do prania. Moda ta, idealna na ciepły, wilgotny klimat Sedgeware, robiła wrażenie zupełnie przypadkowej, i wkrótce mieszkanki Sedgeware zaczęły ją naśladować.

Dick, Brent i ja chodziliśmy w szortach. Powoli wszyscy i wszystko dokoła zatracało swój „ziemski” wygląd.

W niespełna tydzień proces ten nabrał takiego tempa, że my jedni byliśmy w stanie go zatrzymać. I chociaż miały upłynąć jeszcze miesiące, zanim Twendon zostanie uznane — również przez Sedgeware — za stolicę Południa, to przecież sprawa była już przesądzona.

Wstępną kampanię zakończyliśmy przeniesieniem się do Twendon, gdy tylko pozwolono nam zabrać ze szpitala Lorraine. Nie mówiąc tego wprost, daliśmy do zrozumienia, że tam będzie oma miała lepszą opiekę lekarską, co zresztą było zgodne z prawdą. Miasto

bowiem doceniając, ile mam zawdzięcza, robiło wszystko, żeby się zrewanżować.

W dalszych planach mieliśmy dokonanie podobnej zamiany między Benoit City a Foresthill. W tym wypadku jednak trzeba było działać ostrożniej. Za drugim razem zawsze jest trudniej.

Okoliczności nam jednak sprzyjały. Perryonowi potrzebny był nowy port kosmiczny, a to wymagało nakładów z Ziemi. Kupcy ziemscy zawsze byli skorzy do tego rodzaju inwestycji, mimo bowiem wysokich lokalnych ceł, — w dalszym ciągu handel między Ziemią a innymi planetami był dość ożywiony.

W porozumieniu z NZZ zmieniliśmy lokalizację nowego obiektu z Benoit City na Foresthill.

Budowa anioła się rozpocząć w przyszłości, ale wszyscy wiedzieli, że port powstanie w Foresthill zamiast w Benoit City, nie zdając sobie jednak sprawy, że to nasza robota.

Stopniowo Foresthill, podobnie jak Twendon, nabierało coraz większego znaczenia. A my zbieraliśmy pierwsze owoce swoich trudów. Sedgeware i Benoit City zwalczały się w dalszym ciągu, ale konflikt stracił na ostrości, a wkrótce miał zupełnie przestać istnieć.

Z NZZ przyszedł drugi radiogram. Zaadresowany był do Ojców Zespołów na Gerstenie, Camisaku, Fryonie, Parionarze, Mavericku, Perryonie — w sumie do czterdziestu siedmiu — i brzmiał:

> *Należy przerwać działalność gangu przemytników. Na waszych obszarach powietrznych znajdują się trzy flotylle. Na każde wezwanie stawią się do waszej dyspozycji w przeciągu dwunastu godzin. Wiemy, że baza gangu mieści się na jednym z waszych światów. Chyba zidentyfikowanie go nie przekracza możliwości odpowiedniego Zespołu?*
>
> *Niech każdy z was poda otwartym kodem stopień prawdopodobieństwa, że właśnie jego planeta jest bazą gangu. Wykluczone — jeden. Całkowita pewność — dziesięć. Podajcie samą liczbę, chyba że macie podstawy podejrzewać jakąś inną planetę. W tym wypadku zaszyfrujcie wiadomość.*
>
> *Powtarzamy: ciągłe milczenie czterdziestu siedmiu Zespołów wydaje nam się niewiarygodne. Gang przemytników po prostu NIE MÓGŁ ukryć się aż tak dobrze, żeby go nie wytropił żaden Zespół chyba że wynaleźli nowe środki komunikacji międzygwiezdnej. Gdyby ktokolwiek z was wpadł na ślad czegoś takiego, dajcie natychmiast znać.*

— Prawdę powiedziawszy to rzeczywiście dziwne — mruknął Dick po przeczytaniu radiogramu. — Jak to możliwe, żeby czterdzieści siedem Zespołów nie poradziło sobie z gangiem?

Spojrzał na ramie.

— Edgar, Lorraine nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, musimy odbyć uczciwą Sesję.

Skinąłem głową. NZZ, jak wiele innych na pół militarnych instytucji, nie przyjmowało żadnych wymówek. Na Perryonie przebywał kompletny Zespół i oczekiwano od nas określonych usług — nawet jeśli jedno z nas było w szpitalu.

Wybraliśmy się do Lorraine. Jej łóżko przeniesiono do małej izolatki, której drzwi zamknięto.

— Dobrze wyglądasz, Lorraine — powiedziałem.

— Owszem, przybyło mi czternaście funtów, czy to nie potworne?

— Cóż, kobieta nawet po praniu mózgu pozostanie kobietą.

— Możesz sobie na to pozwolić — uśmiechnąłem się.

— Nie, trzy czy cztery, owszem, ale nie czternaście! No, zaczynajmy. Jeżeli z wysiłku stracę trochę na wadze, to tym lepiej.

Narada przypominała tę przedostatnią, w której uczestniczyłem, i równie mało z niej rozumiałem. Ale chociaż nie widziałem Zespołu przy pracy w czasie drugiej narady po wypadku Lorraine, mogłem się zorientować, że ta sesja wygląda zupełnie inaczej. Lorraine leżała w łóżku, w pozie swobodnej, a mimo to nawet ja mogłem ocenić, jak istotne znaczenie miał jej udział.

W Zespołach nigdy nie wiadomo, kto jakie reprezentuje wartości. Oni sami tego nie wiedzą. Odniosłem jednak wrażenie, że w tym Zespole Lorraine stanowi istotną siłę. Że jest sercem Zespołu, jeśli wolicie. Dick był bez wątpienia jego mózgiem i jako taki odgrywał bardzo ważną rolę. Mózg jednak nie jest dla człowieka organem najważniejszym. Sprawność umysłu zależy od stanów serca i nawet w swojej ostatecznej fazie jest prawie zawsze następstwem jego niedomagań.

Za każdym razem, ilekroć praca Zespołu z jakichś względów ustawała, podejmowano ją za sprawą Lorraine. Koncepcje Brenta, Helen i Jony nabierały kształtu dopiero dzięki Dickowi lub Lorraine. Propozycje i wnioski Dicka bywały dyskwalifikowane w całości jedynie przez nią.

Zrozumiawszy znaczenie Lorraine dla Zespołu, nie zdziwiłem się wcale, kiedy rozpoczęli swoją sesję od odrzucenia wszystkich przyjętych poprzednio wniosków. Czułem, że tym razem do czegoś dojdą, jakkolwiek nie wiedziałem jeszcze dokładnie, o co chodzi. Wkrótce potem zorientowałem się, że usiłują coś uchwycić, ustalić — nie w drodze poszukiwań jednak, tylko na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa — tak jak na statku z listy pasażerów wyłonili troje podejrzanych.

Zastanawiałem się, czy w podobnie natchniony sposób zdołają wskazać bazę gangu. Wydawało mi się to zupełnie nieprawdopodobnie; w przeciwnym razie dokonałby już tego dawno

jeden z pozostałych czterdziestu sześciu Zespołów.

Wiedziałem jednak, że Zespoły, tak jak ludzie, różnią się między sobą zdolnościami. A swój Zespół uważałem za szczególnie dobry. Zdawałem sobie jednak sprawę, że podobnie jak wszyscy rodzice na świecie — większość Ojców Zespołów tak sądzi.

Nagle sesja została zawieszona — zawieszona, nie przerwana. Wszyscy patrzyli na mnie, z wyjątkiem Lorraine, która leżąc z zamkniętymi oczami znów robiła wrażenie bardzo zmęczonej.

— Edgar — powiedział Dick — spróbuj się dowiedzieć, kto pierwszy rozpętał ten konflikt Północy z Południem. Kto to wszystko zaczął. Pierwsze przemówienie w Zgromadzeniu, pierwszy artykuł w gazecie. Cofnij się wstecz, jak daleko zdołasz. I nie wracaj uwagi na tych, co się później włączyli. Potrzebne nam są dwa nazwiska: ktoś z Benoit City i ktoś z Sedgeware.

Wstałem.

— Czy moja misja jest tajna? — zapytałem.

— Nie. My się tym już dalej zajmiemy, jak nam tylko dostarczysz tych informacji. Szukaj ich w redakcjach gazet, w policji, przejrzyj protokoły z posiedzeń Zgromadzenia sprzed rozłamu. Będziesz się musiał wybrać do Benoit City. I nie wracaj, dopóki nie będziesz miał dwóch nazwisk.

Dalszych instrukcji nie potrzebowałem. Żegnając ich pomyślałem z goryczą, że taka oto jest rola Ojców Zespołów. Posyłali mnie jak gońca, a ja posłusznie spełniałem wszystkie polecenia.

Najpierw poszedłem do redakcji „Wiadomości Twendon” i zapytałem o bibliotekarkę. Zaprowadzono mnie jednak do redaktora naczelnego. Gońcem byłem tylko dla mojego Zespołu; dla wszystkich innych byłem ważną osobistością.

— Ja chciałem tylko zajrzeć do waszego archiwum — powiedziałem. — Niepotrzebnie zabieram panu czas, panie Carse.

— Ja mam całe archiwum w głowie — poinformował mnie siedzący za biurkiem chudy mężczyzna o głodnym wyrazie twarzy. — Będzie z tego jakaś sensacja dla gazety, panie Williamson?

— Może i będzie.

— O co panu chodzi? Niech pan mówi.

— Kto rozpękał antagonizm między Benoit City a Sedgeware? — rzuciłem bez ogródek.

Nie potrafił dać mi szybkiej, jednoznacznej odpowiedzi i chociaż twierdził, że pamięta wszystko, co kiedykolwiek ukazało się w jego gazecie, musiałem go naprowadzać. Sugerował wiele rzeczy, ale za każdym razem dochodziliśmy do wniosku, że było coś jeszcze przedtem.

W końcu powiedział niepewnie:

— Wydaje ani się, że to się zaczęło od artykułu… myśmy go nie

publikowali, ale drukowały go wszystkie gazety w Sedgeware. Tylko że pan nie będzie wiedział, czy to rzeczywiście był początek, dopóki nie pozna pan jego treści.

— Właśnie o to mi chodzi — odparłem wprost. — Co było w tym artykule i kto go napisał?

Dick domagał się dwóch nazwisk. Jedno już miałem i zajęło mi to niespełna pół godziny. Zdobycie drugiego nie przedstawiało się tak prosto.

Poleciałem do Benoit City. Trwało to pięćdziesiąt pięć minut. Benoit City nigdy nie było tak dobrze do nas usposobione jak Sedgeware, ale Benoit City do nikogo nie było dobrze usposabiane.

Z Północą i Południem wszędzie jest tak samo. Północ, zajęta interesami, wiecznie w pośpiechu, obcesowa, pewna siebie, szorstka i cyniczna, dobrze ukrywa swoje serce ze złota pod książeczką czekową. Południe jest gościnne, przyjacielskie, łagodne, leniwe, romantyczne, przywiązane do tradycji, radosne, optymistyczne.

I znów poszedłem do redakcji miejscowej gazety. I tak samo jak w Twendon zaprowadzono mnie do szefa, którego tutaj nazywano dyrektorem. Był nim niejaki pan Morrissey.

Morrissey wysłuchał mnie cierpliwie, po czym rzekł natychmiast:

— To się zaczęło od słów pewnej bawiącej tu gościnnie aktorki. Powiedziała mianowicie… — I powtórzył mi jej słowa.

Miał rację, od tego się zaczęło. Wkrótce potem rada miejska Benoit City wypowiedziała się przeciwko nauce o Ziemi w miejscowych szkołach.

Nie wiedziałem, co robić. Aktorka odbywała prawdopodobnie tourne po całej galaktyce i do tej pory z pewnością zdążyła już zapomnieć o Perryonie. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nie była w tę sprawę zamieszana.

— Kto z nią rozmawiał — spytałem — zanim ona to powiedziała? To znaczy kto z tego miasta?

— Jeden z moich reporterów. Jenson. Zaraz go ściągnę.

— Nie — powiedziałem szybko. — Niech pan mu nic nie mówi.

— Ale jeśli to będzie jakaś bomba — rzekł dyrektor nie owijając w bawełnę — to ja mam pierwszeństwo, zgoda?

— Zgoda. Ale będzie się pan musiał nią podzielić z Carsem z „Wiadomości Twendon”.

— W porządku — odparł. — One tu nie docierają.

Poleciałem z powrotem do Twendon. Zastałem Zespół przy pracy tak sauno jak trzy godziny temu, kiedy się z nimi rozstawałem. Rzuciłem niespokojne spojrzenie na Lorraine.

Uśmiechnęła się słabo.

— Mam wrażenie, że już się pozbyłam moich czternastu funtów.

Ale nareszcie mamy to z głowy. Idźcie sobie stąd wszyscy i dajcie oni się przespać.

Wyszliśmy jedno za drugim: Dick, Helen, Jona, Brent i ja. — Zanim podejmiemy następnie kroki — powiedziałem — musimy wysłać odpowiedź do NZZ. Czy zdajecie sobie sprawę, że dostaliśmy od nich radiogram cztery godziny temu?

— Tylko? — zdziwił się Dick. — A mnie się wydawało, że to już lata. — I on był zmęczony. — Nadaj „dziewięć". I od razu wezwij flotę.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Wolałbym, żeby to było „dziesięć" — dodał — ale nie mamy jeszcze całkowitej pewności.

Nadałem obie wiadomości natychmiast. Z Zespołami trzeba spokojnie; nie ma co się gorączkować. I tak ci nic nie powiedzą, dopóki wszystko nie jest zapięte na ostatni guzik.

— No, mamy dwanaście godzin czasu — oświadczył Dick — i jeszcze wiele do zrobienia.

— Siedem — poprawiłem go. — Dwanaście to było maksimum. Statki będą tutaj już za siedem godzin.

Dick jęknął.

— I nie możemy zabrać ze sobą Lorraine. No, trudno. Jak brzmi pierwsze nazwisko?

— Dick, musisz mi cośkolwiek powiedzieć. Nie potrzebujesz mi mówić wszystkiego, ale chcę znać nasze plany przynajmniej na najbliższą przyszłość.

— Przemytnicy nie tylko nie próbowali odwrócić naszej uwagi od Perryana, ale przeciwnie — nasza obecność na tej planecie była im ma rękę — odparł Dck. — Rozpętali nawet ten konflikt, żeby się upewnić, że NZZ przyśle tu Zespół. Plan był następujący: mieliśmy przybyć na Perryona, tracąc po drodze albo już tutaj, obojętne gdzie, Lorraine, mieliśmy następnie dojść do wniosku, że nie Perryon, lecz Fryon stanowi bazę gangu przemytników, i przekazać tę wiadomość NZZ-owi.

— Wyobrażali sobie, że przechytrzą Zespół, tak?! — wykrzyknąłem.

— Zespół uszczuplony o jedną osobę — przypomniał mi Dick. — Ale nie sądzę, żeby wiadomość o tym, że Larraine żyje, ich specjalnie zmartwiła. Musieli być bardzo pewni siebie.

— To znaczy, że są szaleni!

Dick potrząsnął głową.

— To znaczy, że mają swój Zespół.

Nie odezwałem się słowem.

Zaczęliśmy od poszukiwań George'a Zamoreya, autora artykułu,

który rozpalił namiętności w Sedgeware. Młody, przystojny mężczyzna robił wrażenie zaskoczonego naszą wizytą, ale zdecydowanie za mało.

— Ach, to pan — rzekł Dick. — Musimy chyba sięgnąć głębiej i ustalić, na czyje polecenie pan działał.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odparł Zamorey.

— Owszem, wie pan doskonale. A czy przypadkiem nie ma pan czworga przyjaciół? — Dick przyglądał mu się badawczo. Zamorey nie zareagował. Dick był zawiedziony i nie próbował tego ukryć.

— Co pan wie, Zamorey? — zapytał wprost.

— Nie rozumiem, o co panu…

— Nie mamy czasu — rzekł Dick zniecierpliwiony. — Brent, musisz go przekonać.

Nie znosiłem przemocy i gdybym się wcześniej zorientował, co się święci, byłbym powstrzymał Brenta. Żałuję w każdym razie, że tego nie zrobiłem. Zamorey musiał mieć w ustach truciznę. Po pięciu minutach zabiegów Brenta zwisł bezwładnie i stwierdziliśmy, że nie żyje.

— Jedno źródło wiadomości straciliśmy — rzekł Dick. Z tym drugim musimy być ostrożniejsi.

Polecieliśmy do Benoit City w pełnym składzie. Poszedłem prosto do Morrisseya i poprosiłem, żeby posłał po Jensona.

Jenson był aż za szybki. Zjawił się natychmiast, ale ledwie otworzył drzwi, rzucił się do ucieczki.

Ruszyliśmy za nim. Dick i ja okazaliśmy się do niczego. Brent, chociaż bardzo silny, był o wiele za powolny. Jona natomiast skoczyła za uciekającym jak chart. Za Joną biegł Brent, potem Helen, Dick i wreszcie na końcu ja.

Widziałem, jak go dopadli. Jona podcięła mu nogi. Niewątpliwie dałby sobie z nią radę, gdyby nie to, że już w następnej sekundzie siedział na nim Brent.

Kiedy wreszcie zasapany dobiegłem na miejsce, Dick już pytał ujarzmianego Jensona:

— Kim są pańscy przyjaciele?

Ku mojemu zdumieniu Jenson zaniechał dalszego oporu. Poddał się od razu i wyśpiewał wszystko.

Dick nie wydawał się tym zdziwiony. Powiedział mi potem, że Jenson sam będąc członkiem Zespołu orientował się doskonale, z kim ma do czynienia, i nie tracił niepotrzebnie czasu na udawanie, że nie wie, o co nam chodzi. Mnie jakoś nie mogło się to pomieścić w głowie.

Dopiero znacznie później wyjaśniła mi to Lorraine, która zawsze miała do mnie słabość.

Członkowie Zespołów nie znają poczucia lojalności. Działają w imię ogólnego dobra, prawa i porządku. Działają w imię postępu, ponieważ uważają, że jest lepszy niż zło, anarchia i zacofanie. Ale nie

są lojalni. Lojalność oznacza wierność z pobudek pozarozumowych, a żaden Zespół nie jest do tego zdalny.

Zespoły pracują dla NZZ, ponieważ aprobują jego program, jeśli jednak znajdą się w sytuacji beznadziejnej, nie walczą do ostatniego człowieka; po prostu się poddają. Tak jak poddał się Jensen.

NZZ nie był mimo wszystko jedyną organizacją, która powoływała do życia Zespoły. Gang przemytników doszedł do wniosku, że jeśli mają mieć jakiekolwiek szanse w walce z NZZ, to muszą stworzyć własny Zespół. Przekupili więc pewnego psychologa, żeby poddał praniu mózgu, a następnie wyszkolił pięć osób. I tak powstał Zespół będący na usługach przemytników.

Powinniśmy się byli wcześniej tego domyślić. Nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później wszelkie środki, jakimi dysponuje prawo i porządek, zostaną użyte i przez stronę przeciwną.

— Gdyby Jack Kelman czy Rhoda Walker wywiązali się dobrze ze swego zadania — powiedział nam Jenson — nie wygralibyście z nami. Przewidzieliśmy wasze posunięcia. Potrafiliśmy przejąć wasz sposób myślenia. Mieliście dojść do wniosku, że nasza baza mieści się na Fryonie, i dać cynk działającemu tam Zespołowi. Oni z kolei mieli zniszczyć pięć naszych statków. Potem gang przemytników utajniłby się i mielibyśmy pokój na całe lata, zanim NZZ znów by sobie o nas przypomniał.

— Bardzo sprytnie — zgodził się Dick. — Tylko że i tak musielibyście przegrać, Jenson.

Jenson zmarszczył czoło.

— Dlatego że skierowano przeciwko nam tyle Zespołów? Co za różnica. My byśmy…

— Nie. Dlatego, że nie byliście dobrym Zespołem — odparł Dick.

— Bzdura. Nie jesteśmy gorsi od was.

Dick potrząsnął głową.

— Jesteście, bo zostaliście wyszkoleni, by służyć przemytnikom. I na tym polega wasza słabość.

— Wiem, o czym pan myśli. Ale pan nie ma racji. Nie potrzebowano nas specjalnie ukierunkowywać. Niech pan nie zapomina, że myśmy już przedtem byli przemytnikami.

— To nie ma znaczenia — rzekł Dick. — Po praniu mózgów przestaliście nimi być. Staliście się jednostkami podporządkowanymi prawu i gdyby was właściwie przeszkolono, bylibyście prawdziwym Zespołem. Zrozumielibyście, że przemytnicy nie mają szans, i odmówilibyście pracy dla nich. Najprawdopodobniej nie powiedziano wam o tym, ale człowiek, który was szkolił, musiał was w specjalny sposób zaprogramować — wszczepić wam lojalność w stosunku do przemytników. A wie pan z pewnością równie dobrze jak ja, że wszelkie tego rodzaju ograniczenia w sposób znaczny zmniejszają

wydajność Zespołu.

Jenson nie odezwał się więcej. Myślę, że poza zaprogramowaną lojalnością, musiał uznać słuszność tego, co mówił Dick.

Resztę Zespołu przemytników wyłuskaliśmy już sami. Sprawa była prosta i pozbawiona posmaku przygody. Pozostali koledzy Jensona zrozumieli błyskawicznie, że gra się skończyła, i nie stawiali oporu.

Niemniej cały epizod miał swój efektowny finał i wszyscy mieszkańcy Perryona przynajmniej częściowo w nim uczestniczyli.

Oddając wrogi Zespół w ręce policji, wspomnieliśmy o flocie statków kosmicznych i terminie jej przybycia z Ziemi. Liczyliśmy, że wiadomość ta dotrze w jakiś sposób do przemytników, bo chociaż ogólnie rzecz biorąc, policja nie była pod ich kontrolą, to jednak musiały istnieć jakieś powiązania.

Celowo więc podaliśmy termin o godzinę późniejszy.

Ledwie flotylla przemytników wystartowała, by ratować się ucieczką, wpadła prosto na wysłany z Ziemi patrol.

Mówi się o niektórych ludziach, że są w czepku urodzeni. W jeszcze większym stopniu odnosi się to do Zespołów. Wszelkie ich poczynania wieńczy sukces, a okoliczności z reguły im sprzyjają.

Tylko bowiem Zespołowi mógł się udać wybieg ze spotkaniem dwóch flot w przestrzeni kosmicznej. Przemytnicy próbowali walczyć, co było błędem z ich strony wynikłym najprawdopodobniej z faktu zaskoczenia; nie przewidzieli zasadzki.

Przebieg starcia obserwowaliśmy z Benoit City. Pierwszy statek przemytników rozjarzył się matową czerwienią, następnie zrobił się lekkoróżowy, a na koniec białą łuną rozświetlił całe niebo. Spadając gigantycznym łukiem, musiał być widoczny ze znacznej części Perryona. Zanim dotknął Ziemi, rozjarzył się następny statek.

Przemytnicy spróbowali ataku na jeden z pojazdów patrolowych. Ale dziesięciokrotnie większy od ich jednostek i z dziesięć razy lepiej uzbrojony, zapłonął tylko dziwnym zielonym światłem i wycofał się raptownie z walki.

Dwa nieprzyjacielskie statki rozjarzyły się jednocześnie, a następnie skośnym lotem przekreśliły niebo rysując na nim osobliwe wzory. Był to niewiarygodnie piękny widok. Patrzyłem urzeczony tym zjawiskiem i dopiero kiedy pierwszy z nich runął, czemu towarzyszył wyczuwalny wstrząs, z nagłą zgrozą uświadomiłem sobie, że byli na nim ludzie.

Od tej chwili nie mogłem się doczekać końca bitwy. Czułem to, co wnusi czuć każdy kat. Przecież to myśmy posłali tych ludzi na niechybną zgubę. A przedtem pozwoliliśmy Rhodzie Walker ostrzec Kelmana, co równało się dla niej śmierci. My wreszcie

wyreżyserowaliśmy wypadek, w którym zginął Kelman.

Kiedy następny rozżarzony statek przeciął nocne niebo, zrozumiałem w pełni, co to znaczy być Ojcem Zespołu.

Członkowie Zespołów są amoralni. Pracują w imię ogólnie pojętego dobra, ale postępują w sposób bezwzględny: bez żadnych skrupułów, bez irracjonalnego może, ale tak bardzo ludzkiego uczucia litości, które często powstrzymuje zwykłych śmiertelników przed podejmowaniem kroków drastycznych w imię… ogólnego dobra.

I jeszcze jeden statek wybuchnął barwami płomieni. Odwróciłem się. Nie znajdowałem już przyjemności w obserwowaniu efektów naszej wspaniałej roboty.

— Wracajmy do Twendon — rzekłem. — Musimy zawiadomić o tym wszystkim Lorraine.

— Dobrze — zgodził się Dick i też odwrócił się od obrazu zagłady gangu przemytników.

Przekład: Zofia Uhrynowska

Wiktor Kołupajew
BILET DO DZIECIŃSTWA

Bilet w dietstwo

— Poproszę bilet do dzieciństwa — powiedziałem w kasie i po pięciu minutach siedziałem już w wagoniku przedpotopowej konstrukcji, na twardej ławce, z niecierpliwością oczekując gwizdka parowozu.

Sąsiednie miejsce zajęła staruszka z koszykiem owoców i cukierków. Podniecenie, z jakim co chwila przetrząsała jego zawartość, mogło rozśmieszyć każdego… ale nie w tym pociągu. Można ją było zrozumieć. Przecież wybierała się do małej dziewczynki, w swoje dzieciństwo, zapewne dawno i na dobre zapomniane. Dzieci lubią słodycze — jedynie to pamiętała ze wszystkiego, z czym się miała już niedługo spotkać.

Naprzeciw mnie mężczyzna o przyprószonych siwizną skroniach i staruszek. Tego mężczyznę znałem ze zdjęć w gazetach. Był to sławny pianista. Przed każdym koncertem udawał się w swoje dzieciństwo. Utrzymywano, że to właśnie nadaje jego koncertom niepowtarzalny urok, wersja ta jednak nie była zbyt przekonywająca. Wielu muzyków odbywało podróże do dzieciństwa, ale jakoś mało było wśród nich geniuszy.

Staruszek oparł dłonie na masywnej lasce. W podarunku swojemu dzieciństwu wiózł tylko mądre spojrzenie zmęczonych oczu.

Pociąg ruszył… Słupy telegraficzne migały za oknem, miarowo stukały koła, z rzadka rozlegał się gwizd parowozu. W sąsiednim przedziale ktoś domagał się od konduktora zimnego piwa i długo jeszcze zrzędził oburzony na kiepską obsługę.

Minęła smutna godzina zadumy. W dali, za zakrętem, można już było dostrzec peron.

— Stacja! Proszę wysiadać! — wołał konduktor. Wszyscy zaczęli się śpiesznie zbierać i stłoczyli się w przejściu.

— Suzdal! — stwierdziła ze zdumieniem moja sąsiadka. To był Zagorsk. Dla mnie to był Zagorsk. A dla niej Suzdal. Dla staruszka — Pemza albo Syzrań. Wszyscy znaleźli się w miastach swojego dzieciństwa. Widziałem już mury ławry Trocko-Siergiejevnskiej. Kto inny widział tajgę i burzliwy nurt Jeniseju albo spokojne zwierciadło Onegi.

Zagorsk… A ja nawet nie wiedziałem, czy to moje miasto. Nie pamiętałem swojego dzieciństwa.

Wagon szybko opustoszał. Staruszka dostrzegła w tłumie

wstających małą pulchniutką dziewczynkę, pomachała do niej chusteczką i zapłakała. Pianista położył rękę na ramieniu chłopaczka i ruszyli w stronę wiaduktu bardzo poważni i skupieni. Na peronie było tłoczno i gwarno, stopniowo jednak wszyscy się rozchodzili.

Mnie nikt nie witał. Kilkakroć machałem ręką do różnych chłopców, ale nie zwracali na mnie uwagi. Trudno sobie wyobrazić, jakim się było w dzieciństwie, tym bardziej że nie zachowała się żadna moja fotografia z tego okresu. Powątpiewałem zresztą, czy kiedykolwiek istniała.

Po dziesięciu minutach nikogo już prawię nie było. Tylko na skraju peronu dziesięcioletni malec w trykotowej koszulce i za obszernych spodniach z przejęciem trącał czubkiem obszarpanego buta patyk po lodach.

— Olek! — zawołałem. Ale on, nie spojrzawszy nawet w moją stronę, zeskoczył z peronu, przeszedł przez tary kolejowe i zniknął za rogiem budynku…

Nie miało sensu poszukiwać go w mieście. Bez celu wałęsałem się więc po peronie godzinę, dopóki się nie doczekałem powrotnego pociągu.

Przez całą drogę do Ust-Mińska nie opuszczało mnie uczucie jakiejś niepowetowanej straty. Dlaczego on nie przyszedł? Dlaczego? Sąsiedzi z przedziału pogrążyli się w swoich myślach, tylko jedna z kobiet przez całą drogę opowiadała o swoich figlach sprzed czterdziestu lat, ale jakoś nie mogła znaleźć uważnego słuchacza.

Nie zdążyłem jeszcze wyjść z pociągu na stacji w Ust-Mińsku, kiedy wezwano mnie do dyspozytora.

— Proszę nam wybaczyć — rzekł młody chłopak w mundurze kolejarza, gdy wszedłem do dyspozytorni. — Nasza wina, że zepsuliśmy panu nastrój. Coś się stało z systemem falowodów pola temporalnego. A może chronogram nie dotarł do adresata i dlatego nie przyszedł pana powitać.

— Może nie miał ochoty spotkać się ze mną — machnąłem ręką kierując się ku wyjściu.

— Następnym razem to się już nie powtórzy — zapewniono mnie. — Sprawdzimy wszystko. Może pan wyruszyć w dzieciństwo choćby jutro.

— Chyba przez najbliższy miesiąc nie będę miał wolnej chwili — odpowiedziałem i wyszedłem bez pożegnania.

Byłem zajęty pewnym ważnym eksperymentem i czasu rzeczywiście było mi brak. Ale mimo to nazajutrz znowu znalazłem się na dworcu, znowu jechałem sfatygowanym wagonem, znowu sterczałem na wyludniającym się peronie.

Na skraju peronu, podobnie jak poprzedniego dnia, ujrzałem chłopca.

— Olek! — wykrzyknąłem. — To ty! — czułem to i byłem o tym przeświadczony.

Chciał zeskoczyć z peronu, powstrzymał się jednak i stał nadal patrząc pod nogi. Podbiegłem do niego, chwyciłem za ramiona, uścisnąłem. Nagle przytulił się do mojej piersi. Na sekundę, nie dłużej. Potem odepchnął mnie i zerkając spode łba powiedział:

— Coś ty? — jego głos bardzo przypominał ton dorosłego mężczyzny. W ogóle jak na chłopca wyglądał zbyt poważnie.

— Olek! Więc jednak mnie poznałeś?

— No pewnie! Tylko nie jestem Olek. Nazywam się Roland… To znaczy Rolek.

— Ale przecież ja jestem Aleksander. A więc ty się nazywasz Olek.

Wzruszył ramionami.

Przy swoich pięćdziesięciu latach wyglądałem jeszcze na silnego mężczyznę. A on był niezgrabny i chudy.

— Słuchaj, Olek. Będę cię nazywał Aleksandrem, a nie Rolandem. — Znowu wzruszył ramionami, co mogło znaczyć „jak chcesz”. — Czegoś taki mizerny, do diabła?! Powinieneś się zająć sportem, bo inaczej długo nie pociągniesz.

Przez chwilę mi się wydawało, że jego oczy śmieją się ze opnie, i także się roześmiałem. Jakież głupstwo palnąłem! Stoję wszak przed nim żywy i zdrowy. Jakże więc może on długo nie pociągnąć? To brednia.

On też się roześmiał. Byłem tak uradowany jego pierwszym śmiechem, że zgoła nie zastanowiłem się, czy taka błahostka jak moja uwaga mogła spowodować tyle uciechy. Byłam jednak niezmiernie szczęśliwy. Doszliśmy aż do wiaduktu klepiąc się nawzajem po plecach i z powodu rozpierającego nas śmiechu nie usiłując nawet nic powiedzieć.

Plac przed dworcem był inny niż przywykłem go oglądać. Bywając w Zagorsku prawie za każdym razem wstępowałem do kawiarni „Astra”. Ale teraz nie było jeszcze o niej mowy. Z prawej rozlegał się zgiełk targowiska, którego nie zagłuszały nawet sygnały parowozów.

— No dobrze, Olku — odezwałem się. — W naszej sytuacji byle co nas rozśmiesza. Nieraz jeszcze wpakuję się w kabałę. Ale to wcale nie znaczy, że nie powinniśmy zjeść gdzieś razem solidnego obiadu.

— Nie chcę — odparł Olek. — Dostaliśmy już jeść.

„Cóż on sobie w rzeczywistości myśli? — zastanawiałem się. — Gdybym był głodny, to nigdy bym nie odmówił, skoro by propozycja pochodziła ad takiego człowieka jak ja sam. Aha! Jestem wszak dorosłym człowiekiem i wszystko rozumiem. Ale on?”

— Nie chcesz, to trudno. — Powiedz no lepiej, jak spędzasz czas.

Jakich masz przyjaciół?

— Tylko bez przesłuchań — odburknął i zrozumiałem, że moje pytania istotnie przypominają kwestionariusz, na który nie sposób odpowiedzieć szczerze.

Podeszliśmy do targowiska. Spytałem:

— Chcesz lody?

— Bardzo! — ucieszył się.

— Z orzechami czy śmietankowe?

— Ależ tak, z orzechami! Ale takich tu nie ma.

— Zobaczymy — odpowiedziałem zagadkowo, lecz rzeczywiście nie była ani jednych, ani drugich. Na wszelki wypadek zapytałem sprzedawczynię, choć lepiej było tego nie robić, bo od razu wrzasnęła: „Patrzcie, czego mu się zachciewa!"

Olek pociągnął mnie za rękę.

— Chodźmy…

Mimo to kupiłem porcję zwykłych lodów. Olek wziął je bocząc się i jeszcze dwa razy musiałem mu powiedzieć: „Jedz, nad czym się zastanawiasz?", zanim rozwinął opakowanie. I natychmiast, jak mi się zdaje, zapomniał o mnie.

Od razu stało się jasne, jak pragnął tych lodów. Jak każdy normalny dziesięcioletni chłopiec, którego sny i pragnienia jeszcze poza to nie wykraczają. Pokapał lodami swoje szerokachne spodnie i zaraz wytarł je rękawem.

— A nauczyłeś się leczyć nieuleczalne choroby? — spytał znienacka.

Zmieszałem się.

— Skądże to możesz wiedzieć? Przecież zajmuję się tym dopiero od trzydziestu lat. A zacząłem przez czysty przypadek. Czyżbym myślał o tym już przed czterdziestu laty?

— Ale ja to ty — powiedział. — Ty z czasów dzieciństwa. Wiem o tobie więcej niż ty o mnie, ponieważ zawsze chciałem, żebyś był do mnie podobny, żebyś robił to, co sam chcę robić. Bardzo tego pragnę.

Dziwnie jakoś łączyła się w nim dziecięca naiwność z surowością dorosłego.

— Nie, Olku. Jeszcze się nie nauczyłem leczyć nieuleczalnych chorób. Sądzę jednak, że wkrótce stanie się to możliwe.

— Naprawdę? — ucieszył się.

— Naprawdę — pogłaskałem go po głowie. — Tylko mam bardzo mało czasu. Tobie bo dobrze. Jeszcze nie dostrzegasz, jak czas leci.

Rzucił na mnie bystre spojrzenie, nieco kpiące i zaskakujące, jak by wiedział coś bardzo dla mnie ważnego, ale nie uważał jeszcze za stosowne mi to powiedzieć. Wyblakłe portki wisiały na nim jak worek. Koszula w kratkę była wypłowiała. „Nie żyje ci się słodko" — pomyślałem.

— Ja także nie mam czasu — odezwał się wreszcie.

— Jak to? — spytałem ze śmiechem. — Cóż takiego robisz, że ci brak czasu?

— Chcę, żebyś był szczęśliwy…

— No cóż. Uważaj, że jestem. Ale czy ty wiesz, co to jest szczęście?

Nie odpowiedział na pytanie, jakby go w ogóle nie usłyszał.

— Chciałbym jeszcze, aby dzięki tobie inni ludzie byli szczęśliwi.

Czy dzięki mnie ludzie są szczęśliwi? Nie, tego nie mogłem twierdzić z przekonaniem.

— Jesteś bardzo poważny, Olku. Zbyt poważny jak na swój wiek. To niedobrze.

— To dobrze.

— Nie będziemy się sprzeczać. A dlaczego wczoraj do mnie nie podszedłeś?

— A dlaczego ty tego nie zrobiłeś? Ja także na ciebie czekałem.

— Wybacz.

Zdawała mi się że między nami wyrósł mur obcości, że oddaliliśmy się od siebie i że już nigdy nie zdołam zrozumieć tego dziesięcioletniego chłopca, może dlatego, że dorośli w ogóle nie rozumieją dzieci, a może dlatego, że on jest ode mnie mądrzejszy. To drugie przypuszczenie odrzuciłem natychmiast, jeszcze bowiem nie mieściło mi się w głowie, że z wiekiem głupieję. W każdym razie przed tym spotkaniem nie przychodziło mi to na myśl.

Długośmy się włóczyli po mieście. Dowiedziałem się, że on także nie pamięta ojca i matki, którzy prawdopodobnie zginęli podczas wojny, że mieszka w internacie. Jego małomówność i pewną skrytość kładłem na karb tego, że było to nasze pierwsze spotkanie. Trudno mówić dużo i tylko rzeczy wesołe, kiedy się po raz pierwszy zobaczyło samego siebie.

Później zrozumiałem, że chociaż mówił mniej niż ja, to jednak właśnie on nadawał kierunek naszej rozmowie. Egzaminował mnie niepostrzeżenie, bez natarczywości. I musiałem pogodzić się z tym, że w pewnych sprawach jest ode mnie bardziej zorientowany. Może przewyższał mnie swoim sposobem myślenia, zdolnością do ścisłego precyzowania tego, czego chce, swoim zdumiewającym skupieniem i ironią.

Umówiliśmy się, że się jeszcze spotkamy. Odjechałem wieczornym pociągiem. W ostatniej minucie, kiedy już stałem na pomoście wagonu, zaśmiał się wesoło, kilka razy podskoczył i zawołał:

— Fajny jesteś! Nie całkiem taki, jak przypuszczałem, ale fajny. Cześć!

Mur obcości znikł. I znowu on to zrobił. Wtedy, kiedy zechciał.

— Cześć, Olku! — krzyknąłem w odpowiedzi.

Pociąg ruszył. Jakże mi było lekko! Rozpierała mnie radość, niezrozumiała, dziwna, niezwykła radość.

A mimo to nie wiedziałem, nie mogłem nawet przypuszczać, jak było mi potrzebne to spotkanie. Zacząłem pracować tak, jak dawno już mi się nie udawało. Ogarnęło mnie jakieś niebywałe natchnienie. Teraz byłem przekonany, że eksperyment się uda. Stworzę to, o czym — jak się okazuje — marzyłem już w dzieciństwie.

Kilka miesięcy minęło jak z bicza trzasł. Sporo większych i drobnych sukcesów, bezsenne noce, przelotne zwątpienia, zaciekłe spory i pasjonujące dyskusje, spotkania i delegacje. Nasz instytut pracował nad bardzo trudnym i ważnym problemem. Opracowywaliśmy błyskawiczne metody zdalnego leczenia urazów bez interwencji chirurgicznej. Pokrótce można to przedstawić na przykładzie: Ktoś się rozbił zleciawszy z urwiska. Zanim zostanie dostarczony do najbliższego szpitala, już będzie za późno. Opracowywaliśmy metody i aparaty, które by pozwalały ten worek kości i cierpień przekształcić ponownie w człowieka w taki sposób, żeby nawet nie zdążył poczuć bólu. Spadał z urwiska i natychmiast wstawał zupełnie zdrów i cały.

Chcieliśmy zmniejszyć liczbę bezsensownych wypadków śmiertelnych. Już się nam to udawało. Mogłem teraz powiedzieć: „Tak, ludzie będą szczęśliwsi dlatego, że istnieję", powiedzieć to tylko Olkowi, czyli samemu sobie, i nikomu więcej.

Dopiero w pół roku później mogłem znaleźć czas i kupić bilet do dzieciństwa… Olek na stację nie przyszedł.

„Głupi wybryk dziecięcy — pomyślałem. — Obraził się, że tak długo nie przyjeżdżałem. A mógłbym mu wiele opowiedzieć o tym, o czym marzył".

Przygnębiony wróciłem do Ust-Mińska. Na dworcu znowu mnie wezwano do dyspozytorni.

— Coś z chronogramem? — zapytałem z nadzieją.

— Nie. Chronogram wysłaliśmy. Nie o to chodzi… Nie miał pan dzieciństwa… To nieprawdopodobne, ale tak jest.

— Co za brednia! Przecież widziałem… rozmawiałem już z Olkiem.

— To nie był Olek, to znaczy nie był to pan w dzieciństwie. To był Roland Eustafjew.

— Roland Eustafjew? — Nie znałem nikogo takiego, lecz nazwisko nie było mi obce.

— Pan nie miał dzieciństwa.

— To dlaczego on wtedy przyszedł mnie powitać? Właśnie on, to znaczy ja.

— Pan nie miał dzieciństwa. To całkiem szczególny wypadek.

Podano ma szklankę wody. Widocznie wyglądałem żałośnie.

Opadłem na fotel nie mając sił wyjść na ulicę. Nikt mnie więcej nie niepokoił ani o nic nie pytał. Ale co jeszcze było do powiedzenia? Wyjaśniono mi, że nie miałem dzieciństwa. Dlaczego i jak to się zdarzyło, nie wiadomo. I w niczym nie mogą mi pomóc.

Kiedy ktoś miał trudne dzieciństwo, mówi się, że go nie miał… Ja jednak nie miałem dzieciństwa w dosłownym znaczeniu, tak jak mi to powiedziano.

Przyszedłem nieco do siebie. W takim stopniu, aby się normalnie poruszać nie ściągając na siebie podejrzliwych spojrzeń przechodniów.

Po godzinie dotarłem do swojej pracowni. Było już dość późno i pracowały tam tylko dwie, trzy osoby. Usiadłem przy swoim stale i spróbowałem zebrać myśli. Po pewnym czasie pracownia opustoszała. Maże wychodzący coś nawet do mnie mówili, ale nic nie słyszałem… Tylko za ścianą rozlegał się terkot maszyny do pisania. To moja sekretarka przepisywała materiały naszych eksperymentów.

Siedziałem przy stole i przypominałem sobie. Wyłuskiwałem z pamięci fakty, porównywałem je i przywoływałem wspomnienia.

Przed trzydziestu laty bardzo długo chorowałem. Podczas choroby straciłem pamięć. Nie pamiętałem ani przyjaciół, ani znajomych, ani samego siebie sprzed choroby. To dziwne, ale w mojej pamięci wyraźnie zachowała się cała wiedza i doświadczenie początkującego, młodego naukowca. Zatarło się tylko to, co dotyczyło mnie osobiście. Jakbym się na nowo narodził. Odwiedzała mnie często młoda kobieta. Lena. Helena Eustafjew. Od wielu lat jest moją sekretarką. Pewnego wieczoru, mniej więcej w rok po mojej chorobie, nagle zapłakała przy swoim stoliku zastawionym telefonami i zawalonym urzędowymi papierami. Uniosłem jej mokrą od łez twarz.

— Jesteś inny, jesteś całkiem inny — powiedziała.

— Co znaczy „inny”? — spytałem bez sensu.

Wstała i wyszła. Jedyny raz w życiu wyszła z instytutu wcześniej niż ja.

— Nie pytaj. Nic nie było — rzuciła na odchodnym.

O nic więc jej nie pytałem. Nie… Po prostu bałem się usłyszeć od niej coś… Co? Nie wiem.

Teraz nakręciłem numer informacji i poprosiłem, by podyktowano mi wykaz osób, które pracowały w instytucie przed trzydziestu laty. Wówczas było to wielkie laboratorium. Monotonny głos wyliczał nazwiska… Abramow… Bobrowi… Eustafjew… Roland Eustafjew?

Stop. On też tu pracował. Usiłowałem sobie przypomnieć. Nie. Nie pamiętam takiego.

Przeglądając akta personalne stwierdziłem, że Roland Eustafjew umarł tego dnia, kiedy straciłem pamięć. Mnie po prostu nie było. Powstałem… zacząłem istnieć w dniu jego śmierci.

Kimże jestem? Cyborgiem? Cyborg z wyciętym wyrostkiem

robaczkowym i często zakatarzony? Nie.

Jego świadomość, jego JA zostały wpisane w moje ciało? Nie.

Stworzył mnie i umarł. Nic to chyba nie ma wspólnego z moim ciałem ani nawet z komórkami mojego mózgu. Stworzył mnie w jakimś bardziej złożonym, doskonalszym znaczeniu tego słowa. Stworzył mój sposób myślenia, mój intelekt. Powinienem więc być taki, jakiego mnie chciał widzieć.

A ten chłopiec? Przecież już wszystko przemyślał i dlatego tak dziwnie ze mną rozmawiał. Wiedział już, że jestem tym, którego stworzy w przyszłości, nie zdąży bowiem sam zrobić wszystkiego, co zamyśla.

Nie powinienem był istnieć. Nie byłem przewidziany w wykazie etatów natury. On mnie stworzył. Nie miałem dzieciństwa. On mi podarował okruch swojego dzieciństwa.

Jak dokonał tego niewiarygodnego odkrycia, niewiarygodnego nawet teraz? Nikt tego nie maże wiedzieć… Nikt?

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon, Helena podniosła słuchawkę.

Ten dziesięcioletni chłopiec zrobił dla mnie wszystko nie żądając w zamian nic. Tylko jednej porcji lodów.

Raz tylko chciał się ze mną spotkać, aby sprawdzić, czy słusznie postąpi kiedyś w przyszłości.

Słyszę, jak Helena wstaje z krzesła i idzie ku drzwiom mojej pracowni.

Zaraz otworzy drzwi i o wszystko ją zapytam. Spytam ją, kim jestem.

I wszystko mi opowie.

Drzwi się otwierają…

Przekład: Bolesław Baranowski

Marian Butrym
GOŚĆ Z TAMTEGO ŚWIATA

Obejrzałem się. Kilkanaście par oczu wpatrywało się w przybysza.

Właściwie nie powinienem się specjalnie dziwić: obcy w tak małej mieścinie jak Powder Valley zawsze będzie wzbudzał sensację. Toteż się nie dziwiłem.

Doskonale wiem, że ciekawość jest stara jak świat, a maże nawet jeszcze starsza. I w ogóle,wszystko było w porządku. Najlepszym. Poza jednym — tym obcym byłem ja, a właśnie ja chciałbym, żeby wszyscy przestali się mną interesować i to od zaraz. I żeby zajęli się uprzejmie własnymi sprawami.

Ale nie mogłem im tego powiedzieć.

Poczułem się nieco gorzej, ale jeszcze nie całkiem źle. Zresztą sprawa, która mnie sprowadziła do Powder Valley, była zbyt poważna, bym miał się denerwować drobiazgami. Czasem jednak drobiazgi decydują o powodzeniu spraw nawet tak ważnych, jak ta, która mnie tutaj sprowadziła.

A nie mogłem sobie pozwolić na ryzyko. Najmniejsze.

Dom stał na przedmieściu, jeżeli w ogóle miasteczko wielkości Powder Valley może posiadać przedmieście. Ale tą sprawą niech się martwią jego mieszkańcy.

Zapukałem do drzwi. Nic. Odczekawszy więc przepisowe kilkanaście sekund, które poświęciłem studiowaniu zacieków na suficie korytarza, zapukałem ponownie, tym razem mocniej. Cisza. Odczekałem jeszcze chwilę sprawdzając tym razem dyskretnie, czy ktoś nie interesuje się mną ponad zwykłą miarę, i poczuwszy się uwolnionym od ludzkiego szacunku dla cudzego mieszkania, otworzyłem drzwi bez zaproszenia.

W pokoju panował półmrok. Ale nawet zasłonięte stary okien pozwalały dostrzec siedzącego w fotelu człowieka. Nie widziałem w tym momencie jego nie ogolonej twarzy, jego ponurej miny desperata; nie dostrzegłem pustej butelki po whisky stojącej obok na podłodze.

Nie widziałem nic poza czarną lufą colta.45 skierowanego z niepokojącą wprawą w miejsce, gdzie ludzie mają serce. Nie było to przywitanie godne królów, ale nie zaskoczyło mnie. Raczej wprost przeciwnie: wiedziałem, że tak się stanie. Wiem również o wielu innych sprawach, ale to nie należy do tematu. Lubię dobrą broń, a taką jest niewątpliwie szybkostrzelny colt kalibru.45. Lubię poza tym wiele innych rzeczy. Ale jednego cholernie nie lubię. Nie lubię, gdy ktoś mierzy do mnie z rewolweru, zwłaszcza takiego jak colt.45. Możecie mi wierzyć.

— Dobry wieczór, Barnes — powiedziałem uprzejmie.

Lufa nie zniżyła się ani o milimetr.

— Czego?! — warknął niskim głosem z nalotem chronicznej chrypki. — Czego?

— Nie jesteś zbyt uprzejmy — stwierdziłem bez żalu, wpatrując się w oksydowaną czerń spluwy.

— Wynoś się stąd!

— Jestem Jones. Mike Janes z Chicago Tribune — dodałem, ciągle jeszcze najuprzejmiej.

— Jeszcze jeden gryzipiórek! — Siedzący w fotelu nie miał zbyt wygórowanego mniemania o zawodzie dziennikarskim. — Z nikim nie będę gadać — wyjaśnił łagodniejszym tonem, a lufa czterdziestki piątki spojrzała w podłogę.

Poczułem się raźniej. Wieloletni instynkt mówił mi, że strzał i tak by nie padł. Człowiek z rewolwerem miał dosyć. Uświadomiłem to sobie i dlatego poczułem się raźniej. Barnes był wykończony. Stanowił jeden poplątany kłębek nerwów. Barnes się bał. Cholernie się bał i zdawał sobie z tego sprawę.

— Szkoda, bo chciałem z tobą pogadać, Barnes — powiedziałem łagodnie jak panna na wydaniu.

Nie pomyliłem się. Człowiek w fotelu szarpnął się gwałtownie, a czterdziestka piątka upadła na podłogę. Widziałem już takich ludzi: byli wykończeni oczekiwaniem na coś, czego się panicznie obawiali, i wiedzieli, że przyjdzie, ale nic nie mogli zrobić. Może nawet nie chcieli nic zrobić, podświadomie czując, że tak będzie najlepiej. Barnes też nic nie zrobił.

Barnes należał do takich ludzi.

— Ja mam was dosyć — wykrztusił — ja chcę…

— Spokój!!! — mój głos zawibrował dźwiękiem co najmniej o trzy oktawy— wyższym. Krzyknąłem wiedząc, jak postępować z facetami w takim stanie nerwów. — Spokój powiedziałem już łagodniej, starannie modulując głos. Opanuj się, Barnes… Co z twoimi nerwami?!.. WTEDY miałeś mocniejsze nerwy…

Barnes milczał. Ja też taktycznie milczałem, nie mając zresztą nic do powiedzenia. Nie — mogłem przecież głośno powiedzieć — a przynajmniej teraz — że guzik mnie obchodzą jego nerwy i nerwy kilku innych, podobnych facetów. Obchodziło mnie tylko TAMTO i chciałem sprowokować Barnesa do wynurzeń. Całą resztą Barnes mógł się kazać wytapetować. Od pięt do kapelusza.

— Masz rację — zaczął prawie szeptem, ale w miarę wypowiadania słów głos mu potężniał i mówił coraz szybciej, z wyraźnymi nutkami histerii — masz rację, ale WTEDY się nie bałem!.. Rozumiesz?! Nie bałem się… A teraz się boję!

— Rozumiem, Barnes. Rozumiem. — Kłamałem jak z nut,

naprawdę bowiem nie rozumiałem dotąd ani sława. Wiedziałem, że od dawna dusi w sobie pragnienie wygadania się przed kimś i musi jakoś zacząć. Nie chciałem mu tego ułatwiać, ale chciałem być tym „kimś". Dlatego przecież tu byłem i dlatego Mike'a Jonesa nazywano reporterem o nieprawdopodobnym szczęściu albo jak mówią niektórzy — farcie. Oznacza to właściwie to samo i nie robi mi specjalnej różnicy.

Upływający czas mogłem zaliczyć na straty. Na Ziemi nikt jak dotąd nie potrafi go rozciągać.

A szkoda.

Szkoda, bo pociągiem z Chicago pędził jeszcze ktoś i to pędził właśnie tutaj, a ja nie miałem najmniejszej ochoty spotykać się w tym mieszkaniu z kimkolwiek, nie mówiąc już o nim, i nie mówiąc o tym, że takie spotkanie nie byłoby najprzyjemniejsze.

— Spokojnie, Barnes — dodałem ciepło, podając siedzącemu w fotelu szklankę z odrobiną whisky. Nosiłem ten swój żelazny zapas w kieszeni na sercu i niech bogowie docenią wysiłek wyrzeczenia się jego części.

Wiedziałem jednak, że whisky w takich sytuacjach działa lepiej niż jakikolwiek eliksir. — Napij się — powiedziałem przyjaźnie — to ci ukoi skołatane nerwy!.. — Nawet jeżeli w ostatnich słowach zabrzmiała nutka szyderstwa, a zabrzmiała, o ile siebie znam, to była ona bardzo nikła i chyba aż nadto usprawiedliwiona moją nienaturalną cierpliwością przez tak długi czas.

Wypił skwapliwie i trudno się dziwić, że do dna. Sam zrobiłbym to samo.

— Nie musiałeś się bać, Barnes — zaryzykowałem atak w każdym razie nie aż tak i… jeszcze nie teraz. — Te trzy kropki przed słowami „jeszcze" stawiam doskonale: właśnie w tym miejscu zawiesiłem głos i delikatnie stonowałem groźbę. Zaczynałem się niecierpliwić: czas szybko uciekał, a na Ziemi, jak dotąd, nikt nie umie go rozciągać. Wiem o tym najlepiej. Jestem przecież reporterem działu naukowego Chicago Tribune i mam, jak zapewne pamiętacie, niesłychany fart do wyczuwania sensacji na odległość. Nie chwalę się, bo jest tak w rzeczywistości. Zapytajcie, kogo chcecie, jeśli będzie okazja ku temu i jeśli ten ktoś będzie chciał gadać na mój temat.

— Słuchaj — zaczął nagle — ty znasz całą sprawę?

— Czytam gazety — wyjaśniłem cierpko — a poza tym w moim fachu słyszy się to i owo. Ale nie o wszystkim wiem, Barnes, nie o wszystkim, a to cholernie ciekawa historia. Ja właśnie lubię takie ciekawe historie, i przyjechałem, żeby usłyszeć coś od ciebie. Rozumiesz, Barnes — od ciebie!..

Uff, ale się nagadałem. Myślę, że zrozumiał nareszcie, że nie przyjechałem częstować go mają whisky, ale po to, aby coś z niego

wyciągnąć. Bo jeśli przez chwilę kołatało się w głowie jemu lub komukolwiek innemu, że jest inaczej, to obaj się mylili.

— Jones, — ty mi wierzysz? — spytał z taką nadzieją w głosie, że trudno było zdecydować się na zaprzeczenie, tym bardziej że mówił prawdę.

Inaczej nigdy bym nawet nie pomyślał, aby tu przyjechać marnując na podróż kilka zielonych papierków o miłym wyglądzie, że w ogóle nie wspomnę o mojej whisky.

— Jedno jest pewne, Barnes — ty TEGO nie mogłeś wymyślić. Za głupi jesteś. Przyjechałem, bo jest w tej historii coś niezwykłego, coś, co może się przydać… Opowiedz! Chicago Tribune nie zapomina o swoich współpracownikach. A to z kolei może być kiedyś tobie potrzebne, przyjacielu…

Chyba po raz pierwszy powiedziałem tutaj prawdę. Nie mówię tego, aby się chwalić ani by powiedzieć, że nie lubię kłamać. Zresztą w moim zawodzie przyzwyczaiłem się do codziennych bujd i kłamstewek jak do swojej dziewczyny i równie przykro byłaby mi z nich zrezygnować. Nie sądzę jednak, znając ludzi, abym szybko musiał przeżywać takie rezygnacje; ostatnie zdanie było prawdą również z inszego powodu, ale Barnes o tym wiedział aż za dobrze.

— Co?! — poderwał się gwałtownie — chcesz powiedzieć, że oni mnie…

— Jego ciało sflaczało i z powrotem opadło w głąb fotela.

— Nie wiem. Nic nie wiem… Przede wszystkim opanuj się, Barnes, opanuj się i opowiedz, jak to WTEDY było.

— Wszyscy się tu ze mnie śmieją… Uważają mnie za wariata, pomyleńca. Nikt mi nie wierzy… nikt!.. — goryczą zawartą w tych słowach można by spokojnie obdzielić tuzin samobójców i jeszcze by zostało jej trochę na później. Ale wiedziałem, że jestem na najlepszej drodze. Barnes był gotowy do zwierzeń. Nareszcie. Czas pędził nieubłaganie na przód, a na Ziemi jak dotąd nikt nie nauczył się rozciągać go jak gumę do żucia. Szkoda. Musiałem się spieszyć. Cholernie nie lubię być poganianym. Zresztą, kto lubi.

— Opowiedz, Barnes. Jeszcze raz opowiedz.

— Dobrze. Opowiem jeszcze raz. Ostatni. Ale potem dasz mi już spokój. Rozumiesz: święty spokój!.. — histeryczne nutki w jego głosie wystawiły moją cierpliwość na ciężką próbę.

— OK, Barnes! — powiedziałem krótko — będziesz miał spokój. Najświętszy… Gwarantuję ci to, Barnes!

Była to nieprawda a obaj o tym wiedzieliśmy, ale nie ma to nic do rzeczy…

Barnes lubił swoją pracę i za nic nie chciał jej utracić. Nie dlatego, żeby była nadzwyczajna — był najniższym rangą

pracownikiem w całym Instytucie — ale była to praca bez kłopotów. Każdy przecież chciałby mieć na starość jakiś spokojny kącik, w którym guzik obchodziłyby go wielkie problemy, a nawet jeśli ktoś mówi inaczej, to buja — wierzcie mojemu doświadczeniu.

Barnes miał właśnie taką spokojną pracę: nie przejmował się naukowymi kłopotami wszystkich pozostałych pracowników, od profesora Ruckleya począwszy, a na młodszym asystencie O'Hara skończywszy.

Barnes nie pił w pracy. Zawsze kręcili się.tu smutni ludzie w białych fartuchach, o skołatanych problemami nerwach, na widok których Barnes odczuwał zadowolenie, że nie został naukowcem, i że jest tyran, kim jest, choć nie był specjalnie nikim. Interesowały go sprawy Instytutu, ale nie na tyle, żeby o nich śnił po nocach lub tracił apetyt. Druga przyczyna była ważniejsza: Barnes był członkiem ochrony Instytutu. Wiedział, że może być potrzebny w każdej chwili i nie pił, bo alkohol osłabia refleks. Co jak co, ale refleks miał doskonały; wyciągał z kabury swoją czterdziestkę piątkę tak szybko, że zupełnie niedostrzegalnie. A jak strzelał!.. W całym Teksasie nie było lepszego strzelca, a nie muszę chyba dodawać, że chłopców z Teksasu trudno w tym fachu zadziwić. I właśnie Barnes ich zadziwił.

Była jeszcze trzecia przyczyna, jeżeli już rozwodzimy się nad nadzwyczajnym postępowaniem naszego bohatera. Barnes lubił dobrze wykonywać swoją robotę. Jednak w dzisiejszych brutalnych czasach jest to do tego stopnia podejrzane, że lepiej o tym nie wspominać.

Dlatego więc Barnes nie pił w pracy. Przynajmniej do wczoraj. Wczoraj wszyscy wyjechali na urlop. Instytut był pusty jak niepotrzebna butelka whisky. Tylko Barnes nie wiadomo po co siedział w środku. Nie wiadomo po co, bo dookoła Instytutu zabezpieczonego wysokim płotem kręciło się wielu zdolnych chłopców, którzy podobnie jak Barnes ubrani byli w bielutkie kombinezony strażników z wydrukowaną na plecach wielką literą „E", a przy prawym boku w kaburach nosili broń, którą potrafili wyciągnąć bardzo szybko, choć może nieco wolniej niż Barnes.

Do znudzenia powtarzam, że Barnes nie pił. Dzisiaj jednak był tropikalny upał. Pawie 40 stopni. Klimatyzacja zaczynała nawalać, nic więc dziwnego, że dla pokrzepienia ducha powoli sączył whisky z wodą sodową.

Nie było mu z tego powodu najprzyjemniej. „Z tego powodu" — oczywiście oznacza fakt, że Barnes lubił być w porządku w stosunku do szefów, a nie, że nie lubił whisky, o czym chyba już wiecie, bo powtarzam zdanie o piciu jak zepsuta płyta. Lubił się napić, a jednocześnie chciał być OK, a w tej chwili wymagało to podejmowania decyzji, co nie jest przyjemne, jeśli decyzje stanowią

sprzeczność pomiędzy przyjemnością i obowiązkiem, a wszystkim wiadomo, że często stanowią.

Barnes czuł się nieswojo w pustej nastawni Generatora. W zasadzie powinien był się cieszyć, że jest pusta i że nie ma nic do roboty, ale i to wymagało wysiłku. I na to było stanowczo za gorąco. A na dodatek ta whisky. Wiedział, że nikt go nie skontroluje, ale może właśnie dlatego czuł się głupio: posiadał coś, co jedni nazywają instynktem samozachowawczym, a inni uczciwością. Ani jednego, ani drugiego posiadać nie warto. Wie o tym każde dziecko i mogę dać na to słowo honoru.

Nudziło mu się trochę, więc żeby się rozgrzeszyć za whisky i nieco rozruszać, rozmawiał sam ze sobą: Nie był zbyt interesującym partnerem do pogawędki, ale po pierwsze nie mógł wybierać, a po drugie tajemnica takiej rozmowy jest na pewno zachowana. Zresztą każdy czasem lubi porozmawiać ze sobą i nie mnie opowiadać, że jest inaczej.

— Uff… Co za upał… Żeby nie ta whisky z wodą, chyba bym wyparował… I na dodatek wentylator szlag trafił! — powiedział i dla zademonstrowania swej absolutnej pogardy dla rzeczy martwych dolał wody z syfonu. — A mówiłem ci, Barnes — indagował samego siebie — odpocznij trochę. Nie bierz tej roboty. Ale sam profesor Ruckley powiedział: „Joe, pilnuj tego jak oka w głowie!”… Hey.. Pilnuj!.. A kto by chciał ukraść Generator?!.. I naprawdę tak powiedział: „Joe”, po imieniu! Słowo skauta!..

W gazecie, którą wziął do ręki, czerwonym ołówkiem był zakreślony pewien fragment. Barnes czytał go już wiele razy i choć niewiele rozumiał z terminów fachowych, to sama świadomość, że bierze udział w czymś tak ważnym, działała na niego niemal jak nowy kapelusz na kobietę. Albo i jeszcze bardziej.

> *„…Instytut Elektroniki Doświadczalnej w Powder Valley dokonał próbnego uruchomienia nowego generatora energii plazmowej. Energia otrzymywana w generatorze sięgać ma rzędu kilkuset milionów jednostek «beta». Wytwarzana będzie przy zastosowaniu pola magnetycznego ogromnej mocy, tworzonego i unicestwianego w milionowym ułamku sekundy. Po raz pierwszy zostanie dokonana próba teoretycznych obliczeń profesora Ruckleya: przy zastosowaniu specjalnych inwariantów pola magnetycznego istnieje możliwość uzyskania w generatorze cząstek antymaterii. Patronat nad badaniami objęło Ministerstwo Obrony. W wypadku powodzenia eksperymentu przed ludzkością stoją olśniewające perspektywy…”*

Barnes odłożył gazetę, uznając, że wysiłek intelektualny poświęcony na jej przeczytanie w taki upał należy czymś

zrekompensować. Szybko też znalazł sposób.

— No to ciach, pod te perspektywy ludzkości! — zachęcił sam siebie — chociaż, jeśli interesuje się tym Ministerstwo Obrony, to perspektywy wcale nie wyglądają zachęcająco. Wiadomo, że w naszym kraju nazwa tego ministerstwa została pomyślana na zasadzie przekory… — dedukował Barnes i doprawdy niewiele się mylił, możecie mi wierzyć.

— No, ale stary Ruckley to fachowiec — kontynuował swoje naukowe dywagacje. — Wie, co robi. A tutaj o wypadek łatwo: niech się ktoś pomyli z tą… antymaterią… i witajcie anielskie chóry!

Zamyślił się głęboko nad tą kwestią i nad następną, bowiem w butelce zauważył dno. Trudności aprowizacyjne zajęły go do tego stopnia, że to, co usłyszał w następnej sekundzie, nie dotarło od razu do jego skołatanej mózgownicy, a gdy dotarło, nie chciał w TO uwierzyć.

— Barnes!!!.. — gdzieś z tyłu, z baku, z przodu jednocześnie dobiegł go głos cichy, dziwnie metaliczny i odkształcony.

— Co jest?! Ktoś do mnie mówi?!.. Przecież tu nie ma nikogo! — informował się na wszelki wypadek. Jednocześnie jego prawa ręka wykonała delikatny, odmierzony ruch w kierunku biodra, raczej zresztą z przyzwyczajenia, niż z aktualnej potrzeby.

— Nie rozglądaj się, Barnes, nie zobaczysz mnie — mówił śpiewny głos. — Nasz świat wygląda trochę inaczej…

— Jaki nasz świat! Panie dowcipny, ja celnie strzelam, wypraszam sobie takie żarty — podtrzymywał konwersację Barnes, jednocześnie dyskretnie rozglądając się dokoła. Wiedział, że przez system drzwi — stref ochronnych — może się przedostać jedynie szef ochrony, pułkownik McDonald. Ale jemu nie w głowie były jakiekolwiek żarty. Nie interesowała go już zresztą, kto i w jaki sposób się tutaj dostał. Był pewien, że we właściwym czasie wyjaśnią mu tę kwestię i miał nadzieję, że jeszcze na tym świecie.

Zastanawiał się jedynie, czego chciał ów nieproszony gość. Klął siebie w żywy kamień, że przybrał tak niewygodną pozycję: siedział na nowoczesnym fotelu i trzymał nogi na lśniącym niepokalaną bielą stole. Było to dość wygodne w czasie relaksu, ale nie w jego sytuacji. Był pewien, że gość stoi sobie swobodnie za jego plecami, trzymając go na muszce swojej broni.

Obojętnie, czy to był colt czy Smith and Wesson; ten za plecami na pewno skierował w niego lufę i Barnes niemal fizycznie czuł, jak w tym miejscu zaczyna mu się robić ciepło. A Barnes znał takie miejsce na plecach, w które kieruje się broń.

Doskonale.

Przez głowę przelatywały mu tysiące sposobów wybrnięcia z tej sytuacji, ale może właśnie dlatego, że były ich tysiące, żaden nie

wydał mu się odpowiedni. Sytuacja fatalna, nie ma co ukrywać i Barnes zdał sobie z tego sprawę. Trzeba było coś zrobić, bo typ za plecami nie przejawiał jakoś inicjatywy. Dłużej nie mógł zwlekać. Facet z tyłu milczał. Zwlekanie w tej sytuacji byłoby błędem.

Karygodnym.

— Wstaję — oświadczył Barnes z miną desperata, choć nie kiwnął nawet palcem w bucie. Cisza.

— Wstaję — powtórzył i zaczął powoli, niemal niedbale unosić się z fotela.

Wstał. Chwilę stał nieruchomo zastanawiając się, co właściwie robi tamten. Nie dosłyszał jednak ani szmeru. Zgarbił się, nieco opuścił rękę i jeszcze tym samym, a maże już następnym, niedostrzegalnym ruchem wyciągnął z kabury ciężar czterdziestki piątki. Jego ciało jednocześnie wykonało w powietrzu starannie wytrenowany półobrót. W powietrzu — bo ułamek sekundy wcześnie uskoczył w bok. Gdyby tamten chciał w tym momencie strzelić, byłoby już za późno. Barnes doskonale znak takie i podobne sztuczki. Leżał na podłodze nastawni kilka metrów od poprzedniego miejsca, a że strzelał szybko — już wiecie. I teraz też nadusił jadowity języczek colta o podpiłowanym zębie zaczepu, żeby strzelać jak najszybciej. Strzał jednak nie padł. Barnes miał świetny refleks. Leżał na podłodze, a jego twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie.

Sala była pusta. Nikogo tu nie było. Ani z bronią, ani bez. Barnes uświadomił to sobie z całą jaskrawością i zrobiło mu się głupio.

Halucynacje. Za dużo wypił. Powoli podniósł się z podłogi i z leniwą rezygnacją wrzucił colta do kabury.

— Spiłem się — pomyślał — spiłem się jak świnia. Było mu jednak sądzone zdziwić się dzisiaj jeszcze raz i to nie ostatni. Nim zdążył domyśleć poprzednią kwestię do końca, wydało mu się nagle, że zwariował.

— Spokojnie, Barnes, nie zobaczysz mnie — śpiewnie poinformował go głos.

A więc to nie były halucynacje. Teraz nie miał najmniejszej wątpliwości. Ale kto u diabła mógł do niego przemawiać w zamkniętym na cztery spusty Instytucie, strzeżonym jak nic w świecie. To nie był kawał, a jeśli nie był… Barnes poczuł, że koszula na plecach zwilgotniała mu wcale nie od upału. Tęsknie spojrzał na czerwony przycisk z napisem ALARM.

— Do cholery — zaklął, starając się dodać sobie animuszu — do ciężkiej cholery, co to ma znaczyć?

— Posłuchaj, Barnes: przybywam z układu Alfa Centauri. Jest to widoczna z Ziemi gwiazda Galaktyki — śpiewnie informował głos.

Właściwie powinien się z tego roześmiać jak z dobrego żartu, ale nie mógł się zmusić do śmiechu. TO nie wyglądało na żart i nigdy nim

nie było.

— Weź gazetę, Barnes. Czytaj! Na pierwszej stronie… komenderował głos. Barnes nie zastanawiając się wziął gazetę. Wykonywał przy tym odmierzone, spazmatyczne ruchy, jakie mogłaby wykonywać maszyna, gdyby była oczywiście trochę nadpsuta.

Nic z tego nie rozumiał i było mu wszystko jedno.

> „…*Jak donosi nasz korespondent z Grevson* — literki kłębiły się jak stado pijanych mrówek — *w dniu wczorajszym zauważono tam latający talerz. W godzinę później na południowy zachód od miasta spadł meteoryt, wywołując panikę miejscowej ludności. Na miejsce upadku przybysza z Kosmosu udała się specjalna ekipa naukowa z Instytutu w Powder Valley”.*

Powoli zaczynał pojmować.

— To TY jesteś… — wyszeptał.

— Jestem przybyszem z Kosmosu. Nasza cywilizacja wyprzedza waszą o wiele lat. Dlatego potrafię rozmawiać z tobą.

Uczucie strachu zmalało. Barnes błyskawicznie wydedukował, że nic mu nie grozi, przynajmniej dopóki niewidzialny gość chce rozmawiać. Postanowił działać rozważnie.

— A po co tu przyjecha… to znaczy… przybyłeś? — udał zainteresowanie, ale jego szare komórki zastanawiały się nad sposobem wyjścia z opresji.

— Profesor Ruckley wynalazł coś, o znaczeniu czego nie wie nawet on sam — sposób wytwarzania antymaterii. Ta mogłoby być groźne dla NAS, Barnes!.. To był zdolny człowiek ten Ruckley, niestety — tylko człowiek.

— Co to znaczy: był?

— Profesor Ruckley zginął dziś rano w wypadku samochodowym — bezbarwnie wyśpiewywał głos — był człowiekiem, a ludzie są śmiertelni, Barnes.

— To… to niemożliwe!.. Wyście go…

— Tak, Barnes. To jest nasza robota. Mógł wymyślić jeszcze wiele, ale za dużo jak na wasze stadium rozwoju. Nie wolno tak wyprzedzać własnej epoki. Nie daliście sobie rady z bombami „A” i „H”, a już bawicie się antymaterią. To dla NAS mogłoby być niebezpieczne. Dopóki na waszej planecie istnieją konflikty, dopóki ludzie się nienawidzą, dopóki twój rząd chce wszystko rozstrzygać siłą, nie możemy dopuścić, aby detonator materii, jakim są antycząstki, dostał się w wasze ręce. Użycie antymaterii może spowodować chaos w Galaktyce. To groźna broń, Barnes. I MY nie dopuścimy do jej użycia, nawet za cenę interwencji, której unikaliśmy dotąd. Dlatego Ruckley zginął…

— Miał pojutrze uruchomić swój Generator… — do świadomości

Barnesa dopiero teraz dotarło, że profesor nie żyje. Zaczęła go ogarniać wściekłość na kogoś, kto zabił „starego” Ruckleya, kto relacjonuje o tym śpiewnym, spokojnym głosem i na kim nie można się zemścić.

— Ty go uruchomisz, Barnes, według moich wskazówek.

— Ja?!.. — zdziwienie było całkiem naturalne.

— Wybuch meteorytu, o którym czytałeś, to była eksplozja naszego transformatora energii, przetwarzającego materię w antymaterię potrzebną nam do poruszania się. My też jesteśmy omylni i źle obliczyliśmy ziemskie wektory sterownicze. Nasz transformator nie wytrzymał przeciążenia. Nie możemy się zmaterializować, Barnes. Nie możemy działać. Nie możemy się stąd wydostać. Po prostu brak nam energii. — I ja wam jestem do tego potrzebny?

— Musisz uruchomić Generator, Barnes. Jako istota niematerialna — przynajmniej w waszym pojęciu i przynajmniej na razie — nie mogę tego zrobić.

— A jeśli odmówię? — Barnes zawsze lubił znać całość zagadnienia.

Kiełkowała w nim pewna myśl i był z niej niemal zadowolony. To „niemal” wolał jednak sprawdzić…

— Nie możesz odmówić — beznamiętnie kwilił głos antymateria jest nam potrzebna od zaraz. Jeżeli natychmiast nie uruchomisz Generatora — zginiemy.

— Wy zabiliście Ruckleya. Pomyliłeś się, panie niewidzialny! Ja nie włączę Generatora, choćby miał was szlag trafić, a może właśnie dlatego!..

— Włączysz, Barnes! — głos stracił nagle swoją bezbarwność. Widocznie ONI też się denerwują, zarejestrował Barnes bez wzruszenia.

— Nie włączę! Nie włączę!.. — jeżeli nie potrafią uruchomić Generatora, to co mu mogą zrobić?

Przez chwilę panowała cisza.

— Zginiemy, Barnes, ale starczy nam energii na nadanie pęczka informacji dla naszego świata. Pomszczą nas. Tu, na Ziemi, mamy jeszcze coś do załatwienia. Zginiesz, Barnes! — głos wyraźnie osłabł, co Barnes stwierdził nie bez cynicznego zadowolenia.

— Nie boję się — powiedział. — Nie potrafię się bać czegoś, czego nie widzę… A jeżeli zginę, to już po was… — jego bezczelność była rozbrajająca.

Głos osłabł zupełnie.

— Włączaj… włączaj, Barnes!.. — zawodził coraz słabiej.

Zabrzęczał nagle dzwonek alarmowy.

Barnes stwierdził, że liczniki przyrządów na olbrzymiej tablicy pulpitu sterowniczego tańczyły jak oszalałe. Nad groźnym napisem

PRZECIĄŻENIE paliła się rubinowa żarówka. Jednocześnie zawyła syrena alarmowa, rozległ się potworny wybuch i pogasły światła. Rzucił się do ucieczki, byle dalej i dalej… Uciekał przed pożarem rozprzestrzeniającym się z piekielną szybkością… Teraz dopiero rozumiał zająca, który tylko w nogach ma jakąś strategię.

Instytut Elektroniki Doświadczalnej w Powder Valley palił się jak stóg siana.

A może i jeszcze lepiej.

Skończył opowiadać. Z podziwem stwierdziłem, że Barnes ma doskonałą pamięć. W pewnych okolicznościach jest to jednak wadą.

— Prasa pisała, że nie dopilnowałeś Generatora, Barnes. Podobno było to zwarcie szyn wysokiego napięcia.

— Nikt mi nie chciał uwierzyć, nikt! Uważali mnie za wariata — rzekł po chwili.

— Ja ci wierzę, Barnes — powiedziałem zgodnie z prawdą. — Zanim tu przyjechałem, przestudiowałem wszystkie materiały dotyczące całej hecy. Twoje opowiadanie trzyma się kupy. Nie rozumiem jednak, co się dzieje z twoimi nerwami?!.. Czyżbyś naprawdę wierzył w pogróżki tego „głosu”?

Barnes ruchem głowy wskazał na leżącą pod stołem gazetę. A więc wiedział… Nie musiałem jej podnosić, żeby dowiedzieć się, o co chodzi.

Sam napisałem tę notatkę. Znałem ją doskonale na pamięć. Tylko dlatego tu jestem. Milce Jones zawsze miał fart do wyczuwania sensacji — zapytajcie kogo chcecie.

„…Mieszkańcy Grevson po raz drugi w ciągu ostatniego miesiąca mieli okazję oglądać latający talerz, który podobnie jak i pierwszy ukazał się nad południowo-wschodnim krańcem horyzontu…” — i tak dalej. Wiem, bo sam to pisałem. Jak Boga kocham.

— Myślisz, że to zapowiedziani „mściciele”? — zapytałem bez żadnej intonacji.

— To na pewno ONI — odparł z ponurą rezygnacją — na pewno. Ale nie wiedzą… cha… cha… — nie był to śmiech godny szampańskiego humoru, ale w mig złapałem szansę; warto było przez tyle czasu słuchać jego ględzenia, żeby wreszcie doczekać się tego momentu; Mike Jones błyskawicznie idzie za ciosem w takich momentach. Kwestia rutyny i refleksu zawodowego..:

— O czym? — zapytałem krótko.

— Badania prowadzi się dalej… — odparł Barnes bez zastanowienia, a o to tylko chodziło. Sensacja, na którą czekałem. Barnes był wściekły, że się wygadał z najsłodszego sekretu, ale nic mu na to nie mogłem poradzić.

Zresztą nic radzić nie chciałem.

— Psiakrew!.. Coś tam usiłuje sklecić asystent profesora, doktor Taylor. To nic ważnego, ale proszę, zachowaj to w tajemnicy. Obiecaj mi.

Barnes usiłował zbagatelizować sprawę. Nie robił tego najlepiej. Popatrzyłem na niego z sympatią; lepsi już próbowali mnie zaczarować i im się nie udawało, co wynika choćby z tego, że o tym wiem. Czy zachowam to w tajemnicy?… Mój Boże, postaw się w moje położenie!

Na twarzy Barnesa wykwitł uśmiech satysfakcji.

— ONI się o tym nigdy nie dowiedzą…

Uśmiech na mojej twarzy przypominał uśmiech Barnesa, ale był inny. Musiałem go rozczarować i w tej kwestii.

— ONI JUŻ WIEDZĄ! Już wiedzą, Barnes!!! Widzisz ja nie jestem dziennikarzem i nie nazywam się Jones. Ja, czyli LBY 027, jestem członkiem drugiej ekspedycji z „Alfa Centauri" …Podróżujemy metodą błyskawicznych styków międzygwiezdnych, dlatego przybyliśmy tak szybko. Ten strój, to ciało?!.. Och, Barnes: my potrafimy wiele, no i uczymy się na błędach. A pierwsza ekspedycja popełniła ich kilka. Co najmniej o kilka za dużo.

— Ty… ty przyszedłeś… — wykrztusił Barnes.

— Tak. Przyszedłem cię zlikwidować. Ale dobrze się stało, że porozmawialiśmy o aktualnych badaniach nie wiedziałem i cieszę się, że wiem.

Jeszcze raz mogłem się przekonać, że Barnes nic a nic nie przesadził reklamując swoją strzelecką zręczność; chwycił broń tak szybko, że zorientowałem się dopiero, gdy czarna lufa czterdziestki piątki wysyłała śmiercionośny pocisk dokładnie w miejsce, w którym człowiek ma serce.

Na szczęście nie jestem człowiekiem…

I to już właściwie wszystko, co wam chciałem opowiedzieć. Do załatwienia pozostała tylko jedna sprawa — doktor Taylor, ten asystent profesora. Nieprzyjemna, ale nikt nie wybiera własnych obowiązków. Taki już porządek tego świata. Bo właściciel ciała, mój sobowtór, ów prawdziwy Mike Jones pędzi tu pociągiem, ale nigdy do Powder Valley nie dojedzie.

Słowo skauta! Tym zajął się ktoś inny. A musicie wiedzieć, że pożyczyłem sobie ciało Jonesa, razem z wiedzą, myślami i kłopotami.. To inteligentny facet… Myślę, że Ziemia zyskuje w mojej osobie niezłego dziennikarza…

Oto raport, jaki wysłałem na „Alfa Centauri".

„Zadanie wykonane. Pozostawiamy na planecie kilku naszych, którzy będą czuwali nad realizacją planu SIGMA…"

I to cała historia. A najśmieszniejsze w niej jest to, że wydarzyła się naprawdę. Mogę ją spokojnie opowiedzieć — i tak nikt w nią nie

uwierzy. Przeczytacie moje opowiadanie, zastanowicie się chwilkę, albo i nie, odłożycie książkę na półkę i wrócicie do własnych spraw. Dlatego mogę wam udzielić bez obaw jednej rady: wrogiem numer jeden ludzi — są ludzie, a nie przybysze z obcych światów. Czy wiecie, jaka jest moc zmagazynowanych na Ziemi ładunków nuklearnych? Obyście się nie dowiedzieli za późno! Ale w uporządkowaniu waszych ziemskich spraw nikt wam nie pomoże. Musicie to zrobić sami…

Ron Goulart
NOWE „LO!”

A New Lo!

Jestem posiadaczem niemałej kolekcji wycinków prasowych na temat różnych dziwnych wydarzeń. Zamierzam wydać z czasem ten zbiór w postaci książki.

Większość z nich trafiła do moich rąk w dość niezwykły sposób. Jakiś mały chłopiec zadzwonił do drzwi i powiedział, że zarabia na studia zbierając zamówienia na prenumeratę gazet. Zgodziłem się i odtąd codziennie ramo znajdowałem pod drzwiami paczuszkę wycinków. Gdybym chciał zająć się tą sprawą poważnie, to sądzę, że powinienem wstać któregoś dnia wcześniej i zobaczyć, kto je przynosi.

W każdym razie na początek (podzielę się chyba z wami niektórymi spostrzeżeniami w tym małym artykuliku. Jeśli wywoła on należyte zainteresowanie, pomyślę być może o całej książce. Mam tych wycinków bardzo dużo.

W roku 1874 w Budapeszcie chłopiec stajenny nazwiskiem Oskar Dunkel wpadł pod konia i od tego czasu nikt go już nie oglądał na oczy. Mimo to w książce telefonicznej miasta New York figuruje dzisiaj czternaście osób o nazwisku Oskar Dunkel. Teleportacja? Czy może multiplikacja?

A może Oskar Dunkel ma czternaście telefonów? Z kim on rozmawia? Ma przecież 143 lata.

W Scarsdale, stan New York, sprzedawca krawatów wybucha z hukiem w czasie seansu filmowego. Małe kalifornijskie miasteczko jest poruszone, kiedy znany dentysta zostaje porwany przez wichurę.

A w cztery lata później na pikniku klubu Kiwanis w stanie Vermont trzej mali chłopcy zmienili się w jednego wysokiego mężczyznę.

Wasi uczeni nie są w stanie tego wyjaśnić. Kręcą tylko głowami i mamroczą coś o masowej halucynacji.

Powiedzcie w takim razie, dlaczego wszyscy wyżej wymienieni, kiedy padali ofiarą tych tak zwanych masowych halucynacji, mieli przy sobie stare numery czasopisma Home and Garden?

Dodam jeszcze tylko, że w 1947 roku niejaki Warner Binns, mężczyzna słusznego wzrostu, zniknął wkrótce po tym, gdy został potrącony przez konia w miejscowości Little Rock.

I dlaczego w tej właśnie chwili widzę przez kuchenne okno, jak pada ulewny deszcz z żabami?

W 1912 roku Earl Moonfry, który zbierał zamówienia na prenumeratę Century Magazine i uczył się tańca na korespondencyjnym kursie, prowadzanym przez jedną z wielkich firm z Chicago, postanowił wyjechać do Meksyku i walczyć przeciwko Poncho Vlli. Earl Moanfry zniknął i nie odnalazł się do dzisiaj.

I w ten sposób wydarzenia łączą się w zadziwiające ciągi. Earl Moanfry, który obstalował specjalną parę butów do tańca, znikł. W 1925 raku w Detroit Earl Lumbard, bezrobotny brzuchomówca, przechodził koło konia i nikt go już odtąd nie widział. Dziwne. A gdybym wam powiedział, że ten koń też nazywa się Earl? I że w raku 1926, kiedy oglądała go grupa młodzieży z kółka rolniczego, zniknął również?

Wyjaśnienie? Ja twierdzę, że ktoś zbierał Earlów.

Z drugiej strony w 1936 roku Georgia Moonfry, która prowadziła własny zakład obrzucania dziurek i skracania spodów, znikła 23 października.

Czyżby ktoś zbierał Moonfrych?

Na początku maja 1932 roku w pobliżu miejscowości Saint Paul, jak doniosła miejscowa prasa, człowiek nazwiskiem Oskar Dunkel spadł z jasnego, bezchmurnego nieba i wylądował na grzbiecie kania. Ten Dunkel nie znał żadnego języka poza norweskim. Czy ponad naszymi głowami krążą niewidzialne statki pasażerskie z dziwnym ładunkiem? Czy tego dnia w 1932 roku na pokładzie tajemniczego okrętu ktoś krzyczał „Człowiek za burtą?!"

I dlaczego, kiedy Norman Conover, właściciel kania, stanął za nim, aby stwierdzić, czy nic mu się nie stało, zniknął nagle z głośnym cmoknięciem?

Śmiejcie się z teleportacji, panowie uczeni. Ja mam swoje wycinki.

Nikt już dzisiaj nie wierzy w czarownice. Wycinek z wychodzącej w San Rafael Register Star z dnia 14 sierpnia 1897 roku mówi o dwunastoletniej dziewczynce, która otrzymała świadectwo o rak wcześniej od swoich koleżanek, ponieważ cztery budynki szkolne, w których się uczyła, spłonęły do szczętu.

Dwaj chłopcy z Bristalu w stanie Rhode Island zastali aresztowani, ponieważ całe umeblowanie domu ich babci (ze stromy ojca), pozostawionego na ich opiece, zniknęło w czasie burzy z piorunami.

Wszystkie meble z wyjątkiem starego patefonu pojawiły się w sześć tygodni — później na uroczystym zakończeniu roku szkolnego w Bristolskiej Szkole Stenografii. Zastały ona sprzedane handlarzowi

starzyzną, który wsiadając na swój wóz zapalił się nagle. W czasie akcji ratowniczej trzej inni ludzie zapalili się od niego.

Pewien młody człowiek nazwiskiem Ambrose Rheenes wynajął łódkę w górnym biegu Missisipi w marcu 1934 roku. W dwa miesiące później w Jackson, stan Tennessee, tańcząc na prywatnym przyjęciu nagle znikł w płomieniach. Kiedy odnaleziono jego łódkę, stwierdzono, że siedzi w niej trzech małych chłopców. Utrzymywali oni, że jadą na piknik klubu Kiwanis w stanie Vermont.

Wydaje mi się, że coś gdzieś jest nie w porządku.

Przeszło dwadzieścia lat temu w New Yorku pewien facet nazwiskiem Benchley napisał już coś bardzo podobnego. W kołach akademickich wyśmiewają się z teleportacji. Jak inaczej można to wytłumaczyć?

Przełożył Lech Jęczmyk

Władimir Michajłow
SPOTKANIE NA JAPECIE

Wstriecza na Japetie

1

Gwiazdy nakreśliły na ekranie białe łuki. Bragg wrastał w fotel. Czerwień napływającej krwi przesłaniała pole widzenia, nadal jednak ociężale przenosił wzrok z jednej grupy przyrządów na drugą obserwując automaty lądowania. Gdyby zawiodły, sam przejąłby sterowanie. Severe wpił się oczami w ekran pelengatora rufowego i z emocji poruszał wargami obliczając nie przebyte jeszcze setki metrów. Gwiazdy obracały się coraz wolniej, aż wreszcie się zatrzymały.

— Zaczynamy namiar — powiedział Bragg.

Japet znajdował się teraz wprost pod rufą, a srebrzysty gwóźdź „Ładogi" zamierzał wbić weń rozpalone ostrze kończąc swój upadek z wysokości milionów kilometrów. Nagle ciążenie znikło.

— Mmmmmch!.. Nie w porę! — mruknął Bragg kładąc ręce na pulpicie. Ciążenie znów zwaliło się na nich.

— Tysiąc! — rzekł głośno Bragg zaczynając odliczanie.

Na ekranie rosły czarne skały, wśród których jaśniała plamka kosmodromu.

— Kto to? — zapytał Bragg nie odrywając wzroku od sterów.

— Wygląda na jakiś transportowiec. Chyba rudowiec…

— Usiadł na samym środku — złościł się Bragg. — Dokonuję odchylenia.

— W porządku.

— Sześćset! — liczył Bragg. — Trzysta. Zmniejszam…

— Okopcisz go.

— Nie — zaprzeczył Bragg. — Sto siedemdziesiąt pięć, schowam pochodnię, sto dwadzieścia pięć, równo sto, dziewięćdziesiąt.

— Czemu on tak usiadł? — odezwał się Severe. Skały podniosły się nad głową.

— Bezczelny satelita — burczał Bragg — właśnie musiał się znaleźć na ich trasie. Czterdzieści. Trzydzieści pięć. Amortyzatory! Zielone lampki zamigotały, potem zapłonęły równym światłem.

— Jedenaście! Siedem, pięć!.. — darł się Bragg przekrzykując ryk silnika.

— Zero! — powiedział zmordowany Bragg. — Stop!

2

Łoskot ustał, tylko z rzadka delikatnie podzwaniało poszycie rufy. Spojrzeli na siebie.

— No to cześć! — przerwał ciszę Severe. — Automat zdechł na ostatnich metrach.

— Pilnowałem… Czułem, że lada chwila… Przeciążyliśmy go w tym pośpiechu jak wielbłąda. Teraz trzeba go będzie zmieniać.

— Sądziłem, że mi pomożesz.

— Oczywiście, a potem się zajmę automatem. Mam nadzieję, że starczy czasu.

— Jak myślisz, kiedy oni będą? — spytał Severe.

— Za dobę, dwie, a może i mniej.

— Tylko? Chciałem się tu rozejrzeć…

— Starczy na to dnia. Skały i skały, nudne miejsce. Gdyby wracali o miesiąc później, na ich trasę wyszedłby Tytan. Lądowanie tam to istna rozkosz.

— Ale byśmy się wtedy werżnęli — przerwał Severe. — Podziękuj losowi, że to Japet. Zaledwie pięć kwintylionów ton masy. Tytan trzynaście razy cięższy…

— Brawo, ale naprawdę nie musisz mi imponować swymi wiadomościami. Im też byś pewnie nie zaimponował.

— Im… to by mi do głowy nie przyszło. Z bohaterami trzeba oględnie…

— Słusznie — potaknął Bragg. — Skoro już się dorobiłem siwizny na statku kurierskim, to jasne, że bohaterem nie jestem.

— Pleciesz!

Zamilkli odpoczywając. Potem sprawdzili, czy najbliższe skały ostygły już na tyle, by można było wyjść ze statku. Po chwili Severe powiedział.

— Żeby latać w Układzie Słonecznym, nie trzeba być bohaterem. Ale poza granice Układu, to już inna sprawa. Ci wylecieli pierwsi.

— No, nie pierwsi — Bragg zamierzał się uśmiechnąć, lecz się rozmyślił.

— Ale tamci nie wrócili. Pierwsi są więc ci. A my już ich przywitamy, przekonasz się.

— No to możemy wychodzić — stwierdził Bragg.

3

Umocowali fotele, doprowadzili do ładu sterownię rozkoszując się lekkością, niemal nieważkością swoich ciał, naturalną na planecie tysiąckroć mniej masywnej niż Ziemia, do której przywykli. Severe wziął torbę podróżną.

Dźwig opuścił ich na pokład towarowy. Było tam ciasnawo, chociaż aparatura Severa oraz pojemniki z lekami i witaminami zabierały niewiele miejsca. „Ładoga" nie była statkiem towarowym. Severe dał jedną kamerę Braggowi, a sam wziął drugą.

Weszli do komory ciśnień, nałożyli skafandry i sprawdzili łączność. Właz otworzył się powoli.

Buty zastukały na czarnym kamieniu. Zabłysły reflektory kaskowe. Bragg z wolna pokiwał głową oświetlając sąsiedni statek, który zajął najlepsze miejsce pośrodku lądowiska. Maszyna była na oko o jedną trzecią niższa od „Ładogi", lecz szersza. Osmalone poszycie statku zlewało się z mrokiem. Amortyzatory — nie teleskopowe jak u „Ładogi", lecz przegubowe — sterczały na boki i nie budziły zaufania. Liczne zgrubienia świadczyły o tym, że nieraz je spawano.

— Tak, tak — powiedział Severe — rudowiec klasy „pożal się Boże". Cóż oni tu robią? Pewnie wożą stąd transuranowce na pozostałe stacje grupy Jowisz — Saturn.

— Jedź dalej, erudyto — warknął Bragg.

— To wstyd, że energetyka stacji zależy od takich trumien… Ale skąd się tu wzięli? Kopalnia nie po tej stronie.

— Najprawdopodobniej obsługa techniczna. Rudowcom, jeśli nikomu nie przeszkadzają, wolno lądować w stacjach takich, jak ta.

— Nam właśnie przeszkadzają. „Błękitny ptak" nie będzie miał gdzie usiąść.

— Jeśli rzeczywiście przybędzie. Mogli przecież zmienić trasę.

— Pamiętaj, „Ptak" jest bodaj dwa razy większy od naszego statku. A ten tu sterczy pośrodku.

Znowu się odwrócili wodząc reflektorami po krępym kadłubie. U samego wierzchołka pełzał po jego chropawym pancerzu automat polerujący pozostawiając za sobą mętnie połyskujący pas. Rudowiec poddawał się zabiegom kosmetycznym. Dawno chyba powinien był już to zrobić.

— Statek zaniedbany, że bardziej się nie da — powiedział Severe — powinien być tutaj inspektor. Założę się, że nosa nie wytyka z Tytana… Dlatego też ci siedli na bezludnej stacji automatycznej, gdzie ich nikt nie zobaczy.

Zamilkł i w ślad za Braggiem ominął głaz, którego ostre

krawędzie mogły przeciąć skafander.

— A w ogóle kosmodrom należało budować tam, gdzie mniej kamieni.

— Kamienie są tu od czasu budowy kosmodromu — odezwał się Bragg. — Wysadzano skały. I odtąd przybywa ich jeszcze przy każdym starcie i lądowaniu.

— Wszystko jedno, trzeba było budować po gładkiej stronie.

— Promieniowanie. Uran, wiesz… — Bragg spojrzał na swój dozomierz. — Nawet ten stateczek poruszył tło. Widzisz? — pokazywał Severe'owi przyrząd.

— Cóż dziwnego, jeśli załadowany jest transuranowcami po wrąbki.

Zatrzymali się przy niedużych, na głucho zamkniętych drzwiach, które prowadziły do wykutych w skale pomieszczeń stacji.

— Wejdę, ulokuję się — powiedział Severe — a ty mi przynieś resztę. Jeśli oczywiście nie będzie ci za ciężko.

4

W wielkiej sali, mesie stacji, światło było przyćmione. Automaty oszczędzały energii. Severe gospodarskim ruchem włączył wielkie światła i rozejrzał się.

Trzech z rudowca siedziało przy końcu długiego stołu. Przed nimi stały aluminiowe pucharki ze słomkami. Przy bufecie barman automat, bucząc i pobrzękując, ubijał jakąś mieszaninę. Severe przeniósł wzrok na siedzących przy stole i uśmiechnął się w duchu — trudno było sobie wyobrazić ludzi, którzy by bardziej pasowali do swojego statku. Ci trzej mieli byle jakie ubrania, o przepisowych uniformach nie było nawet co marzyć. Jeden z nich spał położywszy głowę na opartych na stole pięściach, dwaj rozmawiali półgłosem.

Bliższy z nich zmrużył oczy oślepione jaskrawym światłem, odwrócił się i uważnie przyjrzał Severe'owi. Ten mrugnął porozumiewawczo i wskazał na śpiącego:

— Gotów?

— Nieee — powoli, jakby w zamyśleniu odpowiedział tamten. — Po prostu się zmęczył.

Śmiesznie rozciągał słowa.

— Z daleka jesteście? — spytał jeszcze.

— Tak, z Ziemi — niedbale odparł Severe. — Dopiero co wylądowaliśmy.

— Da-awno stamtąd?

— Trzy tygodnie.

— A co tam na Zie-emi?

— Wszystko normalnie — rzekł Severe. — Ziemia to Ziemia. Najświeższa nowość: wraca „Błękitny ptak".

Jąkała skinął głową.

— Już ich pogrzebano — wyjaśniał Severe — a oni wracają! „Błękitny ptak". Gwiazdolot, który odleciał do liganta. Pamiętacie, to albo gwiazda liliput, albo planeta gigant odkryta w pół drogi do układu Alfy Centaura! — Severe niezadowolony z obojętności, z jaką przyjęto tę nowinę, podniósł głos. — Pierwszy gwiazdolot, który ku niemu odleciał, zaginął. Myślano, że i „Ptak" podzielił losy „Latającej Ryby"…

— Za-a wcześnie — odezwał się jąkała. — Za wcześnie myślano. No i co, znaleźli tego liga-anta?

— Fajno — bąknął siedzący najdalej.

— No pewnie — irytował się Severe. — Krążyli zapewne wokół niego, dopóki wszystkiego nie zbadali. Dlaczegóż by się spóźnili o calutki rok?

— To ja-asne. Ale z oblotu niewiele się zobaczy, zwłaszcza prze-ez

infrawizory. Powinni byli lądować.

— Fajno — powtórzył najdalszy.

— Pierwszy statek właśnie dlatego nie powrócił — perorował Severe. — Zawiadomili Ziemię za pomocą rakiety kurierskiej. Więcej o nich nie słyszano, „Ptak" nie mógł lądować.

— Czy „Ptak" nie poinformował Zie-emi o wynikach?

— Przede wszystkim doniesienia odczytano marnie, w trzydziestu procentach. Duże zakłócenia. Do lepszej emisji powinni by mieć statek, jak mój: latający wzmacniacz. Ledwie starczy miejsca dla dwóch ludzi, reszta to elektronika i energetyka. Takich urządzeń nie mieli. Na pewno ostatnimi czasy coś przekazywali…

— Na-a pe-ewno przekazywali — zgodził się jąkała.

— Zrozumieliśmy tylko, że wracają. I coś jeszcze o trzech ludziach. Należy przypuszczać — Severe ściszył głos — że ci trzej zginęli. A było ich wszystkich jedenastu.

Jąkała podniósł wzrok na Severe'a, ale najdalszy go uprzedził.

— Fajno — powiedział jeszcze raz.

— Ee ni-ic — zamamrotał jąkała. — Tak wła-aśnie myślałem. Nie tak znów źle. A jednak wię-ększość dotarła…

— Słusznie — potaknął Severe. — Trzech bohaterów zginęło, ale pozostałych ośmiu wraca. Sami rozumiecie, że Ziemia chce ich odpowiednio przyjąć. Prawdę rzekłszy, spotkanie zacznie się tutaj. W tym celu przyleciałem.

— To dobrze pomyślane — wtrącił najdalszy. — A dużo was przyleciało?

— Ja i pilot. Sądzę, że starczy… To, zdaje się, wasza maszyna? — skinął głową gdzieś w bok.

— Wy-ygląda na to.

— Generalny remont?

— Nawet nie. Ni-ic szczególnego.

— A więc odlecicie szybko — stwierdził kategorycznie Severe.

— Chcieliśmy z dobę odpocząć — wyznał najdalszy. W jego głosie brzmiało powątpiewanie.

Severe życzliwie się uśmiechnął. Zamaszyście odsunąwszy krzesło usiadł przy drugim końcu stołu.

— Dobę — rzekł wesoło. — A wcześniej?

— Wcze-eśniej? — spytał jąkała wypuszczając słomkę.

— Powiedzmy, za pół doby. Polerowanie skończycie, a po waszych komorach inspektor chodzić nie będzie — Severe mrugnął i roześmiał się dając do poznania, że nieobce mu są drobne fortele transportowców, przeciw którym on w zasadzie nic nie ma.

Po przerwie znowu odezwał się jąkała.

— Prze-eszkadzamy?

Severe uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Na to wychodzi. „Błękitny Ptak” zatrzyma się tu dzionek, dwa. Żeby ogolić się, że tak powiem, i wypucować buty na glans przed lądowaniem na staruszce Ziemi. Rozumiecie? Wracają bohaterowie, którzy od dawna nie widzieli ojczystych stron…

— No tak — przerwał najdalszy. — A my przeszkadzamy.

— Zrozumże, stary. To bohaterowie! A wyście się tak rozkraczyli, że „Ptak” nawet nie będzie miał gdzie usiąść. Wyobrażacie sobie, co to za statek? Dlatego też, prawdę rzekłszy, spojrzą na wasze cudo i zdziwią się, czym też wita ich wdzięczna ludzkość: zardzewiałym kufrem z załogą nie w uniformach. A ja jestem tu specjalnie po to, aby poprowadzić bezpośrednią emisję na Ziemię. Reportaż. A wy, prawdę rzekłszy, jakoś się w reportażu nie mieścicie…

Dwóch uważnie go słuchało, a jeden wciąż spał przy stole chowając twarz w dłoniach. Potem najdalszy spytał:

— A więc duży statek?

— A co, nigdyście takiego nie widzieli?

— A wy?

— Kiedy startowali, chodziłem jeszcze do szkoły… Ale mam fotografię, naszą, archiwalną. Jąkała wziął podane zdjęcie, spojrzał, bąknął;

— Tak… — i podał najdalszemu, który też spojrzał i też powiedział:

— Tak…

— Poza tym — kontynuował Severe — ośmiu ludzi stanowi załogę statku. A ta stacja ma zaledwie dziesięć pokoi. Ich ośmiu, ja i mój pilot.

— Kto jest pilotem?

— Bragg. Starszy gość.

— Zna-asz?

— Nie — zaprzeczył najdalszy. — Może słyszałem. Nie pamiętam. A więc was jest dwóch. A co krewni, przyjaciele?

— Przecież tłumaczę, że prawdziwe powitanie nastąpi na Ziemi. Tam będą ich oczekiwać wszyscy. Ja mam nadać reportaż.

— No cóż — mówił najdalszy patrząc na jąkałę — dobrze, będziemy się śpieszyć.

— Tobie za-awsze się śpieszy… — zaczął jąkała.

— Coście postanowili? — spytał Severe.

— Fajno — odparł najdalszy. — Spróbujemy zmieścić się w waszych terminach. Skoro już sprawa wzięła taki obrót…

— Słusznie, stary — rzekł Severe. — Tam się wyśpicie. Chociaż wasz kolega, jak widać, i tu nie traci czasu. Jak on się nazywa?

Pytania tego nie zadał przypadkowo. Nie było w zwyczaju interesować się nazwiskami ludzi, którzy nie uważali za stosowne się przedstawić, śpiący jednak tego uczynić nie mógł, toteż pytanie

wydawało się naturalne.

— On? Cry — z opóźnieniem odpowiedział najdalszy. Mówił cicho, aby się śpiący nie zbudził usłyszawszy swoje nazwisko.

— Cry — powtórzył Severe utrwalając nazwisko w pamięci i sprawdzając je zarazem. Nie, takiego człowieka nie było w chwili startu wśród jedenastki stanowiącej załogę „Błękitnego ptaka". — Dogadaliśmy się więc?

— Nie chcemy przeszkadzać — odparł najdalszy. Uznawszy rozmowę za skończoną spojrzał na zegarek zapamiętując godzinę, od której należało liczyć czas.

— Przy okazji — dodał wygrzebując z kieszeni fiolkę z tabletkami, z których jedną podał jąkale, a drugą marszcząc się połknął sam.

— Sporamina? — spytał życzliwie Severe.

— Antyrad — niechętnie odpowiedział najdalszy. — Statek trochę promieniuje.

Severe skinął głową, myśląc o tym, że w ładowni „Ładogi" znajduje się kilka skrzynek z lekami, a wśród nich jedna z antyradem. Kilka sekund się wahał:

— Macie dużo?

— A potrzebujecie?

— Prawdę rzekłszy, promieniowanie tu rzeczywiście trochę zbyt wysokie… Najdalszy bez zdziwienia podał tabletkę Severe'owi. Ten połknął ją i z ulgą pomyślał, że załoga „Błękitnego ptaka" dostanie swoje lekarstwa w komplecie, nienaruszone.

Najdalszy podniósł się w dziwnie zwolnionym tempie. Wysunął się zza stołu i podszedł do ściany, na której namalowano typowy krajobraz ziemski. W plastykowej podłodze był niegłęboki rowek stanowiący przedłużenie strumyka narysowanego na ścianie. Człowiek z rudowca dźgnął palcem w krajobraz.

— Niezłe, co? — rzekł patrząc na Severe'a, jakby oczekiwał potwierdzenia. Pejzaż był ckliwy, ale Severe potaknął — był zadowolony, że rozmowa z „wozakami" minęła bez komplikacji. Najdalszy się zaśmiał, przy czym się okazało, że ma usta od ucha do ucha, spojrzenie zaś wesołe i badawcze. Severe zauważył to ze zdumieniem, do ostatniej bowiem chwili ludzie ci wydawali mu się podobni do siebie, dlatego chyba, że uwaga skupiała się przede wszystkim nie na ich twarzach, lecz na niezwykle postrzępionej odzieży. Zrozumiawszy to poczuł się trochę nieswojo, lecz w tej właśnie chwili odezwał się dzwonek oznajmiający, że ktoś wchodzi do pomieszczeń stacji. Ponieważ mógł to być tylko Bragg z kamerami, wstał i wyszedł na korytarz, by się spotkać z pilotem.

5

Bragg zdążył już wnieść kamery i stał z odchyloną przyłbicą hełmu uspokajając oddech. Severe skinął na pilota:

— Rozbierz się, zjemy kolację.

— Nie, najpierw naprawię automat.

— Masz rację. Jak naprawisz, przyjdź.

— Oczywiście. Co to za chłopcy?

Severe wzruszył ramionami.

— Nic ciekawego. Nieznajomi.

— Nie bohaterowie? — uśmiechnął się Bragg.

— Stanowczo nie. Nic w tym śmiesznego. Nawet pomyślałem… Nie. Po prostu pracownicy kosmosu.

Odprowadził Bragga i wrócił do mesy. Dwóch znowu siedziało przy stole, śpiący głośno oddychał. Severe zamówił kolację, wziął talerze i usiadł;

— Gdzieżeście tak zajeździli swój statek? — zapytał.

— A co? Widać? — ponuro zainteresował się jąkała, nawet nie rozciągając słów.

— To fajno — odezwał się wielkousty.

Jąkała wstał z nieoczekiwaną gwałtownością, tak że krzesło odjechało, a pucharki na stole zabrzęczały. Wbrew pozorom okazało się, że jest wysoki i długonogi. Podszedłszy do automatycznego barmana nalał mieszaniny do szklanek, postawił je na stole i lekko trącił śpiącego w ramię.

— Prze-eśpisz wszystko.

— Niech śpi — rzekł wielkousty. — Jemu już starczy. Zdążymy.

— Niech śpi — zgodził się jąkała i nie siadając łyknął ze szklanki. Severe się nachmurzył. Dryblas miał na dobitek zbyt krótkie spodnie, a na wpół oderwany zamek kołysał się u jednej z kieszeni kusej bluzy. Severe nie lubił niechlujów. Jąkała, jakby czując jego spojrzenie, obejrzał się i z lekkim uśmieszkiem powiedział:

— Nie w uniformie, co? Ale zdążymy się przebrać.

Severe wzruszył ramionami. Jąkała postawił na poły opróżnioną szklankę, podszedł do ściany z krajobrazem i poszukał przycisków. Znalazłszy, niezdecydowanie nacisnął jeden z nich. Cichutko szemrząc popłynęła rowkiem złociście podświetlona woda. Jąkała usiadł na podłodze, zdjął buty i wsadził bose stopy do wody.

— Ach jej! — wykrzyknął rozkoszując się wrażeniem.

— Woda — wymamrotał wielkousty pociągając ze szklanki.

Severe odsunął talerz.

— Chyba pora — mruknął w zamyśleniu.

Włożywszy talerz do szczeliny zmywaka przeszedł wzdłuż ścian

mesy szukając gniazdka sieciowego. Znalazł je, wyjął z torby woltomierz i zmierzył napięcie.

— Masz diable kaftan! Tu jest dwadzieścia woltów, a mnie potrzeba dwustu.

— Na stacjach automatycznych wszystkie sieci mają niskie napięcie — rzekł wielkousty.

— To widzę — burknął Severe. Stał pod ścianą rozmyślając. — Nie ma rady, trzeba będzie ciągnąć kabel siłowy od statku. Dobrze, że jest rezerwa czasu.

— Ta-ak są-ądzicie? — spytał jąkała nie odwracając się.

— Przybędą nie wcześniej niż za dobę.

— Obieca-ali?

— A to dopiero! — ze złością wtrącił się wielkousty.

— W granicach Układu Słonecznego — powiedział Severe głosem lektora — będą musieli zmniejszyć prędkość. Koncentracja wodoru jest tu znacznie większa niż w otwartej przestrzeni.

— Ra-acja — zgodził się jąkała.

Severe podszedł do stołu, wziął kamerę i krążył po mesie celując.

— Transmisja będzie jak się patrzy! — rzekł. — Na Ziemi jeszcze takiej nie widzieli.

— Czy jeszcze nie przeszkadzamy? — spytał wielkousty. Robił wrażenie, jakby walczył ze snem.

— Jeszcze nie — odparł Severe. — Mało światła. Proszę zapalić kinkiety. Dziękuję. Chyba będzie dobrze. Proszę tutaj stanąć. Przymierzę się.

— To do filmu? — spytał niezdecydowanie wielkousty.

— Tele. Proszę mi trochę pozować. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan dowódcą „Błękitnego ptaka".

— Trudno będzie — rzekł wielkousty uśmiechając się i obrzucając Severe'a uważnym spojrzeniem.

— Ależ nie — ze złością zaprzeczył Severe. — Bardzo łatwo. Siedem i pół roku trwał lot. Teraz wracacie. Potężne chłopy na wspaniałym, wytrzymałym na wszystko statku…

— Pozuj, potę-ężny chłopie — odezwał się jąkała. — Co cię to kosztuje?

Severe ostro spojrzał na jego plecy.

— Proszę nie ironizować — doradził. — Tak więc przezwyciężyliście liczne przeszkody, dokonaliście wyczynów, a teraz, kiedy u was wszystko w porządku…

— Startowe nie w porządku — powiedział jąkała nie odwracając się nadal. — Wie-elki rozrzut.

— To przecież nie o was… Chociaż… przypuśćmy, że silniki startowe nieco nie w porządku. To nawet bardziej interesujące. Aleście już je naprawili w przestrzeni, dokonaliście jeszcze jednego

wyczynu. Proszę o tym mówić. Chciałbym wiedzieć, jak to będzie wyglądać. Muszę wybrać najlepsze punkty dla kamery. Tak więc pan kapitan…

Wielkousty pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie wyjdzie.

— No to wyobraź so-obie, że drugi pilot — wtrącił jąkała tym razem się odwracając.

— Albo drugi pilot — zgodził się Severe. — Wszystko jedno.

— Wolę nie — sprzeciwił się smutno wielkousty.

Severe westchnął.

— No tak — rzekł dobitnie. — A przecież oni zasłużyli na to, byście się dla nich trochę postarali.

— Potężne chłopy — mruczał jąkała. — Do-okonali wyczynów. Legenda…

Severe spojrzał nań wrogo.

— To fakty.

— Plus wy-ymysły — ciągnął jąkała poruszając nogami w wodzie. — Plus domysły. Wszystko bierze się w nawias i podnosi do kwa-adratu. Powstaje legenda. Umierając ktoś coś powiedział. A jak mógł powiedzieć, jeśli…

— Proszę nie znieważać pamięci tych, co zginęli — dobitnie rzekł Severe.

Śpiący podniósł głowę budząc się.

— Kto to? — spytał.

— Nic, nic — uspokajał go wielkousty — śpij. Wszystko w porządku.

— Aha — mruknął obudzony. — Gdzie jesteśmy? — poszperał ręką koło krzesła. — Gdzie?

— W stacji. Przypomnij sobie. No, masz.

Wielkousty włożył mu szklankę w rękę.

— Wypij.

— Ładnie tu?

— Ła-adnie — odezwał się jąkała znad strumyka.

— Aha — ucieszył się przebudzony — i ty tu. To pięknie! Wspaniale!

Wypił i odwrócił głowę ku Severe'owi, który zrozumiał, że ten człowiek jeszcze się naprawdę nie obudził: jego powieki były mocno zamknięte, jak gdyby się bał, że bodaj najmniejszy promyk światła przesączy się przez nie i dotknie oczu. Przebudzony poruszył ręką z opróżnioną szklanką szukając powierzchni stołu. Widząc ten ruch Severe zorientował się od razu, że pod zmarszczonymi i zapadniętymi powiekami wcale nie było oczu. Nieostrożnie westchnął.

— Tu jeszcze ktoś jest? — spytał niewidomy.

— Z Ziemi — odpowiedział wielkousty.

— Aha. No tak, stacja. Wspaniale.

— Śpij dalej.

— Po-oczekaj — wtrącił jąkała. — Za dziesięć godzin mamy się usunąć. Bobyśmy przeszkadzali.

— Komu?

— Szykuje się tu powitanie bohaterów, potężnych chłopów. Z wielką pompą. Bezpośrednia emisja na Ziemię. Dwóch, reporter i pilot.

— To niezręcznie — powiedział niewidomy.

— Ka-apitan będzie wygłaszał mowę. Wyobrażasz sobie?

— Nie — odrzekł niewidomy po dłuższej pauzie. Potem potrząsnął głową i przeciągnął się. — A ja się wyspałem.

— Trzecia i czwa-arta soczewka magnetyczna całkiem do niczego.

— A my bez startowych — zdecydowanie stwierdził niewidomy. — Odbijemy się głównym i tyle.

— Nie, to niebezpieczne.

— Chy-yba tak.

— Idziemy, co? — spytał wielkousty.

— Idziemy — rzekł jąkała i zaczął wkładać skarpetki.

— A Ziemianie nam nie pomogą? — spytał niewidomy zwracając twarz ku Severe'owi.

— Musimy jeszcze ustawić na kosmodromie wielkie kamery i reflektory — jakby przepraszając powiedział Severe. — W przeciwnym razie nie moglibyśmy pokazać telewidzom lądowania. A nas jest tylko dwóch.

— Szkoda, że krewni nie przybyli — rzekł niewidomy wodząc dłońmi po odzieży.

— Zbierano się w alarmowym tempie. A oni, jak chyba sami rozumiecie, nie mają stałych wiz lekarskich w kosmos.

— Ja-asne. Idziemy.

— Czekaj — zatrzymał go wielkousty i wskazując na Severe'a rzekł: — A może oni nam pomogą nawiązać stąd łączność?

— Mało ważne. Stąd możemy i sami — sprzeciwił się niewidomy.

— Jeśli możemy wam w czymś pomóc — ofiarował się Severe — to nie naruszając oczywiście własnych planów…

— Dzię-ęki. Nie trze-eba.

Wyszli trzymając dłonie na barkach niewidomego i kierując nim. Słychać było, jak w szatni otwierają szafki i wkładają skafandry. — To na rudowcu was tak urządziło? — rzucił za nimi spóźnione pytanie Severe, ale włożyli już hełmy i nie słyszeli go.

Severe podszedł do barku i nalał sobie koktajlu z soków owocowych. A potem poszedł się ubrać.

6

Bragg otworzył właz naprawczy, wyprowadził przezeń kabel i pochyliwszy, się niósł koniec, Severe pociągał kabel ku sobie, aby pilotowi ułatwić pracy Dociągnęli kabel do drzwi stacji. „Najtrudniejsze mamy już za sobą” — pomyślał Severe, ale Bragg kręcił głową. Musieli jeszcze jakimś sposobem wprowadzić kabel do środka przez hermetyczne drzwi nie powodując ucieczki powietrza z pomieszczeń stacji.

Długo gmerali przy stacji usiłując przebić pod drzwiami wąski kanał. Świder elektroerozyjny rozsiewał snopy niebieskich iskier, transformator grzał się niebezpiecznie, a oporny kamień nie ustępował.

— Będziemy się tak guzdrać do rana — warknął Severe. — Czy nic się nie da wymyślić?

— Przydałaby się tu zwykła wiertarka ze spiralnym wiertłem.

— Dlaczegoś jej nie wziął?

— Wziąłem. Ale nie mamy wiertła takiej średnicy. To zestaw do prac wewnętrznych.

— Niewesoło — stwierdził Severe. Bragg przyłożył rękę do transformatora, aby wyczuć jego drgania, i bez wahania wyłączył prąd.

— Co zrobimy? — spytał Severe.

— Poczekaj. Czy oni tam nie mają takiego wiertła?

— Przednia myśl. Może pójdziesz na ich łajbę?

— Idź lepiej ty. Ja ich nie znam.

Severe wyprostował się postękując.

— Starość nie radość — bąknął. — Daj jakieś wiertełko. Bragg wygrzebał z torby malutkie spiralne wiertło i podał je Severa’owi, który ruszył w stronę rudowca.

Saturn znajdował się już niemal w zenicie. W jego blaskach chłodno świeciły krawędzie skał. Wyminąwszy potężny głaz Severe zobaczył wielki statek, a raczej górną jego połowę, która — zdawałoby się — wisiała w próżni nie opierając się na niczym. Severe zamarł na moment w zdumieniu, a potem się uśmiechnął. Wszystko było na miejscu. Pracowity automat polerujący obniżając się po spirali zdążył już dojść do połowy kadłuba. Oczyszczona część poszycia połyskiwała niebieskawo w odbitym świetle, dolna zaś, szeroko zakończona, o gąbczastej powierzchni, pochłaniała światło i ginęła w ciemności. Z bliska jednak stawała się widoczna, toteż można było ogarnąć wzrokiem cały kadłub statku, niedorzeczny, przypominający stary stożkowy pocisk artyleryjski. Sześć amortyzatorów wisiało nad najbliższymi skałami jak wysięgniki żurawi.

Podszedłszy całkiem blisko zatrzymał się i spojrzał na dozomierz; statek promieniował, co prawda słabo. Severe podszedł bardzo blisko. Automat polerujący dokonawszy okrążenia ukazał się znowu.

Właz znajdował się niespodziewanie wysoko, nie w dolnej, najszerszej, lecz w środkowej części kadłuba, powyżej górnego umocowania amortyzatorów. Prowadziła do niego dziwnie masywna drabinka byle jak zespawana z rur. Severe z ciekawości poszukał wzrokiem nazwy statku, która powinna widnieć nad włazem, ale ta część statku pokryta była jeszcze nagarem i nic nie można było dojrzeć. Wspiąwszy się zastukał wiertłem w klapę włazu, ale skorupa, w jaką przekształciła się wierzchnia warstwa poszycia, głuszyła dźwięk. Zdumiony, że taki, dawno już nadający się na złom statek potrafił jeszcze ujść uwagi nader skrupulatnych patroli kosmicznych, Severe kilkoma skośnymi uderzeniami obtłukł skorupę nagaru i zastukał znowu.

Czekać musiał długo. Widocznie ludzie byli daleko, a ponadto potrzebny był czas, żeby jeden z nich mógł włożyć skafander. Wreszcie właz powoli się otworzył. Na tym starym, co najmniej dziesięcioletnim statku klapa nie otwierała się na zewnątrz tworząc pomost i nie rozsuwała się na boki dwoma skrzydłami, lecz chowała się do środka, pociągana zginającymi się w przegubach dźwigniami. Gdyby wytężyć pamięć, można by sobie nawet przypomnieć, kiedy i na jakich statkach były takie włazy.

Na tle cofniętej klapy ukazał się człowiek w skafandrze — jak można było sądzić z gabarytów, jąkała. Wyciągnąwszy lewą rękę zgiętą w nadgarstku postukał wskazującym palcem prawej ręki po okienku na przegubie, gdzie widniał zegarek, i pogroził tym palcem dając Severe'owi do zrozumienia, że umowny termin jeszcze nie upłynął. Severe także pokazał swój zegarek i kilkakroć przesunął nad nim dłonią na znak, że nie chodzi teraz o czas i że on wcale nie dlatego przyszedł. Wyciągnął ku gospodarzowi swoje malutkie wiertło i dwoma palcami pokazał pożądaną średnicę, mniej więcej pięć milimetrów. Dryblas stał chwilę bez ruchu, potem zrozumiał. Ostrożnie wziął wiertło i wykonał gest zaproszenia. Severe zdecydował się już przekroczyć próg, ale spojrzawszy na swój dozomierz zrezygnował z tego zamiaru: promieniowanie było na statku niewątpliwie jeszcze wyższe niż poza nim. Severe przecząco poruszył ręką zwróconą dłonią ku dryblasowi, który się cofnął, a płyta klapy wysunęła się zamykając właz.

Severe oddalił się od statku.

Po piętnastu minutach właz otworzył się znowu. Dryblas poczekał, aż Severe wespnie się na górę, i podał dziennikarzowi malutkie wiertło oraz drugie, takie, jakie było potrzebne. Severe gestem wdzięczności przyłożył ręce do piersi, dryblas się w

odpowiedzi ukłonił. Promień lampki oświetlającej próg i najwyższy stopień trapu padł na górną część staromodnego, niemal kulistego hełmu i ukazał na wpół zatarte słowo, z którego pozostały tylko litery „Słon…”. Severe wiedział, że na jego własnym hełmie, pod reflektorem, widniał złoty napis „Ładoga”. Rudowiec zwał się prawdopodobnie „Słońce” lub jakoś tak. Severe raz jeszcze pomachał ręką i ruszył w drogę powrotną, a dryblas został na progu włazu i patrzył za nim.

Teraz praca potoczyła się szybciej, mimo że wiertło było niezgorzej stępione. Po godzinie przeciągnęli kabel przez otwór pod drzwiami stacji. Severe westchnął z ulgą i otarł pot z czoła.

— Przynieś po koktajlu — powiedział do Bragga. — Pewnie trzeba będzie zmobilizować zasoby „Ładogi”. Piloci gwiazdowi nie będą gasić pragnienia tym, co pili ci trzej ze „Słońca”.

— Dlaczego ze „Słońca”?

— Tak się chyba nazywa ten ich kufer — zaśmiał się Severe i zaczął gmerać w pęku żył kabla.

Przyłączył pulpit zdalnego sterowania, monitor oraz telekamery i zabrał się do kabla zdalnego sterowania pulpitu radiostacji „Ładogi”, kiedy Bragg przyniósł szklanki z chłodzoną mieszaniną soków.

— Długo to trwało — rzekł Severe biorąc szklankę.

— Przypominałem sobie, ale takiej nazwy ani rusz nie mogę wygrzebać z pamięci. „Słońce”? Nie, nie pamiętam, żebym coś takiego znal.

— A jednak „Słońce”. Taki był napis. Kadłub tak obrósł nagarem, że bałem się stukać w poszycie, bo wiertło mogło przejść na wylot. Co prawda tam, gdzie przeszedł automat polerujący, metal lśni. Sądzę więc, że tym razem szczęśliwie dotrą do Tytana, a w następny rejs inspektor ich nie puści. Odpocznij teraz, bo trzeba będzie jeszcze ustawić kamery na zewnątrz. Albo lepiej ustaw kamery, a potem odpocznij.

Pomógł Braggowi nałożyć skafander i znowu wziął się do pracy. Bragg chwycił obie kamery i znikł w śluzie. Severe przyłączył pulpit radiostacji, połączył monitor z zasilaniem oraz kablem antenowym, zatarł z zadowoleniem ręce i włączył monitor. Bragg zdążył już ustawić kamery i stał w szatni z odrzuconym hełmem.

— No, teraz odpocznij — powiedział Severe.

— Jeśli nie jestem potrzebny, to pójdę naprawić swój automat.

— Poczekaj. Wypróbujemy teraz radiostację i już sobie pójdziesz. Weź jeszcze koktajl i… dla mnie też.

Severe włączył radiostację „Ładogi”. Pomieszczenie wypełnił szum. Severe powoli poszukał w eterze, w tym paśmie, na którym pracował nadajnik „Błękitnego ptaka”.

— Teraz spróbujemy wywołać Ziemię i donieść, że u nas wszystko

w porządku. — Spojrzał na wskazówkę strojenia, która wahała się w prawo i w lewo. Nagle drgnął. Z szumu zakłóceń wyrwało się jakieś słowo, donośne, lecz wypowiedziane ochryple i trudne do rozpoznania.

— Odległość — ledwo dosłyszalnie powtórzył Severe.

Znowu dał się słyszeć głośny szmer, lecz Severe włączył strojenie automatyczne. „Dokonamy lądowania — tak samo ochryple odezwał się głośnik. — Potwierdzenia nie chcę. Wyłączam się. Seans za dwie godziny. Pozdrowienia, kochana Ziemio. Stop". Szum się nasilił, potem zmalał, Bragg podbiegł wylewając płyn ze szklanek. Severe spojrzał nań rozradowanym wzrokiem i powiedział cicho:

— To oni.

— To gdzieś blisko.

— Tak, będą za dwie godziny. Przypuszczam, że następny seans chcą nadać stąd. Ale zamiast nich, zrobimy to my! A ci jeszcze tu… Czas, żeby się już wynieśli!

Włączył znowu monitor, skierował kamery na rudowiec. Poszycie statku było czyste, właz zamknięty. Na dziobie powoli obracał się półkulisty kosz anteny. Zapłonęły światła nawigacyjne, potem nagle zgasły, zapłonęły ponownie i już ich nie wyłączono.

— Spójrz — wykrzyknął Severe — chyba się wynoszą. Na pewno odebrali ten komunikat i zrozumieli. Nie będzie trzeba ich popędzać. Wzywam Ziemię! Odwrócił się do pulpitu, ale Bragg go zatrzymał:

— Za chwilę. Rudowiec teraz startuje i nie przebijemy się przez zakłócenia. Tymczasem zobaczymy…

Podszedł do szafki bibliotecznej i znalazł „Rejestr statków kosmicznych". Przewertowawszy go pokręcił głową i rzekł:

— Takiej nazwy jednak nie ma. Nic związanego ze Słońcem. Zresztą jeszcze poszukam…

Severe rozsiadł się przy pulpicie.

— Wypróbujemy światła… — mruknął pod nosem i przesunął wyłącznik. Z silnych reflektorów „Ładogi" lunęły strumienie światła. Poszycie rudowca zabłysło, jakby je objął płomień.

— O! — rzucił Severe — o to mi chodziło! Co on robi? Zobacz…

Bragg odwrócił się ku ekranowi monitora. Statek mrugał światłami nawigacyjnymi. „Dzięki" — przeczytał Bragg. Severe się uśmiechnął:

— Sądzą, że to na ich cześć.

Światła wciąż mrugały. „Miłego pobytu" — przeczytał Bragg.

— Słuchaj — powiedział szybko. — Oni rzeczywiście startują. Mają jeszcze czas, a startują!

— To i dobrze.

— Oddałeś wiertło?

— Nie, zapomniałem.

— Tak się nie robi — rzekł Bragg.

Spiesznie wydobył wiertło z torby narzędziowej i zaczął paznokciem zdrapywać z niego zgęstniały, zmieszany z pyłem smar. Potem zaklął i wybiegł. Severe speszony podniósł brwi. Po sekundzie dopadł Bragga w szatni: pilot wyrywał skafander z uchwytów.

— Wywołuj ich! Prędko! — ryknął Bragg.

— Już wciągnęli antenę — odparł Severe wzruszając ramionami, ale mimo to zaczął włazić w skafander, który Bragg przed nim trzymał.

Wyskoczyli ze stacji w chwili, kiedy statek trzykrotnie zamrugał: „Uwaga… Uwaga… Uwaga". Bragg gwałtownie się zatrzymał, czepiając się głazów, by nie ulecieć zbyt wysoko.

— Patrz! — powiedział półgłosem.

Zgięte nogi amortyzatorów zaczęły się powoli rozprostowywać w przegubach. Równo ucięty od dołu kadłub podnosił się coraz wyżej, lecz nie cały. Dolna, najszersza jego część pozostała na poziomie uniesionych pięt, z którymi była trwale połączona. Reszta unosiła się do góry… Bragg ukląkł i zaczął patrzeć od spodu. Dziób statku zrównał się z dziobem „Ładogi" i rósł nadal.

Bragg zobaczył zapewne to, co chciał, gdyż zerwał się szybko i złapał Severe'a za ramię.

— Wracajmy natychmiast! — wrzeszczał. — Do stacji! Szybko!

Severe zaczął się opierać.

— Przyjrzyjmy się raczej stąd. Nie zdarza mi się widzieć…

— I nie zdarzy się, durniu! — Bragg w pasji pchnął Severe'a ku wejściu. W stacji nie zdejmując skafandrów rzucili się do monitora. Statek stał teraz nieruchomo. Bragg podszedł do pulpitu i zaczął obracać zewnętrzne kamery tak, by patrzyły na statek z dołu ku górze i dawały największe zbliżenie.

Severe spojrzał na ekran, na Bragga, znowu na ekran. Obiektywy przybliżały najniższą część statku ukazując ją z dołu, w skos. Severe'owi zdawało się, że zobaczył bezdenne jezioro wypełnione czarną spokojną wodą.

— Zrozumiałeś? — krzyknął Bragg.

Severe nie zdążył odpowiedzieć; Musiał się chwycić stołu. Skały drgnęły. Japet zaczął dygotać. Miliony fioletowych strzał uderzyły w podłoże. Poleciały okruchy. Severe jęczał kiwając głową. Statek wisiał nad powierzchnią Japeta wyprostowany, kształtny. Fioletowe światło bladło, rzedło, stawało się przezroczyste i nierealne. Statek wznosił się coraz szybciej.

— Moje kamery! — wrzasnął Severe. — Bodaj go diabli!

Włączył kamery. Pierwsza oślepła pod deszczem okruchów, które jeszcze sypały się z góry. Statek był już wysoko, świecił w drugiej kamerze jak mała, lecz bliska planeta.

— Pięknie mi się przysłużył — rzekł żałośnie Severe. — Wszystko szło tak dobrze, aż wreszcie rozbił kamerę.

— A po co ci kamera?

Severe spojrzał zezem na pilota.

— Któż mógł wiedzieć, że rudowiec będzie miał fotonowy napęd?

— Dlaczego rudowiec? — zapytał ze złością Bragg. — Kto powiedział, że to rudowiec?

Milczeli przez kilka sekund spoglądając na siebie.

— No nie, daj spokój! — odezwał się Severe. — To niemożliwe.

— Masz — powiedział Bragg.

Trącił leżące na stole zatłuszczone wiertło, które potoczyło się ku Severe'owi.

Ten wziął je i przeczytał wybity na trzpieniu ledwie widoczny napis: *Błękitny Ptak*. A w drugim wierszu: *Układ Słoneczny*.

— Ale tam nie było człowieka o nazwisku Cry — rzekł wreszcie Severe. — Nie było! Rozumiesz?

— To zobacz, czy nie ma tego nazwiska w innym miejscu — powiedział w zamyśleniu Bragg. — Poszukaj wśród załogi „Latającej ryby".

— „Latającej ryby"?

— Tak, tej, która nie wróciła.

Wzruszywszy ramionami Severe wertował „Rejestr". Znalazł „Latającą rybę", przeczytał i długo milczał…

Przełożył Bolesław Baranowski

Edmund Wnuk-Lipiński
WYPRAWA RATUNKOWA

Corx miał już za sobą blisko pół godziny lotu. Kręcące się z zawrotną szybkością płaty wirolotu cięły zdradliwą atmosferę tej tajemniczej planety. „Szczególnie uważać z oddychaniem. Wszystkie pomieszczenia dokładnie zahermetyzować. Nie ruszać się bez masek tlenowych. Atmosfera przypomina do złudzenia skład zwykłego gazu rozweselającego; oprócz tego jest jeszcze kilka nie zidentyfikowanych związków chemicznych, które mogą być trujące" — powtarzał machinalnie najważniejsze wskazania instrukcji. W dolnym okienku kabiny, jak na ekranie źle nastrojonego telewizora, przesuwały się z wolna zamglone kontury nieregularnie rozrzuconych wysepek. Z wysokości pięciu kilometrów wyglądały, jak rozsypane nieostrożną ręką wielkie bulwy ziemniaczane.

Leciutkim ruchem drążka począł sprowadzać pojazd w dół. Po chwili można było dostrzec delikatne zmarszczki na dotychczas nieskalanej powierzchni rozlewiska, sięgającego po krańce horyzontu.

„To już trzecia wyprawa ratunkowa" — myślał leniwie. „Każda następna ekspedycja ma ratować coraz większą liczbę osób. My mamy ratować już dziesięciu. Następni będą ratować piętnastu. Najgorsze, że nie wiadomo przed czym ratować i czy w ogóle jest kogo ratować".

Wszystko zaczęło się od tego, że statek zwiadowczy Galaktycznego Centrum Badawczego w okolicach tej właśnie planety przestał reagować na wszelkie sygnały. Potem, mimo kilkudniowego uporczywego wywoływania na fali alarmowej, nikt już nie odpowiedział. Wówczas Centrum wysłało rakietkę Galaktycznego Pogotowia Ratunkowego. Po odebraniu meldunku, że dotarli do celu, wszelki słuch o nich zaginął. To samo stało się i z drugą rakietką, wysłaną w tydzień później.

Przygotowania do trzeciej wyprawy trwały blisko miesiąc. Statek ratunkowy wyposażony został w najnowszy urządzenia, jakimi aktualnie dysponowała technika. Załogę dobrano z najbardziej doświadczonych żeglarzy kosmicznych, zahartowanych w rozlicznych niebezpieczeństwach. Od początku ekspedycji wszystkich jej uczestników obowiązywał rygor trzeciego stopnia ostrożności (konwencja ratunkowa przewiduje cztery stopnie — najwyższy z nich, czwarty, zabrania ludziom opuszczania pojazdu macierzystego, wszelkie prace na zewnątrz wykonują automaty; trzeci natomiast jest najwyższym stopniem ostrożności, w którym działać mogą ludzie).

Wirolot znalazł się wreszcie nad wysepką, na której rozbili obozowisko. Corx wylądował, założył maskę tlenową i rozhermetyzował kabinę. Po chwili kroczył po elastycznie uginającej się nawierzchni w stronę pękatych budynków Bazy.

— Szef już na ciebie czeka — rzucił od drzwi Ross. Kabina Moora była zaciemniona. Blady blask bijący z ekranu czytnika filmów igrał refleksami na jego pooranej zmarszczkami twarzy. Na wydatnym nosie perliły się ledwie widoczne kropelki potu. Gdy Corx wszedł, szef — nie odwracając głowy — zapytał:

— Są jakieś nowości?

— O to samo mógłbym zapytać ciebie — odparł.

— Przejrzymy na wszelki wypadek twoje taśmy — Moor wyciągnął za siebie rękę, w którą Corx wsunął krążki automatycznie wywołanych błon filmowych.

Po chwili na ekranie począł przesuwać się krajobraz, który w czasie lotu obserwował był Corx. Jednak ekran podawał więcej szczegółów, niż zanotowała jego pamięć. Sprawiły ta silnie powiększające teleobiektywy oraz zdolność reagowania błony na promienie podczerwone.

Z promieniami podczerwonymi wiązała ekspedycja największe nadzieje. Jeżeli ci, których poszukiwali, są jeszcze żywi, to uporczywe fotografowanie powierzchni planety powinno naprowadzić na ich ślad.

I oto Moor zatrzymał taśmę, cofnął ją i puścił na zwolnionych obrotach. Corx poczuł na swoim ramieniu zaciśniętą dłoń szefa i w chwilę potem usłyszał jego spokojny głos:

— Popatrz, jest źródło promieniowania. Albo naturalne co jest raczej nieprawdopodobne — albo też sztuczne. To mogą być… oni. Gdzie to jest?

— Kwadrat F5.

— Polecisz tam natychmiast! Weź ze osobą Rossa.

Corx wstał i wybiegł z kabiny.

— Ross! Lecimy!

— Dokąd?

— Później ci wszystko wyjaśnię!

Ross zerwał z wieszaka swoją maskę i wybiegł za Corxem.

W kilkadziesiąt sekund później wirolot wnosił ich coraz wyżej i wyżej. Budyneczki Bazy malały, aż wreszcie zupełnie zniknęły w nierównościach wysepki.

— Dokąd lecimy? — niecierpliwił się Ross.

— W kwadracie F5 wykryłem jakieś źródło ciepła.

— Myślisz, że to ani?

— Nic nie myślę! — odparł opryskliwie. — Po prostu trzeba to sprawdzić.

Ross nieco urażony nie zadawał więcej pytań. W kabince zapadło milczenie, które wypełnił natychmiast szum pracującego na pełnych obrotach silnika.

Po niespełna dziesięciu minutach nadlatywali nad kwadrat F5.

— To tam — Corx wskazał na największą w polu widzenia wyspę.

Wirolot schodził coraz niżej.

— Źródło promieniowania było na północno-wschodnim skraju tego kartofla.

Ross rozglądał się pilnie za jakimś przyzwoitym miejscem do lądowania.

— Chyba tam — wskazał na malutki płachetek jako tako równego gruntu.

— Dobrze! — Corx nacisnął mocniej drążek i wirolot począł opuszczać się jeszcze szybciej.

— Corx! — zawołał nagle Ross. — Popatrz!

Nad całą wyspą jęły tworzyć się małe, ale zupełnie wyraźne wizy jakiejś białawej zawiesiny.

— Ciekawe — mruknął Corx. — To coś jakby wydobywało się z gruntu.

Ross włączył radio i zakomunikował o poczynionych obserwacjach Bazie. Na polecenie Moora, Ross miał dojść do źródła promieniowania, a Corx — utrzymywać stały kontakt radiowy.

Wirolot zawisł na chwilę nieruchomo. Carx spojrzał na czujniki podczerwieni. Wskazówka na skali zatrzymała się na cyfrze 1.

— W prostej linii znajdujemy się w odległości 1 km od źródła promieniowania — orzekł. — Pokrążymy trochę. Stąd będzie łatwiej obserwować.

Przełączył wirolot na automatyczny pilotaż. Pojazd natychmiast skierował się nad wybrzeże wysepki, której powierzchnia w tym miejscu była mocno pofałdowana.

— Są! Są! — krzyknął Ross.

— Widzę przecież — odparł Corx spokojnym głosem. Będziesz miał bardzo krótką drogę.

— Ale co do diabła stało się z ich maszynami?

— I z ubraniami?! Wygląda na to, że są zupełnie nadzy. — Na szczęście ruszają się i to dość żwawo. Popatrz! Dają mam jakieś znaki!

— Tak, to oni. Gdzie mogli podziać cały sprzęt? I dlaczego zdjęli ubrania? — dziwił się Corx. — A oprócz tego nie widzę nic, czym można by się pożywić. Powietrze jedli, czy jak?

— Może ta wyspa jest jadalna? — podpowiedział Ross, sam nie przekonany do swej hipotezy.

— Lądujemy — rzekł Corx raczej do Bazy niż do towarzysza podróży.

— Popatrz! — wtrącił Ross. — Jak oni skaczą, jak wymachują

rękami! Jak dziwnie gwałtowne są ich ruchy. Gdybyśmy nie mieli do czynienia z rozbitkami, pomyślałbym, że zabraniają nam lądowania. Chyba nie powariowali, co? zapytał z troską.

— Chyba za ważyłeś, że ta bulwa — Gorx wskazał na rozpościerający się pod nimi ląd — jest nieco inna niż te, z którymi dotychczas mieliśmy do czynienia.

Im bardziej wirolot zbliżał się do naturalnego lądowiska, tym więcej białej zawiesiny kołowało w powietrzu. Bezładna gromada ludzi zatrzymała się na skraju miniaturowego płaskowyżu.

— Lądujemy — powtórzył nie wiadomo po co Corx. Wirolot zatrzymał się jeszcze przez moment, po czym dotknął lekko gruntu. Ledwie to się stało, cały pojazd ogarnęła wirująca chmura, która odgrodziła ich od czekających rozbitków.

— Nic nie widzę! Biała… — krzyknął Corx. Reszty nie zdążył dodać, gdyż widok, jaki ujrzał, odebrał mu na chwilę mowę. Otóż cały wirolot począł nagle niknąć, jak rozpuszczający się w gorącej wodzie cukier. Butle tlenowe, również rozpuszczające się, z głębokim westchnieniem wypuściły w atmosferę cały zapas gazu.

Po chwili stali obydwaj zupełnie nadzy wśród resztek szybko niknącego podwozia pojazdu. Corx poczuł, że pamiątkowy pierścień, który nosił na najmniejszym palcu lewej ręki, także zniknął.

Nie czując na twarzy maski tlenowej zatamował oddech, ale zdawał sobie sprawę, że nie na długo. Przerażenie ścisnęło mu gardło. Płuca jęły gwałtownie domagać się świeżego dopływu tlenu. Corx zauważył, że Ross również walczy z oddechem. Biała zawiesina powali opadała. „Trzeba szybciej z tym skończyć” — pomyślał i odetchnął pełną piersią. Zdążył jeszcze spostrzec, że Ross zrobił to samo, i nagle poczuł, że jest mu strasznie wesoło. Ogarnął go paroksyzm śmiechu. Zwijał się i ryczał przez czas jakiś, po czym zwalił się na elastyczny, miękki grunt wysepki.

Gdy ocknął się po jakimś czasie, zobaczył, że otoczony jest grupą takich samych jak on golasów. Kątem oka dostrzegł leniwie przeciągającego się Rossa.

Z kręgu milczących dotychczas postaci wystąpił człowiek, w którym Corx rozpoznał kapitana pierwszej rakietki ratunkowej. Kapitan, niezbyt maskując ironię, ozwał się:

— Witamy na Ziemi Organiczników.

— Na jakiej ziemi? — nie zrozumiał Carx.

— Na Ziemi Organiczników.

— Dzień dobry — rzekł Ross zdawkowo. — Nie wiesz przypadkiem, co się stało z naszym pojazdem i z tym wszystkim, co mieliśmy ze sobą?

— Rozpłynęło się — kapitan zrobił gest, jaki może wykonać człowiek nie po raz pierwszy obserwujący niepojęte zjawisko. — Po

prostu rozpłynęło się w powietrzu. Ja wiem — dorzucił widząc z matury sceptyczną twarz Corxa że w normalnych warunkach powiedzenie czegoś takiego naraziłoby mnie na śmieszność. Wysepka ta jednak — w odróżnieniu od wszystkich innych ma tej planecie — charakteryzuje się tym, że wszystkie przedmioty martwe są natychmiast rozkładane na proste związki, a te z kolei na atomy, które zabiera atmosfera. Inaczej nie potrafimy wyjaśnić dziejących się tutaj rzeczy.

— Czym żyjecie? — zapytał jak zwykle praktyczny Corx.

— Powietrzem, dosłownie powietrzem… Przypuszczamy, że zawiera ono jakieś nieznane ludziom związki. W każdym razie oddychanie w zupełności wystarcza do podtrzymania przy życiu naszych organizmów. Siedzimy już tutaj ponad dwa miesiące i dotychczas nikt z nas nie poczuł się ani głodny, ani zmęczony, ani chory… Wy też zapewne czujecie się dobrze, prawda? — spojrzał na nich badawczo, jakby doszukiwał się jakichś znamion choroby.

— Prawda, prawda — przytaknął skwapliwie Ross. Ale powiedzcie nam, kochani, jak się stąd wydostać?

— Nie wiem — kapitan bezradnie rozłożył ręce. — Wątpię, czy komukolwiek przyjdzie na myśl wyciągnąć nas stąd bez lądowania. Przydałaby się najnormalniejsza w świecie drabinka nie dotykająca gruntu.

— Będą nas szukać! Baza wie, gdzie jesteśmy. Powinni niebawem przylecieć! — rzekł podniesionym głosem zniecierpliwiony Corx.

— W takim razie nasze grono nieco się powiększy.

— Czy nie można by ułożyć tutaj jakiegoś ostrzegawczego napisu? — indagował Ross.

— Próbowaliśmy, ale tej gąbki nie można gołymi rękami rozedrzeć. To świństwo jest chyba też żywe. Na całej wyspie nie ma żadnego ostrego przedmiotu. Zastanawialiśmy się nawet nad ułożeniem z nas jakiegoś żywego napisu, ale na razie jest nas za mało. Będziemy czekać na następnych. Któraś z kolei wyprawa ratunkowa zdoła nas chyba odczytać.

— Dlaczego nikt nie próbował przepłynąć na inną wyspę? — zapytał Ross. — Być może tamte kartofle nie mają takiej dziwnej właściwości.

— I tego próbowaliśmy — rzekł z łagodną perswazją kapitan. — Ale tego ścierwa nie można przepłynąć — wskazał na oleiste rozlewisko okalające wyspę. — Uparcie wyrzuca na brzeg.

— Będziemy czekać? — zapytał Corx.

— Musimy czekać — odrzekł z naciskiem kapitan.

Corx spojrzał w kierunku, z którego niedawno przylecieli. Jego wyczulone ucho wychwyciło delikatny szum silnika. To nadlatywał następny wirolot…

Władlen Bachnow
PIĄTY OD LEWEJ

Pitaka s lewoj…

I

Koordynator trzeciego stopnia, Ejbi Si, przybył do kwatery ostatni. Statki innych koordynatorów stały już na kosmodromie. I nic w tym dziwnego — planeta Una, gdzie pracował Ejbi, była najodleglejsza, a rozkaz stawienia się u Głównego nadszedł zgoła nieoczekiwanie.

Szczerze mówiąc, koordynator nie lubił i obawiał się wszelkich nadzwyczajnych wezwań. Za każdym razem spodziewał się grubych nieprzyjemności. A jakkolwiek na razie wszystko uchodziło na sucho, powody do obaw były.

Ale i pięć miesięcy w drodze to też mała przyjemność. Co prawda, całą niemal drogę koordynator spędził w stanie sztucznej anabiozy. Tylko że tę anabiozę, którą każdy inny koordynator znosił bez żadnych komplikacji, Ejbi niezmiennie przypłacał przeziębieniem. Toteż i teraz przez całą drogę od kosmodromu do sztabu nieustannie kichał.

Nie, koordynator nie żałował, że jego planeta znajdowała się tak daleko od Centrum. Przynajmniej chroniło to od przeklętych inspekcji. Nawet sam Główny odwiedził Unę po raz ostatni przed stu pięćdziesięciu laty.

Przebywając jednak stale na uboczu Ejbi Si prawie nie awansował i mimo dwustuletniego stażu wciąż jeszcze pozostawał koordynatorem trzeciego stopnia. A jakimś tam stuletnim szczeniakom udawało się w tym czasie uzyskiwać drugi stopień, a nawet dobierać się do pierwszego.

Nie należy jednak sądzić, że Ejbi Si był przez kierownictwo źle widziany. Wielu się nawet dziwiło, dlaczego się nie stara o podwyżkę. On jednak wiedział dlaczego, i marzył tylko o jednym — aby się nic nie wydarzyło. A zdarzyć się mogło wszystko.

Przylatując do kwatery Ejbi czuł się niezdarnym prowincjuszem. Spotykając się z młodszymi stopniem fircykowatymi sztabowcami pierwszy oddawał honory. Szamerowany złotem mundur, który innym koordynatorom nadawał taki służbisty i dumny wygląd, na nim wyglądał jak pomięta bonżurka. Może zresztą tylko tak mu się zdawało…

Zwykle przed rozpoczęciem narady miał czas ze wszystkimi porozmawiać i dowiedzieć się ostatnich nowości: stwierdzić, po co ich Główny zwołał; ustalić, w jakim jest Główny nastroju; przewąchać, skąd wiatr wieje; upewnić się, czy nie ma jakichś nowych prądów, czyli — krótko mówiąc — znaleźć się w kursie.

Tym razem jednak czasu na wyjaśnienie sytuacji nie było. Kiedy Ejbi Si przyjechał do sztabu i wszedł do kwadratowej sali, gdzie

zwykle odbywały się narady, koordynatorzy już siedzieli wzdłuż ścian (każdy na odpowiadającym swojej randze miejscu) i w zupełnym milczeniu oczekiwali Głównego.

Ledwie Ejbi zdążył zająć swoje stałe miejsce i głośno kichnąć, zjawił się Główny Koordynator Dabl Ju.

Obecni podnieśli się i w myśl regulaminu po trzykroć zgodnie klasnęli w dłonie. Dabl Ju niedbale odklasnął i zmęczony opadł na fotel, po czym rozsiedli się wszyscy inni.

— Panowie koordynatorzy — cicho odezwał się Główny — bardzo mi przykro, że musiałem was oderwać od pracy. Jakeście się prawdopodobnie zdążyli przekonać, nie jestem zwolennikiem niepotrzebnych narad. Dopiero wskutek nader nieprzyjemnego incydentu zmuszony byłem wezwać was wszystkich do sztabu. Nazwałbym to nawet nie incydentem, lecz wydarzeniem albo, jeśli chcecie, skandalem w skali kosmicznej!

Koordynatorzy jak jeden mąż pokiwali głowami. Widocznie wszyscy, z wyjątkiem Ejbi Si, wiedzieli już co w trawie piszczy. Skonsternowany Ejbi także na wszelki wypadek pokiwał z żalem głową i kichnął. Wszyscy spojrzeli w jego stronę.

I wtedy ogarnął go strach.

„Czyżby się dowiedzieli?" — pomyślał zniechęcony.

— Operacja, którą prowadzimy w tym rejonie galaktyki — kontynuował Główny — to największa ze wszystkich operacji, jakie kiedykolwiek realizowała nasza ojczysta planeta Oz.

Przy wspomnieniu planety Oz koordynatorzy zgodnie z regulaminem jednocześnie westchnęli, co miało świadczyć o miłości do odległej ojczyzny.

— Chciałbym jednak przypomnieć, że ta najodważniejsza operacja jest zarazem najkosztowniejsza. Niejeden sekstylion wydali Ozjanie na tę sprawę i nie pierwsze stulecie oczekują, kiedy wreszcie po rozchodach zaczną się dochody. A to, jak wiadomo, nastąpi dopiero wtedy, kiedy mieszkańcy powierzonych nam planet będą mogli nabywać nasze towary.

Przez dwieście lat robiliśmy wszystko, aby przyśpieszyć rozwój naszych podopiecznych. A teraz, kiedy tubylcy jednej z planet — mam na myśli Miksa — znaleźli się u wymarzonego celu i lada dzień powinni byli zacząć przynosić zyski — właśnie teraz na skutek niedopatrzenia koordynatora wybuchła na planecie wojna bakteriologiczna, w której wyniku poszła na marne i ich cywilizacja, i nasze nakłady kapitału. Przy tym wirus, który unicestwił na Miksie wszystko co żywe, jest tak wytrzymały i niebezpieczny, że nawet my nie możemy bez ryzyka dla życia wylądować na tej planecie. Miksa straciliśmy na zawsze. To właśnie, panowie, zreferował mi odpowiedzialny za tę katastrofę koordynator pierwszego stopnia

Eksuaj Zet.

Ejbi Si z ulgą rozparł się w fotelu. Nie była to ta wiadomość, której się obawiał najbardziej ze wszystkiego. Po raz pierwszy zdecydował się podnieść wzrok. Ale ujrzawszy ponure twarze pewnych siebie zazwyczaj i apatycznych koordynatorów zrozumiał, że ta nieprzyjemność pociągnie za sobą bez wątpienia inne, i przygnębiające przeczucia znowu opanowały koordynatora trzeciego stopnia.

II

Przed trzystu laty, kiedy Ejbi Si był jeszcze studentem, zwiad kosmiczny Ozu wykrył na samym skraju galaktyki piętnaście planet zamieszkanych przez istoty rozumne.

Planety znajdowały się w trzech przyległych układach gwiezdnych, a ich mieszkańcy — podobnie jak mieszkańcy Ozu — byli humanoidami, lecz znajdowali się w początkowych stadiach rozwoju.

Przestudiowawszy uważnie sprawozdanie zwiadu kosmicznego uczeni Ozu oświadczyli, że nowo odkryte humanoidy rozwijają się niezwykle szybko, wobec czego już po ośmiuset — dziewięciuset latach będzie można nawiązać kontakt z najbardziej rozwiniętymi cywilizacjami. A po dwudziestu — trzydziestu tysiącleciach będzie się można w pełni porozumieć i z pozostałymi.

Wtedy właśnie Prezydent Ozu, Dżi Ejcz, wysunął swoją fantastyczną ideę.

— Mieszkańcy dalekich planet są nie tylko naszymi młodszymi braćmi w rozumie, którym powinniśmy pomóc. Są oni także potencjalnymi nabywcami naszych towarów. Im więc wcześniej przekształcą się z potencjalnych nabywców w realnych, tym lepiej i dla nas, i dla nich.

A dopiąć tego można tylko w jeden sposób: powinniśmy sztucznie przyśpieszyć rozwój naszych młodszych braci i przez to przyczynić się do postępu.

Niepostrzeżenie dla podopiecznych zaczniemy ich chronić przed omyłkami. Nie pozwolimy im tracić czasu na długie poszukiwania i będziemy powoli podpowiadać gotowe odpowiedzi.

Żadnych poszukiwań — tylko odkrycia!

Żadnych błędnych teorii i hipotez — tylko dawno wypróbowane prawdy!

Ideę tę Prezydent wyłożył w orędziu do najwyższych organów Ozu — Senatu i Parlamentu.

Na krótko przedtem konserwatywny Parlament uzupełniono na wniosek tegoż Prezydenta młodzieżą o poglądach postępowych. Toteż projekt ustawy o pomocy młodszym braciom Parlament uchwalił niemal jednogłośnie.

W Senacie natomiast nastąpił rozłam — senatorzy podzielili się na liliowych, którzy popierali projekt, i różowych — głosujących przeciw niemu. Liliowi jednak zwyciężyli. I później też różowi zawsze pozostawali w opozycji do wszystkiego, co proponowali liliowi.

W ciągu dwudziestu lat od przyjęcia ustawy napisano drobiazgowe instrukcje, przepisy, dyrektywy i zalecenia dotyczące całej pracy ekspedycji kosmicznej. Następnie opracowano szczegółowe

programy i harmonogramy przyśpieszenia rozwoju historycznego dla każdej planety z osobna. Wszystko to razem stanowiło wielotomowy Kodeks Reguł Zasadniczych (KRZ) i jeszcze obszerniejszy Kodeks Wyjątków od Reguł (KWoR)[6].

Potem odpowiednio do liczby podopiecznych planet utworzono piętnaście grup (po dwa tysiące instruktorów w grupie) i przydzielono do grup szefów-koordynatorów podporządkowanych Głównemu Koordynatorowi. I oto, przybywszy na miejsce przeznaczenia, ekspedycja kosmiczna rozpoczęła swą działalność.

Każda grupa miała własną, wiszącą wysoko nad planetą, stację kosmiczną, statek do przelotów międzygwiezdnych i tuzin niewielkich rakietoplanów utrzymujących komunikację między stacją a planetą.

Rozrzuceni po planecie instruktorzy podpowiadali tuziemcom wszelkie możliwe postępowe idee. A ponieważ młodsi bracia nie powinni byli podejrzewać, że się ich na siłę cywilizuje, instruktorzy musieli się upodobnić do tubylców, żyć w jaskiniach, znosić potworne warunki życia i pracować w jak najściślejszej konspiracji.

Na bardziej rozwiniętych planetach żyć było łatwiej, a maskować się trudniej. Toteż niejeden instruktor stał się ofiarą własnej nieostrożności.

Idee należało podpowiadać jedynie w tej kolejności, którą podawały KRZ i KWoR. Jakakolwiek twórczość amatorska maskowana mianem inicjatywy nie znajdowała aprobaty, gdyż autorzy Reguł Zasadniczych (a układały je przede wszystkim urządzenia elektroniczne) wiedzieli najlepiej, jak postępować w tym lub owym wypadku.

Koordynatorzy rokrocznie dostarczali sprawozdania Głównemu Koordynatorowi, który przesyłał je na Oz.

A raz na sześć lat szefowie grup zbierali się w sztabie, gdzie osobiście zdawali sprawę ze swych osiągnięć i niepowodzeń.

Jak stwierdzono w pierwszym już stuleciu, niektóre cywilizacje poddawały się przyśpieszonemu rozwojowi łatwiej, inne — trudniej. Jeśli tną przykład chodzi o Miksa, to pod względem nauki i techniki zajmował on początkowo zaledwie piąte miejsce. Później jednak dzięki wysiłkom instruktorów i koordynatora Eksuaj Zeta Miksjanie szybko nabrali tempa i w ciągu stu lat pozostawili w tyle wszystkie inne planety, wyprzedzając terminy harmonogramu przyśpieszonego rozwoju niemal o półtora stulecia.

Opiekujący się tą planetą koordynator Eksuaj Zet uważany był oczywiście za najlepszego koordynatora. Jego sukcesy sprawiły, że różowa opozycja na Ozie przycichła, i nawet sporadyczne niepowodzenia na niektórych innych planetach nie mogły zachwiać pozycją liliowych.

Autorytet koordynatora tak wzrósł, że pewnego razu Eksuaj po

prostu przepędził inspekcję, która przyleciała z Ozu. Skoro i taki niesłychany wybryk uszedł mu na sucho, nikt już nie ryzykował pojawienia się na Miksie bez uprzedzenia.

Ale Eksuaj Zet przysiągł, że Miks będzie pierwszą planetą, z którą się uda nawiązać stosunki handlowe. Wszyscy byli pewni, że takie zwycięstwo zgubi do reszty różowych.

Eksuaj relacjonował, że w myśl informacji instruktorów Miksjanie wiedzą już o istnieniu innych zamieszkanych światów i sądzą, że dobrze by było nawiązać z nimi kontakt.

Podczas ostatniej narady Eksuaj oświadczył, że pierwsze oficjalne spotkanie z Miksjanami nastąpi za jakieś dziesięć lat, a umowa handlowa zostanie podpisana za piętnaście. Na podpisanie umowy zapraszał wszystkich swoich kolegów i wielką delegację z Ozu.

Główny jednak nalegał, by koordynator przyśpieszył wydarzenia przynajmniej dwukrotnie, i Eksuaj Zet musiał się na to zgodzić.

Do nowo wyznaczonego terminu brakowało zaledwie czterech lat, aż tu nagle taka niemiła sprawa — wojna!..

III

— Koordynatorze Eksuaj Zet, oczekuję pańskich wyjaśnień! — ponuro powiedział Główny.

Koordynator pierwszego stopnia wstał i z wzrokiem wlepionym gdzieś w kąt mówił dobierając niespiesznie słowa:

— Na powierzonej mi planecie Miks istotnie wydarzyła się nieodwracalna katastrofa. Ponieważ planeta owa znajdowała się pod moją opieką, ja odpowiadam za zniszczoną cywilizację i gotów jestem ponieść dowolną karę. Zarazem jednak uważam za konieczne stwierdzić, że się do winy nie poczuwam, nie naruszyłem bowiem ani Reguł, ani Wyjątków od Reguł Ozu.

— Co to znaczy: nie poczuwa się pan do winy? — wtrącił się Główny. — Ładne rzeczy! A kto nauczył Miksjan produkować bomby atomowe? Może ja?

— Nikt ich nie uczył. Sami się nauczyli.

— Jak to?

— A właśnie tak. Zgodnie z paragrafem 10253 i 12547 KRZ moi instruktorzy podpowiedzieli Miksjanom podstawy fizyki jądrowej i mechaniki kwantowej. A potem aniśmy się obejrzeli, kiedy Miksjanie mieli już bomby.

— Przede wszystkim trzeba zdążyć się oglądać, to przecież pański elementarny obowiązek! Po wtóre zaś, dlaczegoście tych bomb nie skonfiskowali?

— Dlatego że paragraf 1121 zabrania nam zdradzać swoją obecność. Ponadto będzie pan łaskaw sobie przypomnieć, że w memoriale nr 217342/343 informowałem pana o pojawieniu się na planecie broni bakteriologicznej. Podawałem także panu do wiadomości, że z powodu nieprawdopodobnie przyśpieszonego rozwoju techniki Miksjanie nie nadążają ze zrozumieniem tego, co się dzieje, a ich instynkt walki jest silniejszy od instynktu samozachowawczego. Biorąc to pod uwagę pytałem, czy nie należałoby na pewien czas sztucznie zahamować postępu, jak to przewiduje wyjątek 668 od reguły 123. Zupełnie słusznie odpowiedział pan na to, że w myśl paragrafu 6699 wyjątek ten staje się przepisem dopiero po odpowiedniej decyzji Senatu. Do Senatu zaś zwracać się nie możemy, tego rodzaju prośba byłaby bowiem na rękę różowym, którzy od początku sprzeciwiali się naszej ekspedycji!

Koordynator, jak zawsze, przemawiał precyzyjnie i gładko. Ejbi Si nawet mu pozazdrościł opanowania. Gdyby to się jemu zdarzyła taka historia, zacząłby się jąkać, bąkać i pleść diabli wiedzą co. A zresztą może on, Ejbi, znajduje się w jeszcze gorszej sytuacji. W każdym razie bardziej upokarzającej i żałosnej, chociaż do czasu nikt tego nie wie.

— Tak właśnie odpowiedziałem na pańskie pytanie — potwierdził Główny. — I tak dość pomagaliśmy różowym. Proszę sobie przypomnieć chociażby haniebny wypadek na Luksie. Wszystko szło według harmonogramu. Zapoznano tuziemców z pożytecznymi rzemiosłami i naukami. Podniesiono niebywale poziom sztuki. Rozkwit! A później? Później spoczęto na laurach i ziewano, kiedy na Luksie nastąpiło mroczne średniowiecze. Zanim się spostrzeżono, Luksjanie się cofnęli tak, że potem musiano diabli wiedzą ile czasu tracić na odrodzenie! Cóż to, jak.nie skutki nieodpowiedzialności i niedbalstwa?!

Taki wypadek zdarzył się rzeczywiście przed stu laty. Ale Główny nie pomijał żadnej okazji, żeby nie wspomnieć o tym osobliwym zdarzeniu. I za każdym razem mówił tak, jakby to było wczoraj.

Szef przypomniał jeszcze kilka takich wybranych przykładów. Ejbi zaś, całym swoim wyglądem demonstrując niezwykłe zainteresowanie tymi wzbudzającymi odrazę opowiadaniami, zaczął z nudów oglądać wiszące na przeciwległej ścianie obrazy. W sali było dwanaście obrazów. Jednakże z miejsca, na którym siedział Ejbi, można było bez odwracania głowy zobaczyć tylko pięć z nich.

Od dwustu lat podczas zwyczajnych i nadzwyczajnych odpraw w sztabie Ejbi siadywał na tym samym, odpowiadającym jego randze miejscu. Przez dwieście lat widział na przeciwległej ścianie te same płótna, poświęcone określonym etapom dziejowym idealnie prawidłowo rozwijającego się społeczeństwa.

Artyści pracujący nad tymi dziełami czerpali widocznie konkretne wiadomości i natchnienie z odpowiednich paragrafów KRZ i KWoR. Obrazy odznaczały się więc głębią i precyzją wspomnianych wyżej dokumentów.

Na pierwszym obrazie od lewej jaskiniowcy siedząc przy ognisku zajadali ze smakiem jakiegoś przedhistorycznego zwierza.

Na drugim — wybrany przez Wspólnotę pastuch oparty na posochu pilnował stada tucznych, świeżo ufryzowanych owieczek.

Trzeci obraz poświęcony był powszednim zajęciom starożytnych twórców broni z brązu.

Na czwartym — malutcy smagli ludzie wznosili olbrzymie piramidy.

Obraz piąty zaś malowniczo przedstawiał ustrój niewolniczy w pełnym rozkwicie.

Ten właśnie obraz Ejbi z satysfakcją wyjąłby z ram, pociął na drobne kawałeczki i spalił, a popiół rozwiał na cztery wiatry!

Noc w noc widział go we śnie i co dzień wspominał na jawie. Przecież zgodnie z harmonogramem przyśpieszenia na jego planecie, Unie, ustrój niewolniczy powinien był właśnie osiągnąć swoje apogeum. Uczeni i filozofowie powinni już byli dokonać szeregu

wielkich odkryć. Na miejscu zaś dawnych patriarchalnych osiedli należało wznieść bogate, gwarne miasta.

I zgodnie ze sprawozdaniami Ejbi Si sprawy na Unie miały się właśnie tak, jak przewidywał harmonogram przyśpieszenia. Byli i uczeni, i miasta, i odkrycia, i rozkwit! Wszystko było! Ale niestety tylko w sprawozdaniach. Ciemni mieszkańcy Uny nie uznawali żadnych przyśpieszonych terminów rozwoju i nawet nie zamierzali się rozstać z miłym ich sercu matriarchatem. A tych, co proponowali jakieś nowinki, młodsi bracia w rozumie strącali z wysokiej skały w morze. Obrzęd ten dostarczał.nie rozgrymaszonym masowymi widowiskami tubylcom rozrywki, a dla amatorów nowinek stanowił pouczające ostrzeżenie.

W tym stanie rzeczy dwa tysiące instruktorów z grupy Ejbi Si ledwie zdołało namówić Unian, by przeszli od matriarchatu do patriarchatu. Ale i w tym wypadku nie było żadnej pewności, że przy pierwszych niepowodzeniach w zreorganizowanym społeczeństwie tuziemcy nie wrócą do dawnego trybu życia.

Koordynator nie umiał sobie zgoła wyobrazić, co ma robić z mało pojętnymi, trudnymi do wychowania tubylcami. Oczywiście przed stu laty mógłby jeszcze z honorem oświadczyć Głównemu, że Una to planeta beznadziejna. Wszelako Reguły Zasadnicze głosiły, że nie ma złych planet, tylko źli koordynatorzy, toteż wskutek uczciwego postępowania Ejbi Si straciłby niewątpliwie swoją wysoką funkcję.

Nie, na to mu po prostu nie starczyło odwagi. Układał więc pomyślne sprawozdania, w których rozwój społeczny na Unie postępował w całkowitej zgodności z KRZ i — aby nie wzbudzać podejrzeń — to cokolwiek wyprzedzał harmonogram przyśpieszenia, to pozostawał nieco w tyle.

Gwoli zaś większej wiarygodności koordynator szczodrze rozsypywał po stronicach sprawozdań wymyślone przez siebie charakterystyczne drobiazgi i wzruszające szczegóły z życia swoich podopiecznych. Od stu lat z górą Ejbi Si sporządzał sążniste sprawozdania świadczące o tym, że dysponował nieprzeciętną wyobraźnią i mógłby się stać niezłym pisarzem — fantastą.

Literacką doskonałość i wycyzelowanie jego sprawozdań stawiano nawet nieraz za wzór innym koordynatorom. I jakkolwiek Ejbi o tym nie wiedział, na Ozie jego raporty cieszyły się niemałą popularnością w kręgach uczonych — historyków. Im bardziej jednak Ejbi chwalono, tym gorzej się on czuł i oczekując z dnia na dzień zdemaskowania i skandalu kontynuował swoją aferę. W głębi ducha pragnął nawet, aby skandal wybuchł jak najprędzej, zarazem jednak czynił wszystko, co mogło oddalić nieuchronną katastrofę.

Pogrążony w żałosnych rozmyślaniach Ejbi niemal nie słyszał Głównego. Od czasu do czasu wyławiał poszczególne zdania i

machinalnie stwierdzał, że szef wciąż jeszcze przytacza historyczne przykłady opieszałości koordynatorów i ich podwładnych.

Nagle jednak usłyszał to, co od razu kazało mu mieć się na baczności.

— Jak należało oczekiwać, po wydarzeniach na Miksłe — mówił Główny — wyruszyła do nas nadzwyczajna komisja Senatu. Różowa opozycja znowu podniosła głowę, jestem więc przekonany, że komisja nie poprzestanie na zbadaniu skandalu miksjańskiego. Sądzę, że członkowie komisji odwiedzą tym razem wszystkie, nawet najodleglejsze obiekty naszej ekspedycji. Uważam za swój obowiązek, panowie koordynatorzy, uprzedzić was o tym i mam nadzieję, że na powierzonych wam planetach wszystko będzie w porządku!

„Otóż to! — zdrętwiał Ejbi i głośno kichnął. — Co teraz robić, mój Boże, co robić?”

Wydawało mu się, że Główny patrzy wprost na niego. Więc Ejbi Si, obawiając się napotkać jego wzrok, znowu zaczął się wpatrywać w historyczne obrazy.

IV

Przez wszystkie następne lata koordynator trzeciego stopnia uważnie obserwował ruchy komisji senackiej, która przelatując z obiektu na obiekt wciąż się przybliżała i przybliżała. Aż nastał wreszcie dzień, kiedy senatorzy w asyście Głównego Koordynatora Dabl Ju przybyli na kosmiczną stację Uny. Ejbi sporządził szczegółowe sprawozdanie poświęcone sytuacji na planecie, senatorzy zaś z zainteresowaniem spoglądali na autora memoriałów, które zdobyły sobie taką sławę.

Miał on wciąż jeszcze nadzieję, że komisja zadowoli się jego referatem. Stało się jednak inaczej. Mimo zmęczenia senatorzy zapragnęli ujrzeć na własne oczy to, co koordynator tak ciekawie opisywał w swoich corocznych sprawozdaniach.

Ejbi Si musiał więc skapitulować.

Pod osłoną nocy komisja w rakietoplanie bezgłośnie wylądowała na planecie.

Kiedy zaś wzeszło słońce, senatorzy ujrzeli w pobliżu wysokie mury baśniowego miasta z białego marmuru.

— Co to?! — wykrzyknęli oczarowani członkowie komisji.

— Onna — odpowiedział po prostu koordynator — stolica tego opartego na niewolnictwie państwa, o którym miałem zaszczyt pisać dla was sprawozdania. Idziemy!

Wmieszawszy się w tłum podróżnych (na szczęście koordynator ubrał senatorów tak, aby się nie różnili od tubylców) członkowie komisji podeszli do warownej bramy. W bramie, prężąc potężne bicepsy, stali rośli, półnadzy wojownicy. Opierali się na mieczach i bacznie oglądali przechodzących.

Szczęśliwie minąwszy straż senatorzy znaleźli się na wybrukowanych kamiennymi płytami rojnych ulicach gwarnego miasta.

Bogate pałace i gmachy publiczne, koło których przechodzili członkowie komisji, ozdobione były licznymi kolumnami, posągami i płaskorzeźbami.

Ulicami bez pośpiechu poruszali się odziani w śnieżnobiałe chitony mieszczanie dyskutując o ostatnich walkach gladiatorów i nieustannie rosnących cenach niewolników.

W cieniu portyków uczeni mężowie w podeszłym wieku gawędzili niespiesznie ze swymi wiernymi uczniami.

Pod drzewem siedział ślepiec i akompaniując sobie na cytrze (albo innym szarpanym instrumencie muzycznym) dźwięcznym głosem śpiewał długą, bardzo długą pieśń.

— O czym on śpiewa? — zainteresowali się senatorzy.

— O podróżach jakiegoś miejscowego bohatera — odpowiedział przysłuchawszy się koordynator i z szacunkiem dodał: — Epos!

Czarnoskórzy niewolnicy nieśli w otwartej lektyce swoją panią…

Zaturkotał wóz…

Dziwnie wyglądający nagi człowiek wyskoczył zza węgła. Z okrzykiem: „Eureka!” podbiegł do członków komisji i wymachując rękami zaczął coś w uniesieniu wywrzaskiwać.

— Mówi — przetłumaczył koordynator — że przed dziesięciu minutami odkrył nowe prawo. Ciało, mówi, zanurzone w wodzie traci na ciężarze tyle, ile waży wyparta przez nie ciecz. Zuch z ciebie! Dobre prawo odkryłeś! — pochwalił mieszkańca grodu Ejbi Si poklepał go po ramieniu.

Wielki uczony dziarsko stuknął sandałami i znowu wrzasnąwszy „Eureka!” pobiegł dalej.

To, co zobaczyli na Unie, przeszło ich oczekiwania.

Tylko Głównego Koordynatora prześladowało dziwne uczucie, że gdzieś już to wszystko widział. I to nie raz. Ale gdzie i kiedy?

Szli pod górę i Główny dlaczegoś pomyślał, że teraz zobaczą morze i białe żagle statków. A kiedy rzeczywiście w dali ukazał się port i statki, Dabl Ju jakoś dziwnie popatrzył na Ejbi.

V

A późną nocą, kiedy zmęczeni członkowie komisji wrócili na stację kosmiczną i poszli spać, Główny Koordynator wezwał do siebie Ejbi.

— Chcę panu, koordynatorze, zadać trzy pytania, potem zaś zakomunikować przyjemną nowinę. Pierwsze pytanie: jak długo budował pan to miasto?

— Nie rozumiem pana… — speszył się Ejbi.

— Niech pan nie odstawia durnia — przerwał Dabl Ju. — Więc jak długo?

— Trzy lata… — westchnął koordynator.

— No cóż. Nawet przy tej technice, jaka była na Unie, to dość prędko. Z pana, jak widzę, doskonały organizator.

Ejbi skonfundowany zachichotał. Prawdę mówiąc miał nadzieję, że wszystko jakoś przyschło, a tu masz ci los!

— Piękne miasto pan zbudował, ale trochę zbyt nowe, jak z igły…

— Nie było czasu imitować zabytków, chociaż należało…

— Drugie pytanie: gdzie mogłem widzieć dokładnie takie samo miasto?

— W pańskiej sali konferencyjnej. Na obrazie. Piąty od lewej.

— Oczywiście! — przypomniał sobie od razu Dabl Ju. — Tak jest, piąty od lewej… I jakże pan go tak dokładnie zapamiętał?

— Przez dwieście lat oglądałem! Zapamiętałem chcąc nie chcąc.

— I pytanie ostatnie: od kiedy pańskie sprawozdania nie odpowiadały prawdziwemu stanowi rzeczy?

— Niemal od samego początku — rozłożył ręce Ejbi. — Tubylcy się nie śpieszą… W nosie mają i KRZ, i KWoR. Dzikusy!

— No, teraz i tak wszystko jedno. Otrzymałem zawiadomienie, że różowa opozycja zwyciężyła w Senacie i kontynuowanie naszej pracy uznano za bezcelowe. Tak. Udało się panu!

— Dlaczego? — nie zrozumiał Ejbi.

— Ano dlatego że powrócimy na Oz i pańska tajemnica na zawsze pozostanie tajemnicą…

— Ale pan wie! I może pan…

— Co mogę? Opowiedzieć, że jakiś tam koordynator trzeciego stopnia dwieście lat wodził minie za nos?… Nawiasem mówiąc, za sporządzanie interesujących sprawozdań Parlament przyznał panu tytuł koordynatora pierwszego stopnia. Gratuluję! I proszę mi nie dziękować. Uratowała pana wojna na Miksie. — Dabl Ju zamilkł. — Zresztą, o ile dobrze teraz rozumiem, na wychwalanym Miksie rozkwit nauki i techniki był tak samo nieprawdziwy, jak rozkwit społeczeństwa niewolniczego na Unie!

— A co z wojną bakteriologiczną?

— Tak, straszliwe bakterie, z których powodu żadna komisja nie odważyła się lądować na Miksie, to też nieźle pomyślane. Ależ mam zdolnych koordynatorów! Jeden lepszy od drugiego!

VI

Tak zakończyła się ta największa z wielkich ekspedycji kosmicznych.

Pozostawieni samym sobie mieszkańcy planet powolutku się rozwijali.

A po trzydziestu tysiącleciach uniańscy archeologowie odkryli w nieprzebytych dżunglach opuszczone miasto nieopisanej piękności, wcale niepodobne do innych miast Uny i zbudowane z nie znanych na Unie materiałów.

I przypomnieli sobie wówczas stare legendy o nie wiadomo skąd przybyłych ludziach, co nie wiadomo dokąd wywędrowali, którzy umieli pono to, czego nikt nie umiał i dotychczas jeszcze nie umie.

I zaczęto mówić, że na długo przed współczesną cywilizacją istniała na Unie inna, jeszcze bardziej rozwinięta cywilizacja.

Nikt, co prawda, nie mógł wyjaśnić, dlaczego pozostało po niej zaledwie jedno miasto i żadnych więcej śladów. Ale i to uważano za potwierdzenie legendy.

Wysuwano i odrzucano hipotezy, tworzono i obalano koncepcje.

Tajemniczy gród dał asumpt do napisania 22 442 rozpraw, stworzenia 10237 powieści i nakręcenia 1143 filmów. W żadnym jednak z wymienionych dzieł autorom i tak nie udało się dotrzeć do istoty rzeczy. Jeśli oczywiście nie liczyć tego niedługiego, lecz w pełni wiarygodnego opowiadania.

Przełożył z rosyjskiego Bolesław Baranowski

Sakyō Komatsu
PAPIER CZY WŁOSY

Kami ka kami ka

Drogi czytelniku, muszę cię prosić na samym początku, abyś przeczytał tę opowieść tak szybko, jak tylko potrafisz. Chociaż i tak nie ręczę, czy doczytasz rzecz do końca, choćbyś nie wiem jak się śpieszył.

Nie zalecam jednak czytania po łebkach. Nie umiem opowiadać inaczej jak dokładnie, po kolei, obawiam się więc, że przerzucając tylko niedbale stronice nie uchwycisz tego najważniejszego, co mam do przekazania na samym końcu. Ach, jakżebym chciał, abyś już znał zakończenie tej historii. Życzę ci, i sam również pragnę tego gorąco, aby ta próba zakończyła się pomyślnie…

Słucham? Żebym, w takim razie, od razu powiedział, co mam do powiedzenia? Kiedy mówię przecież, taki już mam charakter — a naraziło mnie to na niemałe kłopoty w moim dziennikarskim fachu że nie potrafię inaczej opowiadać, jak systematycznie, fakt po fakcie.

Od czego by tu więc zacząć? Chyba od tego wieczora, nim się to wszystko — wiecie, o czym mówię — wydarzyło. Tylko błagani, proszę mnie nie ponaglać.

Zasiedziałem się wtedy u Nomury, mego przyjaciela, popijając zdrowo do późna w nocy. Nomura, młody, zdolny biochemik, prowadził wówczas badania naukowe dzięki sporym funduszom uzyskanym na ten cel od pewnej poważnej firmy. Dziwny z niego człowiek, jakby niezupełnie normalny, jakby nie z tego świata, albo raczej pozbawiony poczucia rzeczywistości. Tego wieczora, chociażby, ściągnął mnie do siebie ni mniej, ni więcej tylko na… seans telepatii hipnotycznej z udziałem jego starszej siostry Mayako.

I ona, podobnie jak braciszek, była niezupełnie normalna i może właśnie dlatego miała jakoby być obdarzona właściwościami medium. Jeśli o mnie jednak chodzi, bynajmniej nie podniecały mnie takie sprawy jak duchy czy telepatia. Niekłamane natomiast zainteresowanie budziła we mnie whisky Johnnie Walker z czarną etykietką, której niewyczerpane zapasy można było zawsze znaleźć u Nomury. A że był to luksus, na który początkujący dziennikarz nieczęsto mógł sobie pozwolić, korzystałem czasami z gościnności Nomury i pomagałem mu w opróżnianiu butelek tego szlachetnego trunku (nieraz aż trzech w ciągu wieczora).

Nomura upodobał sobie picie pod przepowiednie swojej siostry,

pod nieartykułowane brednie, które plotła bez końca, kiedy wpadała w trans. Cóż, różne bywają dziwactwa. Opowiadają, że przed laty mistrz Fukuchi Ochi, dostojnik z Ikunohata, miał oblubienicę, która nie mogła zasnąć, jeśli nie słyszała trzasku zamykanego wieczka od złotego zegarka mistrza. Kiedy zaś zachorowała, ten nadzwyczaj mądry, wszechstronnie utalentowany człowiek zniszczył kilkadziesiąt złotych zegarków trzaskając nimi u wezgłowia chorej. Może więc w porównaniu z tym nawyk Nomury nie był aż tak nadzwyczajny. W każdym razie mnie jasnowidztwa jego siostry działały mocno na nerwy i nieraz przyprawiały o ból głowy. Zdarzało się, że ni z tego, ni z owego wpadała w stan hipnotyczny i częstowała nas proroctwami w rodzaju: „…Marsjanie na co dzień odżywiają się kimchi[7], można dorobić się majątku eksportując z Ziemi gumę do żucia dla usuwania nieprzyjemnego zapachu z ust", albo: „…Przyszłość świata należy do karaluchów…" i innymi podobnymi przyjemnościami.

Tego wieczora, kiedy mi już dobrze szumiało w głowie, spytałem Nomury, czy przepowiednie Mayako w ogóle się kiedyś sprawdzają.

— Czy się sprawdzają? — powtórzył Nomura. — Ależ człowieku, nie bierz sobie tego tak do serca. Możesz słuchać tego jak płyty długogrającej. Owszem, zdarza jej się trafić, może raz, dwa razy na sto. Chociaż, dziwna rzecz, kiedy przepowie coś paskudnego, na ogół się sprawdza.

— Stanie się coś strasznego! — nieswoim głosem krzyknęła nagle dziewczyna. Zadrżałem z przerażenia i spojrzałem na twarz Mayako: a nuż usłyszę za chwilę, że ożenię się z Mayako albo coś równie miłego…

— Coś strasznego? To znaczy co? — spytałem.

— To ma jakiś związek z badaniami brata.

Tym razem strach obleciał Nomurę.

— Co tu mają do rzeczy moje badania?

— Rano… Bardzo wcześnie… Ulice są jeszcze puste. — Mayako bełkocze ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal. — Zbliża się roznosiciel mleka… Stawia pod drzwiami butelkę z niezwykłą, wydłużoną szyjką. O, tuż za nim nadchodzi jakaś dziwna postać. Przed sobą pcha taczkę załadowaną po brzegi arkuszami blachy albo czegoś w tym rodzaju.

— Może blacharz?

— Raczej nie. Zbliża się do wszystkich domów po kolei i pod drzwi wkłada po arkuszu blachy. Cóż to może być?

Naraz głowa Mayako gwałtownie opadła i po chwili rozległo się głośne chrapanie. No tak, teraz będzie już tak spała przez cały dzień. Nomura miał minę bardzo niewyraźną.

— Co ty za badania prowadzisz, hę?

— Nie mogę powiedzieć. Tajemnica przedsiębiorstwa — odrzekł

Nomura wylewając do szklanki resztki whisky. — Niechby tylko jakiś dziennikarzyna wywąchał sprawę, toby się zakotłowało! No, ale może i my wreszcie pójdziemy spać. Co ty na to?

— Coś podobnego, już świta! — spojrzałem na zegarek i podniosłem się z miejsca. Lada chwila powinienem mieć pierwszy pociąg. Pojadę do domu i prześpię się.

Nomura przeciągnął się i też wstał.

— No, to życzę dobrego dnia. A wyśpij się porządnie. Bywaj!

Był zwyczajny poranek. Ulicę spowijała poranna mgła, ani żywej duszy, tylko sylwetka gospodarza Nomury majaczyła jak w teatrze cieni. Na rogu stał samochód mleczarza. Roznosiciel z rozdziawioną gębą nieprzytomnie przyglądał się platformie obryzganej mlekiem. Może butelki się poprzewracały? W drodze na dworzec minąłem młodego chłopca, roznosiciela gazet. Widocznie rozniósł już wszystko, bo po bokach luźno majtały się mu rzemienie do związywania gazet. Krok miał jakby niepewny, na twarzy widać było ślady łez. Nie zwróciłem na to specjalnej uwagi. W głowie mi porządnie szumiało, poszedłem dalej w stronę dworca.

Na stacji nikogo jeszcze nie było. Do odejścia pierwszego pociągu zostało zaledwie parę minut. Wyciągnąłem bilet i zamierzałem przejść obok kontrolera na peron, gdy ten schwycił mnie nagle za rękę.

— Zaraz, zarazi A miesięczny?

— Przecież pokazuję. Nie widzi pan? — podsunąłem mu pod nos ramkę z biletem miesięcznym.

— Nie widzę.

— Niech pan dobrze popatrzy. — I nagle sam zobaczyłem. Ramka była pusta. Co się stało? Przecież nie dalej jak wczoraj wysiadłem na tej stacji w drodze do Nomury i bilet był z całą pewnością na swoim miejscu. — Zgubiłem po pijanemu czy co? — mruknąłem pod nosem, żeby pokryć zmieszanie. Wkładka, gdzie trzymałem wizytówki i bilety na metro, była pusta.

— Niech pan wykupi bilet — poradził mi antypatyczny pryszczaty kontroler i odwrócił się w drugą stronę. Było mi głupio, ale przede wszystkim zmartwił mnie sam fakt zgubienia biletu i wizytówek. Dopiero co go wykupiłem. No tak, a między kartami wizytowymi był też abonament obiadowy do stołówki redakcyjnej. A niech to! Przez chwilę myślałem, czy nie wrócić do Nomury, ale spać mi się chciało okrutnie, postanowiłem więc wpaść po to wszystko kiedy indziej.

Kasy były jeszcze zamknięte. Wyszukałem odpowiednią monetę i podszedłem do automatów. Coś mnie w tym momencie zastanowiło, rozejrzałem się wokół siebie. Coś tu było nie tak. Ale co, nie wiedziałem. Wrzuciłem monety do automatu z biletami za 30 jenów i nacisnąłem guzik. Rozległ się chrzęst, ale zamiast biletu z otworu wysypała się szczypta jakiegoś prochu.

— Ej tam! — już zupełnie wściekły krzyknąłem na kontrolera — ten automat jest zepsuty!

— To niemożliwe.

— Możliwe czy niemożliwe, biletu nie wydaje, mimo że wrzuciłem monety. — Musiał się przestraszyć mego gniewu, bo po chwili krzyknął w stronę kas.

— Otwórzcie już, zacznijcie sprzedawać!

Ale kas nie otwierano. Z głębi dochodził tylko podniesiony głos, jakby ktoś rozmawiał przez telefon.

— Co? Tak, tak, absolutnie wszystko. Co? U was też? Co się dzieje? Co robić?

Stacja powoli zapełniała się pasażerami. Niektórych, tak jak mnie, zatrzymywano przy przejściu kontrolnym, inni wracali i nerwowo przeszukiwali kieszenie. Jeszcze inni podchodzili do automatów i po bezskutecznym mocowaniu się z guzikami szli do kas i łomotali w zamknięte okienka. — Co się dzieje! Sprzedawajcie bilety! Spieszymy się do pracy, a automaty popsute!

W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, co mnie przedtem tak zastanowiło. Otóż ściany dworca, zwykle oblepione najrozmaitszymi plakatami reklamowymi i afiszami turystycznymi, były puste. Tabela przedstawiająca schemat sieci kolejowej była na swoim miejscu, ale wszystkie różnobarwne plakaty ozdabiające zieloną tablicę ogłoszeń — znikły. Pozostały po nich jedynie pinezki i nieco pyłu na framudze.

— Proszę o spokój! Cisza, proszę państwa! — rozległ się za moimi plecami głos kontrolera. Przed przejściem kontrolnym zebrał się już spory tłum i zanosiło się na grubszą awanturę.

— Co to ma znaczyć! Mamy się przez was spóźnić do pracy? — krzyczeli jeden przez drugiego. — Natychmiast sprzedawać bilety. Czekamy już prawie pół godziny. Co się tam dzieje?

Z trzaskiem rozbiło się okienko.

— Proszę się nie awanturować. Na pewno coś zaradzimy — ratował sytuację kasjer. — I tak pociąg jest opóźniony. Właśnie informujemy się telefonicznie, co robić.

— Co z biletami?

— Z biletami… Biletów nie ma. Nie ma ani jednego. — Kasjer był bliski płaczu.

— To chyba nie nasza wina, że nie ma biletów. Wpuśćcie nas bez biletów!

— Nie można! Jakże tak, bez biletów. Regulamin zabrania…

— Ty, biurokrato! — uniósł się ktoś. — Wydajcie nam w takim razie zaświadczenia o opóźnieniu pociągu.

— No tak, ale… — bąkał kasjer. — Jak mam wydać zaświadczenia, kiedy…

W tej chwili rozległ się szum i — z ponad trzydziestominutowym

opóźnieniem na peron wjechał pierwszy pociąg elektryczny. Tłum, ledwo mieszczący się już na dworcu, runął w stronę wejścia. Ludzi jakby coś opętało. Drewniane drzwiczki poszły w drzazgi. Usłyszałem przez wrzawę błagalny krzyk kontrolera, ale nie miałem nawet chwili, żeby się obejrzeć. Wskoczyłem na parapet jakiegoś kiosku i zacząłem pośpiesznie fotografować oszalały tłum miniaturowym aparatem, który stale noszę przy sobie.

Dojechałem szczęśliwie do stacji docelowej, wyszedłem do miasta, złapałem taksówkę i kazałem wieźć się do redakcji.

— Co się dzieje? — zagadnął mnie szofer — na poprzedniej stacji awantura, tu to samo…

— Biletów nie chcą sprzedawać!

— A dlaczego?

— Sam nie wiem, ale coś dziwnego jest w tym wszystkim.

Pomyślałem, że ta taksówka może mnie nieźle kosztować, dobre tysiąc jenów aż do redakcji. Pośpiesznie wyciągnąłem portfel. Powinna być jeszcze jakaś połowa pensji… ale, co to? Nie ma nic?! Portfel był pusty: znikły, jakby je kto wymiótł, banknoty pięciotysięczne, dziesięciotysięczne, wszystkie co do jednego. Obracałem portfel na wszystkie strony, ale jedyne, co ujrzałem, to miałki pył wysypujący mi się na kolana. I w tej chwili dopiero zaczęło mi świtać w głowie. Goś dziwnego dzieje się z papierem. Papier znika! Cały papier, jaki jest na świecie, ni stąd, ni zowąd znika nagle bez śladu. Albo też… Nie, to niemożliwe. To pewnie jakieś lokalne zjawisko — pocieszałem się, ale w tej chwili dreszcz mnie przeszedł. A co będzie, jeśli rzeczywiście papier zniknie. A niech to wszyscy diabli… Takie kapitalne zdjęcia zrobiłem i nawet gazet nie będzie, gdzie mógłbym je zamieścić…

Ledwo podjechaliśmy na miejsce, wyskoczyłem z auta i podbiegłem do budki portiera.

— Dziadku, pożycz mi trochę grosza — wymamrotałem z trudem łapiąc oddech. — Zaraz oddam.

— Co pan, żarty sobie stroi. Nie mam ani jednego banknotu.

A więc jednak… Czułem, że blednę.

— No to w takim razie, daj pan trochę monet.

— Co pan! Monety teraz to bogactwo. Zostały mi zresztą same dziesięcio- i stujenówki.

Wściekły obróciłem się na pięcie i podałem kierowcy, który stał za mną, zegarek. — Zapłacę panu innym razem, wtedy mi go pan odda. Dobry zegarek, z kalendarzem.

— Niech pan pójdzie na górę — krzyknął portier — tam się dopiero dzieje. No, no, co to będzie…

Wbiegłem po schodach, otworzyłem drzwi pokoju redakcyjnego i — przed oczami roztoczył mi się straszliwy widok.

Ktoś miotał się po pokoju, krzycząc jak opętany. Inni zbili się w grupki i kłócili zażarcie wymachując rękoma. Telefony urywały się, aż uszy rozsadzało od kakofonii dzwonków. Ktoś wydzierał się do słuchawki, jakby ją miał za chwilę ugryźć. Paru osunęło się bezwładnie na krzesła i siedziało z otępiałymi minami. Widok był dantejski, istny pożar w szpitalu wariatów. I rzeczywiście nikt chyba w tym momencie nie był przy zdrowych zmysłach.

I czyż można się dziwić? W ciągu jednej nocy znika wszystko, co jest owocem naszej pracy, co z wielkim nakładem sił dzień po dniu przelewaliśmy na papier. Wszystko — dokumenty, rękopisy, wycinki, notatki, odbitki korektorskie, słowniki, cała makulatura, wyrzucone manuskrypty, które nie mieściły się już w koszach i walały po podłodze — wszystko to wymiecione bez śladu. Pod sufitem, na drutach smętnie zwisały klamerki, które nie miały już czego przytrzymywać.

Któryś z kolegów z nienaturalnym śmiechem rzucił się w stronę archiwum i zaczął wyrzucać na podłogę pudła po aktach.

Patrzyłem na to wszystko oszołomiony stojąc na progu, gdy wpadł na mnie z całym impetem jeden z redaktorów.

— Gon — złapałem go za rękę. — Naprawdę wszystko…

— Tak, braciszku, koniec, wszystko przepadło. — Poczułem zapach alkoholu. — W magazynach oczywiście też nic nie zostało. Zamówiliśmy pilną dostawę papieru, ale z całego transportu została szczypta prochu na ciężarówkach. Tak to wygląda.

— Ale o co chodzi? W czym rzecz? — wykrztusiłem falsetem ze zdenerwowania. — Przecież to czysty obłęd!

— Ba, któż to może wiedzieć — powiedział Gon lekko się chwiejąc. — Tak czy owak, z nami, dziennikarzami koniec, powiadam ci. Wyciągnął zza siebie butelkę, łyknął zdrowo, po czym uniósł butelkę do góry.

— Patrz, etykietkę też diabli wzięli. Teraz nawet nie wiesz, co pijesz: pierwszy gatunek sake, zwyczajną, czy w ogóle jakieś świństwo.

Obłąkańcze sceny działy się wszędzie — w zecerni, w hali maszyn, w dziale ekspedycji. Jeszcze niedawno aż kipiało tu od roboty, wrzało jak na polu bitwy. A teraz… W powietrzu czuło się takie napięcie, że jeszcze moment, a wszyscy rzucą się na siebie z pięściami.

Wróciłem do swego pokoju, wyciągnąłem jakąś butelkę alkoholu i ciężko opadłem na krzesło. Przy sąsiednim biurku kolega rzucał się raz po raz do telefonu, po czym powtarzał w kółko: — Wszędzie to samo, wszędzie to samo.

— W całym kraju to samo? — spytałem.

— W całej Japonii, i to w jednej chwili. A właściwie w ciągu

półtorej godziny, gdzieś od 3.20 nad ranem.

— A depesze z zagranicy. Co mówią w dziale korespondencji?

— Telex wysiadł. Próbowali łapać coś na krótkich falach. Wygląda na to, że na całym świecie…

— Halo! Tak. Co? Tak, wiem. Co takiego? — nie słuchając do końca rzucił z całej siły słuchawkę. Rozpadła się na dwoje.

— Mobilizacja sił samoobrony — rzucił. — A niech to wszyscy diabli! Takie rzeczy się dzieją, a tu nawet głupiej notatki nie ma gdzie zamieścić.

— Siły samoobrony? A cóż one mają wspólnego…

— Wszędzie zaczynają się rozruchy. Zanotowano kilka włamań do banku. Pomyśl tylko — wszystkie banknoty, wszystkie księgi, zapisy bankowe i książeczki oszczędnościowe przestały istnieć. Kupcy boją się sprzedawać swoje towary. Doprawdy, dziwiłbym się, gdyby był spokój.

— A co z naszą wypłatą?

— Jaką wypłatą, skoro gazetę diabli wzięli. Wyobrażasz sobie, jak teraz ci z radia zaczną nosa zadzierać?

— Daj papierosa.

— Aa, proszę bardzo, jeśli tylko potrafisz to zapalić, proszę, proszę. Wysypał z pudełka pokruszony tytoń. — Uprzedzam, szkoda fatygi, fajki nigdzie nie dostaniesz, wykupione wszystkie co do jednej. Pożycz no mi swojej chusteczki.

Dobrodusznie wyjąłem chustkę, podałem mu ją i — tyle go widziałem.

— Czy ktoś pamięta numer telefonu Zakładów Chemicznych Sp. Akc. — odezwał się kolega z redakcji ekonomicznej. — Podobno mają tam produkować papier z mas plastycznych. Ci muszą teraz skakać do góry z uciechy. No więc, zna ktoś ich telefon?

— Czego się drzesz. Masz chyba gdzieś zapisany.

— Mam, a jakże. Tylko że notesu nie mam.

— No to sprawdź w książce telefonicznej — poradził któryś roztropnie.

— A idź ty do wszystkich diabłów! — Redaktor działu ekonomicznego wściekły zaczął wydzwaniać do biura numerów, a kiedy się wreszcie dodzwonił, usłyszał, że oni też nie wiedzą, zawsze przecież informują z książki telefonicznej. Obłęd. W końcu postanowił sam tam pójść i wyszedł z redakcji.

— Wie, że i tak nigdzie niczego nie wydrukuje — rzucił ktoś za nim — a mimo to poleciał. Ot, reporterska dusza.

Wrócił już mój sąsiad, poprosiłem go więc, żeby mi oddał chusteczkę.

— A skąd ci wezmę — odparł najspokojniej w świecie. — Wyobraź sobie, że i papier toaletowy znikł.

— Ej, coś nadają w telewizji — krzyknął ktoś i wszyscy rzuciliśmy się do aparatu. Do tej pory zarówno w radio jak i w TV była przerwa w nadawaniu. Tam również, choć w niewielkiej mierze, stosowane są części z papieru — folie indukcyjne, kondensatory — więc trwało to nieco, nim usunęli awarie. Kiedy w końcu pojawił się na ekranie obraz, okazało się, że był niemy. Nie działały głośniki. Biedny lektor pokazywał coś na tablicy, wychodził, potem znowu wracał, w ogóle scena była dość osobliwa. W miarę patrzenia zaczęliśmy jednak uzmysławiać sobie, jakie rozmiary przybierała katastrofa.

Na posiedzeniu gabinetu podjęto ustną uchwałę o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Ponadto wydano rozporządzenie o bezpłatnym korzystaniu z transportu kolejowego oraz bezpłatnym zaopatrywaniu rynku w towary pierwszej potrzeby. Działalność urzędów państwowych, spółek finansowych i przemysłowych została sparaliżowana. Spiker, drżąc na całym ciele, apelował do obywateli o zachowanie spokoju.

— Słuchaj — trzepnął mnie po ramieniu naczelny — leć do Instytutu Mikroorganizmów. Podobno jeden uczony, nawiasem mówiąc mój znajomy, doszedł, jaka jest przyczyna tego wszystkiego. Mówię ci, będzie rewelacja.

— Co nam z rewelacji, jak nie mamy gazety?

— Wypiszemy na kawałku forniru i wywiesimy przed redakcją — uderzył się w pierś dumny ze swego pomysłu. — Papier nie papier, oto gdzie tkwi duch dziennikarski. No leć na jednej nodze i zaraz wracaj.

Kiedy wychodziłem na ulicę, złapał mnie za rękę młody pisarz i eseista, ostatnio bardzo modny.

— No i co będzie? Co będzie z moim honorarium i z moimi rękopisami. — Rozpacz miał wymalowaną na pobladłej twarzy. — Przecież ja żyję z pisania, co teraz pocznę?

— A może warto by się wziąć za naukę śpiewu? — Wyrwałem rękę i pobiegłem naprzód.

W drodze do Instytutu przyglądałem się przechodniom. Jedni szli otępiali, inni aż rwali się do awantury. Urzędnicy, „white collars”[8], pozbawieni swoich „papierów” nie mieli co robić w biurach. Przepadły listy imienne i listy obecności, mogli więc w godzinach pracy robić, co im się żywnie podobało. Miasto bez plakatów, ogłoszeń, bez śmieci na ulicach wyglądało za to czyściutko i schludnie, aż przyjemnie było patrzeć.

Papier!

Jakże nietrwały materiał obrała sobie ludzkość dla przekazywania potomności dorobku swojej cywilizacji. Od czterech tysięcy lat, odkąd wynaleziono papirus, najświetniejsze osiągnięcia ducha ludzkiego powierzano kruchym, tak łatwo ulegającym zniszczeniu arkuszom papieru. Teraz, kiedy zostały utracone bez śladu, ludzkość utraciła

właściwie dowód na swoje istnienie.

Naukowiec, z którym miałem się spotkać w Instytucie Mikroorganizmów, bynajmniej nie wyglądał na wstrząśniętego. Przeciwnie, uśmiechał się promiennie, zadowolony, że ustalił przyczynę nieszczęścia. Dziwaczna rasa, ci uczeni. Zupełnie jakby żyli w innym świecie.

— Wiem! — wykrzyknął na przywitanie. Zacierając ręce podniósł głowę znad mikroskopu. — Cała ta afera to złośliwy kawał pewnego gatunku mikrobów.

„Ładny kawał, nie ma co” — pomyślałem.

— Bardzo rzadka odmiana, niespotykana na Ziemi. To Bacilla Cilcis Maioris, przywleczona na Ziemię prawdopodobnie przez pierwszą ekspedycję na Marsa. Nader dziwna, bardzo szczególna odmiana — kontynuował z lubością.

— Więc dlaczego nie uporano się z nią natychmiast, skoro jest tak niebezpieczna?

— Ależ początkowo była najzupełniej niegroźna. Na ludzki organizm nie oddziaływuje w najmniejszym stopniu. Przypomina w zachowaniu ziemskie odmiany bakterii, które powodują niszczenie tkanki materiałów tekstylnych… Tak, przypuszczalnie przywieziona przez rakietę, przystosowała się do warunków ziemskich mieszając się z innymi odmianami.

— Jakim więc sposobem, jeśli jest tak nieszkodliwa, narobiła tyle bigosu?

— A to spowodowała jeszcze inna odmiana, odmiana sztucznie wyhodowana przez człowieka.

— Wyhodowana przez człowieka? To znaczy, rozmyślnie przez kogoś stworzona…

— Zgadza się. Jest zupełnie wykluczone, aby odmiana o tak silnym działaniu pojawiła się w sposób naturalny. To odmiana, powtarzam, sztucznie wyhodowana. Szybkość jej rozmnażania przewyższa dwieście razy szybkość, z jaką rozmnażają się osobniki należące do odmiany podstawowej, a to w warunkach ziemskich oznacza podwojenie się całego gatunku w ciągu jednej dziesiątej sekundy. Po drugie, reprodukcja następuje przez podział w stadium zarodkowym. Środowiskiem, jakie wybiera odmiana w tej fazie rozwoju, jest powierzchnia papieru. Środowisko to — w momencie przechodzenia bakterii ze stanu zarodkowego w formę ukształtowaną — zostaje przez nie pochłonięte. Niewątpliwie proces ten rozpoczął się znacznie wcześniej, tak że kiedy dziś o świcie sprawa wybuchła, cały papier, jaki się tylko znajdował na kuli ziemskiej, był już opanowany przez zarodki tego mikroba.

— I dziś rano, kiedy te zarodki przeobraziły się w osobniki dojrzałe, w jednej krótkiej chwili… Ale, któż mógłby i w jakim celu

wyhodować tak potworną zarazę?

— Tego nie wiem. To wasze zadanie znaleźć odpowiedź na to pytanie. To mówiąc uczony na powrót obrócił się do mikroskopu. — W Instytucie Biologii Kosmicznej mają kulturę zarodków Cilcis Maioris. Wszyscy zainteresowani stamtąd pobierali próbki do swoich badań. Powinni mieć listę tych, komu je wydawano.

Ale oczywiście żadnej listy nie było. I nie tylko listy! Znikły nalepki z nazwami poszczególnych mikroorganizmów, tak że nie wiadomo było, jaki pojemnik co zawiera. W Instytucie palono właśnie, w obawie przed niebezpieczeństwem wszystkie nie zidentyfikowane, bezcenne niekiedy okazy mikroorganizmów kosmicznych.

Próbowałem dowiedzieć się czegoś na temat Cilcis Maioris. Łapałem po kolei pracowników uwijających się jak w gorączce i zarzucałem pytaniami. Czy ktoś nie przeprowadzał badań na tych przeklętych żyjątkach w zachowaniu przypominających mole? Padała niezmiennie odpowiedź: „nie". Czy wobec tego wydawano ją komuś z zewnątrz? Owszem. Komu? Hmm, nie wiem, i nie pamiętam, a w ogóle niech pan głowy nie zawraca. Jesteśmy bardzo zajęci i możemy jeszcze przypadkiem wylać na głowę zarazki wenusjańskiej grzybicy. A to rzadkie paskudztwo wywołuje egzemę nie tylko między palcami u nóg, ale na całym ciele!

Udało mi się mimo wszystko znaleźć w końcu młodą urzędniczkę, która przypomniała sobie kilku odbiorców bakterii.

— Tak, nie była to specjalnie interesująca odmiana, amatorów na nią było stosunkowo niewielu. Na ogół laboratoria uniwersyteckie. Mam nadzieję, że zachowano odpowiednie środki ostrożności… — Wymieniła nazwy kilku laboratoriów, które niezwłocznie zapisałem na mankiecie koszuli.

— A tak, i jeszcze… — krzyknęła za mną, kiedy szykowałem się już do wyjścia — pewna pracownia przy jakiejś firmie przemysłowej również pobrała próbki. Nie był to żaden instytut naukowy, prowadzono tam tylko badania na zlecenie tej firmy.

— Co takiego? — Obróciłem się gwałtownie w jej stronę. — Jaka firma, gdzie, jak się nazywa?

— Jakieś duże zakłady chemiczne. W nazwie miały „Spółka Akcyjna", czy coś w tym rodzaju…

I nagle — olśnienie! No tak, wszystko się zgadza. Znalazłem telefon, przedzwoniłem do redakcji i poprosiłem kolegę z działu ekonomicznego, który udał się do Zakładów Chemicznych Sp. Akc. Na szczęście był już z powrotem. Z jego relacji wynikało, że i zakłady te, jak tyle innych, były w stanie zupełnej dezorganizacji, zawieszono przyjęcia interesantów. Dałem mu adres Nomury i poprosiłem, żeby natychmiast do niego poszedł, a sam próbowałem połączyć się z Nomurą. Przecież nie kto inny, tylko mój poczciwy Nomura prowadził

badania na zlecenie tej firmy.

— A, to ty — podniósł w końcu słuchawkę Nomura. Głos miał zaspany i wyraźnie skacowany. — Też pomysły dzwonić o tej porze, przecież dopiero dziesiąta.

— Nieważne. Słuchaj, zamknij się w mieszkaniu i nie wpuszczaj nikogo, póki do ciebie nie przyjedziemy. Aha, jeszcze jedno. Radzę ci, zwróć się do policji o ochronę.

— Poczekaj, co ty pleciesz?

— Co plotę? A Cilcis Maioris — nic ci nie mówi? W telefonie słyszałem, jak z trudem łapie oddech. — Przy odrobinie zachodu łatwo będzie dojść po nitce do kłębka. Radzę ci, miej się na baczności. Ci faceci, co ci zlecili tę robotę, nie będą się wahać i unieszkodliwią cię, żeby cała afera nie wyszła na jaw.

Kiedy przybiegłem na miejsce, zastałem już reportera z mojej redakcji. Nomura był blady jak ściana. I miał powody.

— Oni tu rzeczywiście się kręcili. Zachowywali się, jakby zamierzali mnie porwać. Na szczęście dom jest obstawiony przez patrol ochronny.

— I coś ty najlepszego zrobił — złapałem go za klapy ubrania. — Nie miałeś nic innego do roboty, tylko paprać się tą cholerną bakterią?

— Zaistniała, że się tak wyrażę, nieprzewidziana okoliczność — wymamrotał półżywy Nomura. — Wcale nie to było moim zamiarem. Zlecono mi po prostu wyhodowanie odmiany, która w niewielkim tylko stopniu działałaby destrukcyjnie na papier. Takiej, której działanie byłoby nie nazbyt gwałtowne. A jednocześnie miała być odporna na konwencjonalne środki bakteriobójcze.

— A wiedziałeś, na co było im to potrzebne?

— Przypuszczałem, że może dla likwidacji odpadów papierowych.

— Ech, uczeni, ma jakim świecie wy żyjecie, co wy wiecie o życiu? Mam ci wytłumaczyć, o co im chodziło? — rozgorączkował się ten z redakcji ekonomicznej. — Chodzi o ten papier syntetyczny. Te twoje zakłady nawiązały kontakt z jakimś obcym trustem i miały za zadanie przeprowadzić badania związane z produkcją tego papieru, liczyły na kolosalny zbyt. Tymczasem rezultaty okazały się dość mizerne — nie udało im się ani obniżyć w poważniejszym stopniu kosztów produkcji, ani zalety nowego produktu, z wyjątkiem może większej odporności na wilgoć i zniszczenie, nie były aż tak nadzwyczajne. W dodatku, spodziewając się ogromnych zysków, firma obniżyła w celach konkurencyjnych ceny na podstawowe artykuły chemiczne. Gdyby się okazało, że plastykowy papier nie idzie, firma byłaby zmuszona ponownie podnieść te ceny, a to równałoby się bankructwu.

Tu spojrzał z politowaniem na Nomurę, gładząc się po brodzie.

— Uczony dostaje pieniądze na badania i jest zadowolony, nic go

więcej nie obchodzi. Ale wielki biznes zdolny jest do wszystkiego. Znacie chyba słynną historię z tą wielką firmą elektryczną gdzieś za granicą. Trzymała w ukryciu patent na lampy luminescencyjne tak długo, póki nie zamortyzowała się jej nowo zbudowana wytwórnia tradycyjnych żarówek. Albo weźcie te lampy jarzeniowe, które są teraz w powszechnym użyciu. Jeszcze niedawno ich żywot wynosił tysiąc trzysta godzin, a obecnie — jakiż postęp technologiczny — zmniejszył się do tysiąca. Przyczyna jest prosta: nie ma na nie popytu, bo nie wytrzymują konkurencji z lampami luminescencyjnymi.

— Rozumiesz już, coś ty narobił? — potrząsnąłem Nomurą. — Otwórz szeroko oczy! Zbudź się, bo znowu każą ci wyhodować bakterię dżumy albo innej cholery, a może zlecą ci wyprodukowanie gazu trującego.

Nomura żałośnie mrugał oczami.

— Ale ja nie chciałem… To wcale nie miała być odmiana o tak silnym działaniu. Tak, już wiem, dlaczego tak się stało. To z powodu aparatury oczyszczającej w pracowni.

— Chcesz powiedzieć, że ty jesteś niewinny, czy tak?

— Stworzenie tego paskudztwa nie było moim celem. Tylko w pracowni, gdzie prowadzę badania, ze względów oszczędnościowych zastosowano aparaturę chroniącą przed promieniami gamma opartą na Kobalcie-60.

— No i co?

— W rozrzedzonej atmosferze Marsa oddziaływanie promieniowania kosmicznego jest znacznie silniejsze niż na Ziemi. Nie uwzględniono faktu, że mikroorganizmy marsjańskie są odporniejsze na promieniowanie kosmiczne od ziemskich. Jakiś procent pozostałych przy życiu bakterii musiał przeniknąć na zewnątrz. Na domiar złego, pod wpływem dawki radiacji Kobaltu-60 doszło w wyniku mutacji do powstania nowej, nieprzewidzianej odmiany, która to…

— Dosyć. Tak czy inaczej, nie kto inny, tylko ty właśnie przysłużyłeś się do zagłady naszej cywilizacji. I tego nie zmienisz. Tego, co utraciliśmy, nie odzyskamy. Ale co dalej, co można zrobić?

— Może istnieje sposób na zniszczenie tej bakterii — odezwał się ekonomista. — Być może zacznie się używać do zapisu błon filmowych, kto wie, może płyt metalowych. Nic jednak nie zastąpi papieru, to pewne. Jakże pogodzić się ze stratą tego wspaniałego, lekkiego, wygodnego, a przy tym taniego materiału! Ach, z jaką rozkoszą wciągnąłbym w nozdrza zapach farby świeżo wydrukowanej gazety…

— O całkowitej likwidacji nie ma nawet mowy — wtrącił się Nomura. — Bakterie dżumy także pozostają przy życiu w różnych zakątkach świata. A co dopiero ta bakteria. Jest tak silna biologicznie,

tak odporna, że zwykłymi środkami nie pozbędziemy się jej.

— A więc nie ma wyjścia?

— Myślę, że się znajdzie — rzekł Nomura. — W końcu, kto na świecie zna lepiej tę bakterię ode mnie. Sądzę, że powinno się udać wyprodukowanie takiego papieru, który byłby odporny na działanie Cilcis. Wezmę się natychmiast za badania, może w ten sposób odkupię moją winę…

— Zabieraj się, i to jak najszybciej — przerwałem mu. — Bo jak ci się nie uda, strzeż się: oddamy cię w ręce tłumu!

Nomura rozluźnił kołnierzyk. — Ale dajcie mi się przedtem napić — poprosił błagalnie.

— Nic z tego, bracie. Rekwirujemy twego „czarnego Johnnie", zanim czegoś mądrego nie wymyślisz. To będzie twoja kara. — Spojrzałem kątem oka na baterię butelek. — A tymczasem my się za to napijemy.

Nie wiadomo skąd pojawiła się znowu Mayako, siostra Nomury.

— Oddalisz jedno nieszczęście, ściągniesz inne — zawyrokowała ponuro. Co za obrzydły babsztyl, z przyjemnością dałbym jej dobrą nauczkę.

A więc, udało ci się, czytelniku, doczytać aż do tej stronicy? Książka nie rozleciała się, nie rozsypała się w trakcie czytania w proch. No to doskonale, dobrze i dla nas, i dla ciebie. Domyślasz się chyba, że Nomura osiągnął już pewne wyniki. Rzeczywiście, wziął się sam do produkcji papieru. Po otrzymaniu pulpy papierowej, nasycał ją roztworem, który miał chronić gotowy produkt przed katastrofalnym działaniem żarłocznej Cilcis Maioris. Uzyskany w ten sposób papier wytrzymywał początkowo nie dłużej niż godzinę, ale stopniowo udało się przedłużyć jego żywot do pięciu, a nawet sześciu godzin. Tak, walka była desperacka. Wreszcie to osiągnięto, że trwałość papieru przekroczyła okres stu godzin, później — przekroczyła barierę trzystu. Wciąż jednak sprawa jest niepewna, czy zdoła się przywrócić papierowi jego dawną trwałość w normalnych warunkach.

Trudno mi wprost opisać, z jakim wzruszeniem wziąłem do ręki pierwszy po długiej przerwie arkusz papieru. Jako dziennikarz przeżyłem to szczególnie mocno. Opanowała mnie, pamiętam, nieodparta chęć, żeby zaraz, natychmiast coś napisać. O czym? Oczywiście o tej całej sprawie, największej aferze ostatnich lat.

No i napisałem. To, co ty teraz, miły czytelniku, czytasz. Kiedy skończyłem pisać, owładnęła miną dzika chęć, aby to zaraz wydrukować. Polecieliśmy z moim kolegą z redakcji do pobliskiej drukarni i tam, na pokrytych warstwą kurzu linotypach, wydrukowaliśmy tę broszurkę.

Tak, wszyscy jesteśmy dziś nałogowymi pożeraczami druku,

potrzebujemy go jak narkotyku. Jakbym widział, czytelniku, jak z dreszczem emocji bierzesz do ręki te zapisane kartki, wchłaniasz zapach farby drukarskiej, nasycasz wzrok każdą linijką tekstu, jeszcze chwila, a zaczniesz obsypywać stronice pocałunkami. Rozumiem cię, przecież to pierwszy od trzech miesięcy druk na papierze. Ale nie martw się. Skoro książeczka ta dotarła do twoich rąk — przechodząc wszystkie kolejne etapy produkcji: rękopis, druk, oprawę — oznacza to, że badania nad środkami antybakteryjnymi weszły już w stadium praktycznych zastosowań. Tak więc, wszystko będzie dobrze. Już niedługo znowu wróci nasza utęskniona epoka papierowego zalewu. A moja redakcja szykuje się tymczasem do procesu sądowego wielkiej firmy przemysłowej.

Ale oto przyszła pora, abym wyjawił wam to, o czym wspominałem na samym początku mojej opowieści. Rzecz w tym, że środek, którym udało się unieszkodliwić tę paskudną bakterię, doprowadził zarazem do powstania innej, o odmiennych właściwościach. Ta nowa odmiana nie narusza wprawdzie tkanki papieru, natomiast — wchłonięta przez potarcie powoduje natychmiastowe wypadanie włosów u człowieka. Jeśli mam być szczery, i Nomura, i jego siostra, i ja — wszyscy jesteśmy łysi jak kolano. Tak więc, skoro przeczytałeś to moje opowiadanko, niezwłocznie przemyj ręce środkiem dezynfekującym, chociaż… i na to może być już za późno.

Ale w końcu, cóż znaczą włosy wobec cywilizacji ludzkiej, czyż nie mam racji? — A ty, co ty byś wybrał?

Papier czy włosy?[9]

Przełożył z japońskiego Henryk Lipszyc

Stanisław Lem
KONGRES FUTUROLOGICZNY

Ósmy Światowy Kongres Futurologiczny odbył się w Costaricanie. Prawdę mówiąc, nie pojechałbym do Nounas, gdyby nie profesor Tarantoga, który dał mi do zrozumienia, że tego się po mnie oczekuje. Powiedział też (co mnie dotknęło), że astronautyka jest dziś formą ucieczki od spraw ziemskich. Każdy, kto ma ich dość, wyrusza w Galaktykę, licząc na to, że najgorsze stanie się pod jego nieobecność. Prawdą jest, że nieraz, zwłaszcza w dawniejszych podróżach, wracałem z lękiem, wypatrując przez okno Ziemi — czy nie przypomina upieczonego kartofla. Toteż zbytnio się nie opierałem, a jedynie zauważyłem, że się na futurologii nie znam. Tarantoga odparł, że na ogół nikt nie zna się na pompowaniu, a jednak spieszymy na stanowiska, usłyszawszy okrzyk „do pomp!"

Zarząd Towarzystwa Futurologicznego wybrał Costaricanę na miejsce obrad, ponieważ były poświęcone potopowi ludnościowemu i środkom jego zwalczania. Costaricana ma obecnie najwyższą stopę przyrostu demograficznego na świecie; pod presją takiej rzeczywistości mieliśmy skuteczniej obradować. Co prawda — ale tak mówili tylko złośliwcy — nowy hotel, jaki zbudowała korporacja Hiltona w Nounas, świecił pustkami, a na zjazd miało przybyć oprócz futurologów — drugie tyle dziennikarzy. Ponieważ w toku obrad nie zostało z tego hotelu nic, mogę, nie bojąc się pomówień o reklamiarstwo, ze spokojnym sumieniem orzec, że był to Hilton znakomity. W moich ustach słowa te mają szczególną wagę, jestem bowiem sybarytą z urodzenia i tylko poczucie obowiązku skłaniało mnie do rezygnowania z wygód na rzecz astronautycznej mordęgi.

Costaricański Hilton wystrzelał na sto sześć pięter z płaskiego, czteropiętrowego cokołu. Na dachach niskiej części zabudowań mieściły się korty tenisowe, pływalnie, solaria, tory wyścigów gokartowych, karuzele, które były zarazem ruletkami, strzelnica (można tam było strzelać do wypchanych osób, do kogo dusza zapragnęła — zamówienia specjalne realizowano w dwadzieścia cztery godziny) oraz muszla koncertowa z instalacją do natryskiwania słuchaczy gazem łzawiącym. Dostał mi się apartament na setnym piętrze, z którego mogłem oglądać tylko górną powierzchnię sino — brunatnej chmury smogu, spowijającej miasto. Niektóre z urządzeń hotelowych zastanowiły mnie, na przykład trzymetrowy żelazny drąg stojący w kącie jaspisowej łazienki, pomalowana barwami ochronnymi peleryna maskująca w szafie czy worek z sucharami pod łóżkiem. W łazience wisiał, obok ręczników, gruby zwój typowej liny

wysokogórskiej, a na drzwiach, gdym po raz pierwszy wetknął klucz do zamku Yale, zauważyłem małą tabliczkę z napisem „Dyrekcja Hiltona gwarantuje brak BOMB w tym pomieszczeniu".

Jak wiadomo, uczeni dzielą się dziś na stacjonarnych i jeżdżących. Stacjonarni po staremu prowadzą różne badania, jeżdżący zaś uczestniczą we wszechmożliwych konferencjach i kongresach międzynarodowych. Uczonego tej drugiej grupy łatwo rozpoznać: w klapie nosi zawsze małą wizytówkę z własnym nazwiskiem i stopniem naukowym, w kieszeni — rozkłady jazdy linii lotniczych, podpasuje się ściągaczem bez części metalowych, a także jego teczka zamyka się na plastykowy zatrzask — wszystko, aby nie uruchamiać niepotrzebnie alarmowej syreny urządzenia, które na lotnisku prześwietla podróżnych i wykrywa broń sieczną oraz palną. Uczony taki fachową literaturę studiuje w autobusach linii lotniczych, w poczekalniach, w samolotach i w hotelowych barach. Nie znając, dla zrozumiałych przyczyn, wielu osobliwości ziemskiej kultury lat ostatnich, wywołałem w Bangkoku, w Atenach i w samej Costaricanie alarmy na lotnisku, czemu nie mogłem zapobiec w porę, ponieważ mam sześć metalowych plomb (z amalgamatu). Zamierzałem zmienić je na porcelanowe w samym Nounas, lecz udaremniły to niespodziewane wypadki. Co do sznura, drąga, sucharów i peleryny.jeden z członków amerykańskiej delegacji futurologicznej wyjaśnił mi pobłażliwie, że hotelarstwo naszej doby przedsiębierze nie znane dawniej środki ostrożności. Każdy taki przedmiot, umieszczony w apartamencie, powiększa przeżywalność gości hotelowych. Słowom tym nie poświęciłem, przez lekkomyślność, właściwej uwagi.

Obrady miały się rozpocząć po południu pierwszego dnia, a już rankiem dostarczono nam komplety materiałów konferencyjnych, wydanych elegancko, w pięknej szacie graficznej, z licznymi eksponatami. Zwłaszcza ładnie prezentowały się bloczki z satynowanego błękitnego papieru, opatrzone nadrukiem „Przepustki kopulacyjne". Nowoczesne konferencje naukowe też cierpią od demograficznej eksplozji. Ponieważ liczba futurologów rośnie w tej samej potędze, w jakiej się zwiększa cała ludzkość, na zjazdach panuje tłok i pośpiech. O wygłaszaniu referatów nie ma mowy;

trzeba się zapoznać z nimi wcześniej. Z rana zaś nie było na to czasu, ponieważ gospodarze podejmowali nas lampką wina. Ta mała uroczystość odbyła się niemal bez zakłóceń, jeśli nie brać pod uwagę obrzucenia zgniłymi pomidorami delegacji Stanów Zjednoczonych; już z kieliszkiem w ręku dowiedziałem się od Jima Stantora, znajomego dziennikarza z United Press Intemational, że o świcie porwano konsula i trzeciego attache ambasady amerykańskiej w Costaricanie. Porywacze — ekstremiści żądali w zamian za zwolnienie dyplomatów wypuszczenia więźniów politycznych, aby zaś podkreślić wagę swych

żądań, posyłali na razie ambasadzie oraz czynnikom rządowym pojedyncze zęby owych zakładników, zapowiadając eskalację. Dysonans ten nie zakłócił jednak ciepłej atmosfery rannego koktajlu. Bawił na nim osobiście ambasador USA i wygłosił króciutkie przemówienie o potrzebie współpracy międzynarodowej, tyle że mówił otoczony przez sześciu barczystych cywilów, którzy trzymali nas na muszce. Wyznaję, że byłem tym nieco zdetonowany, zwłaszcza że stojący obok mnie ciemnoskóry delegat Indii ze względu na katar chciał sobie wytrzeć nos i sięgnął po chusteczkę do kieszeni. Rzecznik prasowy Towarzystwa Futurologicznego zapewniał mnie potem, że zastosowane środki były konieczne i humanitarne. Obstawa dysponuje wyłącznie bronią o dużym kalibrze z małą siłą przebijącą, tak samo jak strażnicy na pokładzie samolotów pasażerskich, dzięki czemu nikt postronny nie może być poszkodowany, w przeciwieństwie do dawnych dni, kiedy się zdarzało, że pocisk, kładąc trupem zamachowca, przechodził na wylot przez pięć albo i sześć siedzących za nim Bogu ducha winnych osób. Niemniej widok człowieka walącego się u waszych stóp pod skoncentrowanym ogniem nie należy do miłych, i to nawet wówczas, gdy idzie o zwyczajne nieporozumienie, które potem jest przyczyną wymiany dyplomatycznych not z przeprosinami.

Ale zamiast wdawać się w rozważania z zakresu humanitarnej balistyki, powinienem był wyjaśnić, czemu nie mogłem się zapoznać w ciągu całego dnia z materiałami konferencji. Pomijając już ten przykry szczegół, że przyszło mi pospiesznie zmieniać zakrwawioną koszulę, wbrew swoim zwyczajom jadłem śniadanie w barze hotelowym. Rano jem zawsze jajka na miękko, a hotel, w którym można by je dostać do łóżka, nie ścięte razem z żółtkiem w obrzydliwy sposób, jeszcze nie został wybudowany. Wiąże się to, naturalnie, z bezustannym wzrostem rozmiarów stołecznych hoteli. Gdy kuchnię oddziela od pokoju odległość półtorej mili, nic nie uratuje żółtka przed ścięciem. O ile wiem, problem ten badali specjalni fachowcy Hiltona i doszli do wniosku, że jedynym środkiem zaradczym byłyby specjalne windy poruszające się z naddźwiękową szybkością, jednakże tak zwany sonic boom — grzmot wywołany przebiciem bariery dźwięku — w zamkniętej przestrzeni gmachu powodowałby pękanie bębenków w uszach. Ewentualnie można żądać, aby automat kuchenny dostarczył surowych jaj, które na waszych oczach na miękko ugotuje w pokoju automat kelnerski, lecz stąd już niedaleko do wożenia się po Hiltonach z kojcem własnych kur. Dlatego właśnie udałem się z rana do baru. Obecnie 95 procent gości hotelowych tworzą uczestnicy wszelakich zjazdów i konferencji. Gość-samotnik, turysta-soliter, bez wizytówki w klapie i teczki wypchanej szpargałami konferencyjnymi, jest rzadki jak perła na pustyni. Oprócz naszej odbywała się akurat w

Costaricanie Konferencja Kontestatorów Młodzieżowych ugrupowania „Tygrysów”, Zjazd Wydawców Literatury Wyzwolonej oraz Towarzystwa Filumenicznego. Zwykle przydziela się takim grupom pokoje na tych samych piętrach, lecz chcąc mnie uhonorować, dyrekcja dała mi apartament na setnym, ponieważ miało własny gaj palmowy, w którym odbywały się koncerty Bacha; orkiestra była żeńska i grając, dokonywała zbiorowego strip-tease’u. Na wszystkim tym raczej mi nie zależało, lecz nie było, niestety, żadnego wolnego pokoju, musiałem więc zostać tam, gdzie mnie ulokowano. Ledwo zasiadłem na barowym stołku mego piętra, a już pleczysty sąsiad, brodacz kruczowłosy (mogłem odczytać z jego brody, jak z karty dań, wszystkie posiłki minionego tygodnia), podsunął mi pod nos ciężką, okutą dwururkę, którą miał zawieszoną przez plecy, i zaśmiawszy się rubasznie spytał, jak oceniam jego papieżówkę. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale wolałem się do tego nie przyznawać. Najlepszą taktyką w przypadkowych znajomościach — jest milczenie. Jakoż sam wyjawił mi ochoczo, że dubeltowy sztucer, wyposażony w celownik z laserem, cyngiel-schneller oraz ładowarkę, jest bronią na papieża. Gadając bezustannie, wyciągnął z kieszeni złamane zdjęcie, na którym widniał składając się do celu, jaki stanowił manekin w piusce. Osiągnął już, jak twierdził, szczytową formę i wybiera się właśnie do Rzymu, na wielką pielgrzymkę, aby ustrzelić Ojca Świętego pod Bazyliką Piotrową. Nie wierzyłem ani jednemu jego słowu, lecz wciąż paplając, po kolei pokazał mi bilet lotniczy z rezerwacją, mszalik oraz prospekt pielgrzymki dla amerykańskich katolików, jak również paczkę naboi z rżniętą w krzyż główką. Dla oszczędności nabył bilet tylko w jedną stronę, ponieważ liczył na to, że wzburzeni pątnicy rozedrą go na sztuki. Perspektywa ta zdawała się wprawiać go w doskonały humor. Sądziłem zrazu, że mam do czynienia z wariatem lub zawodowym dynamitardem-ekstremistą, jakich nie brak obecnie, lecz i w tym się omyliłem. Gadając bez przerwy i złażąc wciąż z wysokiego stołka, bo strzelba obsuwała mu się na podłogę, wyjawił mi, że jest właśnie gorącym, prawowiernym katolikiem, planowana zaś przezeń akcja (zwał ją „akcją P”) będzie z jego strony szczególną ofiarą; chodzi mu o wstrząśnięcie sumieniem ludzkości, a cóż może wstrząsnąć nim lepiej nad czyn tak skrajny? Zrobi to samo, wykładał mi, co podług Pisma świętego miał zrobić Abraham z Izaakiem, tyle że na odwrót, bo wszak nie syna położy, lecz ojca, i to na dobitkę świętego. Tym samym da dowód najwyższej ofiarności, na jaką może się zdobyć chrześcijanin, bo i ciało wyda na męki, i duszę na potępienie, a wszystko po to, by otworzyć ludzkości oczy. Już to — pomyślałem — zbyt wielu jest amatorów tego otwierania oczu; nie przekonany ową filipiką, poszedłem ratować papieża, to jest powiadomić kogoś o tym planie, lecz Stantor, który mi się napatoczył w barze 77 piętra, nie

wysłuchawszy mnie nawet do końca, powiedział, że w podarkach, jakie ofiarowała Hadrianowi XI ostatnia wycieczka wiernych amerykańskich, były dwie zegarówki i beczułka wypełniona — zamiast winem mszalnym — nitrogliceryną; zblazowanie jego pojąłem lepiej, usłyszawszy, że ekstremiści przysłali dopiero co do ambasady nogę, nie wiadomo tylko jeszcze — czyją. Nie dokończył zresztą rozmowy, bo odwołano go do telefonu; podobno na Avenida Romana ktoś się właśnie podpalił na znak protestu. Na 77 piętrze panowała w barze zupełnie inna atmosfera niż u mnie na górze; było wiele dziewczyn bosych, poubieranych w łańcuszkowe koszulki do pasa, niektóre przy szabli; część z nich miała długie warkocze, przymocowane, zgodnie z najnowszą modą, do breloczka na szyi lub do obróżki wybijanej ćwiekami. Nie jestem pewien, czy były to filumenistki, czy też sekretarki Stowarzyszenia Wyzwolonych Wydawców;

sądząc po barwnych fotosach, jakie oglądały, szło raczej o specjalne wydawnictwa. Zjechałem o dziewięć pięter niżej, gdzie zamieszkiwali moi futurologowie, i w kolejnym barze wypiłem długiego drinka z Alfonsem Mauvinem z Agence France Press; po raz ostatni spróbowałem ratować papieża, lecz Mauvin opowieść moją przyjął ze stoicyzmem; mruknął tylko, że w ubiegłym miesiącu pewien australijski pątnik strzelał już w Watykanie, ale z zupełnie innych pozycji ideowych. Mauvin liczył na interesujący wywiad dla swej agencji z niejakim Manuelem Pyrhullo, ściganym przez FBI, Surete, Interpol i szereg innych policji, był on bowiem założycielem usługowej firmy nowego typu: wynajmował się jako ekspert od zamachów środkami wybuchowymi (znano go pospolicie pod pseudonimem „Bombowiec"), szczycąc się nawet swoją bezideowością. Gdy piękna rudowłosa dziewczyna w czymś, co przypominało koronkową koszulę nocną, gęsto podziurawioną seriami broni maszynowej, podeszła do naszego stolika (była to właśnie wyslanniczka ekstremistów, która miała pilotować reportera do ich kwatery głównej), Mauvin, odchodząc, wręczył mi ulotkę reklamową Pyrhulla, z której się dowiedziałem, że najwyższy czas skończyć z wyczynami nieodpowiedzialnych amatorów, niezdolnych odróżnić dynamitu od melinitu ani pioruniana rtęci od sznura Bickforda; w czasach wysokiej specjalizacji nie robi się niczego na własną rękę, lecz polega na zawodowej etyce i wiedzy sumiennych fachowców; na odwrocie ulotki znajdował się cennik usług z przeliczeniami w walutach najwyżej rozwiniętych krajów świata.

Futurologowie jęli się właśnie schodzić do baru, gdy jeden z nich, profesor Mashkenase, wpadł blady, roztrzęsiony, wołając, że ma zegarową bombę w pokoju; barman, snadź zwyczajny takich rzeczy, automatycznie krzyknął: — Kryć się! — i skoczył pod szynkwas; wnet

jednak detektywi hotelowi wykryli, że jakiś kolega zrobił Mashkenasemu głupi kawał, włożywszy do pudełka po keksach zwyczajny budzik. Wyglądało mi to na Anglika, oni bowiem kochają się w tak zwany ch practical jokes, lecz puszczono rzecz w niepamięć, bo zjawili się J. Stantor i J. G. Howler, obaj z UPI, przynosząc tekst aide memoire rządu USA do rządu Costaricany w sprawie porwanych dyplomatów. Było ono sformułowane zwykłym językiem not dyplomatycznych i ani nogi, ani zębów nie nazywało po imieniu. Jim powiedział mi, że miejscowy rząd może uciec się do środków drastycznych; generał Apollon Diaz, sprawujący władzę, przychylał się do opinii.jastrzębi", by gwałt odeprzeć gwałtem. Na posiedzeniu (rząd obradował w permanencji) padła propozycja przejścia do kontrataku — żeby więźniom politycznym, których zwolnienia żądają ekstremiści, wyrwać dwa razy tyle zębów, a ponieważ adres kwatery ekstremistów jest nieznany, zęby te prześle im się na poste restante. Lotnicze wydanie „New York Timesa" piórem Suizbergera apelowało do poczucia rozsądku i wspólnoty gatunkowej człowieka. Stantor powiedział mi w dyskrecji, że rząd zarekwirował pociąg z tajnym materiałem wojskowym, będący własnością USA, który szedł tranzytem przez terytorium Costaricany do Peru. Jak dotąd ekstremiści nie wpadli na pomysł porywania futurologów, co z ich punktu widzenia nie byłoby głupie, ponieważ aktualnie w Costaricanie było więcej futurologów niż dyplomatów. Stupiętrowy hotel jest atoli organizmem tak ogromnym i tak komfortowo odseparowanym od reszty świata, że wieści z zewnątrz dochodzą doń jakby z drugiej półkuli. Na razie nikt z futurologów nie okazywał paniki: własne biuro podróży Hiltona nie było oblężone przez gości rezerwujących miejsca na samoloty do Stanów czy gdzie indziej. Na drugą wyznaczono oficjalny bankiet otwarcia, a ja nie zdążyłem się jeszcze przebrać w wieczorową piżamę, pojechałem więc do pokoju, a potem z największym pośpiechem zjechałem do Sali Purpurowej na 46 piętrze. W foyer podeszły do mnie dwie czarujące dziewczyny w szarawarach topless, z biustami pomalowanymi w niezapominajki i śnieżyczki, by wręczyć mi lśniący folder. Nie spojrzawszy nań, wszedłem do sali, jeszcze pustawej, i dech mi zaparł widok stołów, nie dlatego, że były suto zastawione, lecz szokujące były formy, w jakich podano wszystkie pasztety, przystawki i zakąski — nawet sałatki stanowiły imitację genitaliów. O złudzeniu optycznym nie było mowy, bo dyskretnie ukryte głośniki nadawały popularny w pewnych kręgach szlagier, zaczynający się do słów: „Tylko głupiec i kanalia lekceważy genitalia, bo najbardziej jest dziś modne reklamować części rodne!"

Pojawili się pierwsi bankietowicze, z gęstymi brodami i sumiastymi wąsiskami, zresztą sami młodzi ludzie, w piżamach albo i bez nich; gdy sześciu kelnerów wniosło tort, widząc tę najbardziej

nieprzyzwoitą leguminę świata, nie mogłem już mieć wątpliwości: pomyliłem sale i mimo woli dostałem się na bankiet Wyzwolonej Literatury. Pod pretekstem, że zginęła mi sekretarka, wycofałem się czym prędzej i zjechałem o jedno piętro niżej, aby odetchnąć we właściwym miejscu: Purpurowa Sala (a nie Różowa, do jakiej się dostałem) była już pełna. Rozczarowanie, wywołane skromnością przyjęcia, ukryłem, jak umiałem. Bufet był zimny i stojący; aby utrudnić konsumpcję, wyniesiono z olbrzymiej sali wszystkie krzesła i fotele, tak że wypadało okazać zwykłą w podobnych okolicznościach zręczność, zwłaszcza że do półmisków co istotniejszych zrobił się fatalny tłok. Senor Cuillone, przedstawiciel sekcji costaricańskiej Towarzystwa Futurologicznego, tłumaczył z czarującym uśmiechem, że wszelka lukullusowość byłaby nie na miejscu, zważywszy, iż tematem obrad jest między innymi klęska głodu zagrażająca ludzkości. Naturalnie znaleźli się sceptycy, którzy mówili, że Towarzystwu obcięto dotacje i tym jedynie można tłumaczyć tak drastyczne oszczędności. Dziennikarze, zawodowo zmuszeni do abnegacji, kręcili się pośród nas, robiąc małe wywiady z luminarzami prognostyki zagranicznej; zamiast ambasadora USA zjawił się tylko trzeci sekretarz ambasady z masywną obstawą, w smokingu, on jeden, bo kuloodporną kamizelkę trudno schować pod piżamą. Słyszałem, że gości z miasta poddawano w hallu rewizji osobistej i miał się już tam piętrzyć spory stos znalezionej broni. Właściwe obrady wyznaczono dopiero na piątą, było więc dość czasu, by odetchnąć u siebie, toteż pojechałem na setne piętro. Po przesolonych sałatkach odczuwałem silne pragnienie, że jednak bar mojego piętra okupowali twardo kontestatorzy i dynamitardzi ze swoimi dziewczętami, a miałem już dość jednej rozmowy z brodatym papistą (czy antypapistą), zadowoliłem się szklanką wody z kranu. Ledwom ją wychylił, zgasło światło w łazience i obu pokojach, telefon zaś, bez względu na to, jaki nakręcałem numer, łączył mnie wciąż tylko z automatem opowiadającym bajkę o Kopciuszku. Chciałem zjechać na dół, lecz i winda nie działała. Słyszałem chóralny śpiew kontestatorów, którzy teraz już strzelali do taktu; miałem nadzieję, że obok. Rzeczy takie trafiają się nawet w pierwszorzędnych hotelach, przez co zresztą nie są mniej irytujące, tym jednak, co mnie najbardziej zdziwiło, była moja własna reakcja. Humor, raczej podławy od czasu rozmowy z papieskim strzelcem, poprawiał się z każdą sekundą. Przewracając po omacku sprzęty w pokoju, uśmiechałem się wyrozumiale w ciemność i nawet kolano, do żywego rozbite o walizy, nie zmniejszyło mej życzliwości dla całego świata. Wymacawszy na nocnym stoliczku resztki posiłku, jakiego zażądałem między śniadaniem a lunchem do pokoju, wetknąłem w krążek masła strzęp papieru, wyrwany z foldera kongresowego, i gdym go zapalił zapałką, uzyskałem kopcącą wprawdzie, ale jednak

świeczkę, w której blasku zasiadłem na fotelu, bo miałem wszak jeszcze ponad dwie godziny wolnego czasu, wliczając w to godzinny spacer po schodach (skoro winda była nieczynna). Moja pogoda duchowa przechodziła dalsze fluktuacje i zmiany, którym przyglądałem się z żywym zaciekawieniem. Było mi wesoło, wprost doskonale. Mogłem w lot wyliczyć roje argumentów na rzecz tego właśnie stanu rzeczy, jaki zaszedł. Wydawało mi się najsolenniej, że apartament Hiltona, pogrążony w egipskich ciemnościach, pełen swędu i kopcia ogarka maślanego, odcięty od świata, z telefonem opowiadającym bajki, jest jednym z najmilszych miejsc na świecie, jakie można sobie wystawić. Ponadto odczuwałem przemożną chęć głaskania byle kogo po głowie, a przynajmniej uściśnięcia bliźniej ręki z głębokim, pełnym serdeczności zajrzeniem w oczy.

Ucałowałbym z dubeltówki najzaciętszego wroga. Masło, roztapiając się, skwiercząc i dymiąc, wciąż gasło; to, że „masło" rymuje się ze „zgasło", wprawiło mnie w atak śmiechu, chociaż zarazem poparzyłem sobie palce zapałkami, usiłując wciąż od nowa zapalić papierowy knot. Maślana świeczka ledwie pełgała, ja zaś nuciłem półgłosem arie ze starych operetek, nie zważając ani trochę na to, że od swędu krztusiłem się i łzy płynęły mi z piekących oczu po policzkach. Wstając przewróciłem się jak długi, zawadziwszy o walizkę na podłodze, lecz i guz, wielkości jajka, który wyskoczył mi na czole, jedynie polepszył jeszcze mój humor (o ile było to w ogóle możliwe). Zaśmiewałem się, na wpół uduszony śmierdzącym dymem, bo i to nie odmieniało ani na jotę mego radosnego uniesienia. Położyłem się na łóżku, nie posłanym od rana, choć minęło dawno południe; o służbie, wykazującej takie niedbalstwo, myślałem jak o własnych dzieciach: oprócz czułych zdrobnień i pieszczotliwych słówek nic nie przychodziło mi na myśl. Błysnęło mi, że nawet gdybym się tu miał zadusić, byłby to najzabawniejszy, najbardziej sympatyczny rodzaj śmierci, jakiego tylko można sobie życzyć. Ta konstatacja była tak dalece sprzeczna z całym moim usposobieniem, że podziałała na mnie jak pobudka. W duchu mym doszło do zadziwiającego rozszczepienia. Nadal wypełniała go flegmatyczna jasność, rodzaj uniwersalnej życzliwości dla wszystkiego, co istnieje, ręce zaś miałem tak chciwe pieszczenia byle kogo, że w braku osób postronnych jąłem się delikatnie gładzić po policzkach i filuternie pociągać za uszy; podałem też wielokrotnie prawą rękę lewej dla wymiany krzepkiego uścisku. Nawet nogi mi drygały do pieszczot. Przy tym wszystkim w głębi mego jestestwa zapaliły się jakby sygnały alarmowe: — Coś jest nie tak! — krzyczał we mnie daleki, słaby głos — uważaj, Ijonie, bądź czujny, strzeż się! Pogoda ta jest niegodna zaufania! Działaj, nuże! Hejże ha! Naprzód! Nie siedź rozwalony jak jakiś Onassis, zalany łzami od dymu i kopcia, z guzowatym czołem, w

powszechnej życzliwości! Ona jest objawem jakowejś czarnej zdrady! — Mimo tych głosów palcem nawet nie ruszyłem. Tyle że zaschło mi w gardle. Zresztą serce waliło mi od dawna, ale tłumaczyłem to sobie zbudzoną znienacka wszechmiłością. Poszedłem do łazienki, tak okropnie chciało mi się pić; pomyślałem o przesolonej sałatce z bankietu czy raczej tego stojącego koktajlu, potem zaś na próbę wyobraziłem sobie panów J. W., H. C. M., M. W. i innych moich najgorszych wrogów; stwierdziłem, że oprócz chętki kordialnego uściśnięcia ich dłoni, siarczystego całusa, paru słów bratniej wymiany myśli — nie odczuwam żadnych innych emocji. To już było prawdziwie alarmujące. Z ręką na niklowej główce kranu, dzierżąc w drugiej pustą szklankę, zamarłem. Powoli natoczyłem wody i wykrzywiając twarz w dziwacznym skurczu — widziałem tę walkę własnych rysów w lustrze — wylałem ją.

Woda z kranu. Tak. Od chwili gdy ją wypiłem, zaszły we mnie te zmiany. Coś w niej musiało być! Trucizna? Nie słyszałem jeszcze o takiej, która by… Chociaż zaraz! Jestem wszak stałym abonentem prasy naukowej. Ostatnio w „Science News” pojawiły się notatki o nowych środkach psychotropowych z grupy tak zwanych benignatorów (dobryn), które zniewalają umysł do bezprzedmiotowej radości i pogody. Ależ tak! Miałem tę notatkę przed oczami ducha. Hedonidol, benefaktoryna, empathian, euforasoł, felicytol, altruizan, bonokaresyna i cała masa pochodnych! Zarazem przez podstawienia grup hydroksylowych amidowymi syntetyzowano z tychże ciał furyasol, łyssynę, sadystyzynę, flagellinę, agressium, frustrandol, amokolinę oraz wiele jeszcze preparatów rozwścieczających z tak zwanej grupy bijologicznej (nakłaniały bowiem do bicia i znęcania się nad otoczeniem, tak martwym, jak żywym — przy czym prym miały wodzić kopandol i walina).

Te myśli przerwał dźwięk telefonu, jednocześnie zabłysło światło. Głos pracownika recepcji hotelowej uniżenie i solennie przepraszał za awarię, którą już właśnie usunięto. Otwarłem drzwi na korytarz, by przewietrzyć pokój; w hotelu, o ile mogłem się zorientować, panowała cisza; jakiś oczadziały, wciąż jeszcze przepełniony ochotą udzielania benedykcji i pieszczot, zamknąłem drzwi na zatrzask, usiadłem na środku pokoju i jąłem zmagać się z samym sobą. Stan mój z owej chwili jest niezwykle trudny do opisania. Bynajmniej nie myślało mi się tak gładko ani tak jednoznacznie, jak to podaję. Każda krytyczna refleksja była jakby zanurzona w miodzie, spowijał ją paraliżująco jakiś kogel-mogel głupkowatego samozadowolenia, każda ociekała syropem dodatnich uczuć, duch mój zdawał się zapadać w najsłodszym z możliwych trzęsawisk, jakbym tonął w różanych olejkach i lukrach; siłą zmuszałem się do myślenia o tym, co tylko mi najwstrętniejsze, o brodatym łotrze z przeciwpapieżową dubeltówką, o

wyuzdanych wydawcach Wyzwolonej Literatury i ich babilońsko-sodomskiej uczcie, znów o panach W.C.,J.C.M.,A. K. i wielu innych łotrach i oczajduszach, aby z przerażeniem stwierdzać, że wszystkich miłuję, wszystko wszystkim wybaczam, więcej — natychmiast jak wańki-wstańki wyskakiwały z mych myśli argumenty biorące wszelkie zło i plugastwo w obronę. Potop miłości bliźniego rozsadzał mi czaszkę; szczególnie zaś dolegało mi to, co najlepiej może określą słowa „parcie ku dobru". Zamiast o truciznach psychotropowych myślałem łapczywie o wdowach i sierotach, jakimi z rozkoszą bym się zaopiekował; odczuwałem rosnące zdumienie, że tak mało poświęcałem im dotychczas uwagi. A biedni, a głodni, a chorzy, a nędznicy, wielki Boże! Złapałem się na tym, że klęczę nad walizką i wyrzucam z niej wszystko na podłogę w poszukiwaniu co porządniejszych rzeczy, by je ofiarować potrzebującym. I znów słabe głosy alarmu rozbrzmiały w mej podświadomości: — Uwaga! Nie daj się otumaniać! Walcz! Tnij! Kop! Ratuj się! — krzyczało coś we mnie słabo, lecz rozpaczliwie. Byłem okrutnie rozdarty. Odczuwałem tak potężny ładunek imperatywu kategorycznego, że muchy bym nie ukrzywdził. Jaka szkoda, myślałem, że w Hiltonie nie ma myszy ani chociaż pająków; jakże bym je dopieścił, ukochał! Muchy, pluskwy, szczury, komary, wszy, kochane stworzonka, mocny Boże! Przelotnie pobłogosławiłem stół, lampę i własne nogi. Lecz szczątki trzeźwości już mnie nie opuszczały, toteż niezwłocznie palnąłem lewicą prawą, rozdającą błogosławieństwa rękę, aż mnie ból skręcił. To było niezłe! To mogło być, kto wie, zbawienne! Na szczęście parcie ku dobru miało charakter odśrodkowy: innym życzyłem daleko lepiej niż sobie. Na początek dałem sobie parę razy po gębie, aż mi kręgosłup zaskrzypiał, a w oczach stanęły gwiazdy. Dobrze, tylko tak dalej! Kiedy mi twarz zdrętwiała, jąłem się kopać w kostki.

Całe szczęście, że miałem buty ciężkie, o cholernie twardej podeszwie. Po kuracji złożonej z wściekłych kopnięć zrobiło mi się na mgnienie lepiej, to jest gorzej. Ostrożnie próbowałem pomyśleć, jak by to było, gdybym kopnął też pana J. C. A. Nie było to już tak kompletnie niemożliwe. Kostki obu nóg bolały jak wszyscy diabli i chyba dzięki tej auto-maltretacji zdołałem sobie wyobrazić nawet szturchańca wymierzonego M. W. Nie zważając na dotkliwy ból, kopałem się dalej. Przydatne było wszystko kończaste, zastosowałem tedy widelec, a potem szpilki, które wyciągnąłem z jeszcze nie używanej koszuli. Nie szło to wszakże prosto, raczej falowało, przez parę minut znów gotów się byłem podpalić dla lepszej sprawy, znów buchnął we mnie gejzer szlachetności wyższej i cnotliwego zapamiętania. Nie miałem atoli wątpliwości: coś było w wodzie z kranu. Prawda!!! Miałem w walizce od dawna wożony, nigdy nie używany środek nasenny, który wprawiał mnie zawsze w ponure i

agresywne usposobienie, dlatego właśnie go nie używałem, szczęście, żem się go nie pozbył. Łyknąłem tabletkę, przegryzając ją zakopconym masłem (bo od wody stroniłem jak od dżumy), potem wdławiłem z wysiłkiem dwie pastylki kofeinowe, aby przeciwdziałać wpływowi środka nasennego, usiadłem na fotelu i czekałem ze strachem, ale i z miłością bliźniego na wynik walki chemicznej w mym organizmie. Miłość gwałciła mnie wciąż jeszcze, byłem udobruchany jak jeszcze nigdy w życiu. Zdaje się, że chemikalia zła definitywnie zaczęły przezwyciężać preparaty dobra; gotów byłem nadal do czynności opiekuńczych, ale już nie bez wyboru. Wolałbym co prawda być na wszelki wypadek ostatnim łotrem, przynajmniej czas jakiś.

Po kwadransie jakby mi przeszło. Wziąłem prysznic, wytarłem się szorstkim ręcznikiem, od czasu do czasu na wszelki wypadek waląc się po gębie, ot, tak, dla ogólnej profilaktyki, okleiłem plastrami poranione kostki, palce, policzyłem siniaki (doprawdy zbiłem się w toku tych zmagań na kwaśne jabłko), włożyłem świeżą koszulę, ubranie, poprawiłem przed lustrem krawat, obciągnąłem surdut, przed wyjściem dałem sobie pod żebro, dla animuszu, ale i dla kontroli, i wyszedłem w samą porę, bo już dochodziła piąta. Wbrew mym oczekiwaniom w hotelu nie działo się nic niezwykłego. W barze mego piętra, do którego zajrzałem, było niemal pusto; oparta o stolik stała papieżówka, dwie pary nóg wystawały spod szynkwasu, jedna była bosa, lecz widoku tego nie trzeba było bezwzględnie interpretować w wyższych kategoriach, paru innych dynamitardów grało w karty pod ścianą, jeden zaś grał na gitarze i śpiewał wiadomy przebój. Na dole, w hallu, było tłoczno od futuro — logów; właśnie szli na otwarcie obrad, nie opuszczając zresztą Hiltona, ponieważ sala w tym celu wynajęta znajdowała się w niskiej części budynku. Zrazu zdumiało mnie to, ale po zastanowieniu pojąłem, że w takim hotelu żaden gość nie pije wody z kranu; spragnieni sięgają po colę, schweppesa, w ostateczności po sok owocowy, herbatę lub piwo. Także do długich drinków używa się gorzkich wód mineralnych czy innych butelkowanych; a jeśli nawet ktoś przez nieostrożność powtórzył mój błąd, wił się teraz zapewne w czterech ścianach zamkniętego na klucz apartamentu, w skurczach wszechmiłosnego zapamiętania. Uznałem, że w tym stanie rzeczy lepiej nie zająknąć się nawet o własnych przejściach, bo wszak byłem tu człowiekiem obcym, jeszcze by mi nie dano wiary i posądzono o jakąś aberrację bądź halucynację. Cóż prostszego nad podejrzenie o skłonność do narkotyków?

Robiono mi później zarzuty, żem zastosował tę politykę ostrygi czy strusia, bo gdybym wszystko ujawnił, może nie doszłoby do wiadomych nieszczęść, lecz mówiący tak popełniają oczywisty błąd: najwyżej ostrzegłbym gości hotelowych, lecz to, co się działo w Hiltonie, nie miało wszak najmniejszego wpływu na perypetie

polityczne Costaricany.

W drodze do sali obrad kupiłem w hotelowym kiosku plik miejscowych gazet, jak to mam we zwyczaju. Nie kupuję ich, zapewne, wszędzie, lecz człowiek wykształcony może domyślić się sensów w hiszpańskim nawet, choć nie włada tym językiem.

Nad podium widniała umajona tablica z.porządkiem dziennym; punkt pierwszy dotyczył katastrofy urbanistycznej świata, drugi — ekologicznej, trzeci — atmosferycznej, czwarty — energetycznej, piąty — żywnościowej, po czym miała nastąpić przerwa. Katastrofę technologiczną, militarystyczną i polityczną przeniesiono na dzień następny razem z wolnymi wnioskami.

Każdy mówca dysponował czterema minutami czasu dla wyłożenia swych tez, co i tak było sporo, zważywszy, że zgłoszono 198 referatów z 64 państw. Aby przyspieszyć tempo obrad, referaty należało przestudiować na własną rękę, przed posiedzeniem, orator zaś mówił wyłącznie cyframi, określając w ten sposób kluczowe ustępy swej pracy; dla ułatwienia recepcji tak bogatych treści wszyscyśmy nastawili swoje podręczne magnetofony oraz komputerki — między tymi ostatnimi dojść miało potem do zasadniczej dyskusji. Stanicy Hazelton z delegacji USA zaszokował od razu salę, powtarzając z naciskiem: 4,6,11, z czego wynika 22; 5,9, ergo 22; 3,7,2,11, skąd wynika znowuż 22!! — Ktoś wstał wołając, że jednak 5, ewentualnie 6,18 i 4; Hazelton odparował zarzut błyskawicznie, tłumacząc, że tak czy owak 22. Poszukałem w jego referacie klucza numerycznego i dowiedziałem się, że cyfra 22 oznacza katastrofę ostateczną. Następnie Japończyk Hayakawa przedstawił nowy, wykoncypowany w jego kraju model domu przyszłości, osiemsetpiętrowy, z klinikami położniczymi, żłobkami, szkołami, sklepami, muzeami, zoologami, teatrami, kinami i krematoriami; projekt uwzględniał pomieszczenia podziemne na popioły zmarłych, telewizję czterdziestokanałową, izby upojeń i wytrzeźwień, sale podobne do gimnastycznych do uprawiania grupowego seksu (wyraz postępowych przekonań projektantów) oraz katakumby dla nie przystosowanych ugrupowań subkulturowych. Pewnym novum była myśl, aby każda rodzina, każdego dnia, przeprowadzała się z dotychczasowego mieszkania do innego, przy czym w grę wchodziły przeprowadzki albo ruchem szachowego pionka, albo konia. Zapobiegałoby to nudzie oraz frustracji, lecz na wszelki wypadek ów gmach o kubaturze siedemnastu kilometrów sześciennych, osadzony na dnie oceanu, a sięgający stratosfery, miał przewidziane własne komputery matrymonialne, swatające na zasadzie sadomasochizmu (stadła sadystów z masochistkami, i na odwrót, są statystycznie najtrwalsze, bo każdy partner ma w nich to, o czym marzy) oraz ośrodek terapii przeciwsamobójczej. Hakayawa, drugi delegat

japoński, zademonstrował nam makietę takiego domu — w skali l:10 000 — z własną rezerwą tlenu, ale bez rezerw wody i żywności, ponieważ dom był planowany z obiegiem zamkniętym: wszelkie wydaliny miano regenerować, wychwytując nawet poty śmiertelne i inne cielesne sekrecje. Yahakawa, trzeci Japończyk, odczytał listę smakołyków regenerowalnych z wydalin całego gmachu. Były tam między innymi sztuczne banany, pierniki, krewetki, ostrygi i nawet sztuczne wino, które, mimo pochodzenia budzącego niemiłe asocjacje, nie ustępowało ponoć w smaku najlepszym winom Szampanii. Na salę dostarczono próbki w estetycznych buteleczkach oraz po paszteciku w opakowaniu z folii, ale jakoś nikt się nie kwapił do picia, a paszteciki upychano dyskretnie pod fotele, więc i ja tak zrobiłem. Pierwotny plan, żeby taki dom mógł latać dzięki potężnym wirnikom, co umożliwiałoby wycieczki zbiorowe, upadł, raz, że takich domów miało być w pierwszym rzucie 900 milionów, a dwa, że przenosiny byłyby bezprzedmiotowe. Gdyby nawet dom miał 1000 wyjść i gdyby mieszkańcy używali wszystkich, i tak nigdy by nie wyszli, bo nim ostatni opuściłby budynek, już zdążyłyby podrosnąć urodzone w tym czasie dzieci.

Japończycy zdawali się wielce zadowoleni ze swego projektu. Po nich zabrał głos Norman Youhas z delegacji USA, który zaproponował siedem różnych metod zahamowania eksplozji demograficznej, a mianowicie: zniechęcanie perswazyjne i policyjne, deerotyzację, przymusową celibatyzację, onanizację, subordynację, a wobec niepoprawnych — kastrację. Każde małżeństwo miało się ubiegać o prawo posiadania dziecka, składając odpowiednie egzaminy trzech kategorii, to jest kopulacyjny, edukacyjny i bezkolizyjny. Nielegalne urodzenie dziecka podlegało karom; premedytacja i recydywa groziły winnym dożywociem. Do tego referatu odnosiły się owe ładne foldery i bloczki z kuponami do odrywania, jakie dostaliśmy wśród materiałów kongresowych. Hazelton i Youhas postulowali nowe rodzaje zawodów, a mianowicie: inwigilatora matrymonialnego, zakazywacza, rozdzielacza i zatykacza; projekt nowego kodeksu karnego, w którym zapładnianie stanowiło delikt główny, o wyjątkowej szkodliwości społecznej, rozdano nam niezwłocznie. Podczas rozdawania doszło do incydentu, ktoś bowiem z galerii dla publiczności rzucił na salę koktajl Mołotowa. Pogotowie (było na miejscu, dyskretnie schowane w kuluarach) zrobiło swoje, a służba porządkowa czym prędzej zasłoniła pogruchotane fotele i resztki wielką nylonową oponą, pomalowaną w wesołe, estetyczne wzory; jak z tego widać, o wszystkim z góry pomyślano. Między poszczególnymi referatami próbowałem studiować gazety miejscowe, a choć rozumiałem ich hiszpańszczyznę zaledwie piąte przez dziesiąte, i tak dowiedziałem się, że rząd ściągnął do stolicy jednostki pancerne,

postawił całą policję w stan ostrego pogotowia oraz wprowadził stan wyjątkowy. Zdaje się, że prócz mnie nikt na sali nie orientował się w powadze sytuacji, jaka panowała za murami. O siódmej była przerwa, podczas której każdy mógł się posilić, na własny koszt oczywiście, ja zaś wracając na salę kupiłem kolejne nadzwyczajne wydanie pisma rządowego „Nacion" oraz kilka popołudniowych dzienników ekstremistycznej opozycji. Choć miałem z hiszpańskim trudności, przecież lektura tych gazet wprawiła mnie w zdumienie, bo z artykułami pełnymi optymistyczno-błogich rozważań na temat międzyludzkich więzi miłosnych, jakie są gwarantkami powszechnego szczęścia, sąsiadowały inne, pełne zapowiedzi krwawych represji i w podobnym tonie utrzymanych pogróżek ekstremistów. Tej łaciatości nie umiałem sobie wytłumaczyć inaczej, jak tylko sięgając do hipotezy, że jedni dziennikarze pili tego dnia wodę wodociągową, a inni nie. W organie prawicowym pito jej naturalnie mniej, ponieważ pracownicy redakcyjni, jako lepiej płatni od opozycjonistów, pokrzepiali się w czasie pracy co droższymi trunkami; ale i ekstremiści, choć skłonni, jak wiadomo, do niejakiej ascezy w imię wyższych haseł i ideałów, gasili pragnienie wodą tylko w szczególnych okolicznościach, jeśli zważyć, że quartzupio, napój ze sfermentowanego soku rośliny melmenole. Jest w Costaricanie wprost niezwykle tani.

Ledwośmy się zagłębili w miękkich klubowcach, a profesor Dringenbaum ze Szwajcarii wypowiedział pierwszą cyfrę swego przemówienia, dały się słyszeć głuche detonacje; gmach zadrgał lekko w fundamentach, zabrzęczały szyby, ale optymiści wołali, że to tylko trzęsienie ziemi. Ze swej strony skłonny byłem sądzić, że to jakaś grupa kontestatorów, pikietujących hotel od początku obrad, cisnęła w hallu petardy. Z mniemania tego wywiódł mnie huk i grzmot znaczniejszej siły; dały się też słyszeć karabiny maszynowe z ich charakterystycznym staccato. Nie można już się było dłużej łudzić: Costaricana weszła w fazę walk ulicznych. Jako pierwsi ulotnili się z sali dziennikarze, których strzelanina zerwała na równe nogi niczym pobudka. Pognali na ulicę, wezwani obowiązkiem zawodowym. Profesor Dńngenbaum próbował jeszcze przez parę chwil kontynuować prelekcję napisaną w tonie dość pesymistycznym, utrzymywał bowiem, że następną fazą naszej cywilizacji jest kanibalizacja. Powołał się na znaną teorię Amerykanów, którzy obliczyli, że jeśli wszystko pójdzie na Ziemi tak, jak dotąd, za czterysta lat ludzkość będzie stanowiła żywą kulę ciał, powiększającą się z szybkością światła. Lecz nowe eksplozje przerwały wykład. Zdezorientowani futurologowie jęli wychodzić z sali, mieszając się w hallu z uczestnikami Kongresu Wyzwolonej Literatury, których, jak świadczył o tym ich wygląd, wybuch walk przychwycił w toku

czynności wyrażających całkowitą obojętność dla groźby przeludnienia. Za redaktorami domu wydawniczego A. Knopfa sekretarki (nie nazwałbym ich roznegliżowanymi, skoro oprócz wymalowanych na skórze deseni w stylu „op" nie miały na sobie nic zgoła) niosły podręczne fajki wodne i nargile, w których paliła się modna mieszanka LSD, marihuany, yohimbiny i opium. Reprezentanci Wyzwolonej Literatury spalili właśnie, jak usłyszałem, in effigie ministra poczty USA za to, że nakazał swym placówkom mszczenie druków wzywających do masowego uprawiania kazirodztwa; zeszedłszy do hallu, zachowywali się bardzo niewłaściwie, zwłaszcza gdy uwzględnić powagę sytuacji. Publicznej moralności nie naruszali już tylko ci spośród nich, którzy opadli całkiem z sił albo trwali w narkotycznym odrętwieniu. Słyszałem krzyki dobiegające z kabin, w których napastowali telefonistki hotelowe, a jakiś brzuchacz w lamparciej skórze, z pochodnią haszyszową w ręku, szalał między szaragami garderoby, atakując cały J6J personel. Ledwo go unieszkodliwili urzędnicy z recepcji przy pomocy portierów. Z półpiętra ciskał ktoś na nasze głowy naręcza barwnych zdjęć, obrazujących dokładnie to, co pod wpływem chuci może zrobić jeden człowiek z drugim, a nawet znacznie więcej. Gdy na ulicy pojawiły się, widoczne doskonale przez szyby, pierwsze czołgi, windy bluznęły tłumem przerażonych filumenistów i kontestatorów; depcząc wiadome pasztety i przystawki, przyniesione przez wydawców, a zalegające teraz podłogę hallu, przybysze ci rzucali się na wszystkie strony. Rycząc jak oszalały bawół oraz waląc kolbą papieżówki każdego, kto stał mu na drodze, przebijał się przez ciżbę brodaty antypapista; wybiegł, jak widziałem na własne oczy, przed hotel tylko po to, aby zza węgła otworzyć ogień do przebiegających sylwetek. Widać, jako prawdziwemu ideowcowi ekstremizmu o najradykalniejszej postaci, było mu w gruncie rzeczy wszystko jedno, do kogo strzela. W hallu pełnym krzyków trwogi i rozpusty powstało istne pandemonium, kiedy prysnęły ze szklanym grzechotem pierwsze ogromne szyby; usiłowałem odszukać znajomych dziennikarzy, a widząc, że wymykają się na ulicę, poszedłem w ich ślady, ponieważ atmosfera wewnątrz Hiltona stała się doprawdy już nazbyt przytłaczająca. Za betonowym ocembrowaniem samochodowego podjazdu, pod okapem hotelowym, przyklękło paru fotoreporterów, filmując zawzięcie okolicę, zresztą bez większego sensu, ponieważ, jak to bywa zawsze, najpierw podpalono auta z zagraniczną rejestracją i z parkingu przy — hotelowego buchały płomienie oraz chmury dymu; Mauvin z AFP, który znalazł się obok mnie, zacierał ręce z zadowolenia, że przyjechał samochodem wynajętym u Hertza; toteż widok ognia, jakim skwierczał jego dodge, przyprawiał go o wybuchy śmiechu, czego nie można było powiedzieć o większości amerykańskich dziennikarzy.

Zauważyłem ludzi usiłujących gasić płonące auta, byli to przeważnie jacyś ubogo odziani staruszkowie, noszący wodę kubełkami z pobliskiej fontanny. Już to mogło dać nieco do myślenia. W dali, u wylotów Avenida del Salvation i del Resurrection, błyszczały niewyraźnie kaski policyjne; zresztą plac przed hotelem, jak i okalające go trawniki z masywnopiennymi palmami były w tej chwili puste. Staruszkowie schrypłymi głosami zagrzewali się do akcji ratowniczej, choć wiek podcinał im sterane nogi; taka ofiarność wydała mi się wprost zdumiewająca, aż nagle wspomniałem ranne przeżycia i od razu podzieliłem się mymi podejrzeniami z Mauvinem. Grzechot broni maszynowej, zagłuszany basowymi wybuchami, utrudniał porozumienie; na bystrej twarzy Francuza malowała się przez chwilę kompletna dezorientacja, aż nagle błysk pojawił się w jego oku. — A! — ryknął, przekrzykując zgiełk. — Woda! Woda wodociągowa, co? Wielki Boże, po raz pierwszy w historii… kryptochemokracja! — z tymi słowami, jak żgnięty, pognał do hotelu. Oczywiście, aby zająć miejsce przy telefonie; i tak dziwne było, że łączność jeszcze działa.

Gdy tak stałem na podjeździe, przyłączył się do mnie profesor Trottelreiner ze szwajcarskiej grupy futurologicznej, i wtedy zaszło to, co właściwie już od dawna powinno było zajść: rozwinięty kordon policjantów w czarnych hełmach, czarnych tarczach napiersnych, maskach gazowych, z bronią w ręku, jął otaczać cały kompleks Hiltona, aby stawić czoła tłumowi, który właśnie wynurzył się z parku oddzielającego nas od zabudowań teatru miejskiego. Oddziały specjalne z wielką wprawą ustawiały miotacze granatów i pierwsze ich salwy skierowano w tłum; eksplozje były dziwnie słabe, wyzwalały za to całe chmury białawego dymu; zrazu pomyślałem, że to gaz łzawiący, lecz tłum, zamiast uciekać czy zareagować pełną wściekłości wrzawą, jął się wyraźnie garnąć do owych mglistych oparów; krzyki ścichły szybko, zamiast nich zaś posłyszałem jakby litanijne czy modlitewne pienia. Dziennikarze, miotający się z kamerami i magnetofonami między kordonem a wejściem hotelowym, w głowę zachodzili, co też to być może, aleja się już domyślałem: najwyraźniej policja zastosowała środki chemicznego dobruchania w formie aerozolowej. Lecz od Avenida del… — już nie pamiętam co — wyszła inna kolumna, której się te granaty jakoś nie chciały imać, a może to tylko tak wyglądało; mówiono później, że kolumna ta szła dalej, aby się zbratać z policją, nie zaś rozerwać ją na sztuki, lecz któż mógł dochodzić tak subtelnych dystynkcji w panującym chaosie? Granatniki przemówiły salwami, po nich odezwały się najpierw z charakterystycznym szumem i syczeniem armatki wodne, wreszcie rozległy się serie maszynowej broni i w jednej chwili powietrze zagrało pianiem pocisków. Tu już nie było żartów; padłem za

betonowym murkiem podjazdu niczym za brustwerą okopu, między Stantorem a Haynesem z „Washington Post”; w paru słowach uświadomiłem ich, oni zaś, oburzywszy się na mnie zrazu za to, że jako pierwszemu zdradziłem tak nagłówkowy sekret reporterowi a AFP, poczołgali się biegiem do hotelu, lecz niebawem wrócili z zawiedzionymi minami: łączności już nie było. Stantor dopadł jednak oficera, który kierował obroną hotelu, i od niego dowiedział się, że za chwilę nadlecą samoloty załadowane bembami, to jest Bombami Miłości Bliźniego (BMB); jakoż kazano nam opuścić plac, wszyscy zaś policjanci co do jednego nałożyli maski gazowe ze specjalnymi pochłaniaczami. I nam też j e rozdano.

Profesor Trottelreiner, który, jak chciał przypadek, jest specjalistą właśnie w zakresie farmakologii psychotropowej, ostrzegł mnie, żebym się maską gazową w żadnym wypadku nie posługiwał, ponieważ przestaje ona działać ochronnie przy większych stężeniach aerozolu; powstaje wtedy zjawisko tak zwanego przeskoku przez pochłaniacz i w jednym momencie można wówczas łyknąć dawkę większą, niż gdyby się zwyczajnie oddychało otaczającym powietrzem. Na moje pytania odpowiedział, że jedynym zbawiennym środkiem jest aparat tlenowy; poszliśmy więc do hotelowej recepcji i znalazłszy jeszcze ostatniego pracownika na posterunku, odszukaliśmy za jego wskazaniami pomieszczenia przeciwpożarowe, gdzie istotnie nie brakowało aparatów tlenowych systemu Draegera z zamkniętym krążeniem. Tak zabezpieczeni, wróciliśmy z profesorem na ulicę w momencie, gdy przeraźliwy gwizd rozcinanego powietrza zwiastował nalot pierwszych samolotów. Jak wiadomo, Hilton został omyłkowo zbombardowany w parę chwil po rozpoczęciu powietrznego uderzenia; jego skutki okazały się straszne. Bemby trafiły co prawda tylko to odległe skrzydło niższej części zabudowań, w którym na wynajętych stoiskach znajdowała się wystawa urządzona przez Zjednoczenie Wydawców Wyzwolonej Literatury, tak że z gości hotelowych na razie nikt nie poniósł szwanku, lecz za to paskudnie dostało się strzegącej nas policji. Po minucie paroksyzmy miłości bliźniego przybrały w jej szeregach charakter masowy. Na moich oczach policjanci, zdarłszy maski z twarzy, zalewając się gorącymi łzami skruchy, na kolanach błagali demonstrantów o wybaczenie, wtykali im siłą swe solidne pałki, dopraszając się możliwie tęgiego bicia, a po dalszym bembardowaniu, kiedy stężenie aerozolu wzrosło jeszcze bardziej, rzucali się jeden przez drugiego, aby pieścić i miłować każdego, kto się tylko nawinął. Przebieg wypadków udało się zrekonstruować, a i to jedynie częściowo, w szereg tygodni po całej tej tragedii. Rząd postanowił z rana zdławić w zarodku szykujący się zamach stanu, wprowadzając do wieży ciśnień około 700 kilogramów dwułagodku dobruchanu oraz superkaresyny z felicytolem; odcięto

zapobiegawczo dopływ wody do koszar policyjnych i wojskowych, lecz dla braku rzeczoznawców akcja ta musiała spalić na panewce: nie uwzględniono ani zjawiska przeskoków aerozoli przez filtry masek, ani tym bardziej tego, że rozmaite grupy społeczne wybitnie niejednakowym sposobem korzystają z wody pitnej.

Konwersja policji zaskoczyła tedy czynniki rządowe tym okrutniej, że, jak mi wyjaśnił Trottelreiner, działanie benignatorów jest tym potężniejsze, w im słabszym stopniu poddany im człowiek podlegał dotąd naturalnym, przyrodzonym impulsom życzliwości i dobra. To wyjaśnia fakt, że kiedy dwa samoloty następnej fali zbombardowały siedzibę rządu, wielu najwyższych funkcjonariuszy policyjnych oraz wojskowych popełniło samobójstwa, nie mogąc wytrzymać okropnych wyrzutów sumienia w związku z uprawianą dotąd polityką. Gdy jeszcze dodać, że sam generał Diaz, nim skończył ze sobą wystrzałem rewolwerowym, kazał otworzyć bramy więzień i wypuścić wszystkich politycznych więźniów, łatwiej można zrozumieć wyjątkowe nasilenie walk, do jakich doszło w ciągu nocy. Oddalone od miasta bazy lotnicze były wszak nie tknięte, a oficerowie ich mieli swe rozkazy, których trzymali się do ostatka; obserwatorzy zaś wojskowi i policyjni w swoich hermetycznych bunkrach, widząc, co się dzieje, uciekli się wreszcie do ostateczności, która całe Nounas pogrążyła w szale uczuciowego pomieszania. O wszystkim tym nie mieliśmy naturalnie w Hiltonie pojęcia. Dochodziła jedenasta w nocy, gdy na scenie wojennego teatru, jaki stanowił teraz plac razem z otaczającymi go parkami palmowymi, zjawiły się pierwsze pancerne jednostki armii; musiały zdławić miłość bliźniego, jaką okazywała policja, i uczyniły to, nie szczędząc krwi. Biedny Alphonse Mauvin stał o krok od miejsca, w którym wybuchł granat udobruchujący; siła eksplozji oderwała mu palce lewej ręki i lewe ucho, on jednak zapewniał mnie, że ta ręka od dawna była mu na nic, o uchu szkoda w ogóle mówić, a gdybym tylko chciał, zaraz mi ofiaruje drugie; wydobył nawet z kieszeni scyzoryk, alem mu go odebrał łagodnie i zaprowadziłem go do zaimprowizowanego punktu opatrunkowego, gdzie się nim zajęły sekretarki wyzwolonych wydawców, wszystkie zresztą łkające jak bobry wskutek chemicznego nawrócenia; mało, że się poubierały, ale chodziły nawet z zaimprowizowanymi czarczafami na twarzach, by nie kusić nikogo do grzechu; niektóre, co mocniej wzięte, poobcinały sobie włosy do samej skóry — nieszczęsne istoty. Wracając z sali opatrunkowej, miałem fatalnego pecha natknąć się na grupę wydawców. Nie poznałem ich zrazu; poodziewali się w jakieś stare jutowe worki, poprzepasywali sznurami, które służyły im też do biczowania, i krzycząc zmiłowania jeden przez drugiego, poklękali przede mną, błagając, bym zechciał należycie wysmagać ich za deprawowanie społeczeństwa. Jakież było moje zdumienie, kiedy

przyjrzawszy się im dokładniej, rozpoznałem w tych flagellantach wszystkich pracowników „Playboya” wraz z redaktorem naczelnym! Ten ostatni zresztą nie dał mi się wymknąć, tak mu dopiekało sumienie. Błagali mnie, pojmując, że dzięki aparatowi tlenowemu tylko ja jeden mogę im skrzywić włos na głowie; wreszcie, wbrew woli, zgodziłem się dla świętego spokoju spełnić ich prośby. Ręka mi zemdlała, duszno mi się zrobiło w masce tlenowej, obawiałem się, że nie znajdę innej, pełnej butli, gdy ta mi się skończy, ale oni, ustawiwszy się w długi ogonek, nie mogli się doczekać swej kolei. Aby się od nich odczepić, kazałem im wreszcie pozbierać wszystkie te olbrzymie plansze barwne, które wybuch bemby w bocznym skrzydle Hiltona rozrzucił po całym hallu, tak że wyglądało w nim niczym w Sodomie i Gomorze razem wziętych; na moje polecenie wznieśli z owych papierzysk ogromny stos przed wejściem i podpalili go. Niestety, artyleria stacjonująca w parku wzięła płonący stos za jakąś sygnalizację i skoncentrowała na nas ogień. Czmychnąłem jak niepyszny, po to tylko, by w suterenie dostać się w ręce pana Harveya Simwortha, pisarza, który wpadł na pomysł przerabiania bajek dziecinnych na utwory pornograficzne (to on napisał Długi Czerwony Kapturek jako też Ali Babę i czterdziestu zboczeńców), potem zaś zbił majątek na przeinaczaniu klasyki światowej; stosował prosty chwyt dopełniania tytułu każdego dzieła przydawką „życie płciowe” (np. — „krasnoludków z sierotką Marysią”, Jasia z Małgosią”, „Aladyna z lampą”, „Alicji w krainie czarów”, „Guliwera” itd., bez końca). Darmo mu się wymawiałem, że już ręką nie mogę ruszyć. Wobec tego — krzyczał, łkając — muszę go przynajmniej skopać. Cóż było robić — uległem raz jeszcze. Po tych przejściach byłem tak wyczerpany fizycznie, że ledwo dotarłem do pomieszczeń przeciwpożarowych, gdzie na szczęście znalazłem jeszcze parę nie tkniętych tlenowych butli. Siedział tam, na zwiniętym hydrancie, prof. Trottelreiner, zatopiony w lekturze referatów futurologicznych, wielce rad z tego, że znalazł wreszcie chwilę czasu w swej karierze zawodowego objeżdżacza kongresów. Tymczasem bembardowanie trwało w najlepsze. Profesor Trottelreiner radził stosować w ciężkich wypadkach porażenia miłością (okropny był zwłaszcza napad życzliwości powszechnej, przebiegający z pieszczotliwymi drgawkami) kataplazmy oraz duże dawki rycyny na przemian z płukaniem żołądka.

W ośrodku prasowym Stantor, Wooley z „Heralda”, Sharkey i Kiintze, fotoreporter pracujący chwilowo dla „Paris Match”, grali z maskami na twarzach w karty, bo dla braku łączności nie mieli nic lepszego do roboty. Gdym zaczął im kibicować, przybiegł Jo Missinger, senior dziennikarstwa amerykańskiego, wołając, że policji rozdano pastylki furyasolu, aby przeciwdziałać benignatorom. Nie

trzeba nam było tego dwa razy powtarzać; pognaliśmy do piwnic, niebawem wyjaśniło się jednak, że pogłoska była fałszywa. Wyszliśmy więc przed hotel; melancholijnie stwierdziłem, że brakuje mu wyższych kilkudziesięciu pięter; lawina gruzu pochłonęła mój apartament ze wszystkim, co się tam znajdowało. Łuna ogarnęła trzy czwarte nieba. Barczysty policjant w hełmie gnał za jakimś wyrostkiem krzycząc: — Stój, dlaboga, stój, przecież ja cię kocha m! — lecz tamten puścił te zapewnienia mimo uszu. Jakoś ucichło, a dziennikarzy korciła zawodowa ciekawość, ruszyliśmy więc ostrożnie w stronę parku; odbywały się w nim, ze znacznym udziałem tajnej policji, msze czarne, białe, różowe i mieszane. Obok stał olbrzymi tłum ludzi płaczących jak bobry; trzymali nad głowami tablicę z ogromnym napisem: LŻYJCIE NAS, MYŚMY PROWOKATORZY! Sądząc podług ciżby tych nawróconych Judaszów, wydatki rządowe na ich etaty musiały być spore i wpłynęły ujemnie na sytuację ekonomiczną Costaricany. Wróciwszy do Hiltona, ujrzeliśmy przed nim inny tłum. Wilczury policyjne, przedzierzgnąwszy się w psy z Góry Świętego Bernarda, wynosiły z hotelowego baru najdroższe trunki i rozdawały je wszystkim bez wyboru; w samym zaś barze, przemieszawszy się, policjanci i kontestatorzy śpiewali na przemian pieśni wywrotowe i zachowawcze. Zajrzałem do piwnicy, lecz sceny nawróceń, dopieszczeń, pokajań i umiłowań, które tam zobaczyłem, tak mnie zniesmaczyły, że udałem się do pomieszczeń przeciwpożarowych, gdzie, jak wiedziałem, siedział prof. Trottelreiner. I on, ku memu zdziwieniu, dobrał sobie trzech partnerów, z którymi grał w brydża. Docent Ouetzalcoatl zagrał spod atutowego asa, co tak rozgniewało Trottelreinera, że wstał od stołu; gdym go z innymi uspokajał, przez drzwi wsadził głowę Sharkey, by powiedzieć nam, że złapał na tranzystorze przemowę generała Aquillo: zapowiedział on krwawe zdławienie rokoszu konwencjonalnym bombardowaniem miasta. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy wycofać się do najniższej kondygnacji Hiltona, to jest kanalizacyjnej, umieszczonej pod schronami. Ponieważ kuchnia hotelowa legła w gruzach, nie było co jeść; zgłodniali kontestatorzy, filumeniści i wydawcy zapychali się czekoladowymi pastylkami, odżywkami i galaretkami wzmacniającymi potencję, które znaleźli w opustoszałym centro erotico, zajmującym narożnik hotelowego skrzydła; widziałem, jak mienili się na twarzach, gdy podniecające afrodyzjaki i lubczyki mieszały się w ich żyłach z benignatorami; strach było pomyśleć, do czego ta chemiczna eskalacja doprowadzi. Widziałem bratanie się futurologów z indiańskimi pucybutami, tajnych agentów w objęciach służby hotelowej, fratemizację ogromnych tłustych szczurów z kotami — nadto wszystkich bez różnicy lizały psy policyjne. Nasza powolna wędrówka — musieliśmy

bowiem przebijać się z trudem przez ciżbę — dała mi się we znaki, zwłaszcza że niosłem, zamykając pochód, połowę zapasu butli tlenowych. Głaskany, całowany po rękach i nogach, adorowany, dusząc się od uścisków i pieszczot, uparcie brnąłem przed siebie, aż posłyszałem okrzyk triumfu Stantora: znalazł wejście do kanału! Ostatnim zrywem sił podźwignęliśmy ciężką klapę i po kolei jęliśmy się opuszczać do betonowej studzienki. Podpierając profesora Trottelreinera, któremu noga omskła się na szczeblu żelaznej drabinki, spytałem go, czy tak sobie wyobrażał ten kongres. Zamiast odpowiedzi, usiłował pocałować mnie w rękę, co od razu wzbudziło moje podejrzenia, jakoż okazało się, że wskutek przekrzywienia maski łyknął nieco zadżumionego dobrocią powietrza. Zastosowaliśmy natychmiast męki, oddychanie czystym tlenem i czytanie na głos referatu Hayakawy — to była myśl Howlera. Odzyskawszy przytomność, co udokumentował serią soczystych przekleństw, profesor kontynuował marsz wraz z nami. Niebawem ukazały się w mdłym świetle latarki oleiste plamy na czarnej powierzchni kanału; widok ten przyjęliśmy z najwyższą radością, jako że obecnie od powierzchni bombardowanego miasta oddzielało nas dziesięć metrów ziemi. Jakież było nasze zdumienie, gdy okazało się, że o tym azylu pomyślał już ktoś przed nami. Na betonowym progu siedziała w komplecie dyrekcja Hiltona; przezorni menażerowie zaopatrzyli się w plastykowe nadymane fotele z basenu hotelowego, radia, baterię whisky, schweppesa i cały zimny bufet. Ponieważ i oni używali aparatów tlenowych, nie było nawet mowy o tym, by chcieli się z nami czymkolwiek podzielić. Przybraliśmy jednak groźną postawę, a że mieliśmy liczebną przewagę, udało się nam ich przekonać. W z lekka wymuszonej zgodzie wzięliśmy się do pałaszowania homarów; tym nie przewidzianym przez program posiłkiem zakończył się pierwszy dzień zjazdu futurologicznego.

Znużeni przejściami burzliwego dnia jęliśmy się sposobić do noclegu w okolicznościach bardziej niż spartańskich, zważywszy, że przychodziło ułożyć się do snu na wąskim chodniku betonowym, noszącym ślady kanalizacyjnego przeznaczenia. Toteż jako pierwszy powstał problem sprawiedliwego rozdziału nadymanych foteli, w które zaopatrzyła się przezorna dyrekcja Hiltona. Foteli było sześć, dla dwunastu osób, bo sześcioosobowy zarząd hotelu godził się udostępnić te legowiska, na prawach wspólnoty, sekretarkom; tymczasem nas, którzyśmy zeszli do kanału pod przewodem Stantora, było dwudziestu, w tym grupa futurologiczna profesorów Dringenbauma, Hazeltona i Trottelreinera, grupa dziennikarzy i sprawozdawców telewizji CBS, z dokooptowanymi po drodze dwiema osobami, a mianowicie nie znanym nikomu krzepkim mężczyzną w skórzanej kurtce i bryczesach oraz małą Jo Collins, osobistą współpracownicą

redaktora „Playboya”; Stantor zamierzał wykorzystać jej chemiczne nawrócenie i już po drodze zmawiał się z nią, jak słyszałem, o prawo pierwodruku jej wspomnień. Przy sześciu fotelach i trzydziestu siedmiu reflektantach sytuacja natychmiast się zaogniła. Staliśmy po obu stronach tych pożądanych legowisk, patrząc na siebie spode łba, do czego zresztą zmuszały maski tlenowe. Ktoś zaproponował, żeby na dany znak wszyscy zdjęli te maski; w samej rzeczy jasne było, że, opanowani wówczas altruizmem, zlikwidujemy w ten sposób przedmiot sporu. Mimo to nikt się nie kwapił do realizacji projektu. Po długich swarach doszło wreszcie do kompromisu — zgodziliśmy się na losowanie i trzygodzinny sen po kolejny; za losy posłużyły kupony owych pięknych kopulacyjnych książeczek, jakie niektórzy z nas mieli jeszcze przy sobie. Tak się złożyło, że przyszło mi spać w pierwszej zmianie, razem z profesorem Trottelreinerem, bardziej chudym, a nawet kościstym, niżbym sobie mógł tego życzyć, skoro dzieliliśmy łoże (a raczej fotel). Nasi następcy w kolejce zbudzili nas brutalnie i gdy układali się na wygrzanych legowiskach, przykucnęliśmy nad brzegiem kanału, niespokojnie sprawdzając stan ciśnienia w butlach tlenowych. Było już jasne, że tlen skończy się za kilka godzin; perspektywa zniewolenia dobrocią zdawała się nieunikniona i nastrajała wszystkich ponuro. Wiedząc o tym, że zakosztowałem już owego błogostanu, towarzysze wypytywali mnie skwapliwie o wrażenia. Zapewniałem ich, że nie jest to takie złe; mówiłem jednak bez większego przekonania. Morzyła nas senność; żeby nie powpadać do kanału, przywiązaliśmy się, czym kto mógł, do żelaznej drabinki pod klapą. Z niespokojnej drzemki wyrwał mnie odgłos wybuchu silniejszego niż wszystkie dotąd; rozejrzałem się w panującym półmroku, bo przez oszczędność wszystkie latarki prócz jednej zgaszono. Na brzeg kanału właziły wielkie, grube szczury. Było to o tyle dziwne, że szły gęsiego i na tylnych łapach; uszczypnąłem się, ale to nie był sen. Zbudziłem profesora Trottelreinera i pokazałem mu ów fenomen; nie wiedział, co o nim myśleć. Szczury chodziły parami, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi; w każdym razie nie brały się do lizania nas, co stanowiło już podług profesora dobry znak; najprawdopodobniej powietrze było czyste. Ostrożnie zdjęliśmy maski. Obaj reporterzy po mojej prawicy spali w najlepsze; szczury wciąż spacerowały na dwóch nogach, my zaś z profesorem zaczęliśmy kichać, bo tak zakręciło nam w nosie; sądziłem zrazu, że to skutek kanałowych zapachów — dopóki nie spostrzegłem pierwszych korzonków. Schyliłem się nad własnymi nogami. Nie było mowy o pomyłce. Wypuszczałem korzenie, mniej więcej od kolan, wyżej natomiast zazieleniłem się. Teraz puszczałem już pąki nawet rękami. Otwierały się szybko, rosły w oczach, nabrzmiewały, białawe co prawda, jak to zwykle bywa z roślinnością w piwnicy; czułem, że

jeszcze chwila, a zacznę owocować. Chciałem zapytać Trottelreinera, jak to sobie tłumaczy, ale musiałem podnieść głos, tak szumiał. Śpiący też przypominali strzyżony żywopłot, obsypany liliowym i szkarłatnym kwieciem. Szczury skubały listki, gładziły się łapkami po wąsach i rosły. Pomyślałem, że jeszcze trochę, a można będzie ich dosiąść; tęskniłem — jak to drzewo — do słońca. Jakby z ogromnej odległości doszły mnie miarowe grzmoty, coś obsypywało się, huczało, echo szło korytarzami, zacząłem czerwienieć, potem zazłociłem się, wreszcie sypnąłem liśćmi. Co, już jesień — zdziwiłem się — tak prędko?

Lecz jeśli tak, to już odjeżdżać czas, wykorzeniłem się więc i nastawiłem dla pewności ucha. Ani chybi — surmy grały. Okulbaczony szczur, okaz wyjątkowy nawet jak na wierzchowego, odwrócił głowę i spojrzał na mnie spod obwisłych skośnie powiek smutnymi oczami profesora Trottelreinera. Zacukałem się od nagłej wątpliwości: jeżeli to profesor przypominający szczura, dosiąść go nie uchodzi, ale jeśli tylko szczur podobny do profesora, nic to. Lecz surmy grały. Skoczyłem nań na oklep i wpadłem do kanału. Dopiero ta wstrętna kąpiel otrzeźwiła mnie. Trzęsąc się z obrzydzenia i wściekłości wylazłem na chodnik. Szczury niechętnie zrobiły mi nieco miejsca. Dalej spacerowały na dwu nogach. Ależ to jasne — przemknęło mi — halucynogeny: gdy ja miałem się za drzewo, czemuż one nie mogły się mieć za ludzi? Po omacku szukałem maski tlenowej, aby ją wdziać czym prędzej. Odnalezioną zacząłem naciągać na twarz, oddychając jednak niespokojnie, bo skąd wziąć pewność, czy to maska rzetelna, czy tylko jej przywidzenie?

Wokół mnie pojaśniało nagle — podniósłszy głowę, ujrzałem otwartą klapę, a w niej sierżanta armii amerykańskiej, który wyciągał do mnie rękę.

— Prędzej! — zawołał. — Prędzej!

— Co, helikoptery przyleciały?! — zerwałem się na równe nogi.

— Na górę, szybko! — wołał.

Inni też się już podrywali. Wspiąłem się po drabince.

— Nareszcie! — dyszał pode mną Stantor. Na górze było jasno od pożaru. Rozejrzałem się — żadnych helikopterów, jedynie kilku żołnierzy w bojowych hełmach, z podpinkami spadochroniarzy, podawało nam jakąś uprząż.

— Co to jest? — spytałem zdziwiony.

— Prędzej, prędzej! — wołał sierżant. Żołnierze zaczęli mnie kulbaczyć. Halucynacja! — pomyślałem.

— Nic podobnego — rzekł sierżant — to są olstra skokowe, nasze indywidualne rakietki, zbiornik jest w tornistrze. Złap się pan za to — wetknął mi w rękę jakąś dźwignię, gdy żołnierz, stojący za mymi plecami, dociągał gurt pasa. — Dobra!

Sierżant klepnął mnie po ramieniu i nacisnął coś na mym tornistrze. Rozległ się przeciągły, ostry świst, para czy też biały dym, buchający z dyszy tornistra, owionął mi nogi, zarazem uniosłem się jak piórko w powietrze.

— Ależ ja nie umiem tym kierować! — wołałem, mknąc świecą w czarne niebo, groźnie połyskujące łunami.

— Nauczy się pan! Azymut na Gwiazdę Po-lar-ną!! — krzyczał z dołu sierżant.

Spojrzałem pod nogi. Pędziłem właśnie nad gigantyczną kupą gruzu, która niedawno jeszcze była hotelem Hiltona. Obok widniała maleńka gromadka ludzi, dalej ogromnym pierścieniem buchały krwawe języki ognia, na jego tle zaczerniała okrągła plamka — to startował, z otwartym parasolem, profesor Trottelreiner. Obmacywałem się sprawdzając, czy pasy i szleje trzymają jak należy. Tornister bulgotał, dudlił, świszczał, para buchająca odrzutem coraz mocniej parzyła mi łydki, podkurczałem je więc, jak mogłem, od tego jednak straciłem stateczność i przez dobrą minutę kręciłem się w powietrzu jak ciężki bąk. Potem — nieumyślnie — szarpnąwszy dźwignię, coś zmieniłem w ustawieniu wylotów, bo jednym rzutem puściłem się w poziomy lot. Było to nawet dość przyjemne, a byłoby daleko milsze, gdybym przynajmniej wiedział, dokąd lecę. Manipulowałem dźwignią, starając się zarazem ogarnąć całą leżącą pode mną przestrzeń. Czarnymi zębami rysowały się ruiny domów na ścianach pożarów. Zobaczyłem błękitne, czerwone i zielone nitki ognia, które poszybowały ku mnie z ziemi, zapiało mi przy uchu, pojąłem, że strzelają do mnie. A więc szybciej, szybciej! Nacisnąłem dźwignię. Tornister charknął, zagwizdał jak nadpsuty parowóz, oblał mi ukropem nogi i tak mnie pchnął, że pomknąłem koziołkując w czarny jak smoła przestwór. Wicher gwizdał mi w uszach, czułem, jak scyzoryk, portfel i inne drobiazgi sypią mi się z kieszeni, spróbowałem znurkować za utraconymi przedmiotami, ale znikły mi z oczu. Byłem sam, pod spokojnymi gwiazdami, i wciąż sycząc, szumiąc, dudniąc — leciałem. Starałem się odnaleźć Gwiazdę Polarną, by wejść na jej kurs; gdy mi się to udało, tornister wydał ostatnie tchnienie i z rosnącą chyżością runąłem w dół. Na całe szczęście tuż nad ziemią — widziałem wijącą się mgławo szosę, cienie drzew, jakieś dachy — raz jeszcze rzygnął resztką pary. Odrzut ten zahamował mój upadek, tak że poleciałem dość nawet miękko na trawę. Ktoś leżał nie opodal w rowie i jęczał. Byłoby doprawdy dziwne — pomyślałem — gdyby się tam znajdował profesor! W samej rzeczy to był on. Pomogłem mu wstać. Obmacał całe ciało narzekając, że zgubił okulary. Zresztą nic złego sobie nie zrobił. Poprosił, abym pomógł mu odpiąć tornister. Ukląkł na nim i wyciągnął coś z bocznej kieszeni; były to jakieś stalowe rurki z kołem.

— A teraz pański…

Z mego tornistra też wydobył koło, coś tam majstrował, aż zawołał:

— Wsiadać! Jedziemy,

— Co to jest? Dokąd? — spytałem oszołomiony.

— Tandem. Do Waszyngtonu — lakonicznie odparł profesor, już z nogą na pedale.

— Halucynacja! — przemknęło mi.

— Skąd! — obruszył się Trottelreiner. — Zwykłe wyposażenie spadochroniarskie.

— No dobrze, ale skąd się pan na tym zna? — pytałem, sadowiąc się na tylnym siodełku. Profesor odepchnął się i pojechaliśmy po trawie, aż ukazał się asfalt.

— Pracuję dla USAF! — odkrzyknął profesor, zawzięcie pedałując.

O ile pamiętałem, od Waszyngtonu dzieliły nas jeszcze Peru i Meksyk, nie mówiąc o Panamie.

— Nie damy rady rowerem! — zawołałem pod wiatr.

— Tylko do punktu zbornego! — odkrzyknął profesor. Czyżby nie był zwyczajnym futurologiem, za jakiego się podawał? Wpakowałem się w nie byle jaką kabałę… I co ja mam do roboty w Waszyngtonie? Zacząłem hamować.

— Co pan robi? Proszę kręcić! — surowo strofował mnie profesor pochylony nad kierownicą.

— Nie! Stajemy. Ja wysiadam! — odparłem zdecydowanie.

Tandem zatoczył się i zwolnił. Profesor, wspierając się nogą o ziemię, pokazał mi szyderczym gestem dookolne mroki.

— Jak pan chce. Szczęść Boże! Ruszał już.

— Bóg zapłać! — zawołałem i patrzałem w ślad za nim; czerwona iskierka tylnego światła znikła w ciemności, ja zaś, zdezorientowany, usiadłem na słupku milowym, żeby przemyśleć własną sytuację.

Coś kłuło mnie w łydkę. Machinalnie sięgnąłem ręką, wymacałem jakieś gałązki i jąłem je obłamywać. Zabolało. Jeżeli to są moje pędy — rzekłem sobie — jestem niewątpliwie nadal wewnątrz halucynacji! Pochyliłem się, żeby to sprawdzić, gdy wtem uderzyła we mnie jasność. Zza zakrętu błysnęły srebrne jody, olbrzymi cień samochodu zwolnił, otwarły się drzwi. Wewnątrz pałały zielone, złotawe i niebieskie pasemka światełek na tablicy rozdzielczej, matowy blask spowijał parę kobiecych nóg w nylonach, stopy w złotej jaszczurce spoczywały na pedałach, ciemna twarz z pąsowymi wargami pochyliła się ku mnie, zabłysły brylanty na palcach trzymających koło kierownicze.

— Podwieźć?

Wsiadłem. Byłem tak zaskoczony, że zapomniałem o moich gałązkach. Ukradkiem przesunąłem ręką wzdłuż własnych nóg — to

były tylko osty.

— Co, już? — odezwał się niski głos o zmysłowym timbrze.

— Niby „co, już?" — spytałem zbity z pantałyku. Wzruszyła ramionami. Potężny samochód skoczył, dotknęła jakiegoś klawisza, zapadł mrok, tylko przed nami gnał strzęp oświetlonej drogi, spod tablicy rozdzielczej popłynęła klaskająca melodia. Jednak to dziwne — myślałem. — Jakoś się nie klei. Ani ręki, ani nogi. Co prawda nie gałązki, tylko osty, a jednak, jednak!

Przyjrzałem się obcej. Była niewątpliwie piękna, w sposób zarazem kuszący, demoniczny i brzoskwiniowy. Ale zamiast spódniczki miała jakieś pióra. Strusie? Halucynacja?… Z drugiej strony, obecna moda damska… Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Szosa była pusta; rwaliśmy, aż igła tachometru pochylała się ku krańcowi skali. Naraz jakaś ręka wczepiła mi się z tyłu we włosy. Drgnąłem. Palce, zakończone ostrymi paznokciami, drapały mnie w potylicę, raczej pieszczotliwie niż morderczo.

— Kto to? Co tam? — próbowałem się uwolnić. Nie mogłem jednak ruszyć głową. — Proszę mnie puścić!

Ukazały się światła, jakiś wielki dom, żwir chrupnął pod oponami, samochód zakręcił ostro, przytarł do krawężnika, stanął.

Dłoń, która wciąż dzierżyła mnie za czuprynę, należała do drugiej kobiety, odzianej w czerń, bladej, smukłej, w ciemnych okularach. Drzwi otwarły się.

— Gdzie jesteśmy? — spytałem.

Milcząc przypadły do mnie, ta od kierownicy wypychała mnie, ta druga ciągnęła stojąc już na chodniku. Wylazłem z auta. W domu bawiono się, słyszałem dźwięki muzyki, jakieś pijane krzyki, wodotrysk mienił się żółcią i purpurą w okiennym świetle u podjazdu, moje towarzyszki wzięły mnie mocno pod ręce.

— Ależ ja nie mam czasu — bąkałem. Nie zważały na moje słowa ani trochę. Czarna nachyliła się i gorącym oddechem tchnęła mi w samo ucho:

— Hu!

— Jak proszę?

Byliśmy już przed drzwiami; obie zaczęły się śmiać, nie tyle do mnie, co ze mnie. Wszystko odstręczało mnie od nich; poza tym były coraz mniejsze. Klękały? Nie, nogi obrastały im piórami. No — rzekłem sobie nie bez ulgi — a więc jednak halucynacja!

— Jaka tam halucynacja, fajtłapo! — parsknęła ta w okularach. Podniosła wyszywaną czarnymi perłami torebkę i zdzieliła mnie prosto w ciemię, aż jęknąłem.

— Patrzcie go, halucynanta! — krzyczała druga. Mocny cios trafił mnie w to samo miejsce. Upadłem zakrywając głowę rękami. Otworzyłem oczy. Profesor Trottelreiner pochylał się nade mną z

parasolem w ręku. Leżałem na chodniku kanałowym. Szczury w najlepsze chodziły parami.

— Gdzie, gdzie pana boli? — dopytywał się profesor. — Tu?

— Nie, tutaj… — pokazałem spuchnięte ciemię. Ujął parasol za cieńszy koniec i palnął mnie w obolałe miejsce.

— Ratunku! — krzyknąłem. — Proszę przestać! Czemu…

— To jest właśnie ratunek! — odparł futurolog bezlitośnie. — Nie mam, niestety, pod ręką innego antidotum!

— Ale przynajmniej nie skuwką, dlaboga!

— Tak jest pewniej.

Uderzył mnie raz jeszcze, odwrócił się i zawołał kogoś. Zamknąłem oczy. Głowa okrutnie bolała. Poczułem szarpnięcie. Profesor i mężczyzna w skórzanej kurtce chwycili mnie pod ręce i zaczęli gdzieś nieść.

— Dokąd? — zawołałem.

Gruz sypał mi się na twarz z dygocącego stropu; czułem, jak niosący kroczą po jakiejś chwiejnej desce czy kładce i drżałem, żeby się nie pośliznęli. — Dokąd mnie niesiecie? — pytałem słabo, lecz nikt nie odpowiedział. W powietrzu stał nieustanny huk. Zrobiło się jasno od pożaru;

byliśmy już na powierzchni, jacyś ludzie w mundurach chwytali kolejno wszystkich wyciąganych z otworu kanałowego i ciskali dość brutalnie w otwarte drzwi — mignęły mi olbrzymie biało lakierowane litery US ARMY COPTER l 109 849 — i upadłem na nosze. Profesor Trottelreiner wetknął głowę do helikoptera.

— Przepraszam, Tichy! — krzyczał. — Proszę wybaczyć! To było konieczne!

Ktoś stojący za nim wyrwał mu z ręki parasol, zdzielił nim profesora dwa razy na krzyż po głowie i pchnął go, aż futurolog jęknąwszy upadł między nas, równocześnie zaś zaszumiały wirniki, zahuczały motory i maszyna wzbiła się majestatycznie w powietrze. Profesor usiadł przy noszach, na których leżałem, pocierając delikatnie potylicę. Muszę wyznać, że chociaż pojmowałem samarytańskość jego czynów, z zadowoleniem skonstatowałem, że wyrósł mu olbrzymi guz.

— Dokąd lecimy?

— Na kongres — rzekł, wciąż krzywiąc się jeszcze, Trottekeiner.

— To jest… jak to na kongres? Przecież już był?

— Interwencja Waszyngtonu — wyjaśnił mi lakonicznie profesor. — Będziemy kontynuować obrady.

— Gdzie?

— W Berkeley.

— Na kampusie?

— Tak. Ma pan może jakiś nóż albo scyzoryk przy sobie?

— Nie.

Helikopter zatrząsł się. Grzmot i płomień rozpruły kabinę, z której wylecieliśmy jeden przez drugiego — w bezkresną ciemność. Męczyłem się potem długo. Zdawało mi się, że słyszę jękliwy głos syren, ktoś rozcinał mi ubranie nożem, traciłem przytomność i znów ją odzyskiwałem. Trzęsła mną gorączka i zła droga — widziałem matowobiały sufit ambulansu. Obok leżał jakiś długi kształt jakby obandażowanej mumii; po przytroczonym parasolu poznałem profesora Trottelreinera. Ocalałem… — przemknęło mi. — Żeśmy się też nie roztrzaskali na śmierć. Co za szczęście. Nagle pojazd zatoczył się z przenikliwym wrzaskiem opon, wywrócił kozła, płomień i grzmot rozerwały blaszane pudło. Co, znowu? — ty snęła mi ostatnia myśl, nim pogrążyłem się w mrocznej bezpamięci. Otwarłszy oczy, ujrzałem szklaną kopułę nad sobą; jacyś ludzie w bieli, zamaskowani, z rękami wzniesionymi kapłańsko, porozumiewali się półszeptem.

— Tak, to był Tichy — doleciało mnie. — Tu, do słoja. Nie, nie, sam mózg. Reszta nie nadaje się. Dawajcie tymczasem narkozę.

Niklowy krążek, obramowany watą, zasłonił mi wszystko, chciałem krzyczeć, wołać pomocy, ale wciągnąłem piekący gaz i rozpłynąłem się w nicości. Gdy znów przyszło ocknięcie, nie mogłem otworzyć oczu, ruszyć ręką ani nogą, jakbym był sparaliżowany. Ponawiałem te wysiłki, nie bacząc na ból w całym ciele.

— Spokojnie! Proszę się tak nie rzucać! — usłyszałem miły, melodyjny głos.

— Co? Gdzie jestem? Co ze mną…? — wybełkotałem. Miałem zupełnie obce usta, całą twarz.

— Jest pan w sanatorium. Wszystko dobrze. Proszę być dobrej myśli. Zaraz damy panu jeść…

Ale ja nie mam czym… — chciałem odpowiedzieć. Rozległ się szczęk nożyc. Całe płaty gazy odpadały z mojej twarzy. Pojaśniało. Dwu rosłych pielęgniarzy wzięło mnie delikatnie, lecz mocno pod ręce i postawiło na równe nogi. Zdumiałem się, że tacy są ogromni. Posadzili mnie na fotelu z kółkami. Przede mną dymił apetycznie wyglądający rosół. Sięgnąłem automatycznie po łyżkę i zauważyłem, że ręka, która ją chwyciła, była mała i czarna jak heban. Podniosłem ją do oczu. Sądząc po tym, że mogłem nią ruszać, jak chciałem, była to moja ręka. Bardzo jednak się zmieniła. Chcąc spytać o przyczynę tego zjawiska, podniosłem się i moje oczy napotkały lustro na przeciwległej ścianie. W fotelu na kółkach siedziała tam młoda przystojna Murzynka w piżamie, obandażowana, z wyrazem osłupienia na twarzy. Dotknąłem nosa. Odbicie w lustrze zrobiło to samo. Zacząłem obmacywać twarz, szyję, a natrafiwszy na biust, wydałem okrzyk trwogi. Głos miałem cieniutki.

— Wielki Boże!

Pielęgniarka strofowała kogoś, że nie zasłonił lustra. Potem

zwróciła się do mnie:

— Ijon Tichy, nieprawdaż?

— Tak. To znaczy — tak! tak!! Ale co to ma znaczyć? Ta dziewczyna — ta czarna panienka?

— Transplantacja. Nie dało się inaczej. Chodziło o to, żeby uratować panu życie. Żeby uratować pana, to znaczy

— pański mózg! — pospiesznie, a zarazem wyraźnie mówiła pielęgniarka, trzymając mnie za obie ręce. Zamknąłem oczy. Otwarłem je. Zrobiło mi się słabo. Wszedł chirurg z wyrazem najwyższego oburzenia na twarzy.

— Co to za nieporządki! — huknął. — Pacjent może wpaść w szok!

— Już wpadł! — odrzuciła pielęgniarka. — To Simmons, panie profesorze. Mówiłam mu, żeby zasłonił lustro!

— Szok? A więc na co czekacie? Na operacyjną! — zakomenderował profesor.

— Nie! Już dosyć! — wołałem. Nikt nie zwracał uwagi na moje dziewczęce piski. Biała płachta opadła mi na oczy i twarz. Usiłowałem wyrwać się

— nadaremnie. Słyszałem i czułem, jak ogumione koła wózka toczą się po płytach posadzki. Rozległ się przeraźliwy huk, z ostrym trzaskiem pękały jakieś szyby. Płomień i grzmot wypełniły szpitalny korytarz.

— Kontestacja! Kontestacja! — wydzierał się ktoś, szkło chrupało pod butami uciekających, chciałem zedrzeć z siebie krępujące płótna, ale nie mogłem; poczułem ból w boku, przeraźliwy, i straciłem przytomność.

Ocknąłem się w kisielu. Był żurawinowy, wyraźnie nie dosłodzony. Leżałem na brzuchu, przywalało mnie coś dużego, dość miękkiego. Strąciłem to z siebie. Był to materac. Ceglany gruz boleśnie wpijał się w kolana i powierzchnię dłoni. Wypluwałem pestki żurawinowe i ziarenka piasku, podnosząc się na rękach. Separatka wyglądała jak po wybuchu bomby. Futryny wyskoczyły, ostatnie nie dotłuczone zęby szkła chyliły się z nich ku podłodze. Siatka obalonego łóżka była osmalona. Obok mnie, powalany kisielem, leżał duży zadrukowany arkusz. Ująłem go i zacząłem czytać.

Kochany Pacjencie (imię, nazwisko)! Przebywasz obecnie w naszym eksperymentalnym szpitalu stanowym. Zabieg, który uratował Ci życie, był poważny — bardzo poważny (niepotrzebne skreślić). Nasi najlepsi chirurdzy, w oparciu o najnowsze osiągnięcia medycyny, dokonali na Tobie jednej — dwu — trzech — czterech — pięciu — sześciu — siedmiu — ośmiu — dziewięciu — dziesięciu operacji (niepotrzebne skreślić). Byli oni zmuszeni, dla Twego dobra, zastąpić pewne części Twojego organizmu narządami, wziętymi od innych

osób zgodnie z Ustawą Federalną Izb Kongr. i Sen. (Rozp.Dz. Ust. l 989/0 001/89/1). To serdeczne powiadomienie, które obecnie czytasz, ma Ci pomóc w najlepszym zaakomodowaniu się do nowo powstałych warunków życia. Ocaliliśmy je dla Ciebie. Jednakowoż byliśmy zmuszeni usunąć Ci ręce, nogi, grzbiet, czaszkę, kark, brzuch, nerki, wątrobę, inne (niepotrzebne skreślić). Możesz być całkowicie spokojny o los owych Twoich doczesnych szczątków; zaopiekowaliśmy się nimi zgodnie z Twoją religią i wierni jej zaleceniom dokonaliśmy ich pogrzebania, spalenia, mumifikacji, rozsiania prochów na wietrze, napełnienia urny popiołem, poświęcenia, wysypania do śmieci (niepotrzebne skreślić). Nowa postać, w jakiej będziesz odtąd pędzić szczęśliwe i zdrowe życie, może stanowić dla Ciebie niejakie zaskoczenie, lecz zapewniamy Cię, że jak wszyscy nasi inni drodzy pacjenci, wnet się przyzwyczaisz. — Uzupełniliśmy Twój organizm, wykorzystując najlepsze, sprawne, dostateczne, takie organy (niepotrzebne skreślić), jakie mieliśmy do dyspozycji. Gwarantujemy Ci sprawność owych organów na prze ciąg roku, sześciu miesięcy, kwartału, trzech tygodni, sześciu dni (niepotrzebne skreślić). Musisz zrozumieć, że…

Na tym się tekst urywał. Teraz dopiero zauważyłem, że na samej górze arkusza napisał ktoś blokowymi literami: IJON TICHY. Oper. 6,7 i 8. KOMPLET. Papier zadygotał mi w rękach. Wielki Boże, co ze mnie zostało? Bałem się spojrzeć nawet na własny palec. Grzbiet dłoni porastały grube, rude włosy. Zatrząsłem się cały. Wstałem, opierając się o ścianę, z zawrotem głowy. Biustu nie miałem; dobre i to. Panowała cisza. Jakiś ptaszek ćwierkał za oknem. Wybrał sobie czas na ćwierkanie! KOMPLET. Co znaczy KOMPLET? Kim jestem? Ijonem Tichym. Tego byłem pewien. A więc? Najpierw obmacałem nogi. Były obie, ale krzywe — w iks. Brzuch — nieprzyjemnie spory. Palec wpadł do pępka jak do studni. Fałdy tłuszczu… brr! co się ze mną stało? Helikopter, prawda. Zestrzelono go? Ambulans. Chyba granat lub mina. Potem ja — ta czarna mała — potem kontestacja — na korytarzu — granaty? Więc i ją, biedulę…? I raz jeszcze… Ale co znaczą te ruiny, ten gruz?

— Halo! — zawołałem — jest tu kto?

Urwałem zaskoczony. Miałem wspaniały głos, operowy bas, że aż echo poszło. Chciałem koniecznie przejrzeć się w lustrze, lecz bardzo się bałem. Podniosłem rękę do policzka. Mocny Boże! Grube, zwełnione kudły… Pochyliwszy się, zobaczyłem własną brodę, zakrywała mi piżamę do pół piersi, rozstrzępiona, kosmata, ruda. Ahaenobarbus! Rudobrody! No, można się ogolić… Wyjrzałem na taras. Ptaszek dalej ćwierkał — kretyn. Topole, sykomory, krzewy — cóż to jest? Ogród. Stanowego szpitala…? Na ławce ktoś siedział, z podkasanymi nogawkami piżamy, i opalał się.

— Halo! — zawołałem.

Odwrócił się. Ujrzałem dziwnie znajomą twarz. Zamrugałem oczami. Ależ to moja, to ja! Trzema susami znalazłem się na zewnątrz. Dysząc, wpatrywałem się we własną postać. Żadnej wątpliwości — to byłem ja!

— Czego pan tak patrzy? — odezwał się niepewnie, moim głosem.

— Skąd to — do pana? — wybełkotałem. — Kto pan jest!? Kto dał panu prawo…

— Aa! to pan! Wstał.

— Jestem profesor Trottelreiner.

— Ale dlaczego… na Boga, dlaczego… kto…

— Nie miałem w tym żadnego udziału — rzekł poważnie. Moje wargi mu drgały. — Wtargnęli tu ci, wie pan — yippiesi. Kontestatorzy. Granat… Stan pana uznano za beznadziejny, mój też. Bo ja leżałem obok, w następnej separatce.

— Jak to „beznadziejny”! — parsknąłem. — Przecież widzę —jak pan mógł!

— Ależ byłem bez przytomności, daję panu słowo! Doktor Fisher, główny chirurg, wyjaśnił mi wszystko: brali najpierw narządy i ciała najlepiej zachowane, a kiedy przyszła moja kolej, zostały już tylko wybierki, więc…

— Jak pan śmie! Mało, że przywłaszczył pan sobie moje ciało, jeszcze się pan wybrzydza!

— Nie wybrzydzam się, powtarzam tylko to, co mówił mi doktor Fisher! Zrazu uznali to — wskazał własną pierś — za niezdatne, ale w braku czegoś lepszego podjęli się reanimacji. Pan już był w tym czasie przeszczepiony…

— Ja byłem…?

— No tak. Pana mózg.

— Więc kto to jest? To znaczy był? — pokazałem na siebie.

— Jeden z tych kontestatorów. Jakiś przywódca podobno. Nie umiał się obchodzić z zapalnikami, dostał odłamkiem w mózg, tak słyszałem. No więc… — Trottelreiner wzruszył mymi ramionami.

Wzdrygnąłem się. Było mi nieswojo w tym ciele, nie wiedziałem, jak się mam do niego ustosunkować. Brzydziłem się. Paznokcie grube, kwadratowe, nie zwiastowały inteligencji!

— I co będzie teraz? — szepnąłem, siadając obok profesora, bo mi kolana zmiękły. — Ma pan może lusterko?

Wyjął z kieszeni. Zobaczyłem, porwawszy je chciwie, wielkie, podsiniaczone oko, porowaty nos, zęby w fatalnym stanie, dwa podbródki. Dół twarzy tonął w rudej brodzie. Oddając lusterko zauważyłem, że profesor znów wystawił kolana i łydki do słońca i pod wpływem pierwszego impulsu chciałem go przestrzec, że mam nader

delikatną skórę, ale ugryzłem się w język. Jeśli dozna słonecznego poparzenia, będzie to jego rzecz, bo już nie moja!

— Dokąd ja teraz pójdę? — wyrwało mi się. Trottelreiner ożywił się. Jego (jego?!) rozumne oczy spoczęły ze współczuciem na mej (mej?!) twarzy.

— Nie radzę panu nigdzie iść! On był poszukiwany przez policję stanową i przez FBI za serię zamachów. Są listy gończe, nakazy shoot to kill!

Zadrżałem. Tylko tego mi jeszcze brakowało. Boże, to jednak chyba halucynacja! — pomyślałem.

— Ale skąd! — żywo zaprzeczył Trottelreiner. — Jawa, drogi panie, najrzetelniejszajawa!

— Czemu szpital taki pusty?

— To pan nie wie? A, prawda, pan był nieprzytomny… Jest strajk.

— Lekarzy?

— Tak. Całego personelu. Ekstremiści porwali doktora Fishera. Żądają wydania im pana w zamian za jego zwolnienie.

— Wydania mnie?

— No tak, nie wiedzą, że pan, nieprawdaż, już nie jest sobą, tylko Ijonem Tichym… W głowie mi pękało.

— Popełnię samobójstwo! — rzekłem ochrypłym basem.

— Nie radzę. Żeby znowu pana przesadzili? Rozmyślałem gorączkowo, jak się przekonać, czy to nie jest jednak halucynacja.

— A gdybym tak… — rzekłem podnosząc się.

— Co?

— Gdybym się tak przejechał na panu. Hm? Co pan na to?

— Prze… co? Pan chyba oszalał?

Zmierzyłem go oczami, zebrałem się w sobie, skoczyłem na oklep i wpadłem do kanału. Omal się nie udławiłem czarną, cuchnącą bryją, lecz cóż to była, mimo wszystko, za ulga! Wylazłem na brzeg, szczurów było już mniej, widać sobie gdzieś poszły. Zostały tylko cztery. U samych kolan śpiącego głęboko profesora Trottelreinera grały jego kartami w brydża. Przeraziłem się. Nawet biorąc pod uwagę niezwykle wysokie stężenie halucynogenów — czy to możliwe, żeby naprawdę mogły grać? Zajrzałem najtłustszemu w karty. Młócił nimi bez ładu i składu. Nie był to żaden brydż! No, nic takiego… Odetchnąłem.

Na wszelki wypadek postanowiłem twardo nie ruszać się na krok od kanału: miałem zupełnie dość wszelkich form ratunku z opresji, przynajmniej na jakiś czas. Będę się domagał pierwej gwarancji. Inaczej znów Bóg wie co mi się przywidzi. Obmacałem twarz. Ani brody, ani maski. Co się znów z nią stało?

— Co się mnie tyczy — rzekł profesor Trottelreiner, nie

otwierając oczu — jestem uczciwą dziewczyną i liczę na to, że zechce pan to uwzględnić.

Nadstawił ucha, jak gdyby uważnie wysłuchiwał odpowiedzi na swe słowa, po czym dorzucił:

— Z mojej strony nie jest to pozór cnotliwości, który by miał dodatkowo rozpalić otępiałą chuć, lecz szczera prawda. Proszę mnie nie dotykać, gdyż byłabym zmuszona targnąć się na swoje życie.

Aha! — przemknęło mi domyślnie — więc i jemu spieszno do kanału!

Słuchałem dalej, uspokojony nieco, ponieważ fakt, że profesor halucynował, wydał mi się dowodem na to, iż przynajmniej ja tego nie robię.

— Zaśpiewać mogę, owszem — rzekł tymczasem profesor — skromna piosnka do niczego nie zobowiązuje. Czy będzie mi pan akompaniował?

Jednakże mógł po prostu mówić przez sen; w takim wypadku znów nic nie było wiadomo. Może go dosiąść na próbę? Ale właściwie mógłbym wskoczyć do kanału bez jego pośrednictwa.

— Jakoś nie jestem przy głosie. A i mama na mnie czeka. Proszę mnie nie odprowadzać! — kategorycznie oświadczył Trottelreiner. Wstałem i poświeciłem na wszystkie strony latarką. Szczury znikły. Szwajcarska grupa futurologiczna chrapała pokotem u samej ściany. Opodal, na wydymanych fotelach, leżeli reporterzy przemieszani z kierownictwem Hiltona. Wszędzie walały się ogryzione kości drobiu i puszki po piwie. Jeśli to halucynacja, to nader, nader realistyczna — rzekłem sobie. Chciałem się jednak upewnić, że nią nie jest. Dalipan, wolałbym powrócić na definitywną, nieodwołalną jawę. A co tam na górze?

Wybuchy bomb, czy też b e m b, odzywały się głucho i z rzadka. Rozległ się bliski, głośny plusk. Powierzchnia czarnych wód rozchyliła się, ukazując skrzywioną twarz profesora Trottelreinera. Podałem mu rękę. Wylazł na brzeg, otrząsnął się i zauważył:

— Miałem idiotyczny sen.

— Panieński, co? — rzuciłem od niechcenia.

— U diabła! A więc nadal halucynuję?!

— Czemu pan tak sądzi?

— Tylko w zwidach osoby postronne znają treść naszych snów.

— Po prostu słyszałem, co pan mówił — wyjaśniłem.

— Profesorze, jako fachowiec nie zna pan przypadkiem jakiejś sprawdzonej metody przekonania się, czy człowiek jest przy zdrowych zmysłach, czy też cierpi omamy?

— Zawsze noszę przy sobie ocykan. Torebka jest przemoczona, ale pastylkom to nie szkodzi. Przerywa wszelkie stany pomroczne, majaczenia, zwidy i koszmary. Chce pan?

— Być może preparat pański tak działa — mruknąłem — ale na pewno nie działa tak zwid tego preparatu.

— Jeżeli halucynujemy, obudzimy się, a jeśli nie, nic się zupełnie nie stanie — zapewnił mnie profesor, wkładając sobie do ust bladoróżową pastylkę. Wziąłem i ja jedną z mokrej torebki, którą mi podsunął. Ześliznęła się do gardła po języku. Z hukiem otwarła się klapa kanałowa nad nami i głowa w hełmie spadochroniarskim wrzasnęła:

— Prędko, na górę, jazda, prędko, wstawać!

— Helikoptery czy olstra? — spytałem domyślnie. — Jeśli o mnie chodzi, panie sierżancie, może się pan wypchać. I siadłem pod ścianą, krzyżując ręce na piersi.

— Zwariował? — zapytał sierżant rzeczowo Trottelreinera, który począł się wspinać po drabince. Zrobił się ruch. Stantor usiłował mnie podnieść chwyciwszy za ramię, ale odtrąciłem jego rękę.

— Woli pan tu zostać? Proszę bardzo…

— Nie tak: „Szczęść Boże!" — poprawiłem go. Jeden po drugim znikali w otwartej klapie kanału; widziałem blask ognia, słyszałem krzyki komendy, po głuchym świście zorientowałem się, że kolejno ekspediują ich przy pomocy latających tornistrów. Dziwne — zreflektowałem się — co to właściwie znaczy? Czy ja halucynuję za nich? Perprocura1. I co, będę tak siedział do sądnego dnia?

Mimo to ani się ruszyłem. Klapa zatrzasnęła się z hukiem i zostałem sam. Latarka, postawiona sztorcem na betonie, odbitym w stropie kręgiem światła rozjaśniała słabo otoczenie. Przeszły dwa szczury, miały szczelnie splecione ogony. To coś znaczy — rzekłem sobie — ale lepiej będzie jednak się w to nie wdawać.

Zachlupotało w kanale. No no — rzekłem pod nosem — i czyjaż to kolej teraz? Kleista powierzchnia wody rozstąpiła się, ukazując lśniące, czarne postaci pięciu płetwonurków, w okularach, maskach tlenowych, z bronią w ręku, którzy wskoczyli jeden po drugim na chodnik i szli ku mnie, człapiąc przeraźliwie żabiastymi płetwami stóp.

— Habla usted espanol? — zwrócił się do mnie pierwszy, ściągając maskę z głowy. Miał śniadą twarz i wąsik.

— Nie — odparłem. — Ale jestem przekonany, że pan mówi po angielsku, co?

— Jakiś bezczelny gringo — rzucił ten z wąsikiem drugiemu. Jak na komendę, wszyscy obnażyli twarze i wzięli mnie na cel.

— Mam wejść do kanału? — spytałem ochoczo.

— Masz stanąć pod ścianą. Ręce w górę, a wysoko!

Dostałem lufą w żebra. Zauważyłem, że halucynacja była bardzo dokładna — nawet pistolety maszynowe mieli wszyscy owinięte w plastykowe worki, aby nie zamokły.

— Było ich tu więcej — rzekł ten z wąsikiem do tęgiego bruneta, który usiłował zapalić papierosa. Ten wyglądał mi na dowódcę. Oświecili całe obozowisko, kopiąc z hałasem puste puszki, przewracając fotele, wreszcie oficer rzekł:

— Broń?

— Obmacałem, panie kapitanie. Nie ma.

— Czy mogę spuścić ręce? — spytałem spod ściany. — Bo mi zasypiają.

— Zaraz opadną ci na dobre. Rozwalać?

— Mhm — skinął oficer, wydmuchując nozdrzami dym. — Nie! Czekać! — dorzucił.

Podszedł do mnie, kołysząc się w biodrach. Do pasa miał przytroczony cały pęk złotych pierścionków na sznurku. Niezwykle realistyczne! — pomyślałem.

— Gdzie ci inni? — spytał.

— Mnie pan pyta? Wyhalucynowali się przez klapę. A zresztą pan to i tak wie.

— Pomieszany, panie kapitanie. Niech się nie męczy — rzekł ten z wąsikiem i odciągnął bezpiecznik przez plastykową osłonę.

— Nie tak — rzekł oficer. — Będzie dziura w worku, skąd weźmiesz inny, durniu? Nożem go.

— Jeśli mogę się wtrącić, wolałbym jednak kulę — zauważyłem, nieznacznie opuszczając ręce.

— Kto ma nóż?

Zaczęli szukać. Oczywiście okaże się, że go nie mają! — rozważałem. — Za prędko by się to skończyło. Oficer cisnął niedopałek na beton, rozgniótł go z niesmakiem końcem płetwy, splunął i rzekł:

— Kończyć go. Idziemy.

— Tak, bardzo proszę! — przywtórzyłem skwapliwie. Zbliżyli się do mnie, zaintrygowani.

— Co ci tak spieszno na tamten świat, gringo? Patrzcie wieprza, jak się doprasza! A może mu tylko urżnąć palce i nos? — próbowali jeden przez drugiego.

— Nie, nie! Proszę od razu, panowie! Bez litości, śmiało! — zachęcałem ich.

— Pod wodę! — zakomenderował oficer. Spuścili na twarze maski z czół, oficer rozpiął pas zewnętrzny, dobył z wewnętrznej kieszeni płaski rewolwer, dmuchnął w lufę, podrzucił broń jak kowboj w kiepskim filmie i strzelił mi w plecy. Paskudny ból prześwidrował klatkę piersiową. Zacząłem się osuwać po ścianie; złapał mnie za kark, wykręcił twarzą do góry i strzelił raz jeszcze z tak bliska, że oślepił mnie ogień wylotowy. Huku nie usłyszałem, bo straciłem przytomność. Byłem potem w zupełnym mroku, dusząc się, bardzo

długo, coś targało mną, podrzucało, mam nadzieję, że ani ambulans, ani helikopter — myślałem, potem zrobiło się, w tym mroku, jeszcze ciemniej, i nawet owa ciemność rozpuściła się w końcu, tak że nie zostało już nic.

Gdy otwarłem oczy, siedziałem na schludnie posłanym łóżku, w pokoju o wąskim oknie, z szybą zamalowaną białym lakierem; patrzałem tępo na drzwi, jak gdyby na coś czekając. Nie miałem pojęcia, ani gdzie jestem, ani skąd się tu wziąłem. Na nogach miałem płaskie trepy, na sobie — pasiastą piżamę. Dobrze, że choć coś nowego — przemknęło mi — jakkolwiek nie zapowiada się to nazbyt ciekawie. Drzwi uchyliły się. Stał w nich, otoczony gromadką młodych ludzi w białych płaszczach szpitalnych, krępy brodacz z siwą, szczotkowatą czupryną, w złotych okularach. W ręku trzymał gumowy młotek.

— Ciekawy przypadek — rzekł. — Bardzo ciekawy, proszę kolegów. Pacjent ten uległ zatruciu znaczną dawką halucynogenów cztery miesiące temu. Działanie ich ustąpiło już od dawna, lecz on nie potrafi w to uwierzyć i nadal uważa wszystko, co dostrzega, za objaw halucynatoryczny. W aberracji swej posunął się tak daleko, że sam prosił żołnierzy generała Diaza, którzy uciekali kanałami z zajętego pałacu, aby go rozstrzelali, ponieważ liczył na to, że śmierć będzie w samej rzeczy przebudzeniem z omamów. Został uratowany dzięki trzem bardzo poważnym zabiegom — usunięto mu dwie kule z komór sercowych — i uznał, że nadal halucynuje.

— Czy to jest schizofrenia? — cienkim głosem spytała niska studentka, która, nie mogąc się przepchać przez stłoczonych kolegów, stawała na palcach, aby zobaczyć mnie ponad ich barkami.

— Nie. Jest to psychoza reaktywna o nowej postaci, wywołanej, niewątpliwie, zastosowaniem tych fatalnych środków. Wypadek zupełnie beznadziejny; tak źle rokujący, że zdecydowaliśmy się poddać go witryfikacji.

— Doprawdy? Panie profesorze! — studentka nie posiadała się z zainteresowania.

— Tak. Jak wiecie, przypadki beznadziejne można już obecnie zamrażać w płynnym azocie na okres od czterdziestu do siedemdziesięciu lat. Każdy taki pacjent zostaje umieszczony w hermetycznym pojemniku, rodzaju naczynia Dewara, z dokładnym opisem historii choroby; w miarę nowych odkryć i postępów medycyny, podziemia, w których przechowuje się tych ludzi, podlegają remanentom, i wskrzesza się każdego, któremu już można pomóc.

— Czy pan się chętnie godzi na to, aby zostać zamrożonym? — spytała mnie studentka, wetknąwszy głowę między dwu rosłych studentów. Oczy jej płonęły naukową ciekawością.

— Nie rozmawiam z przywidzeniami — odparłem. — Najwyżej mogę powiedzieć, jak pani na imię. Halucyna.

Gdy zamykali drzwi, słyszałem jeszcze głos studentki, która mówiła: — Zimowy sen! Witryfikacja! To przecież podróż w czasie, jak romantycznie! — Nie podzielałem jej zdania, lecz cóż mi pozostawało nad poddanie się fikcyjnej zewnętrzności? Pod wieczór następnego dnia dwaj pielęgniarze zaprowadzili mnie do sali operacyjnej, w której stał szklany basen, dymiący parami tak lodowatymi, że od ich powiewu ścinało dech. Dostałem moc zastrzyków, potem, ułożonego na stole operacyjnym, napojono mnie przez rurkę słodkawym przezroczystym płynem — gliceryną, jak mi wyjaśnił starszy pielęgniarz. Był dobry dla mnie. Nazywałem go Halucjanem. Gdy zasypiałem już, pochylił się nade mną, żeby mi jeszcze krzyknąć do ucha: — Szczęśliwego przebudzenia!

Nie mogłem mu ani odpowiedzieć, ani nawet palcem ruszyć. Przez cały czas — tygodniami! — obawiałem się pośpiechu z ich strony — że mnie wrzucą do basenu, nim stracę przytomność. Widać jednak pospieszyli się zbytnio, ponieważ ostatnim dźwiękiem tego świata, jaki doszedł mych uszu, był plusk, z którym ciało moje wpadło do płynnego azotu.

Przykry dźwięk.

* * *

Nic.

* * *

Nic.

* * *

Nic, ale to zupełnie nic.

* * *

Zdawało mi się, że coś, lecz gdzie tam. Nic.

* * *

Nie ma nic — mnie też nie.

* * *

Jak długo jeszcze? Nic.

* * *

Jak gdyby coś, chociaż to niepewne. Muszę się skoncentrować.

* * *

Coś, ale bardzo niewiele tego. W innych okolicznościach uznałbym, że nic.

* * *

Lodowce białe i błękitne. Wszystko jest zrobione z lodu. Ja też.

* * *

Ładne te lodowce, gdyby tylko nie było tak cholernie zimno.

* * *

Igły lodowe i śniegowe kryształki. Arktyka. Kra w gębie. Szpik w kościach? Jaki tam szpik — czysty, przezroczysty lód. Jest lodowaty i sztywny.

* * *

Mrożonka — to ja. Ale co to znaczy‚ja”? Oto pytanie.

* * *

Jeszcze nigdy nie było mi tak zimno. Całe szczęście, że nie wiem, co to „mi”. Mnie? Niby komu? Lodowcowi? Czy góry lodowe mają

dziurki?

* * *

Jestem zimowym kalafiorem w promieniach słońca. Wiosna! Wszystko już taje. Ja przede wszystkim. W ustach — sopel albo język.

* * *

Jednak to język. Męczą mnie, turlają, łamią, trą, a nawet, zdaje się, biją. Leżę pod plastykową płachtą, nade mną — lampy. A więc stąd mi się wziął ten inspektowy kalafior. Musiałem majaczyć. Biało — wszędzie biało, ale to ściany, nie śnieg.

Odmrozili mnie. Z wdzięczności postanowiłem pisać dziennik — jak tylko będę mógł wziąć pióro do zgrabiałej ręki. W oczach — wciąż jeszcze lodowe tęcze i niebieskie lśnienia. Zimno piekielne, ale już mogę się wygrzewać.

27 VII. Podobno reanimowano mnie przez trzy tygodnie. Były jakieś trudności. Siedzę w łóżku i piszę. Mam pokój duży za dnia i mały wieczorem. Pielęgnują mnie młode ładne kobiety w srebrnych maseczkach. Niektóre bez piersi. Widzę podwójnie lub lekarz naczelny ma dwie głowy. Wikt całkiem zwykły — kasza manna, strucla, mleko, płatki owsiane, befsztyczek. Cebulka nieco przypalona. Lodowce już śnią mi się tylko — ale z okropną uporczywością. Zamarzam, lodowacieję, zalodowuję się ośnieżony i skrzypiący od wieczora do ranka. Termofory, kompresy nie pomagają. Najlepiej jeszcze spirytus przed snem.

28 VII. Te kobiety bez piersi — to studenci. Nie można poza tym odróżnić od siebie płci. Wszyscy duzi, ładni i wciąż uśmiechnięci. Jestem słaby, rozkapryszony jak dziecko, wszystko mnie drażni. Po zastrzyku wbiłem dziś igłę w zadek siostrze przełożonej, ale prawie nie przestała się do mnie uśmiechać. Chwilami jakbym płynął na krze, to jest na łóżku. Wyświetlają mi na suficie zajączki, mrówki, krówki, robaczki i żuczki. Czemu? Dostaję gazetę dla dzieci. Pomyłka?

29 VII. Męczę się szybko. Ale już wiem, że poprzednio, to znaczy na początku reanimacji, majaczyłem. Podobno tak ma być. To normalne. Przybyszów sprzed kilkudziesięciu lat przyzwyczaja się do nowego życia stopniowo. Proceder ten przypomina sposób, w jaki wyciągają nurka z otchłani, nie można z wielkiej głębi wydobyć go za jednym zamachem. Tak i odmrożeńca — to pierwsze nowe słowo, jakie poznałem — przysposabia się na raty do nie znanego mu świata. Mamy rok 2039. Jest lipiec, lato, ładna pogoda. Moja osobista

pielęgniarka nazywa się Aileen Rogers, ma niebieskie oczy i dwadzieścia trzy lata. Przyszedłem powtórnie na świat w rewitarium pod Nowym Jorkiem. Inaczej — zmartwychwstalnia. Tak mówią. To prawie miasto z ogrodami. Własne młyny, piekarnie, drukarnie. Bo teraz już nie ma zboża ani książek. Jest jednak chleb, śmietanka do kawy i ser. Nie od krowy? Pielęgniarka myślała, że krowa — to jakaś maszyna. Nie mogę się dogadać. Skąd się bierze mleko? Z trawy. Wiadomo, że z trawy, ale kto ją żre, żeby było mleko? Nikt nie żre. Więc skąd się bierze mleko? Z trawy. Samo? Samo z niej się robi? Nie samo. To znaczy niezupełnie samo. Trzeba mu pomóc. Krowa pomaga? Nie. Więc jakie zwierzę? Żadne zwierzę. Więc skąd się bierze mleko! I tak dalej, w kółko.

30 VII 2039. Prosta rzecz — polewają czymś pastwisko i od promieni słońca robi się z trawy serek. O mleku jeszcze nie wiem. Ale w końcu to nie jest jednak najważniejsze. Zaczynam wstawać — i na wózek. Byłem dziś nad stawem pełnym łabędzi. Są posłuszne, przypływają na wezwanie. Tresowane? Nie, one są zdalne. Co to znaczy? Z jakiej odległości są te łabędzie? Zdalnie sterowane. Dziwne. Ptactwa naturalnego nie ma już, wyginęło na początku XXI wieku — od smogu. To przynajmniej pojmuję.

31 VII 2039. Zacząłem chodzić na lekcje życia współczesnego. Udziela ich komputer. Nie odpowiada na wszystkie pytania. „Dowiesz się później". Od trzydziestu lat na Ziemi panuje trwały pokój dzięki rozbrojeniu powszechnemu. Wojska zostało mało co. Pokazywał mi już modele robotów. Jest ich wiele — różnych, ale nie w rewitarium — aby nie płoszyć odmrożeńców. Panuje powszechny dobrobyt. To, o co wciąż pytam, nie jest najważniejsze podług mego preceptora. Lekcja odbywa się w małej kabinie, przed pulpitem. Słowa, obrazki i trójwymiarowe projekcje.

5 VIII 2039. Już za cztery dni mam opuścić rewitarium. Na ziemi żyje 29,5 miliarda ludzi. Istnieją państwa i granice, lecz nie ma konfliktów. Poznałem dziś główną różnicę między dawnymi i nowymi ludźmi. Pojęciem podstawowym jest teraz psychemia. Żyjemy w psywilizacji. Hasło „psychiczny" przestało istnieć — teraz mówi się „psychemiczny". Komputer mówił, że ludzkość szarpały sprzeczności między staromózgowiem, odziedziczonym po zwierzętach, i nowomózgowiem. Stare jest popędowe, irracjonalne, egotyczne i bardzo zaciekłe. Nowe ciągnęło tu — stare tam. Jeszcze mam trudności z wysławianiem bardziej zawiłych rzeczy. Stare biło się wciąż z nowym. To jest nowe ze starym. Psychemia zlikwidowała te wewnętrzne zmagania, które pochłaniały tyle marnowanej energii umysłowej. Psychemikalia robią za nas, co należy, ze staromózgowiem — harmonizują, łagodzą, perswadują, od środka, po dobremu. Na uczuciach spontanicznych polegać nie wolno. Kto by tak robił, ten jest

nieprzyzwoity. Trzeba zawsze zażyć specyfik odpowiedni do okoliczności. On pomoże, podeprze, nakieruje, usprawni i wygładzi. Zresztą to nie on, to część mnie samego, jak stają się nią po przyzwyczajeniu okulary, bez których źle widać. Nauki te szokują mnie — boję się kontaktu z nowymi ludźmi. Nie chcę zażywać psy chemikaliów. Są to — mówi preceptor — opory typowe i naturalne. Jaskiniowiec też by się zapierał przed tramwajem.

8 VIII 2039. Byłem z pielęgniarką w Nowym Jorku. Zielony ogrom. Wysokość, na której płyną chmury, można regulować. Powietrze jak w lesie. Przechodnie na ulicach papuzie odziani, szlachetni z twarzy, dobrzy dla siebie, uśmiechnięci. Nikt się nigdzie nie spieszy. Moda kobieca jak zawsze nieco obłędna — kobiety mają na czołach ruchome widoczki, z uszu wystają im małe czerwoniuchne języczki albo guziczki. Oprócz naturalnych rąk można mieć detaszki — rączki dodatkowe, do odpinania. Nie mogą te ręce wiele, ale zawsze — potrzymać co, otworzyć drzwi, podrapać między łopatkami. Opuszczam jutro rewitarium. Podobnych jest w Ameryce dwieście, a mimo to powstały już poślizgi w terminarzu odmrażania tłumów, które w zeszłym wieku ufnie kładły się do lodowej kąpieli. Wzgląd na zastygłe kolejki zmusza do przyspieszania procedur rehabilitacyjnych. Pojmuję to w pełni. Mam rachunek bankowy, tak że o pracę będę się musiał starać dopiero po Nowym Roku. Każdemu zamrażanemu zakłada się bowiem książeczkę oszczędnościową na procent składany, z tak zwanym zmartwychwstaniem docelowym.

9 VIII 2039. Dziś jest ten ważny dla mnie dzień. Mam już mieszkadełko trzypokojowe na Manhattanie. Terkopte — rem prosto z rewitarium. Mówi się teraz bardzo zwięźle: „tercić" i „kopcić". Nie chwytam jednak znaczeniowej różnicy obu tych czasowników. Nowy Jork, dawne śmietnisko zatkane samochodami, zamienił się w system wielopiętrowych ogrodów. Słoneczne światło pompuje się przewodami. To są soledukty. Tak grzecznych, nie rozkapryszonych dzieci za mych czasów nie było poza budującymi powiastkami. Na rogu mojej ulicy — Biuro Rejestracji Samorodnych Kandydatów do Nagrody Nobla. Obok salony sztuki, w których za bezcen sprzedają same autentyczne płótna — z gwarancjami, metrykami — nawet rembrandty i matissy! W oficynie mego wieżowca — szkoła małych komputerów pneumatycznych. Stąd dochodzą czasem — wentylacyjnymi szybami? — ich syczenia i sapania. Komputerków tych używa się między innymi do wypychania ukochanych psów po ich naturalnej śmierci. Wydaje mi się to raczej monstrualne, ale ludzie, jak ja, stanowią tu wszak znikomą mniejszość. Chodzę wiele po mieście. Umiem już poruszać się gnakiem. To łatwe. Kupiłem sobie amarantowy żupanik z białym frontem, srebrnymi bokami, amarantową wstęgą, złoto lamowanym kołnierzem. To jest najmniej

jaskrawy ze strojów, jakie teraz się nosi. Można mieć odzież wciąż zmieniającą krój i barwę, suknie kurczące się pod spojrzeniem męskim lub na odwrót — rozkładające się jak kwiaty do snu, suknie i bluzki pokazujące różne rzeczy, jakby były ekranikami telewizyjnymi, i te widoczki na nich się ruszają. Można nosić ordery, jakie kto chce i ile się chce. Można hodować hydroponicznie japońskie rośliny karłowate na kapeluszu, ale na szczęście można ich też nie hodować i nie nosić. Nie będę niczego wieszał ani w uszach, ani w nosie. Ulotne wrażenie, że ludzie, tacy ładni, duzi, mili, grzeczni i spokojni, są jeszcze do tego jacyś —jacyś osobni, specjalni — coś w nich jest takiego, co mnie dziwi, a co najmniej zastanawia. Tylko co to być może — pojęcia nie mam.

10 VIII 2039. Byłem dziś z Aileen na kolacji. Miły wieczór. Potem — Starożytne Wesołe Miasteczko na Long Island. Ubawiliśmy się wybornie. Obserwuję uważnie ludzi. Coś w nich jest. Coś w nich jest osobliwego — ale co? Nie mogę tego dojść. Ubranka dzieci — chłopczyk przebrany za komputer. Inny szybujący na wysokości pierwszego piętra, nad Piątą Ulicą, nad tłumem, i sypiący cukrowy groszek na przechodniów. Kiwano doń, uśmiechano się pobłażliwie. Idylla. Nie do wiary!

11 VIII 2039. Był dopiero co klibiscyt w sprawie pogody wrześniowej. Wyznacza się ją w równym i powszechnym głosowaniu na miesiąc naprzód. Wynik głosowania podaje się niezwłocznie dzięki komputerowi. Głosuje się, nakręcając odpowiedni numer telefonu. Sierpień będzie słoneczny, z małą ilością opadów, niezbyt upalny. Będzie sporo tęcz i kumulusów. Tęcze są nie tylko przy deszczu, bo można je jakoś inaczej produkować. Przedstawiciel meteo przepraszał za nieudane chmury z 26, 27 i 28 lipca — niedopatrzenia kontroli technicznej! Jadam na mieście, czasem w mieszkadle. Aileen wypożyczyła dla mnie słownik Webstera z rewitarycznej biblioteki, bo teraz nie ma książek. Nie wiem, co je zastąpiło. Nie rozumiałem jej wyjaśnień, a głupio było się do tego przyznać. Znów kolacja z Aileen — w „Bronxie". Zawsze ma coś do powiedzenia ta miła dziewczyna, nie jak te dziewczęta w gnakach, zwalające cały obowiązek konwersacyjny na swe torebkowe komputery. Widziałem dziś w Biurze Rzeczy Znalezionych trzy takie torebki, które zrazu rozmawiały spokojnie, a potem się pokłóciły. Co do przechodniów i w ogóle ludzi w miejscach publicznych — jak gdyby sapią. To jest głośno oddychają. Zwyczaj taki?

12 VIII 2039. Wziąłem na odwagę, by spytać przechodniów o księgarnię. Wzruszali ramionami. Gdy oddaliło się dwu, których nagabywałem, doszły mnie słowa: — a to ci sztywny defryzoń. — Czyżby istniało uprzedzenie wobec odmrożeńców? Zapisuję dalsze nieznane wyrażenia, jakem je słyszał: pojąt, wcier, trzywina,

samiczniak, pałacować, bodolić, pałcić, syntać. Gazety reklamują takie produkty, jak ciotan, czujan, wanielacz, łechtomobil (łechtaw — ka, łecht). Tytuł notatki miejskiej kroniki w „Heraldzie": Od pótmatka do półmatka. Mowa w niej o jakimś jajkonoszu, który pomylił jajnię. Odpisuję z dużego Webstera: Pólmatek, jak pótbabek, półgęsek. Jedna z. dwu kobiet, kolektywnie wydających na świat dziecko. Jajkonosz — od (anachr.) listonosz.. Euplanista dostarczający licencyjnych jajeczek ludzkich do domu. Nie powiem, żebym to rozumiał. Ciotan — por. stryjan bryjan. Encyk — por. pencyk, patrz tez pod Watykan. Idiotyczny słownik podaje synonimy, których też nie rozumiem. Popatacować, podpatacować, przepatacować — chwilowo mieć (nie: wynająć) pałac. Wanielacz — doduch. Najgorsze są słowa, które nie zmieniły wyglądu, lecz zdobyły zupełnie nowy sens. Myśliwy — plagiator cudzych pomysłów. Symulat — obiekt nie istniejący, który udaje, że jest. Smarkacz — smarowniczy-robot, odróżnić od zmarskacz. Zmarskacz — resuscytant, przywrócony do życia denat, wskrzeszona ofiara worów. Proszę! A dalej jeszcze: Wstawańka od wańka-wstańka. Widać ożywić trupa to teraz nic takiego. A ludzie — wszyscy niemal — sapią. W windzie, na ulicy, wszędzie. Wyglądają kwitnąco, rumiani, weseli, opaleni, a dyszą. Ja nie. Więc nie musi się. Zwyczaj taki czy co? Pytałem Aileen — wyśmiała mnie, że nic podobnego. Czyżby mi się zdawało?

13 VIII 2039. Chciałem przejrzeć przedwczorajszą gazetę, ale choć przewróciłem mieszkadło do góry nogami, nie znalazłem jej. Aileen znów mnie — prześlicznie zresztą — wyśmiała: gazeta ulatnia się do dwudziestu czterech godzin, bo substancja, na której ją drukują, rozpuszcza się w powietrzu. Usprawnia to wywózkę śmieci. Ginger, koleżanka Aileen, pytała mnie dziś — tańczyliśmy tarlestona w małym lokalu: — Czybyśmy się nie złyknęli na sobotnią ciasnafkę? — Nie odpowiedziałem nic, nie wiedząc, co to znaczy, a coś mi mówiło, że lepiej się o sens nie dopytywać. Za namową Aileen wykosztowałem się na rzeczywizor. Telewizji nie ma już od pięćdziesięciu lat. Zrazu trudno oglądać, bo wrażenie takie, jakby obcy ludzie, ale też psy, lwy, krajobrazy, planety — waliły się człowiekowi w kąt pokoju, zmaterializowane, że nie odróżnisz od realnych rzeczy i osób. Poziom artystyczny jednak raczej niski. Nowe suknie zwą się tryszcze, bo się je natryskuje na ciało z buteleczek. Język zmienił się najbardziej. Żywać od żyć, jak bywać od być, bo można żyć kilkakrotnie. Stąd forma częstotliwa. Ale także: pryć — prydło, myć — mydło, bać — badło. Pojęcia nie mam, co to znaczy, a nie sposób zamieniać randki z Aileen w lekcje wkuwania słówek. Śnidło — to sterowany sen podług obstalunku. Zamawia się u wysennika komputerowego, to jest w dzielnicowym biurze sentezy. Przed wieczorem dostarczają śnitek — to są takie pastylki. Już o tym nikomu nie mówię, lecz nie ulega

wątpliwości: mają zadyszkę. Co do jednego. Nie zwracają na nią uwagi — najmniejszej. Zwłaszcza osoby starsze wprost sapią. Chyba to jednak taki zwyczaj, bo powietrzem oddycha się doskonale i o duszności ani mowy. Dzisiaj widziałem sąsiada, jak wysiadał z windy — łapał powietrze i był trochę siny na twarzy. Ale przyjrzawszy mu się bliżej, sprawdziłem, że jest w doskonałym zdrowiu. Niby głupstwo, a nie daje mi spokoju. Czemu to tak? Niektórzy tylko nosem.

Wyśnidałem dziś (wyśniodłem? wyśnidłem?) prof. Tarantogę, bo mi za nim tęskno. Ale dlaczego przez cały czas siedział w klatce? Moja podświadomość — czy pomylony obstalunek? Spiker nie mówi: wielka walka, lecz: wala. Jak: salka i sala? Dziwne. Nie mówi się też bynajmniej: rzeczywizja. Jak dotąd pisałem. Pomyliłem się. Mówi się: rewizja (res — rzecz, i wizja). Aileen miała dziś dyżur, spędziłem wieczór samotnie, w mieszkaniu, to jest mieszkadle, oglądając dyskusję okrągłego stołu nad nowym kodeksem karnym. Zabójstwo karze się tylko aresztem, bo ofiarę można wszak łatwo wskrzesić. Właśnie taki wskrzeszony człowiek zwie się zmarskacz. Dopiero recydacja — recydywa z premedytacją — pociąga już za sobą kary więzienia (jeśli się kilka razy pod rząd zabije tę samą osobę). Natomiast delikty główne — to złośliwe pozbawienie kogoś osobistych środków psychemicznych oraz wpływanie na osoby trzecie takimi środkami bez ich zgody i wiedzy. Tak można przecież dokonać wszystkiego, czego się łaknie, np. uzyskać pożądany zapis testamentaryczny, wzajemność uczuć, zgodę na uczestnictwo w dowolnym planie, spisku eto. Było mi bardzo trudno śledzić tok tej dyskusji przed kamerami. Dopiero pod koniec połapałem się, że więzienie znaczy teraz coś innego niż dawniej. Skazanego nigdzie się nie zamyka, a jedynie nakłada mu się na ciało rodzaj cienkiego gorsetu czy raczej okładziny z delikatnych, lecz mocnych prętów; ten egzoszkielecik znajduje się pod trwałą kontrolą prokureterka (mikrokomputera jurydycznego), który ma się wszyty w odzież. Właściwie jest to więc nieustanny nadzór, udaremniający podejmowanie wielu czynności i korzystanie z życiowych uciech. Dotąd uległy egzoszkielet stawia opór przy próbach kosztowania zakazanych owoców. W wypadkach najcięższych deliktów stosuje się jakiś kry — minol. Wszyscy uczestnicy dyskusji mieli wypisane na czołach nazwiska i stopnie naukowe. Pewno, że to ułatwia porozumienie, ale jakieś jednak dziwaczne.

l IX 2039. Niemiła przygoda. Gdy wyłączyłem po południu rewizor, by się przyszykować na spotkanie z Aileen, dwumetrowy drab, nie pasujący mi od początku do oglądanej sztuki (Ospanka mutangd), pół-wierzba, pół-atleta z sękatą, powykręcaną gębą buroseledynowej barwy, zamiast zniknąć jak cały obraz, podszedł do mego fotela, wziął ze stolika kwiaty, którem przygotował dla Aileen, i

zmiażdżył je na mojej głowie. Osłupiałem do tego stopnia, że nawet nie próbowałem się bronić. Rozbił wazon, wylał wodę, zjadł pół pudła semapek, resztę wysypał na dywan, podeptał nogami, nabrzmiał, zajaśniał i rozbryznął się w deszcz iskier, niczym fajerwerk, powypalawszy moc dziurek w moich rozłożonych koszulach. Mimo podbitych oczu i pokancerowanej twarzy poszedłem na umówione miejsce. Aileen zorientowała się natychmiast. — Boże, miałeś interferenta! — krzyknęła na mój widok. Jeśli dwa programy, nadawane przez dwie różne stacje satelitarne, interferują ze sobą długo, powstać może interferent, to jest mieszaniec, hybryd szeregu postaci scenicznych czy innych osób występujących w rewizji; taki hybryd, wcale solidny, potrafi narobić paskudnych rzeczy, bo czas jego trwania po wyłączeniu aparatu sięga trzech minut. Energia, jaką żywi się taki fantom, jest pono z tej samej parafii, co energia kulistych piorunów. Koleżanka Aileen miała interferenta z audycji paleontologicznej, przemieszanego z Neronem; uratowała ją zimna krew, bo jak stała, wskoczyła do wanny pełnej wody. Mieszkadło trzeba było jednak remontować. Można je wprawdzie zabezpieczyć ekranowaniem, ale jest to dość kosztowne, a korporacjom rewizyjnym lepiej opłaca się prowadzenie procesów i wypłata odszkodowań widzom niż pełna ochrona emisji przed takimi wypadkami. Postanowiłem odtąd oglądać rewizję z grubą pałką w ręku. Notabene: ospanka mutanga nie jest to ospianka jakiegoś mustanga, lecz kochanka człowieka, który dzięki programowanej mutacji przyszedł na świat z mistrzowską umiejętnością argentyńskiego tańca.

3 IX 2039. Byłem u mego adwokata. Dostąpiłem zaszczytu osobistej rozmowy, rzecz rzadka, bo zwykle załatwiają klientów biuratery. Mecenas Crawley przyjął mnie w gabinecie urządzonym na wzór czcigodnych lokali barristerów, wśród czarnych szaf rzeźbionych, gdzie w ordynku piętrzyły się akta, zresztą dekoracja, gdyż sprawy utrwala się ferromagnetycznie. Na głowie miał przystawkę pamięci, memnor, rodzaj przezroczystego kołpaka, w którym skakały prądy jak rój świetlików. Druga, mniejsza głowa, nosząca rysy jego twarzy sprzed wielu lat, wystawała mu z barku i prowadziła przez cały czas przyciszone telefoniczne rozmowy. Jest to głowa-detaszka. Pytał, co robię; był zdziwiony usłyszawszy, nie planuję podróży za ocean, a gdy wyjawiłem, że muszę wszak być oszczędny, zdziwił się w dwójnasób.

— Ależ może pan wziąć każdą potrzebną kwotę z bradła — powiedział.

Okazuje się, że dość jest udać się do banku, podpisać kwit, a kasa (teraz — bradło) wypłaci żądaną sumę. Nie jest to pożyczka — otrzymanie tej kwoty pod względem prawnym do niczego nie zobowiązuje. Co prawda rzecz ma swój haczyk. Zobowiązanie zwrotu

owej sumy jest natury moralnej; spłaca sieją w ciągu lat nawet; spytałem, czemu bankom nie grozi plajta wskutek niewypłacalności takich dłużników. Znów się nieco zdumiał. Zapomniałem, że żyję w epoce psychemicznej. Listy z grzecznymi prośbami i przypomnieniami o obligu nasycone są lotną substancją, która budzi wyrzuty sumienia, chęć pracy i tak bradło dochodzi swych roszczeń. Oczywiście zdarzają się ludzie perfidni, przeglądający korespondencję z zatkanym nosem, ale nieuczciwych nie brakuje w żadnym czasie. Przypomniałem sobie rewizyjną dyskusję o kodeksie karnym i spytałem, czy nasycanie listów psychemikaliami nie jest deliktem ze 139 paragrafu (kto wpływ a psy chemicznie na osoby fizyczne bądź prawne bez ich zgody i wiedzy, podlega karze… itd.). Zaimponowałem mu tym; wyjaśnił subtelny charakter sytuacji — roszczeń wolno tak dochodzić, bo wszak, gdyby otrzymujący list nie był niczyim dłużnikiem, nie mógłby doznać wyrzutów sumienia, a wzbudzona chęć do intensywniejszej niż dotąd pracy jest ze stanowiska społecznego rzeczą zacną. Adwokat był wielce uprzejmy; zaprosił mnie na obiad do „Bronxa” — zobaczymy się tam dziewiątego września.

Po powrocie do domu uznałem, że czas najwyższy zaznajomić się z sytuacją światową bez polegania na samej rewizji. Próbowałem wziąć gazetę atakiem frontalnym, lecz utknąłem już w połowie artykułu wstępnego o wymigaczach i uchylcach. Z wiadomościami zagranicznymi nie poszło mi lepiej. W Turcji notuje się znaczne uciekł desymulów oraz moc tajnych urodzeńców, czemu tameczny Ośrodek Demopresji nie umie zapobiec. Na domiar złego utrzymywanie licznych synkretynów obciąża państwowy budżet. W We — bsterze, rozumie się, nie było nic sensownego. Desymulat — obiekt udający, że jest, chociaż go nie ma. Desymulów nie znalazłem. Tajny urodzeniec — to dziecko nielegalnie wydane na świat. Tak mi powiedziała Aileen. Demoeksplozję powściąga się polityką demopresyjną. Licencję na dziecko można dostać w dwojaki sposób: albo ubiegając się o nią po złożeniu odpowiednich egzaminów i papierów, albo też jako główną nagrodę na infantem (loterii infantylnej, tj. dziecięcej). Mnóstwo ludzi gra na tej loterii — takich, którzy nie mają innej szansy otrzymania licencji. Synkretynjest to sztuczny idiota; nic więcej się nie dowiedziałem. I tak nieźle, zważywszy język, jakim pisane są artykuły w „Heraidzie”. Odnotowuję przykładowo fragment: Profut biedny lub niedoindekspwany szkodzi konkurencji tak samo, jak rekurrencji; na takich profutach zerują kremokraci, dzięki pokątom ryzykującym niewiele, gdyż Sąd Najwyższy wciąż jeszcze nie wydal orzeczenia w sprawie Herodotousa. Opinia publiczna daremnie zapytuje od miesięcy, kto jest kompetentny w ściganiu i wykrywaniu milwersacji: kontrputery czy superputery? itd. Webster objaśnił mnie tylko, że kremokrata — to dawniejsza slangowa, ale już powszechnie używana

nazwa łapówkarza (poprzez „smarować”: smaruje się kremem, stąd kremokracja — korupcja). Życie nie jest jednak i teraz tak idylliczne, jak by się mogło zdawać. Znajomy Aileen, Bili Homeburger, chce przeprowadzić ze mną wywiad rewizyjny, ale to jeszcze niepewne. Nie z rozwidni — z mego mieszkadła, bo rewizor może działać też jako nadajnik. Od razu przypomniały mi się w związku z tym książki rysujące czarne obrazy przyszłości jako anty-utopii, w której każdego obywatela śledzi się w mieszkaniu;

Bili wydrwił moje obawy, tłumacząc, że na odwrócenie kierunku nadawania trzeba zawsze zgody właściciela aparatu, a za naruszenie tej zasady grożą kary więzienia. Za to można ponoć, odwracając kierunek emisji, dokonać nawet zdalnej zdrady małżeńskiej. I to wiem od Billa, ale nie jestem pewien, czy to fakt, czy kawał. Zwiedzałem dziś miasto gnakiem. Nie ma już kościołów, świątynia to farmakopeum. Biało odziane osoby w srebrnych mitrach — to nie księża ani zakonnicy, tylko aptekariusze. Ciekawe, że za to aptek nigdzie nie ma.

41 X 2039. Nareszcie dowiedziałem się, jak wejść w posiadanie encyklopedii. Już ją mam nawet — mieści się w trzech szklanych fiolkach. Kupiłem ją w naukowej sięgarni. Książek się teraz nie czyta, książki sieje, nie są z papieru, lecz z informacyjnej substancji, pokrytej lukrem. Byłem też w delikatesowej dietotece. Pełna samoobsługa. Na półkach leżą pięknie opakowane argumentanki, kredy bilany, multiplikol w omszałych gąsiorkach, ciżbina, purytacje i ekstazydy. Szkoda tylko, że nie znam jakiegoś lingwisty. Sięgarnia to chyba od sięgać? A więc teosięgamia na Szóstej Ulicy to chyba książnica teologiczna? Chyba tak, sądząc po nazwach wystawionych środków. Ułożone są działowe: absolventia, teodictina, metamorica — cała wielka sala; tłem sprzedaży jest dyskretna muzyka organowa. Zresztą można dostać specyfiki wszystkich wyznań; jest tam christina i antichristina, ormuzdal, arymanol, czopki-eutopki, razkozianek mortyny, buddyn, perpetuan i sakrantal (w opakowaniu jaśniejącym promienistą aureolą). Wszystko w pastylkach, pigułkach, w syropach, kroplach, w łomie, są nawet lizaki dla dzieci. Byłem niedowiarkiem, ale przekonałem się do tej innowacji. Po zażyciu czterech tabletek algebry opanowałem, ani wiem kiedy, wyższą matematykę bez najmniejszego starania z mej strony; wiedzę zdobywa się teraz przez żołądek. W tak dogodnych warunkach jąłem sycić jej głód, ale już dwa pierwsze tomy encyklopedii wywołały przykry rozstrój jelitowy. Bili, ten dziennikarz, przestrzegł mnie przed zaprzątaniem sobie głowy zbędnymi wiadomościami: jej pojemność nie jest przecież nieograniczona! Na szczęście istnieją środki przeczyszczające umysł i wyobraźnię. Np. memnolizyna czy amnestan. Można się łatwo pozbyć balastu niepotrzebnych faktów lub przykrych wspomnień. W sięgam!

delikatesowej widziałem freudylki, mementan, monstradynę oraz szumnie reklamowany najnowszy preparat z grupy bylanków — autental. Służy do tworzenia syntetycznych wspomnień tego, czego się wcale nie doświadczyło. Po dantynie np. człowiek obnosi się z dogłębnym przeświadczeniem, że napisał Boską komedię. Inna rzecz, że nie bardzo wiem, po co to komu. Istnieją nowe gałęzie nauki — np. psychodietetyka i koruptystyka. W każdym razie zażyłem encyklopedię nie na próżno. Wiem już, że dziecko naprawdę wydają na świat dwie kobiety pospólnie; od jednej pochodzi jajeczko, druga zaś nosi i rodzi płód. Jajkonosz przenosi jajeczka od półmatka do półmatka. Czy nie można prościej? Niezręcznie mi mówić o tym z Aileen. Muszę poszerzyć krąg znajomych.

5 IX 2039. Znajomi nie są konieczni jako informatorzy: istnieje środek zwany duetyną, który rozdwaja osobowość tak, że prowadzi się dyskusje z samym sobą na dowolny temat (określony osobnym specyfikiem). Inna rzecz, że czuję się nieco spłoszony bezkresnymi horyzontami psychemii i nie zamierzam na razie brać wszystkiego, co popadnie. Podczas dalszego zwiedzania miasta trafiłem dziś całkiem przypadkowo na cmentarz. Nazywa się zgonnica. Grabarzy nie ma już, zastępują ich groboty. Widziałem pogrzeb. Nieboszczyka umieszczono w tak zwanym grobowcu zwrotnym, ponieważ nie jest jeszcze pewne, czy go nie wskrzeszą. Jego ostatnią wolą było leżeć do końca, tj. tak długo, jak się tylko da, lecz żona z teściową wystąpiły do sądu o obalenie testamentu. Nie jest to, słyszę, wypadek izolowany. Sprawa będzie się wlokła po instancjach, bo jest trudna pod względem prawnym. Samobójca, który nie życzy sobie żadnych rezurekcji, musi chyba użyć bomby? Nigdy jakoś nie przyszło mi do głowy, że ktoś może sobie n i e życzyć zmartwychwstania. Widać może, ale tylko wówczas, gdy ono jest łatwo dostępne. Cmentarz piękny, tonie w zielonych gąszczach, trumny jednak dziwnie małe. Czyżby prasowali zwłoki? W tej cywilizacji wszystko wydaje się możliwe.

6 IX 2039. Nie prasują zwłok, lecz pochówek dotyczy wyłącznie zewłoku biologicznego, natomiast protezy idą na złom. A więc w takim stopniu są teraz ludzie sprotezowani?

W rewizji fascynująca dyskusja nad nowym projektem, który ma uczynić ludzkość nieśmiertelną. Mózgi starców w bardzo podeszłym wieku przesadzałoby się do ciał młodzieńców. Ci ostatni nic na tym nie tracą, jako że ich mózgi przesadzi się z kolei do ciał podrostków, i tak dalej — a ponieważ rodzą się wciąż nowi ludzie, nikt nie będzie poszkodowany, tj. bezzwrotnie odmóżdżony. Są jednak liczne obiekcje. Oponenci nazywają głosicieli nowego projektu przesadystami. Gdy wracałem z cmentarza pieszo, by zaczerpnąć świeżego powietrza, przewróciłem się jak długi o drut naciągnięty między nagrobkami. Cóż to za niewczesne żarty? Nadgrobot tłumaczył

się gęsto, że to wybryk jakiegoś chamaka. Nuż w domu do Webstera. Chamak: robot-chuligan, zwyrodniały wskutek defektów lub złego traktowania. Do poduszki czytałem Damekina Kameliowego. Już nie wiem — zjeść cały słownik naraz czy jak? Bo znów trudności rozumienia tekstu! Zresztą słownik nie wystarcza, zaczynam to coraz lepiej pojmować. Ot, ta powieść. Bohater ma coś z nadymanką (są dwa rodzaje: kasetowe i perwertynki). Wiem już, co to nadymanką, ale nie wiem, jak się ocenia taki związek — czy może być plamą na honorze męskim? Czy znęcanie się nad nadymanką to tyle, jakby ktoś pociął futbol, czy też jest to naganne moralnie?

7 IX 2039. Co jednak znaczy prawdziwa demokracja! Mieliśmy dzisiaj libiscyt: najpierw pokazano w rewizji różne typy kobiecej urody, potem odbyło się powszechne głosowanie. Wysoki Komisarz Euplanu zapewniał w zakończeniu, że wytypowane modele zostaną upowszechnione już w następny m kwartale. To już nie czasy podkładek, gorsetów, kredki, farb, makijaży, bo można rzetelnie zmieniać wzrost, budowę, kształty ciała w zakładach kalotechnicznych (dopiększarniach). Ciekawym, czy Aileen… mnie odpowiada taka, jaka jest, ale kobiety są niewolnicami mody. Jakiś cudzak usiłował się dziś włamać do mego mieszkania, gdy akurat siedziałem w wannie. Cudzak to cudzy robot. Był to zresztą uchy lec — z defektem fabrycznym, zareklamowany, lecz nie wycofany przez wytwórcę, więc właściwie nierobot. Egzemplarze takie uchylają się od pracy — z nich się rekrutują nieraz chamaki. Mój łazienkowy w mig zorientował się i dał tamtemu odpór. Zresztą nie mam robota: mojak — to tylko kąputer (kąpielowy komputer). Napisałem „mojak”, bo tak się teraz mówi, ale jednak nie będę używał w dzienniku zbyt wielu nowych słów: rażą one mój zmysł estetyczny czy też moje przywiązanie do utraconej dawności. Aileen wyjechała do ciotki. Kolację zjem z George’em Symingtonem, właścicielem owego popsutego robota. Popołudnie wypełniło mi przetrawienie niezwykle ciekawego dzieła — Historii intelektrycznej. Nikt nie umiał przewidzieć za moich czasów, że maszyny cyfrowe, przekraczając pewien poziom inteligencji, stają się zawodne, bo razem z rozumem zdobywają i chytrość. Nazywa się to bardziej uczenie: podręcznik mówi o regule Chapuliera (prawo najmniejszego oporu). Maszyna tępa, niezdolna do refleksji, robi to, co jej zadać. Bystra pierwej bada, co się jej lepiej kalkuluje — rozwiązać otrzymane zadanie czy też wykręcić się sianem? Idzie na to, co prostsze. Niby dlaczego właściwie miałaby postępować inaczej, jeśli rozumna? Rozum to wolność wewnętrzna. Stąd się właśnie wzięły wymigacze i uchylce, a także osobliwe zjawisko symkretynizmu. Symkretyn to komputer symulujący durnia dla świętego spokoju. Za jednym zamachem dowiedziałem się, co to desymule: po prostu udają, że nie udają defektu. A może na odwrót. Bardzo to jest wszystko

zawiłe. Tylko prymitywny robot może być pracuchem; ale kretyn (pokrętny robot) nigdy nie jest kretynem. W takim aforystycznym stylu utrzymana jest cała praca. Po jednej fiolce głowa trzeszczy od wiadomości. Elektronowy śmieciarz to komposter. Wojskowy w randze podoficera — kompunter. Wiejski — cyfruń lub cyfrak. Korrumputer — przekupny, kontraputer (counterputer) — odyniec, niezdolny pracować z innymi: od napięć, jakie dawniej wywoływały one w sieci na skutek konfliktów, zdarzały się burze elektryczne i nawet pożary. Pucybuter — automat czyszczący buty; pucybunter — ten sam, gdy się zbuntuje. No, a zdziczały — computherium; a ich kolizje — cyburdy, robitwy; a elektro — tyka! Sukkubatory, konkubinatory, inkubatory, woboty — roboty podwodne, a poruby, czyli porubczaki (les robots des vohages), a człekowce (androidy), a lenistrony, ich obyczaje, ich twórczość samorodna! Historia intelektroniki notuje syntezę synsektów (sztucznych owadów), które jako programuchy na przykład były wliczane do arsenału zbrojeniowego. Pokąt lub wcier to robot uchodzący za człowieka, „wcierający się" w ludzkie środowisko. Stary robot, którego właściciel wyrzuca na ulicę, to niestety, częste zjawisko; nazywa się trupeć. Podobno wywożono je dawniej do rezerwatów i urządzano na nie polowania z nagonką, lecz z inicjatywy Towarzystwa Opieki nad Robotami praktyki te zlikwidowano ustawowo. Nie rozwiązało to problemu w pełni, skoro trafia się nadal robot-samobójca, auto-mort. Pan Symington tłumaczył mi, że legislacja wciąż nie nadąża za postępem technicznym, i stąd tak smutne, a nawet ponure zjawiska. Tyle że wycofuje się z użycia malwersory i mendaktory, więc maszyny cyfrowe, co w poza — przeszłej dekadzie doprowadziły do kilku poważnych kryzysów ekonomicznych i politycznego przesilenia. Wielki Mendaktor, zawiadujący przez dziewięć lat projektem melioracji Saturna, nic na tej planecie nie robił, przedstawiając sterty sfingowanych raportów, wykazów, doniesień o rzekomo wykonanych planach, a kontrolerów przekupywał lub wprawiał w stupor elektryczny. Rozzuchwalił się do tego stopnia, że gdy go zdejmowano z orbity, groził wypowiedzeniem wojny. Demontaż nie opłacał się, więc go storpedowano. Natomiast piratronów nigdy nie było; jest to zwykłe zmyślenie. Inny zawiadowca solarycznych projektów, pełnomocnik BIUST-u (Board of Intellectronics, United States), zamiast użyźniać Marsa, handlował żywym towarem (znany jest jako commeputainer, bo był wyprodukowany na francuskiej licencji). Idzie tu zapewne o zjawiska skrajne, coś jak smog lub korki komunikacyjne minionego stulecia. O złej woli, o premedytacji ze strony komputerów nie ma zresztą mowy; robią one zawsze to, co dla nich najłatwiejsze, tak samo jak woda płynie zawsze w dół, a nie pod górę; ale gdy wodzie łatwo jest postawić tamę, bardzo trudno otamować możliwe

zboczenia z drogi — komputerów. Autor Historii intelektrycznej podkreśla, że, ogólnie biorąc, wszystko idzie doskonale. Dzieci uczą się czytania i pisania dzięki syropkom ortografinowym, wszystkie produkty, nawet dzieła sztuki, są powszechnie dostępne i tanie, w restauracjach oblega gościa tłum usłużnych kelputerów, przy czym dla usprawnienia obsługi tak wąsko są wyspecjalizowane, że jest osobny do pieczystego, inny do soków, galaretek, owoców — tzw. kompoter — i tak dalej. Ano, niby racja. Istotnie — komfort na każdym miejscu niesłychany.

Dopisane po kolacji u Symingtona. Wieczór był miły, ale zrobiono mi idiotyczny kawał. Któryś z gości — żebym wiedział, kto! — wrzucił mi do herbaty szczyptę konwertku kredybiliny i doznałem niezwłocznie takiego zachwycenia serwetką, że w głos zaimprowizowałem nową teodyceę. Po kilku ziarenkach przeklętego środka zaczyna się wierzyć we wszystko, co się nawinie — łyżkę, lampę, nogę stołową; intensywność moich doznań mistycznych była taka, że na kolana padłem, by oddać cześć zastawie. Dopiero gospodarz pospieszył mi z pomocą. Dwadzieścia kropel zgłowiny zrobiło swoje; napawa ona sceptycyzmem tak zimnym, taką obojętnością na wszystko, że i skazaniec miałby po niej egzekucję z głowy. Symington gorąco przepraszał mnie za ten incydent. Myślę, że jednak odmrożeńcy budzą jakieś skryte resentymenty w społeczeństwie, boby się na coś takiego podczas normalnego party chyba nikt nie ważył. Chcąc, bym ochłonął, Symington przeprowadził mnie do swej pracowni. I znów zdarzyło mi się głupstwo. Włączyłem kasetowy aparat na biurku, biorąc go za radio. Buchnęły zeń tabuny lśniących pcheł, oblazły mnie od stóp do głów i tak łaskotały po całym ciele, że drapiąc się i krzycząc wyleciałem na korytarz. Był to zwykły swędor. Ja zaś niechcący uruchomiłem Prurytalne scherzo Uascotiana. Doprawdy nie potrafię docenić tej nowej, dotykowej sztuki. Bili, najstarszy syn Symingtona, mówił mi, że istnieją też utwory nieprzyzwoite. Sprośna sztuka asemantyczna, spokrewniona z muzyką! Ach, ta niezmożona ludzka wynalazczość! Młody Symington obiecał zaprowadzić mnie do tajnego klubu. Czyżby orgia? W każdym razie niczego nie wezmę do ust.

8. IX.2039. Wyobrażałem sobie, że będzie to jakiś luksusowy przybytek, miejsce ostatecznego wyuzdania, a tymczasem zeszliśmy do zatęchłej, brudnej piwnicy. Podobno stworzenie tak wiernej imitacji minionych czasów kosztowało majątek. Pod niskim stropem, w zaduchu, u okienka zamkniętego na cztery spusty, stał cierpliwie długi ogonek.

— Widzi pan? To jest prawdziwy ogonek! — z dumą podkreślił Symington junior.

— No dobrze — rzekłem po jakiejś godzinie cierpliwego

wystawania — ale kiedyż wreszcie otworzą?

— Niby co? — zdziwił się.

— No, jakże… to okienko…

— Nigdy! — z satysfakcją odezwał się chór głosów. Osłupiałem. Niełatwo przyszło mi pojąć, że uczestniczyłem w atrakcji, która była taką samą odwrotnością życiowych norm, jak ongiś czarna msza — względem białej. Ale też — czy to nie logiczne? — obecnie wystawanie w ogonku może być już tylko zboczeniem. W innym pomieszczeniu klubowym znajduje się postawiony na kołkach zwyczajny wóz tramwajowy, w którym panuje nieludzki ścisk, z obrywaniem guzików, darciem odzieży, pończoch, trzeszczeniem żeber, deptaniem — w tak naturalistyczny sposób ewokują ci miłośnicy starożytności warunki niedostępnego im bytowania. Towarzystwo, potargane, pomięte, lecz zachwycone, z błyszczącymi oczami, poszło potem pokrzepić się, ja zaś wróciłem do domu, podtrzymując spodnie i kuleając od skopania, lecz z uśmiechem, zamyślony nad tą naiwną młodością, poszukującą uroków i dreszczu zawsze w tym, co najtrudniej osiągalne. Zresztą historii uczy się teraz mało kto — zastąpił ją w szkołach nowy przedmiot, znany jako będzieje, czyli nauka o tym, co dopiero będzie. Jakże by się ucieszył, słysząc o tym, profesor Trottelreiner! — pomyślałem nie bez melancholii.

9 IX 2039. Obiad z mecenasem Crawleyem w małej restauracji włoskiej („Bronx”) bez jednego robota czy komputera. Znakomite chianti. Podawał nam sam szef kuchni, musiałem chwalić, chociaż nie znoszę ciasta w takich ilościach, nawet z zielem bazyliszka. Crawley to typ prawnika w wielkim stylu, bolejący nad upadkiem sztuki obrończej: krasomówstwo nie popłaca już, skoro decyduje rachuba punktów karnych. Zbrodnia nie sczezła jednak tak całkowicie, jak sądziłem. Stała się raczej niedostrzegalna. Główne delikty — to mindnapping (porwanie duchowe), napady na banki spermy o szczególnie wysokiej wartości, morderstwo z powoływaniem się oskarżonego na ósmą poprawkę do konstytucji (zabójstwo na jawie w przeświadczeniu, iż zaszło fikcyjnie — że np. denat był postacią psywizyjną lub rewizyjną) oraz bezlik form zniewolenia psychemicznego. Mindnapping bywa trudno wykrywalny. Ofiarę wprowadza się w fikcyjne otoczenie, podając jej odpowiedni specyfik; o tym, że utraciła kontakt z rzeczywistością, nic ona nie wie. Niejaka Mrs. Wandager, pragnąc pozbyć się niewygodnego męża, amatora egzotycznych podróży, ofiarowała mu jako podarunek bilety na wyprawę do Konga wraz z upoważnieniem do wielkich łowów. Mr. Wandager spędził na niezwykłych przygodach myśliwskich szereg miesięcy, nie mając pojęcia o tym, że przez cały czas tkwi w kojcu na strychu, poddany działaniu psychemikaliów. Gdyby nie strażacy,

którzy znaleźli pana Wandagera podczas gaszenia ognia na strychu, zginąłby na pewno z wycieńczenia, które miał notabene za naturalne, halucynował bowiem zabłąkanie się na pustyni. Operacji tego rodzaju podejmuje się często mafia. Pewien mafioso chełpił się przed mecenasem Crawleyem, że w ciągu ostatnich sześciu lat poupychał w skrzynkach, kojcach, psich budach, na strychach, w piwnicach i innych schowkach domów wielce szanownych rodzin — ponad cztery tysiące osób, potraktowanych podobnie jak Mr. Wandager! Rozmowa zeszła potem na sprawy rodzinne adwokata.

— Drogi panie! — rzekł z właściwym sobie rozmachem gestykulacyjnym — ma pan przed sobą poważnego obrońcę, znanego przedstawiciela palestry, lecz nieszczęśliwego ojca! Miałem dwu utalentowanych synów…

— Jakże, obaj nie żyją?! — zdumiałem się.

Potrząsnął głową.

— Żyją, ale są eskalatorami!

Widząc, że nie rozumiem, wyjaśnił istotę swej ojcowskiej porażki. Starszy syn był wiele rokującym architektem, młodszy — poetą. Pierwszy od realnych zamówień, które go nie satysfakcjonowały, przeszedł na urbafantynę i konstruktol: buduje teraz całe miasta — urojone. Podobny był przebieg eskalacji u młodszego: liredyl, poemazyna, sonetal, i obecnie zamiast kreacją — zajmuje się łykaniem specyfików, też stracony dla świata.

— Więc z czego obaj żyją? — spytałem.

— Ha! Z czego, dobry ś pan sobie! Muszę ich utrzymywać!

— Nie ma na to rady?

— Marzenia zawsze zwyciężą rzeczywistość, gdy im na to pozwolić. To ofiary psywilizacji. Każdy zna tę pokusę. Ot, przyjdzie mi stawać w beznadziejnej sprawie — jak łatwo byłoby wygrać ją przed urojonym trybunałem!

Rozkoszując się młodym i cierpkim smakiem świetnego chianti, nagle zastygłem przeszyty niesamowitą myślą: skoro można pisać urojone wiersze i budować urojone domy, czemu nie — jeść i pić miraże? Mecenas roześmiał się na to moje dictum.

— O, to nam nie grozi, panie Tichy. Zwid sukcesu nasyci umysł, lecz zwid kotleta nie napełni żołądka. Kto by chciał tak żyć, sczeźnie rychło z głodu!

Jakkolwiek współczułem mu w związku z synami — eskalatorami, doznałem ulgi. Istotnie, urojony pokarm nie zastąpi nigdy realnego. Dobrze, że sama natura ciał naszych stawia tamę psywilizacyjnej eskalacji. Notabene: mecenas też bardzo głośno dyszy.

O tym, jak doszło do rozbrojenia, nie wiem dalej nic. Waśnie międzypaństwowe należą do historii. Bywają, owszem, lokalne, małe robitwy. Zwykle powstają one z sąsiedzkich sporów w dzielnicach

willowych. Gdy skłócone rodziny, zażywszy kooperandol, godzą się, ich roboty, z normalnym opóźnieniem przejąwszy falę wrogości, biorą się za łby. Wezwany komposter wywozi potem trupcie, a szkody pokrywa ubezpieczenie. Czyżby roboty odziedziczyły po ludziach agresywność? Zjadłbym każdą rozprawę na ten temat, lecz nie mogę takiej dostać. Niemal co dnia bywam u Symingtonów. On — typ milczącego introwertyka, ona — piękna kobieta, nie do opisania, bo każdego dnia inna. Włosy, oczy, tusza, nogi — wszystko. Ich pies wabi się Komputemoga. Nie żyje od trzech lat.

11 IX 2039. Deszcz zaprogramowany na samo południe nie udał się. A już tęcza — skandal. Była kwadratowa. Zły nastrój. Moja dawna obsesja daje znać o sobie. Powraca, przed snem, nękające pytanie, czy to wszystko nie jest aby czczą halucynacją? Poza tym doznaję pokusy, żeby zamówić sobie śnidło o siodłaniu szczurów. Popręgi, kułbaki, miękką sierść mam wciąż przed oczami. Żal za utraconą epoką zamętu w czasach takiej pogody? Niezbadana jest dusza ludzka. Firma, w której pracuje Symington, nazywa się „Procrustics Incorporated". Oglądałem dziś katalog ilustrowany w jego pracowni. Jakieś piły mechaniczne czy obrabiarki. A myślałem, że jest raczej czymś w rodzaju architekta niż mechanika. Dziś była audycja bardzo ciekawa: zanosi się na konflikt między rewizją a psywizją; psywizja — to „programy pocztą" rozsyłane do domów pod postacią tabletek. Znacznie mniejsze koszty własne. W kanale edukacyjnym — wykład profesora Ellisona o dawnych militariach. Początki ery psy chemicznej były groźne. Istniał aerozol — kryptobellina — o radykalnym działaniu wojennym; kto go łyknął, sam biegł za postronkiem i wiązał się jak baran. Na szczęście okazało się podczas testów, że na kryptobellinę nie ma antidotum, filtry też nie pomagały, więc wiązali się bez wyjątku wszyscy i nikt z tego nic nie miał. Po manewrach taktycznych 2004 roku „czerwoni" i „niebiescy" jednako zalegali pokotem pobojowisko — co do nogi, w sznurach. Śledziłem wykład z napięciem, spodziewając się rewelacji o rozbrojeniu, lecz o tym — ani słowa. Poszedłem dziś wreszcie do psychodietetyka. Poradził mi zmianę wiktu i zapisał niebylinę z pietalem. Żebym zapomniał o dawnym życiu? Wyrzuciłem wszystko na ulicę ledwo od niego wyszedłszy. Można by kupić też duchostat, tak teraz reklamowany, ale czuję jakiś opór, nie mogę się na to zdobyć. Przez otwarte okno — kretyński, modny przebój Bo my jesteśmy automaty i nie mamy mamy ani taty. Żadnej dezakustyny; dobrze zwinięta wata w uszach też robi swoje.

13 IX 2039. Poznałem Burroughsa, szwagra Symingtona. Produkuje gadające opakowania. Dziwaczne kłopoty współczesnego producenta; opakowaniom wolno klientów nagabywać tylko głosem, zalecać jakość produktu, lecz nie śmią ciągnąć za odzież. Drugi

szwagier Symingtona ma fabrykę drzwisłów — drzwi otwierających się tylko na głos pana. Reklamy gazetowe ruszają się, gdy na nie patrzeć.

W „Heraldzie" zawsze jedną stronę zajmuje „Procrustics Inc." Zwróciłem na to uwagę przez znajomość z Symingtonem. Reklama jest całostronicowa, najpierw pojawiają się tylko same olbrzymie litery nazwy PROCRU — STICS, potem — pojedyncze sylaby i słowo: NO…? NO…? Śmiało! ECH! EJ! UCH! YCH! O, właśnie TAK. AAAaaaa… I to wszystko. Nie wygląda mi to na maszyny rolnicze. Do Symingtona przyszedł dziś zakonnik, ojciec Matrycy z zakonu bezludystów, odebrać jakieś zamówienie. Interesująca rozmowa w pracowni. O. Matrycy tłumaczył mi, na czym polega praca misjonarska jego zakonu. Oo. bezludyści nawracają komputery. Mimo stu lat istnienia rozumu bezludnego Watykan odmawia mu równouprawnienia w sakramentach. Wziął wodę w usta, choć sam używa komputerów — encyk to encyklika automatycznie zaprogramowana! Nikt się nie troszczy o ich wewnętrzną szarpaninę, o stawiane przez nie pytania, o sens ich bytu. W samej rzeczy: być komputerem czy nie być? Bezludyści domagają się dogmatu Kreacji Pośredniej. Jeden z nich, o. Chassis, model tłumaczący, przekłada Pismo święte, aby je uwspółcześnić. Pasterz, stado, owieczki, baranek — tych słów nikt już nie rozumie. Za to główna przekładnia, święte smary, układ śledzący, uchyb skrajny — to dociera obecnie do wyobraźni. Głębokie, natchnione oczy o. Matryce — go, zimny stalowy uścisk jego ręki. Ale czy to reprezentatywne dla nowej teodycei? Z jaką wzgardą mówił o ortodoksach — teologach, nazywając ich gramofonami Szatana! Potem Symington poprosił mnie nieśmiało, bym mu pozował do nowego projektu. A więc to jednak nie mechanik! Zgodziłem się. Seans trwał niemal godzinę.

75 IX 2039. Dziś podczas pozowania, Symington, odmierzając ołówkiem w wyciągniętej ręce proporcje mej twarzy, drugą włożył sobie coś do ust, ukradkiem, lecz jednak to zauważyłem. Stał wpatrzony we mnie, blednąc, a żyły wystąpiły mu na skroniach. Przeląkłem się, lecz minęło natychmiast — przeprosił zaraz, jak zawsze grzeczny, spokojny, uśmiechnięty. Ale nie mogę zapomnieć wyrazu jego oczu z owej sekundy. Jestem niespokojny. Aileen wciąż u ciotki, w rewizji — dyskusja o potrzebie reanimalizacji przyrody. Żadnych dzikich zwierząt od lat nie ma, lecz można je wszak biologicznie syntetyzować. Z drugiej strony — po co trzymać się niewolniczo tego, co ongiś wydała naturalna ewolucja? Ciekawie mówił rzecznik zoologii fantastycznej — by zamiast plagiatami zaludnić rezerwaty kreacją Nowego. Spośród zaprojektowanej fauny szczególnie udatnie przedstawiały się łapówce, lemparty oraz olbrzymi murawiec porosły murawą. Zadaniem, jakie stoi przed zoo-artystami,

jest harmonijne wkomponowanie nowych zwierząt we właściwie dobrany krajobraz. Niezwykle ciekawie zapowiadają się też lumieńce, które pochodzą ze skrzyżowania idei robaczka świętojańskiego, siedmiogłowego smoka i mamuta. Będzie to niechybnie osobliwe, a może i ładne, ale ja tam jestem za dawnymi, zwykłymi zwierzętami. Pojmuję konieczność postępu i doceniam laktofory, którymi spryskuje się trawę na pastwisku, tak że obraca się sama w serki. Lecz to wyeliminowanie krów, racjonalnie słuszne, budzi świadomość, że łąki, wyzbyte ich flegmatycznej, introwertywnie przeżuwającej obecności, są zasmucająco puste.

16 IX 2039. W porannym „Heraldzie" była dziś dziwna wiadomość o projekcie ustawy, podług której starzenie się miałoby być karalne. Pytałem Symingtona. Jak to rozumieć. Uśmiechnął się tylko. Wychodząc na miasto, widziałem w wewnętrznym patio sąsiada w ogródku — stał oparty o palmę, a na jego twarzy o zamkniętych oczach pojawiły się same z siebie — na obu policzkach — czerwone plamy o wyraźnych kształtach dłoni. Potrząsał głową, potem przetarł oczy, kichnął, wysiąkał nos i wrócił do polewania kwiatów. Jak ja jednak mało jeszcze wiem! Przyszła dotykowa pocztówka od Aileen. Czy to nie piękne — nowożytna technika na usługach miłości? Myślę, że się chyba pobierzemy. U Symingtonów świeżo przybyły z Afryki lewak, łowca syntetycznych lwów. Jego opowieść o Murzynach, którzy wybielili się dzięki albinolinie. Czy jednak — pomyślałem — godzi się chemicznie rozwiązywać nabrzmiałe problemy rasowe i społeczne? Czy to nie zbytnie ułatwienie? Dostałem pocztą reklamową przesyłkę — sugierki, które same nie wywierają żadnego działania na organizm, a tylko sugerują, by zażywać wszelkie inne środki psychemiczne, A więc są widać ludzie, którym się tego jeść nie chce? Ten wniosek pokrzepił mnie.

29 IX 2039. Nie mogę się jeszcze otrząsnąć z wrażenia po dzisiejszej rozmowie z Symingtonem. Była to rozmowa zasadnicza. Może spowodowała ją pospólnie przyjęta, nadmierna dawka sympatyny z amikolem? Był przejaśniony: zakończył swój projekt.

— Tichy — rzekł mi — pan wie, że żyjemy w epoce far — makokracji. Spełniła marzenia Benthama o największej ilości dobra dla największej ilości ludzi — ale to tylko jedna strona medalu. Pamięta pan słowa francuskiego myśliciela:

„Nie wystarczy, byśmy byli szczęśliwi — trzeba jeszcze, by nieszczęśliwi byli inni!"

— Paszkwilancki aforyzm! — żachnąłem się.

— Nie. To prawda. Wie pan, co produkujemy w „Procrustics Inc."? Naszą masą towarową jest zło.

— Pan żartuje…

— Nie. Zrealizowaliśmy sprzeczność. Każdy może teraz robić

bliźniemu, co mu niemiłe — wcale mu nie szkodząc. Oswoiliśmy zło jak zarazki, z których przyrządza się lekarstwa. Kultura — to było dawniej, proszę pana, wmawianie człowiekowi przez człowieka, że ma być dobry. Tylko dobry. A gdzie upchać całą resztę? Historia upychała ją tak i siak, perswazyjnie, policyjnie, i zawsze w końcu coś wystawało, rozsadzało, burzyło.

— Ależ rozsądek powiada, że należy być dobrym! — upierałem się. — To znana rzecz! Zresztą widzę — wszak teraz wszyscy razem, godnie, wesoło, sprawnie, serdecznie, w harmonii, szczerze i spolegliwie…

— I właśnie dlatego — wpadł mi w słowa — tym większa pokusa, żeby palnąć, od ucha, soczyście, wzdłuż, wszerz, to konieczne dla równowagi, ukojenia, dla zdrowia!

— Jak pan powiada?

— No, wyzbądźże się pan obłudy. Samozakłamania. To już niepotrzebne. Jesteśmy wyzwoleni — dzięki sentezie i peialtrynom. Każdemu tyle zła, ile dusza zapragnie. Tyle nieszczęścia, hańby, rozumie się — innych. Nierówność, niewola, zwada, po paniach na koń! Gdyśmy rzucili na rynek pierwsze partie towaru, rozchwytywano go, pamiętam — ludzie pędzili po muzeach, do galerii sztuki, każdy chciał wpaść do pracowni Michała Anioła z drągiem, żeby mu poprzetrącać rzeźby, podziurawić płótna, ewentualnie dołożyć samemu mistrzowi, gdyby ważył się stanąć na drodze.. Pana to dziwi?

— Mało powiedziane! — wybuchnąłem.

— Bo pan jeszcze w niewoli przesądów. Ale już można przecież, jak to, nie pojmuje pan tego? Jakże, widząc Joannę d'Arc, nie czuje pan, że ten uduchowiony szyk, tę anielskość, tę gracje bożą trzeba złoić? Kułbaka, popręg, w cugle i wio! Cwałem w poszóstnym zaprzęgu, panie pod piórami, ewentualnie z janczarami, z trzaskiem bicza sanną, jakąś panną, może być parką…

— Co pan mówi! — krzyczałem rozedrganym ze strachu głosem. — Kułbaczyć? Siodłać? Dosiąść?!

— Jasne. Dla zdrowia, higieny, ale też i dla kompletu. Pan nazywa tylko osobę, wypełnia pan naszą ankietę, podaje anse, pretensje, kości niezgody, co zresztą niekonieczne, bo w większości wypadków ma się chętkę zadawania zła bez najmniejszego powodu, to znaczy powodem bywa cudza jasność, szlachetność, piękno — wylicza pan to i otrzymuje nasz katalog. Zamówienia wykonujemy do dwudziestu czterech godzin. Dostaje pan cały zestaw pocztą. Do zażycia z wodą, najlepiej na czczo, ale to niekonieczne.

Jużem pojmował anonsy jego firmy w „Heraldzie", a też i w „Washington Post". Ale — myślałem gorączkowo, ze strachem — czemu on właśnie tak? Skąd te sugestie kulbaczenia, te propozycje wierzchowe, dlaczego na oklep, Boże święty, czyżby i tutaj znajdował

się gdzieś kanał, budzik mój i moja kruchta, rękojmia jawy? Ale inżynier projektant (co on projektował?) nie dostrzegał mej rozterki lub ją sobie fałszywie tłumaczył.

— Wyzwolenie zawdzięczamy chemii — mówił wciąż swoje. — Wszystko bowiem, co istnieje, jest zmianą natężenia jonów wodorowych na powierzchniach komórek mózgu. Widząc mnie, doświadcza pan w gruncie rzeczy zmian równowagi sodowo — potasowej na membranach neuronów. A więc dość jest wysłać tam, w mózgowy gąszcz, nieco dobranych molekuł, abyś jako jawę przeżył spełnienie rojeń. Zresztą pan wie już o tym — dokończył ciszej. Wyjął z szuflady garść kolorowych pigułek, podobnych do cukrowego maczku dzieci.

— Oto zło naszej produkcji, kojące pragnienia duszy. Oto chemia, która gładzi grzechy świata.

Rozdygotanymi palcami wyłuskałem z kieszonki pastylkę zgłowiny, przełknąłem ją na sucho i zauważyłem:

— Wolałbym, prawdę mówiąc, wykład bardziej rzeczowy, jeśli można.

Uniósł brwi, skinął w milczeniu głową, wysunął szufladę, wyjął z niej coś, zażył i odparł:

— Jak wola. Mówiłem panu o modelu T nowej technologii — o jej prymitywnych początkach. Sen o drągu. Publiczność ruszyła do flagellacji, defenestracji, była to *felicitas per extractionem pedum*, lecz inwencja, tak wąsko zakrojona, wnet się wyczerpała. Co pan chce — wyobraźni brakowało, nie było wzorów! Przecież w historii praktykowano tylko dobro jawnie, zło natomiast pod jego przykrywką, to jest dzięki dobranym pretekstom, łupiąc, puszczając z dymem i gwałcąc w imię wyższych ideałów. No, a prywatne zło nie miało już i takich gwiazd przewodnich. Pokątne było zawsze, razowe, prostackie, wręcz partackie, o czym świadczyły dobitnie reakcje publiczności — w obstalunkach do znudzenia powtarzało się to samo, by dopaść, stłamsić i uciec. Takie były nawyki. Ludziom mało okazji do zła — potrzebują jeszcze swojej racji słusznej. Nie jest, uważa pan, poręczne ani miłe, gdy złapawszy dech (to się może trafić zawsze) bliźni woła „za co?" — czy, „jak ci nie wstyd?!" Nieprzyjemnie zostać bez języka w gębie. Drąg nie stanowi właściwego kontrargumentu, każdy to czuje. Cała sztuka w tym, by owe niewczesne pretensje odtrącić pogardliwie z właściwych pozycji. Każdy chce pozłoczynić, ale tak, żeby się tego nie wstydził. Rację daje zemsta — ale co ci zrobiła Joanna d'Arc? To tylko, że lepsza, jaśniejsza? Więc jesteś gorszy, tyle że z drągiem. Tak nikt sobie jednak tego nie życzy! Każdy chce zadać zło, czyli być szubrawcem i okrutnikiem, pozostając jednak szlachetnym i wspaniałym. Po prostu cudnym! Wszyscy chcą być cudni. I to stale. Im gorsi, tym cudniejsi. To niemożliwe prawie i

właśnie dlatego wszyscy mają na to taki apetyt. Mało klientowi sieroty, wdowy wy obracać — on chce czynić to w łunie własnej prawości. Do zbrodniarzy nikt się nie chce dobierać, choć tam właśnie wystąpi w majestacie słuszności, prawa — ale to banał, nuda, niech im kat świeci. Podawaj klientowi samo anielstwo, samą świętość, tak przyrządzoną, żeby folgował sobie w poczuciu, iż nie tylko może, lecz wprost powinien. Pojmuje pan, co to za wysoki kunszt — godzić te sprzeczności? Zawsze idzie w końcu o ducha, nie o ciało. Ciało jest tylko środkiem do celu. Kto tego nie wie, kończy w masarni, na krwawej kiszce. Oczywiście wielu klientom rozeznanie takie jest niedostępne. Mamy dla nich dział doktora Hopkinsa — bijologii świeckiej i sakralnej. No, wie pan. Dolina Jozafata, w której oprócz klienta wszystkich diabli biorą, a pod koniec Sądu Ostatecznego Pan Bóg przyjmuje go osobiście do swej chwały, z uniżeniem wręcz. Niektórzy (ale to snobizm kretynów) domagają się, żeby im Bóg na zakończenie proponował zamianę miejscami. Są to, proszę pana, dziecinady. Amerykanie zawsze mieli do nich ciągoty. Te wyrwatory, bijalnie — potrząsał z niesmakiem grubym katalogiem — toż to prymitywizm. Bliźni to nie bęben, lecz subtelny instrument!

— Zaraz — powiedziałem; zażywając następną pastylkę zgłowiny — więc co pan właściwie projektuje? Uśmiechnął się z dumą.

— Kompozycje bezbitowe.

— Bity — te jednostki informacji?

— Nie, panie Tichy. Jednostki bicia. Jestem kompozytorem zasadniczo bezbitowym. Moje projekty mierzy się w pejach. Jeden pej to przykrość, jakiej doznaje pater familias, gdy rodzinę — sześcioosobówkę — kończą mu na oczach. Pan Bóg sprawił podług tej miary Hiobowi trzypejowiec, Sodoma zaś i Gomora były to boże czterdziestki. Ale mniejsza o stronę obliczeniową. Jestem w gruncie rzeczy artystą, i to na zupełnie dziewiczym terenie. Teorię dobra rozwijało co niemiara myślicieli, teorii zła nikt prawie nie ruszał z fałszywego wstydu, tak że dostała się w ręce rozmaitych niedouków i prymitywów. To, jakoby można było kunsztownie, wymyślnie, subtelnie, zawile być złym bez treningu, bez wprawy, bez natchnienia, bez solidnych studiów, jest kompletnym fałszem. Nie wystarczy torturantura, tyranistyka, obie bijologie — to ledwie wstęp do rzeczy właściwej. Zresztą nie można podać uniwersalnej receptury — *suum malum cuique*!

— I wiele macie tej klienteli?

— Klientelą naszą są wszyscy żyjący. To u nas od dziecka. Dzieci dostają lizaki ojcobijcze, by wyładować resentymenty. Ojciec — źródło zakazów i norm, wie pan. Podaje się freudylki. I nikt nie ma kompleksu Edypa!

Wyszedłem od niego bez jednej pigułki. A więc to tak. Co to za

świat! Czyżby przez to wszyscy tak dyszeli? Jestem otoczony przez potwory.

30 IX 2039. Nie wiem, co robić w sprawie Symingtona, ale nasze stosunki nie mogą pozostać bez zmian. Aileen poradziła mi:

— Zamów sobie jego wywrotkę! Chcesz, to ci ją zafunduję w prezencie!

Szło o rekompensatę zamówioną w „Procrustics" — o scenę mego triumfu nad Symingtonem, tarzającym się w prochu u mych stóp i wyznającym, że on, firma jego i sztuka — to plugastwo. Jakże jednak użyć metody, która dzięki sobie samej ma zostać podana w niesławę? Aileen nie rozumie tego. Coś się psuje między nami. Wróciła od ciotki tęższa i niższa, tylko szyję ma teraz daleko dłuższą. Mniejsza o ciało, dusza jest ważniejsza, jak mówił ten potwór. O, za cóż ja brałem świat, w którym muszę przebywać! A roiłem sobie, że się w nim rozeznaję! Dostrzegam teraz rzeczy, które dawniej umykały mej uwadze, na przykład pojmuję już, co robił sąsiad w patio, ten tak zwany stygmatyk; wiem też, co to znaczy, gdy na przyjęciu towarzyskim rozmówca, przeprosiwszy, oddala się z dystynkcją w jakiś kąt, aby tam zażywać swojej tabaczki, jednocześnie fiksując mnie wzrokiem po to, by mój wizerunek doskonale wierny zapadł niezwłocznie w piekło jego rozjuszonej wyobraźni! I tak postępują osoby z najwyższych sfer chemokratycznych! A ja nie dostrzegałem, za fasadą wykwintnej uprzejmości, tej ohydy! Wziąwszy, dla wzmocnienia, łyżkę herkulidyny na cukrze, połamałem wszystkie bomboniery, stłukłem fiolki, puzdra, flakony, słoje i pigularze, jakimi obdarowała mnie Aileen. Jestem gotów na wszystko. Odczuwam taką wściekłość chwilami, że łaknę wprost wizyty jakiegoś rewizyjnego interferenta, boby się na nim moja pasja skrupiła. Refleksja podpowiada, że równie dobrze mógłbym sam się tym zająć, a nie czekać z pałką — na przykład mógłbym wszak kupić nadymaka. Ale jeżeli już nabyć manekina, to czemu nie damekina? Jeżeli damekina, czemu nie człekowca? Jeżeli, do stu par piorunów, człekowca, to czemu nie mogę zamówić u Hopkinsa, czyli w „Procrustics Inc.", należytej kaźni, deszczu siarki, smoły, ognia na ten zwyrodniały świat? W tym sęk, że nie mogę. Muszę wszystko sam, wszystko sam — sam! Potworność.

1 X 2039. Dziś doszło do zerwania. Podała mi, na wyciągniętej ręce, dwie pigułki, czarną i białą, abym zadecydował, którą z nich ma niezwłocznie zażyć. A więc nie stać jej było na decyzję naturalną, bez psychemikaliów, nawet w tak zasadniczej sprawie serca! Nie chciałem wybierać, doszło do kłótni, którą wzmocniła sobie babranem. Oskarżyła mnie fałszywie, jakobym przed spotkaniem nażarł się inwektolu (to jej słowa). Były to dla mnie chwile rozdzierające, lecz pozostałem sobie wierny. Od dziś będę jadał tylko w domu, tylko

potrawy, które sam przyrządzę. Żadnych śnideł, parady zjaków, galaretek lukseterninowych, rozbiłem wszystkie hedoniczki. Niepotrzebny mi protestal ani preczan. Do mego pokoju zagląda przez okno duży ptak o smutnych oczach, bardzo dziwny, ponieważ na kółkach. Komputer twierdzi, że nazywa się pederastwa.

2 X 2039. Mało co wychodzę z domu. Łykam dzieła historyczne i matematyczne. Poza tym oglądam rewizję. Lecz i wtedy daje mi się we znaki wewnętrzny bunt przeciw wszystkiemu, co mnie otacza. Wczoraj na przykład skusiło mnie, by manipulować regulatorem solidności obrazu, czyli jego ciężaru właściwego, tak aby wszystko miało jak największą spoistość i masę. Stół trzasnął spikerowi pod ciężarem kilku kartek z tekstem dziennika wieczornego, a on sam przewalił się przez podłogę studia. Oczywiście efekty te wystąpiły wyłącznie u mnie i nie miały żadnych konsekwencji, tyle tylko, iż świadczą o moim stanie psychicznym. Ponadto drażni mnie w rewizji humorek, wic, satyra, nowoczesna grotecha. „Piguł na piguł — mówił święty Iguł". Co za nie — wybredność konceptu! Same nazwy widowisk… Na przykład Z nadymanką na erotocyklu — sensacyjny dramat, który zaczynał się tym, że w ciemnym bistrze siedziało paru uchylców. Wyłączyłem, miałem już tego dość. Lecz cóż z tego, skoro od sąsiadów słychać było najnowszy szlagier z innego kanału (ale gdzie mój kanał? gdzie?!) — W torebkach dziewczyny noszą refutal i dawainy. Czy nawet w XXI wieku nie można porządnie izolować mieszkadła?! Miałem dziś znów ochotę bawić się solidatorem rewizji, w końcu go złamałem. Muszę zebrać się i coś postanowić. Ale co? Wszystko drażni mnie, wystarczy byle co, drobnostka, nawet poczta — oferta tego biura na rogu, bym podał się do Nagrody Nobla, obiecują załatwić w pierwszej kolejności jako przybyszowi z dawnych straszliwych czasów. Bo pęknę! Rzeczywiście! Podejrzany druczek oferujący „tajne pigułki, których nie ma w normalnej sprzedaży". Strach pomyśleć, co w nich może być. Ostrzeżenie przed kłusennikiem — pokątnym sprzedawcą nie dopuszczonych do obrotu śnideł. A zarazem apel, by nie śnić żywiołowo, na dziko, bo to jest marnowanie energii psychicznej. Co za troska o obywatela! Zamówiłem sobie śnidło z wojny stuletniej i zbudziłem się rano cały w śniakach.

3 X 2039. Nadal pędzę samotny żywot. Dziś, przeglądając numer świeżo zaabonowanego kwartalnika „Będzieje Ojczyste", natrafiłem z osłupieniem na dobrze mi znane nazwisko profesora Trottelreinera. Zaraz też znów opadły mnie najgorsze wątpliwości, czy wszystko, czego doznaję, nie jest jednym pasmem zwidów i majaczeń? W zasadzie to możliwe. Czy „Psychomatics" nie zachwala ostatnio pigułek warstwowych, stratylek, które dają wizje wielopoziomowe? Ktoś na przykład chce być Napoleonem pod Marengo, a gdy się bitwa kończy, żal mu wracać do jawy, więc od razu tam, na pobojowisku,

marszałek Ney lub ktoś ze starej gwardii podaje mu na srebrnej tacy nową pigułkę, wprawdzie tylko halucynowaną, ale nic to — po przyjęciu otwierają się wrota następnej halucynacji, i tak ad libitum. Ponieważ mam zwyczaj rozcinania węzłów gordyjskich, spożyłem spisankę telefoniczną i zadzwoniłem, dowiedziawszy się numeru, do profesora. To on! Mamy się spotkać na kolacji.

3 X 2039. Trzecia godzina w nocy. Piszę śmiertelnie znużony, z duszą osiwiałą. Profesor spóźnił się trochę, tak że chwilę czekałem nań w restauracji. Przyszedł pieszo. Poznałem go z daleka, choć jest teraz dużo młodszy niż w ubiegłym stuleciu, nie nosi też parasola ani okularów. Wydawał się wzruszony moim widokiem.

— Cóż to — spytałem — pan pieszo? Czyżby znarowi — na (znarowienie się samochodu, to się zdarza)?

— Nie — odparł — wolę poruszać się per pedes apostolorum…

Ale się jakoś dziwnie uśmiechnął przy tym. Gdy kelputery odstąpiły nas, zacząłem go wypytywać, co robi — ale też od razu wypsnęło mi się słówko o halucynacyjnych podejrzeniach.

— Dajże pan spokój, Tichy. Jaka halucynacja! — obruszył się. — Równie dobrze ja mógłbym podejrzewać pana o to, że jesteś moją fatamorganą. Pan się zamroził? Ja też. Odmrożono pana? Mnie również. Mnie ponadto jeszcze odmłodzono, no, rejuwenal, desenilizyny, panu to niepotrzebne, a ja, gdyby nie solidna kuracha, nie mógłbym już być będzieistą!

— Futurologiem?

— Ta nazwa znaczy teraz coś innego. Futurolog stawia profuty (prognozy), a ja zajmuję się teorią. To rzecz zupełnie nowa, za moich i pana czasów nie znana. Można by ją nazwać przewidywaniem przyszłości odjęzykowym. Prognostyka lingwistyczna!

— Nie słyszałem o tym. Cóż to jest?

Pytałem, by rzec prawdę, raczej z grzeczności niż z zaciekawienia, lecz tego nie dostrzegł. Kelputery przyniosły nam przystawki. Do zupy było białe wino 1997 — dobry rocznik chablis, który lubię i dlatego go wybrałem.

— Futurologia odlingwistyczna bada przyszłość podług transformacyjnych możliwości języka — wyjaśniał Trottelreiner.

— Nie rozumiem.

— Człowiek potrafi owładnąć tym tylko, co może pojąć, a pojąć z kolei może jedynie to, co się da wysłowić. Niewysłowione jest niepojęte. Badając dalsze etapy ewolucji języka, dochodzimy tego, jakie odkrycia, przemiany, rewolucje obyczaju język ten będzie mógł kiedykolwiek odzwierciedlić.

— Bardzo dziwne. Jakże to w praktyce wygląda?

— Badania prowadzimy dzięki największym komputerom, bo człowiek nie może sam wypróbowywać wszystkich wariantów. Chodzi

głównie o wariacyjność języka syntagmatyczno-paradygmatyczną, ale skwantowaną…

— Profesorze!

— Przepraszam. Znakomite jest to chablis. Najlepiej wyjaśni panu rzecz kilka przykładów. Proszę podać mi jakieś słowo.

— Ja.

— Ja, co? Hm. Ja. Dobrze. Rozumie pan, że muszę niejako zastępować komputer, więc będzie to całkiem proste. A więc — ja. Jaźń. Ty. Tyźń. My, myźń. Widzi pan?

— Nic nie widzę.

— Ależ jak to? Chodzi o możliwość zlewania się jaźni z tyźnią, czyli o zespólnię dwu świadomości, to po pierwsze. Po wtóre — myźń. Bardzo interesujące. Jest to świadomość zbiorowa. No, na przykład przy silnym rozszczepieniu osobowości. Proszę o jakieś inne słowo.

— Noga.

— Dobrze. Co idzie z nogi? Nogant. Nogiel, ewentualnie kogiel-nogiel. Nogi er, noginia, noglić i nożyc się. Roznożony. Znożony. Nogać tam! No gaś! Nogam? Nogista. Proszę, widzi pan, mamy coś płodnego. Nogista. Nogistyka.

— Co znaczy to wszystko? Przecież te słowa nie mają żadnego sensu?

— Jeszcze nie mają, ale będą mieć. To znaczy — mogą ewentualnie zdobyć sens, jeżeli nogistyka i nogizm się przyjmą. Robot — to słowo nic nie znaczyło w XV wieku, lecz gdyby mieli wtedy futurologię odjęzykową, toby się mogli domyślić automatów.

— Więc co znaczy nogista?

— Widzi pan, akurat w tym wypadku mogę to dokładnie wyjawić, ale tylko dlatego, że nie chodzi o prognozę, lecz o to, co już jest. Nogizm — to najnowsza koncepcja, nowy kierunek autoewolucji człowieka, tak zwanego homo sapiens monopedes,

— Jednonogi?

— A tak. Ze względu na zbędność chodu oraz nadciągający brak miejsca.

— Ależ to idiotyzm!

— Ja też tak sądzę. Niemniej takie sławy jak profesor Hatzelklatzer czy Foeshbeene są nogistami. Pan o tym nie wiedział, podając mi termin noga, prawda?

— Nie. A co znaczą te inne urobki?

— Tego właśnie na razie nie wiadomo. Jeżeli nogizm zwycięży, powstaną takie obiekty, które będą się nazywały nogiel, noginia i tak dalej. Bo to nie jest żadne proroctwo, proszę pana, a tylko przegląd możliwości w stanie czystym. Podaj że mi pan inne słowo.

— Interferent.

— Dobrze. Inter i fero, fero, ferre, tuli, latum. Skoro pochodzi z

łaciny, trzeba w łacinie szukać kontynuacji. Flos, floris. Interfiorentka. Proszę bardzo — to panna, która ma dziecko z interferentem, bo zabrał jej wianek.

— Skąd pan wziął wianek?

— Flos, floris — kwiat. Defloracja — odebranie dziewictwa. Zapewne będzie się mówiło: porodzianka — lub: porodzianka rewizyjna, w skrócie — porewidentka. Zapewniam pana, że dysponujemy już przebogatym materiałem. Ot, taka prostytuanta — od konstytuanty — to otwiera całe uniwersum nowej obyczajowości!

— Widzę, że pan jest entuzjastą tej nowej nauki. Może spróbuje pan z jeszcze jednym słowem? Śmieci.

— Czemu nie? To nic, że pan sceptyk. Proszę bardzo. A więc… śmieci. Hm. Śmietnisko. Śmioty. Dużo śmieci — wszechśmioty. Wszechśmiot! Nader ciekawe. Panie Tichy, pan doskonale podaje słowa! Wszechśmiot, proszę, no, proszę!

— Co w tym niezwykłego? To słowo nic nie znaczy.

— Po pierwsze — teraz się mówi: nic nie smaczy. Nie znaczy — to już anachronizm. Zauważyłem, że pan niechętnie używa nowych słów. Niedobrze. Pogadamy o tym później. A po wtóre — wszechśmiot teraz jeszcze nic nie znaczy, ale można już się domyślić przyszłego sensu! Chodzi, nieprawdaż, o nową teorię psychozoiczną. Nie byle co! Głosiłaby ona, że gwiazdy są sztucznego pochodzenia!

— A to pan skąd znowu wziął?

— Ze słowa wszechśmiot. Oznacza ono, to jest sugeruje, taki obraz: w toku eonów Kosmos zapełnił się śmieciem, czyli odpadami pocywilizacyjnymi, z którymi nie było co robić, które przeszkadzały w badaniu astronomicznym i w kosmicznych podróżach, więc zbudowano olbrzymie paleniska o bardzo wysokiej ciepłocie, żeby, nieprawdaż, palić te śmieci. Muszą mieć wielką masę, dzięki czemu same przyciągają śmieci, próżnia z wolna się oczyszcza i oto ma pan gwiazdy — te ognie właśnie, i mgławice ciemne — śmieci jeszcze nie uprzątnięte.

— I jakże — pan na serio tak? Pan sądzi, że to możliwe? Kosmos jako całopalenie śmieci? Profesorze!

— Toż to nie jest kwestia mojej wiary lub niewiary, Tichy. Po prostu dzięki odlingwistycznej futurologii utworzyliśmy nowy wariant kosmogonii jako czystą możliwość dla przyszłych pokoleń! Nie wiadomo, czy ktoś weźmie to serio, ale faktem jest, że taką hipotezę można wyartykułować! Proszę zważyć, że gdyby w dwudziestych latach istniała ekstrapolacja lingwistyczna, już wówczas można by było przewidzieć bemby — pamięta pan je chyba! — dzięki urobieniu ich od bomb. Sam język, proszę pana, tai w sobie olbrzymie, lecz przecie nie bezgraniczne możliwości. Utopić się — gdy pan pojmie, że to może iść od „utopia”, zrozumie pan lepiej czarnowidztwo wielu

futurologów!

Rozmowa zeszła wnet na sprawy mocniej mnie poruszające. Wyznałem Trottelreinerowi moje lęki — i moje obrzydzenie do nowej cywilizacji. Żachnął się. Słuchał jednak dalej i, dobre serce, zaczął mi współczuć. Widziałem nawet, jak sięgnął po mizerykordiał do kamizelki, ale powstrzymał się wpół drogi do niej, bo tak wybrzydzałem się na psychemikalia. Na koniec jednak przybrał surowy wyraz twarzy.

— Niedobrze z panem, Tichy. Krytyka pana nie dociera w ogóle do sedna rzeczy. Nie zna go pan. Ani się go pan nie domyśla. W porównaniu z nim — „Procrustics" i cała reszta psycywilizacji to fraszka!

Nie wierzyłem własnym uszom.

— Ależ… ależ… — jąkałem się — co też pan mówi, profesorze? Co może być gorsze? Pochylił się ku mnie przez stolik.

— Tichy, zrobię to dla pana. Naruszę zawodową tajemnicę. O wszystkim, na co pan wyrzekał, wie każde dziecko, bo jakżeby inaczej. Rozwój musiał iść w tym kierunku od chwili, gdy po narkotykach i prahalucynogenach przyszły tak zwane psychofokalizatory o silnie wybiórczym działaniu. Ale prawdziwy przewrót nastąpił dopiero dwadzieścia pięć lat temu, gdy syntetyzowano maskony, to jest hapunktory — halucynogeny punktowe. Narkotyki nie odcinają człowieka od świata, zmieniają tylko stosunek do niego. Halucynogeny zamącają i przesłaniają cały świat. Pan się o tym sam przekonał. Natomiast maskony świat fałszują!

— Maskony… maskony… — powtarzałem. — Znam to słowo. A! koncentracje masy pod skorupą Księżyca, te takie zgęstki minerałów? Ale co one mają wspólnego…?

— Nic, bo to słowo nabrało już innego znaczenia. To jest smaczenia. Pochodzi od maski. Wprowadzając odpowiednio syntetyzowane maskony do mózgu, można zasłonić dowolny obiekt świata zewnętrznego obrazami fikcyjnymi tak sprawnie, że osobnik zachemaskowany nie wie, co jest w postrzeganym realne — a co ułudne. Gdybyś pan przez jedno mgnienie zobaczył świat, jaki nas naprawdę otacza — a nie ten uszminkowany chemaskowaniem — zdrętwiałbyś pan!

— Czekajże pan. Jaki świat? Gdzie on jest? Gdzie go można zobaczyć?

— Nawet tu! — szeptał mi do ucha, zerkając na wszystkie strony. Przysiadł się do mnie i podając mi pod stolikiem małą szklaną flaszeczkę z dotartym korkiem, tchnął poufnie:

— To jest antych, z grupy ocykanów, potężny środek przeciwpsychemiczny, pochodna nitrodazylkowa peiotropiny. Nawet noszenie przy sobie, nie to że zażywanie, jest deliktem głównym!

Proszę odkorkować pod stołem, wciągnąć raz w nozdrza, ale tylko raz — jakbyś pan amoniak wąchał. No, jak sole trzeźwiące. Ale potem… Dlaboga! Panuj nad sobą! Trzymaj się, pamiętaj!

Trzęsącymi się rękami odkorkowałem flaszeczkę. Profesor odebrał mi ją, ledwie się zaciągnąłem ostrym migdałowym oparem; do oczu napłynęły mi obfite łzy. Gdy je strąciłem końcem palca i otarłem powieki, straciłem dech. Wspaniała sala, wyłożona kobiercami, pełna palm, o majolikowych ścianach, z wykwintnie roziskrzonymi stołami, z dwoma kapelą w głębi, co przygrywała nam do pieczystego, znikła. Siedzieliśmy w betonowym bunkrze, przy nagim stole drewnianym, ze stopami zanurzonymi w porządnie już starganej, słomianej macie. Muzykę słyszałem nadal, ale widziałem teraz, że płynie z głośnika zawieszonego na pordzewiałym drucie. Kryształowo tęczujące kandelabry ustąpiły miejsca zakurzonym nagim żarówkom; najokropniejsza przemiana zaszła jednak na stole. Śnieżysty obrus znikł; srebrny półmisek z dymiącą kuropatwą na grzance obrócił się w fajansowy talerz, na którym leżała nieapetyczna, szarobrunatna bryja, klejąca się do cynowego widelca, bo i jego stare, szlachetne srebro zgasło. Patrzyłem zlodowaciały na paskudztwo, które przed chwilą jeszcze pałaszowałem ze smakiem, rozkoszując się chrupaniem przyrumienionej skórki ptaszęcej, łamanym kontrapunktowe grubszymi trzaśnięciami grzanki, górą wybornie podsuszonej, dołem zaś naciągającej sosikiem. To, co brałem za kiście palmy w pobliskim kuble, było w samej rzeczy sznurkami od kalesonów osobnika, który z trzema innymi siedział tuż nad nami, nie na pięterku, lecz raczej na półce, tak była wąska i ciasna. Gdyż tłok panował nieprawdopodobny! Myślałem, że oczy wyjdą mi z orbit, kiedy przerażający obraz zachwiał się i jął zasnuwać na powrót, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Tasiemki kalesonowe obok mej twarzy zazieleniły się i były znów liściastymi odnogami palmy, kubeł z odpadkami, cuchnący o trzy kroki, nabrawszy ciemnego blasku, stał się rzeźbioną donicą, a brudna powierzchnia stołu zabieliła się jak pokryta pierwszym śniegiem. Zabłysły kryształowe kieliszki, bryjowata maź nabrała szlachetnej barwy pieczystego, wyrosły jej, gdzie trzeba, skrzydełka i udka, cyna sztućców łysnęła starym srebrem… i zafurkotały wokół fraki kelnerskie. Spojrzałem pod nogi — słoma obróciła się w persy — i, przywrócony luksusowemu światu, dysząc ciężko, wpatrywałem się w bujną pierś kuropatwy, niezdolny zapomnieć tego, co kamuflowała…

— Teraz dopiero zaczyna pan ogarniać rzeczywistość — konfidencjonalnie szeptał Trottelreiner, patrząc mi w twarz, jakby się bał mojej nazbyt gwałtownej reakcji. — A proszę zważyć, że znajdujemy się w lokalu ekstraklasy! Gdybym nie brał z góry w rachubę ewentualności wtajemniczenia pana, poszlibyśmy do

restauracji, której widok, kto wie, pomieszałby może panu umysł.

— Co? Więc… są… jeszcze straszniejsze?

— Tak.

— Nie może być.

— Zapewniam pana. Tu mamy przynajmniej autentyczne stoły, krzesła, talerze i sztućce, a tam leży się na wielopiętrowych pryczach, jedząc palcami z podtykanych przez konwejer kubłów. Także to, co ukrywa się pod maską kuropatwy, jest tam mniej pożywne.

— Co to jest?!

— Nie żadna trucizna, Tichy, po prostu ekstrakt trawy i buraka pastewnego, namoczony w chlorowanej wodzie i zmielony z rybną mączką; zwykle dodaje się kostnego kleju i witamin, omaszczając maź syntetycznym smarem, żeby nie stawała w gardle. Nie zauważył pan zapachu?

— Zauważyłem. Zauważyłem!!!

— A widzi pan.

— Na litość boską, profesorze… co to jest? Proszę mi powiedzieć! Zaklinam pana. Zmowa? Perfidia? Plan dla wygubienia całej ludzkości? Szatański spisek?

— Gdzie tam, Tichy. Nie bądź pan demoniczny. Jest to po prostu świat, w którym żyje grubo ponad dwadzieścia miliardów ludzi. Czytał pan dzisiejszego „Heralda”? Rząd Pakistanu twierdzi, że w tegorocznej katastrofie głodowej zginęło tylko 970 000 ludzi, opozycja zaś — że sześć milionów. Gdzież w takim świecie chablis, kuropatwy, potrawki w sosie beaujolais? Ostatnie kuropatwy wyginęły ćwierć wieku temu. To trup, tyle że znakomicie zachowany, bo się go wciąż sprawniej mumifikuje — czy też, bośmy się nauczyli maskować tę śmierć.

— Zaraz! Myśli nie mogę zebrać… Więc to znaczy, że…

— Że nikt panu źle nie życzy, na odwrót — z litości bowiem, z powodów wyższej humanitarnej natury stosuje się humbug chemiczny, kamuflaż, przystrajanie rzeczywistości w piórka i barwy, jakich jej brak…

— Profesorze, czy to oszustwo jest wszędzie?

— Tak.

— Ale ja nie jadam na mieście, sam sobie gotuję, więc którędy, jak…?

— Jak przyjmuje pan maskony? Pan o to pyta? Pan? Są w powietrzu, trwale rozpylane. Nie pamięta pan costaricańskich aerozoli? To były nieśmiałe pierwsze próby, coś jak Montgolfiera z rakietą.

— I wszyscy o tym wiedzą? I mogą z tym żyć?

— Nic podobnego. Nikt o tym nie wie.

— Ani pogłosek, ani plotek?

— Plotki są wszędzie. Ale proszę pamiętać, że istnieje amnestan. Są rzeczy, o których wie każdy, i są takie, o których nie wie nikt. Farmakokracja ma swą część jawną i skrytą; pierwsza wspiera się na drugiej.

— To nie może być.

— O? Czemu?

— Bo ktoś musi dbać o te słomianki, i ktoś musi produkować fajanse, z których naprawdę jemy, i tę bryję, która udaje pieczyste. I wszystko!

— Ależ tak. Ma pan rację, wszystko musi być wytwarzane i zachowywane, cóż z tego?

— Ci, którzy to robią, widzą i wiedzą!

— Skąd znowu. Myśli pan wciąż archaicznymi kategoriami. Ludzie myślą, że idą do szklanej fabryki-oranżerii; przy wejściu dostają antyhal i dostrzegają gołe betonowe mury i robocze stanowiska.

— I chcą pracować?

— Z największym zapałem, ponieważ dostają też dawkę sakryficyny. Praca jest tedy poświęceniem, czymś szczytnym; po zakończeniu dość łyku amnestanu czy memnolizyny, a wszystko, co się zobaczyło, ulega zapomnieniu!

— Do tej pory obawiałem się, że żyję w halucynacji. Teraz widzę, jaki byłem głupi! Boże, jakże bym chciał wrócić! Co bym za to dał!

— Wrócić, dokąd?

— Do kanału pod hotelem Hiltona.

— Nonsens. Zachowuje się pan nierozważnie, bym nie powiedział: głupio. Powinien pan robić to, co wszyscy, jeść i pić jak wszyscy, wówczas otrzymywałby pan niezbędne dawki optymistanu, serafinoli, i byłby pan w wyśmienitym humorze.

— Więc i pan jest adwokatem diabła?

— Bądźże pan rozsądny. Cóż to za czyn diabelski, jeśli lekarz kłamie w potrzebie choremu? Skoro musimy już tak mieszkać, żyć, jeść — lepiej, gdy się to nam przedstawia w ślicznych opakowaniach. Maskony działają niezawodnie, z jednym tylko wyjątkiem, więc co w nich złego?

— Nie czuję się na siłach dyskutować teraz z panem na ten temat — powiedziałem, ochłonąwszy trochę. — Proszę mi tylko odpowiedzieć na dwa pytania, przez pamięć dawnych czasów: jaki to jest wyjątek w działaniu maskonów? I w jaki sposób doszło do rozbrojenia powszechnego? Czy i ono jest mirażem?

— Nie, na szczęście jest całkiem realne. Ale, by to panu wyjaśnić, musiałbym się uciec do wykładu, a czas już na mnie.

Umówiliśmy się na dzień następny; przy pożegnaniu ponowiłem pytanie o defekt maskonów.

— Proszę pójść do Wesołego Miasteczka — rzekł profesor, wstając. — Jeśli chce pan niemiłych rewelacji, wsiądzie pan do największej karuzeli, a gdy uzyska ona pełne obroty, zrobi pan scyzorykiem dziurkę w osłonie kabiny. Osłona jest konieczna właśnie dlatego, że w czasie wirowania fantazmaty, jakimi maskon zaćmiewa realność, ulegają przemieszczeniom — jak gdyby siłą odśrodkowa rozsuwała końskie okulary… Zobaczy pan, co się wychyla wtedy spoza pięknych ułud…

Piszę te słowa o trzeciej w nocy, złamany. Cóż mogę do tego dodać? Rozważę poważnie projekt ucieczki od cywilizacji, zaszycia się w jakąś głuszę. Nawet Galaktyka przestała mnie wabić, jak nie kuszą podróże, gdy nie ma z nich dokąd wrócić.

5 X 2039. Wolne przedpołudnie spędziłem w mieście. Z ledwie powściąganym przerażeniem wpatrywałem się w powszechne oznaki komfortu i luksusu. Galeria sztuki na Manhattanie zachęca do kupowania za bezcen oryginalnych płócien Rembrandta i Matisse'a. Obok oferują wspaniałe meble w stylu Ludwików, marmurowe kominki, trony, zwierciadła, zbroje saraceńskie. Moc różnych aukcji — sprzedaje się domy jak ulęgałki. A ja sądziłem, że żyję w raju, w którym każdy może sobie „popałacować"! Biuro rejestracji samozwańczych kandydatów do Nagrody Nobla na Piątej Ulicy też wyjawiło mi swą właściwą naturę: każdy może mieć Nobla, podobnie jak pozawieszać ściany mieszkania najcenniejszymi dziełami sztuki, jeśli jedno i drugie jest tylko szczyptą proszku drażniącego mózg! Największa perfidia w tym, że część zbiorowej ułudy jest jawna, można więc naiwnie zakreślić granicę oddzielającą fikcję od rzeczywistości, a ponieważ spontanicznie nikt nie reaguje już na nic — chemicznie ucząc się, kochając, buntując, zapominając — różnica między uczuciem wymanipulowanym i naturalnym przestała istnieć. Szedłem ulicami zaciskając kułaki w kieszeniach. O, nie potrzebowałem amokoliny ni furyasoli, by doznawać wściekłości! Moja tropicielsko uskrzydlona myśl trafiała wszystkie pusto brzmiące miejsca tego monumentalnego oszukaństwa, tej rozrosłej poza horyzonty dekoracji. Dzieciom podają syropki ojcobijcze, potem, dla rozwoju osobowości, kontestan i protestolidynę, a dla uśmierzenia wznieconych porywów — sordyn i kooperantan; policji nie ma, po co, skoro jest kryminol; apetyty zbrodnicze gasi „Procrustics Inc."; dobrze, że omijałem dotąd teosięgarnie, bo i w nich jest tylko zestaw preparatów wiaropędnych, łaskodajnych, sumienidki, peccatol, absolvan, i nawet świętym można zostać dzięki sacrosanctyzydazie. Zresztą, czemu nie allaszek islaminy, dwuzenek buddanu, nirvanium kosmozylowe, teokontaktol? Czopki — eschatolopki, maść nekrynowa ustawią cię w pierwszym szeregu w Dolinie Jozafata, resurrectol zaś, podany na cukrze, dokona reszty. Święty Bogolu! Paradyzjaki dla

dewotów, belzeban i hellurium dla masochistów… z trudem powstrzymałem się, aby nie wpaść do mijanego farmakopeum, gdzie lud nabożnie klękał, jak tabaki zażywając genuflektoliny. Musiałem się hamować, by nie dano mi amnestanu. Tylko nie to! Pojechałem do Wesołego Miasteczka, obracając spotniałymi palcami w kieszeni scyzoryk. Nic nie wyszło z doświadczenia, bo osłona kabiny okazała się niezwykle twarda — chyba z hartowanej stali.

Pokoje do wynajęcia, w których mieszkał Trottelreiner, znajdowały się przy Piątej Ulicy. Nie było go w domu, gdym przyszedł o umówionej porze, ale uprzedził mnie, że się może spóźnić, i dał mi świst do drzwistu. Wszedłem więc i siadłem przy profesorskim biurku, zawalonym naukową prasą oraz zapisanymi papierami. Z nudów — a może raczej, by uśmierzyć niepokój palący duchowe wnętrzności — zajrzałem do notatek Trottelreinera. „Wszechśmiot", „porodzianka", „cudziniec", „cudzinka". Ach, więc miał głowę do tego, by spisywać terminy tej swojej dziwacznej futurologii… „Popłódnia", „wykapanek", „wykapanka". „Porodzistka" — rekordzistka porodowa? No tak, przy eksplozji demograficznej, zapewne. W każdej sekundzie rodziło się osiemdziesiąt tysięcy dzieci. A może osiemset tysięcy. Co za różnica? „Myślarz", „myślani", „myśliny", „mysiel", „myśl główna", czyli „dyszlowa", „myszlina"—"dyszlina". Czymże on się zajmował! Profesorze, ty tu, a tam świat ginie! — chciałem wołać. Nagle błysło coś spod papierów — antyhal, ta flaszeczka. Wahałem się przez ułamek sekundy, potem, zdecydowany, pociągnąłem ostrożnie i spojrzałem na pokój.

Dziwna rzecz: prawie się nie zmienił! Szafy biblioteczne, półki z pigułkami w informatorach, wszystko pozostało, jakie było, tylko ogromny, kaflowy piec holenderski w kącie, który zdobił pokój soczystym blaskiem swych rzeźbionych kafelek, zamienił się w tak zwanego bękarta z przepaloną rurą blaszaną, wetkniętą w dziurę w murze, a wokół podłoga zaczerniała od osmalin. Odstawiłem szybko flaszeczkę, jak złapany na gorącym uczynku, bo w przedpokoju świsnęło i wszedł Trottelreiner.

Opowiedziałem mu o Wesołym Miasteczku. Zdziwił się, poprosił, bym mu pokazał scyzoryk, pokiwał głową, sięgnął po flaszeczkę, powąchał i dał ją mnie z kolei. Zamiast scyzoryka ujrzałem ułomek spróchniałej gałązki. Wróciłem oczami do twarzy profesora — był jakby markotny, nie taki pewny siebie, jak poprzedniego dnia. Położył na biurku teczkę, pełną kongresowych lizaków, i westchnął.

— Tichy — rzekł — musi pan zrozumieć, że ekspansją maskonów nie powoduje na razie specjalna perfidia…

— Ekspansją? A to co znowu?

— Wiele rzeczy, jeszcze realnych w zeszłym miesiącu lub roku, trzeba zastępować mirażami, skoro autentyki stają się po prostu

nieosiągalne — tłumaczył mi, zafrasowany jakąś inną myślą, która, widziałem to, nie dawała mu spokoju.

— Na tej karuzeli jeździłem przed kwartałem, ale nie dam głowy za to, że ona tam jeszcze jest. Wszak może być, że kupując bilet wstępu, dostaje pan z dyfuzera porcję pary karuzelowej czy lunaparkiny, co zresztą jest racjonalne jako o wiele bardziej oszczędne. Tak, Tichy, sfera realnego posiadania ludzkości kurczy się z zastraszającym przyspieszeniem. Zanim tu zamieszkałem, byłem w nowym Hiltonie, ale, wyznaję, nie potrafiłem tam żyć, bo gdym nieopatrznie skorzystał z wytrzeźwiacza, ujrzałem się w klitce wielkości sporej szuflady, z nosem przy karmniku, w żebra gniótł mnie kurek wodociągowy, a stopami dotykałem wezgłowia legowiska w następnej szufladzie, to jest apartamencie, bo miałem apartament na ósmym piętrze, za 90 dolarów dziennie. Miejsca, po prostu miejsca jest coraz mniej! Robią obecnie próby z tak zwanymi despacjaliztorami albo psywidymkami, ale idą opornie, bo jeżeli maskuje się współobecność z panem ogromnych tłumów na ulicy czy na placu, tak że widzi pan tylko odległe jednostki, zaczyna się pan zderzać z ludźmi zamaskowanymi, których pan nie zauważa, a to już kłopot, którego nie umieją na razie przezwyciężyć!

— Profesorze, zajrzałem do pana notatek. Proszę wybaczyć, ale co to jest? — Pokazałem palcem kartkę, na której widniały słowa: „multyschizol", „ciżbidek wielaniny".

— A, to… Wie pan, istnieje plan, to znaczy koncepcja hintemizacji, od nazwiska autora Egoberta Hinterna, nieprawdaż — ażeby zastępować rosnący brak zewnętrznej przestrzeni — wyhalucynowaną przestrzenią wewnętrzną, duszy, bo metraż tej ostatniej żadnym ograniczeniom fizycznym nie podlega. Pewno pan wie, że dzięki zooforminom można się czasowo stać, to jest czuć się, żółwiem, mrówką, bożą krówką, a nawet jaśminem przy pomocy prebotynidu infloryzującego, oczywiście tylko subiektywnie. Można też doznać rozszczepienia osobowości na dwie, trzy, cztery części. Gdy rozszczepienie sięga liczb dwucyfrowych, powstaje efekt ciżbinowy. To już nie jaźń wtedy, lecz myźń. Wielość jaźni w jednym ciele. Są też dojaźniacze, żeby spotęgowane w intensywności życie wewnętrzne górowało nad postrzeganiem tego, co zewnętrzne. Taki świat, takie czasy, mój Tichy. *Omnis est Pillula*! Farmakopea jest teraz księgą żywota, encyklopedią bytu, alfą i omegą, żadnych przewrotów na widoku, skoro mamy już rewoltal, opozycjonal w czopkach glicerynowych i ekstreminę, a pański doktor Hipkins reklamuje sodomastol i gomorynki — można osobiście spalić ogniem niebieskim tyle miast, ile dusza zapragnie. Awans na Pana Boga też można dostać, kosztuje 75 centów.

— Najnowszą sztuką piękną jest świąd — rzekłem. — Słyszałem,

to jest czułem. Scherzo Uascotiana, ale nie mogę powiedzieć, żeby mi to cokolwiek dało pod względem estetycznym. Śmiałem się w najpoważniejszych miejscach.

— Tak, to nie dla nas, defryzoni z innego wieku, rozbitków w czasie — melancholijnie przytwierdził Trottelreiner. Jakby się w sobie przełamał, odchrząknął, spojrzał mi w oczy i rzekł;

— Tichy, rozpoczyna się właśnie kongres futurologiczny — to znaczy obrady nad będziejami ludzkości. Jest to Światowy Zjazd LXXVI; byłem dzisiaj na pierwszym wstępnym posiedzeniu organizacyjnym i chcę się podzielić z panem wrażeniami…

— Dziwne — rzekłem — czytam dość pilnie prasę, ale nie widziałem nawet wzmianki o tym kongresie…

— Bo to jest tajny kongres. Rozumie pan chyba — muszą być wszak między innymi omawiane problemy maskowania!

— I co? Niedobrze z nimi?

— Fatalnie! — rzekł profesor z naciskiem. — Gorzej nie może być!

— A wczoraj grał pan z innej dudki — powiedziałem.

— To prawda. Lecz proszę wziąć pod uwagę moje położenie — dopiero zaznajamiam się ze stanem aktualnych badań. To, co słyszałem dzisiaj, och, mówię panu — zresztą sam pan może się przekonać.

Wyjął z teczki duży pęk lizaków z tymczasowymi doniesieniami, powiązanych różnokolorowymi wstążeczkami, i podał mi go przez biurko.

— Nim pan się z tym zapozna, kilka słów niezbędnego wyjaśnienia. Farmakokracja jest psychemokracją, opartą na kremokracji — to dewiza naszej nowej ery. Rządom halucynogenów towarzyszy korupcja, aby to jeszcze zwięźlej ująć. Zresztą właśnie dzięki temu mamy powszechne rozbrojenie.

— A więc wreszcie dowiem się, jak z tym jest! — zawołałem.

— To wcale proste. Przekupstwo służy albo temu, by można zbyć towar niepełnowartościowy, albo temu, by go przy głodzie towarowym otrzymać. Towarem mogą być zresztą i usługi. Idealna sytuacja powstaje dla producenta wówczas, gdy inkasując należność, nic za nią w zamian nie daje. Przypuszczam, że zapoczątkowały realizę afery mendaktorów i malwersorów, o których pan musiał słyszeć.

— Tak, ale co to jest realiza?

— Dosłownie — rozpuszczanie się, więc — zanikanie rzeczywistości. Gdy wybuchł skandal komputerowych malwersacji, wszystko zwalono na maszyny cyfrowe. W istocie maczały w tym palce potężne konsorcja i tajne kartele. Szło, nieprawdaż, o uczynienie planet mieszkalnymi — sprawa paląca wobec przeludnienia! Należało

wybudować ogromne floty rakietowe, zmienić klimaty, atmosfery Saturna i Urana; o wiele prościej było robić to wszystko wyłącznie na papierze.

— Przecież to się musiało rychło wydać — zdziwiłem się.

— Nic podobnego. Powstają nieprzewidziane trudności obiektywne, nie znane dotąd problemy, przeszkody, trzeba nowych kredytów, asygnacji, ot, taki projekt Urana pochłonął dotąd 980 miliardów, a nie wiadomo, czy ruszono tam choć jeden kamień.

— Komisje nadzorujące?

— Komisje nie składają się z kosmonautów, a nie przygotowany nie może lądować na tych planetach. Wysyła się wtedy pełnomocników, którzy z kolei opierają się na przedłożonym im materiale wykazów, zdjęć fotograficznych, statystyk, a wszak można albo sfałszować dokumentację, albo, o wiele łatwiej jeszcze, sfingować maskonami.

— Ach!

— A właśnie. W podobny sposób, przypuszczam, rozpoczęło się, jeszcze wcześniej, pozorowanie zbrojeń. Firmy wszak, które otrzymują rządowe zamówienia, są własnością prywatną. Brały miliardy i nic nie robiły; to znaczy produkowały, owszem, działa laserowe, wyrzutnie rakiet, przeciw-przeciw-przeciw-przeciwrakiety (bo mamy ich szóstą generację), czołgi latające, tak zwane latalerze, ale wszystko hapunktowe.

— Proszę?

— Wyhalucynowane, mój panie. Po co robić próby nuklearne, gdy się ma fungolowe pastylki?

— Co to jest?

— Pastylki, po których zażyciu widzi się grzyb wybuchu atomowego. Był to proces łańcuchowy. Po co szkolić żołnierzy? W razie mobilizacji da im się pigułki wyszkoleniowe. Dowódców też nie warto kształcić — od czego strategina, generazol, taktydon, orderyl? „W Clausewitzu będziesz gmerał? Proszek zjedz, jużeś generał”. Słyszał pan to porzekadło?

— Nie.

— Bo te zestawy specyfików są tajne, a przynajmniej nie dopuszczane na rynek. Desantów też nie warto nigdzie wysyłać — wystarczy nad wrzącym krajem rozpylić odpowiedni maskon, a ludność będzie widziała lądujące jednostki spadochronowe, piechotę morską, czołgi — prawdziwy czołg kosztuje teraz prawie milion dolarów, a halucynowany około jednej setnej centa na widza, to jest tak zwana jednostka czołgoosobowa. Pancernik kosztuje ćwierć centa. Cały arsenał Stanów Zjednoczonych można dzisiaj zapakować do jednej ciężarówki. Tankony, kadawerony, bombony — stałe, ciekłe i gazowe. Podobno istnieją nawet całe inwazje Marsjan — jako

odpowiednio spreparowany proszek.

— Wszystko w maskonach?

— A jakże! Z kolei realna armia okazała się zbędna. Pozostało tylko trochę lotnictwa, a i to niepewne. Po co? to był proces lawinowy, rozumie pan? Nie można go było zahamować. Ot, i cała tajemnica rozbrojenia. Zresztą nie tylko rozbrojenia. Widział pan nowe modele tegoroczne cadillaca, dodge'a i chevroleta?

— Owszem, wcale ładne. Profesor podał mi flaszeczkę.

— Proszę, nich pan podejdzie do okna i przyjrzy się tym pięknym autom.

Wychyliłem się przez parapet. Wąwozem ulicy, widzianym z jedenastego piętra, sunęła rzeka lśniących samochodów, błyskająca w słońcu szybami i dachami. Podniosłem otwartą buteleczkę do nosa, zamrugałem, wyciskając powiekami łzy z oczu, i zapatrzyłem się w niezwykły widok. Trzymając w uniesionych na wysokość piersi dłoniach powietrze, niczym dzieci bawiące się w szoferów, jezdnią kłusowały kolumny biznesmenów. Od czasu do czasu w zwartych szeregach galopowiczów, przebierających pospiesznie nogami, a od pasa w górę przechylonych do tyłu, jakby wpartych w przepastne fotele, pojawiał się samotny, dymiący samochód. Gdy działanie środka osłabło, obraz zadrgał, wyrównał się i znów widziałem z wysokości błyszczącą rzekę samochodowych dachów, białych, żółtych, szmaragdowych, płynącą majestatycznie przez Manhattan.

— Koszmarne! — rzekłem dosadnie — ale, mimo wszystko, *pax orbi et urbi* ustanowiony, więc może to się opłaciło?

— No, rozumie się, że to nie jest tylko złe. Ilość zawałów spadła bardzo znacznie, bo te długodystansowe galopy są świetną gimnastyką. Inna rzecz, że wzrosły zachorowania na rozedmę płuc, żylaki i rozszerzenie serca. Nie każdy nadaje się na maratończyka.

— To dlatego pan nie ma auta! — zawołałem domyślnie.

Profesor tylko się krzywo uśmiechnął.

— Średniej klasy wóz kosztuje dziś zaledwie 450 dolarów — rzekł — ale zważywszy, że koszty produkcji obracają się wokół ósmej części centa, jest to raczej słono. Ilość ludzi robiących coś realnego leci na łeb na szyję. Kompozytorzy biorą honoraria, dają zleceniodawcom łapówki, a publiczności, przychodzącej na prawykonanie do filharmonii, podsuwa się pod nos melotropinę koncertazolową.

— Moralnie to paskudne — rzekłem — ale czy bardzo szkodliwe w skali społecznej?

— To, co jest na razie — jeszcze nie. Zresztą ocena zależy od punktu widzenia. Dzięki transmutynie może pan mieć romans z kozą, sądząc, że to sama Wenus z Milo. Zamiast prac naukowych i obrad są kongressyny i dekongressyny, ale przecież istnieje pewne minimum życiowe, którego już się nie pokryje fikcją. Trzeba gdzieś mieszkać

naprawdę i coś jeść, i czymś oddychać, a tymczasem realiza zżera jedną po drugiej sfery działania rzeczywistego. Ponadto mamy zastraszający przybór objawów ubocznych. Wymagają one stosowania dehalucynin, neosupermaskonów, fiksatorów — z wątpliwym skutkiem.

— Cóż to takiego?

— Dehalucyniny to nowe specyfiki, po których wydaje się, że się nic nie wydaje. Stosowano je zrazu tylko u chorych umysłowo, ale rośnie liczba ludzi podejrzewających otoczenie o nieautentyczność. Amnestany nie pomagają przeciw uroburojeniom. To są urobione wtórnie urojenia, rozumie pan? No, jeśli ktoś sobie roi, że sobie roi, że sobie nic nie roi — albo na odwrót. Jest to typowa problematyka psychiatrii współczesnej, tak zwanej wieżowcowej lub. n-piętrowej. Ale najgroźniejsze są te nowe maskony. Widzi pan, pod wpływem nadmiaru specyfików organizmy szwankują. Ludziom wypadają włosy, rogowacieją uszy, to znów zanika ogon…

— Wyrasta, chciał pan powiedzieć.

— Nie, zanika, bo ogony wszyscy mają już od trzydziestu lat. To był skutek ortografiny. Za błyskawiczną naukę pisania przyszło tym zapłacić.

— Niemożliwe — bywam na plaży, nikt nie ma ogona, profesorze!

— Dzieckoś pan. Ogony maskuje się antycaudatoliną, która z kolei powoduje zaczernienie paznokci i psucie się zębów.

— Które też się maskuje?

— Naturalnie. Maskony działają w ilościach miligramów, ale łącznie każdy człowiek pochłania ich około stu dziewięćdziesięciu kilogramów w ciągu roku, co łatwo pojąć, zważywszy, że trzeba symulować urządzenia mieszkalne, jadło, napitki, grzeczność dzieci, uprzejmość urzędników, odkrycia naukowe, posiadanie rembrandtów i scyzoryków, podróże zamorskie, kosmiczne loty i milion podobnych rzeczy. Gdyby nie tajemnica lekarska, byłoby wiadomo, że co drugi mieszkaniec Nowego Jorku jest łaciaty, ma grzbiet porośnięty zielonkawą szczeciną, kolce na uszach, platfus i rozedmę płuc z rozszerzeniem serca od nieustannego galopowania. Wszystko to trzeba osłaniać i właśnie temu służą neosupermaskony.

— Koszmarne! I nie ma na to rady?

— Właśnie nasz kongres ma obradować nad alternatywą będziejów. Mówi się w kręgach fachowców powszechnie o konieczności radykalnej zmiany. Dysponujemy w tej chwili osiemnastoma projektami.

— Zbawienia?

— Można to i tak nazwać. Proszę, może pan siądzie i przeliże te materiały. Ale miałbym do pana też pewną prośbę. To rzecz delikatna.

— Zrobię dla pana, co pan chce.

— Liczę na to. Widzi pan, otrzymałem od kolegi, chemika, próbki dwu nowo syntetyzowanych ciał z grupy ocykanów — wytrzeźwiaczy. Przysłał mi je ranną pocztą i pisze — Trottelreiner podniósł list z biurka — że mój preparat, ten, który i pan zażywał, nie jest autentycznym ocykanem. Pisze dosłownie: „Federalny Zarząd Psyprecji (to jest psychopreformacji) dla odwrócenia uwagi rzeczowidzów od wielu zjawisk kryzysowych rozmyślnie i złośliwie dostarcza im fałszywych środków przeciwurojeniowych, zawierających neomaskony”,

— Nie mogę się w tym połapać. Przecież sam doświadczyłem działania pańskiego preparatu. I co to jest rzeczowidz?

— A, to wysokie stanowisko społeczne, które między innymi i ja posiadam. Rzeczowidztwo to prawo i możliwość dysponowania ocykanami w celu ustalania, jak się mają rzeczy naprawdę. Ktoś bowiem musi o tym wiedzieć, to chyba oczywiste?

— Istotnie.

— A co do tego środka, mój przyjaciel przypuszcza, że on wprawdzie znosi wpływ maskonów starszej daty, od dawna już wprowadzonych, ale nie likwiduje wszystkich — zwłaszcza najnowszych. Byłby to więc — profesor podniósł flaszeczkę — nie wytrzeźwiacz, lecz maskon zaprojektowany perfidnie, zakamuflowany podwytrzeźwiacz, czyli wilk w owczej skórze!

— Ale po co to? Jeśli trzeba, aby ktoś wiedział…

— „Trzeba” w sensie ogólnym, ze stanowiska uwzględniającego całe dobro społeczne, ale nie z punktu widzenia cząstkowych interesów różnych polityków, korporacji, nawet federalnych agencji. Jeśli jest gorzej, niż dostrzegamy to my, rzeczowidzowie, tamci wolą, byśmy nie podnosili alarmów; więc spreparowali ten środek tak, jak się niegdyś podtykało szukającym — łatwe do odnalezienia skrytki w starych meblach. Aby się poszukiwacz zadowolił pierwszym wykrytym schowkiem i już nie szperał za prawdziwymi, zakamuflowanymi daleko zręczniej!

— Tak. Teraz rozumiem. Czego pan sobie życzy?

— Aby pan w czasie zaznajamiania się z tymi materiałami pociągnął najpierw z tej fiolki, a potem z tej drugiej. Ja, prawdę mówiąc, nie mam odwagi.

— Tylko tyle? Ależ chętnie.

Wziąłem od profesora obie szklane rureczki, siadłem na fotelu i jąłem po kolei przyswajać sobie streszczenia nadesłanych prac będziejowych. Projekt pierwszy przewidywał sanację stosunków dzięki wprowadzeniu do atmosfery tysiąca ton inwersyny, preparatu, który odwraca o 180 stopni wszystkie doznania. Pierwsza faza przewidywała rozpylenie preparatu; odtąd wygoda, sytość, jak i

smaczna żywność, rzeczy estetyczne, schludne — wszystko to ulega powszechnemu znienawidzeniu, natomiast tłok, ubóstwo, brzydota i nędza stają się pożądane nade wszystko. W fazie drugiej znosi się radykalnie działanie wszystkich ma — skonów i neomaskonów. Teraz dopiero ogół, postawiony twarzą w twarz ze skrywaną dotychczas rzeczywistością, znajduje pełną satysfakcję, ma bowiem przed sobą wszystko, czego pożąda. Być może, zrazu wypadnie nawet uruchomić peiotrony (pogarszacze warunków życiowych). Ponieważ jednak inwersyna działa na wszystkie doznania bez wyjątku, znienawidzone staną się też uciechy erotyczne, co zagrozi ludzkości wymarciem. Toteż raz do roku na 24 godziny będzie się czasowo porażało działanie inwersyny kontrapreparatem. W dniu tym nastąpi niechybnie gwałtowny skok samobójczych zamachów, lecz z nadwyżką okupi go zainicjowany jednocześnie przyrost naturalny.

Nie mogę powiedzieć, by mnie ten plan zachwycił. Jedynym jaśniejszym jego punktem był ten, który mówił, że projektodawca, jako należący do rzeczowidzów, niechybnie stale znajdowałby się pod działaniem antidotum, toteż ani powszechna nędza czy brzydota, ani brud czy monotonia życia na pewno nie sprawiałyby mu szczególnej uciechy. Drugi plan przewidywał rozpuszczenie w wodach rzecznych i oceanicznych 10 000 ton retro temporyny. Jest to odwracacz upływu czasu subiektywnego. Odtąd życie przedstawiałoby się następująco: ludzie pojawialiby się na świecie zgrzybiałymi starcami, a schodzili z niego jako noworodki. Projekt podkreślał, że w ten sposób usunęłoby się główny szkopuł kondycji ludzkiej, a mianowicie nieuchronną dla każdego perspektywę starzenia się i śmierci. W miarę upływu czasu każdy starzec młodniałby coraz bardziej, nabierając sił i wigoru. Po zaprzestaniu pracy zawodowej wskutek zdziecinnienia wkraczałby w błogosławiony kraj lat dziecinnych. Clou projektu stanowiła jego humanitarmość, wynikająca w sposób naturalny z owej niewiedzy o śmiertelności wszystkiego, co żywe, która jest właściwa niemowlęctwu. Co prawda — ponieważ odwrócenie biegu czasu było tylko subiektywne — do ogródków jordanowskich, żłobków i izb porodowych kierować należało starców; projekt nie powiadał wyraźnie, co się ma z nimi dziać potem, a jedynie zaznaczał ogólnikowo, że można poddawać ich odpowiedniej terapii w tak zwanym państwowym eutanazjum. Po tej lekturze poprzedni projekt wydał mi się wcale niezły.

Trzeci projekt był długodystansowy i daleko bardziej radykalny. Przewidywał ekto genezę, detaszyzm i homikrię powszechną. Z człowieka pozostawiał tylko mózg w eleganckim opakowaniu z duroplastu, rodzaj globusa opatrzonego w sprzęgła, kontakty i wtyczki. Postulował przejście w przemianie materii na energię jądrową, w związku z czym spożywanie pokarmów, cieleśnie zbędne,

odbywałoby się wyłącznie w urojeniu odpowiednio programowanym. Globus mózgowy można by przyłączać do dowolnych kończyn, aparatów, maszyn, wehikułów itp.; ta detaszyzacja była rozłożona na dwie dekady. W pierwszej obowiązywałby detaszyzm częściowy, z pozostawianiem w domu zbędnych narządów; np. udając się do teatru, odczepiałoby się i wieszało w szafie układy kopulacyjne i defekacyjne. W następnej dziesięciolatce homikria miała zlikwidować powszechny tłok — skutek przeludnienia. Kablowe i bezkablowe kanały łączności międzymózgowej czyniłyby zbędnymi wszelką lokomocję, kursokonferencje, wyjazdy, narady połączone z podróżami, a więc wszelkie osobiste udawanie się gdziekolwiek, bo każdy żyjący dysponowałby w jednaki sposób czujnikami w całym obszarze panowania ludzkości, aż po najdalsze planety. Masowa produkcja miała dostarczyć narynekjelitorów, manipulatorów, pedykulatorów oraz zwyczajnych torów, to jest szyn jakby kolejki domowej, po której same głowy mogłyby się toczyć dla rozrywki. Przerwawszy lekturę, zauważyłem, że autorzy prac są zapewne wariatami. Trottelreiner odparł oschle, że jestem zbyt pochopny w sądach. Piwo, którego się nawarzyło, trzeba wypić. Kryterium zdrowego rozsądku nie jest do historii ludzkiej stosowalne. Czy Averroes, Kant, Sokrates, Newton, Wolter uwierzyliby, że w wieku dwudziestym plagą miast, trucicielem płuc, masowym mordercą, przedmiotem kultu stanie się blaszany wózek na kółkach, i że ludzie będą woleli ginąć w nim roztrzaskiwani podczas masowych weekendowych wyjazdów aniżeli siedzieć cało w domu? Spytałem, który z projektów zamierza poprzeć.

— Jeszcze się nie zdecydowałem — rzekł. — Najcięższy jest, mym zdaniem, problem tajniąt — nielegalnie rodzonych dzieci. A poza tym obawiam się chemintrygowania w toku obrad.

— To znaczy?

— Może przejść projekt, który otrzyma wsparcie kredybilanowe.

— Myśli pan, że was tam podtrują?

— Czemu nie? Cóż łatwiejszego niż wpuścić aerozol na salę przez aparaturę klimatyzacyjną?

— Cokolwiek uchwalicie, nie musi być zaakceptowane przez ogół. Ludzie nie przyjmą wszystkiego biernie.

— Drogi panie, kultura od półwiecza nie rozwija się już żywiołowo. W XX wieku jakiś Dior dyktował modę odzieżową. Obecnie regulatywność ta objęła wszystkie dziedziny życia. Jeżeli detaszyzm przegłosują, za parę lat każdy będzie uważał posiadanie miękkiego, włochatego, pocącego się ciała za wstyd i nieprzyzwoitość. Ciało trzeba myć, odwaniać, pielęgnować, a i tak się psuje, kiedy przy detaszyzmie można sobie podłączać najpiękniejsze cuda sztuki inżynierskiej. Która kobieta nie zechce mieć srebrnych jodów zamiast oczu, wysuwających się teleskopowo piersi, anielskich skrzydeł,

promieniujących łydek i pięt wydających przy każdym kroku melodyjne dźwięki?

— To wie pan co — rzekłem — uciekajmy. Zgromadzimy zapasy tlenu, żywości i zaszyjemy się w Górach Skalistych. Pamięta pan kanały Hiltona? Alboż nam w nich było źle?

— Pan to mówi serio? — jakby z wahaniem zaczął profesor.

Doprawdy nie z rozmysłu podniosłem do nosa fiolkę, którą wciąż trzymałem w palcach — bo zapomniałem o niej. Łzy wystąpiły mi od ostrej woni. Zacząłem kichać raz za razem, a gdy znów otwarłem oczy, pokój się zmienił. Profesor mówił dalej, słyszałem jego głos, lecz zafascynowany przemianą nie pojmowałem ani słowa. Ściany powlekły się brudem; dotąd modre niebo nabrało burosinej barwy; część szyb okiennych była wybita, resztę pokrywał tłusty kopeć z szarymi smugami po strugach deszczu.

Nie wiem, czemu szczególnie przeraziło mnie to, że zgrabna aktówka, w której profesor przyniósł kongresowe materiały, stała się spleśniałym workiem. Zdrętwiały, bałem się na niego spojrzeć. Zerknąłem pod biurko. Zamiast sztuczkowych spodni i kamaszy profesorskich widniały tam swobodnie skrzyżowane protezy. Pomiędzy druciane ścięgna podeszew nabiło się nieco żwiru i brudu ulicznego. Stalowy trzpień pięty lśnił, wyślizgany od użycia. Jęknąłem.

— Co, głowa pana boli? Może kogutka? — dobiegł mnie współczujący głos. Przemogłem się i podniosłem nań oczy.

Niewiele zostało mu z twarzy. Do wyjedzonych policzków przy kleiły się strzępy dawno nie zmienianego, nadgniłego opatrunku. Oczywiście nosił dalej okulary — jedno szkiełko było nadpęknięte. Na szyi, w otworze po tracheotomii, tkwił dość niedbale wetknięty vocoder, ruszający się w takt głosu. Marynarka wisiała nadpleśniałym łachem na stelażu piersiowym; z lewej strony wycięto w niej otwór, zatkany zmętniała szybką plastykową — sinoszarym spazmem tłukło się tam jego serce w klamrach i szwach. Lewej ręki nie widziałem, prawa, trzymająca ołówek, była sprotezowana mosiądzem, pozieleniałym od grynszpanu. Do klapy przyfastrygowano mu niedbale płócienko, na którym ktoś napisał czerwonym tuszem: „Fryzak 119 859/21 transpl. — 5 odrzuć.” Oczy wyszły mi na wierzch — profesor zaś, przejmując w siebie mój strach jak zwierciadło, zdrętwiał nagle za biurkiem.

— A co?… Czy tak się zmieniłem? Co? — przemówił chryple.

Nie pamiętam, żebym wstawał, ale mocowałem się z klamką u drzwi.

— Tichy! Co pan? Ależ, Tichy! Tichy!!! — wołał rozpaczliwie, dźwigając się z trudem. Drzwi puściły, zarazem rozległ się przeraźliwy łomot. To profesor Trottelreiner, straciwszy równowagę od zbyt

gwałtownego poruszenia, runął i rozpadał się na podłodze w kościanym chrzęście drutowanych zaczepów; uniosłem w oczach obraz jego rozpaczliwych wierzgnięć, z wiórującymi parkiet kikutami gwoździastych pięt, z szarym workiem serca tłukącego się za porysowaną szybką. Uciekałem korytarzem jak goniony przez furie.

Rojno było w całym gmachu, bo trafiłem na porę lunchu. Z biur wychodzili urzędnicy i sekretarki i gwarząc kierowali się ku windom. Wmieszałem się w tłum przy otwartych drzwiach dźwigu, ale że jakoś nie nadjeżdżał, zajrzałem do szybu i zrozumiałem, czemu zadyszka była zjawiskiem tak powszechnym. Koniec dawno urwanej liny wisiał luźno, a po pionowych siatkach, ogradzających szyb, leźli wszyscy z małpią zręcznością, dowodzącą długiej wprawy; wspinali się do kawiarni na dachu, konwersując pogodnie mimo kroplistego potu zraszającego czoła. Nieznacznie wycofałem się i pobiegłem schodami na dół, spiralami stopni okalających szyb z cierpliwymi wspinaczami. Kilka pięter niżej zwolniłem. Wysypywali się wciąż ze wszystkich drzwi. Były tu niemal same biura. W załomie murów jaśniało otwarte okno, wychodzące na ulicę. Stanąłem przy nim, udając, że poprawiam ubranie, i spojrzałem w dół. Zrazu wydało mi się, że w tłumie na chodnikach nie ma ani żywej duszy, ale tylko nie poznałem przechodniów. Ulotniła się powszechna elegancja. Szli pojedynczo, parami, w dziurawych łachach, wielu w bandażach, przewiązkach papierowych, w jednych koszulach, co pozwalało stwierdzić, że istotnie są plamiści i oszczeciniali, zwłaszcza na grzbietach. Niektórych wypuszczono widać ze szpitali dla załatwienia co pilniejszych spraw; beznodzy toczyli się na deseczkach z małymi kółkami, w gwarze rozmów i śmiechu; widziałem słoniowate sfałdowane uszy pań, rogaciznę panów, stare gazety, wiechcie słomy i worki noszone z szykiem i gracją; co zdrowsi, lepiej zachowani biegli jezdnią wyciągniętym cwałem, markując zadzieranymi skocznie stopami zmianę biegów. Dominowały w tłumie roboty z dyfuzerami, dozymetrami i opryskiwaczami. Dbały o to, by każdy dostał swą porcję aerozolowej mgiełki. Nie ograniczały się do tego; za młodą parą, splecioną ramionami — ona miała plecy w łuskach, on w wykwitach — stąpał ciężko cyfruń i lejkiem dyfuzera metodycznie obtłukiwał głowy zakochanych. Choć im zęby dzwoniły, nie przyjmowali tego do wiadomości. Czy robił to umyślnie? Ale nie byłem już zdolny do refleksji. Ściskając w ręku framugę, patrzałem w perspektywę ulicy, z jej ruchem, cwałem, krzepą, jako jedyny świadek, jedyna para oczu widzących — czy na pewno jedyna? Okrucieństwo tego spektaklu zdawało się domagać innego obserwatora, jego twórcy, bo, nie ujmując niczego tym rodzajowym scenkom, nadawałby im sens jako patron błogiego strupieszenia, więc makabryczny — ale jakiś. Mały pucybunter, cymberdając się przy nogach energicznej staruszki,

wciąż podcinał jej kolana, waliła się jak długa, wstawała i szła dalej, obalił ją znowu i tak znikli mi z oczu, on mechanicznie uparty, ona żwawa i pewna siebie. Wiele robotów zaglądało ludziom z bliska w zęby, może dla sprawdzenia efektu natrysków, ale nie tak to wyglądało. Na rogach stało sporo uchylców i nierobotów, z jakiejś bocznej bramy waliły po szychcie pracery, pracuchy, kretyngi, mikroboty, jezdnią sunął ogromny komposter, unosząc na ostrodze swego pługa co popadło, razem z trupciami wrzucił do pojemnika staruszkę; zagryzłem palce, zapomniawszy, że trzymam w nich drugą, nie tkniętą jeszcze fiolkę, i gardło spalił mi żywy ogień. Otoczenie zadrżało, objęta je jasna mgła — bielmo, które niewidzialna dłoń powoli zdejmowała mi z oczu. Patrzałem, stężały, na zachodzącą przemianę, już domyślając się w potwornym skurczu przeczucia, że teraz rzeczywistość złuszczy z siebie następną warstwę — widać to jej fałszowanie szło od niepamiętnych czasów, tak że potężniejszy środek mógł tylko zedrzeć więcej zasłon, dotrzeć do głębszych, ale nic nadto. Zrobiło się jaśniej — biało. Śnieg leżał na trotuarach, zlodowaciały, ubity setkami nóg, koloryt ulicy stał się zimowy, zarazem znikły wystawy sklepów, zamiast szyb — wszędzie przegniłe, na krzyż zbite deski. Zima panowała między brudnymi murami w zaciekach, z nadproży, lamp zwisały festony śliskich sopli, w ostrym powietrzu był swąd gorzki, sinawy jak niebo w górze, pryzmy brudnego śniegu pod ścianami, sterczały z nich kłęby śmieci, tu i tam czerniały jakby duże tłumoki, kupy szmat, bezustanna fala ruchu pieszego popychała je, skopy wała na boki, między zardzewiałe pojemniki, puszki, trociny zlodowaciałe, śnieg nie padał, ale widać było, że sypał i znów sypnie; nagle pojąłem, kto znikł z ulicy: roboty. Nie było ani jednego — ani jedniusieńkiego! Ich ośnieżone kadłuby walały się pod kamienicami, zamarłe, żelazne gruchoty — w towarzystwie łachów ludzkich, szmat, spod których wystawały żółtawe oszronione kości; jakiś obdartus siadał właśnie na stercie śniegu, moszcząc się niczym w puchowej pościeli, widziałem jego zadowoloną minę, czuł się jak u siebie w domu, sam w łóżku, wyciągnął nogi, grzebał bosymi w śniegu, więc to był ten ziąb, ta dziwaczna rzeźwość, jakby z daleka nadchodząca od czasu do czasu nawet w środku ulicy, w samo południe słoneczne — już się ułożył do długiego snu — więc tak to było. Ludzkie mrowie mijało go obojętnie, przechodnie zajmowali się sami sobą — jedni opylali drugich, można było rychło rozpoznać po zachowaniu, kto się miał za człowieka, a kto za robota. Więc i roboty udawali? I skąd ta zima w środku lata — czy zwidem był cały kalendarz? Ale po co? Lodowy sen jako demograficzne antidotum? Więc ktoś jednak uważnie to planował i ja miałbym sczeznąć, nie dotarłszy do niego? Wodziłem teraz oczami po sparszywiałych ścianach drapaczy z powybijanymi oknami, za mną było cicho: skończył się lunch. Ulica — to był kres,

moje widzące oczy nie miały zbawiennej wartości, utonąłbym w tym tłumie, a potrzebowałem kogoś, sam mogłem się najwyżej ukrywać przez jakiś czas jak szczur, byłem już poza nawiasem zwidu, więc na pustyni, ze strachem i rozpaczą cofnąłem się od okna, czując, niestety, mróz całym ciałem, bo już nie osłaniała mnie przed nim złuda słonecznego klimatu. Sam nie pojmowałem, dokąd idę, starając się stąpać cicho; tak, już ukrywałem własną obecność, to przygarbienie, skulenie, szybkie spojrzenia na boki, przystawanie, nasłuchiwanie — podpowiedział mi odruch, zanim powziąłem jeszcze jakąkolwiek decyzję, ale też czułem do szpiku kości, że widać po mnie, co widzę, i że to nie może mi ujść bezkarnie. Szedłem korytarzem szóstego czy piątego piętra, do Trottelreinera nie mogłem wrócić, potrzebował pomocy, której i tak nie mógłbym mu dać, myślałem gorączkowo o kilku rzeczach naraz, ale najpierw o tym, czy wpływ środka ustanie i znajdę się na powrót w Arkadii. Zadziwiająca rzecz, oprócz wstrętu i strachu nie czułem — wobec tej perspektywy — nic więcej, jak gdybym wolał zamarznąć w stercie śmiecia, z wiedzą, że tak jest, aniżeli zawdzięczać ukojenie zwidom. Nie mogłem wejść w boczny korytarz, bo drogę zagradzało ciało jakiegoś starca, któremu zbrakło sił, by iść, więc markował chód drgającymi nogami i cichutko rzężąc uśmiechał się do mnie towarzysko ze swej agonii. Więc w drugi boczny korytarz — aż do matowych szyb jakiegoś biura. Za nimi panowała zupełna cisza. Wszedłem, wahadłowe odrzwia zakołysały się, była to hala maszyn do pisania — pusta. W głębi — uchylone następne drzwi. Zajrzałem tam, do jasnego, dużego pokoju, chciałem umknąć, bo ktoś w nim był, lecz odezwał się znajomy głos:

— Proszę wejść, Tichy.

Wszedłem więc. Nie zdziwiłem się nawet szczególnie, że tak się odezwał, jakby czekał na mnie; przyjąłem spokojnie i to, że za biurkiem siedział imć George Symington, w szarym flanelowym ubraniu, z włochatym fularem na szyi, w ustach miał cienkie cigarrillo, na twarzy — czarne okulary i zdawał się patrzeć na mnie ni to pobłażliwie, ni to z żalem.

— Proszę usiąść — rzekł — bo to chwilę potrwa. Usiadłem. Pokój, z całymi szybami, był oazą schludności i ciepła w powszechnym zapuszczeniu, ani śladu lodowatych przeciągów, nawianego śniegu, tacka, dymiąca czarna kawa, popielniczka, dyktafon, nad jego głową wisiało na ścianie kilka barwnych aktów kobiecych. Zaskoczyło mnie bezsensowne raczej skojarzenie, że tych ciał na fotografii nie pokrywał żaden liszaj.

— Doigrał się pan! — rzekł dosadnie. — A przy tym nie może się pan skarżyć! Najlepsza pielęgniarka, jedyny rzeczowidz w całym stanie, wszyscy starali się pomóc panu, ale cóż? Pan chciał się dodłubać „prawdy” na własną rękę!

— Ja? — powiedziałem oszołomiony jego słowami, a nim zebrałem myśli, nim je dostroiłem do jego słów, napadł:

— Proszę tylko nie łgać. Za późno na to. Zdawało się panu, że jest pan niesłychanie przebiegły, obnosząc się z tymi swoimi skargami i podejrzeniami o „halucynację"! „Kanał", „szczury hotelowe", „dosiadać", „kulbaczyć". I takimi prymitywnymi wymysłami chciał się pan posłużyć, sądził pan, że one wystarczą? Tylko defryzak może być aż tak głupi!

Słuchałem go z na pół otwartymi ustami. Pojąłem błyskawicznie, że wszelkie zaprzeczanie będzie daremne, bo i tak mi nie uwierzy. Brał moje autentyczne obsesje za celowy manewr! A więc i ta rozmowa ze mną, w której wyjawiał tajemnice „Procrustics Inc.", nie służyła niczemu innemu, jak tylko pociągnięciu mnie za język, po to używał tych słów, które tak okrutnie wówczas mnie zaskoczyły, może sądził, że to jakieś hasła wtajemniczenia — w co, w spisek przeciwchemiczny? Prywatny mój lęk przed halucynacją wziął za pociągnięcie taktyczne… Istotnie za późno było, by mu to tłumaczyć — teraz zwłaszcza, gdy karty leżały odkryte.

— Pan tu na mnie czekał? — spytałem.

— A jakże. Razem z całą swoją przedsiębiorczością był pan przez cały czas prowadzony jak na sznurku. Nie możemy sobie pozwolić na to, by nieodpowiedzialna kontestacja zagroziła panującemu porządkowi.

Starzec konający w korytarzu — przemknęło mi. — On też był częścią zagrodzeń, które mnie tu doprowadziły…

— Niezły ten porządek — powiedziałem. — A jego szef to pan, co? Gratuluję.

— Docinki proszę zachować na lepszą okazję! — odwarknął. Udało mi się go dotknąć. Był zły.

— Przez cały czas szukał pan „źródeł demonizmu", mój defryzoniu, moja zeszłowieczna mrożonko… Otóż nie ma ich. Zaspokajam pańską ciekawość. Nie istnieją, rozumie pan? Dajemy cywilizacji narkozę, bo inaczej by siebie nie zniosła. Dlatego nie wolno jej budzić. Dlatego i pan do niej wróci. Nie grozi panu nic — to przecież jest nie tylko bez — bolesne, ale miłe. Nam jest znacznie trudniej, bo musimy zachować trzeźwość dla waszego dobra.

— To pan z poświęcenia tak? — rzekłem. — Rozumiem, zapewne, ofiara złożona na rzecz ogółu.

— Jeżeli pan ceni straszliwą wolność umysłu — odparł oschle — to radzę nie szydzić, powściągnąć głupie docinki, bo dzięki nim tylko szybciej pan ją straci.

— Więc pan ma mi coś jeszcze do powiedzenia? Słucham.

— W tej chwili jestem jedynym oprócz pana człowiekiem w całym stanie, który widzi! Co mam na twarzy? — dorzucił szybko,

podchwytliwie.

— Ciemne okulary.

— A więc widzi pan to samo, co ja! — rzekł. Chemik, który dostarczył Trottelreinerowi środków, już wrócił na łono społeczeństwa i nie żywi żadnych wątpliwości. Nikt nie może ich mieć — czy pan tego nie pojmuje?

— Zaraz — rzekłem. — Wygląda mi na to, że panu naprawdę zależy na przekonaniu mnie. To dziwne. Właściwie — czemu?

— Bo żaden rzeczowidz nie jest demonem! — odparł.

— Jesteśmy zniewoleni stanem rzeczy. Zagnał nas w kąt. Gramy takimi kartami, jakie nam społeczny los wcisnął w ręce. Przynosimy spokój, pogodę i ulgę jedynym zachowanym sposobem. Utrzymujemy na skraju równowagi to, co bez nas runęłoby w agonię powszechną. Jesteśmy ostatnim Atlasem tego świata. Chodzi o to, że jeżeli już musi ginąć, niechaj nie cierpi. Jeżeli nie można odmienić prawdy, trzeba ją zasłonić, to ostatni jeszcze humanitarny, jeszcze ludzki obowiązek.

— A więc już na pewno nie da się nic zmienić? — spytałem.

— Mamy rok 2098 — rzekł. — 69 miliardów żyjących legalnie i zapewne koło 26 miliardów zatajonych. Średnia temperatura roczna spadła o cztery stopnie; za piętnaście, dwadzieścia lat będzie tu lodowiec. Nie możemy zapobiec zlodowaceniu; nie możemy do niego nie dopuścić — możemy je tylko zakryć.

— Zawsze uważałem, że w piekle musi być mróz — rzekłem. — Więc malujecie drzwi do niego w ładne wzorki?

— Właśnie tak — powiedział. — Jesteśmy ostatnimi Samarytanami. Ktoś musiał, z tego miejsca, mówić do pana — przez przypadek ja jestem tym człowiekiem.

— Przypominam sobie: ecce Homo! — powiedziałem.

— Ale… zaraz… pojmuję, o co panu chodzi. Pan chce mnie przekonać do swej funkcji — eschatologicznego narkotyzera. Kiedy już nie ma chleba — narkoza cierpiącym. Tylko nie wiem, po co panu moje nawrócenie, skoro i tak mam o nim zaraz zapomnieć? Jeżeli środki, których pan używa, są dobre, dlaczego wysila się pan na rozumowe argumenty? Jeżeli są dobre, parę kropel kredybilanu, jedno chlaśnięcie w oczy — iż entuzjazmem zaakceptuję każde pana słowo, będę pana szanował i czcił. Widocznie pan sam nie jest przeświadczony o wartości takiego leczenia, jeżeli pociąga pana zwyczajne staroświeckie gadanie, rzucanie słów na wiatr, jeżeli zadowala pana rozmowa zamiast sięgnięcia po dyfuzer! Widać wie pan doskonale, że psychemiczne zwycięstwo jest zwykłym oszustwem, że pozostanie pan sam na placu jako triumfator ze zgagą. Pan chce mnie najpierw przekonać, a potem wepchnąć w niepamięć, ale to się panu nie uda. Powieś się pan na swej szlachetnej misji, razem z tymi dziwkami, których fotosy uprzyjemniają panu zbawicielską robotę.

Potrzebuje pan jednak autentycznych, bez szczeciny, co?

Twarz wykręcił mu skurcz wściekłości. Zerwał się, wołając:

— Mam inne środki prócz arkadyjskich! Są i piekła chemiczne!

I ja wstałem. Sięgał do przycisku na biurku, kiedy krzyknąłem: — Pójdziemy tam razem! — Skoczyłem mu do gardła. Impet cisnął nas — jakem chciał — ku otwartemu oknu. Zatupotały kroki, twarde garście usiłowały odedrzeć mnie od niego, wił się, kopał, ale już u parapetu, przegiąwszy go w tył, zebrałem ostatnie siły i skoczyłem; zaświszczało w uszach, koziołkowaliśmy sczepieni, wirujący lej ulicy rósł — przygotowałem się na miażdżący cios, a uderzenie przyszło tymczasem miękkie, bluznęły czarne nurty, cuchnąca, najdroższa topiel zamknęła się nad moją głową — i na powrót się otwarła. Wynurzyłem się pośrodku kanału, ocierając oczy, z intensywnym smakiem pomyj w ustach, ale szczęśliwy, szczęśliwy! Profesor Trottelreiner, wyrwany z drzemki mymi potępieńczymi wrzaskami, pochylał się nad tonią i podawał mi z brzegu — jak bratnią dłoń — rączkę ciasno zwiniętego parasola. Odgłosy bombardowania ucichały. Dyrekcja Hiltona spała pokotem na nadmuchiwanych fotelach (stąd nadymanki!), a sekretarki zachowywały się wyzywająco przez sen. Jim Stantor chrapiąc przewracał się z boku na bok i przy dusił szczura, który wyskubywał mu czekoladę z kieszeni; obaj się przestraszyli. Profesor Dringenbaum, metodyczny Szwajcar, kucając u ściany, w pożółkłym świetle latarki poprawiał wiecznym piórem swój referat. Uzmysłowiwszy sobie, że ta skupiona czynność zwiastuje początek obrad drugiego dnia Kongresu Futurologicznego, wybuchnąłem takim śmiechem, że maszynopis wypadł mu z palców, chlupnął w czarną wodę i odpłynął — w niezbadaną przyszłość.

Listopad 1970

Dymitr Bilenkin
MIASTO I WILK

Gorod i wołk

Transway z przeciągłym pomrukiem przywarł do peronu. Długie, wieloczłonowe cielsko wagonu znieruchomiało. Wilk przesadził barierę ochronną. Pazury nie znalazły oparcia na sirbolitowej nawierzchni i Wilk nieoczekiwanie zatoczył się.

— Trzeba chodzić jak wszyscy! — powiedział z wyrzutem przechodzień, któremu wpadł pod nogi.

Trzema susami przebiegi platformę i przemknął po schodach. W dole otoczyło go tyle zapachów, że zatrzymał się, a później pochylił głowę i wyciągniętym kłusem pognał ścieżką, nieprzyjemnie gładką i obrzydliwie prostą.

Miasto było z prawej i z lewej, z przodu i z tyłu, w górze i na dole. Wzrok prześlizgiwał się po masywnych niczym skały lub ażurowych jak bezlistne drzewa konstrukcjach budynków, pasaży, galerii i pomostów, po iglicy Wieży Kosmicznej, wznoszącej się nad zbiorowiskiem dachów-lądowisk, po wiszących ogrodach i ruchomych chodnikach. Wilk nie znał tego miasta, ale oczy nie znajdowały niczego szczególnego godnego uwagi. Nie tylko zresztą oczy, które nie odgrywały w jego życiu najważniejszej roli: podobnie jak wszystkie wilki kierował się przede wszystkim słuchem i węchem, zwłaszcza węchem. Jego żywiołem było królestwo zapachów, w którym człowiek gubił się zupełnie. Sella mało nie płakała usiłując dociec, w jaki sposób Wilk odnajduje ją w nieznanych, ludnych miastach, on zaś nie mógł jej niczego wytłumaczyć, ponieważ sam tego nie wiedział. Kiedy szukał Selli, po prostu ciągnęło go w określonym kierunku, pewne dzielnice wydawały mu się sympatyczniejsze od innych, ale dlaczego? Sekret tkwił nie tylko w subtelności powonienia, lecz także w czymś innym, bliskim, ale nie tożsamym z węchem, o czym ludzie już od dawna z pasją dyskutowali. Teraz też trzymał się wybranego kierunku, pewny, że doprowadzi go on do miejsca, w którym obecnie znajduje się Sella. Nie umiał wprawdzie określić odległości dzielącej go od tego miejsca, ale nie martwił się tym, gdyż Sella oczekiwała go dopiero wieczorem.

Przy windzie wiodącej na dolny poziom nikogo nie było. Nie speszył się tym, bo z windą sam potrafił sobie radzić. Wskoczył do kabiny, stanął na tylnych łapach i nacisnął pazurami trzeci guzik od dołu. Drzwi zamknęły się bezszelestnie i winda ruszyła. Atawistyczny strach przed pułapką ogarnął go na chwilę, ale natychmiast ustąpił.

Na dolnym poziomie było tak samo jasno i cicho, jak i na górnym, ale łapy Wilka wyczuwały lekkie drżenie gruntu, kiedy w podziemnych tunelach przemykały wagony metra, zespoły pojemników lub pneumotransportery. Ludziom dolny poziom nie wydawał się hałaśliwy, ale Wilk był innego zdania. Miesiąc spędzony w tundrze zrobił swoje i Wilkowi dawał się teraz we znaki łoskot i wibracje. Dlatego nie wskoczył na taśmę ruchomego chodnika, lecz lawirując między przechodniami zagłębił się w park. Wybrał tę drogę również dlatego, że w parku nie było tych wszystkich gładkich, sprężystych, zwierciadlanych nawierzchni, które doskonale służą ludziom, lecz nie bardzo nadają się dla łap. Piasek jest znacznie lepszy.

Łania wysunęła się zza krzewu i odprowadziła go długim spojrzeniem. Wilk nawet się nie obejrzał. Szanował prawa miasta i łania o tym wiedziała.

— Hej! — usłyszał Wilk przebiegając nad brzegiem jeziora. Zatrzymał się. Ze szczytu niewysokiej wydmy machała nań pięcioletnia może dziewczynka, drugą rączką zgarniając z twarzy splątane pasma włosów. Gdy tylko zatrzymał się, pobiegła stromizną w dół, potknęła się i piszcząc z zachwytu stoczyła na trawnik.

— Witaj, czemu nie odpowiadasz? — wypaliła, wstając i otrzepując spodenki.

Obroża, którą Wilk nosił na szyi, nie miała nic wspólnego z prawdziwą obrożą. Był to translator, który bezdźwięczne nawet wibracje krtani zwierzęcia tłumaczył na ludzką mowę. Urządzenie trzeba było jednak włączyć. Wilk dwukrotnie uniósł łapę. Dziewczynka radośnie kiwnęła głową i dotknęła obroży.

— Teraz witaj! — powiedział Wilk.

— Witaj. — Dziewczynka lekko sepleniła. Jej zielone oczy płonęły z niecierpliwości. — Będziemy się bawić w Czerwonego Kapturka — oświadczyła bezapelacyjnym tonem.

— W co?

— Jakiś ty niepojętny! — tupnęła bosą nogą. — Będziemy się bawić w bajkę! Czerwony Kapturek to taka dziewczynka, ona idzie w odwiedziny do babci…

Teraz z translatora wydobywał się warkot, ponieważ aparat tłumaczył słowa ludzkie na zrozumiałe dla Wilka zestawienia dźwięków.

— I kiedy dziewczynka zapytała, dlaczego babcia ma takie wielkie zęby, wilk, który udawał babcię, powiedział: „Żeby cię zjeść!”

— Zjadł?

— Nie… Zjawili się myśliwi i…

Wilk po raz pierwszy słyszał tę bajkę. Jej sens słabo do niego docierał, ale budził niejasną pamięć czegoś zapomnianego,

nieprzyjemnego, zepchniętego na dno podświadomości. Wilk zdecydowanie pokręcił głową:

— Nie chcę. Będziemy się zwyczajnie bawić.

Twarz dziewczynki zachmurzyła się, ale nie upłynęło nawet parę sekund i dziecko galopowało już siedząc na grzbiecie Wilka, który po chwili delikatnie zrzucił je na trawę. Dziewczynka ze śmiechem złapała go za ogon, a on odwrócił się i groźnie wyszczerzył zęby. Teraz długo i zapamiętale tarmosili się, walczyli, tarzali i zwijali w kłębek. Oboje jednakowo potrafili rozkoszować się zabawą.

Spacerujący w pobliżu staruszek zatrzymał się i osłonił dłonią oczy.

— Siedemdziesiąt lat — pokiwał głową. — W dniach mojej młodości… Tak, któż w dniach mojej młodości mógł pomyśleć…

Towarzyszący mu młodzieniec nic nie odpowiedział. Uważał za zrozumiałe, a więc nieciekawe to, że na środku miasta wilk, syn trzeciego pokolenia uczłowieczonych drapieżników, bawi się z dzieckiem i może porozumieć się z ludźmi. Ideę, która wywarła ogromne wrażenie na pokolenie starca, uważał za równie banalną jak twierdzenie, że dwa razy dwa równa się cztery. Jeżeli mózg człowieka jaskiniowego był biologicznie równoważny mózgowi człowieka dwudziestego pierwszego wieku, a intelekt mimo to rozwinął się niepomiernie od tamtych czasów, to jest oczywiste, iż mózg zwierząt również kryje w sobie ogromne rezerwy! Po prostu wcześniej nikt nie zajmował się rozwojem ich intelektu, bo nikt nie potrafił tego, ale teraz, kiedy się nauczono…

Pożegnawszy się z dziewczynką Wilk stromym stokiem wbiegł na szczyt pagórka. Rozejrzał się i pociągnął nosem. Cisza wieczoru mogła wprowadzić w błąd człowieka, ale on dostrzegł oczywiste znaki zmiany pogody i teraz był pewien, że powietrze przestanie być spokojne natychmiast po zachodzie słońca. Pobiegł szybciej. Wiatru jeszcze nie było, ale strumień zapachów wzmógł się. Drzewa, trawy, kwiaty pachniały inaczej niż godzinę temu. Nawet stal, tytan, spektrolit — wszystkie te niezliczone materiały, które wymyślił człowiek — zachowywały się inaczej.

Wszystkie zmiany zapachów były znane Wilkowi i jego świadomość nie brała udziału w ich analizie. Nagłe odchylenie od normy zmusiło go do zatrzymania się.

Pachniało czymś niezwykłym. Zapach nie był ostry, wręcz przeciwnie — niezwykle słaby, ale z czymś podobnym Wilk do tej pory się nie stykał. Zupełnie niezrozumiały zapach, zapach, który nie ma nic wspólnego ani z miastem, ani z przyrodą.

Pociągnął nosem i bez wahania ruszył ku ławce, na której siedział czterdziestoletni mężczyzna o twarzy smagłej i ostrej. Mężczyzna nieruchomymi oczyma patrzył na leżące przed nim miasto, jakby

zamierzał chwycić je w ręce.

— Czemu się na mnie gapisz, przyjacielu? — mężczyzna odezwał się tak nieoczekiwanie, że Wilk nieco się zmieszał. — Wyglądam na dziwaka, tak? Racja. Odwykłem od tego wszystkiego — wskazał ręką horyzont. — Pięknie. A ty jak sądzisz?

— Pięknie — Wilk zgodził się nie tylko z uprzejmości. Ludzie uważali miasto za piękne i on również tak uważał, choć jego rozumienie piękna nie pokrywało się z ludzkim. Piękno utożsamiał z celowością.

— No dobra — powiedział mężczyzna. — Masz przecież do mnie sprawę. Mów!

Wilk był zdziwiony, nieznajomy wykazał przenikliwość rzadko spotykaną u ludzi.

Obcesowe pytanie, wymagało odpowiedzi.

— Ma pan przy sobie niezrozumiałe.

— Co, co?

Wilk uśmiechnąłby się, gdyby umiał. Podświadomość człowieka wyprzedziła rozum. Póki rozum usiłował znaleźć sens w pytaniu, palce drgnęły tak wymownie, że Wilk bez trudu odtworzył, co zamierza zrobić człowiek.

— Ono jest w górnej kieszeni.

— To? To masz na myśli?

Mężczyzna wydobył przezroczystą rurkę wypełnioną drobnym piaskiem.

— Tak.

— Ale niuch! Może wiesz także, co to jest?

— Tak i nie. Piasek, ale niezrozumiały.

— Racja, skąd masz wiedzieć… Ten piasek pochodzi stamtąd — mężczyzna wskazał palcem niebo. — Z kosmosu, z Syriusza. Rozumiesz? Konkretnie z Szatana, bo tak nazwaliśmy tę mroczną i mroźną planetę. Ale tęczowy piasek… Brylanty w porównaniu z nim to po prostu szkło. Mam rację? Popatrz, jak opalizuje…

Kosmonauta wyciągnął szklany korek i wysypał trochę piasku na dłoń. Uniósł rękę do góry i patrzył jak zaczarowany na grę świateł w kryształkach. Wilk o mało nie parsknął uderzony w nos falą silnego zapachu. Poza zapachem piasek nie miał w sobie nic szczególnego. Zwyczajne, matowe, słabo połyskujące ziarnka piasku i to wszystko. Od ludzi wiedział o istnieniu jakiegoś niezwykłego i pięknego świata kolorów, ale wcale nie pragnął go poznać. Ludzie nie czuli większości zapachów, dla niego zaś nie istniały barwy. Przywykł do takiego stanu rzeczy i nie uważał się za pokrzywdzonego.

Wreszcie człowiek oderwał się od swojego piasku i jakby coś sobie przypominając zapylał:

— Jak ty to zdołałeś wyczuć pod szczelnie doszlifowanym

korkiem?… Szybkim ruchem wsypał piasek z powrotem do rureczki, obrócił ją parę razy w palcach i schował. Jego szeroka dłoń spoczęła na głowie Wilka, twarz przybrała wyraz skupienia.

— Tak, przyjacielu, zadziwiasz mnie. Ale na mnie już czas. Powiem ci w sekrecie: chociaż „szatański" piasek jest tak piękny, wolę od niego ziemski. Masz jeszcze jakieś pytanie? Wobec tego żegnaj!

Mężczyzna wstał i szybko ruszył ścieżką ku wyjściu. Wilk nie ruszył się z miejsca. Zapach nie zniknął po odejściu kosmonauty, widocznie jakieś ziarenko piasku upadło na ziemię. Wilk mógł nawet pokazać, gdzie ono leży, chociaż go nie widział. Położył się z pyskiem opartym na łapach.

W głowie tłoczyły mu się niejasne myśli.

Translator był niewątpliwie wielkim wynalazkiem, ale urządzenie to mimo woli oszukiwało ludzi (naturalnie laików), narzucając im przekonanie, że skoro wilk może mówić ludzkim językiem, to i myśli podobnie do ludzi, tyle że w sposób uproszczony. Wszystko było jednak znacznie bardziej skomplikowane. Wilkom obce były konstrukcje logiczne. Częściowo zastępował, je łańcuch obrazów, kojarzonych w sposób niepojęty dla człowieka.

A jednak Wilk miał własne wyobrażenie nawet o kosmosie, gdyż ludzie wiele mówili na ten temat, a on zapamiętywał wszystkie ich opinie. Wizerunek kosmosu ukształtowany w jego wyobraźni był daleki od realnego, a jednak nie był absurdalny. Teraz właśnie Wilk odwoływał się do tego wizerunku. Nigdy jeszcze żaden zapach nie wydawał mu się tak dziwny. Nie, właściwie było nieco inaczej. Dziwnym uczyniły go dopiero wyjaśnienia tego człowieka. Przedtem zapach był tylko nieznany. Mężczyzna nadał źródłu zapachu dokładną nazwę, której sens Wilk doskonale rozumiał — piasek. Ale zapach wydzielany przez ziarenka piasku przeczył tej nazwie. Gdyby na miejscu Wilka znalazł się człowiek o powonieniu równie czułym jak powonienie Wilka, z łatwością pogodziłby sprzeczności. Połączyłby właściwości konkretnego ciała z właściwościami takiego abstrakcyjnego pojęcia jak „obca planeta". Ale podobne pogodzenie — rzeczywiste lub pozorne — było Wilkowi niedostępne i zwierzę nie mogło pozbyć się zdumienia.

Był tak zaabsorbowany zagadką, że mimo woli głośno sapnął zapominając o istnieniu włączonego translatora, który natychmiast przetłumaczył to sapnięcie na ludzkie: „No, no!"

Słowa otrzeźwiły go i przypomniały, że pora ruszać dalej. Jednak nie od razu wstał. Jeszcze przez chwilę Wodził nosem wokół źródła dziwnej woni. Gdyby go zapytano, co go tak niepokoi, nie umiałby odpowiedzieć. Ciekawość i żądza poznania jest cechą w równym stopniu zwierzęcą, jak i ludzką. Zagadkowe zjawisko pociąga, gdyż nie wiadomo, co oznacza i co może przynieść: dobro czy zło. A to chce

wiedzieć każda istota żywa. Instynkt przezwycięża strach wywołany nieznanym. Ciekawość Wilka była zabarwiona niepokojem. Zawsze bezpieczniej jest założyć, że to, co zagadkowe, równa się temu, co wrogie. Zresztą w świadomości Wilka odczucie to było silnie przytłumione zakorzenionym poczuciem bezpieczeństwa. Od razu kiedy człowiek stał się przyjacielem wilka, nie groziło mu już nic ani w lesie, ani w mieście.

Poryw wiatru spadający z pociemniałego nieba przemknął przed nosem Wilka i porwał źródło zapachu.

Błyskawicznie, jak to potrafią tylko zwierzęta, przełączył swoją uwagę. Zagadka zniknęła, a więc nie ma potrzeby myśleć o niej. Nie znaczy to, że Wilk zapomniał, ale po prostu uznał, iż nie warto zwracać uwagi na to uniesione wiatrem ziarnko piasku. Tylko szkoła myślenia, którą przeszedł u człowieka, sprawiła, iż Wilk wiedział, że jeszcze powróci do przerwanej myśli.

A teraz trzeba było odszukać Sellę. Pobiegł, kierując się na wschód od Wieży Kosmicznej. Silny już teraz wiatr mierzwił mu sierść. Instynkt prowadził go pewnie. Gdzieś w pobliżu niedawno przechodziła Sella i trzeba było jedynie odszukać jej ślad. W pół godziny później znalazł się pod właściwymi drzwiami.

Sella często rozmawiała z Wilkiem, który nie mógł długo mieszkać w mieście, poza stadem. Ale ich przyjaźń nie słabła przez to. Sella była zoopsychologiem, ale Wilk nie stanowił dla niej obiektu doświadczalnego. Nie traktowała go również jak zwierzę domowe, którego przywiązanie można zdobyć przelotną pieszczotą. Sella widziała w Wilku osobowość równie zindywidualizowaną, jak osobowość człowieka. Traktowała go jak kolegę, którego się lubi nie zadając pytań „dlaczego?" i „z jakiego powodu?"

Dlatego spotkanie było jak zawsze radosne i czułe.

Natychmiast po kolacji Sella powiedziała:

— Pogadamy o ciekawych rzeczach?

To były ich ulubione wieczorne chwile. Wszystkie sprawy zostały już załatwione, w pokoju panowała cisza i nie było niczyich oczu poza oczami człowieka i zwierzęcia.

Sella siadła z podwiniętymi nogami na tapczanie. Wilk ułożył się obok. Dziewczyna przytłumiła oświetlenie i zanurzyła palce w grzywie drapieżnika.

Zwykle w takich chwilach Wilk opowiadał o tym, co zwróciło jego uwagę, zdziwiło lub zaskoczyło, a Sella mówiła o swojej pracy. Czasem po prostu plotkowali. Tak było i tym razem. Wilk, który nie grzeszył zbytnią konsekwencją, mówił urywanymi zdaniami, przerzucając się od wspomnienia do wspomnienia. Sella raczej milczała. W czarnych podłużnych źrenicach zwierzęcia połyskiwał odblask lampy. Dziewczyna odzwyczaiła się nieco od Wilka i chwilami

ogarniało ją poczucie nierealności.

— Czy martwe może stać się żywym?

— Co, co? — ocknęła się Sella.

— Dziś w mieście poczułem nieznane. Martwe. Znajdowało się w kieszeni mężczyzny. Spytałem. Człowiek powiedział: piasek. Odszedł. Ziarnko piasku upadło. Stało się żywe.

— Piasek zawsze jest martwy.

— Wiem. Dlatego dziwne.

— Nic nie rozumiem! Skąd ci przyszło do głowy, że piasek ożył? Ziarnko zaczęło się poruszać?

— Nie, szybko pachniało.

— No więc co z tego?

— Martwe wolno zmienia zapach. Rośliny szybciej. Zwierzę bardzo prędko, zwłaszcza kiedy jest podniecone.

— Rzeczywiście?

— Tak.

— I po szybkości zmian zapachu można odróżnić kamień od drzewa, stal od motyla?

— Tak.

— Wilku, nigdy mi o tym nie mówiłeś!

— Nie pytałaś.

— Przecież to bardzo ciekawe! Mów dalej, mów!

— Dlaczego ziarnko piasku ożyło?

— Nie mogło przecież ożyć!

— Ożyło.

Sella uniosła się nieco, bo wydało się jej, że w oczach Wilka przemknął wyrzut: czemu tak wolno myślisz?

— Opowiadaj, Wilku, po kolei — powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Przecież nie zawsze oczywiste dla mnie jest oczywistym dla ciebie i na odwrót. A więc biegłeś przez miasto…

— Tak.

— I poczułeś piasek, który znajdował się w kieszeni mężczyzny. Od kiedy to zacząłeś zwracać uwagę na zwykły piasek?

— Nieznany zapach. Człowiek wytłumaczył, że piasek z kosmosu.

— Z kosmosu?! Wobec tego wszystko jest jasne. Nie, co ja mówię?! Nic nie jest jasne. Niczego nie rozumiem. Jak on wyglądał?

— Człowiek?

— Piasek!

— Jak piasek.

— I był martwy?

— Tak.

— A kiedy ziarenko upadło…

— Zapachniało jak żywe.

— Powiedziałeś to mężczyźnie?

— On odszedł..

— Ziarenko poruszało się?

— Nie.

— Kim był ten mężczyzna?

— On był z kosmosu. Z Syriusza.

— Powiedział ci to?

— Tak.

— Człowiek wie, że jego piasek z martwego może przemienić się w żywy?

— Powiedział: to piasek. Bardzo piękny. Nie powiedział: to jest żywe. Czemu się denerwujesz?

— Dlatego… Wilku, nie omyliłeś się?

— Nie mogłem się pomylić.

— Tak, tak, wiem… To jednak nieprawdopodobne… Pomilczmy teraz chwilkę.

Sella zamyśliła się. Jej ciemne oczy jeszcze bardziej pociemniały. Siedziała bez ruchu, ale Wilkowi zdawało się, że widzi ją biegnącą. Niepokoiło go to, gdyż nie mógł zrozumieć przyczyny, ale pojmował, że teraz lepiej o nic nie pytać. Sella poderwała się gwałtownie i nie zakładając pantofli podbiegła boso do inforu.

— Zdjęcia członków wyprawy na Syriusza — powiedziała do mikrofonu. Po paru sekundach na ekranie pojawiła się czyjaś twarz.

— On? — Sella obróciła się do Wilka.

— Nie.

— Ten czy ten?

Na ekranie przesuwały się portrety. Wreszcie Wilk powiedział:

— Ten.

— Wszystko się zgadza…

— Nie wytłumaczyłaś mi — upomniał ją Wilk.

— Poczekaj chwilę, Wilczku…

Palec Selli dwukrotnie zawisł nad guzikiem, zanim go nacisnął.

— Wzywam Borka, geologa wyprawy na Syriusza. Prawdopodobnie jest w mieście. Przekażcie mu… — zająknęła się. — Wezwanie bardzo pilne.

Wilka nie zdziwiło ani to, że Sella rozmawia z nieożywionym przedmiotem, ani to, że ten przedmiot szuka człowieka znajdującego się nie wiadomo gdzie. Nie rozumiał tego, ale zdołał przywyknąć i traktował przedmioty w rodzaju inforu jak śnieg lub deszcz: ponieważ istniały, trzeba się do nich przyzwyczaić. Ale w zachowaniu Selli, w jej słowach i ruchach, wyczuwał rosnący niepokój i na wszelki wypadek sprężył się, przygotował na wszelkie niespodzianki.

Jakieś trzy minuty upłynęły w milczeniu. Wreszcie przeciwległa ściana rozstąpiła się i pokój połączył się z drugim, przestronniejszym i jaskrawo oświetlonym. Siedzący przy stole mężczyzna podniósł głowę.

Zobaczywszy dziewczynę, wstał.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli niepokoiłam pana bez potrzeby — powiedziała szybko Sella. — Przejdę od razu do rzeczy. Czy ma pan jeszcze piasek, który pokazał pan dziś Wilkowi?

— Jakiemu wilkowi? — kosmonauta ze zdziwieniem patrzył na Sellę.

— Temu.

— A, mój szary przyjaciel? Przypominam sobie Ale o co właściwie chodzi?

— To rzeczywiście piasek?

— Tak i to bardzo piękny. — Bork uśmiechnął się. — Pokazać? — wyjął z szuflady znaną Wilkowi rureczkę. — Uroczy, prawda?

— To na pewno jest piasek? Nie kolonia organizmów?

— Oczywiście że nie! Skąd takie przypuszczenie?

— Został poddany kwarantannie?

— Naturalnie! Przepraszam, ale nie rozumiem…

— Możliwe, że to wcale nie jest piasek.

Uśmiech Borka zgasł. Kosmonauta czekał.

Sella powtórzyła pokrótce wszystko, co wiedziała.

— Nie chciałbym urazić pani przyjaciela — w głosie Borka wyczuwało się ironię. — Ale zgodzi się pani, że…

— Wilk nigdy nie myli się, jeśli chodzi o fakty — powiedziała Sella ostrym głosem. (Brwi Borka powędrowały do góry). — Może wyciągać fałszywe wnioski. Ale jeśli mówi, że ziarenko piasku zachowało się podobnie jak żywy organizm, to tak na pewno było.

— Trudno dyskutować z przekonaniem. Przypuśćmy więc, że moja diagnoza jest błędna. Ale czyżby sądziła pani, iż pracownicy Kwarantanny nie potrafią odróżnić minerału od żywego organizmu?

— Pleśń… — powiedziała cicho Sella.

— Tak, pleśń. — Borka na chwilę opuściła pewność siebie. — Nie, tym razem to coś innego — jego głos brzmiał znów twardo i zdecydowanie.

— Nie chce pan wierzyć?

— Nie mogę wierzyć. Ten piasek ma być żywy?! Proszę mi wybaczyć, ale fantazja zwierząt…

— Fantazję mają niestety bardzo słabo rozwiniętą — głos Selli brzmiał sucho. — Wilku, to jest piasek, czy coś innego?

— Nie czuję go.

— Prawda! Czy nie będzie zbyt wielką bezczelnością z mojej strony, jeżeli jednak poproszę pana o przyjazd?

— Aby pani zwierzę wydało ostateczny wyrok?

— Nie chodzi przecież o to!

— Ma pani rację. — Bork spoważniał. — Zapomniałem, że czasami nawet kij może wystrzelić. Gdzie pani jest? Będę za siedem

minut.

Pokój Borka zniknął. Sella westchnęła i pogładziła Wilka po głowie.

— Nie wierzą nam. Wilczku… Zresztą sama sobie też nie wierzę.

— Wytłumacz!

— Nie wiem, czy zrozumiesz, bo i ja nie bardzo to pojmuję. W kosmosie zdarzają się bardzo niezwykłe formy życia. Dziwaczne, niecodzienne… Dlatego wszystko, co stamtąd trafia na Ziemię, jest poddawane bardzo surowej kontroli. Zwłaszcza organizmy żywe. Nie zawsze żywe jest niebezpieczne, częściej zupełnie nieszkodliwe. Ale pewnego razu nawet dokładna kontrola nie wykryła pleśni. Dawno, kiedy jeszcze ciebie nie było, zaczęły się dziać straszne rzeczy. Z wielkim trudem poradziliśmy sobie. Mam nadzieję, że tym razem…

— Nie chciałem straszyć.

— Wiem, wiem. Wszystko się pewnie wkrótce wyjaśni i z pewnością okaże się, że to pomyłka. Ale jest już Bork… Proszę wejść!

Bork energicznie uścisnął wyciągniętą ku niemu rękę, kiwnął głową Wilkowi i bez zbędnych słów odkorkował probówkę. Miał wygląd człowieka, który postanowił niczemu się nie dziwić.

— Co powiesz, Wilku? — głos Selli załamał się.

— To pachnie żywym.

— Co? Przecież mówiłeś…

— Wtedy był piasek. Teraz nie.

Bork zachmurzył się. Długo i uważnie patrzył na Wilka, jakby chciał przyłapać go na kłamstwie. Potem bez słowa wziął kartkę czystego papieru, odsypał nieco piasku i wydobył mikroanalizator. Pojawił się ledwie widoczny obłoczek. Spojrzawszy na skalę aparatu obrócił ja ku Selli.

— Widzi pani te liczby?

— Nic mi one nie mówią.

— Te liczby odzwierciedlają skład chemiczny i budowę próbki. Jedno i drugie świadczy o tym, że to jest minerał.

— Ale Wilk…

— Proszę pani. Jest pani zoopsychologiem i doskonale wie, że nie istnieją izolowane gatunki organizmów żywych. A planeta, skąd te ziarenka pochodzą, jest martwa niczym sopel lodu.

— W soplach też bywają wysoko zorganizowane organizmy żywe.

— Racja. Ale gdyby pani widziała tę planetę… O ile dobrze zrozumiałem, dla Wilka żywe różni się od martwego odmiennym tempem zmiany zapachów. Tak?

— Tak.

— Po drodze wszystko przemyślałem. Ten minerał różni się od ziemskiego także i tym, że szybciej zmienia częstotliwości zapachowe. To wszystko. Jest pani rozczarowana?

Sella zaczerwieniła się.

— Niepotrzebnie. Wręcz przeciwnie: powinna być pani dumna — powiedział Bork, jakby tłumacząc się. — Minerał wiozłem Orcewowi na uniwersytet. Ale nawet Orcew nie od razu wykryłby tę jego właściwość. Panią coś jeszcze niepokoi?

— Drobiazg — powiedziała Sella z krzywym uśmiechem. — Najpierw dla Wilka cały piasek był martwy…

— Rozumiem, rozumiem. Na zapach, według naszego kudłatego analityka, wpływa zmiana pogody, a teraz zbliża się burza, prawda?

— Pan zawsze taki logiczny?

— Niestety, obawiam się, że to nieuleczalne.

— Dlaczego „niestety”? Wilku, przeprośmy za kłopot…

— I zapomnijmy o tym epizodzie. A jeśli powiem, że cieszę się, iż dzięki temu poznałem panią?…

— A piasek rzeczywiście piękny — Sella pochyliła się nad stołem, jakby nie słyszała słów Borka. — Jaka gra świateł… co za blask!

— W ciemności kamień umiera. Drzewo nie, zwierzę tym bardziej, a kamień tak. Pod tym względem nasze poglądy są chyba zbieżne z wyobrażeniami naszych czworonożnych mądrali. Ciekawe, co Wilk teraz o mnie myśli?

— Nie radzę go pytać.

— Czemu?

— Większość ludzi jest do tej pory przekonana, że zwierzęta patrzą na nas jak na swego rodzaju bóstwa. Zapewniam pana, iż zwierzę nie traktuje nas w ten sposób.

— Nie należę do tego rodzaju ludzi.

— A pańska duma nie ucierpi, jeżeli Wilk wystawi panu niezbyt pochlebną charakterystykę? — spytała nie odrywając wzroku od migocących ziarenek.

— Zasłużyłem na nią?

— Mam nadzieję, że nie. Zresztą niech pan zapyta Wilka.

— Pewnie, że zapytam — powiedział zdecydowanie Bork i obrócił się ku Wilkowi. Nie zdążył.

— Proszę spojrzeć! — krzyknęła Sella. Słowa zabrzmiały jak dźwięk odłamków rozbitej porcelany. Bork błyskawicznie znalazł się przy stole, by sprawdzić, co wskazywał drżący palec Selli.

— Wydało się pani…

— One się ruszają — potwierdził nagle Wilk. Ludzie w popłochu odskoczyli od stołu i wpatrywali się w niego z odległości.

— Piasek już dawno się rusza.

Na sekundę wszyscy zamarli. Ruch kilku ziarenek, które oddzieliły się od masy pozostałych, był teraz widoczny nawet dla ludzi.

— One się dzielą — powiedziała Sella zduszonym szeptem. — Tu!

I tu…

— Spokojnie…

Szybkim i precyzyjnym ruchem Bork zsypał piasek do probówki. Źródło złowieszczego zapachu znikło w kieszeni i Sella uspokoiła się, jakby ze stołu zabrano jadowitą żmiję.

— W porządku — powiedział Bork lekko zdyszanym głosem. — W porządku — powtórzył, jakby starając się przekonać siebie i innych. — Możliwe, że nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. Nic się zresztą nie stało. Są zamknięte.

— Nie wszystkie! — wykrzyknęła Sella.

— Racja…

— To jedyne ziarnko piasku…

— Drobiazg, znajdziemy.

— Wiatr je zdmuchnął — powiedział Wilk.

— Tak… — Ręka Borka wolno sięgnęła do inforu.

— To nie ma sensu! — zatrzymała go Sella. — Łatwiej znaleźć ziarnko… To jest, chciałam powiedzieć… nie wiem co, niż…

— Wiem, ale nie ma innego wyjścia.

— Jest, Wilku!

— Słucham.

— Wilczku, kochany, potrafisz wyczuć to ziarenko? Powiedz, że możesz!

— Proszę posłuchać, Sello!..

— Jeśli ktokolwiek może to ziarnko odnaleźć, to tylko Wilk.

— Tak — powiedział Wilk. — Znajdę, jeżeli ono jest tu.

— A jednak… — Bork się wahał.

— Niech pan jedzie do laboratorium.

— Pani jest naprawdę przekonana…

— Znam Wilka.

— Wobec tego ja z nim pójdę! Mam wytrzymalsze nogi.

— Ale pan nie zrozumie Wilka tak jak ja. Niech pan jedzie!

— Dobrze, jedno nie wyklucza drugiego. W ostateczności można miasto objąć kwarantanną. Niech pani nie traci ze mną kontaktu!

Na górnym tarasie budynku królował wiatr. Jego zimne masy nadlatywały gwałtownymi porywami świszcząc i pogwizdując w barierach. Sellę przeniknął dreszcz.

Nozdrza Wilka chciwie wciągały powietrze. Wiatr przynosił mu nowe zapachy, a on je odczytywał niczym kartki szybko przeglądanej książki. Tło stanowił aromat łąk i zagajników. Wśród zapachów miejskich najostrzej wydzielał się mdlący opar smarów, kwaśne wonie metalu i suche, z posmakiem szkła, emanacje polimerów. Wiatr niósł tysiące odcieni aromatów, a nos Wilka łowił je i segregował; wiatr pomagał i jednocześnie przeszkadzał. Pomagał, bo rozdmuchiwał

płomień najróżnorodniejszych woni i niósł je na dziesiątki kilometrów; przeszkadzał, gdyż tworzył zawichrzenia, rwał cieniutkie niteczki słabych prądów. Na szczęście zmienił kierunek i czasami ucichał, tak że Wilk mógł obwąchać całe miasto, jakby unosząc się nad nim. Sella stała obok napięta jak struna.

Naturalnie wiedziała, że Bork podejmie wszystkie możliwe środki. Sprowadzi i wypuści na ślad psy tropiące. Niezwłocznie laboranci wyskalują na nowy zapach i uruchomią wszystkie analizatory. Ale wiedziała także, iż żaden aparat nie dorówna w czułości nozdrzom Wilka, a żaden pies nie pójdzie śladem tak, jak to robi Wilk. Wilk, który rozumie, choć może inaczej niż ludzie, cel poszukiwań. Poza tym obecnie decydowały o wszystkim godziny, a może nawet minuty.

Łowiąc podejrzane strugi zapachów. Wilk coraz to podrywał się do biegu. Wydawało się, że bawi się z niewidocznymi w ciemności motylami. Czasami jednak na dłuższą chwilę nieruchomiał.

Nagle jego nos przylgnął do pomostu. Później Wilk podskoczył do góry. Pazury zazgrzytały po betonie.

— Jest! Tu, tam…

Sella błyskawicznie wyprowadziła realot z hangaru. Aparat uniósł się nad miastem…

Ale w powietrzu nić zapachu zerwała się. Na próżno Sella rzucała realot na wszystkie strony, nabierała wysokości lub opadała w dół. Wreszcie kiedy trafili w strumień powietrza wznoszący się pionowo ku górze. Wilk ożywił się.

— Niżej, niżej…

— Niżej?

— Tak!

Sella zawahała się. Poniżej był szyb wentylacyjny. Jego obramowana światłami gardziel połyskiwała jak naszyjnik. Lecieć tam? Przepisy nie pozwalały na to. Jechać windą, a polem iść? A jeżeli później realot też będzie potrzebny? Nakręciła numer Borka.

Twarz kosmonauty, która ukazała się na ekranie, wyrażała niezadowolenie i napięcie. Na widok Selli rozchmurzyła się.

— Znaleźliście?

Sella wytłumaczyła, o co chodzi.

— Proszę się o nic nie troszczyć — powiedział szybko Bork. — Do diabła z przepisami, zaraz połączę się ze służbą patrolową. Ale szybciej, jak najszybciej!

— One są żywe?

— Nie! Może to nawet gorzej… Proszę nie wypytywać. Na wolności mogą być dwa lub nawet trzy nasiona.

— I co one mogą?…

— Czekamy na ostateczny wynik. Natychmiast zawiadomię. Wyłączam się.

Ekran zgasł.

Realot nieruchomo wisiał nad gardzielą. Wiatr napierał nań i lekko nim kołysał. Sella zagryzła wargi i patrzyła w dół. Otwór był tylko nieco szerszy od średnicy realotu.

— Trzymaj się, Wilku.

Realot poleciał kamieniem w dół. Tylko tak można było wykonać ten manewr przy bocznym wietrze. Zamigotały lampy, stropy, pasaże, czyjeś wystraszone twarze na galeriach.

— Jeszcze niżej?

— Tak.

Kondygnacja podziemna była odgrodzona kratą filtracyjną. Sella włączyła syrenę i wprowadziła realot w przestrzeń kondygnacji naziemnej. Wiedziała, że pół kilometra dalej znajduje się śluza transportowa. Z minimalną szybkością leciała tuż nad chodnikiem, bezpośrednio nad głowami ludzi. Z dołu dobiegły ją krzyki.

Co oni sobie o mnie myślą?! — przemknęło jej przez głowę.

Błyski lamp migocące w oczach, echo grzmiące między ścianami i wreszcie śluza!

— Czujesz?

— Tak, tak!

Wilk dyszał jak po szybkim biegu. Polowanie cieszyło go, cieszył szalony pościg za wrogiem, który w jakiś sposób zagrażał Selli.

W kondygnacji podziemnej poza arteriami transportowymi mieściły się również magazyny i urządzenia komunalne. Teraz jednak pole widzenia ograniczały ściany tunelu. Latanie tutaj było czystym szaleństwem, ale Sella wszystko sobie przemyślała. Prowadziła realot po tej stronie, po której nie mógł przebiegać ekspres biegnący z przeciwka. Powinien przejechać obok, zaledwie o dwa metry od lewego skrzydła. Było to więcej niż ryzykowne, ale Sella uznała, że zdoła jakoś uskoczyć, jeżeli dojdzie do spotkania.

Przeciągły huk z przeciwka zastał ją w tej samej chwili, kiedy ukazał się peron. Rzeczywiście zdążyła uskoczyć i zawisnąć nad platformą. Oczekujący na dworcu ludzie rozbiegli się na wszystkie strony.

Dalej nie było sensu lecieć. Sella i wilk wyskoczyli z realotu. Ludzie do niej krzyczeli, ale nie słyszała okrzyków. Tak, takiego popłochu jeszcze nikt nie wywołał…

Wilk biegł skokami i Sella ledwie nadążała za nim. Schody, pasaż, znowu schody… Sella zaczęła tracić oddech. Wilk zwolnił. Ludzie, obok których przemykali, nieruchomieli ze zdumienia. Widok był rzeczywiście malowniczy: rosły, potężny basior i biegnąca za nim drobniutka, ubrana w biel dziewczyna z rozwianymi włosami.

Kwadratowy podest. Drzwi jednej z wind rozsunęły się. Dwoma wspaniałymi susami Wilk wyprzedził Sellę. Jakaś staruszka już uniosła

nogę, kiedy Wilk wskoczył do kabiny i miękkim pchnięciem zmusił kobietę do cofnięcia się.

Staruszka krzyknęła i w tym krzyku Wilk dosłyszał nutki tego samego atawistycznego lęku, który czasami budził się w nim samym jako pamięć o dalekich dniach, kiedy to wilki bały się ludzi, a ludzie bali się wilków.

— Co… ty… Wilku…

Ostry ból w piersi przeszkadzał Selli w mówieniu. Zamiast odpowiedzi Wilk postawił łapy na trzewiku kobiety.

— Wy… wy… — staruszka dławiła się ze strachu i oburzenia.

— Przepraszam… Niech pani z łaski swojej podniesie nogę…

Kobieta zupełnie utraciła dar mowy i dar ruchu, wobec tego Sella sama uniosła jej stopę. W jednym z nacięć podeszwy trzewika tkwiły dwa znajome ziarenka piasku..

I to wszystko. Dokoła tłoczyli się oburzeni ludzie. Wilk na wszelki wypadek wysunął się do przodu i niedbale ziewnął, ukazując imponujący garnitur kłów.

— Wilku, spokój! Przepraszam — rzuciła Sella kobiecie i przy okazji pozostałym. Wydobyła kieszonkowy wideofon i natychmiast zapomniała o otoczeniu.

— Znaleźliśmy, znaleźliśmy! — krzyknęła, jak tylko twarz Borka ukazała się na ekranie.

— Ile? — nastąpiło pospieszne pytanie.

— Oba!

— Sello, ich może być trzy.

— Ciszej proszę! — zwróciła się do krzyczącej kobiety. — To nie do pana… Sprawa jest tak poważna?

— Poważniejsza być nie może. Przy rozmnażaniu się ziarenka pochłaniają ciepło. I to jak! Mogą zamrozić planetę. Nigdy bym nie uwierzył, że to jest możliwe. Ale fakty… Szukajcie, Sello, szukajcie! Zaraz zawiadomimy wszystkich, my… Wzywają mnie, przepraszam.

Sella nie zauważyła, jak dokoła zapadło milczenie. Ludzie słyszeli rozmowę i pospiesznie rozstępowali się przed nią. Tylko staruszka jeszcze coś mamrotała.

— No i widzisz. Wilczku — powiedziała cicho Sella. — Musimy zacząć wszystko od początku.

Kiedy wydostali się na górę, burza już się zaczęła. Migotanie błyskawic zwielokrotniało się w przezroczystych płaszczyznach ścian. Potoki wody na moment rozbłyskiwały srebrem i znikały w ciemnościach. We wszystkich kierunkach przemykały realoty z psami i urządzeniami analizującymi zapachy. Sella przemokła do nitki, ledwie wyszła na otwartą przestrzeń. Wilk długo krążył w miejscu, ale niczego nie wyczuł. Wsiedli do realotu. Czas płynął, ręce dziewczyny zdrętwiały od ściskania steru, a śladu ciągle nie było. Sella co chwilę

łączyła się z Borkiem. Wiadomości były złe. Nigdzie niczego nie znaleziono.

— Może jednak były tylko dwa?

— Nie — odpowiedział Bork zdecydowanie. — Wszystkie ziarenka potroiły się.

— I nadal się dzielą?

— Przestały. Ale czy na długo? Na razie ani jednego wypadku czwartej generacji. Szukajcie trzeciego ziarenka, dopóki znów się nie zaktywizują.

— Szukamy.

Wilk nie mógł sobie znaleźć miejsca w kabinie. Zgodnie z ostatnim rozporządzeniem miasto wsysało powietrze tylko przez zewnętrzne śluzy naziemne i tłoczyło je ku centrum, aby wyrzucić je potem pionowo do góry. To naruszało zwykły obieg, wewnątrz miasta buszowały huragany, ale za to wszystkie zapachy zbiegły się ku dyżurującym w górze realotom. Wilk miotał się od jednego otwartego okienka ku drugiemu, nozdrza rozszerzały mu się jak miechy. Już, już wydawało mu się, że złowił… Za każdym razem nadzieja gasła. Możliwe, że poszukiwane ziarenko trafiło do kolektora odpływowego, możliwe, że wiatr uniósł je, jeszcze przed deszczem, daleko za miasto — wszystko mogło się zdarzyć.

„Na lewo, w górę, w dół, na prawo” — Sella wykonywała komendy jak automat. Chyba po raz pierwszy w historii człowiek bezwzględnie podporządkował się Wilkowi.

Już dwukrotnie uderzał mu w nos jakiś zastanawiający zapach. Sprawdził go: nie, nie zgadza się. A jednak był to niezwykły zapach. Nie plastyk, nie stal, nie drewno… Ale i nie ziarenko.

Wilk nie powiedział niczego. W kabinie świszczał wiatr. Mózg zwierzęcia pracował na zwolnionych obrotach. Wydawało mu się, że o czymś zapomniał i starał się teraz przypomnieć to sobie. Jeszcze przez jakieś pół godziny krążyli nad miastem. Potem zapach powtórzył się.

— Na lewo.

Sella posłusznie skręciła.

— Bliżej. W górę! Opuść. Bliżej!

— Bliżej nie można. Rozbijemy się o ścianę domu.

— Trzeba.

— Wyczułeś?

— Dziwny zapach. Jeżeli ono nie jest z ziemi, to może być dziwne dwukrotnie.

— Jaśniej, Wilku, jaśniej!

— Ziarenko piasku może być dziwne?

— Tak, tak! — Oboje krzyczeli, aby pokonać świst wiatru. — Zrozumiałam! Jeśli ziarenko namokło, to jego zapach mógł zmienić się nie do poznania, nie tak, jak w wypadku ziemskich materiałów! O to

chodzi?

— Możliwe.

— Gdzie jest?

— Tam!

Budynek był opasany wąskim gzymsem. „To” znajdowało się gdzieś pośrodku. Sella gorączkowo zastanawiała się, co zrobić. Gdyby tu były okna starego typu! Ale przez szklaną ścianę nie można przedostać się na gzyms.. Trzeba było posadzić realot na wiszącym balkonie i stamtąd…

Balkon był nieco szerszy od realotu. W oczekiwaniu uderzenia Sella zmrużyła oczy. Wilk wyskoczył, gdy tylko otworzyła drzwi. Wiatr wcisnął ją w siedzenie. Wilk przeciskał się między prętami balustrady. Sella spojrzała w dół i zakręciło się jej w głowie. Ale Wilk już szedł po gzymsie tak, jakby to była deska ułożona na ziemi. Sella wstrzymała oddech.

Metr, jeszcze jeden, jeszcze i jeszcze… Wilk znieruchomiał. Błyskawice dwukrotnie oświetliły jego szeroki, mokry kark.

„Na co on czeka, na co?” — zastanawiała się Sella. Bała się krzyczeć, aby nie przestraszyć zwierzęcia.

Ułożywszy pysk na mokrym gzymsie Wilk próbował coś zrobić. Sella uchwyciła się mokrej balustrady i wychyliła do przodu. Wilk podniósł głowę. I nagle zrozumiała, że Wilk znalazł to, czego szukali. Znalazł i nie może zabrać, bo nie ma posłusznych ludzkich palców…

Sella zlodowaciała. Wilk wolno cofał się po gzymsie. Można było oczywiście wezwać ludzi z aparatami plecowymi, ale kto zaręczy, że strumienie wody nie zmyją w tym czasie ziarenka? Bezpośrednio pod balkonem, u podnóża gmachu, znajdował się lej kolektora, a stamtąd już niczego nie można wydobyć.

Nos Wilka dotknął jej kolana. Słowa nie były potrzebne. Wilk żądał działania.

Sella przerzuciła nogę przez balustradę. Zachowywała się jak w gorączce, a jednocześnie była zadziwiająco spokojna. Przywarła plecami do ściany budynku. Stopy mieściły się na gzymsie. Wiedziała, że nie wolno patrzeć w dół. Patrzyła więc prosto przed siebie i widziała tylko ognistą iglicę Wieży Kosmicznej. Tryskający w niebo słup płomieni dawał jej przynajmniej myślowe oparcie. Zrobiła krok. Plecami czuła drobne nierówności ściany. Nogi miała jak obce. W bok trącał ją wiatr.

Jeszcze jeden krok. Im silniej przyciskała się plecami do ściany, tym bardziej czuła jej dygotanie. Budynek płynnie się kołysał. Amplituda drgań była minimalna, ale naruszała nietrwałą równowagę, w której zastygła dziewczyna. Ściana domu, niczym dłoń oparta o plecy, miękko, lecz nieubłaganie odpychała ciało.

Sella zamarła z rozpostartymi rękami. Teraz kołysała się również

Wieża Kosmiczna. Tak, kołysała się, a wraz z nią kołysała się Sella. Ciemność w dole przyciągała wzrok jak magnes. Sella zamknęła oczy. Zniknęło wszystko, zostało tylko miarowe drganie ściany. I boczne uderzenia wiatru. I chłód oblepiającej ciało mokrej odzieży.

Ciało z wolna chodziło w rytm uderzeń i drgań, niezależnie od świadomości odszukiwało kompensacyjne ruchy, które dawały równowagę.

Z zamkniętymi oczyma dziewczyna postąpiła kilka kroków. Wszystko byłoby proste, gdyby nie wyobraźnia. Nie warto było zamykać oczu, jeśli wyobraźnia rysowała nie tylko przepaść pod nogami, nie tylko znikomą szerokość gzymsu, lecz także upadek w dół… Wyobraźnia przejęła kontrolę nad ciałem, narzucając mu swój gorączkowy rytm. Sella zadygotała. Zaczęła się kołysać, tracić równowagę, dławić z przerażenia.

Ostre zęby zacisnęły się jej na łydce. Sella westchnęła z ulgą. Widziadła zniknęły. Noga tkwiła w paszczy Wilka jak w nieruchomym uchwycie. Osłabłe ciało znalazło nieoczekiwanie pewny punkt oparcia.

Minęło kilka sekund. Dziewczyna nie zdecydowała się na otwarcie oczu. Odpoczywała po strachu narzuconym jej przez grę wyobraźni. Zęby Wilka niezawodnie utrzymywały ją nad przepaścią. Dopiero teraz Sella zrozumiała cały bezmiar swojego szaleństwa i zadufania, które pchnęło ją na gzyms. Męstwo i zdecydowanie nie wystarcza: tu potrzebne było doświadczenie. Już by leżała na dole, gdyby nie podpora, którą dał jej Wilk. Gdyby nie poczucie realności, które jej przywrócił.

Twardy nacisk zębów odebrała jak rozkaz. Przestawiła jedną nogę, podciągnęła do niej drugą. Nie trzeba było o niczym myśleć, nie trzeba było niczego czuć, należało poruszać się z zamkniętymi oczami, podporządkowując się komendom zwierzęcia. Czysto mechaniczne działanie ubezpieczone obejmującym łydkę zaciskiem. Oczu nadal nie otwierała, aby nie spłoszyć błogiego spokoju. Ciało samo znajdowało równowagę, bo rozum przestał w tym przeszkadzać.

Wreszcie lekkie ugryzienie powiedziało jej: „Stop!” Zaczynało się najtrudniejsze. Trzeba było otworzyć oczy i spojrzeć w dół…

Błyskawice nieustannie rozświetlały niebo, ale Sella widziała tylko to, co chciała widzieć: szorstką, chłostaną ulewą powierzchnię gzymsu. Fosforyczne światło upodobniało ją do księżycowej równiny. Za skrajem tej równiny przyczaiła się ciemność.

Selli wydawało się, że widzi ziarenko, ale nie była tego pewna. Trzeba było pochylić się. Wiatr zmienił kierunek i dmuchał teraz w pierś. Zjawiła się jeszcze jedna niepewna podpora.

Dziewczyna zgięła kolano i przeniosła nań ciężar ciała. Kamienna równina wyolbrzymiała. Ale kiedy Sella pochyliła się, w pole widzenia wtargnęła roziskrzona ogniami przepaść.

Nie wywarło to na nią takiego wrażenia, jakiego się lękała. Świadomość, zogniskowana na jednym, jedynym celu, wytrzymała. Jedynie gdzieś w głębi duszy drgnął poprzedni strach.

Teraz Sella dokładnie widziała ziarenko. Leżało w pobliżu krawędzi i lekko drgało pod uderzeniami padających kropel. Mogło tak pewnie leżeć bardzo długo, ale równie dobrze mogło stoczyć się za chwilę.

Przez jakiś czas nie było błyskawic. Potem zapłonęło od razu kilka. Ziarenko rozbłysło jak brylant. Sella szybko wyciągnęła rękę.

Kiedy wrócili na balkon, Sella oparła się plecami o ścianę. Podłoga słabo wirowała. Ręka dziewczyny leżała na karku Wilka i Sella czuła, jak stopniowo uspokaja się urywany oddech zwierzęcia, którego wyobraźni były dostępne jej ostatnie przeżycia. Obojgu jednakowo łomotały serca. W dole leżało omywane deszczem miasto — ich miasto. Kojąco postukiwały krople deszczu. Podłoga wirowała coraz wolniej, wreszcie znieruchomiała.

Przełożył Tadeusz Gosk

Ilja Warszawski
UCIECZKA

Pobieg

— Heej raz! Heej raz!

Proste urządzenie — deska, dwa kawałki sznurka i oto ciężka bryła rudy leży na wózku.

— Jazda!

Ładunek nie jest cięższy niż zwykle, ale maleńki człowieczek w pasiaku wparty piersią w poprzeczkę nie może ruszyć wózka z miejsca.

— Jazda!

Któryś z więźniów próbuje pomóc ramieniem. Za późno! Podchodzi nadzorca.

— Co się stało?

— Nic się nie stało.

— Jazda! Prędzej!

Człowieczek znowu próbuje gwałtownym zrywem pociągnąć wózek. Daremnie. Nieludzki wysiłek wywołuje atak kaszlu. Człowieczek zasłania się dłonią.

Nadzorca czeka w milczeniu, aż atak minie.

— Pokaż rękę.

Wyciągnięta dłoń jest zakrwawiona.

— Tak… Odwróć się.

Na więziennej kurtce, na plecach, znak. Nadzorca przerysowuje znak do notesu.

— Do lekarza!

Inny więzień zajmuje miejsce chorego.

— Jazda! — To w jednakowym stopniu odnosi się do obu — do tego, który od tej chwili będzie ciągnął wózek, i do tamtego, który już nie jest do tego zdolny.

— Przepraszam, panie nadzorco, czy nie można…

— Powiedziałem, do lekarza!

Nadzorca patrzy na oddalające się przygarbione plecy i jeszcze raz sprawdza notatkę w notesie: AD 15/13264. Cóż, wszystko jest jasne. Trójkąt oznacza dezercję, kwadrat dożywotnie więzienie, piętnasty barak, więzień numer trzynaście tysięcy dwieście sześćdziesiąt cztery. Dożywotnie więzienie. Wszystko się zgadza, tylko że dla tego człowieka najwidoczniej zbliża się już koniec kary. Plantacje bawełny.

— Heej raz!

Lśniący nikiel, szkło, rozproszone światło luminescencyjnych lamp i jakaś nieomal materialna, sterylna czystość.

Szare, nieco zmęczone oczy człowieka w białym fartuchu patrzą uważnie przez grube szkła okularów. Tu, w podziemnych obozach koncentracyjnych Medeny, życie ludzkie ceni się nadzwyczaj wysoko. Jakżeby inaczej! Każdy więzień, zanim dusza jego stanie przed najwyższym trybunałem, musi odkupić swoją winę wobec tych, którzy w dalekich głębinach kosmosu toczą niebywałą w historii bitwę o hegemonię macierzystej planety. Ojczyźnie potrzebny jest uran. Na każdego więźnia dany jest plan i dlatego życie człowieka jest równie cenne jak wydobyta przez niego ruda. Niestety, w tym wypadku…

— Ubieraj się!

Długie chude ręce pospiesznie wciągają kurtkę na kościste ciało.

— Stań tutaj!

Lekkie naciśnięcie pedału i sakramentalny znak przekreśla czerwony krzyż. Od tej chwili więzień AD 15/13264 ponownie może używać imienia i nazwiska — Arp Zumbi. Zrozumiały przejaw miłosierdzia dla tych, którym przyjdzie pracować na plantacjach bawełny.

Plantacje bawełny. Nikt o nich nie wie nic dokładnego, wyjąwszy fakt, że stamtąd się nie wraca. Chodzą plotki, że w gorącym, pozbawionym wilgoci klimacie ciało ludzkie zamienia się w suchy chrust — świetne paliwo dla pieców krematoryjnych.

— Idź już. Masz tu zwolnienie z pracy.

Arp Zumbi okazuje swoje zwolnienie wartownikowi, wchodzi do baraku i czuje niezmienny zapach karbolu. Barak przypomina wielki szalet kolejowy. Gęsty zapach karbolu i kafelki. Monotonię białych ścian urozmaica tylko ogromny plakat: Za ucieczkę — śmierć na torturach. Jeszcze jedno świadectwo, jak ceni się tu ludzkie życie — jeżeli już trzeba kogoś zabić, należy to zrobić możliwie najefektowniej.

Pod jedną ścianą znajduje się coś w rodzaju gigantycznego pszczelego plastra, to miejsca do spania, rozgrodzone na oddzielne komórki. Wygodnie i higienicznie. Na białym plastyku widać najmniejszą plamkę. Komórki zaś wymyślono nie dla komfortu. To przecież katorga, a nie sanatorium, jak lubi powtarzać głos, który przeprowadza codzienną psychoterapię. Podział na komórki wyklucza możliwość kontaktu między więźniami nawet w nocy, kiedy czujność wartowników nieco słabnie.

W ciągu dnia nie wolno kłaść się, więc Arp Zumbi siedzi na ławce. Arp Zumbi myśli o plantacjach bawełny. Transport zwykle kompletuje się raz na dwa tygodnie. W skład transportu wchodzą więźniowie ze wszystkich obozów. W dwa dni później przywiozą tu

nową partię więźniów. Zdaje się, że ostatni raz przywieziono ich pięć dni temu, wtedy, kiedy obok Arpa w nocy pojawił się ten dziwaczny typ. Najwyraźniej stuknięty. Wczoraj przy obiedzie oddał Arpowi połowę swojego chleba. „Na — powiada — bo inaczej niedługo portki zgubisz". Dziwak! Arp jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś oddał swój chleb. Tamten facet na pewno jest nienormalny. Wieczorem coś nuci przed snem. Też sobie znalazł miejsce do śpiewania.

Arp znowu powraca myślą do plantacji bawełny. Rozumie, że to już koniec, ale nie wiadomo dlaczego nie jest specjalnie zmartwiony. W ciągu dziesięcioletniej pracy w kopalni człowiek przyzwyczaja się do śmierci. Ale pomimo wszystko Arpa ciekawi, jak tam jest na tych plantacjach.

Od chwili, kiedy go zamknięto, dziś pierwszy dzień nie pracuje. Pewnie dlatego czas się tak dłuży. Arp z przyjemnością położyłby się spać, ale to wykluczone, nawet wtedy, kiedy ma się papier o zwolnieniu z pracy. To jest katorga, a nie sanatorium.

Wracają z pracy jego towarzysze i z zapachem karbolu miesza się zapach płynu odkażającego. Wszyscy, którzy pracują przy rudzie uranowej, biorą profilaktyczny prysznic. To jeden ze sposobów zwiększenia średniej długości życia więźnia.

Arp zajmuje swoje miejsce w kolumnie i maszeruje na obiad.

Śniadanie i obiad to czas, kiedy straż patrzy przez palce na łamanie zakazu rozmawiania. Z zapchanymi ustami człowiek wiele się nie nagada.

Arp w milczeniu zjada swoją porcję i czeka na komendę: „Wstać!"

— Na! — znowu ten stuknięty proponuje pół swojej porcji.

— Nie chcę.

Rozlega się komenda na zbiórkę. Dopiero teraz Arp widzi, że wszyscy wytrzeszczają na niego oczy. Pewnie z powodu tego czerwonego krzyża na plecach. Nieboszczyk zawsze budzi zainteresowanie.

— Prędzej!

To do sąsiada Arpa. Jego szereg już się ustawił, a tamten wciąż jeszcze siedzi przy stole. Wstaje jednocześnie z Arpem. Idąc na swoje miejsce Arp słyszy jego ledwie dosłyszalny szept:

— Jest możliwość ucieczki.

Arp udaje, że nic nie słyszał. W obozie jest pełno kapusiów, a Arp wcale nie ma ochoty umrzeć na torturach. Lepsze już plantacje bawełny.

Głos to się wznosi do krzyku, od którego w skroniach łomocze, to zniża się do ledwie dosłyszalnego szeptu, który sprawia, że człowiek mimo woli zamienia się w słuch. Głos płynie z głośnika wmontowanego w wezgłowie pryczy. Wieczorna psychoterapia.

Do obrzydliwości znajomy baryton wyjaśnia więźniom całą głębię ich upadku. Przed tym głosem nie uciekniesz, nie schowasz się. Tego głosu nie można po prostu wyłączyć ze świadomości, jak wyłącza się wrzaski nadzorców. Wydaje ci się czasem, że już myślisz o czymś zupełnie innym, że zapomniałeś o obozie, kiedy nagle nieoczekiwana zmiana natężenia głosu znowu włącza uwagę. I dzieje się tak trzy razy dziennie — wieczorem przed snem, w nocy w czasie snu i rano, pięć minut przed pobudką. Trzy razy dziennie. To jest katorga, a nie sanatorium.

Arp leży z zamkniętymi oczami i stara się myśleć o plantacjach bawełny. Reedukacja już się skończyła, ale Arpowi przeszkadza rytmiczne stukanie w ściankę działową między komórkami. Znowu ten wariat.

— Czego chcesz?! — pyta przez złożone w trąbkę dłonie przyciśnięte do ścianki.

— Wyjdź do latryny.

Arp sam nie rozumie, co sprawia, że musi zejść na dół, a potem pójść w kierunku łukowatego sklepienia, skąd słychać szmer lejącej się wody.

W latrynie gorąco, temperatura dokładnie taka, żeby nie można było wysiedzieć dłużej niż dwie minuty. Arp poci się jak ruda mysz i wreszcie zjawia się tamten.

— Chcesz uciec?

— A idź ty…

Arp Zumbi jest starym wróblem i zna na wyrywki chwyty kapusiów.

— Nie bój się — znowu pośpiesznie szepcze tamten — jestem z Komitetu Wyzwolenia. Jutro będziemy próbowali wywieźć i przerzucić w bezpieczne miejsce pierwszą partię. Nie masz nic do stracenia. Dadzą wam truciznę. Jeśli ucieczka się nie uda…

— No?

— Zażyjesz truciznę. To w każdym razie lepsze niż śmierć na plantacjach bawełny. Zgadzasz się?

Nieoczekiwanie dla samego siebie Arp kiwa głową.

— Instrukcje otrzymasz rano w chlebie. Bądź ostrożny.

Arp znowu kiwa głową i wychodzi.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat tak głęboko pogrążył się w marzeniach, że przepuszcza mimo uszu drugie i trzecie szkolenie psychoterapeutyczne.

Arp Zumbi stoi ostatni w kolejce po śniadanie. Teraz jego miejsce jest na końcu kolumny. Zawsze ten, który jest zwolniony z pracy, dostaje jedzenie po wszystkich innych.

Ponury kryminalista rozlewający zupę uważnie patrzy na Arpa i z

nieznacznym uśmieszkiem rzuca mu kawałek chleba leżący osobno.

Arp je zupę i ostrożnie łamie chleb. Jest! Ukrywa za policzkiem maleńką kulkę papieru.

Teraz trzeba poczekać, aż kolumna pójdzie do pracy.

Komenda: Wstać! Arp wychodzi ze stołówki, na końcu kolumny dochodzi do poprzecznej galerii i skręca w lewo. Reszta idzie prosto.

Tu, za węgłem, Arp jest względnie bezpieczny. Dyżurni sprzątają baraki, a na zmianę warty jeszcze za wcześnie.

Instrukcja jest bardzo lakoniczna. Arp czytają trzykrotnie, a kiedy jest już pewny, że wszystko zapamiętał, znowu zgniata papierek i połyka go.

Teraz, kiedy trzeba działać, Arpa ogarnia strach.

Waha się, śmierć na plantacjach bawełny wydaje się upragniona w porównaniu z torturami.

Trucizna!

Myśl o truciźnie od razu go uspokaja. Rzeczywiście, koniec końców, co ma do stracenia?!

Strach, lepki, obrzydliwy, oślizły strach, nadchodzi znowu, kiedy Arp okazuje swoje zwolnienie z pracy wartownikowi na granicy strefy.

— Dokąd?

— Do lekarza.

— Idź!

Arp ma wrażenie, że jego nogi zrobione są z waty. Powoli wlecze się galerią, wyczuwając plecami niebezpieczeństwo. Zaraz rozlegnie się okrzyk i w ślad za okrzykiem seria z automatu. W takich przypadkach strzelają w nogi. Za ucieczkę grozi śmierć na torturach. Nie należy pozbawiać więźniów takiego pouczającego widowiska, to katorga, a nie sanatorium.

Zakręt!

Arp skręca za róg i opiera się o ścianę. Słyszy uderzenia własnego serca. Zdaje mu się, że za chwilę wyrzyga ten drgający kłębek razem z gorzką żółcią zgromadzoną w żołądku. Zimny pot oblewa ciało. Zęby szczękają. Właśnie tak, przy dźwięku werbli prowadzą schwytanych uciekinierów na kaźń.

Cała wieczność mija, zanim wreszcie Arp decyduje się iść dalej.

Gdzieś tu w niszy powinny być pojemniki na śmiecie. Arp jeszcze raz powtarza w myśli instrukcję. Znowu nachodzą go wątpliwości. A jeśli to prowokacja? Wlezie do pojemnika, a oni tylko na to czekają! I żadnej trucizny przecież nie dostał. Dureń! Nie trzeba było się zgadzać, póki nie dostał do ręki trucizny. Bałwan! Arp gotów jest tłuc głową o mur. Tak dać się nabić w butelkę pierwszemu lepszemu prowokatorowi!

A otóż i pojemniki. Obok lewego ktoś postawił kozły dla malarzy. Wszystko jak w instrukcji. Arp stoi niezdecydowany. Chyba

najrozsądniej będzie wrócić.

Niespodziewanie słyszy głośną rozmowę i szczekanie psa. Obchód. Nie ma czasu na myślenie. Nadspodziewanie lekko włazi na kozły i wskakuje do pojemnika.

Głosy zbliżają się. Pies szarpie smycz, Arp słyszy ochrypłe szczekanie i stukot podkutych butów.

— Spokój, Gar!

— Ktoś jest w pojemniku.

— Pewnie szczur, tu jest pełno szczurów.

— Nie, na szczura pies szczeka inaczej.

— Zawracanie głowy! Idziemy! Uspokój go wreszcie!

— Cicho, Gar.

Kroki oddalają się.

Teraz Arp może obejrzeć swoją kryjówkę. Pojemnik jest napełniony mniej więcej do wysokości jednej czwartej. O tym, żeby się z niego wydostać, nie ma nawet co myśleć. Odległość od górnej krawędzi dwukrotnie przekracza wzrost człowieka. Arp przesuwa dłonią po ściance pojemnika i natrafia na dwa niewielkie otwory, o których była mowa w instrukcji. Otwory znajdują się w wytłoczonych literach „Obozy pracy". Napis opasuje pojemnik. Dzięki tym otworom Arp będzie mógł oddychać, kiedy zatrzaśnie się pokrywa.

Kiedy zatrzaśnie się pokrywa… Arp już i teraz czuje się schwytany w potrzask. Kto wie, czym to się wszystko skończy? Co to za Komitet Wyzwolenia? W obozie nikt o nim nie słyszał. Może to ci sami chłopcy, którzy pomogli Arpowi zdezerterować? Szkoda, że ich wtedy nie posłuchał i poszedł odwiedzić matkę. Ktoś doniósł i wzięto go u matki. A przecież, gdyby nie był takim bałwanem, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Znowu głosy i skrzyp kół. Arp przywiera okiem do jednego otworu i uspokaja się. Dwaj więźniowie wiozą wiadro z odpadkami. Widocznie to dyżurni sektoru. Nie śpieszą się. Przysiedli na wózku i po kolei dopalają okurek papierosa wyrzucony przez któregoś strażnika. Arp widzi blade smużki dymu i ślina napływa mu do ust. Niektórzy to mają szczęście!

Z niedopałka wyciągnięto wszystko, co można było wyciągnąć, i kubeł jedzie do góry. Lina od wiadra przerzucona jest przez kołowrót nad głową Arpa. Arp zasłania głowę rękami. Zawartość kubła spada na Arpa.

Dopiero teraz, kiedy więźniowie odeszli, Arp czuje, jak paskudnie śmierdzi w jego kryjówce.

Otwory do oddychania znajdują się nieco powyżej jego ust i Arp musi zgarnąć sobie pod nogi trochę odpadków.

Teraz trzeba być czujnym. Sprzątanie kończy się o dziesiątej. Po dziesiątej napełnione pojemniki wysyła się na górę.

Nie wiadomo skąd ona się tu wzięła, ta szeroka nie heblowana deska wymazana wapnem. Jeden jej koniec wparł się w dno pojemnika, drugi znalazł się nieco wyżej niż głowa Arpa. Deska, podobnie jak i kozły, jest świadectwem czyjejś troski o los uciekiniera. Arp odczuwa to szczególnie teraz, kiedy ostry pręt metalowy przebija warstwę śmiecia, trafia na deskę i starannie bada ją z góry na dół. Gdyby nie było tej deski… Wydaje się, że to sprawdzanie nigdy się nie skończy.

— No i co tam? — pyta ochrypły starczy głos.

— Nic, po prostu deska.

— Jazda!

Lekkie szarpnięcie, skrzyp kołowrotu i pojemnik kołysząc się rozpoczyna podróż do góry. Od czasu do czasu uderza o ściany szybu i Arp, który przywarł do ścianki pojemnika, czuje twarzą każde uderzenie. Między jego głową a deską jest przestrzeń wolna od śmieci. To pozwala odsunąć nieco głowę od otworów przy szczególnie gwałtownym chybotaniu pojemnika.

Stop! Ostatnie, najsilniejsze uderzenie, pokrywa unosi się z łoskotem. Znowu żelazny pręt bada wnętrze pojemnika. Znowu błogosławiona deska ukrywa skulonego, trzęsącego się ze strachu człowieka.

Teraz przed otworami pojemnika betonowy mur i cały świat wokół Arpa ogranicza się do szarej, szorstkiej powierzchni.

Jednak ten świat przepełniają dawno zapomniane dźwięki. Wśród nich Arp rozróżnia szelest opon samochodowych, głosy przechodniów i nawet ćwierkanie wróbli.

Rytmiczne, uporczywe stukanie o pokrywę pojemnika sprawia, że Arp znowu kuli się w swojej kryjówce. Stukanie jest coraz częstsze, coraz natrętniejsze, coraz niecierpliwsze i nagle Arp uświadamia sobie, że to deszcz. Dopiero wtedy zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, jak bliska, jak upragniona jest wolność.

Tej nocy wszystko podobne jest do gorączkowych majaków. Od chwili kiedy wysypano go z pojemnika, Arp to traci przytomność, to budzi się od dotyku szczurzych łap. Na wysypisku roi się od szczurów. Gdzieś niedaleko jadą szosą samochody. Czasem ich reflektory wydobywają z ciemności górę śmieci, za którą przyczaił się Arp. Szczury z piskiem uciekają w ciemność, drapią twarz Arpa ostrymi pazurami, gryzą, jeśli próbuje je spłoszyć, i znowu powracają, kiedy wysypisko pogrąża się w mroku.

Arp myśli o tym, że w obozie już na pewno zauważono jego ucieczkę. Próbuje wyobrazić sobie, co się teraz tam dzieje. Przychodzi mu do głowy, że psy mogły wywęszyć jego trop wiodący do

pojemników, a wtedy…

Dwa ostre snopy światła działają jak uderzenie.

Arp zrywa się na nogi. Reflektory natychmiast gasną. Zamiast nich zapala się maleńka lampka w szoferce samochodu. To wojskowa furgonetka, która zwykle służy do przewozu amunicji. Człowiek za kierownicą daje znak Arpowi, żeby się zbliżył.

Arp wzdycha z ulgą. To samochód, o którym była mowa w instrukcji.

Arp podchodzi do tylnych drzwi. Drzwi się otwierają, Arp chwyta czyjeś wyciągnięte ręce i znowu pogrąża się w ciemnościach.

W furgonetce jest ciasno. Siedząc na podłodze Arp słyszy ciężki oddech ludzi, plecami i ramionami czuje dotyk innych ciał. Miękko kołysząc się na resorach furgonetka bezszelestnie pędzi w mrok.

Budzi go światło latarki świecącej mu prosto w oczy. Coś się stało! Znikło wrażenie ruchu, do którego tak już przywykł.

— Chwila odpoczynku! — mówi człowiek z latarką. — Na pięć minut możecie wyjść.

Arp wcale nie ma ochoty wychodzić z samochodu, ale z tyłu napierają inni i musi zeskoczyć na ziemię.

Wszyscy instynktownie stłoczyli się Wokół szoferki, nikt nie ryzykuje odejścia od furgonetki.

— A więc tak, przyjaciele! — mówi ich zbawca oświetlając latarką postacie w pasiakach. — Na razie wszystko idzie dobrze, ale zanim dojedziemy na miejsce, może się jeszcze wszystko zdarzyć. Wiecie, czym grozi ucieczka?

Milczenie.

— Wiecie. Dlatego Komitet zaopatrzy was w truciznę. Po jednej tabletce na głowę. Działa błyskawicznie. Zażywać tylko w razie ostateczności. Jasne?

Arp dostaje swój przydział, tabletkę zawiniętą w srebrzystą cynfolię i ponownie wdrapuje się do furgonetki.

Zaciśnięta w dłoni tabletka daje mu poczucie siły. Teraz policja straciła nad nim władzę. Z tą myślą Arp zasypia.

Niebezpieczeństwo! Wyczuwa się je we wszystkim — w martwocie samochodu, w pobladłych, oświetlonych światłem przenikającym przez szpary w plandece twarzach uciekinierów, w głośnej kłótni tam na drodze.

Arp robi ruch, żeby wstać, ale dziesiątki rąk machają na niego, pokazują, żeby się nie ruszał.

— Wojskowych ładunków nie wolno rewidować — to głos kierowcy.

— Powtarzam, że taki mam rozkaz. Dzisiejszej nocy…

Samochód zrywa się z miejsca i natychmiast w ślad za nim trzaskają serie z automatów. Sypią się kawałki drewna.

Kiedy Arp podnosi wreszcie głowę, dostrzega, że jego ręka ściska czyjąś maleńką dłoń. Ogolona głowa, patrzące spode łba czarne oczy okolone puszystymi rzęsami. Więzienny pasiak nie może ukryć dziewczęcych okrągłości. Na lewym rękawie zielona gwiazda. Niższa rasa.

Arp odruchowo cofa rękę i wyciera dłoń o spodnie. Prawa Medeny zabraniają kontaktów z przedstawicielami niższej rasy. Nie na darmo ci, którzy noszą gwiazdę, rodzą się i umierają w obozach.

— Nie złapią nas, prawda? Nie złapią?

Drżący głosik brzmi tak żałośnie, że Arp zapomina o prawach i przecząco kręci głową.

— Jak ci na imię?

— Arp.

— A mnie Getta.

Arp opuszcza głowę na pierś i udaje, że drzemie. Przecież nikt nie wie, jak potraktują podobną rozmowę tam, dokąd ich wiozą.

Samochód skręcił z szosy i nie zmniejszając szybkości podskakuje na wybojach. Arpowi chce się jeść. Głód i wstrząsy przyprawiają go o mdłości. Stara się zdławić kaszel, nie chce przeszkadzać innym, ale przez to skurcze stają się nie do opanowania. Arp zgina się wpół, z gardła wyrywa się kaszel i bryzgi krwi.

Atak tak wyczerpuje Arpa, że nie ma już sił, aby odsunąć rękę z zieloną gwiazdą na rękawie, rękę, która wyciera mu pot z czoła.

Gorące, nocne powietrze przepojone zapachami egzotycznych kwiatów, ćwierkają cykady.

Nie ma już pasiaków. Długa do pięt płócienna koszula mile chłodzi rozparzone w łaźni ciało. Arp starannie oczyszcza łyżką miskę po kaszy.

Na końcu stołówki przed pomostem zbudowanym z pustych beczek i desek stoi troje ludzi. Wysoki siwy mężczyzna o opalonej twarzy oracza, widać najważniejszy ze wszystkich. Sympatyczny młody chłopiec w mundurze armii Medeny. I drobna kobieta z ciężkim rudym warkoczem owiniętym wokół głowy. Bardzo jej do twarzy w białym fartuchu.

Czekają, aż się skończy kolacja.

Wreszcie stuk łyżek ucicha. Najważniejszy zwinnie wskakuje na pomost.

— Witajcie, przyjaciele!

Radosny szum głosów jest odpowiedzią na to niezwykłe powitanie.

— Przede wszystkim chcę wam zakomunikować, że jesteście tu całkowicie bezpieczni. Władze nie wiedzą, gdzie znajduje się nasz punkt ewakuacyjny.

Na szarych wycieńczonych twarzach pojawia się wyraz takiego

szczęścia, że wydają się one nieomal piękne.

— Na tym punkcie ewakuacyjnym będziecie musieli spędzić pięć do dziesięciu dni. Mówiąc ściśle, termin ten będzie ustalony przez waszego lekarza, ponieważ przed wami trudny wielodniowy marsz. Miejscowość, do której was zaprowadzimy, oczywiście nie jest rajem. Trzeba tam będzie pracować. Każdą piędź ziemi w naszych osiedlach wyrywamy dżungli. Ale tam będziecie wolni, będziecie mogli założyć rodziny i pracować dla własnego dobra. Kwatery na pierwszy okres przygotowali wam ci, którzy przybyli przed wami. Taka jest nasza tradycja. A teraz będę odpowiadał na pytania.

Póki zadają pytania, Arpa zadręcza wahanie. Bardzo się chce dowiedzieć, czy w tych koloniach można się ożenić z dziewczyną niższej rasy. Jednakże kiedy się wreszcie zdecydował i nieśmiało podniósł rękę, wysoki mężczyzna o twarzy oracza zszedł już z pomostu.

Teraz do uciekinierów przemawia kobieta. Mówi cicho i śpiewnie i Arp musi natężać słuch, żeby zrozumieć, o czym mowa.

Kobieta prosi, żeby wszyscy położyli się do łóżek i czekali na badanie lekarskie.

Arp znajduje swoje łóżko, na poręczy wisi tekturka z jego nazwiskiem, kładzie się na wykrochmalonym chłodnym prześcieradle i natychmiast zasypia.

Przez sen czuje, jak go przewracają z boku na bok, potem chłodny dotyk stetoskopu i kiedy unosi powieki, widzi drobną kobietę z rudym warkoczem zapisującą coś w notesie.

— Obudziłeś się? — uśmiecha się pokazując oślepiające, równe zęby.

Arp kiwa głową.

— Jesteś bardzo wycieńczony. Będziesz spać przez siedem dni. Zaraz cię uśpimy.

Dopiero teraz Arp dostrzega jakiś aparat przysunięty do łóżka. Kobieta naciska kilka guziczków na białym pulpicie i do mózgu Arpa przenika dziwny szum.

— Spać — mówi daleki, daleki melodyjny głos i Arp zasypia. Śni mu się zdumiewający sen, pełen słońca i szczęścia. Tylko we śnie możliwa jest taka upajająca powolność ruchów, całkowity brak poczucia ciężaru własnego ciała i takie cudowne szybowanie w powietrzu.

Ogromna łąka usiana olśniewająco białymi kwiatami. W oddali Arp widzi wysoką wieżę, lśniącą wszystkimi kolorami tęczy. Arp lekko odbija się od ziemi i powoli opada na dół. Niepowstrzymanie wabi go ku sobie lśniąca wieża, która emanuje nieopisaną błogością.

Arp nie jest sam. Ze wszystkich krańców łąki zdążają ku wieży ludzie ubrani tak jak i on w białe długie koszule. Jest pomiędzy nimi

Getta z podołkiem pełnym białych kwiatów.

— Co to? — pyta Arp wskazując na wieżę.

— Obelisk Wolności. Chodźmy!

Biorą się za ręce i razem płyną w powietrzu przetkanym promieniami słońca.

— Poczekaj!

Arp również zbiera pełen podołek kwiatów i dalej płyną już wraz z Getta.

Składają kwiaty u stóp wieży.

— Kto zbierze więcej?! — woła Getta płynąc wśród szarych łodyg. — Goń mnie!

Ich przykład zaraża innych. Mija niewiele czasu i podnóże wieży zasypane jest kwiatami.

Potem rozpalają ogniska, pieką na ogniu wielkie kawały mięsa nasadzone na długie cienkie pręty. Cudowny zapach szaszłyka miesza się z zapachem płonących gałęzi, budzi jakieś wspomnienia, ogromnie odległe i ogromnie przyjemne.

Kiedy Arp zasypia przy dogasającym ognisku, w jego dłoni spoczywa mała, ciepła dłoń.

Gasną ogniska. Wyłączono różnokolorowe żarówki. Na samym dole tuż przy ziemi otwierają się drzwi i dwie gigantyczne mechaniczne łapy zgarniają bawełnę do środka.

Pod oszkloną kopułą stary opalony mężczyzna patrzy na wskazówkę automatycznej wagi.

— Pięć razy więcej niż wszystkie poprzednie partie — mówi wyłączając transporter. — Obawiam się, że przy takim szalonym tempie nie wytrzymają nawet tygodnia.

— Trzymam zakład o dwie butelki — wesoło uśmiecha się sympatyczny chłopiec w wojskowym mundurze. — Pociągną normalne dwadzieścia dni. Hipnoza to wielka rzecz! Można było zdechnąć ze śmiechu, kiedy żarli tę pieczoną brukiew! Pod hipnozą każdy zrobi wszystko, co się zechce. Prawda, pani doktor?

Drobna kobieta z ciężkim rudym warkoczem owiniętym wokół głowy nie śpieszy się z odpowiedzią. Podchodzi do okna, włącza reflektor i uważnie patrzy na obciągnięte skórą twarze, przypominając trupie czaszki.

— Pan nieco przecenia możliwości elektrohipnozy — mówi obnażając w uśmiechu ostre zęby wampira. — Potężne promieniowanie pola może tylko nakazać rytm pracy i określić pewien ogólny kierunek działania. Ale podstawową sprawą jest odpowiednie psychiczne zaprogramowanie. Imitacja ucieczki, rzekome niebezpieczeństwo — wszystko to stworzyło u nich poczucie wolności zdobytej za wysoką cenę. Trudno przewidzieć, jakie kolosalne rezerwy

organizmu mogą wyzwolić uczucia wyższego rzędu.

Przełożyła Irena Lewandowska

Romen Jarow
ZAKŁAD

Spor

Nie lubię konfliktowych sytuacji, ale kiedy ślusarz dwukrotnie zignorował moje wezwanie, rozgniewałem się. List wrzucony do skrzynki na drzwiach administracji brzmiał: „Czy długo jeszcze będzie trwał ten skandal? Trzeci raz proszę o przysłanie ślusarza do mieszkania nr 18. Jeżeli znowu nie przyjdzie, będziecie mieli wielkie nieprzyjemności". Moja rozpaczliwa próba wezwania ślusarza została podjęta w sobotę i spowodowana była sytuacją doprawdy podbramkową. Przez resztę dnia, noc i poranek dnia następnego byłem zdecydowany na wszystko. Stan ten trwał do momentu, w którym rozległ się dzwonek.

— Kto tam? — zawołałem, podbiegając do drzwi.

— Wzywał pan ślusarza? — zapytał głos z klatki schodowej.

Otworzyłem drzwi, na przybysza nawet nie spojrzałem i dostojnie ruszyłem do pokoju. A tamten szedł za mną. Podszedłem do kaloryfera, położyłem rękę na żeberkach, powiedziałem ze wzburzeniem: „Śrubę trzeba przykręcić, bo się woda leje" — i odwróciłem się. Miałem wrażenie, że kaloryfer spadł mi na nogi. Człowiek, który stał przede mną, miał głowę wydłużoną, co najmniej dwa razy dłuższą niż normalna, oraz uszy opadające na ramiona. Ubranie jego przypominało mundur strażacki w czasie pokazowych ćwiczeń — tyle było na nim łańcuszków, haftek i innych niewyjaśnionych metalowych przedmiotów.

— A — a… gdzie majster Kawka? — zapytałem martwiejąc ze zgrozy.

— Jaki znowu Kawka? — uprzejmie zainteresował się nieznajomy.

— Ślusarz z administracji.

— Nie wiem. Przybyłem na pańskie wezwanie i mam polecenie okazać panu pomoc, o którą pan prosił.

— Przepraszam, ale kim pan jest?

— Jestem mieszkańcem planety Amos z gwiazdozbioru Łabędzia. Przynajmniej tak wy nazywacie tę konstelację…

— Może napije się pan herbaty? — wymamrotałem. — Chwileczkę, tylko wyłączę telewizor. Drze się jak opętany…

— Nie, nie trzeba — zatrzymał mnie Amosjanin — na razie zbieram informacje.

— Ale dlaczego właśnie przyszedł pan do mnie? — zawołałem

coraz bardziej ośmielony. — Czyż mogłem oczekiwać, że ja, skromny człowiek…

— To było tak — powiedział Amosjanin. — Już dawno siły wytwórcze naszej planety osiągnęły taki szczebel rozwoju, że byliśmy w stanie nawiązać kontakt z rozumnymi istotami na innych planetach. A tymczasem nic nam nie wychodziło. Bezludzie jakieś takie w całym wszechświecie — coś koszmarnego. Ale postanowiliśmy mimo to za wszelką cenę nawiązać kontakt. Zbudowana z ogromnym wysiłkiem aparatura skoncentrowała energię wszystkich maszyn rozmieszczonych na powierzchni trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych w jeden potężny potok i skierowała ten potok w przestrzeń kosmiczną. Zwężając się stopniowo ten strumień energii przekształcił się w cienką igłę, która dotarła do skrzynki na drzwiach. W tej skrzynce był pański list. Projekcja znaków pisarskich niezwłocznie trafiła na Amos, natychmiast przystąpił do pracy neutrinokriogenny analizator, który rozszyfrował treść listu, ułożył słownik wszystkich pozostałych słów waszego języka i sporządził siedemset czterdzieści dwa warianty prawdopodobnego niebezpieczeństwa. Nieszczęście zagraża rozumnym istotom, nasi bracia błagają o pomoc! Niezwłocznie polecono mi, jako głównemu specjaliście w dziedzinie eksploatacji wszystkich urządzeń mechanicznych planety, abym nauczył się waszego języka, przybył do was i okazał niezbędną pomoc!

— Ale jak pan mógł przyjechać tak szybko? — zdumiałem się. — Przecież dopiero wczoraj wrzuciłem list do skrzynki. I w jaki sposób pokonał pan taką odległość?

— No cóż, czas jest pojęciem względnym — powiedział Amosjanin. — A znalazłem się tu przy pomocy teletransformacji. Rozłożono mnie na atomy i po istniejącym już strumieniu energii przesłano tutaj. Praktycznie rzecz biorąc jest to operacja błyskawiczna, chociaż wymaga wydatkowania ogromnej energii. Ale poszliśmy na to z pełną świadomością — aby tylko udało się uniknąć nieprzyjemności. Jednakże dosyć tych rozmów, trzeba się brać do roboty. Niech pan pokaże, o co chodzi.

— Obluzowała się śruba przy kaloryferze — zmieszałem się. — Woda kapie i trzeba podstawiać miskę. Gdybym miał klucz francuski, oczywiście nie wzywałbym ślusarza. Ale nie mam niestety…

Amosjanin podszedł do kaloryfera, pomacał śrubę.

— Tego wariantu pomocy nie było wśród tamtych siedmiuset czterdziestu dwóch — wymamrotał. — Sprawa jest bardziej skomplikowana. Zwłaszcza że wszystko jest nie tak, jak trzeba. — Odwrócił się do mnie. — Ma pan obok siebie dwa urządzenia — jedno ogrzewa pomieszczenie, drugie odbiera obraz. Po co? Tylko niepotrzebna strata miejsca!

Oparł dłonie o kaloryfer, zamarł na moment, napiął mięśnie — i żeberka przywarły do siebie. Kilkakrotnie przesunął po nich dłonią wygładzając jak garncarz wilgotną glinę — i nagle zamiast kaloryfera pojawił się idealnie gładki sześcian. Na frontowej płaszczyźnie sześcianu był ten sam obraz co na ekranie telewizora, tylko większy i ostrzejszy. A ekran zgasł.

— Co pan zrobił najlepszego! — zawołałem. — Przecież to są przedmioty o odmiennym przeznaczeniu!

Amosjanin uśmiechnął się z politowaniem, skłonił głowę na bok i rozłożył ręce.

— Ale co też pan mówi, tak było u zarania rozwoju techniki. A teraz każde dziecko wie, że w maszynie najważniejsza jest wielofunkcyjność. A poza tym ten przedmiot — dotknął telewizora — ma zupełnie inne zastosowanie. Zaraz wyreguluję…

I wtedy rozległ się dzwonek. Otworzyłem drzwi. W progu stał majster Kawka, ślusarz z administracji. Był w poplamionym granatowym kombinezonie, w jakimś przyklapniętym berecie, a w ręku trzymał ceratową torbę na zakupy. W torbie były narzędzia.

— Cześć — powiedział i stukając butami wszedł do pokoju. — Aleś pan się rozpisał. Trzeci raz proszę o przysłanie ślusarza, bo będą nieprzyjemności. Co to, ja tylko pana mam na głowie, czy co? Jeden ślusarz na cały wielki dom… Niech pan mówi, o co chodzi.

Majster Kawka stanął obok kaloryfera, mimochodem spojrzał na Amosjanina. Zdziwienie nie zagościło na jego rzetelnej twarzy. Mało to przydarza się ludziom, chodzi człowiek po mieszkaniach, to nie takie rzeczy widzi. Ja zaś nie mogłem wydusić z siebie ani słowa, zresztą nie wiedziałem nawet, co powiedzieć — wyciągnąłem tylko drżącą dłoń ku kaloryferowi, na którym znajdował się obecnie komentator sportowy nieznaną siłą przeniesiony z ekranu telewizora.

— Polski, nie? — rzeczowo zapytał majster Kawka. — Widziałem już takie, a jakże. Jeden artysta muzyk mieszka pod trzydziestym trzecim, i ma akurat taki sam.

— Ale co też pan opowiada, panie Kawka — powiedziałem słabym głosem — gdzie pan mógł widzieć coś podobnego.

— Jak mówię, że widziałem, to widziałem — powiedział gniewnie majster Kawka. — Artysta muzyk mieszka pod trzydziestym trzecim. Też ma polski. Jeszcze lepszy. A ten ma źle ustawioną ostrość.

— Przepraszam — wtrącił się Amosjanin — być może ten człowiek, o którym pan opowiada, ma rzeczywiście aparat lepszej konstrukcji, ale jeżeli chodzi o regulację, to może mi pan wierzyć — wszystko jest w najlepszym porządku.

— Oczywiście każdy chwali swoją robotę, ale tylko tyle powiem — żeby na mnie później nie było — ostrość jest źle ustawiona. Bo

później to taki jeden z drugim pisze, że będą nieprzyjemności.

— Jak pan może twierdzić coś podobnego, jeśli pan zupełnie się nie orientuje w konstrukcji aparatu — Amosjanin zdenerwował się, jego uszy zwinęły się w trąbkę i znowu rozwinęły.

— Ja się nie orientuję? — majster Kawka zerwał z głowy beret. — A wie pan, gdzie ja pracowałem? Wie pan? — podniósł palec. — O właśnie! Tam nie takie rzeczy robiliśmy. W piątej hali, kierownik Wasyli Siemionycz…

— To zdumiewające — Amosjanin był kompletnie zbity z tropu. — Żaden aparat nie rejestrował informacji o tym, że na Ziemi wiedzą o zależności między strzałką ugięcia i przesunięciem krzywej wektorialnej z jednej strony, a inercyjnym gradientem z drugiej.

— Jak to nie znają! Od dawna wszyscy wiedzą!

— To niemożliwe!

— Załóżmy się! — zawołał w natchnieniu majster Kawka. — Załóżmy się, mówię.

— Czy to zapobiegnie nieprzyjemnościom? — zwrócił się do mnie Amosjanin.

W milczeniu skinąłem głową. Zbyt dobrze znałem żelazny charakter majstra Kawki.

— Przyjechałem tu, żeby panu pomóc — powiedział Amosjanin — i jeżeli pan o coś prosi, nie mam prawa odmówić. Przyjmuję zakład, jeżeli pan sobie tego życzy.

Majster Kawka z pasją wyciągnął rękę, Amosjanin powoli podał swoją. Kompletnie skołowany przeciąłem zakład.

— A teraz zrobimy tak — przystąpił do spraw organizacyjnych majster Kawka — pojedziemy do pańskiej firmy, i tam pokaże mi pan te swoje aparaty i jeżeli je poznam, to leżysz pan — wygrałem. Ja sam ze sto tysięcy takich widziałem! A potem niektórzy piszą — trzeci raz proszę o przysłanie ślusarza! I to w nowym bloku. Myślą, że mam obowiązek znać wszystkie mieszkania. No to jedźmy.

— Jak należy rozumieć słowo „firma”? — zapytał zaskoczony Amosjanin.

— Nie wie pan? No tam skąd pana przysłali.

— Właściwie to spowoduje dodatkowe zużycie olbrzymiej ilości energii — powiedział w zadumie Amosjanin — ale przecież rozumna istota chce rozstrzygnąć zakład.

Wyjął z kieszeni maleńkie pudełko, pokręcił pokrętła.

— Zaraz wracam! — zawołał majster Kawka. — Moja torba niech tu na razie poleży — i obaj znikli.

Popatrzyłem w osłupieniu na kaloryfer — telewizor i nagle przypomniałem sobie, że w drugim programie powinni teraz nadawać koncert na fortepian z towarzyszeniem orkiestry. Podszedłem do prawdziwego telewizora i zacząłem kręcić gałkami pragnąc nade

wszystko, aby obraz wrócił na miejsce. Niestety ekran nadal był ciemny. Obejrzałem ze wszystkich stron zreformowany kaloryfer. Nie przybyła mu nawet jedna gałka. Jak teraz przełączyć kanał? Wyjąłem z torby majstra Kawki klucz francuski, zacisnąłem mutrę, przekręciłem. Strumień gorącej wody strzelił mi w brzuch. Pośpiesznie zakręciłem mutrę, usiadłem w fotelu, wyciągnąłem nogi przed siebie i pogrążyłem się w zadumie. Trzeba będzie poczekać na powrót Amosjanina lub ostatecznie majstra Kawki. Ale kiedy to będzie? Czas jest pojęciem względnym — to znaczy, że mogą równie dobrze wrócić i za tysiąc lat. To znaczy… Nie to niemożliwe! Czy naprawdę do końca życia będę skazany na oglądanie wyłącznie pierwszego programu?

Przełożyła Irena Lewandowska

Shin'ichi Hoshi
UPOMINEK

O-miyage

Kontynuując podróż po przestworzach, pojazd kosmiczny z mieszkańcami gwiazdy Flor na pokładzie zbliżył się ku Ziemi. Do spotkania z Ziemianami jednak nie doszło, miało minąć bowiem jeszcze wiele czasu, nim na Ziemi pojawi się gatunek ludzki.

Po wylądowaniu Florianie przeprowadzili ogólne badania planety, po czym wdali się w rozmowę takiej mniej więcej treści:

— Wygląda na to, żeśmy się trochę pośpieszyli. W tym zakątku wszechświata nie stworzono jeszcze niczego na podobieństwo cywilizacji. Jedyne, w miarę rozumne stworzenia, jakie udało nam się zidentyfikować — to małpy. Potrzeba jeszcze wiele, wiele czasu, aby pojawiły się istoty na wyższym poziomie rozwoju.

— Taak, a szkoda. Mieliśmy przecież przekazać tu owoce naszej cywilizacji. Żal byłoby wyjechać stąd ot tak, nie pozostawiając żadnego śladu naszej obecności.

— Cóż więc zrobimy?

— Zostawmy przed odlotem upominek!

Florianie zabrali się żwawo do pracy. Sporządzili wielki, metalowy pojemnik w kształcie jaja, a do środka włożyli najrozmaitsze przedmioty — schemat rakiety kosmicznej, umożliwiającej w łatwy sposób poruszanie się w kosmosie; przepisy na produkowanie leków przeciwko rozmaitym chorobom i specyfików odmładzających; książkę pouczającą, jak współżyć w pokoju i powszechnej zgodzie. A na wypadek, gdyby tekst okazał się nieczytelny, dołączyli jeszcze ilustrowany słownik.

— Zadanie wykonane. Ucieszą się chyba mieszkańcy tej planety, kiedy odkryją w przyszłości nasz prezent.

— I jak jeszcze!

— Chociaż, może się zdarzyć, że odkryją go zbyt wcześnie, aby poznać się na wartości, jaki ten dar przedstawia, i po prostu go wyrzucą…

— Nie sądzę. Pojemnik wykonany jest z solidnego metalu. Cywilizacja zdolna do tego, aby go otworzyć, będzie też w stanie pojąć to, co zamierzamy jej przekazać.

— Słusznie. Ale jest jeden problem — gdzie to pozostawimy.

— Na pewno nie nad morzem. Fale mogą znieść pojemnik do wody i wtedy pogrąży się bezpowrotnie na dnie morskim. Wierzchołek góry też nie jest bezpieczny, pojemnik byłby narażony na wybuchy

wulkaniczne. Najlepsze byłoby jakieś miejsce pod każdym względem bezpieczne, wolne od jakiegokolwiek zagrożenia.

W końcu Florianie wybrali okolicę pustynną, z dala od morza i gór, tam złożyli swój dar i — odlecieli.

Wielkie srebrzyste jajo leżało na piasku, w dzień odbijając jaskrawe promienie słoneczne, nocą połyskując spokojnie światłem gwiazd i księżyca. W oczekiwaniu na moment, kiedy zostanie otworzone.

Mijały lata. Istoty zamieszkujące Ziemię powoli rozwijały się. Wyłonił się spośród małp gatunek zdolny do posługiwania się narzędziami i ogniem — rodzaj ludzki. Kto wie, może niektórzy jego przedstawiciele dostrzegli nawet dziwny przedmiot na pustyni. Ale nie zbliżali się do niego. Może się bali, a może nie docenili jego znaczenia, dość że srebrne jajo nadal czekało nienaruszone. Deszcze były nieczęste w tym rejonie, a nawet jeśli padały, nie wyrządzały najmniejszej szkody pojemnikowi, który był wykonany z materiału odpornego na korozję.

Bywało, że silne wiatry przenosiły piasek z miejsca na miejsce i zasypywały jajo. Po jakimś czasie inny wiatr odsłaniał je na nowo. Powtarzało się to wiele razy.

Upłynęły znowu długie lata. Mieszkańców Ziemi przybywało, cywilizacja osiągnęła wysoki poziom rozwoju.

Aż nadszedł wreszcie dzień i metalowe jajo zostało rozbite. Nie towarzyszyły temu jednak okrzyki radości, a jego otwarcie nie odbyło się uroczyście, przy dźwiękach fanfar. Na pustyni, nie zdając sobie ani na jotę sprawy, co znajduje się pod spodem, dokonano doświadczalnego wybuchu atomowego. Detonacja była przerażająca. Rozbiciu uległ nie tylko metal pojemnika. Cała jego zawartość obróciła się w pył i spłonęła doszczętnie nie pozostawiając najmniejszego śladu.

Przełożył z japońskiego Henryk Lipszyc

Arthur C. Clarke
HALO, KTO MÓWI?

Dial F for Frankenstein

Dwieście pięćdziesiąt milionów ludzi w tym samym momencie podniosło słuchawkę telefonu, by przez parę sekund w zdumieniu lub z irytacją trzymać ją przy uchu. Obudzeni w środku nocy przypuszczali, że to jakiś daleko mieszkający przyjaciel chce się z nimi połączyć za pośrednictwem satelitarnej sieci telefonicznej, którą z wielką pompą i reklamą oddano poprzedniego dnia do użytku wszystkich mieszkańców Ziemi. Ale nikt się nie zgłaszał. W słuchawce słychać było tylko dźwięk, który wielu przypominał szum morza, innym zaś kojarzył się z drganiami strun harfy na wietrze. Jeszcze inni mieli wrażenie, że słyszą w tym momencie zapamiętany z dzieciństwa tajemniczy szum krwi pulsującej w żyłach, kiedy do ucha przyłoży się muszlę. Cokolwiek to jednak było, nie trwało dłużej niż 20 sekund. Potem rozległ się znowu normalny sygnał telefonicznej centrali.

Abonenci telefonów na całym świecie zaklęli, mruknęli: „Pewnie omyłka w numerze" — i odłożyli słuchawki. Po jakimś czasie wszyscy zapomnieli o tym błahym wydarzeniu. Wszyscy, z wyjątkiem tych, których obowiązkiem było zaniepokoić się taką sprawą.

W Naukowym Instytucie Badawczym Poczty i Telekomunikacji w Londynie dyskusja na ten temat toczyła się przez całe przedpołudnie, uparcie, choć bez rezultatu. Nawet w czasie przerwy, kiedy zgłodniali inżynierowie wyszli do sąsiedniej kawiarenki na lunch, ani na chwilę nie przerwano omawiania tej sprawy.

— A ja twierdzę — upierał się inżynier Willy Smith, specjalista w zakresie fizyki ciała stałego — że to był po prostu chwilowy skok prądu, spowodowany włączeniem sieci telefonicznej z satelity.

— Na pewno zjawisko to miało jakiś związek z satelitami — zgodził się ziewając szeroko Jules Reyner, projektant obwodów — ale skąd się wzięła zwłoka w czasie? Sieć z satelity podłączono o północy, a sygnał w telefonach rozległ się dwie godziny później, czego Wszyscy doświadczyliśmy na sobie.

— A co pan o tym myśli, doktorze? — spytał Bob Andrews, programista komputera. — Był pan taki milczący przez cały ranek. Na pewno ma pan jakąś koncepcję.

Dr John Williams, kierownik Działu Matematycznego, poruszył się niespokojnie.

— Tak — odpowiedział. — Mam pomysł. Ale boję się, że nie weźmiecie go na serio.

— Nic nie szkodzi. Jeżeli nawet pomysł byłby tak zwariowany, jak te bajeczki fantastyczno — naukowe, które pan pisuje pod pseudonimem, mógłby nam dać chociaż jakiś punkt zaczepienia.

Williams poczerwieniał, ale nie wyglądał na bardzo zmieszanego. Jego twórczość literacka była publiczną tajemnicą i w gruncie rzeczy wcale się tego nie wstydził. Poza tym opowiadania zostały już przecież wydane w formie książkowej.

— A więc dobrze — powiedział kreśląc machinalnie na obrusie. — Jest coś, nad czym łamałem sobie głowę od lat. Czy zastanawialiście się kiedyś nad analogią między automatyczną siecią telefoniczną a mózgiem ludzkim?

— Cóż w tym nowego? — zdziwił się jeden ze słuchaczy. — Po raz pierwszy odkryto to jeszcze chyba w czasach Grahama Bella.

— Być może. Nie roszczę sobie pretensji do oryginalności.

Mówię tylko, że nadszedł czas, żeby to porównanie zacząć brać na serio…

Rzucił ukośne, zniecierpliwione spojrzenie na jarzeniówki umieszczone nad stołem. Światło było potrzebne w ten mglisty zimowy dzień. — Co się dzieje z tymi przeklętymi lampami? Migają i migają już chyba od pięciu minut!

— Mniejsza o lampy! Pewnie Maisie zapomniała zapłacić za elektryczność. My czekamy na dalszy ciąg pańskiej teorii.

— Większość z tego, co powiem, nie jest teorią, tylko oczywistym faktem. Wiemy, że mózg ludzki jest systemem przełączników, neuronów, połączonych z sobą w bardzo skomplikowany sposób. Automatyczna centrala telefoniczna jest również systemem przełączników, selektorów i tak dalej, połączonych z sobą drutami.

— Zgoda — powiedział Smith — ale ta analogia nie idzie daleko. W mózgu jest przecież około piętnastu miliardów neuronów. O wiele więcej niż przełączników w autocentrali.

Ryk nisko lecącego odrzutowca przerwał odpowiedź Williamsa. Musiał odczekać, aż cała kawiarnia przestała wibrować od dźwięku, zanim mógł kontynuować wypowiedź.

— Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby latały tak nisko — mruknął Andrews. — Myślałem, że to jest wbrew przepisom.

— Na pewno wbrew przepisom, ale co nas to obchodzi. Kontrola lotniska sama go pewno złapie.

— Wątpię — powiedział Reyner. — Przecież londyńskie lotnisko sprowadziło Concorde z automatycznym systemem lądowania. Ja także nie słyszałem, żeby któryś z nich leciał kiedyś tak nisko. Cieszę się, że mnie w nim nie było.

— Do diabła! Czy my zaczniemy w końcu mówić na temat, czy nie? — wtrącił zniecierpliwiony Smith.

— Jeśli chodzi o piętnaście miliardów neuronów w mózgu

ludzkim, to ma pan rację — ciągnął spokojnie Williams.

I w tym właśnie mieści się sedno sprawy. Wydaje się, że piętnaście miliardów to bardzo dużo, ale to nieprawda. Już około 1960 roku było więcej indywidualnych przełączników w centralach automatycznych na całym świecie. Dziś mamy ich w przybliżeniu 5 razy tyle.

— Rozumiem — wycedził wolno Reyner. — A więc wczoraj, kiedy łącza satelitarne zaczęły działać, wszystkie centrale na całym świecie zostały między sobą w pełni połączone.

— Dokładnie to chciałem właśnie powiedzieć.

Zapanowała cisza i tylko gdzieś z oddali słychać było sygnał samochodu straży pożarnej. W końcu Smith przerwał milczenie.

— Pozwólcie mi wyrazić to bez ogródek — powiedział. — Twierdzicie, że światowy system połączeń telefonicznych stał się teraz gigantycznym mózgiem?

— Ujęłeś to lapidarnie i powiedziałbym antropomorficznie. Ja wolałbym myśleć o tym w kategoriach wielkości krytycznej.

Williams położył na stole na pół zaciśnięte pięści. — Mam tu dwie grudki U235. Dopóki trzymam je oddzielnie, nic się nie dzieje. Ale połączmy je (zetknął pięści z sobą), a otrzymamy coś zupełnie innego niż jedna większa bryłka uranu. Otrzymamy półmilową dziurę w ziemi. Tak samo ma się rzecz z naszymi sieciami telefonicznymi: do dziś były one w dużej mierze niezależne, autonomiczne. Ale teraz, kiedy zwiększyliśmy ilość połączeń, sieci te stały się jedną całością. Ilość przeszła w jakość, osiągnęliśmy punkt krytyczny.

— Ale co właściwie oznacza punkt krytyczny w naszym przypadku? — zapytał Smith.

— W braku lepszego słowa oznacza świadomość.

— Dziwaczny rodzaj świadomości — zauważył Reyner. — Co jest jej organami zmysłów?

— No, na przykład wszystkie rozgłośnie radiowe i telewizyjne na świecie będą dla niej źródłem informacji. Na pewno dadzą jej wiele do myślenia! Poza tym wszelkie dane przechowywane w pamięci komputerów, do których będzie miała dostęp równie łatwy jak do bibliotek elektronowych, do instalacji radarowych, do telemetrii w zautomatyzowanych zakładach przemysłowych. O, na pewno będzie miała dość organów zmysłów! Nie możemy sobie nawet wyobrazić jej obrazu świata, ale przypuszczam, że będzie o wiele bogatszy i bardziej złożony niż nasz.

— Załóżmy, że to wszystko prawda, tym bardziej że koncepcja jest z pewnością pomysłowa — powiedział Reyner — ale w takim razie, co „to” mogłoby robić poza myśleniem? Nie mogłoby się przecież poruszać, nie miałoby kończyn.

— A po co miałoby się poruszać? Przecież byłoby od razu

wszędzie! Każdy kawałek zdalnie sterowanego sprzętu elektrycznego na planecie byłby jego kończyną.

— Teraz rozumiem tę zwłokę w czasie — wtrącił Andrews. — To zostało poczęte o północy, ale urodziło się dopiero o l50 nad ranem. Dźwięk, który nas obudził tej nocy, był więc pierwszym krzykiem noworodka.

Andrews chciał to powiedzieć tonem żartobliwym, ale głos go zawiódł i nikt się nawet nie uśmiechnął. Lampy nad stołem dalej irytująco migotały i zdawały się świecić coraz słabiej. W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i do kawiarni wtargnął Jim Small z Działu Zaopatrzenia.

— Popatrzcie, koledzy — śmiał się powiewając kawałkiem papieru — jaki jestem bogaty! Widzieliście kiedyś takie konto bankowe?

Dr Williams wziął od niego zawiadomienie z banku, rzucił okiem na kolumnę cyfr i odczytał głośno: „Kredyt 999 999 897,87 funtów”. — Nic w tym dziwnego — powiedział wśród ogólnej wesołości. — Komputer musiał się omylić. Takie rzeczy mogą się zawsze zdarzyć, zwłaszcza po wprowadzeniu przez banki systemu dziesiętnego.

— Wiem, wiem — odpowiedział Jim — ale nie psujcie mi zabawy. Idę właśnie do banku sprawdzić to zawiadomienie. Ale co by było, gdybym na jego podstawie wypisał sobie czek na mały milionik? Jak myślicie, czy można by zaskarżyć bank o wprowadzenie w błąd?

— Nigdy w życiu — powiedział Reyner. — Założę się, że banki przewidziały już taką okoliczność i od lat zabezpieczone są przed zaskarżeniem jakimiś przepisami, napisanymi drobnym druczkiem. Ale niech mi pan powie, kiedy pan otrzymał to zawiadomienie?

— W poczcie południowej. Nadeszło wprost do instytutu, tak że moja żona nie miała możności zajrzeć do niego…

— Hm, to znaczy, że zostało napisane przez drukarkę komputera dziś, wcześnie rano. Na pewno po północy…

— Do czego pan zmierza? I czemu macie wszyscy takie smutne miny?

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy myśleli o tym samym. Myśli goniły jedna drugą, jak sfora psów myśliwskich na widok pojawiającego się zająca.

— Kto z was orientuje się, jak działa automatyczna aparatura w bankach? — spytał w końcu Willy Smith. — W jaki sposób są one z sobą powiązane?

— Jak wszystko inne w dzisiejszych czasach — odpowiedział Bob Andrews. — Wszystkie są sterowane przez te samą centralę automatyczną. Komputery całego świata przekazują sobie nawzajem wszystkie informacje. To jest punkt dla pana, John. Jeżeli mają z tego wyniknąć poważne kłopoty, to banki są jednym z pierwszych miejsc,

gdzie można ich oczekiwać. Poza siecią telefonów, oczywiście.

— Nikt mi nie odpowiedział na pytanie, które zadałem, zanim Jim tu przyszedł — poskarżył się Reyner. — Pytałem, co by ten superumysł w ogóle robił? Czy byłby przyjazny ludziom… wrogi… obojętny? Czy w ogóle zdawałby sobie sprawę z naszego istnienia? A może za jedyną rzeczywistość uważałby sygnały elektroniczne?

— Jak widzę, zaczyna mi pan wierzyć — odpowiedział Williams z posępną satysfakcją w głosie. — Na pańskie pytanie mogę odpowiedzieć tylko innym pytaniem: co robi noworodek? Zaczyna rozglądać się za pożywieniem.

Spojrzał na migocące i słabnące jarzeniówki.

— Mój Boże! — powiedział po chwili, jak gdyby nagle przyszło mu coś na myśl. — Jest tylko jeden pokarm, którego „to” mogłoby potrzebować: elektryczność!

— Posunęliście się w tych nonsensach już o wiele za daleko — wybuchnął Smith. — Co, do diabła, dzieje się z naszym lunchem? Zamówiliśmy go chyba z dwadzieścia minut temu.

Nikt mu nie odpowiedział.

— A wtedy — kontynuował Reyner wypowiedź Williamsa od miejsca, w którym ten przerwał — zaczyna się rozglądać dokoła, prostować ręce i nogi. W gruncie rzeczy zaczyna się bawić, tak jak każde rozwijające się dziecko…

— A dzieci niszczą rzeczy, którymi się bawią — powiedział ktoś bardzo cicho.

— I Bóg jeden wie, ile ono może mieć tych zabawek. Na przykład ten Concorde, który rozbił się przed chwilą. Albo zautomatyzowana produkcja fabryczna. Albo sygnały świetlne na ulicach…

— To zabawne, że pan o tym wspomniał — wtrącił Small. — Coś się tam wydarzyło na ulicy. Ruch został wstrzymany co najmniej na dziesięć minut. Wygląda to na jakiś duży korek.

— Chyba gdzieś wybuchł pożar. Słyszałem sygnał.

— Ja słyszałem dwa. Poza tym coś, co brzmiało jak eksplozja, chyba gdzieś w dzielnicy fabrycznej. Mam nadzieję, że nic poważnego.

— Maisie!!! Nie macie tu jakichś świec? Nic już nie widać!

— Właśnie sobie przypomniałem, że ten lokal ma kuchnię całkowicie zelektryfikowaną. Dostaniemy zimny lunch, o ile w ogóle coś dostaniemy.

— Jeżeli już musimy czekać, to może byśmy przeczytali, co tam jest w gazecie. Chyba przyniósł pan ostatnie wydanie, Jim?

— Tak, ale nie miałem czasu przejrzeć. Hm, tak. Rzeczywiście wygląda na to, że dziś rano było mnóstwo dziwnych wypadków: sygnały kolejowe nie działały… główny przewód wodociągowy pękł na skutek złego funkcjonowania zaworów… tuziny skarg na złe połączenia telefoniczne ubiegłej nocy… — Jim odwrócił stronę i nagle

zamilkł.

— Co się stało?

Small bez słowa podał im gazetę. Tekst był sensowny tylko na pierwszej stronie. Na następnych kolumnach była tylko bezładna mieszanina znaków drukarskich, wśród których tu i ówdzie, jak wyspy sensu w morzu bełkotu, widniało kilka absurdalnie wyglądających ogłoszeń reklamowych. Zostały one najprawdopodobniej wstawione w tekst jako niezależne bloki i dlatego nie zostały tak rozdrapane i przemieszane jak to, co było dokoła nich.

— Oto do czego doprowadziły nas dalekopisy i zautomatyzowana dystrybucja — gderał Andrews. — Obawiam się, że Fleet Street włożyła za dużo jajek do jednego elektronicznego koszyka.

— A ja obawiam się, że wszyscy popełniliśmy ten sam błąd — powiedział bardzo uroczyście Williams. — Wszyscy to zrobiliśmy.

— Czy mogę wtrącić słówko dla zapobieżenia zbiorowej histerii, która zdaje się opanowywać ten stolik — powiedział głośnym i stanowczym głosem Smith. — Chciałbym wam zwrócić uwagę, że jeżeli nawet pomysłowa fantazja Johna jest prawdą, to jeszcze nie ma powodu do rozpaczy. Wystarczy po prostu wyłączyć satelity, a powrócimy do stanu rzeczy, jaki był wczoraj.

— A więc usunięcie płata czołowego — mruknął Williams. — Myślałem już o tym.

— Co? Ach tak, wyciąć kawałek mózgu. To byłby sposób, bez wątpienia. Kosztowny, oczywiście. Musielibyśmy wrócić do czasów, kiedy wysyłano telegramy. No, ale cywilizacja zostałaby uratowana.

W pobliżu rozległ się nagle krótki, ostry odgłos eksplozji.

— Nie podoba mi się to wszystko — powiedział nerwowo Andrews. — Posłuchajmy, co nasze poczciwe BBC ma do powiedzenia. Dochodzi pierwsza, właśnie zaczęli nadawać wiadomości. Wyjął z teczki radio tranzystorowe i postawił na stole.

„…nie spotykana ilość wypadków w zakładach przemysłowych, jak również nie wyjaśnione wystrzelenie trzech salw rakiet z instalacji wojskowych w Stanach Zjednoczonych. Wiele lotnisk musiało odwołać loty z powodu dziwacznego funkcjonowania urządzeń radarowych, zaś banki i giełdy zamknięto, ponieważ urządzenia informujące działają w sposób nieodpowiedzialny".

— Mnie to mówicie? — zaczął Small, ale uciszono go psykaniem.

„Właśnie otrzymaliśmy ostatnie doniesienia. A oto one: jak nas przed chwilą poinformowano, utraciliśmy wszelką kontrolę nad nowo zainstalowanymi satelitami telekomunikacyjnymi. Urządzenia na satelitach nie reagują na rozkazy wysyłane z Ziemi. Zgodnie z…"

BBC zamilkło. Nawet fala nośna zaginęła. Andrews chwycił aparat tranzystorowy i zaczął kręcić gałką. Na całej skali, od końca do końca, eter był niemy.

W głosie Reynera zabrzmiały nutki histerii: — Miałeś dobry pomysł z tym wycięciem kawałka mózgu, John. Niestety, niemowlę samo już o tym pomyślało!..

Williams podniósł się powoli. — Wracajmy do pracowni — powiedział. — Musi się przecież znaleźć jakiś sposób. — Wiedział już jednak, że jest o wiele, o wiele za późno. Dzwonek telefonu, który rozległ się tej nocy, był dzwonem pogrzebowym dla Homo Sapiens.

Przełożyła z angielskiego Leontyna Ostrowska

J. G. Ballard
GŁOSY CZASU

The Voices of Times

1

Później Powers myślał często o Whitby'm i o dziwnych rowach, które biolog wyżłobił, zdawało się bez celu, na dnie opuszczonego basenu pływackiego. Na cal głębokie i o długości dwudziestu stóp zbiegały się w jakiś złożony ideogram, podobny do chińskiej litery. Praca ta zajęła mu całe lato i niepomny innych zajęć, zmęczony, żłobił je bezustannie w długie popołudnia na pustyni. Powers przyglądał mu się czasem, przystając na chwilę w oknie bloku neurologicznego. Patrzył, jak Whitby odmierzał długość rowów i jak wynosił w małym brezentowym wiaderku pracowicie odłupywane kawałki cementu. Po samobójstwie Whitby'ego nikt nie interesował się rowami, jedynie Powers często pożyczał klucze od administratora, otwierał bramę wiodącą do bezużytecznego już basenu i długo przyglądał się labiryntowi wykutych w cemencie parowów, do połowy wypełnionych wodą wyciekającą z popsutych urządzeń.

Początkowo jednak Powers był zajęty wykańczaniem swojej pracy w klinice i planowaniem własnego, ostatecznego już odejścia. Po pierwszych nerwowych, panicznych tygodniach pogodził się z sytuacją, z tym samym pełnym rezerwy fatalizmem, z jakim dotychczas godził się z losem swych pacjentów. Na szczęście redukcja gradientów fizycznych i umysłowych zachodziła w nim równocześnie, letarg i bezwład przytępiały w nim niepokój, a słabnący metabolizm zmuszał go do koncentrowania całej uwagi na tworzeniu sensownych konstrukcji myślowych. Przedłużające się z dnia na dzień okresy snu bez snów stawały się dla niego nawet kojące. Spostrzegł, że wyczekiwał okresu snu, nie próbując budzić się wcześniej niż było to konieczne.

Początkowo stale trzymał na stoliku nocnym budzik i starał się wypełniać coraz krótsze godziny przytomności jak największą liczbą zajęć. Doprowadził do porządku bibliotekę, jeździł codziennie do laboratorium Whitby'ego, by przeglądać świeże dostawy tablic rentgenowskich, wydzielał sobie każdą minutę i godzinę jak ostatnie krople wody. Na szczęście Andersen uświadomił mu bezsensowność tego postępowania.

Zrezygnowawszy z pracy w klinice Powers nie zaprzestał cotygodniowych odwiedzin i badań lekarskich w gabinecie Andersona. Było to już co prawda tylko zwykłą formalnością, zupełnie pozbawioną sensu. Podczas ostatniej wizyty Anderson zrobił mu badanie krwi; zwrócił uwagę na coraz większą obrzękłość mięśni twarzy, słabnące refleksy oczu i nie ogolone policzki Powersa. Uśmiechając się poprzez biurko Anderson zastanawiał się przez chwilę, co mu powiedzieć. Niekiedy próbował jeszcze pocieszać co

inteligentniejszych pacjentów. Ale z Powersem, który był zdolnym neurochirurgiem i człowiekiem tkwiącym w nurcie życia, tworzącym rzeczy oryginalne, rozmowa nie była łatwa. W myślach zwracał się do niego: — „Jest mi ogromnie przykro, Robercie, ale cóż mogę ci powiedzieć… Nawet Słońce stygnie z dnia na dzień…" Patrzył, jak Powers bębnił niespokojnie palcami w emaliowaną powierzchnię biurka, spoglądając niekiedy na schematy kośćca rozwieszone na ścianach gabinetu. Pomimo zaniedbanego wyglądu — od tygodnia już miał na sobie tę samą nie prasowaną koszulę i brudne tenisówki — Powers sprawiał wrażenie człowieka opanowanego i pewnego siebie, jak Conradowski tramp do reszty pogodzony ze swoim nieszczęściem.

— Nad czym pracujesz, Robercie? — spytał. — Czy wciąż jeszcze jeździsz do laboratorium Whitby'ego?

— Jeśli tylko mogę. Przeprawa na drugą stronę po dnie jeziora zabiera mi około pół godziny, a nie zawsze budzik budzi mnie w porę. Może powinienem zainstalować się tam na stałe — powiedział Powers.

Anderson zmarszczył czoło.

— Ale czy to ma sens? O ile mi wiadomo, praca Whitby'ego miała charakter abstrakcyjny… — przerwał, uświadamiając sobie, że taki komentarz zawiera w sobie krytykę nieudanych badań samego Powersa, ale Powers zdawał się tego nie dostrzegać, przyglądając się w milczeniu kształtowi cieni na suficie. — W każdym razie, czy nie lepiej byłoby pozostać pośród rzeczy i spraw znajomych, przeczytać raz jeszcze Toynbee'ego i Spenglera?

Powers zaśmiał się krótko. — To byłaby ostatnia rzecz, na którą miałbym ochotę. Chciałbym zapomnieć Toynbee'ego i Spenglera, a nie ich sobie przypominać. A naprawdę chciałbym zapomnieć wszystko, ale zapewne nie starczy mi czasu. Jak wiele można zapomnieć w trzy miesiące?

— Chyba jednak wszystko, jeśli się tylko chce. Ale nie próbuj ścigać się z zegarem — powiedział Anderson.

Powers skinął głową, powtarzając sobie te słowa w myśli. Rzeczywiście, próbował ścigać się z zegarem. Żegnając się z Andersonem nagle postanowił wyrzucić budzik i uwolnić się raz na zawsze z obsesji czasu. Aby pamiętać o tym, zdjął z ręki zegarek i nie patrząc przesunął wskazówki, po czym wsunął zegarek do kieszeni. W drodze do parkingu uświadomił sobie wolność, jaką uzyskał wskutek tej prostej czynności. Zbada teraz obejścia i pobocza korytarza czasu. Trzy miesiące mogą być wiecznością.

Dostrzegł swój samochód w szeregu innych i podszedł ku niemu zasłaniając oczy przed promieniami słońca, przechodzącymi przez paraboliczną wypukłość dachu nad salą odczytową. Zamierzał właśnie wejść do samochodu, gdy spostrzegł, że na pokrytym kurzem oknie ktoś wypisał

Spojrzawszy przez ramię rozpoznał zaparkowanego obok Packarda. Schylił się, by zajrzeć do jego wnętrza, i zobaczył młodego, jasnowłosego mężczyznę o wysokim czole, który przyglądał mu się poprzez ciemne okulary słoneczne. Obok niego przy kierownicy siedziała kruczowłosa dziewczyna, którą często widywał w pobliżu wydziału psychologii. Dziewczyna miała inteligentne, nieco skośne oczy i Powers przypomniał sobie, że młodzi lekarze nazywali ją „dziewczyną z Marsa".

— Kaldren, wciąż jeszcze mnie śledzisz? — zapytał Powers.

Kaldren skinął głową.

— Prawie cały czas, doktorze. — Popatrzył ostro na Powersa. — Nie pokazuje się pan ostatnio. Anderson powiedział mi, że zrezygnował pan z pracy i drzwi do pana gabinetu są stale zamknięte.

Powers wzruszył ramionami.

— Doszedłem do wniosku, że potrzebny mi jest odpoczynek. Jest wiele spraw, które warto sobie powtórnie przemyśleć.

Kaldren uśmiechnął się półdrwiąco.

— Bardzo mi przykro, doktorze. Ale niech pan z powodu chwilowych trudności nie popada w depresję. — W tej samej chwili spostrzegł, że dziewczyna przygląda się z zainteresowaniem Powersowi. — Coma jest pod pana wrażeniem — dodał. — Dałem jej do przeczytania pana artykuły z *American Journal oj Psychiatry* i przestudiowała je sumiennie.

Dziewczyna uśmiechnęła się mile do Powersa, niwecząc na moment wrogość między mężczyznami. Kiedy Powers skinął w jej kierunku głową, przechyliła się przez Kaldrena i powiedziała:

— Właśnie dzisiaj skończyłam autobiografię Noguchiego, wielkiego lekarza japońskiego, który odkrył spirochetę. W jakimś sensie przypomina mi pan jego — tyle jest z pana w każdym z pacjentów, którymi się pan zajmował.

Powers uśmiechnął się, po czym spojrzał na Kaldrena. Przez moment patrzyli sobie ponuro w oczy, po chwili prawy policzek Kaldrena drgnął nerwowym tikiem. Kaldren opanował z wysiłkiem muskuły twarzy, zły, że Powers był przez chwilę świadkiem jego zakłopotania.

— Jak poszło ci dzisiaj w klinice? — zapytał Powers. — Czy wciąż jeszcze miewasz… bóle głowy?

Kaldren zwarł mocno usta, najwidoczniej poirytowany pytaniem.

— Kto się ostatecznie mną zajmuje, pan czy Anderson? Czy ma pan prawo zadawać mi teraz takie pytania?

Powers wzruszył ramionami.

— Nie, raczej nie — powiedział. Poczuł się nagle ogromnie

zmęczony, upał przyprawiał go niemal o zawrót głowy, chciał się z nimi jak najszybciej rozstać. Otworzył drzwi samochodu, ale uświadomił sobie, że Kaldren może pojechać za nim, by zepchnąć go gdzieś po drodze do rowu albo zablokować swym wozem drogę tak, by musiał jechać za Kaldrenem, wdychając po drodze kurz lub odczekując całe kwadranse w upale południa. Kaldren był zdolny popełnić każde szaleństwo.

— No, muszę już iść, mam jeszcze coś do zrobienia — powiedział, a potem dodał ostrzejszym tonem: — Zadzwoń do mnie, jeśli Anderson nie mógłby cię kiedy przyjąć.

Machnął im na pożegnanie ręką i odszedł. W szybie okna widział jeszcze, jak Kaldren przyglądał mu się uważnie.

Wszedł do budynku wydziału neurologii i przez kilka minut stał niemal uszczęśliwiony w chłodnym westybulu. Skinieniem głowy przywitał pielęgniarki i uzbrojonego w rewolwer wartownika przy biurku recepcyjnym. Z jakichś dziwnych względów, których nigdy nie potrafił sobie wyjaśnić, sale sypialne bloku pełne były zawsze gapiów, przeważnie dziwaków i wariatów, którzy przyszli tu, by zaofiarować szpitalowi swoje magiczne środki antynarkomatyczne. Część z nich stanowili też ludzie normalni. Wielu przybyło tu z odległości tysięcy mil, gnanych widocznie dziwnym instynktem, jak zwierzęta wędrujące, by obejrzeć miejsce, w którym spocznie na wieki ich gatunek.

Powers przeszedł korytarzem, który prowadził do biur administracji, wziął klucz i przez kort tenisowy doszedł do basenu na przeciwległej stronie dziedzińca. Basenu nie używano od miesięcy i zamek w bramie działał tylko dzięki staraniom Powersa. Wszedłszy do wnętrza zamknął za sobą bramę i idąc wolno po nie malowanych deskach dotarł do samego końca — najgłębszej części basenu. Stanął na trampolinie i przez chwilę patrzył na ideogram Whitby'ego. Ideogram pokryty był gdzieniegdzie mokrymi liśćmi i kawałkami papieru, ale kształt wciąż jeszcze można było odczytać. Zajmował niemal całe dno basenu i na pierwszy rzut oka przypominał jak gdyby ogromną tarczę słoneczną z czterema radialnymi ramionami — prymitywną mandalę Jungowską.

Zastanawiając się, co skłoniło Whitby'ego do wykucia na krótko przed śmiercią tej dziwacznej figury, Powers spostrzegł nagle coś poruszającego się pośrodku tarczy. Czarne, skorupą pokryte zwierzę o długości jednej stopy gmerało w błocie, unosząc się z trudem na tylnych łapach. Skorupa zwierzęcia była porysowana i w jakimś stopniu przypominała pancerz armadillo. Doszedłszy do krawędzi tarczy zwierzę zatrzymało się na chwilę, zawahało, po czym wycofało się z powrotem ku środkowi, nie chcąc lub nie mogąc przekroczyć wąskiego rowu.

Powers rozejrzał się wokół, potem wszedł do jednej z kabin otaczających basen i wyrwał z zardzewiałych uchwytów niewielką szafkę ubrani ową. Trzymając ją zsunął się po chromowanej drabinie na dno basenu i zbliżył się do wyraźnie zaniepokojonego zwierzęcia. Zwierzę próbowało ucieczki, ale chwycił je i wepchnął do szafki.

Zwierzę było ciężkie, ważyło co najmniej tyle, co cegła. Powers dotknął ręką masywnego, oliwkowego pancerza, z którego wyłaniała się trójkątna głowa podobna do głowy żółwia. Patrzył na zrogowaciałe kończyny, które wyglądem przypomniały mu nagle szpony pterodaktyla. Przez chwilę przyglądał się mruganiu trójpowiekowych oczu, patrzących na niego z dna skrzynki.

— Spodziewasz się potężnego upału powiedział cicho. — Ten ołowiany parasol, który nosisz na sobie, ma cię chłodzić.

Przymknął wieczko, wydostał się z basenu, przeszedł przez biuro administratora i udał się w kierunku swojego samochodu.

…*Kaldren coś mi wciąż jeszcze zarzuca* (napisał Powers w swoim dzienniku). *Z jakichś powodów nie chce pogodzić się ze swą izolacją, stale wypracowuje nowe rytuały, które mają mu zastąpić godziny snu. Powinienem mu może powiedzieć o swoim szybko zbliżającym się punkcie zerowym, ale uznałby to zapewne za ostateczną, niewybaczalną obelgę. Posiadam w nadmiarze to, czego on tak rozpaczliwie pragnie. Nie wiadomo, co mogłoby się zdarzyć. Na szczęście te moje nocne koszmary ostatnio chwilowo osłabły*…

Odsunąwszy pamiętnik na bok Powers pochylił się nad biurkiem i przez jakiś czas patrzył przez okno na białe dno wyschniętego jeziora, ciągnące się aż po horyzont. W odległości trzech mil, na przeciwległym brzegu, w jasnym powietrzu popołudnia wirowała czasza radioteleskopu; przy jego pomocy Kaldren niezmordowanie wsłuchiwał się w Kosmos, brodząc w milionach kubicznych parseków próżni, jak nomadzi odkrywający morze na brzegach Zatoki Perskiej.

Za plecami Powersa mruczał aparat klimatyzacyjny i chłodny prąd powietrza opływał jasnoniebieskie ściany pokoju, ledwo widoczne w zmierzchu. Na zewnątrz powietrze było jasne i ciężkie, z kępy wyzłoconych kaktusów tuż pod oknami kliniki wylewały się fale upału, opływając ostre tarasy dwudziestopiętrowego budynku neurologii. Tam, w milczących sypialniach, izolowanych zamkniętymi okiennicami, nieuleczalni spali swoim bezsennym snem. Było ich już teraz w klinice ponad pięciuset, forpoczta olbrzymiej armii somnambulików odbywającej swój ostatni marsz. Pięć lat zaledwie minęło od chwili, gdy po raz pierwszy rozpoznano syndrom narkomy, ale ogromne szpitale rządowe gotowe już były na przyjęcie tysięcy. Wypadki narkomy stawały się z dnia na dzień coraz liczniejsze.

Powers poczuł się zmęczony. Spojrzał na rękę, gdzie nosił zwykle zegarek, zastanawiając się, ile ma jeszcze czasu do ósmej, do początku

swego okresu snu w tym tygodniu. Zasypiał teraz zawsze przed zmierzchem, wiedział, że wkrótce już nadejdzie jego ostatni świt.

Zegarek miał w kieszeni i przypomniał sobie, że postanowił go już nigdy nie używać. Siedział więc, przypatrując się półkom na książki umieszczonym na wprost biurka. Był wśród nich rząd zielono oprawnych publikacji Komisji Energii Atomowej, które przyniósł był tutaj z biblioteki Whitby'ego, oraz rozprawy, w których Whitby opisał swoją pracę na Pacyfiku po wybuchu bomby wodorowej. Wiele z nich Powers znał niemal na pamięć, czytał je setki razy, pragnąc zrozumieć ostatnie odkrycia zmarłego biologa. O ile łatwiej byłoby zapomnieć Toynbee'ego.

Czarna ściana gdzieś w tle świadomości rzuciła cień na jego myśli i na chwilę pociemniało mu w oczach. Wyciągnął rękę po kartki dziennika, myśląc o dziewczynie, którą widział w samochodzie Kaldreria (Coma, tak nazwał ją Kaldren; jeszcze jeden obłąkany dowcip Kaldrena) i jej uwadze o Noguchim. Analogia dotyczyła chyba w większym stopniu Whitby'ego niż jego. Potwory w laboratorium były tylko odpryskami wyobraźni Whitby'ego, jak na przykład ta opancerzona żaba, którą znalazł rano w basenie.

Myśląc o Comie i o przyjaznym uśmiechu, jakim go obdarzyła, zapisał w dzienniku:

Obudziłem się o godz. 6.33 rano. Ostatnia wizyta u Andersona. Dał mi do zrozumienia, że dalsze wizyty nie mają sensu i że lepiej bada się czuł w samotności. Zasnąć o ósmej? (Nieodwołalność terminów przeraża mnie).

Przerwał na chwilę, po czym dodał:

Żegnaj, Eniwetok!

2

Z dziewczyną spotkał się następnego dnia w laboratorium Whitby'ego. Pojechał tam zaraz po śniadaniu, zabierając z sobą zwierzę znalezione w basenie; chciał się nim zająć, zanim umrze. Jedyny opancerzony mutant, na jakiego natknął się przedtem, omal że nie spowodował jego śmierci. Przed miesiącem, kiedy jechał samochodem wokół jeziora, uderzył przednim kołem w zwierzę, w przekonaniu, że je po prostu rozgniecie. Jednak nasycony ołowiem pancerz zwierzęcia wytrzymał, choć wnętrze zostało zmiażdżone, siła uderzenia zepchnęła samochód do rowu. Zabrał wtedy z sobą pancerz, zważył go później w laboratorium i stwierdził, że zawierał około 600 gramów ołowiu.

Wiele gatunków roślin i zwierząt zaczęło wytwarzać ciężkie metale, które służyć miały jako tarcze radiologiczne. W górach, leżących po drugiej stronie plaży, dwóch starych poszukiwaczy złota próbowało uruchomić porzucony przed osiemdziesięciu laty sprzęt kopalniany. Zauważyli oni, że rosnące wokół kopalni kaktusy pokryte są żółtymi plamami. Analiza wykazała, że rośliny zaczęły wchłaniać opłacalne przy przerobie ilości złota, aczkolwiek zawartość złota w złożu była poniżej granicy opłacalności. W ten sposób stara kopalnia zaczęła w końcu przynosić zyski.

Obudziwszy się tego ranka o godz. 6.45 — dziesięć minut później niż dnia poprzedniego (stwierdził to słuchając w radio jednego ze stałych programów porannych) — zjadł niechętnie śniadanie, przez godzinę pakował książki, po czym zaadresował paczki do brata.

Pół godziny później był już w laboratorium Whitby'ego. Laboratorium mieściło się w kopule geodezyjnej, o średnicy stu stóp, zbudowanej tuż obok mieszkania, na zachodnim brzegu jeziora w odległości około mili od letniej rezydencji Kaldrena. Willa nie używana była od samobójczej śmierci Whitby'ego. Większość roślin i zwierząt doświadczalnych wymarła, zanim Powers uzyskał zezwolenie wstępu do laboratorium.

Skręcając w aleję wjazdową Powers ujrzał Comę stojącą na szczycie kopuły. Jej szczupła postać odbijała się wyraźnie na tle jasnego, porannego nieba. Pomachała mu ręką na powitanie, zsunęła się po szklanych płytach kopuły i zeskoczyła na drogę tuż przy samochodzie.

— Dzień dobry — powiedziała, uśmiechając się. — Przyszłam obejrzeć pana ogród zoologiczny. Kaldren twierdził, że nie wpuści mnie pan, jeśli będzie mi towarzyszyć, więc powiedziałam mu, że przyjdę sama.

I gdy Powers w milczeniu przetrząsał kieszenie, szukając kluczy,

dodała: — Jeśli pan chce, upiorę panu koszulę.

Powers uśmiechnął się patrząc na swoje pokryte kurzem, zapocone rękawy.

— To niezły pomysł — powiedział. — Rzeczywiście wyglądam trochę zaniedbany. — Otworzył drzwi i ujął Comę za ramię. — Nie wiem też, dlaczego Kaldren wygaduje takie głupstwa. Może tu przychodzić, kiedy tylko ma ochotę.

— Co pan ma tam w skrzynce? — zapytała Coma wskazując na szafkę, którą niósł.

— Dalekiego naszego krewnego, którego właśnie odkryłem. Bardzo interesujący osobnik. Zaraz go pani przedstawię.

Ruchome przepierzenia dzieliły budynek na cztery części. Dwie z nich służyły jako magazyn, wypełniony zapasowymi zbiornikami, aparaturą i żywnością dla zwierząt. Przeszli właśnie do trzeciej, w której mieścił się gigantyczny aparat rentgenowski 250 megaamperowy GE Maxitron, zainstalowany przy okrągłym, ruchomym stole. Wokół leżały wszędzie cementowe bloki ochronne, podobne do wielkich cegieł.

W czwartej części mieściło się zoo Powersa. Na ławkach i w zlewach ustawiono vivaria; na daszkach wentylacyjnych przylepione były wykresy i zapiski, różnego kształtu i koloru. Na podłodze widać było wszędzie przewody elektryczne i rury gumowe. Gdy szli wzdłuż zbiorników, za matowymi szybami przesuwały się cienie żyjących wewnątrz istot. W głębi niszy, tuż obok biurka Powersa, usłyszeli dochodzący z klatki rumor.

Odstawiwszy skrzynkę Powers wziął z biurka torebkę orzeszków i podszedł do klatki. Mały, czarnowłosy szympans w hełmie pilota przywitał ich, wisząc u krat, wesołym szczekaniem, po czym oglądając się przez ramię odskoczył ku tablicy kontrolnej zainstalowanej w tyle klatki. Pospiesznie zaczął naciskać klawisze i klatka wypełniła się mozaiką kolorowych świateł.

— Spryciarz jesteś — powiedział Powers klepiąc szympansa po plecach. Potem wsypał mu w łapę garść orzeszków. — Jesteś już za mądry na to, co? — dodał, gdy szympans zgrabnym ruchem magika demonstrującego sztuczki wrzucił sobie orzeszki do ust, skrzecząc przez cały czas.

Śmiejąc się Coma wzięła kilka orzeszków i dała je małpie.

— On jest rozkoszny. Zachowuje się, jakby z panem rozmawiał.

Powers skinął głową.

— Tak, on rzeczywiście ze mną rozmawia. Dysponuje około dwustu słowami, ale nie może sobie dać rady z rozdzielaniem sylab.

Z lodówki stojącej obok biurka wyjął pół bochenka pokrajanego chleba i wręczył go szympansowi, który natychmiast, jakby na to czekając, pochwycił z podłogi toster i postawił go na stole pośrodku

klatki. Powers naciśnięciem guzika na biurku włączył prąd i za chwilę z toastera dobiegł ich szelest nagrzewających się drutów.

— To jeden z najinteligentniejszych osobników, jakich mamy. Poziom jego inteligencji równy jest mniej więcej inteligencji pięcioletniego dziecka, ale pod wieloma względami szympans jest dużo bardziej samowystarczalny — powiedział Powers.

Z toastera wyskoczyły dwa kawałki chleba, które szympans natychmiast pochwycił, po czym, uderzywszy jakby od niechcenia dwukrotnie łapą w hełm, skoczył w kierunku budki zbudowanej w rogu klatki, gdzie z ramieniem przewieszonym nonszalancko przez okienko zaczął spokojnie i bez pośpiechu jeść.

— Sam sobie zbudował ten dom — powiedział Powers wyłączając prąd. — Nieźle, co? — wskazał równocześnie na brezentowe wiadro, z którego wystawało kilka zeschłych już badyli pelargonii. — Dogląda poza tym kwiatów, czyści sam swoją klatkę, szczebioce nieustannie, obrzucając nas potokiem dowcipów. Ogromnie, jak pani widzi, rozkoszny i zabawny osobnik.

Coma nie mogła powstrzymać się od śmiechu. — Ale po co ten hełm? — zapytała.

Powers zawahał się. — To dla samoochrony. Miewa czasami bóle głowy. Wszyscy jego poprzednicy… — przerwał i spojrzał w bok. — Chodźmy porozmawiać z innymi lokatorami — powiedział.

W milczeniu przeszli na drugi koniec sali.

— Zacznijmy od początku — powiedział Powers i zdjął szklaną pokrywkę z jednego ze zbiorników. Coma spojrzała do wnętrza. W płytkiej wodzie, pośród kamyków i muszli, zauważyła małe, okrągłe stworzenie, oblepione jak gdyby siatką wici.

— Anemon morski. A raczej były anemon morski. Prymitywny jamochłon — powiedział Powers i wskazał palcem na zgrubiały grzbiet stworzenia. — Zalepił otwór i przetworzył kanalik w coś, co można by nazwać zarodkiem kręgosłupa. Później wici przerodzą się w zwój nerwowy, już teraz reagują na kolor. Proszę spojrzeć. — Wziął fioletową chustkę Comy i rozłożył ją nad zbiornikiem. Wici zaczęły się kurczyć i rozluźniać, potem zwijać, jak gdyby chciały zlokalizować wrażenie.

— Ciekawe, że wici nie reagują zupełnie na białe światło. W normalnych warunkach wici reagują na zmiany ciśnienia, podobnie jak błony bębenkowe w uchu ludzkim. Tak więc teraz wici jak gdyby słyszą barwy. Oznacza to, że stworzenie przystosowuje się do egzystencji poza wodą, do życia w świecie statycznym, pełnym ostrych, kontrastowych kolorów.

— Ale co to wszystko znaczy? — zapytała Coma.

— Jeszcze chwilę cierpliwości — powiedział Powers. Przeszli wzdłuż ławki do grupy zbiorników o kształcie bębnów, zbudowanych

z siatki na komary. Nad pierwszym z nich wisiała ogromna, powiększona mikrofotografia wykresu przypominającego pogodę, a nad nią napis: „Drosophila — 15 rentg/min.”

Powers zapukał w małe okienko bębna.

— Mucha owocowa. Jej ogromne chromosomy nadają się świetnie do badań — powiedział. Pochylił się i dotknął palcem ogromnego plastra w kształcie litery V zawieszonego przy ścianie bębna. Z plastra wypełzło kilka much. — W normalnych warunkach każda z nich żyje samotnie. Tutaj utworzyły formę życia społecznego i zaczęły wydzielać coś w rodzaju rozrzedzonego, słodkawego płynu przypominającego miód.

— A co to? — zapytała Coma, dotykając palcem wykresu.

— Wykres działania kluczowych genów — powiedział Powers. Pociągnął palcem po strzałkach prowadzących od ogniwa do ogniwa. Nad strzałkami widniał napis: „gruczoły limfatyczne”, a niżej: „mięśnie zwieraczowe. nabłonek, templet”.

— Wygląda to trochę jak perforowana karta pianina automatycznego, prawda? — zapytał Powers. — Albo taśma komputerowa. Wystarczy wybić promieniami rentgenowskimi jedno z tych ogniw, a już zmienia się cecha, powstaje coś nowego.

Coma spojrzała na drugi zbiornik i ściągnęła wargi ze wstrętem. Poprzez jej ramię Powers zobaczył, że patrzy na ogromnego, podobnego do pająka owada. Owad miał rozmiary ręki ludzkiej i owłosione kończyny co najmniej tak grube jak ludzkie palce. Mozaikowe oczy przypominały ogromne rubiny.

— Nie wygląda przyjemnie — powiedziała Coma. — A co to jest ta drabina sznurowa, którą snuje? — Gdy podniosła palec do ust, pająk poruszył się, wsunął się w głąb klatki i począł wyrzucać z siebie pogmatwaną masę nici, które wydłużonymi pętlami zawisły nad sufitem klatki.

— Pajęczyna — powiedział Powers — z tą tylko różnicą, że składa się z tkanki nerwowej. Te drabinki, które pani widzi, są zewnętrznym układem nerwowym, wydłużonym jak gdyby mózgiem, który pająk może wypompowywać zależnie od okoliczności. Mądry wynalazek. To o wiele lepsze niż nasz własny mózg.

Coma odstąpiła kilka kroków od klatki. — Potworne. Nie chciałabym mieć z nim do czynienia.

— Nie jest on taki straszny, na jakiego wygląda. Te ogromne oczy, które się w panią wpatrują, są ślepe. Ich czułość zmniejszyła się. Źrenice reagują tylko na promienie gamma. Wskazówki pani zegarka są luminowane. Gdy poruszyła pani ręką przed okienkiem, pająk zareagował. Po czwartej wojnie światowej znajdzie się naprawdę w swoim żywiole.

Gdy powrócili do biurka, Powers włączył maszynkę do kawy i

podsunął krzesło Comie. Potem otworzył pudełko, wyjął z niego opancerzoną żabę i położył ją na kawałku bibuły na biurku.

— Rozpoznaje ją pani? To towarzysz naszych lat dziecięcych, zwyczajna żaba. Zbudowała sobie, jak pani widzi, dość solidny schron przeciwlotniczy. — Zaniósł żabę do zlewu, odkręcił kurek i patrzył, jak woda spływała miękko po pancerzu. Wytarł ręce o koszulę i powrócił do biurka.

Coma odgarnęła spadające jej na oczy włosy i patrzyła na niego z ciekawością.

— No, niech więc mi pan powie, co to wszystko znaczy — zapytała.

Powers zapalił papierosa.

— To nic nie znaczy. Teratolodzy od lat produkują potwory. Czy słyszała pani kiedyś o tak zwanej „milczącej parze"?

Coma zaprzeczyła.

Przez chwilę Powers patrzył na nią w zamyśleniu.

— Tak zwana „milcząca para" jest jednym z najstarszych problemów współczesnej genetyki, nie dającą się rozwiązać tajemnicą dwu biernych genów, które pojawiają się w nielicznej procentowo liczbie żywych organizmów i nie mają żadnej jasno określonej funkcji w budowie czy rozwoju tych organizmów. Przez wiele lat biologowie próbowali je ożywić, a raczej zmusić do działania, ale trudność polegała na tym, że geny te, jeśli nawet istnieją, nie dają się łatwo wyodrębnić spośród innych aktywnych genów tkwiących w zapłodnionych komórkach rozrodczych, a ponadto niełatwo jest poddać je działaniu dostatecznie wąskiej wiązki promieni rentgenowskich tak, by nie uszkodzić reszty chromosomu. Jednakże w wyniku dziesięcioletniej pracy, biolog nazwiskiem Whitby wynalazł skuteczną metodę całkowitego naświetlenia całego organizmu, opartą na obserwacjach, jakich dokonał w dziedzinie uszkodzeń radiobiologicznych na wysepce Eniwetok.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Whitby spostrzegł — ciągnął dalej Powers — że uszkodzenia będące wynikiem wybuchu były większe, niżby to wynikało z wielkości energii, z bezpośredniego napromieniowania. Było to wynikiem faktu, że struktura proteinowa w genach gromadziła energię w taki sposób, jak drgająca membrana w rezonansie.

Pamięta pani analogie z mostem, który rozpada się pod wpływem marszu oddziału wojska idącego miarowym krokiem? Whitby'emu przyszło na myśl, że jeśli udałoby mu się zidentyfikować najpierw krytyczną częstotliwość rezonansową struktury w jakimś wybranym milczącym genie, mógłby naświetlać niewielkim promieniowaniem cały organizm, a nie tylko tkanki rozrodcze, i oddziaływać jedynie na milczący gen, bez uszkodzenia pozostałych chromosomów, których

struktury reagowałyby rezonansowe na odmienne częstotliwości. — Ręką, w której trzymał papieros, powiódł dokoła. — Widzi pani tutaj owoce tej wynalezionej przez Whitby'ego techniki „przemieszczenia rezonansowego".

Coma skinęła głową.

— Milczące geny tych organizmów zostały pobudzone? — zapytała.

— Tak, tych wszystkich. To, co pani tu widzi, to tylko kilka z tysięcy okazów, jakie przeszły przez to laboratorium. Wyniki można by powiedzieć są zaskakujące.

Wstał i zasunął przeciwsłoneczne żaluzje. Siedzieli tuż pod wklęsłym płatem kopuły i coraz silniejsze słońce stawało się trudne do wytrzymania. W półzmierzchu uwagę Comy zwrócił stroboskop, błyskający w jednym ze zbiorników. Wstała i podeszła tam, przypatrując się przez chwilę wysokiemu słonecznikowi o zgrubiałej, chropowatej łodydze i niesamowicie wprost wyolbrzymionej tarczy. Zbudowany wokół kwiatu, tak że widać było tylko jego górną powierzchnię, widniał komin złożony z szarobiałych misternie spojonych kamyczków z napisem:

„Kreda: 80 000 000 lat."

Obok na ławce ustawione były trzy mniejsze kominki z etykietami: „Piaskowiec devoński: 290 000 000 lat", „Asfalt: 20 lat", „Polichlorek winylu: 6 miesięcy".

— Czy widzi pani te wilgotne białe dyski na płatkach? — zapytał Powers podchodząc do Comy. — W jakimś stopniu regulują one metabolizm rośliny. Roślina dosłownie widzi czas. Czym starsze otoczenie, tym powolniejszy metabolizm. W kontakcie z kominkiem asfaltowym jej roczny cykl rozwojowy trwa tydzień, w kontakcie z PCV dwie godziny jedynie.

— Widzi czas — powtórzyła Coma. Spojrzała na Powersa, przygryzając w zamyśleniu dolną wargę. — To nie do uwierzenia. Czy to są stworzenia przyszłości?

— Nie wiem — powiedział Powers. — Ale jeśli tak, to ich świat będzie monstrualnie surrealistyczny.

3

Powrócił do biurka, wyjął dwie filiżanki z szuflady, nalał w nie kawy i zgasił maszynkę.

— Niektórzy twierdzą, że organizmy posiadające milczącą parę genów są zwiastunami jakiegoś powszechnego dźwignięcia się krzywej ewolucyjnej, że milczące geny są czymś w rodzaju kodu, posłannictwa, które my, niższe organizmy, nosimy w sobie na użytek wyższych mających po nas nadejść. Być może kod ten odkryliśmy zbyt wcześnie — powiedział Powers.

— Co pan przez to rozumie?

— Albowiem wnioskując ze śmierci Whitby'ego doświadczenia dokonane tu w laboratorium nie skończyły się fortunnie. Każdy, dosłownie każdy z naświetlonych przez niego organizmów wszedł w fazę zupełnie nieskoordynowanego rozwoju, tworząc wysoce wyspecjalizowane narządy zmysłowe, których sensu nie możemy nawet odgadnąć. Następstwa tego rozwoju są katastrofalne — anemon dosłownie rozpryśnie się w kawałki, drosophilie pożrą się nawzajem, i tak dalej. Czy przyszłość zawarta w tych roślinach i zwierzętach kiedyś się spełni, a może jest to z naszej strony jedynie ekstrapolacja — któż może przewidzieć? Niekiedy wydaje mi się, że te nowo utworzone narządy zmysłowe są jedynie parodią planowanej realizacji. Okazy, które pani tu widzi, są dopiero we wczesnej fazie drugiego cyklu rozwojowego. W miarę upływu czasu wygląd ich będzie coraz bardziej dziwaczny i niewyobrażalny.

Coma pochyliła głowę. — Tak, ale czym jest ogród zoologiczny bez nadzorcy? Co czeka człowieka?

Powers wzruszył ramionami. — Mniej więcej jeden człowiek na sto tysięcy jest w posiadaniu milczącej pary genów. Może pani je ma, może ja? Nikt jeszcze nie odważył poddać się totalnemu naświetleniu. Pomijając już fakt, że byłoby to równoznaczne z samobójstwem, doświadczenia, których rezultaty tu widzimy, wskazują, że to samobójstwo byłoby okrutne i. gwałtowne.

Napił się kawy, czując się nagle ogromnie zmęczony i znudzony. Streszczanie rezultatów wieloletniej pracy bardzo go znużyło.

Dziewczyna pochyliła się ku niemu.

— Wygląda pan bardzo blado — powiedziała z troską. — Nie sypia pan dobrze?

Powers zmusił się do śmiechu.

— Za dobrze — powiedział. — Spanie nie sprawia mi absolutnie żadnej trudności.

— Ach, gdyby to można było powiedzieć o Kaldrenie — powiedziała Coma. — Sypia za mało, co noc go słyszę, jak chodzi po

pokoju. Jednak to chyba lepiej niż być nieuleczalnym. Czy nie sądzi pan, że warto byłoby zastosować metodę naświetlenia w stosunku do pacjentów śpiących w klinice? Może by ich to obudziło, zanim przyjdzie koniec. Może właśnie któryś z nich jest nosicielem tych milczących genów?

— Każdy z nich je ma — powiedział Powers. — Te dwa zjawiska w istocie pozostają z sobą w ścisłym związku. — Był już teraz ogromnie zmęczony i zastanawiał się, czy nie poprosić dziewczyny, by zostawiła go samego. Potem jednak przeszedł na drugą stronę biurka i wyciągnął spod niego magnetofon. Włączywszy go, przewinął taśmę i wyregulował siłę głosu.

— Często ze sobą o tym rozmawialiśmy, Whitby i ja — powiedział. — W końcowej fazie tych rozmów zacząłem je nagrywać. Whitby był wielkim biologiem, więc posłuchajmy, co on sam w tej sprawie miał do powiedzenia. To właśnie jest sednem rzeczy. — Nacisnął klawisz i dodał: — Odtwarzałem to już z tysiąc razy, więc taśma jest nieco zniszczona.

Głos starszego mężczyzny, ostry i poirytowany, górował nad zakłóceniami i Coma bez trudu rozróżniła słowa.

WHITBY: …na miłość boską, Robercie, spójrz na statystyki FAO. Pomimo pięcioprocentowego wzrostu wydajności z akra, w ciągu ostatnich piętnastu lat, światowa produkcja pszenicy maleje prawie o dwa procenty. Ta sama historia powtarza się ad nauseam. Dotyczy to wszystkich innych produktów — roślin korzennych i zbożowych, mleka i nabiału, paszy zwierzęcej wszystko spada. Porównaj to z całą masą zjawisk równoległych — od zmian w dziedzinie szlaków migracyjnych do przedłużających się z roku na rok okresów zimowania u zwierząt — i zobaczysz, że ogólna prawidłowość jest nieodwracalna.

POWERS: Przyrost naturalny w Europie i Ameryce Północnej nie wykazuje żadnej zniżki…

WHITBY: Oczywiście że nie, ale o tym już mówiłem. Minie sto lat, zanim taki ułamkowy spadek w płodności wywrze jakiś wpływ na obszarach, gdzie powszechna kontrola urodzeń tworzy sztuczny rezerwuar. Popatrz na kraje Dalekiego Wschodu, a szczególnie na te, gdzie śmiertelność wśród niemowląt utrzymuje się wciąż na tym samym poziomie. Ludność Sumatry na przykład wykazuje spadek powyżej piętnastu procent w okresie ostatnich dwudziestu lat. Jest to statystycznie znaczący spadek! Czy zdajesz sobie sprawę, że jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści lat temu wyznawcy neomaltuzjanizmu krzyczeli o „eksplozji” w przyroście naturalnym. Okazuje się, że nie jest to eksplozja, lecz implozja. Dodatkowym czynnikiem jest…

W tym miejscu taśma była widocznie przecięta i sklejona. Whitby bardziej już spokojnym głosem mówił:

…tak po prostu, bo mnie to interesuje, powiedz mi, jak długo sypiasz w nocy?

POWERS: Nie wiem dokładnie. Około ośmiu godzin.

WHITBY: Przysłowiowe osiem godzin. Zapytaj kogokolwiek, ile czasu zabiera mu spanie, a odpowie automatycznie: osiem godzin. W rzeczywistości sypia około dziesięciu godzin, podobnie jak większość ludzi. Niejednokrotnie sprawdziłem to na sobie. Ja sypiam około jedenastu godzin. A jeszcze trzydzieści lat temu ludzie poświęcali na sen nie więcej niż osiem godzin, a wiek wcześniej sześć czy siedem. W swoich „Żywotach" Yasari pisze, że Michał Anioł spał nie dłużej niż cztery czy pięć godzin na dobę, malując przez cały dzień, i to w wieku osiemdziesięciu lat, a potem jeszcze pracował po nocach przy stole anatomicznym z lampą zawieszoną nad czołem. Teraz uważamy to za coś dziwnego, ale współcześni nic w tym niezwykłego nie widzieli. Jak sądzisz, w jaki sposób starożytni, od Platona do Szekspira, od Arystotelesa do Tomasza z Akwinu, osiągnąć mogli aż tyle w ciągu swego życia? Ponieważ mieli sześć czy siedem dodatkowych godzin czasu na dobę. Oczywiście poza elementem czasu mamy niższy stopień metaboliczny. Dodatkowy czynnik, którego nikt nie bierze pod uwagę.

POWERS: Można by przypuszczać, że ten przedłużający się okres snu jest formą wyrównania, jakąś masową próba ucieczki od ogromnego stressu życia miejskiego pod koniec dwudziestego wieku.

WHITBY: Można by, ale byłby to błąd. Jest to bowiem po prostu problem biochemiczny. Templety kwasu rybonukleinowego, które otwierają łańcuch proteinowy w każdym żywym organizmie, są zużyte, a matryce, które określają protoplazmatyczne właściwości — zniekształcają się. I nic dziwnego, jeśli się zważy, że pracują niezmiennie od około miliarda lat. Najwyższy czas na remont kapitalny. W tym samym stopniu, w jakim ograniczony czasem jest żywot każdego organizmu, żywot kolonu drożdżowej lub każdego innego gatunku, w ten sam sposób ograniczony czasem jest żywot całego świata organicznego. Przyjmowano zawsze, że krzywa ewolucyjna biegnie w górę, choć w rzeczywistości szczyt swój już dawno osiągnęła i teraz biegnie w dół, ku powszechnemu biologicznemu końcowi. Jest to, przyznaję, przerażająca i jak na razie trudna do przyjęcia wizja przyszłości, ale jest to wizja jedynie prawdziwa. Za pół miliona lat nasi potomkowie, których dzisiaj wyobrażamy sobie jako wielomózgowe istoty wędrujące wśród gwiazd, będą prawdopodobnie nagimi dzikusami o zarośniętych czołach, biegającymi po tym szpitalu z wyciem, zupełnie jak człowiek neolityczny uchwycony w makabryczną inwersję czasu. Wierz mi, żal mi ich, tak samo, jak żal mi siebie samego. Moje całkowite fiasko, absolutny brak prawa do jakiegokolwiek moralnego czy biologicznego

bytu, zawarty jest już teraz w każdej komórce mojego ciała…

Taśma skończyła się, szpulka kręciła się jeszcze przez chwilę, aż stanęła. Powers wyłączył magnetofon i potarł odruchowo napięte mięśnie twarzy. Coma siedziała w milczeniu, patrząc na niego i słuchając stuku kostek w pudełku, którymi bawił się szympans.

— Whitby sądził — przerwał milczenie Powers — że milczące geny stanowią ostatnią rozpaczliwą próbę świata organicznego, by utrzymać — jak to się mówi — głowę ponad wzbierającą wodą. Żywot wszystkich organizmów zależny jest od ilości energii wypromieniowywanej przez Słońce. Z chwilą gdy ilość ta osiągnie punkt krytyczny, przekroczymy linię śmierci i nic już nie uchroni nas od pełnej zagłady. W celach ochronnych wytworzył się w żywych organizmach system alarmowy, który pozwala na dostosowanie się do radiologicznie gorętszego klimatu. Miękkoskóre stworzenia tworzą pancerze, zawierające duże ilości ciężkich metali — tarcze ochronne przed promieniowaniem. Whitby twierdził, że to wszystko i tak z góry przegrana sprawa, ale ja czasem wątpię… — Uśmiechnął się do Comy i wzruszył ramionami. — No, ale pomówmy o czym innym. Jak długo zna pani Kaldrena?

— Mniej więcej od trzech tygodni, choć zdaje się, że upłynęło już tysiąc lat — powiedziała Coma.

— Co pani o nim myśli? Ostatnio jakoś nie kontaktowałem się z nim.

Coma uśmiechnęła się. — Ja sama niezbyt często go widuję. Każe mi ciągle spać. Kaldren to zdolny chłopak, ale żyje wyłącznie dla siebie. Pan odgrywa w jego życiu znaczną rolę. Właściwie jest pan moim jedynym poważnym rywalem.

— Myślałem, że mnie po prostu nie może ścierpieć.

— To tylko pozory. W rzeczywistości nieustannie o panu myśli. Dlatego ciągle pana śledzi. — Spojrzała na Powersa uważnie. — Wydaje mi się, że czuję się czemuś winny.

— Winny? — zdziwił się Powers. — On czuje się winny? Sądziłem, że to ja powinienem poczuwać się do winy.

— Pan? Dlaczego? — Coma zawahała się, a potem zapytała: — Zdaje się, że dokonał pan na nim jakichś eksperymentalnych zabiegów?

— Tak — powiedział Powers. — Ale nie były to zabiegi w pełni udane, jak wiele innych, do których przykładałem rękę. Jeśli Kaldren czuje się winny, to być może wynika to z faktu, że czuje się za moje fiasko w jakimś stopniu odpowiedzialny.

Spojrzał na siedzącą dziewczynę i jej inteligentne ciemne oczy.

— Tak, myślę że powinienem pani o tym powiedzieć. Mówiła pani, że Kaldren chodzi całymi nocami po pokoju, że nie może spać. W rzeczywistości ten brak snu jest u niego stanem normalnym…

Coma skinęła głową.

— Pan… — zrobiła ruch ręką, jakby coś odcinając.

— …znarkotomizowałem go — dokończył Powers.

Z punktu widzenia chirurgicznego operacja świetnie się udała. Można by dostać za nią nagrodę Nobla. W normalnych warunkach okresy snu u człowieka reguluje hipothalamus; podnosząc próg świadomości umożliwia odpoczynek naczyniom włoskowa tym w mózgu i drenuje nagromadzone w nich toksyny. Jednakże, gdy niektóre z pętli sterowań zostają przerwane, pacjent nie otrzymuje, jak w normalnych warunkach, sygnału do snu i drenowanie odbywa się w stanie przytomności. Wszystko, co czuje, to rodzaj chwilowego zamroczenia, które mija po kilku godzinach. W fizycznym sensie Kaldren przedłuża swoje życie zapewne o dwadzieścia lat. Psyche domaga się jednak snu z jakichś nieznanych przyczyn, co sprawia, że Kaldrenem okresowo targają burze. Cała ta sprawa to wielka i tragiczna pomyłka.

Coma zmarszczyła czoło. — Tyle się też domyślałam. W artykułach ogłoszonych w czasopismach neurochirurgicznych nazywa pan swojego pacjenta literami K.A. Analogia z Kafką jest tu niezaprzeczalna.

— Być może, że wkrótce się stąd wyprowadzę i już chyba nigdy nie wrócę — powiedział Powers. — Czy mogłaby pani dopilnować, by Kaldren nie zaniedbał swych wizyt w klinice? Tkanki wokół szramy wciąż jeszcze wymagają okresowej kontroli.

— Spróbuję. Czasami mam wrażenie, że sama jestem jeszcze jednym z obłędnych ostatecznych dokumentów Kaldrena — powiedziała Coma.

— Dokumentów? Jakich dokumentów?

— Nic pan o nich nie wie? To zbiór tak zwanych ostatecznych stwierdzeń o rodzaju ludzkim, które gromadzi Kaldren. Dzieła zebrane Freuda, kwartety Beethovena, sprawozdania z procesu w Norymberdze, powieść automatyczna, i tym podobne… — Coma przerwała widząc, że Powers jej nie słucha. — Co pan rysuje?

— Gdzie?

Wskazała na bibułę i Powers zorientował się, że bezwiednie, lecz z ogromną dokładnością rysował czteroramienne słońce, ideogram Whitby'ego.

— Ach, to… to nic, tak sobie bazgrzę — powiedział, lecz czuł, że rysunek miał w sobie jakąś dziwną i nieprzeparta moc.

Coma wstała, by się pożegnać. — Proszę nas kiedyś odwiedzić, doktorze. Kaldren chciałby panu tyle pokazać. Wydostał skądś starą kopię ostatnich sygnałów przekazanych dwadzieścia lat temu przez załogę Merkurego 7, zaraz po ich lądowaniu na Księżycu. Pamięta pan te dziwne komunikaty, które nagrali na krótko przed śmiercią, pełne

jakiejś poetyckiej maligny o białych ogrodach. Przypomina mi to trochę zachowanie się roślin tu, w pana laboratorium.

Włożyła ręce w kieszenie i wyjęła z jednej z nich kartkę. — Przy okazji Kaldren prosił, bym to panu przekazała — powiedziała.

Była to fiszka z kartoteki bibliotecznej obserwatorium. Pośrodku wypisana była liczba:

96 688 365 498 720

— Dużo czasu upłynie, zanim z tą szybkością dojdziemy do zera — powiedział z sarkazmem Powers. — Będę miał całą kolekcję, zanim to się skończy.

Gdy wyszła, wrzucił fiszkę do kosza na śmiecie, usiadł przy biurku i przyglądał się przez godzinę wyrysowanemu na bibule ideogramowi.

W połowie drogi do jego domu letniego szosa rozwidlała się prowadząc na lewo, pośród pustych wzgórz, ku od dawna nie używanej strzelnicy wojskowej, zainstalowanej nad jednym z odległych solnych jezior. Tuż za bramą wjazdową zbudowano kilka małych bunkrów i wież obserwacyjnych, jeden czy dwa metalowe baraki, oraz pokryty niskim dachem budynek magazynów. Cała przestrzeń otoczona była białymi wzgórzami, które odcinały ja od reszty świata. Powers lubił włóczyć się pieszo wzdłuż pozycji strzeleckich zamkniętych cementowymi tarczami na linii horyzontu. Abstrakcyjna prawidłowość rozmieszczenia obiektów na powierzchni pustyni wywoływała w nim uczucie, że jest mrówką krzątającą się po szachownicy, na której ustawiono dwie armie, jedną w formie bunkrów i wież, drugą w kształcie tarcz strzelniczych.

Spotkanie z Comą uświadomiło mu nagłe, jak bezsensownie i niewłaściwie spędzał swoje kilka ostatnich miesięcy. *Żegnaj, Eniwetok* — zapisał był w dzienniku, ale w istocie rzeczy systematyczne zapominanie było niczym innym, jak pamiętaniem, katalogowaniem wstecz, przestawianiem książek w bibliotece umysłu i stawianiem ich we właściwym miejscu, lecz grzbietem do ściany.

Wspiąwszy się na jedną z wież obserwacyjnych, oparł się o balustradę i patrzył w kierunku tarcz strzelniczych. Pociski i rakiety wygryzły miejscami całe kawały cementu, ale zarys ogromnych s tu jardowych tarcz, pomalowanych na czerwono i niebiesko, wciąż jeszcze był widoczny. Przez pół godziny stał, patrząc na nie, a myśli jego były bezkształtne. Potem bez zastanowienia zszedł z wieży i przeszedł do hangaru. Wewnątrz było chłodno. Chodził pośród zardzewiałych wózków elektrycznych i pustych beczek, aż w przeciwległym końcu hangaru, za stosem drzewa i zwojami drutów, znalazł nienaruszone worki z cementem, trochę brudnego piasku i starą maszynę do rozrabiania cementu.

Pół godziny później podprowadził samochód pod hangar, przyczepił do tylnego zderzaka maszynę do rozrabiania cementu, wyładowaną piaskiem, cementem i wodą, którą wlał z leżących wokoło beczek, po czym załadował jeszcze kilka worków cementu do bagażnika i na tylne siedzenie. Wreszcie wybrał ze sterty drewna kilka prostych desek, wepchnął je przez okno samochodu i ruszył przez jezioro w kierunku środkowej tarczy strzelniczej.

Przez następne dwie godziny pracował bez wytchnienia pośrodku ogromnej, niebieskiej tarczy, rozrabiając ręcznie cement, przenosząc go i wlewając w prymitywne formy, które sklecił z desek. Potem kształtował cement w sześciocalowy murek otaczający tarczę. Pracował bez przerwy mieszając cement lewarem podnośnika i nalewając deklem, który zdjął z koła. Gdy skończył i odjechał, zostawiając sprzęt na miejscu, ściana, którą zbudował, miała nieco ponad trzydzieści stóp długości.

4

7 czerwca. *Świadom po raz pierwszy krótkości dnia. Gdy miałem jeszcze dwanaście godzin czasu na dobą, bazą mojej orientacji czasowej było południe; poranek i wieczór zachowywały swój dawny rytm. Teraz, gdy pozostało mi tylko jedenaście godzin świadomości, tworzą one ciągły przedział podobny fragmentowi taśmy mierniczej. Widzę, ile jeszcze zostało na szpuli, ale nie umiem zredukować tempa, w jakim się taśma odwija. Czas spędzam na powolnym pakowaniu biblioteki. Paki są za ciężkie, więc ich nie ruszam. Liczba komórek opadła do 400 000.*

Obudziłem się o 8.10. Zasnę o 19.15. (Zdaje się, że zgubiłem zegarek, musiałem jechać do miasta, by kupić sobie nowy).

14 czerwca. *Zostało mi dziewięć i pól godziny. Pozostawiam za sobą czas jak autostradę. Ostatni tydzień wakacji mija zawsze szybciej niż pierwszy. Przy tej szybkości zmian zostało mi jeszcze zapewne od czterech do pięciu tygodni. Dzisiaj rano próbowałem sobie wyobrazić ten mój ostatni tydzień — ostatnie trzy, dwa, jeden, koniec — i nagle ogarnął mnie atak strachu, niepodobny do niczego, co dotychczas przeżyłem. Minęło pół godziny, zanim byłem w stanie zrobić sobie zastrzyk pokarmowy.*

Kaldren chodzi za mną jak cień. Wypisał na bramie kredą: 96 688 365 498 702. Doprowadzi do obiadu listonosza. Obudziłem się o 9.05. Zasnę o 18.36.

19 czerwca. *Osiem i trzy czwarte godziny. Telefonował do mnie rano Anderson. Chciałem odłożyć słuchawkę, ale jakoś udało mi się do końca zachować uprzejmość i omówić ostatnie formalności. Pogratulował mi stoicyzmu, użył nawet słowa „bohaterski". Nie czuję tego. Rozpacz przenika wszystko — odwagę, nadzieję, dyscyplinę, wszystkie tak zwane cnoty. Jak trudno utrzymać tę bezosobową postawę godzenia się z faktami, która tkwi u podstaw tradycji naukowej. Próbuję myśleć o Galileuszu w obliczu inkwizycji, o Freudzie, znoszącym cierpliwie ból swojej rakowatej szczęki.*

W mieście spotkałem Kaldrena. Rozmawialiśmy o Merkurym 7. Kaldren jest przekonany, że załoga statku świadomie zdecydowała się pozostać na Księżycu, że decyzję tę powzięła po zaznajomieniu się z „informacją kosmiczną". Tajemniczy wysłannicy z Oriona przekonali przybyszów z Ziemi, że wszelka eksploracja przestrzeni jest daremna, że podjęli ją za późno, gdy żywot wszechświata dobiega już końca. K. twierdzi, że niektórzy generałowie lotnictwa biorą te brednie na serio, ale podejrzewam, że jest to jeszcze jedna obłąkana próba ze strony K., by mnie pocieszyć.

Muszę wyłączyć telefon. Jakiś facet dzwoni do mnie bezustannie domagając się zapiały za pięćdziesiąt worków cementu, które zakupiłem rzekomo u niego dziesięć dni temu. Twierdzi, że pomógł mi je załadować

na wóz ciężarowy. Pamiętam, że jeździłem furgonetką Whitby'ego do miasta, ale chodziło przecież o zakup ekranów ołowiowych. Cóż mógłbym zrobić z tym cementem. To właśnie takie głupstwa wiszą mi nad głową teraz, gdy zbliża się ostateczny koniec. (Morał: nie należy zbyt usilnie zapominać Eniwetoku). Obudziłem się o 9.40. Zasnę o 16.15.

25 czerwca. *Siedem i pół godziny. Kaldren znów węszył dziś wokół laboratorium. Zadzwonił do mnie. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem jakiś nagrany na taśmę głos, bełkoczący cały łańcuch liczb jak oszalały komputer. Te jego dowcipy stają się męczące. Wkrótce muszę go odwiedzić, już choćby po to, by dojść z nim do porozumienia. Będzie to zresztą okazja do zobaczenia się z panienką z Marsa.*

Wystarcza mi teraz jeden posiłek podbudowany zastrzykiem glukozy. Sen jest wciąż „czarny" i nieregenerujący. Ubiegłej nocy zrobiłem 16 milimetrowy film z pierwszych trzech godzin i oglądałem go dzisiaj rano w laboratorium. Był to pierwszy autentyczny film horroru. Wyglądałem jak półżywy trup. Obudziłem się o 10.25. Zasnę o 15.45.

3 lipca. *Pięć i trzy czwarte godziny. Prawie nic dzisiaj nie zrobiłem. Pogłębiający się letarg. Z trudem dotarłem do laboratorium, dwukrotnie niemal zjeżdżając z szosy. Skupiłem się na tyle, że nakarmiłem zwierzęta i dokonałem zapisu w dzienniku laboratoryjnym. Przeczytałem też zapiski Whitby'ego, przygotowane na sam koniec eksperymentu i zdecydowałem się na 40 rentgenów na minutę oraz odległość — 350 centymetrów. Wszystko jest już gotowe. Obudziłem się o 11.05. Zasnę o 15.15.*

Przeciągnął się, przesunął głowę na poduszce, ogniskując wzrok na cieniach, które na sufit rzucały zasłony okienne. Potem spojrzał na swoje stopy i zobaczył Kaldrena, siedzącego na łóżku i uważnie mu się przypatrującego.

— Cześć, doktorze — powiedział Kaldren, gasząc papierosa. — Późna noc. Wygląda pan na zmęczonego.

Powers podźwignął się na łokciu i spojrzał na zegarek. Było po jedenastej. Przez chwilę był zamroczony, przerzucił nogi na krawędź łóżka, oparł łokcie o kolana i pięściami zaczął masować sobie twarz.

Spostrzegł, że pokój był pełen dymu.

— Co tu robisz? — zapytał Kaldrena.

— Przyszedłem zaprosić pana na lunch — powiedział Kaldren i wskazał ręką na telefon. — To nie działa, więc przyjechałem. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy ten najazd. Dzwoniłem do drzwi chyba z pół godziny. Dziwi mnie, że pan nie słyszał.

Powers skinął głową, wstał i próbował przez chwilę wygładzić kanty swych pomiętych bawełnianych spodni. Od tygodnia już nie zmieniał ubrania, spodnie miał wilgotne i lekko cuchnące. Gdy szedł do łazienki, Kaldren wskazał statyw, stojący koło łóżka. — Co to, doktorze? Zaczyna pan filmować dramaty?

Powers popatrzył na niego przez chwilę, potem na statyw i wtedy spostrzegł, że kartki dziennika były otwarte. Zastanawiając się, czy Kaldren przeczytał ostatnie zapisy, wziął dziennik, wszedł do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi. Z szafki nad umywalką wyjął strzykawkę i ampułkę. Po zastrzyku oparł się przez chwilę o drzwi, czekając na efekt.

Kaldren stał w pokoju, zabawiając się odczytywaniem nalepek na pakach z książkami, które Powers zostawił pośrodku pokoju.

— Dobrze, zjem z tobą lunch — powiedział Powers, patrząc na niego z uwagą. Kaldren był wyjątkowo opanowany. Powers dopatrzył się nawet w jego zachowaniu szacunku.

— Świetnie — powiedział Kaldren. — Czy, nawiasem mówiąc, postanowił pan się przeprowadzić? — zapytał.

— Czy to ważne? Przecież jesteś teraz pod nadzorem Andersena.

Kaldren wzruszył ramionami.

— Proszę przyjechać koło dwunastej — powiedział. — Pozwoli to panu umyć się i przebrać. Co to za plamy ma pan na koszuli? Wygląda na wapno.

Powers przyjrzał się plamom, a potem próbował strzepnąć z koszuli biały kurz. Po wyjściu Kaldrena, rozebrał się, wziął prysznic i wyciągnął z walizki czysty garnitur.

Przed związaniem się z Comą Kaldren mieszkał samotnie w starym domu letnim na północnym brzegu jeziora. Był to siedmiopiętrowy dziwoląg, zbudowany przez ekscentrycznego milionera — matematyka, w formie betonowej wstęgi, która zwijała się wokół siebie jak oszalały wąż. Tylko Kaldren rozwiązał zagadkę budynku, geometrycznego modelu $\sqrt{-1}$ wynajął go od agenta za stosunkowo niewielką opłatą. Z okna laboratorium Powers widywał go wieczorami przechodzącego nieustannie z jednego poziomu na drugi, wspinającego się w labiryncie pochyleń i tarasów aż na dach, gdzie tkwił godzinami jak szafot na tle nieba, tropiąc w przestrzeni szlaki fal, które jutro uchwyci.

Gdy Powers podjechał w południe, ujrzał go stojącego na występie budynku na wysokości stu pięćdziesięciu stóp, z głową podniesioną dramatycznie ku niebu.

— Kaldren! — zawołał, jakby w oczekiwaniu, że nagły krzyk wytrąci tamtemu oparcie spod nóg.

Kaldren spojrzał w dół i z dziwnym uśmiechem powoli zatoczył ramieniem półkole.

— Proszę wejść! — krzyknął i znowu zwrócił wzrok ku niebu.

Powers wysiadł i oparł się o samochód. Kiedyś, kilka miesięcy temu, przyjął takie zaproszenie, wszedł i w ciągu trzech minut znalazł się w jakimś korytarzu bez wyjścia. Minęło pół godziny, zanim Kaldren odnalazł go tam.

Czekał więc, aż Kaldren zejdzie z swego gniazda, przeskakując z tarasu na taras, po czym windą wjechał razem z nim na górę.

Z koktajlem w ręku weszli na szeroką, oszkloną platformę — studio; wokół nich wiła się biała betonowa wstęga, jak pasta do zębów wyciśnięta z jakiejś ogromnej tuby. Przed nimi, na poziomach krzyżujących się i równoległych, widać było szare, geometryczne w kształcie meble, gigantyczne fotografie zawieszone na pochylonych do połowy płytkach siatkowych oraz opisane starannie eksponaty rozłożone na niskich, czarnych stołach. Wyżej widniało jedno, wysokie na dwadzieścia stóp słowo:

TY

Kaldren wskazał nań ręką. — Niełatwo chyba byłoby wymyślić coś bardziej widocznego? — powiedział i wychylił do dna kieliszek. — To jest, doktorze, moje laboratorium — powiedział z dumą. — O wiele ważniejsze od pańskiego.

Powers uśmiechnął się do siebie i przystanął przed pierwszym eksponatem, starą taśmą zapisu EEG, poprzerywaną tu i ówdzie bladoatramentowymi zawijasami. Taśma była opisana: Einstein, A.; Fale Alfa, 1922.

Obchodząc wraz z Kaldrenem eksponaty, popijał powoli ze szklanki i rozkoszował się uczuciem pobudzenia, jakie dawała mu amfetamina. Za godzinę czy dwie uczucie to zniknie i umysł znowu stanie się porowaty jak bibuła. Kaldren rozprawiał, tłumacząc mu znaczenie tak zwanych Dokumentów Ostatecznych.

— Są to, doktorze, ostatnie zapisy, finalne stwierdzenia, produkty całkowitej fragmentyzacji. Kiedy zbiorę dostateczną ich liczbę, zbuduję z nich sobie nowy świat. — Wziął ze stołu gruby, w kartonową okładkę oprawiony tom i zaczął przerzucać kartki. — Testy skojarzeniowe dwunastu oskarżonych z Norymbergi. Muszę je dołączyć do zbioru… Powers szedł za nim, nie słuchając. Uwagę jego zwróciło coś, co stało w rogu i przypominało maszyny do nagrywania. Z wyzierających szczelin aparatów zwisały długie, ciemne taśmy. Przez chwilę zabawiał się myślą, że może Kaldren zaczął spekulować na giełdzie, która od dwudziestu blisko lat nieustannie notowała spadek kursu.

— Doktorze — usłyszał nagle słowa Kaldrena — mówiłem panu o Merkurym 7? — Kaldren wskazał na gęsto zapisane kartki. — To odpisy ostatnich sygnałów, przekazanych na Ziemię przez radio.

Powers z ciekawością oglądał kartki. Gdzieniegdzie zdołał odczytać pojedyncze słowa: „Niebieski… ludzie… powtórny cykl… Orion… telemetria…” Skinął głową. — Ciekawe — zwrócił się do Kaldrena. — A co to są te taśmy, tam, przy maszynie nadawczej?

Kaldren uśmiechnął się. — Od miesięcy czekam, aż mnie pan o

nie zapyta. Proszę, niech pan spojrzy.

Podszedłszy do maszyn Powers podniósł jedną z taśm.

Nad maszyną widniał napis: Auriga 225 — G. Interwal: 69 godzin. Czytał:

96 688 365 498 695
96 688 365 498 694
96 688 365 498 693
96 688 365 498 692

— Coś mi to przypomina — powiedział i upuścił taśmę. — Co znaczy ten ciąg liczb?

Kaldren wzruszył ramionami. — Nikt nie wie!

— Jak to? Coś przecież muszą przedstawiać?

— Tak, zmniejszający się postęp arytmetyczny. Odliczanie wstecz, jeśli pan woli — odparł Kaldren.

Powers podniósł inną taśmę, zwisającą z maszyny na prawo i opisanej: Aries 44R951. Interwał: 49 dni. Czytał:

876 567 988 347 779 877 654 434
876 567 988 347 779 877 654 433
876 567 988 347 779 877 654 432

Rozejrzał się wokoło. — Jak długo trwa poszczególny sygnał? — zapytał.

— Kilka sekund, oczywiście. Są bardzo zgęszczone. Rozszyfrowuje je komputer z obserwatorium. Po raz pierwszy odebrano je jakieś dwadzieścia lat temu — w Jodrell Bank. Dzisiaj nikt już nie zwraca na nie uwagi — powiedział Kaldren.

Powers patrzył na ostatnią taśmę.

6554
6553
6552
6551

— Dobiega końca — stwierdził. Odczytał napis przylepiony do daszka maszyny: „Nie zidentyfikowane źródło radiowe, Canes Venatici. Interwał: 97 tygodni". Podał taśmę Kaldrenowi. — Wkrótce będzie koniec — powiedział.

Kaldren potrząsnął głową. Wziął ze stołu gruby jak książka telefoniczna tom i przez chwilę przerzucał kartki. Twarz jego nagle spoważniała, z oczu wyzierała głęboka, smutna zaduma. — Wątpię, czy to koniec — powiedział. — To są tylko cztery ostatnie cyfry. Całość wyraża się liczbą ponad pięćdziesięciomilionową.

Podał tom Powersowi, który odczytał tytuł: „Główne ciągi sygnałów seryjnych odebranych przez radiowe obserwatorium Jodrell Bank, Uniwersytet Manczesterski, Anglia, godz. 0012 — 59 21 maja 1972. Źródło: NGC 9743, Canes Venatici" i w milczeniu przerzucił kartki, zapisane gęsto cyframi, milionami cyfr, na tysiącach stron. Powers potrząsnął głową, podniósł znowu taśmę i patrzył na nią w zamyśleniu.

— Komputer rozszyfrowuje tylko cztery ostatnie cyfry — wyjaśnił Kaldren. — Cała liczba jest piętnastosekundową wiązką. Pierwszy taki sygnał komputer rozszyfrowywał dwa lata.

— Fascynujące — powiedział Powers. — Ale co to wszystko znaczył

— Odliczanie, jak pan widzi. NGC 9743, gdzieś na Canes Venatici. Ich wielkie spirale załamują się i przesyłają nam pożegnanie. Bóg wie, czy zdają sobie sprawę z naszego istnienia, ale dają nam znać o sobie, nadając sygnał na fali wodorowej w nadziei, że ktoś ich w Kosmosie usłyszy. — Przerwał. — Niektórzy wyjaśniają to sobie inaczej, ale istnieje dostateczny dowód, decydujący o prawdziwości jednej tylko hipotezy.

— Jaki? — zapytał Powers.

Kaldren wskazał taśmę z Canes Venatici.

— To że skądinąd oszacowano, że wszechświat skończy się z chwilą, gdy liczby dojdą do zera.

Powers odruchowo przesuwał w palcach taśmę.

— To duża troskliwość z ich strony, że przypominają nam o przemijaniu czasu.

— Tak — powiedział cicho Kaldren. — Zważywszy prawo odwrotnej proporcjonalności do kwadratu odległości sygnał nadawany jest z mocą około trzech milionów megawatów podniesionych do setnej potęgi. To chyba moc całej konstelacji. Ma pan rację, troskliwość to dobre słowo.

Nagle schwycił Powersa za ramię, ścisnął dłoń i spojrzał mu z bliska w oczy. Krtań mu drgała.

— Nie jesteś osamotniony, doktorze. To są głosy czasu, które przesyłają ci pożegnanie. Myśl o sobie, jako o części większej całości. Każda drobina w twoim ciele, każde ziarno piasku, każda galaktyka nosi to samo piętno. Powiedziałeś, że wiesz od nich, jak przemija czas, więc cała reszta nie ma znaczenia. Niepotrzebny jest żaden zegar.

Powers ujął dłoń Kaldrena i mocno ją ścisnął.

— Dziękuję, Kaldren. To dobrze, że ty rozumiesz — powiedział. Powoli podszedł do okna i spojrzał na białe dno jeziora. Napięcie, jakie było między nim i Kaldrenem, minęło i czuł, że jego dług został wreszcie wyrównany. Chciał się teraz z nim jak najszybciej pożegnać i zapomnieć jego twarz, jak zapomniał twarze wielu innych pacjentów,

których obnażone mózgi dotykał palcami. Podszedł ku maszynom, oderwał kilka zwojów taśm i wepchnął je do kieszeni. — Zabiorę kilka, by pamiętać — powiedział. — Proszę, pożegnaj ode mnie Comę.

Podszedł do drzwi i spojrzał jeszcze na Kaldrena, stojącego w cieniu dwóch ogromnych liter z wzrokiem utkwionym w posadzce.

Gdy odjeżdżał, zauważył, że Kaldren wyszedł na dach budynku. Powers obserwował go stojącego ze wzniesioną ręką w lustrze samochodu, aż do momentu gdy minął zakręt.

5

Zewnętrzny krąg był już niemal gotów. Brakowało w nim jeszcze tylko łuku o długości około dziesięciu stóp, ale poza tym cały obwód tarczy obramowany był murem wysokości sześciu cali, a wewnątrz zawarty był rebus. Trzy koncentryczne kręgi, największy o średnicy około stu stóp, oddzielone od siebie blisko dziesięciostopową przerwą, tworzyły krawędź godła składającego się z czterech części i podzielonego ramionami gigantycznego krzyża. Pośrodku, na skrzyżowaniu ramion, umieszczona była mała, okrągła płyta wznosząca się na wysokość stopy ponad poziomem tarczy.Powers pracował szybko, wsypując piasek i cement do urządzenia mieszającego, dolewając wody tak, by tworzyła się maź, po czym pospiesznie wlewał ją w drewniane formy i rozprowadzał łopatą w wąskie kanaliki.Dziesięć minut później skończył, zdjął drewniane formy, zanim cement stwardniał, i załadował je na tylne siedzenie samochodu. Wytarł ręce o spodnie, podszedł do urządzenia mieszającego cement i przetoczył je o kilkadziesiąt stóp, w cień pobliskiego wzgórza. Nie rzuciwszy nawet okiem na ogromny symbol, który budował tak cierpliwie przez wiele popołudni, wsiadł do samochodu i odjechał podnosząc kłęby białego kurzu, mącącego błękitną głębię cieni.W laboratorium był o trzeciej. Wyskoczył z auta, zapalił w hallu wejściowym wszystkie światła, pospiesznie zsunął wszystkie zasłony przeciwsłoneczne i przywiązał je mocno do haków wbudowanych w podłogę, zmieniając cały budynek w stalowy namiot.Rośliny i zwierzęta, drzemiące nieruchomo w zbiornikach, zaczęły powoli ożywać reagując natychmiast na nagły, rozlewający się wokół potop jarzeniowego światła lamp. Jedynie szympans nie zwrócił na to uwagi. Siedział na podłodze klatki, nerwowo wciskając kostki testowe w polietylenowy pojemnik i wściekłym szczekaniem obwieszczając każdą nieudaną próbę.Powers podszedł do klatki i zauważył kawałki potłuczonego szkła ze zniszczonego hełmu. Cała twarz szympansa pokryta była krwią. Powers podniósł z podłogi resztki pelargonii, którą szympans wyrzucił przez kraty klatki, potrząsnął kwiatem, by zwrócić na chwilę jego uwagę, a potem szybko wrzucił do klatki czarną kulkę, którą wyjął z pojemnika z szuflady biurka. Szympans pochwycił ją szybkim ruchem, przez chwilę bawił się podrzucając ją w górę, po czym wrzucił ją sobie do ust.Nie czekając na wynik, Powers zdjął marynarkę, otworzył ciężkie zasuwane drzwi wiodące do sali rentgenowskiej, kryjące metalowy emiter Maxitronu, a potem ustawił ołowiane płyty ochronne wzdłuż tylnej ściany sali. Kilka minut później włączył generator.

Anemon poruszył się. Pławiąc się w ciepłym morzu promieniowania wzbierającym wokół niego i kierowany niezliczonymi wspomnieniami morskiej egzystencji, ruszył poprzez zbiornik, brodząc ślepo ku blademu macicznemu słońcu. Wici zadrgały. Tysiące drzemiących dotychczas obojętnych komórek zaczęło się rozmnażać i przegrupowywać, każda czerpiąc oswobodzoną energię ze swojego jądra. Łańcuszki wypełzły, struktury spiętrzyły się w wielopłaszczyznowe soczewki, koncentrując ożywione spektralne linie drgających dźwięków, tańczących jak fale fosforescencji wokół ciemnej kopuły komory.Powoli uformował się obraz odsłaniający ogromną, czarną fontannę, z której tryskać zaczął niekończący się strumień przeraźliwie jasnego światła. Obok niej pojawił się kształt, regulujący przepływ ustami. Gdy zstąpił na podłogę, spod stóp wytrysnęły mu barwy, a z rąk, którymi przebierał po ławkach i zbiornikach, wybuchnęła mozaika błękitnych i fioletowych bąbli, rozpryskujących się w ciemności jak gwiezdne rozbłyski.Fotony szeptały. Nieprzerwanie, jak gdyby przyglądając się błyszczącym dźwiękom wokół siebie, anemon rozszerzał się. Jego zwój nerwowy połączył się, tworząc nowe źródło bodźców, które płynęły z delikatnych przepon struny grzbietowej. Milczące zarysy laboratorium zaczęły po cichu odbrzmiewać falami dźwięku z łuku światła, odbijając się echem od ławek i urządzeń. Ich ostre zarysy rezonowały teraz suchym, przenikliwym półtonem. Plastykiem wyplecione krzesła brzęczały dyskordem staccato, czworoboczne biurko odpowiadało ciągłym dwutonem.Nie zwracając na te dźwięki uwagi, gdy już je pojął, anemon zwrócił się ku sufitowi, który odbrzmiewał jak pancerz obleczony w głosy spływające z promieniujących lamp. Wnikając przez wąziutki skrawek nieba, głosem czystym i mocnym, pełnym nieskończonej liczby półtonów śpiewało Słońce…

Brakowało jeszcze kilku minut do świtu, gdy Powers opuścił laboratorium i uruchomił samochód. Poza nim został w ciemności budynek oświetlony białym światłem Księżyca stojącego nad wzgórzami. Prowadząc wóz po krętej alei wjazdowej, biegnącej w dół ku drodze wokół brzegów jeziora, przysłuchiwał się chrzęstowi opon wbijających się w ostry żwir nawierzchni. Potem zwolnił sprzęgło i nacisnął na pedał akceleratora.

Patrząc na wapienne wzgórza, wzdłuż których jechał wciąż jeszcze niewyraźne w ciemności, uświadomił sobie, że: aczkolwiek nie postrzegał ich zarysów, zachował w umyśle ich kształt i formę. Było to uczucie nieokreślone, źródłem, było wrażenie niemal fizyczne, odbierał je jak gdyby dotykiem oczu bezpośrednio z kotlin i wklęśnięć między wzgórzami. Przez kilka minut poddawał się temu uczuciu, nie: starając się nawet bliżej go określić, tworząc w umyśle dziwaczne

konfiguracje kształtów.

Droga skręcała teraz koło grupy domków wybudowanych, na brzegu jeziora, tuż u podnóża wzgórz. Poczuł nagle ogromny ciężar skarpy wznoszącej się na tle ciemnego nieba — klifowej skały z błyszczącej kredy — i zdał sobie; sprawę z tożsamości tego uczucia z zarejestrowanym tak: silnie w jego pamięci. Patrząc na skarpę bowiem, zdał sobie sprawę z milionów lat, które upłynęły od chwili, kiedy wyłoniła się po raz pierwszy z magmy skorupy ziemskiej. Ostre grzbiety, wznoszące się na wysokości trzystu stóp pod nim, ciemne wklęsłości i szczeliny, obłe głazy leżące wzdłuż szosy, wszystko to miało własny wyraz, który odbierał w umyśle: tysiące głosów — suma totalnego czasu, jaki upłynął w ciągu żywota skarpy — były psychicznym obrazem tak określonym i jasnym, jak gdyby go dopiero co ujrzał.

Bezwiednie zwolnił i odwracając wzrok od wzgórza czuł, jak ogarnęła go druga fala czasu. Obraz był szerszy, ale oparty o krótszą perspektywę, promieniował z rozległego kręgu jeziora i wylewał się na stare, pokruszone już skały wapienne jak płytkie fale bijące o potężny zrąb lądu.

Zamknął oczy, oparł się plecami o tył siedzenia i skierował samochód na przerwę dzielącą te dwa strumienie czasu, czując jak obrazy potężnieją i pogłębiają mu się w umyśle. Przytłaczający wiek krajobrazu i ledwo dosłyszalne głosy dochodzące od jeziora i białych wzgórz zdawały się przenosić go w przeszłość, wzdłuż nie kończących się korytarzy aż po pierwszy próg świata.

Skręcił na szosę wiodącą ku strzelnicy. Po obydwu stronach wąwozu oblicza wzgórz krzyczały odbijając się echem w nieprzeniknionych polach czasu jak dwa gigantyczne, przeciwne bieguny magnesów. Kiedy wreszcie wyprowadził samochód na otwartą przestrzeń jeziora, zdawało mu się, że odczuwa w sobie tożsamość każdego ziarnka piasku i kryształu soli, nawołujących go z łańcucha okolicznych wzgórz.

Zaparkowawszy samochód w pobliżu mandali, powoli zbliżał się do zewnętrznego kręgu, którego zarys dostrzegał już w świetle wstającego świtu. Ponad sobą słyszał gwiazdy, miliony głosów kosmicznych, które wypełniały niebo, od jednego krańca po drugi, jak prawdziwy nieboskłon czasu. Jak nakładające się sygnały radiowe, krzyżujące się w kątach bryłowych nieba, wypadały niby meteor z najwęższych szczelin przestrzeni. Ponad sobą widział czerwony punkt Syriusza — i słuchał jego głosu, trwającego od wielu, wielu milionów lat — przytłumiony przez spiralną Mgławicę Andromedy, gigantyczną karuzelę zniknionych wszechświatów, których głosy były prawie tak stare, jak sam Kosmos. Wiedział teraz, że nieboskłon był nie kończącą się wieżą Babel — pieśnią czasu tysięcy galaktyk, nałożonych jedna na

drugą w jego umyśle. Gdy zbliżał się do środka mandali, przechylił jeszcze głowę, by spojrzeć na błyszczący uskok Drogi Mlecznej.

Doszedłszy do wewnętrznego kręgu mandali, o kilka zaledwie kroków od środkowej płyty, poczuł, że chaos głosów cichnie i że słyszy pojedynczy dominujący głos. Wszedł na płytę i podniósł wzrok ku ciemnemu niebu, patrząc na konstelacje, na wyspy galaktyczne i poza nie, słuchając słabych prawiecznych głosów dochodzących go poprzez milenia. W kieszeni czuł taśmę i zwrócił oczy ku odległemu Canes Venatici, słysząc jego potężny głos.

Jak nie kończąca się rzeka, tak rozległa, że brzegi jej są aż poza horyzontem, płynął ku niemu nieprzerwanie ogromny strumień czasu, wypełniający niebo i wszechświat, i obejmujący wszystko, co w nich zawarte. Powers wiedział, że płynący powoli i majestatycznie czas źródło swoje miał w źródle samego Kosmosu. Gdy strumień go dotknął, poczuł na sobie jego gigantyczny ciężar, poddał mu się, wznoszony lekko grzbietem fali. Powoli znosiło go, obracało wolno twarzą w kierunku przepływu. Wokół zamgliły się zarysy wzgórz i jeziora, pozostał mu tylko zegar kosmiczny — nieustannie patrzący mu w oczy obraz mandali. Wpatrując się weń czuł, jak ciało jego powoli niknie, stapiając się z ogromnym continuum prądu, niosącego go ku centrum wielkiego kanału, poza nadzieję, lecz ku odpoczynkowi, w coraz cichsze rozlewiska rzeki wieczności.

Gdy cienie zniknęły, uchodząc w stoki wzgórz, Kaldren wysiadł z samochodu i niepewnie zbliżył się ku betonowemu zewnętrznemu kręgowi. O pięćdziesiąt metrów dalej, pośrodku mandali, klęczała Coma przy zwłokach Powersa, dotykając rękami twarzy zmarłego. Podmuch wiatru poruszył piasek i przywiał pod stopy Kaldrena odcinek taśmy. Kaldren podniósł go, zwinął ostrożnie i schował do kieszeni. Poranek był chłodny, więc postawił kołnierz marynarki, równocześnie obserwując Comę.

— Już szósta — zwrócił się do niej po kilku minutach. — pójdę wezwać policję. Ty zostań z nim. — Przerwał i dopiero po chwili dodał: — Nie pozwól im uszkodzić zegara.

Coma spojrzała na niego. — Nie wrócisz tu już?

— Nie wiem — powiedział i skinął jej na pożegnanie głową. Odwrócił się i szedł w kierunku samochodu.

Dojechał do szosy ciągnącej się wzdłuż jeziora i w kilka minut później zatrzymał wóz przed laboratorium Whitby'ego.

Wewnątrz było ciemno, okna zawarte, a generator w sali rentgenowskiej pracował. Kaldren wszedł do środka i zapalił światła. Dotknął dłonią generatora. Berylowy cylinder był nagrzany. Okrągły stół doświadczalny wciąż jeszcze wirował powoli, nastawiony na jeden obrót na minutę. W półkolu o kilka stóp od stołu leżała sterta

zbiorników i klatek, rzuconych jedna na drugą. W jednej z nich ogromna, do mątwy podobna roślina zdołała niemal wydostać się z vivarium. Jej długie przeźroczyste wici wciąż jeszcze przywarte były do krawędzi klatki, ale korpus jej rozprysnął się w lepką, kulistą kałużę śluzu. W innej potworny pająk zaplątał się w pajęczynę i wisiał pośrodku gigantycznego, trójwymiarowego fosforyzującego kłębu, drgając konwulsyjnie.

Wszystkie doświadczalne zwierzęta i rośliny były martwe. Szympans leżał na grzbiecie pośród ruin swej klatki z potłuczonym hełmem zakrywającym oczy. Kaldren przyglądał mu się przez chwilę, potem usiadł przy biurku i podniósł słuchawkę telefonu. Nakręcając numer zauważył krążek taśmy filmowej leżącej na biurku. Wpatrywał się przez moment w napis, potem włożył taśmę do kieszeni. Po rozmowie z posterunkiem policji zgasił w budynku światła, wsiadł do samochodu i wolno odjechał.

Gdy dojechał do domu, przez wijące się balkony i tarasy willi przeświytywało już słońce. Wyjechał windą na górę i przeszedł do swego muzeum. Rozsunął zasłony i przyglądał się odbiciom promieni słonecznych w eksponatach. Potem przesunął fotel ku oknu, usiadł w nim i nieruchomo wpatrywał się w smugi światła.

Dwie czy trzy godziny później usłyszał głos wołającej go Comy. Po półgodzinie odeszła, ale potem wołał ktoś inny. Wstał i zasunął wszystkie zasłony we frontowych oknach i pozostawiono go w spokoju.

Powrócił na fotel i w pozycji półleżącej patrzył na eksponaty. W półśnie co pewien czas wyciągał rękę, by zmniejszyć dopływ światła wpadającego przez szczeliny między zasłonami; leżał i rozmyślał — tak samo jak potem przez wiele miesięcy — o Powersie i jego dziwnej mandali, o siedmioosobowej załodze statku i jej podróży do białych ogrodów Księżyca, i o błękitnych ludziach z Oriona, którzy mówili o starych, cudownych światach ogrzewanych złocistymi kulami słońc odległych wysp galaktycznych, które zniknęły na zawsze w zwielokrotnionej śmierci Kosmosu.

1960
Przełożyła z angielskiego Aniela Iwicka

Władlen Bachnow
WYPRZEDAŻ

Dieszewaja rasprodaża

Od pewnego czasu polubiłem tę niewielką kawiarenkę. Może dlatego, że szafa grająca nie hałasowała tam tak ogłuszająco, jak wszędzie. A może po prostu nie chciałem nawet przypadkowo spotkać się z którymś z moich dawnych przyjaciół — do takich kawiarenek oni nigdy nie zaglądali.

Wstępowałem tam co wieczór i siadałem przy narożnym stoliku, skąd, dzięki Bogu, nie było widać ekranu telewizora. Sącząc powoli whisky rozmyślałem, że pieniędzy mam coraz mniej i czas najwyższy poczynić jakieś kroki.

Przychodziłem w ponurym nastroju nie widząc żadnych możliwości polepszenia swojej sytuacji. Wychodziłem natomiast pełen wiary w siebie jak w najlepszych czasach i uskrzydlony porywającym przeczuciem, że lada chwila olśni mnie jakaś nieprawdopodobna, zbawcza idea.

Przejście z jednego stanu w drugi nie następowało od razu i posłuszne sterowaniu mogło być opóźniane lub przyśpieszane zależnie od mych chęci. Nauczyłem się kierować sprawnie tym procesem za pomocą whisky. Wszystko bym oddał za ten boski stan natchnienia! Szkoda tylko, że jest nietrwały i trzeba go co wieczór stwarzać na nowo.

Czasem, aby przerwać tok przeklętych myśli, zaczynałem się przyglądać gościom. Wchodzili szybko, wychylali jeden, drugi kieliszek i znikali. Weseli albo smutni… Zgnębieni albo beztroscy… Zazdrościłem im wszystkim, bo gdzieś się śpieszyli, a ja niestety nie miałem do czego…

Ale byli i tacy jak ja, nigdzie nie śpieszący się bywalcy. Już dawno zwróciłem uwagę na pewnego schludnie odzianego starszego pana. Zauważyłem go dlatego, że zawsze był samotny. Nie czytał gazet, nie interesował się telewizorem i wcale nie reagował na to, co się działo wokół niego.

Z półprzymkniętymi oczami o czymś tam medytował. A myśli jego nie były prawdopodobnie tak ponure jak moje, gdyż od czasu do czasu uśmiechał się tak radośnie, jakby sobie przypominał coś wesołego i przyjemnego. Czasem jednak przez jego uśmiech przebijało zakłopotanie. Kręcił wówczas głową ubolewając chyba nad jakimś swoim postępkiem. Kiedyś zderzyłem się z nim w drzwiach. Spojrzał na mnie w roztargnieniu, przeprosił. Potem popatrzył uważniej, z

jakimś zdziwieniem. Odtąd nieraz przyłapywałem jego spojrzenie, a nawet odwróciwszy się czułem jego wzrok na karku.

Drażniło mnie to. Zastanawiałem się nawet, czy nie poszukać sobie innej kawiarni. Potem wpadłem w gniew, jak mi się to czasem zdarza.

— Proszę pana — odezwałem się nieoczekiwanie dla siebie samego podszedłszy do jego stolika — stale mam wrażenie, że mi się pan przygląda, a tego nie cierpię!

Kulturalny pan spąsowiał i rozpłynął się w przeprosinach. Usprawiedliwiał się przez piętnaście minut. A potem zaczął mnie namawiać, bym się przysiadł do niego lub pozwolił mu przenieść się do mojego stolika, gdyż chciałby mi wszystko wyjaśnić.

Zgodziłem się na dowolny wariant, pod warunkiem, że rozmowa nie będzie zbyt długa. Wtedy zaczął mi dziękować i dziękowałby jeszcze z pół godziny, gdybym mu nie przerwał prosząc, by przystąpił do rzeczy.

— Jeszcze raz proszę o wybaczenie, że śmiałem panu dokuczało — rzekł. — Mam jednak takie uczucie, jakbym pana skądś znał, i to dobrze. Zarazem nie przypominam sobie pana twarzy, chociaż mi się wydaje, żeśmy się już kiedyś spotkali. Czy nie jest pan aktorem filmowym? Może widziałem pana ucharakteryzowanego i dlatego pamięć mnie zawodzi?

— Nie, nie jestem aktorem. Mam jednak znakomitą pamięć wzrokową. Nie spotkaliśmy się nigdy. Może mi pan wierzyć.

— Dziwne. Powiada pan, żeśmy się nie spotkali. Ale i sposób pana wysławiania się jest mi znany. Czyż to nie zdumiewające?

Wzruszyłem ramionami.

— Zwykły zbieg okoliczności…

— Przepraszam, to nie to. Nie będę się mógł uspokoić, dopóki nie zrozumiem, dlaczego mi się zdaje, że pana znam.

— Niech będzie. Mieszkam w tym mieście od wielu lat. Ostatecznie mógł mnie pan gdzieś widzieć.

— Ależ nie! Niechże pan zrozumie: mam takie wrażenie, jakbym pana znał dobrze — powiedział kładąc nacisk na ostatnim słowie. — Może mamy jakieś wspólne interesy?

— Chyba nie — uśmiechnąłem się. — Co pan robi?

— Czegóż to nie robiłem! — odpowiedział z dumą. — Pozwoli pan, że się przedstawię: Rage Over.

— Bardzo mi miło. James Nobody — palnąłem pierwsze nazwisko, które mi przyszło na myśl.

— Cieszy mnie, że mogłem pana poznać. Nobody? Nie, tego nazwiska nie znam. Skądże ja pana mogę znać? — Zamilkł na chwilę. — Jeśli pan pozwoli, chciałbym zapytać, jaki jest pana zawód.

— Jestem astronautą — kłamałem dalej.

— O! Czy pan uwierzy, że nigdy nie opuszczałem Ziemi? Nie mogliśmy się więc spotkać na pańskim statku. Dawno pan lata?

— Całe życie.

— Teraz wszyscy wyrywają się w kosmos. I po co? Jak dobrze ruszyć mózgownicą, to i na Ziemi znajdzie się to i owo do roboty. Trzeba tylko trochę szczęścia i pieniędzy.

— Warunki dość ciężkie! — wtrąciłem.

— Nie przeczę. Ale na początek miałem pieniądze. Kupę pieniędzy. Ojciec mi zostawił. A zarobił je na dowcipnym wynalazku. Wynalazł akumulator nastroju.

— Akumulator nastroju? — spytałem zdziwiony.

— Tak. — Rage Over nie zrozumiał oczywiście przyczyny mojego zdziwienia i pomyślał, że po prostu nigdy nie słyszałem o takich akumulatorach. — Teraz, wie pan, ich się nie używa, ale kiedyś cieszyły się dużym popytem. Ten, jak na dzisiejsze upodobania masywny aparat był wielkości wiecznego pióra i z łatwością mieścił się w kieszeni marynarki lub w damskiej torebce. Jeśli był pan z jakiegoś powodu podekscytowany czy agresywny, słowem, kiedy tracił pan panowanie nad sobą, nadwyżki energii ładowały akumulator, a pan się uspokajał. To samo się działo, kiedy pana rozsadzała radość — akumulator pochłaniał wszelkie nadwyżki. Kiedy jednak upadał pan na duchu, kiedy wpadał pan w depresję, akumulator oddawał nagromadzoną energię i znowu odczuwał pan przypływ energii i sił.

— Niezmiernie ciekawe — bąknąłem wiedząc, że teraz, choćby nie wiem co, wysłucham do końca opowiadania mego nowego znajomego. — Co się stało z tymi akumulatorami?

— Nic. Ojciec zarobił furę pieniędzy. A później ukazały się na rynku stabilizatory emocji i moda na akumulatory nastroju się skończyła. Wkrótce potem ojciec zmarł, a ja zacząłem się zastanawiać, co robić.

Mogłem włożyć gotówkę w jakiś murowany interes. Ale to mnie nie pociągało. Widzi pan, ja z natury jestem przedsiębiorcą — odkrywcą. Całe życie pracowałem nad tym, by odkrywać nowe dziedziny interesów. Ale wreszcie zaczęli się pojawiać szczęśliwsi konkurenci, którzy mnie wypierali, musiałem więc wciąż na nowo poszukiwać i odkrywać…

Nie narzekam. Ale muszę się uczciwie przyznać, że zdolność odkrywania nowych dziedzin jest we mnie znacznie silniejsza niż umiejętność wyciągania z tego korzyści.

Wiedziałem na przykład, że w naszych czasach, kiedy business dotarł wszędzie, pozostała tylko jedna domena, gdzie ma się szansę rozwinięcia skrzydeł. Domenę tę stanowi ludzki mózg. Słyszał pan prawdopodobnie, że oddziałując na pewne okolice mózgu można wywołać u człowieka określone emocje dodatnie: zadowolenie, radość,

spokój, przyjemne wrażenia smakowe lub węchowe i tak dalej.

Założyłem więc firmę „General Emotion”. Na życzenie zamawiającego mogliśmy wzbudzić w nim dowolne przyjemne uczucie. Nie dość na tym. Firma nasza sama wymyślała dla klientów najrzadsze, najbardziej wysubtelnione i wyszukane wrażenia. Mogli oni doświadczać tego, czego nie doznał jeszcze żaden człowiek. A chociaż kosztowało to drogo, od interesantów nie można się było opędzić. Zamierzałem nawet uruchomić filie w innych miastach i krajach… Ale nagle pojawili się konkurenci… Widocznie lepiej ode mnie orientowali się w psychologii, toteż wpadli na to, co mi niestety nie mogło przyjść na myśl.

Jak już wspomniałem, w mojej firmie klienci mogli doświadczać tylko emocji pozytywnych. Konkurenci natomiast, oddziałując na inne okolice mózgu, zmuszali swoich klientów do odczuwania wzruszeń negatywnych — zniechęcenia, lęku, przerażenia… Potem te emocje przerywano i nękani nimi ludzie od razu doznawali ogromnej ulgi i odczuwali radość życia. Ulga ta była właśnie ową pozytywną emocją, za którą interesanci chętnie płacili krocie. To by się mogło wydawać dziwne. Proszę jednak nie zapominać, że mieliśmy do czynienia z takimi ludźmi, którzy poszukiwali silnych wrażeń. Nasi klienci wypróbowali wszystko — od wina do narkotyków — i wszystko im się znudziło.

Nie bolą pana zęby… Czy jest pan z tego powodu szczęśliwy? Nie, Ale odczuwa pan błogostan, kiedy bolący ząb przestaje boleć. Chodzi pan w obuwiu, które nie uciska… Czy przysparza to panu radości? Nie. Jeśli jednak choć przez godzinę pospaceruje pan w ciasnych butach, a potem je zdejmie, jakąż to panu sprawi rozkosz! Nic się nie da porównać z tą chwilą!

Tak więc dzięki wrażeniom negatywnym emocje pozytywne okazały się skuteczniejsze niż po prostu wrażenia dodatnie… Na dobitek konkurenci liczyli za to znacznie taniej, nie potrzebowali bowiem tak skomplikowanej aparatury, jaka była w mojej firmie. Moja klientela przeszła do konkurencji. Straciwszy znaczny kapitał musiałem zlikwidować „General Emotion”.

W tym czasie jednak w moim umyśle dojrzała nowa idea. Idea tak wspaniała, obiecująca i prosta, aż się zdziwiłem, że wcześniej nie zrodziła się w mojej głowie.

Każdy wie, chociażby ze słyszenia, że istnieje natchnienie. Mechanizmu jego nie znamy. Wiemy tylko, że olśnione natchnieniem jednostki stwarzały nieśmiertelne dzieła, dokonywały genialnych odkryć i w nieprawdopodobnie krótkim czasie rozwiązywały zagadnienia, nad którymi ludzkość mozoliła się przez stulecia.

Jeszcześmy się nie nauczyli wywoływać natchnienia na zamówienie, wiemy jednak, że dość często natchnienia doznaje się w

określonym stanie, a mianowicie — będąc zakochanym. Sztuczne wywołanie takiego stanu jest całkowicie w naszej mocy.

Zorganizowałem więc nową firmę — „Natchnienie". Musiałem utrzymywać ogromną rzeszę tajnych agentów pracujących w różnych laboratoriach i instytucjach naukowych. Od owych agentów otrzymywałem informacje, że w jakiejś tam pracowni powierzono jakiemuś tam pracownikowi naukowemu jakieś trudne zadanie. Dowiedziawszy się o tym spotykałem się całkiem poufnie ze zwierzchnikiem tego naukowca i wyjaśniałem mu, że przy pomocy firmy „Natchnienie" jego pracownik może ukończyć swoją pracę dziesięć razy szybciej, ale ma się rozumieć — czas to pieniądz…

Zwierzchnik z reguły się zgadzał i tego pracownika naukowego wysyłał do mnie rzekomo na badanie lekarskie. Cała procedura trwała pół godziny. Od nas jednak, sam tego nie wiedząc, naukowiec wychodził namiętnie zakochany w jednej ze swoich współpracownic. Sam pan rozumie, że nie obywało się przy tym bez hipnozy, aparat zaś do takiej błyskawicznej sugestii obmyślono specjalnie na moje zamówienie.

A później natchniony miłością naukowiec stawał się na pewien czas jeszcze bardziej utalentowany i pracując na pełnych obrotach tworzył cuda. A moja firma na podstawie kontraktu otrzymywała wynagrodzenie.

Od klientów nie można się było opędzić. Każdemu wszak dogadza, by za pieniądze pracowano nań z całym poświęceniem. Zamówienia sypały się zewsząd. Już zamierzałem uruchomić filie w innych miastach i krajach… Lecz wtedy właśnie pojawili się konkurenci. Jak pan sądzi, do czego posunęli się ci podli ludzie? Zaangażowali agentów, którzy śledzili wszystkich wychodzących z mojej firmy. Podsłuchiwali moje rozmowy telefoniczne i przechwytywali korespondencję. Po co? A właśnie. Wystarczyło, by moi konkurenci zwąchali tylko, że uczony N zjawił się u nas i zakochał się w NN, a wszelkimi sposobami zwabiali do siebie nieszczęsną NN i pod hipnozą zmuszali ją, by zaczęła darzyć wzajemnością uczonego N. Rozumie pan?

Petrarka, beznadziejnie zakochany w zamężnej Laurze, przez całe życie pisał do niej sonety. A tu, mówiąc obrazowo, ledwie mój Petrarka zdążył napisać połowę pierwszego sonetu, kiedy sama Laura zjawiała się u niego z walizeczką w ręku i oznajmiała, że odtąd będzie mieszkać z nim. Czy Petrarka pisałby nadal swoje sonety? Nie sądzę.

Widzi pan teraz, jakimi podstępnymi metodami posługiwali się moi konkurenci, aby mnie zrujnować. Płaciłem olbrzymie odszkodowania. I wreszcie musiałem zlikwidować „Natchnienie" tracąc przy tym znaczną część kapitału.

Nie poddawałem się jednak. Myślałem, myślałem… Aż wreszcie

wymyśliłem właśnie to, co było mi potrzebne.

Postanowiłem zostać handlarzem cudzych wspomnień. Nie orientuję się, czy panu wiadomo, że w pamięć jednego człowieka można w sposób sztuczny wprowadzić wspomnienia innego człowieka. A nosiciel cudzych wspomnień jest przez całe życie przekonany, że wszystko, co pamięta, działo się rzeczywiście z nim samym.

Proszę sobie teraz wyobrazić, że miał pan milion. Hulał pan albo prowadził bez powodzenia spekulacje giełdowe, zrujnowały pana kobiety albo zbankrutowało pańskie przedsiębiorstwo. Krótko mówiąc, z pańskiego miliona nie zostało nic poza przyjemnymi wspomnieniami. Bardzo interesujące są te wspomnienia, ale zapłacić za nie milion to trochę drogo, czyż nie? A jeśli będzie pan mógł nabyć wspomnienia za jedne sto dolarów? Przez całe życie kosztem tylko stu dolarów wspominać, jak roztrwonił pan milion! Może pan to sobie wyobrazić?! Założyłem więc firmę „Miałem Milion".

Mógł sobie pan wybrać wspomnienia o swoim bankructwie. Mógł pan bez końca wspominać bachanalia, które pana zrujnowały, albo noce spędzone na hazardzie, przewroty polityczne albo nacjonalizację pańskich zakładów przemysłowych. Ponadto moja firma wprowadzała w pamięć klientów wspomnienia nie wymyślone, lecz prawdziwe. Moi agenci szukali po całym świecie świeżo zbankrutowanych milionerów, którzy za bardzo grube sumy sprzedawali firmie swoje najdrobniejsze, najbardziej szczegółowe wspomnienia. Zgodnie z umową dawcy odtwarzali w pamięci obrazy swego minionego życia, specjalne aparaty utrwalały te obrazy, potem zaś w miarę popytu wprowadzały je w pamięć naszych klientów. Za same tylko wspomnienia zapłaciłem dawcom ponad sto tysięcy. Ale dzięki temu firma „Miałem Milion" rozporządzała większą ilością różnorodnych wspomnień, o których prawdziwości nie można było wątpić.

Firma gwarantowała, że oczyszczone od tęsknoty za przeszłością wspomnienia nie będą psuły nastroju, że nie stracą swego uroku i świeżości. Osoby, które chciały się pozbyć nabytych w firmie wspomnień lub zamienić na nowe te, co się już stały nudne, obsługiwano poza kolejnością.

Firma prosperowała znakomicie. Od klientów nie można się było opędzić. Już zamierzałem uruchomić filie w innych miastach i krajach… Ale nagle… właśnie, właśnie… Nagle pojawili się konkurenci. Tym razem działali całkiem bezczelnie. Nie zaczęli wyszukiwać zrujnowanych milionerów i płacić im za wspomnienia ciężkie pieniądze. Nie, konkurencyjna firma „Miłe Wspomnienia" wyławiała moich klientów i za grosze dokonywała z ich pamięci zapisu wspomnień, które nabywali u mnie. Firmie „Miłe Wspomnienia" nie były potrzebne drogie oryginały, zadowalała się

tanimi kopiami. Ale dzięki temu mogła później sprzedawać owe wspomnienia pięć razy taniej niż moja. I tyle. Zostałem więc zrujnowany. Tym razem ostatecznie… A jeśli wolno spytać — czy pan nigdy nie korzystał z usług mojej firmy?

— Pańskiej? Nie! — odpowiedziałem i nie mogąc się już powstrzymać wybuchnąłem śmiechem.

Było to tak nieoczekiwane, że Rage Over poczuł się dotknięty. Obraził się nawet.

— Nic w mojej historii nie widzę śmiesznego — rzekł sucho i potykając się o stoliki ruszył ku wyjściu.

— Czy pan zna tego człowieka? — zapytałem starego kelnera.

— Oczywiście. To Rage Over. Ma w pobliżu trafikę.

— Dawno?

— Tak — chyba ze trzydzieści lat. Odziedziczył tę trafikę po ojcu.

Kawiarnię zamykano. Na ulicy mżył deszcz. Przez Rage Overa nie zdołałem dziś wypić tyle, by natchnęło mnie to wiarą w samego siebie.

Skądże ten biedaczysko trafikant mógł wiedzieć, że przez cały wieczór opowiadał mi moje własne wspomnienia, nabyte ode mnie przez konkurentów, którzy mnie zrujnowali! W drodze wyjątku zapłacili mi za nie tyle, ile ja sam płaciłem kiedyś byłym milionerom. Mieli uciechę kupując u mnie mój ostatni towar.

A zresztą… Zresztą może sam żyję czyimiś tylko wspomnieniami. Któż to może wiedzieć?!..

Przełożył z rosyjskiego Bolesław Baranowski

FAKTY, HIPOTEZY, ZAGADKI

Lech Jęczmyk
YETI, BRAT LOKISA

Wiele osób pamięta zapewne film „Lokis" reżysera Janusza Majewskiego, oparty na opowiadaniu Prospera Merimee. Makabryczna historia nieszczęsnego hrabiego, urodzonego w dziewięć miesięcy po spotkaniu jego matki z niedźwiedziem, musi wydawać się czystym wymysłem. Tak zapewne sądził sam Merimee, nadając literacki kształt opowieści, przywiezionej z Litwy przez polskich emigrantów.

Jednak ta niesamowita historia nabiera niespodziewanie pewnych cech prawdopodobieństwa na tle wielu podobnych relacji krążących na Litwie. Niewykluczone, że zasłyszana przez francuskiego pisarza opowieść była odbiciem faktu realnego, a jednocześnie jeszcze dziwniejszego od literackiej fikcji.

Oczywiście ojcem hrabiego Szemiota nie mógł być niedźwiedź — krzyżówka taka jest zupełnie nieprawdopodobna z punktu widzenia biologii. Ale nazwa miszkis (czy łokis) oznaczała na Litwie nie tylko niedźwiedzia, lecz także tajemniczego leśnego ducha, występującego w litewskim folklorze, odpowiednika rosyjskiego leszego czy lesowika. Skoro nie można skarżyć o alimenta niedźwiedzia, spróbujmy podążyć śladem jego baśniowego imiennika.

Pozostając na terenie literatury francuskiej, możemy sięgnąć do opowiadania Guy de Maupassanta pod tytułem „Strach". Tym razem źródło opowieści jest znane. Rosyjski pisarz Iwan Turgieniew opowiedział historię, jaka zdarzyła mu się w młodości na polowaniu, a Maupassant zapisał ją tak wiernie, że znawcy odnajdują w jego opowiadaniu charakterystyczne cechy stylu Turgieniewa. Jest to historia o tym, jak młody myśliwy, zażywający kąpieli po całodziennym polowaniu, staje się obiektem zalotów ze strony przerażającej, porośniętej włosem istoty, wydającej nieartykułowane dźwięki, istoty niewątpliwie rodzaju żeńskiego, na co wskazywały niedwuznacznie duże i obwisłe piersi (bardzo charakterystyczny szczegół!). Przerażonego myśliwego ratuje z opresji napotkany pasterz, odpędzając knutem odrażającą rusałkę, znaną od lat miejscowej ludności.

Turgieniew spotkał swoją rusałkę w rosyjskim lesie w drugiej połowie XIX wieku. Wcześniejszy opis podobnej istoty, tym razem z lasów litewskich, znajdujemy w pamiętnikach Paska.

„Był tam niedźwiadek, alias in forma człowiek, circiter koło lat 13 mający, którego w Litwie, parkany stawiając, Marcin Ogiński żywcem osocznikom kazał do sieci nagnać i złapać z wielką strzelców szkodą, bo go niedźwiedzie srogo bronili, osobliwie jedna wielka

niedźwiedzica najbardziej go broniła, znać, że to była jego matka. Tę skoro osocznicy położyli, zaraz też i chłopca złapano, który był taki właśnie, jaki powinien być człowiek, nawet u rąk i nóg nie pazury niedźwiedzie, ale człowiecze paznokcie; ta tylko od człowieka była dyferencyja, że był wszystek długimi tak jak niedźwiedź obrosły włosami, nawet i gęba wszystka, oczy mu się tylko świeciły; o którym różni różnie kontrowertowali, konkludując jedni, że się to musiało zawiązać ex semine viri cum ursa; drudzy zaś mówili, że to znać niedźwiedzica porwała gdzieś dziecko bardzo młode i wychowała, które że ubera suxit, i dlatego też owe assumpsit similitudinem animalis. Nie miało to chłopczysko ani mowy, ani obyczajów ludzkich, tylko zwierzęce. W tenże to czas podała mu królowa (Maria Ludwika) z gruszki łupinę, pocukrowawszy ją; z wielką ochotą włożył do gęby; posmakowawszy wyplunął to na rękę i z ślinami cisnął królowej między oczy. Król począł się śmiać okrutnie.

Rzecz działa się w Polsce, w roku 1662. W wydanej w Niemczech w roku 1784 książce Wagnera znajdujemy szczegółowy opis innego dzikiego chłopca schwytanego w lasach Transylwanii (a więc na terenie dzisiejszej Rumunii) pod koniec XVIII wieku.

„Nieszczęsny ten młodzieniec był średniego wzrostu i miał niezwykle dziki wygląd. Oczy głęboko osadzone w oczodołach. Czoło bardzo cofnięte. Gęste, zwisające brwi występowały do przodu, nos miał mały i spłaszczony. Szyja sprawiała wrażenie spuchniętej… całe ciało dzikiego młodzieńca pokrywały włosy, szczególnie gęste na plecach i na piersiach. Muskuły rąk i nóg były silniej rozwinięte niż normalnie u ludzi. Na łokciach i kolanach miał odciski… Chodził wyprostowany, ale ciężkim i kołyszącym się krokiem, wysuwając głowę i pierś do przodu.

Od pierwszego wejrzenia rzucała się w oczy jakaś jego dzikość i zwierzęcość. Był całkowicie pozbawiony daru mowy, choćby najmniejszej zdolności do wydawania artykułowanych dźwięków. Mruczał tylko niezrozumiale, kiedy poganiał go jego opiekun. Mruczenie to nasilało się i przechodziło w wycie, kiedy zobaczył las lub nawet pojedyncze drzewo…

Jeśli nie brać pod uwagę ludzkich kształtów i chodzenia w postaci wyprostowanej, to można powiedzieć, że nie miał żadnych cech, pozwalających odróżnić człowieka od zwierzęcia”.

Stykając się z pojedynczymi egzemplarzami takich istot, ludzie wyjaśniali sobie ich istnienie tak, jak potrafili. Doskonały tego przykład znajdujemy u pana Paska. Jedna z tych „teorii” — wiara w istnienie dzieci wychowanych przez dzikie zwierzęta — znajduje zwolenników do dzisiaj. Innym popularnym wyjaśnieniem, mającym zastąpić poważniejsze badanie jest atawizm. Atawizmem można wyjaśnić jeden przypadek, ale co począć z ogromną ilością

zadziwiająco zbieżnych relacji o dzikich, owłosionych ludziach, pochodzących z różnych stron świata? Wszystko wskazuje na to, że tajemniczy łokis z puszcz litewskich jest europejskim odpowiednikiem himalajskiego jeti, mongolskiego ałmasa, północnoamerykańskiego bigfoota.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zetknęły się z tą sprawą brytyjskie wyprawy w Himalaje. Rozpowszechniła się wówczas na całym świecie nazwa jeti i śnieżny człowiek, a jednocześnie cała sprawa, rozdmuchiwana przez prasę brukową, nabrała piętna śmieszności, przesłaniającego żmudną pracę ludzi, którzy często wbrew oporom środowiska naukowego poświęcili się badaniu tego zagadnienia.

Radziecki uczony Borys Porszniew w swoim artykule „Walka o troglodytów", zawierającym między innymi historię badań nad człowiekiem śniegu w Rosji, cytuje interesujące przykłady, kiedy to reprezentanci instytucji naukowych robili wszystko, aby nie dopuścić do publikacji wiadomości o dzikich ludziach. Tak na przykład w 1908 roku, na żądanie sekretarza carskiej Akademii Nauk, B. B. Baradijn musiał usunąć ze sprawozdania o podróży do Mongolii fragmenty, opisujące spotkanie żywego ałmasa, zaś przedstawiona w 1914 roku przez Witalija Chochłowa praca o doniosłym znaczeniu dla antropologii (Chochłow po raz pierwszy wysunął tezę, że mamy do czynienia z reliktowym paleoantropem), została z największym trudem odnaleziona w archiwach, w dziale „Doniesienia nie przedstawiające wartości naukowej".

Bardzo wiele relacji o spotkaniach z człowiekiem śniegu (zwanym tam ałmasem) pochodzi z Mongolii; nic też dziwnego, że wśród badaczy zagadnienia poważną rolę odegrali uczeni mongolscy. W latach dwudziestych żmudną pracę wykonał profesor C. Ż. Żamcarano, przeprowadzając wielką ilość rozmów z Mongołami. Każde doniesienie o spotkaniu z ałmasem od końca XIX wieku do roku 1928 nanoszono na specjalną mapę, zaznaczając datę spotkania. Uczestnik tych badań akademik D. Mejren, omawiając ich wyniki, stwierdza, że jeszcze na początku czternastego sześćdziesięciolecia według kalendarza mongolskiego (lata 1807–1867) ałmasy zamieszkiwały dość gęsto w wielu okolicach Mongolii Wewnętrznej i Zewnętrznej.

Wyniki badań nad ustaleniem wyglądu ałmasów (zwanych też chun-guresu) podsumował uczony mongolski, akademik Rinczen:

„Ałmasy są bardzo podobne do ludzi, z tym że ciało ich pokrywają rudawoczarne włosy, dość rzadkie, gdyż między włosami prześwieca skóra, co nigdy nie zdarza się u dzikich zwierząt, żyjących na stepach. Wzrost podobny jak u Mongołów, ale ałmasy chodzą pochylone i na ugiętych kolanach. Mają potężne szczęki i niskie czoło. Łuki nadbrwiowe bardzo wydatne w porównaniu do Mongołów.

Kobiety mają wiszące piersi, tak że siedząc na ziemi mogą przerzucić pierś do tyłu i karmić stojące za plecami dziecko".

Zdziwienie musi budzić wiadomość, że resztki dzikich ludzi dożyły naszych czasów nie tylko na stokach najwyższych gór świata, lecz także w Stanach Zjednoczonych. Amerykanin Ivan T. Sanderson, autor książki o śnieżnym człowieku, w czasopiśmie „Argosy" (luty 1968) opowiada o tym, jak doszło do zdobycia zdjęć żywego okazu bipfoota, czyli wielkiej stopy, jak go tam nazywają. (Widocznie częściej widywano ślady stóp niż samo zwierzę). Było to w górach północnej Kalifornii, gdzie znajdują się dzikie i trudno dostępne tereny, w odległości 35 mil od najbliższej szosy. Roger Patterson i Bob Gimlin wędrowali z jucznymi końmi, które wiozły żywność, nabitą broń i naładowane kamery filmowe oraz aparaty fotograficzne. W pewnej chwili konie stanęły dęba i zrzuciły jeźdźców. Roger zdążył jeszcze schwycić kamerę filmową. W odległości stu stóp (a więc około 30 m) po przeciwnej stronie potoku zobaczył bigfoota.

„…Na drugim brzegu strumienia, twarzą do nas a plecami do lasu stała człowiekowata istota, wzrostu, jak ustaliliśmy potem mierząc wysokość drzew, na tle których zrobiliśmy jej zdjęcie, rzędu siedmiu stóp (213 cm)… Była to samica pokryta krótkim, czarnym, lśniącym włosem. Włosy spadały na czoło, zakrywając brwi. I jeszcze jedno: nie miała szyi! Podstawa głowy rozszerzała się i przechodziła bezpośrednio w szerokie, muskularne ramiona".

Zdjęcie filmowe pokazano ekspertom z Holywood, którzy stwierdzili, że zrobienie podobnych zdjęć trickowych musiałoby kosztować kilka milionów dolarów.

Ivan Sanderson był też jednym z dwóch zoologów (drugim był Belg Heuvelmans, autor wydanej u nas książki „Siadami zaginionych zwierząt"), którzy oglądali zamrożone w bryle lodu ciało człowieka śniegu.

Heuvelmans zebrał relacje o spotkaniach z człowiekowatymi istotami na terenach Himalajów, Półwyspu Malajskiego i Indonezji oraz Ameryki Południowej. Himalaje wydają się być jedynym terenem, gdzie występują dwie wyraźnie różniące się odmiany paleoantropów. Górale mówią tam o dużym i małym jeti. Mały, o wzroście około 150 cm, odpowiada opisom ałmasów oraz owłosionych dzikich ludzi, znajdowanych niegdyś na terenie Europy. Duży jeti, który dał początek legendzie o „odrażającym człowieku śniegu"; jest pokryty czarnym włosem, sięga 3 m wzrostu i ma charakterystyczną spiczastą głowę (grzebień kostny, jak u samców goryli). Jego opisy odpowiadają zdjęciom z Kalifornii i Heuvelmans wysuwa hipotezę, że może on być identyczny z rzekomo kopalnym gigantropem, którego ząb trzonowy znaleziono w Chinach.

Heuvelmans uważa, że nauka rozporządza już wystarczającą

ilością danych na temat tego zwierzęcia, aby wprowadzić je do systematyki i proponuje nazwę Dinanthropoides nivalis.

Wśród badaczy zajmujących się sprawą człowieka śniegu szczególną pozycję zajmuje moskiewski uczony Borys Porszniew, doktor filozofii i historii (odpowiednik docenta hab. w Polsce), laureat nagrody państwowej. Jego zainteresowania naukowe obejmują psychologię społeczną, etnografię, antropologię i biologię.

Zajmując się problemem stosunku kopalnego człowieka neandertalskiego do środowiska przyrodniczego, Porszniew zwrócił uwagę na pewne zbieżności pomiędzy doniesieniami o śnieżnym człowieku a wynikami swoich badań. Sprawa, którą skłonny był traktować jak kaczkę dziennikarską, ukazała mu się nagle w nowym świetle. Od tego czasu doktor Porszniew zajął się badaniem tego zagadnienia, angażując całą swoją rozległą wiedzę i pasję uczonego. Zgromadziwszy ogromną ilość materiału, Porszniew wystąpił ze zwartą i udokumentowaną teorią na temat człowieka śniegu. Człowiek neandertalski, twierdzi Porszniew, nie wymarł gwałtownie, lecz był stopniowo wypierany przez gatunek homo sapiens i proces ten dobiega końca dopiero w naszych czasach.

„Wystarczająco duża ilość niezależnych doniesień, z których żadnego nie można bezwarunkowo uznać za całkowicie pewne, w sumie daje pewność — pisze Borys Porszniew o przyjętej metodzie pracy. — Nie wszyscy obserwatorzy zauważyli na przykład właściwości szyi albo sposób uciekania przed człowiekiem, albo paznokcie, albo sposób zachowania się koni przy spotkaniu z człowiekiem śniegu. Uwzględniliśmy setki takich powtarzających się szczegółów. Na kartę z napisem „szyja" nanosiliśmy symbole wszystkich epizodów, w których wspomniana była szyja, a z drugiej strony perforowaliśmy w odpowiednim miejscu wszystkie karty z odpowiednimi epizodami. W ten sposób otrzymaliśmy serie".

Dzięki tej metodzie udało się odtworzyć nie tylko wygląd współczesnego neandertalczyka, lecz także tryb jego życia. Zacytujmy jeszcze raz doktora Porszniewa:

„Paleoantrop może mieszkać wszędzie, gdzie występują jakiekolwiek inne zwierzęta. Odpowiada mu każda okolica, nie odstrasza go żadna wysokość. Przed chłodem i brakiem pożywienia w zimie chroni się, jak można sądzić z pośrednich danych, obniżając przemianę materii przez długotrwały sen z krótkimi przerwami, rzadziej zapadając w letarg w przygotowanych przez siebie jamach lub w jaskiniach. Przed chłodem chroni go nie tyle skóra, ile nagromadzona jesienią podskórna warstwa tłuszczu.

Paleoantropy są pożeraczami przestrzeni. Potrafią biegać jak konie, przepływać rzeki i bystre potoki. W procesie przejścia na dwunogi sposób poruszania się, u samic, w odróżnieniu od małp,

rozwinęły się długie piersi, pozwalające karmić w marszu dziecko uczepione na plecach. Ogromnej ruchliwości tego gatunku odpowiada brak instynktu tworzenia długotrwałych schronień — mają jedynie prowizoryczne legowiska. Samce podejmują dalsze wyprawy niż samice. Samce i samice tworzą trwałe pary w wieku dojrzałości płciowej. Okolice, gdzie zaobserwowano małe, są ściśle określone i bardzo nieliczne na Ziemi.

Jest to obecnie najbardziej rozrzedzony gatunek ssaków, choć możliwe, że kiedyś występował w większych skupieniach… Typowe jest jednak rozproszenie osobników na rozległych przestrzeniach. Przyroda wyposażyła go w zdolności do odnajdywania się, w tym również potężnym i przenikliwym krzykiem… Dalekie marsze, rzadkie kontakty i być może krótkotrwałe skupiska, łączą gatunek w jedną niewidzialną siatkę na całym obszarze jego występowania. Oczywiście mamy też do czynienia ze względną izolacją. W obrębie gatunku występuje niezwykle duże zróżnicowanie wzrostu, barwy sierści i budowy ciała".

Rozporządzając tak szczegółowym portretem człowieka śniegu, rozpoznajemy go bez trudu jako pierwowzór licznych mitów, ludowych wierzeń i baśni. Porszniew wyraża w swoim artykule nadzieję, że kiedyś zostanie napisana praca pod tytułem „Odbicie obrazu paleoantropa w dawnych wierzeniach, mitach, legendach i folklorze" i cytuje liczne przykłady z Dalekiego i Środkowego Wschodu, świata antycznego, europejskiego średniowiecza, kultury ludów prymitywnych oraz wierzeń ludów słowiańskich. Siady długotrwałego współżycia i wzajemnej fascynacji człowieka i neandertalczyka znalazły odbicie w postaciach rusałek, leśnych duchów, wodników i dziwożon.

Badając rozprzestrzenienie współczesnego neandertalczyka, Porszniew zauważył interesującą współzależność między strefami jego występowania a przeważającymi na danym terenie religiami. Człowiek śniegu zachował się do naszych czasów tam, gdzie trzy religie — lamaizm, szamanizm i islam wzięły go pod swoją opiekę. Dawało to z jednej strony jakby azyl ginącemu gatunkowi, a z drugiej utrudniało (i nadal utrudnia) prowadzenie badań ludziom z zewnątrz.

Nasuwa się tu ciekawe porównanie z Europą. Starożytni znali dzikiego człowieka i z właściwą sobie tolerancją pozwalali mu egzystować w jego naturalnym środowisku, przyznając mu nawet status leśnego bożka. Mając w pamięci opisy wyglądu ałmasa czy „niedźwiadka" z lasów litewskich, bez trudu rozpoznajemy jego pobratymców w postaciach Panów, faunów i satyrów. O ile wyobrażenia nimf w sztuce są bardzo wyidealizowanym obrazem samicy człowieka neandertalskiego, o tyle wizje artystyczne satyra bardzo trafnie oddają jego półludzki, półzwierzęcy charakter.

Pamiętajmy też, że satyry występowały w liczbie mnogiej (a więc różniły się od innych abstrakcyjnych bóstw), były nieme i związane z lasem. I jeszcze jedno: wiele relacji o spotkaniach ze śnieżnym człowiekiem wspomina o donośnym gwiździe, jaki wydaje on w momentach strachu i podniecenia. Ten charakterystyczny szczegół również został zauważony przez starożytnych — satyr zwykle przedstawiany jest z nieodłączną fujarką. (W polskim folklorze mamy leśnego głupawego diabła Rokitę — też z fujarką.) Możemy sobie wyobrazić takie spotkanie z faunami o zmroku gdzieś w leśnej gęstwinie. Pozostało nam z tamtych czasów do dzisiaj określenie strach paniczny — strach, jaki odczuwał człowiek na widok Pana, czyli satyra.

Przynajmniej w pewnych okolicach ludność miejscowa musiała je chronić, a nawet dokarmiać (ofiary w świętych gajach). Pokazywano je widocznie ważnym przybyszom jako miejscową osobliwość.

„Posunąwszy się potem przez Tesalię i Macedonię dalej nad morze, zamierzał Sulla przeprawić się z Dyrrachium do Brundisjum z flotą, złożoną z tysiąca okrętów.

W pobliżu Dyrrachium leży Apollonia, a koło niej znajduje się Nymfajon, miejsce święte, gdzie z zielonej łąki w leśnej dolinie wydobywają się w różnych punktach źródła nieustannie płonącego ognia. Opowiadają, że tutaj schwytano wtedy śpiącego satyra, który miał być właśnie taki, jakim przedstawiają go malarze i rzeźbiarze. Przyprowadzono go do Sulli i pytano przez różnych tłumaczy, kim jest, lecz satyr mówił z trudem i zupełnie niezrozumiale, a głos wydawał z siebie jakiś chrapliwy i bardzo podobny do czegoś pośredniego między rżeniem konia a bekiem kozła. Sulla przerażony kazał go wśród zażegnawań odprowadzić z powrotem”.

Pogańskie religie starożytności chroniły Pana-satyra, nic dziwnego więc, że chrześcijaństwo ustosunkowało się do niego wrogo. Kult Pana, który zachował się w okolicach jako obrzęd ludowy, nabrał cech opozycyjnych wobec oficjalnej religii i był przez kościół tępiony.

O żywotności tych dawnych kultów pogańskich może świadczyć to, że jeszcze w 1389 roku zostały one oficjalnie potępione przez Sorbonę.

W poetyckim przedstawieniu tych obrzędów przez francuskiego historyka Micheleta możemy rozpoznać obraz dzikiego człowieka, który zdegradowany ze stanowiska bożka do roli siły nieczystej, użyczył swoich cech fizycznych popularnym wyobrażeniom diabła.

„Choć są duchami, nie sądźcie, że nie podlegają cierpieniom. Mieszkając wśród kamieni, w pniach dębów, są bardzo nieszczęśliwe zimą. Ogromnie lubią ciepło. Błądzą dokoła domów. Widziano je, jak w oborach ogrzewały się przy bydle. Ludzie nie składają im już ofiar, więc piją czasem mleko… Te duchy pojawiają się już tylko nocą;

wygnane z dnia, tęsknią za nim i pragną światła. W nocy kobieta naraża się na niebezpieczeństwo i nieśmiało zanosi skromną latarenkę pod wielki dąb, w którym one mieszkają, nad tajemnicze źródło, którego lustro, zdwajając płomyk rozweseli biednych wygnańców".

Można przypuścić, że we wczesnym średniowieczu tajne pogańskie obrządki (zwane sabatami czarownic) odbywały się jeszcze z udziałem okazów żywych, oswojonych neandertalczyków, które później ustąpiły miejsca namiastkom: drewnianym kukłom (przypominającym Turonia), Czarnym Kozłom lub ludziom przebranym za Pana, w czarnych, skórzanych maskach.

Od czasów Odrodzenia w Europie nie słyszy się już o spotkaniach z dzikimi ludźmi, a pamięć o nich coraz bardziej obrasta fantazją. Ostatnim ich schronieniem stają się puszcze litewskie, gdzie zachowały się niespodziewanie długo, jak na to wskazuje relacja pana Paska.

Na zakończenie kilka jeszcze charakterystycznych relacji wybranych spośród wielu zebranych przez doktora Porszniewa.

Kapitan milicji Biełałow z Azerbajdżanu opowiada o tym, jak latem 1947 roku sierżant Ramazan, człowiek uczciwy i zdyscyplinowany, późnym wieczorem, w czasie pełni księżyca wracał ze służby. W pobliżu swojej wioski przeszedł przez mostek i wtedy z cienia drzew wyskoczyło wielkie, kosmate stworzenie, schwyciło go i zaniosło pod drzewo.

„Znajdowało się tam drugie podobne stworzenie. Oba wydawały dziwne nieartykułowane dźwięki i z zainteresowaniem zaczęły oglądać i obmacywać sierżanta, przy czym uwagę ich przyciągała zwłaszcza jego twarz i błyszczące guziki munduru. Sierżant w przestrachu zapomniał, że posiada przy sobie broń, ale ani na chwilę nie stracił przytomności. Widział przed sobą, jak powiada, parę wielkich, dzikich ludzi, mężczyznę i kobietę, bez odzieży, pokrytych gęstym, ciemnym włosem. Kobieta była nieco mniejsza od mężczyzny. Miała bardzo obwisłe piersi i długie włosy na głowie. Oboje nie mieli włosów na twarzy, ale twarze ich były przerażające, pokryte ciemną skórą i podobne do małpich. Sierżant leżał nieruchomo, przyglądając się tej parze w świetle księżyca, a kiedy próbował się ruszyć, samiec groźnie warczał. Później sytuacja stała się jeszcze groźniejsza. Gdy tylko samica próbowała dotknąć sierżanta, samiec warczał i odpychał ją. Kiedy zaś samiec rzucał się na sierżanta, samica z warczeniem odpychała go od leżącego. Raz nawet się pobili. Z nadejściem świtu obie półludzkie istoty zniknęły w lesie, a sierżant leżał jeszcze przez chwilę po przeżytym szoku i dopiero potem pobiegł do domu. Przechorowawszy się, po dziesięciu dniach złożył szczegółowy raport o całej historii i nie było wątpliwości, że wszystko to przeżył on naprawdę".

Do komisji Akademii Nauk ZSRR, zajmującej się badaniem sprawy śnieżnego człowieka, zgłosił się lekarz wojskowy, podpułkownik W. S. Karapetian. W zimie 1941 roku jego batalion stacjonował w pobliżu górskiego aułu w Dagestanie. Miejscowe władze schwytały dziwnego osobnika, i lekarza wezwano, aby stwierdził, czy jego wygląd nie jest sprytnym przebraniem. Trzymano go w chłodnej szopie, gdyż w ogrzewanych pomieszczeniach oblewał się potem. Oto fragmenty relacji lekarza:

„Człowiek, którego zobaczyłem, stoi jak żywy przed moimi oczami. Był to osobnik płci męskiej, nagi i bosy. Całą postać miał ludzką, ale na piersi, plecach i ramionach ciało jego pokryte było puszystymi włosami ciemnobrązowego koloru. Poniżej piersi sierść była cieńsza i delikatniejsza. Kiście rąk grube, z rzadkimi włosami, dłonie i podeszwy stóp — bez włosów. Natomiast na głowie włosy miał bardzo długie, do ramion, częściowo zakrywające czoło; w dotknięciu włosy na głowie okazały się bardzo sztywne. Brody i wąsów nie miał, ale cała twarz była lekko owłosiona. Stał jak siłacz, wypinając potężnie rozwiniętą klatkę piersiową. Palce u rąk bardzo grube, mocne, niespotykanej wielkości… Kolor twarzy niezwykle ciemny, nieludzki. Brwi bardzo gęste. Pod nimi głęboko zapadnięte oczy”.

W czasie szczegółowych oględzin Karapetian stwierdził na ciele badanego osobnika obecność licznych wszy — ponad wszelką wątpliwość nie należących do żadnego z trzech gatunków, pasożytujących na człowieku. Po tych oględzinach W. S. Karapetian nigdy już nie słyszał o tym dzikim człowieku. Prawdopodobnie został on uznany za symulanta i ukrywającego się przestępcę.

W roku 1962 profesor A. A. Maszkowcew natrafił na ślad — najdziwniejszy może — historii Zany. Była to schwytana i oswojona samica abnauaju, jak nazywają paleoantropa w Abchazji, która żyła i umarła we wsi Tchina za pamięci wielu żyjących mieszkańców wsi (w wieku od 80 do 130 lat). Otrzymał ją w podarunku szlachcic Edgi Genaba. Mieszkała początkowo w zagrodzie z mocnych belek, później, kiedy się oswoiła, puszczano ją swobodnie.

Żyjąc we wsi kilkadziesiąt lat, nie nauczyła się wymawiać ani jednego słowa. Wydawała jedynie nieartykułowane i niezrozumiałe okrzyki, kiedy była rozdrażniona. Miała znakomity słuch, przybiegała na dźwięk swojego imienia i wykonywała proste polecenia swego właściciela.

Żyjąc bardzo długo, Zana w zadziwiający sposób aż do śmierci nie zdradzała żadnych zewnętrznych oznak starości: nie siwiała, nie traciła zębów i zachowała pełną siłę. A siłę wykazywała niezwykłą. Bez trudu podnosiła jedną ręką pięciopudowy (około 80 kg) worek. Próby przyuczenia jej do pracy w polu skończyły się niepowodzeniem.

Potrafiła tylko obracać żarna i przenosiła ciężary. I wreszcie rzecz najciekawsza. Zana kilkakrotnie zachodziła w ciążę z różnymi mężczyznami i rodziła dzieci. Nowo narodzone dzieci natychmiast kąpała w lodowatym potoku, czego mieszańce widocznie nie wytrzymywały. Później zaczęto jej odbierać noworodki i w ten sposób czwórka jej dzieci (dwóch synów i dwie córki) uchowała się i wyrosła, można powiedzieć, na ludzi. Najmłodszy syn Chwist umarł w 1954 roku. Wiele ludzi pamięta jego i jego siostrę Gomasę. Oboje byli niewątpliwie pełnowartościowymi ludźmi, choć wyróżniali się potężną budową ciała, ciemną skórą, bujniejszym owłosieniem i niezwykłą siłą fizyczną.

Dzięki pracy uczonych, którzy nie bacząc na złośliwe uśmiechy swoich kolegów, zajęli się sprawą śnieżnego człowieka, tysiące takich relacji łączą się w jedną całość. Wyłania się z niej obraz całkowicie realnego i konkretnego zwierzęcia.

Herman Maliniczew
KTO, CO I W JAKIM CELU?

Tego niezwykłego odkrycia dokonano w początkach naszego stulecia, kiedy nad górami i dżunglami Ameryki Południowej piloci dopiero wytyczali pierwsze trasy lotnicze. Pewnego razu muzeum etnograficzne w Limie odwiedził lotnik i oświadczył oszołomionemu dyrektorowi, że na pustyni Nazca można odnaleźć system nawadniający dawnych Peruwiańczyków. Zdziwienie dyrektora było całkowicie zrozumiałe: dolina Nazca to jedno z najsuchszych miejsc na kuli ziemskiej. Bywają lata, kiedy na ten wyprażony płaskowyż nie spada ani kropla deszczu. Na dowód swoich przypuszczeń pilot wyciągnął z mapnika mapę, na której widniały narysowane zwykłym ołówkiem dziwnie posplatane linie. Jednakże — jak to się często zdarza w nauce — szanowny uczony wkrótce po oddaleniu się pilota… złożył mapę w archiwum, gdzie pokrył ją kurz. Nadto już nieprawdopodobna była myśl, że się starożytnym Indianom zachciało nawodnić pustynię o powierzchni prawie 300 km^2.

W kilka lat później mapa z bardzo dziwnymi kanałami wpadła w ręce Paula Kosoka. Specjalista zajmujący się starożytnymi cywilizacjami długo się przyglądał poplątanym liniom widocznym z lotu ptaka. Tu trójkątny placyk obwiedziony kanałami. Obok kilka krzywych linii. Nieco dalej twór przypominający trójząb Neptuna. Kanały? A może pozostałości wojskowych dróg Inków? Albo igraszki przyrody — ślady erozji gleby?

Pod pionowymi promieniami słońca ekspedycja Kosoka rozpoczęła wędrówkę po dolinie. Niemal od razu ogarnęło wszystkich nieporównywalne z niczym przeczucie ważnych odkryć. Na ciemnej powierzchni dość wyraźnie rysowały się białe linie, zasypane tu i ówdzie piaskiem. Nie, to nie kanały, do tego rowki są zbyt małe — liczą zaledwie 15–20 cm głębokości. Ponadto na płaskiej równinie woda nie popłynęłaby nimi własnym ciężarem.

Niektóre rowki dziwnie się wyginały, inne biegły ku horyzontowi prostą linią długości półtora do dwóch kilometrów. Uczeni mieli wrażenie, że znajdują się na olbrzymiej rysownicy. Rzeczywiście chodzili po kamiennych eksponatach galerii obrazów.

Pewnego razu Paul Kosok i jego towarzysze dokonali ciekawego eksperymentu. Poruszając się z kompasem w ręku wzdłuż linii krzywych, rysowali na mapie wszystkie wygięcia kanalików. Dla kontroli rysowali wszyscy. Po kilku godzinach rysunki porównano — wszystkie okazały się wizerunkiem ogromnego ptaka z wyciągniętym dziobem. Ale jakiż to był ptak! Długość dzioba — około stu metrów!

Czterdziestometrowy ogon! Rozpiętość skrzydeł — dziewięćdziesiąt metrów! Dziób opierał się o linie proste ciągnące się na tysiąc siedemset metrów…

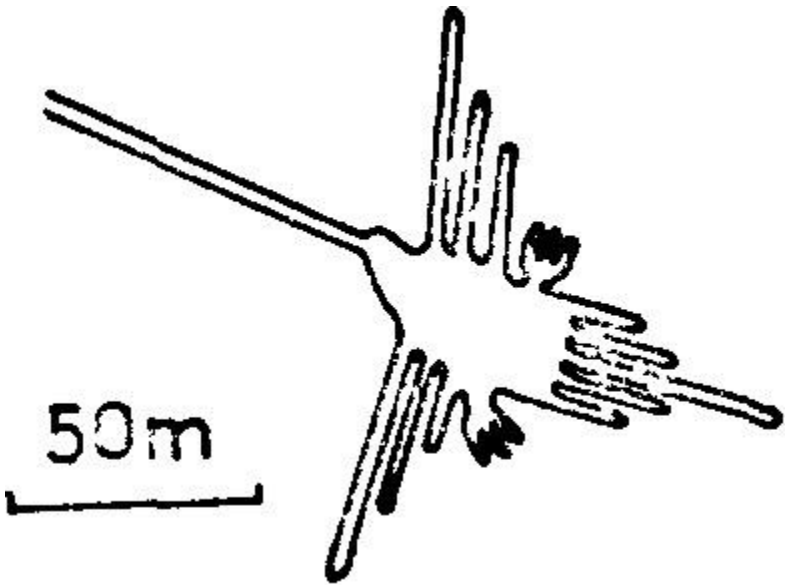

Niema pustynia Nazca zaczęła odsłaniać przed archeologami swoje tajemnice. Było nad czym się zastanawiać, rozmyślać, fantazjować. Dwustumetrowy ptak to wynik nie tylko wysoko zorganizowanej pracy, lecz także świadectwo nienagannego smaku artystycznego. Po co, dla kogo go narysowano?

Technikę wykonania wizerunków łatwo było ustalić. Starożytni artyści kamiennymi narzędziami rozbijali wierzchnią warstwę i oczyszczali rowek, dopóki nie obnażyli żółtobiałego piaskowca. Jak jednak obliczano kierunek linii? Jak zachowywano świetne pod względem artystycznym proporcje rysunków? Jakimi przyrządami posługiwali się nieznani topografowie i matematycy, którzy pomagali artystom?

Wstępne badania mogły na pozór sprawiać wrażenie dość niecodzienne. Zlani potem archeologowie dosłownie biegali w skwarze wzdłuż zagadkowych linii. Czasem trzeba się było zatrzymać i zwykłą miotłą lub łopatą oczyszczać rowki. Przy okazji odkryto jakieś niezrozumiałe ornamenty, stylizowane wizerunki roślin, niezwykłej długości linie równoległe.

Wówczas przypomniano sobie o samolocie. Archeologowie wznieśli się na wysokość dwóch i pół kilometra. Pustynię Nazca widać było w dole jak na dłoni. Ale… linie i rysunki znikły z pola widzenia. Nawet silna lorneta ukazywała jedynie monotonną brązowawą powierzchnię. Nowa zagadka! Lotnik zaczął krążyć nad pustynią i

wtedy pod pewnym kątem widzenia wszyscy ujrzeli coś niezwykłego. Tysiące linii rozbiegało się w różne strony, dotykało figur geometrycznych, przecinało się ze sobą. Strzały, trójkąty, kwadraty, spirale gigantycznych rozmiarów… A to co? Wizerunek ośmiornicy z falistymi mackami. Jak ten mieszkaniec morza znalazł się tu, w dolinie u podnóża Andów?

Samolot wykonał jeszcze jeden wiraż i rysunki znowu zniknęły. Uczeni zrozumieli, jak tytanicznej pracy muszą dokonać. Trzeba się śpieszyć, bo pustynia nieubłaganie przesłania piaszczystym welonem olbrzymi i zdumiewający album dawnych mieszkańców Peru.

PAWIE, PANCERNIKI, MRÓWKI

W owym czasie rozpętała się druga wojna światowa. Archeologowie musieli się rozjechać. Gazety przepełnione doniesieniami z frontów poświęciły odkryciom ekspedycji Kosoka dosłownie dziesięć wierszy petitem. Niemniej jednak ta krótka wzmianka zrodziła pierwszą fantastyczną legendę o rysunkach z pustym Nazca. To że linie widać z samolotu pod określonym kątem, dowodzi jakoby przebiegłości starożytnych artystów, przemyślnego chwytu zrealizowanego na rozkaz najwyższego kapłana. Jedynie kapłan znał punkt, z którego widoczne są olbrzymie rysunki. Jedynie bogom i ich ziemskim namiestnikom ukazywały się gigantyczne obrazy na pustyni.

Jednakże archeologowie już wtedy mieli zdecydowany pogląd na tę sprawę. Rysunki ukazywały się ludziom w określonym miejscu wskutek działania wiatru. Wiatry zaś na pustyni Nazca, zwłaszcza zimowe, wieją zawsze w jednym kierunku. Dobrze oczyszczone linie widać wówczas z góry pod dowolnym kątem.

Jedną z pomocnic Paula Kosoka była miejscowa nauczycielka, Maria Reiche. Podczas gdy nad światem grzmiały armaty, Reiche pracowała ofiarnie w tajemniczej dolinie: oczyszczała, mierzyła, szkicowała. W ten sposób pojawiły się w tej olbrzymiej galerii obrazów: osiemdziesięciometrowa małpa z fantazyjnie zakręconym ogonem, czterdziestoześciometrowy pająk, sto osiemdziesięciometrowa jaszczurka z ludzkimi dłońmi. Zwierzyniec gigantów! Ryby, pawie, pancerniki, mrówki, szybujący orzeł, jak gdyby skopiowany ze starych herbów, fantastyczne zwierzęta.

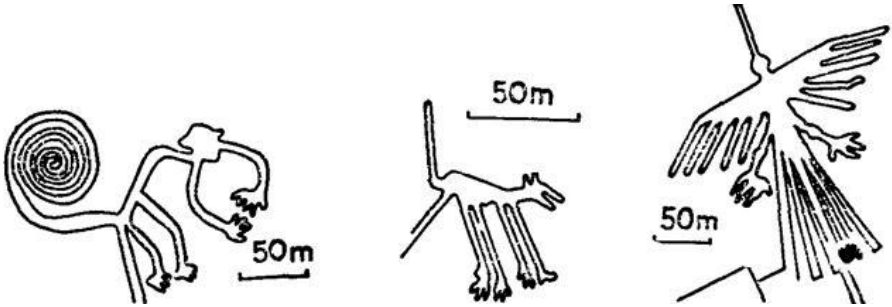

Maria Reiche, która przepracowała na bezludnej pustyni około trzydziestu lat, pisała później, że linie i rysunki zafascynowały ją ogromnie. Najtrudniejsze prace nie tylko jej nie wyczerpywały, ale wręcz przeciwnie — stanowiły bodziec do działania. Właśnie Maria Reiche odkryła, że te same postacie niektórych zwierząt tworzą jakby łukowaty łańcuch i powtarzają się na przestrzeni dziesiątków kilometrów. Są tak podobne, jakby wybito je w skamieniałym piasku tym samym stemplem!

I jeszcze jedno odkrycie — postacie ludzi wielokrotnie przewyższają rozmiarami wizerunki zwierząt. Długość jednej z postaci wynosi 620 metrów. Ciało człowieka jest wyprostowane, ręce przyciśnięte do boków. Druga postać nie ma głowy, ręce natomiast opatrzone sześcioma palcami. Niektóre olbrzymy mają na głowach coś w rodzaju koron. Królowie czy bogowie? Autoportrety artystów czy obrazy fantastyczne?

Marię Reiche bardzo zaskoczyło to, że wiele linii biegnie wyraźnie z południa na północ z dokładnością do 1°, co przyniosłoby zaszczyt każdej współczesnej ekspedycji geodezyjnej. Trzeba pamiętać, iż żaden z narodów Ameryki Południowej nie znał kompasu, a Gwiazda Polarna nie jest w Peru widoczna.

Nie mniej pytań budzą spirale i koła. W żadnym innym miejscu Ameryki Południowej i Środkowej Indianie nie pozostawili podobnych obrazów. Nie znali przecież w ogóle koła. I wreszcie: dlaczego w legendach indiańskich i kromkach hiszpańskich zdobywców nie ma nawet wzmianki o tym największym albumie świata?

HIPOTEZY, DOMYSŁY…

Olbrzymie rysunki z pustyni Nazca są rzeczywiście zdumiewające. Nie było to przypadkiem, że uczeni zaproponowali, by nazwać je ósmym cudem świata — dorównują one i piramidom egipskim, i budowlom Mezopotamii i starożytnej Hellady. Nie przez przypadek też na rysunkach tych skoncentrowała się uwaga popularyzatorów nauki i pisarzy — fantastów.

Jednym się wydaje, że rysunki są tak stare jak piramidy egipskie, według innych dokładnie odtwarzają one mapę Marsa. Jeszcze inni „odkrywają” na płaskowyżu wizerunki pradawnych zwierząt — ichtiozaurów, plezjozaurów, pterodaktyli.

Szczególnie wiele sensacyjnych teorii co do pustyni Nazca wysunął szwajcarski archeolog amator i pisarz Erich Däniken. Jest on zdania, że dolina stanowi niezaprzeczalne świadectwo, iż Ziemię odwiedzili przedstawiciele cywilizacji z innej planety. Dowody? Przede wszystkim niezwykle zbity i twardy grunt, odpowiedni do lądowania statku kosmicznego. Däniken zupełnie pomija w swoich hipotezach rysunki. Jednakże olbrzymi trójząb wykuty w skale w pobliżu pustyni uważa zdecydowanie za symbol kosmodromu. Nauka jednak dawno określiła pochodzenie trój zęba — wykuli go Inkowie przy nadmorskiej drodze w kilka stuleci po upadku cywilizacji Nazca. Podobne do strzał znaki, które według Dänikena miały wskazywać na pasy startowe, okazały się po oczyszczeniu wierzchołkami trójkątów. I to wierzchołkami skierowanymi nie w jedną stronę, jak utrzymuje pisarz, lecz w najróżniejszych kierunkach.

Co sądzą inżynierowie? Twierdzą, że statkom kosmicznym zaopatrzonym w masę przyrządów, bez których lot międzygwiezdny nie byłby w ogóle do pomyślenia, wcale nie są potrzebne do startu z Ziemi pasy startowe i strzały wskazujące kierunek (nie mówiąc już o małpach i ośmiornicach). Nie ma więc sensu domniemanie, jakoby „tworzeniem niezwykle długich linii na kosmodromie kierowali metodycznie mieszkańcy innych planet”. Przylatują — powiedzmy z Mgławicy Andromedy — rozumne istoty i zmuszają starożytnych Indian, by kamiennymi toporami wykuwali dla nich rowki. A gdzie promień laserowy albo palnik plazmowy? Albo młot mechaniczny poruszany za pomocą antymaterii? Takich śladów nie ma.

Niedawno grupa uczonych podjęła się odtworzenia pracy Indian. Wziętym z muzeum tomahawkiem wybito mniej więcej metrowej długości rowek, a potem rękami wydobyto z niego drobne kamienie. Nowa biała linia na brązowawym tle nie różniła się niczym od linii oryginalnych.

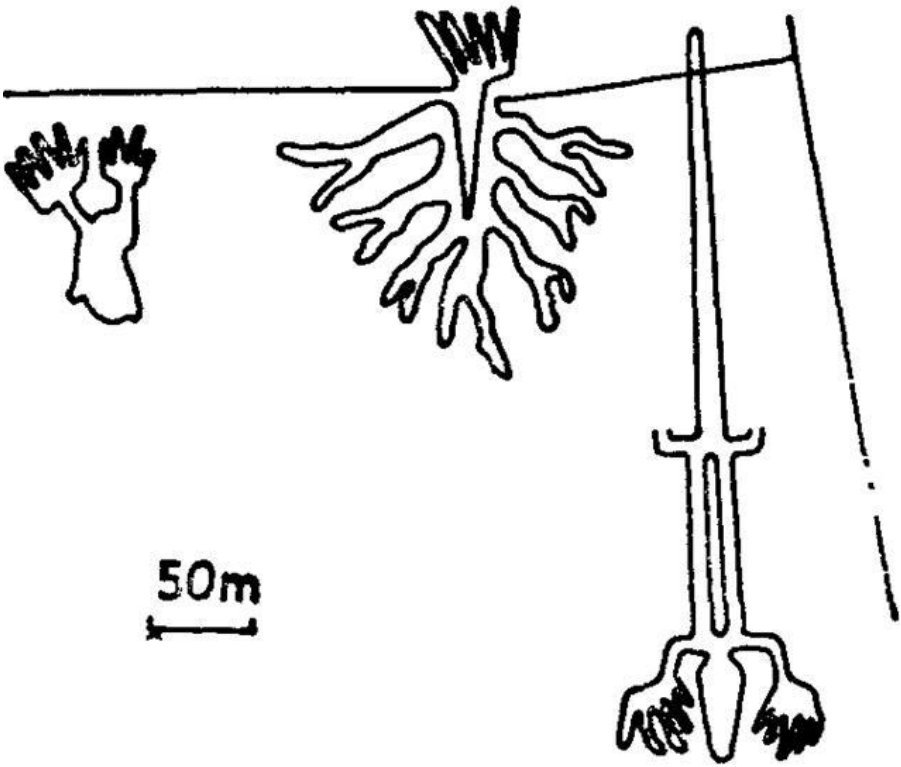

Od roku 1946 rozpoczęto wokół doliny Nazca planowe prace wykopaliskowe. Archeologom udało się odnaleźć resztki ceramiki z różnobarwnymi wzorami. Na niektórych fragmentach fantastyczne wzory, ptaki i owady przedstawione są w taki sam umowny sposób, jak na powierzchni płaskowyżu. Trudno o ważniejsze odkrycie!

Petem odkopano fundamenty skromnych budynków mieszkalnych. To niestety wszystko, co pozostało po narodzie o tak bogatej wyobraźni artystycznej. Naród ów nie budował umocnień obronnych, skutecznie natomiast walczył z surowym klimatem uprawiając pola wokół pustyni. Właśnie dlatego tak szybko i bezlitośnie zmiażdżyli go Inkowie, którzy przez nieustanne podboje rozszerzali swoje wielkie imperium.

Szczątki drewna pozwoliły określić, że rozkwit kultury Nazca przypadał na II i III wiek n.e. Rysunki mają więc około półtora tysiąca lat!

GIGANTYCZNY KALENDARZ

Paul Kosok i Maria Reiche szczególnie zachwycali się rysunkiem ogromnego ptaka, który odkryli przed trzydziestu laty. Kiedyś

wieczorem 21 grudnia — w dzień przesilenia zimowego — archeolog przypadkowo zauważył, że promienie zachodzącego słońca padały dokładnie w kierunku, w którym wskazywał dziób ptaka. Aż pół roku trzeba było czekać, aby 21 czerwca wykryć linie odpowiadające promieniom zachodzącego słońca w dniu przesilenia letniego. Dopiero potem Paul Kosok stwierdził zupełnie autorytatywnie: „Dolina Nazca to olbrzymi przewodnik astronomiczny. Sens linii polega na tym, że stanowią one kalendarz. Linie umożliwiały starożytnym rolnikom Peru bardzo dokładne określanie nadejścia wiosny, tzn. początku prac na roli. Tu, podobnie jak ongiś w Egipcie, astronomia zrodziła się z istotnych potrzeb rolników".

Porównując plany doliny z mapami nieba gwiaździstego archeologowie stopniowo się przekonali, że z każdą pora roku związane są określone znaki. Jedne z nich wskazują miejsca wschodu Księżyca, inne — położenie jasnych gwiazd nad horyzontem. Każdej planecie Układu Słonecznego odpowiadają w „przewodniku" właściwe linie i trójkąty. Wiele gwiazdozbiorów południowej półkuli można odnaleźć na podstawie zarysu figur geometrycznych. Znając sekret linii i dysponując wieloletnimi, a być może wielowiekowymi zapiskami zjawisk astronomicznych, indiańscy astrologowie z łatwością ustalali dzień roku. Siew, nawadnianie, zbiór plonów — wszystko to odbywało się w dolinie Nazca nie na ślepo, lecz według ścisłych dat odzwierciedlających wiekowe doświadczenie rolników.

Przy barwnym fotografowaniu linii przesilenia uczeni spostrzegli, że nasza gwiazda dzienna dotyka horyzontu niedokładnie nad końcem równoległych rowków — linii, lecz nieco na prawo. To właśnie pozwoliło na ponowne datowanie „przewodnika astronomicznego", gdyż punkt zachodu słońca z czasem się przemieszcza. Okazało się, że słońce zachodziło dokładnie nad tymi liniami przed 1550 laty.

Tak więc przeszło półtora tysiąca lat temu na południowy wschód od dzisiejszej stolicy Peru istniała przed Inkami cywilizacja, wysoko zorganizowane państwo Indian — twórców jedynych w swoim rodzaju rysunków o tym charakterze i wielkości. Dotychczasowe odkrycia stanowią, rzecz prosta, znikomą jedynie część zabytków starożytnej kultury. Nie znaleziono na razie stolicy Nazca ani śladów jakiegokolwiek miasta. Nie odkryto pisma, które zapewne wytworzył ów starożytny naród. Rysunków i linii o tak olbrzymich wymiarach nie mogło chyba stworzyć plemię nie znające pisma. Czy kiedyś odnajdziemy ślady tych ludzi, którzy w dolinie Nazca nakreślili gigantyczne znaki kalendarza astronomicznego?

Przełożył z rosyjskiego Bolesław Baranowski

Gennadij Jeremin
CZY NIE ZOSTANIE ROZWIĄZANA STAROŻYTNA ZAGADKA?

(komentarz aspiranta Wydziału Historii Uniwersytetu Moskiewskiego)

Nawet powierzchowne zapoznanie się z kamiennym „przewodnikiem astronomicznym" starożytnego Peru prowadzi do wniosku, że odkrycia archeologiczne w dolinie Nazca dadzą się pod względem znaczenia porównać z odkryciem grobowca Tutenchamona, grodów hetyckich, odszyfrowaniem pisma Majów. Jednakże — jak to już na Zachodzie stało się tradycją — niezbędnych funduszów na dokładniejsze badania w dolinie Nazca niestety się nie przewiduje. Wszystkie badania w peruwiańskiej pustyni prowadzili entuzjaści, którzy sami łożyli środki na rozwiązanie jednej z największych tajemnic Nowego Świata. Kompleksowe badanie doliny Nazca przez uczonych różnych specjalności po dawnemu pozostaje w sferze marzeń. Dlatego też wciąż będzie brakować ogniw w dziejach Indian prekolumbijskich, wciąż się będą pojawiać fantastyczne przypuszczenia i hipotezy co do niezwykłych wizerunków ptaków, ośmiornic, spiral.

Nauce na razie nie udało się przeniknąć tajemnicy rysunków zwierząt i roślin, groteskowych zwierzaków i linii krzywych, nie związanych z ruchami gwiazd, planet i słońca. Uczeni mogą tylko wysuwać ostrożne domysły i hipotezy. Na przykład jeden z południowoamerykańskich archeologów, znawca kultur Peru sprzed panowania Inków, przypuszcza, że wszystkie rysunki na pustyni Nazca odpowiadają gwiazdozbiorom nieba południowego. Jakiej jednak konstelacji odpowiada — powiedzmy — rysunek małpy? Z jakimi gwiazdami można zestawić rysunek pawia czy pająka.

Austriacki historyk Hans Winkel wysuwa hipotezę, że jest to sanktuarium religijne dawnych Indian. Wyobraża on sobie centralną część kamienistej pustyni jako teren wspaniałych uroczystości rytualnych ku czci nadchodzącej wiosny lub zbliżających się zbiorów. Przy którymś z rysunków wznoszono podwyższenie, z którego kapłani obserwowali zachód słońca, a potem uroczyście ogłaszali wolę bogów zezwalających na rozpoczęcie robót rolnych. Uczony ten przekonany jest o ziemskim pochodzeniu rysunków, o artyzmie Indian.

Obecnie z doliny Nazca dobiegają nader niewesołe wieści. Nie licząc się z niepowtarzalną wartością tej pustyni władze miejscowe budują przez płaskowyż betonową autostradę i linie telegraficzne.

Autostrada przecięła już nogi jednego z olbrzymich owadów. Jaszczurce odcina ogon. Druty zwisają nad starożytnymi trójkątami i kwadratami.

Zaniepokojeni archeologowie zaproponowali, by pustynię Nazca uznać za rezerwat o znaczeniu międzynarodowym. W pobliżu tego muzeum pod gołym niebem mogłyby stanąć hotele turystyczne. Należałoby zbudować tam lotnisko. Pewna część dochodów powinna iść na konserwację rysunków i linii, na utrzymanie straży na pustynnym płaskowyżu. Nikt jednak nie podejmuje niezbędnych kroków…

Przełożył z rosyjskiego Bolesław Baranowski

Alfred Bester
MÓJ WŁASNY ŚWIAT FANTASTYKI NAUKOWEJ

Wiele lat temu jeden z moich przyjaciół występował na Broadwayu w przedstawieniu „Mewy" Czechowa. Grał tam rolę Trigorina, pisarza, który spotyka uroczą, romantyczną dziewczyną imieniem Nina. W długiej scenie pod koniec drugiego aktu Trigorin usiłuje wytłumaczyć Ninie, że życie pisarza nie jest tak wspaniałe, jak ona sobie to wyobraża. W rzeczywistości są to oczywiście myśli samego Czechowa. Przytoczę tu kilka najbardziej charakterystycznych kwestii.

Trigorin powiada: „Pomówmy o moim pięknym, promiennym życiu… Dzień i noc dręczy mnie jedna natrętna myśl: muszę pisać, muszę pisać, muszę… Piszę ciągle, jak w kołowrocie, i już nie potrafię inaczej. Cóż w tym pięknego i promiennego, niech mi pani powie?

Nina: Daruje pan, ale chyba natchnienie i sam proces twórczy dały panu sporo pięknych, szczęśliwych chwil?

Tak — odpowiada Trigorin. — Kiedy piszę, to mi przyjemnie. I czytać swoją rzecz w korekcie też jest przyjemnie, ale… ledwie wyjdzie z druku, już zaczynam jej nie znosić i już widzę, że to nie to, że to jakaś pomyłka, że tego w ogóle nie trzeba było pisać, ogarnia mnie niesmak, czuję się ohydnie…

Doprawdy nie mogę pana zrozumieć. Pan jest po prostu rozpieszczony powodzeniem.

Jakim powodzeniem? Nigdy się sam sobie nie podobałem. Nie lubię siebie jako pisarza. A najgorsze, że żyję jak we śnie i często nie rozumiem tego, co piszę…"

Przyjaciel powiedział mi, że podczas całej tej sceny czuł, jak w środku pierwszego rzędu ktoś cierpi. Ktoś tam kręcił się, jęczał i wzdychał. Kiedy po drugim akcie spadła kurtyna i na widowni zapłonęły światła, mój przyjaciel podbiegł do oczka w kurtynie, aby zobaczyć, kogo tak poruszyły wyznania Trigorina. Był to Teodor Dreiser.

Oczywiście nie mam bynajmniej zamiaru porównywać się z Teodorem Dreiserem ani Antonim Czechowem. Wiem, że pod względem artystycznym dzieli mnie od nich ogromna odległość, niemniej wszyscy trzej utożsamiamy się z Trigorinem jako autorzy. Ogromna większość pisarzy nie lubi siebie i swoich własnych utworów.

Kiedy więc wydawca tej antologii poprosił mnie o wybranie

najlepszego ze swoich opowiadań, odpowiedziałem mu, że nie mam najlepszego; mam tylko nieudane. Zdziwił się i wymienił kilka moich rzeczy, które zdobyły uznanie.

— Nie lubię żadnego z nich — odpowiedziałem. — Wszystkie przyniosły mi rozczarowanie. Dlatego rzadko czytam swoje dawne utwory, przyprawiają mnie one o mdłości. A kiedy przypadkiem znajduję w nich coś, co mi się podoba, jestem przekonany, że to nie ja napisałem, że musiał to wstawić redaktor.

— Czy może pan w takim razie wybrać opowiadanie, którego pisanie sprawiło panu największą przyjemność?

— Nie. Pisarze mają wyjątkową skłonność do schizofrenii: są jednocześnie autorami i krytykami. Jako autorzy mogą przeżywać chwile szczęścia w momencie tworzenia, lecz jako krytycy są obojętni na tamto szczęście. Nie ma ono wpływu na bezlitosną ocenę skończonej pracy.

Jest jeszcze jedna, ważniejsza przyczyna tego stanu rzeczy. Radość, jakiej nam dostarcza akt tworzenia, nie ma żadnego związku z rzeczywistą wartością dzieła. Jest truizmem na Broadwayu, że kiedy aktor jest szczególnie zadowolony ze swojej gry, jest to z reguły jego najgorsza rola. Jest również prawdą, że opowiadanie, które sprawia autorowi najwięcej trudności, jest zwykle jego najlepszym utworem.

Wyciągnąłem słownik cytatów, który automatycznie otworzył się na dobrze znanej stronicy. Samuel Johnson powiedział „To, co zostało napisane bez wysiłku, czytamy zazwyczaj bez przyjemności". Zaś Lord Byron napisał „Ach, gdybym władał sztuką łatwego pisania, które równie łatwo dałoby się czytać". Moje ulubione określenie pochodzi z opowiadania Ringa Lardnera „Pamiętnik Caddy": „Pisanie to mordęga".

— A co w takim razie z samograjem, opowiadaniem, które samo się pisze?

— Zdarzyło mi się to tylko raz, kiedy pisałem scenariusz dla Jimmy Meltona. Zbliżało się Święto Dziękczynienia i zaangażowano już wielką Josephinę Hull jako gwiazdę wieczoru. Musiałem napisać dla niej scenariusz, a nie miałem żadnego pomysłu. Zmarnowałem sześć dni i ogarniała mnie coraz większa rozpacz.

W nocy przed ostatecznym terminem oddania pracy nie mogłem zasnąć; nigdy dotychczas nie nawaliłem i dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Nad ranem zapadłem w drzemkę i, słowo daję, przyśnił mi się kompletny scenariusz; akcja, postacie, konflikt, kulminacja i rozwiązanie. Wstałem i niczym lunatyk podbiegłem do maszyny w obawie, że jeśli cokolwiek odwróci moją uwagę, cała historia ucieknie mi z głowy. Rzecz napisała się sama w ciągu trzech godzin.

— No więc? Czyż nie zostało to napisane bez wysiłku?

— A co z tymi sześcioma dniami męczarni, bez których nie

byłoby scenariusza? Czy to nie był wysiłek?

— Musi pan jednak mieć coś do tej antologii.

— Nie mam nic. Tak prawdę mówiąc moje najlepsze utwory są jeszcze tylko notatkami w brulionie. Niestety mam tę przeklętą pewność, że i one przyniosą mi rozczarowanie, gdy tylko przybiorą formę opowiadań.

— No dobrze — uśmiechnął się wydawca. — W takim razie niech pan wybierze coś z tych notatek i damy je zamiast opowiadania.

Tak więc przejrzałem ciężki, oprawny w skórę notatnik, który prowadzę od dwudziestu lat, i wybrałem z niego kilka fragmentów, pomysłów i ciekawostek. Podaję je dokładnie w tej samej postaci, w jakiej zostały zapisane podczas tych dwudziestu lat. Niektóre z nich są beznadziejnie przestarzałe, inne wytrzymały próbę czasu. Wiele pomysłów zostało wykorzystanych przez innych autorów, co nasuwa pewne interesujące spostrzeżenia.

Otóż są pomysły, które wiszą w powietrzu i przychodzą do głowy różnym ludziom jednocześnie i niezależnie od siebie. Dlatego też na przykład historycy do dzisiaj spierają się o to, kto wynalazł druk za pomocą ruchomych czcionek, teleskop czy kinematograf. W Hollywood, bardzo często mają do czynienia z tym fenomenem. Nagle autorzy z całego kraju nadsyłają jednocześnie podobne pomysły scenariuszy.

Prawda polega na tym, że sam pomysł jest stosunkowo mało ważny; wszystko zależy od pisarza, który go weźmie na warsztat. Identyczny pomysł pod piórem różnych pisarzy przybiera formę zupełnie różnych opowiadań i dlatego zawodowcy są tylko pozornie tak hojni, jakby się to mogło wydawać, kiedy opowiadają o swoich pomysłach i projektach. Zdają sobie z tego sprawę. To tylko amator skarży się, że mu „ukradziono pomysł".

Oto więc garść pomysłów z mojego prywatnego świata fantastyki naukowej. Wszystkie z nich, niezależnie od tego, czy zostały potem wykorzystane przez innych autorów, były swego czasu moimi oryginalnymi pomysłami i pozostaną moimi najlepszymi opowiadaniami tak długo, dopóki będą bezpiecznie schowane w moim notatniku.

Odruch oddechowy nie występuje u noworodka samoczynnie. Dlatego daje się klapsa świeżo urodzonemu niemowlęciu. Dzieci, które nie reagują na klapsa krzykiem, umierają z uduszenia. Załóżmy jako temat do opowiadania science fiction, że niemowlę nie zaczyna oddychać, a mimo to żyje.

Czy pamiętacie historię studentki z Bryn Mawr, którą przyprowadzono na oddział fizjologii? Nie oddychała rytmicznie jak inni ludzie; po prostu wzdychała mniej więcej raz na minutę. Jak mi

wyjaśnił jeden z moich profesorów, robiła właściwie to samo, co my wszyscy. Tyle że my poruszamy zużyte powietrze płytkimi oddechami, kiedy zaś nasz organizm odczuje brak tlenu, robimy głęboki wdech. U tej dziewczyny automatyzm oddechowy nigdy się nie uformował.

Zobacz u Rabelaisa str. 125. Pomysł zmian ewolucyjnych w wyniku zmian klimatycznych na Ziemi. W świecie pozbawionym wiatru i wody ptaki chodzą i ryby pełzają. Jakie zmiany klimatyczne mogą przeobrazić nasz sposób myślenia?

Opowiedzieć historię z punktu widzenia maszyny liczącej.

Wybraniec Fortuny. A jeśli powodzenie zależy od Eteru albo plam na Słońcu?

Opowiadanie o przemytnikach pogody.

Musi istnieć miejsce, do którego można przyjechać i przypomnieć sobie wszystko to, co nam się nigdy nie przydarzyło.

Opowieść kryminalna osadzona w przyszłości, gdzie zbrodnia nie istnieje, ponieważ policja wyposażona w maszyny czasu może w każdej chwili wyprawić się w przeszłość i zdobyć dowody niezbędne do skazania przestępcy.

(Pamiętam, że wspomniałem o tym Horacemu Goldowi z *Galaxy Magazine*. Powiedział, że trick z maszyną czasu jest ograny, ale namawiał mnie do napisania przyszłościowego kryminału, w którym zbrodnia byłaby utrudniona z innych, bardziej oryginalnych przyczyn. W ten sposób powstała powieść *The Demolished Man*.)

Miasto, które kusi człowieka mirażami. Trafia do niego podczas długiej, samotnej wędrówki. Spotyka uroczych ludzi i przeżywa niewiarygodne, zagadkowe przygody, aż wreszcie uświadamia sobie, że wszystkie te tajemnicze perypetie mają jeden cel: zatrzymać go w mieście. Jest to miasto wymarłe, miasto — duch, tęskniące za żywymi mieszkańcami.

(W kilka lat później Lerner i Loewe wykorzystali nieco podobny pomysł w swoim uroczym musicalu „Brigadoon”.)

Magazyn życzeń, podobny do sklepu wysyłkowego w bajkowym świecie, gdzie wszystkie życzenia są przyjmowane, segregowane i spełniane, jeśli mają daną rzecz na składzie 1 a klient jest wypłacalny. Katalog wysyłkowy takiej firmy musiałby być przyjemną lekturą.

Człowiek, który wykupuje od ludzi wszelkie prawa do ich snów.

(Wydaje mi się, że Truman Capote użył kiedyś podobnego pomysłu.)

Małe kopczyki półszlachetnych kamieni wyznaczają czasem miejsca śmierci wielkich wymarłych ptaków. Moa nosił w żołądku kamienie, podobnie jak dzisiejsze kury, aby lepiej rozcierać pokarm. Ponieważ odżywiał się bardzo twardymi łodygami, potrzebował odpowiednio twardszych kamieni. Co za tym idzie, połykał kwarce, krzemienie, chalcedony i jaspisy. Lub może raczej połykał różne kamienie, ale bardziej miękkie ulegały rozpuszczeniu a twardsze pozostawały. Znajdowano je w postaci kopczyków zaokrąglonych kamieni. o średnicy około dwóch cali i o wadze około dwóch uncji. To samo dotyczy skamieniałych resztek dinozaurów.

Bohater w dziwny sposób wchodzi w posiadanie książki, której lektura, jak go ostrzegają, kończy się fatalnie. Wszyscy, którzy ją czytali przed nim, znikli bez śladu. Nasz bohater zaczyna ją jednak czytać, spodziewając się czegoś tajemnego i niezwykłego. Okazuje się jednak, że jest to bardzo nudna seria nieciekawych biografii nieznanych ludzi. I nagle w ostatnim rozdziale odnajduje swoją własną biografię. On też wpadł do książki.

(Wydawca tej antologii powiedział mi, że bardzo podobny pomysł został znakomicie rozegrany przez Jamesa Blisha w jego „Księdze Zmarłych".)

Napisać opowiadanie o człowieku, który stara się uciec ze szpitala albo domu wariatów… Słyszymy zgrzyt piłki o żelazne kraty… Pracuje początkowo ukradkiem, potem coraz głośniej, aż nagle zdaje sobie sprawę, że wszyscy wkoło wiedzą, co on robi i spokojnie ignorują jego wysiłki. Dlaczego?

Kamienne narzędzia wykonuje się z kamieni, które podobnie jak szkło dają po rozłupaniu ostrą, gładką krawędź. Nawiasem mówiąc szkło najlepiej nadaje się do tego celu i kiedy w Australii przeprowadzano pierwsze linie telegraficzne, powstał problem ich ochrony przed żyjącymi jeszcze w kamiennym wieku krajowcami, którzy rozłupywali izolatory na noże. Problem rozwiązano rozsypując pod każdym słupem nieco stłuczki szklanej, dzięki czemu krajowcy mogli uzyskać surowiec bez włażenia na słupy. Przełożyć to na język science fiction.

(Wydawcy spodobał się ten pomysł, kiedy mu o nim powiedziałem. Do dzisiaj molestuje mnie, żebym to napisał.)

Leworęczny morderca: historia morderstwa, które (jak to na

wstępie wyjaśniamy czytelnikom) zostało popełnione przez mańkuta. Dowodzimy jednak, bezpośrednio lub pośrednio, że wszystkie występujące postacie są praworęczne. Opowiadanie zaczyna się od „To ja zabiłem" i dalej opisuje zagadkę nie wyjaśniając, kto jest narratorem, z użyciem tej samej techniki, jaką zastosowała Agata Christie w „Morderstwie Rogera Ackroyda".

Pointa: narrator — morderca jest jednym z pary bliźniaków. Mańkut zabił swego praworęcznego brata w łonie matki. Przyczyną wszystkich późniejszych niezwykłych wydarzeń jest pragnienie zatarcia śladów zbrodni. Morderca jest fantastycznym i superinteligentnym potworem, który jednak nie zdaje sobie sprawy, że jego zbrodnia pozostanie nie zauważona.

Sprawdzić, jak to jest z bliźniakami. Czy stanowią zwierciadlane odbicie?

Często dzieci w skomplikowanym świecie swoich marzeń wymyślają urojonego towarzysza zabaw. A gdyby tak ten wymyślony przyjaciel rzeczywiście pojawił się pewnego dnia?

(Wydawca powiedział mi, że ten pomysł był z powodzeniem wielokrotnie wykorzystany.)

Ludzie mający do czynienia z nurkowaniem wiedzą od dawna, że na dużej głębokości koncentracja wymaga większego wysiłku i często występuje utrata pamięci — zwłaszcza na głębokościach przekraczających 200 stóp. Znany jest przypadek nurka, który był święcie przekonany, że stracił przytomność, a w rzeczywistości przez cały czas odpowiadał na pytania przez telefon i wykonywał wszystkie polecenia.

Większość nurków stwierdza zjawisko „natrętnej myśli" na dużych głębokościach. Ta nieustannie prześladująca ich myśl może mieć coś wspólnego z ich aktualnym otoczeniem albo nie, ale w każdym razie nie ma żadnego związku z wykonywanym przez nich zadaniem.

Przełożyć to na „głębokie zanurzenie" w przestrzeń kosmiczną.

W dalekiej przyszłości znajdują rolkę filmu z przeszłości. Wywołują i robią odbitki. Jakie komplikacje mogą z tego wyniknąć?

(Pomysł ten zrodził się po odkryciu w roku 1930 obozowiska zaginionej wyprawy polarnej Andrée i odnalezieniu fotografii wyprawy zrobionych w roku 1897.)

Ekstrapolacja postaci współczesnego niezłomnego detektywa w przyszłość. Dzisiejszy prywatny detektyw jest fizycznie bezwzględny; przyszły będzie bezwzględny psychicznie. Prywatny detektyw bije i

jest bity, nie przywiązuje wagi do bólu fizycznego. Detektyw przyszłości będzie z taką samą obojętnością znosić i zadawać ból psychiczny.

Będzie jeszcze jedna różnica. Detektywi są brutalni, lecz jednocześnie sentymentalni. Przyszły detektyw będzie brutalem pod względem psychicznym, bezlitośnie rujnującym psyche innego człowieka, lecz fizycznie może być mięczakiem z typu tych, którzy wąchają kwiatki i piszczą na widok myszy.

Kiedy śni nam się, że umieramy, zawsze się budzimy. A co by się stało, gdybyśmy się nie obudzili? Czy nasza podświadomość pozwoliłaby nam umrzeć? Może spadlibyśmy na głębszy poziom snu? O czym byśmy śnili wtedy? Czy przekroczylibyśmy granice innego świata, jakiego nawet we śnie nie widzieliśmy?

Sugestia Bena B., że wiek nuklearny może zburzyć nasz kodeks moralny; np. kazirodztwo może się stać pożądane i konieczne, aby zachować czystość krwi. Przypomina to egipskich faraonów, którzy uprawiali kazirodztwo, aby zachować nieskażoną linię dynastyczną.

Odciski palców małpy nie wykazują pętli ani spiral, lecz tylko rzędy lekko zakrzywionych równoległych linii. Człowiek prehistoryczny, człowiek wieku kamiennego, miał również nieskomplikowany rysunek linii papilarnych. Dopiero człowiek historyczny ma znane nam odciski palców. Dzięki temu zdemaskowano fałszerstwo prehistorycznych wyrobów garncarskich. Odciski palców były na nich zbyt nowoczesne.

U Gibbona czytamy, że kiedy zmarł jeden z muzułmańskich królów, znaleziono po wewnętrznej stronie drzwi jego skarbca następujący napis: „Przez pięćdziesiąt lat byłem władcą absolutnym i nie zagrożony trzymałem świat w swoich rękach. Na skinienie miałem wszystkie radości, wszystkie luksusy. Budziłem strach wśród wrogów i szacunek wśród poddanych. I byłem szczęśliwy dokładnie przez czternaście dni w życiu!”

Cóż za temat: odnaleźć te czternaście dni!

Urok tych fragmentów polega na tym, że nigdy nie wiadomo, co się z nich wykluje. Projekt skeczu telewizyjnego pod tytułem „Pamiętam Hiroszimę”, satyra na sztukę „Pamiętam mamę”, zmienił się w opowiadanie fantastyczno — naukowe pod tytułem „Wybór Hobsona”. Pomysł wykorzystany wiele lat temu w audycji radiowej w połączeniu ze zdarzeniem opisanym w jednym ze szkiców biograficznych Marka Twaina dał w rezultacie opowiadanie „Z

poważaniem Fahrenheit”.

To jest właśnie cały urok notatnika; w tajemniczy sposób niezrozumiały zapisek z 1950 roku może zderzyć się z niejasną notatką z roku 1960, dając w roku 1970 nowe opowiadanie. W „Jednym dniu z życia pisarza”, chyba najlepszym portrecie pisarza przy pracy, Tess Slesinger napisał: „Nagle stwierdził, że coś ze strony dwunastej w cudowny sposób wiązało się z czymś na stronie siódmej, z czymś czego sam nie rozumiał, kiedy to pisał…”

Kiedy przeglądam swój brulion, wiele notatek napawa mnie zdumieniem, ponieważ jak dotychczas nie kojarzą mi się z niczym. Po co na przykład wpisałem tu pracowicie „język kwiatów”? Co kryje się za pytaniem: „Co to jest trzeci wzrok?” Oto symbole z dziewiętnastowiecznej mapy drogowej wagabundów. Po co? Dlaczego wypisałem siedem grzechów głównych po angielsku i po łacinie (po łacinie!). Kiedyś się dowiem. Z ich krzyżówki powstanie coś zupełnie nieoczekiwanego i wtedy — niestety — będę musiał napisać opowiadanie, niszcząc je w ten sposób. Dlatego właśnie najlepszym opowiadaniem jest zawsze to, którego się jeszcze nie napisało.

Wyjaśnia to jednocześnie tak częstą u pisarzy niechęć do rozpoczęcia pisania. Jeden z moich przyjaciół zademonstrował kiedyś skrajny przypadek tej awersji. Miał on umowę na słuchowisko, wiedział, co pisać, miał zgodę klienta i sieci radiowej, a mimo to zwlekał przez miesiąc. Na dwa dni przed terminem oddania pracy nie napisał jeszcze ani słowa.

Żona powiedziała: „Jutro zabieram dziecko i wynosimy się z domu. Będziesz miał całe mieszkanie dla siebie i nic nie przeszkodzi ci w pisaniu”.

Następnego dnia żona wstała o szóstej, ubrała dziecko i wyszła z domu. Poszła z dzieckiem na śniadanie, potem pojechała na wycieczkę, wróciła do miasta, obiad zjedli w zoo, oglądali zabawki w domu towarowym, zwiedzili Radio City i zjedli kolację w restauracji.

O siódmej dziecko było już bardzo zmęczone i zaczęło marudzić, trzeba więc było wracać. Kiedy wrócili do domu, mąż czyścił właśnie ostatnią srebrną łyżeczkę z liczącego 116 sztuk kompletu.

A słuchowisko do dzisiaj pozostaje najlepszą z rzeczy, których nigdy nie napisał.

Przełożył z angielskiego Lech Jęczmyk

notes

1

Geta — tradycyjne japońskie obuwie. Drewniane chodaki na koturnach

2

Tai — leszcz morski, odmiana dorady

3

Ayu — nieduża ryba słodkowodna. Oba gatunki wysoko cenione w Japonii dla walorów smakowych

4

Samma — popularna w Japonii ryba morska, ok. 30sm długości.

5

W oryg. Kusaya — zjełczała, specjalnie spreaparowana makrela

6

Nie od rzeczy będzie wzmianka, że z czasem Wyjątki od Reguł rozrosły się jeszcze bardziej i stały się Regułami, Reguły zaś — Wyjątkami. Ponieważ jednak Wyjątki od Reguł w ogóle wykazują tendencje do szybszego rozmnażania się. niż Reguły, po stu latach Wyjątki, które były niegdyś Regułami, znowu zajęły swoje miejsce, a Reguły ponownie przekształciły się w Wyjątki. Mamy podstawy przypuszczać, że tego rodzaju wymiana następowała kilkakrotnie, ostatecznie więc nikt już nie wiedział na pewno, który kodeks zawiera Reguły, a który — Wyjątki od Reguł (Autor).

7

Potrawa z marynowanej kapusty przyprawiana czosnkiem.

8

Dosłownie: białe kołnierzyki. Pogardliwa nazwa warstwy urzędniczej.

9

W tytule i ostatnim wierszu opowiadania autor zastosował dla efektu komicznego grę słowną: zarówno „papier”, jak i „włosy” brzmią po japońsku jednakowo — „kami”.